

PIERWSZY TOM SERII *GREEN CREEK*

WILCZA PIEŚŃ



TJ KLUNE

AUTOR BESTSELLERÓW

DOM NAD BŁĘKITNYM MORZEM I POD SZEPCZĄCYMI DRZWIAMI

TJ KLUNE

WILCZA PIEŚŃ

PRZEŁOŻYŁA
ANNA STANDOWICZ-CHOJNACKA



Tytuł oryginału: *Wolfsong*

Projekt okładki: *Red Nose Studio*

Redakcja: *Natalia Popławska (Lingventa)*

Redaktor prowadzący: *Agata Then*

Redakcja techniczna: *Sylwia Rogowska-Kusz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Maria Śleszyńska, Katarzyna Szajowska*

© 2016 by TJ Klune. By arrangement with the author.

All rights reserved.

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2023

© for the Polish translation by Anna Standowicz-Chojnacka

ISBN 978-83-287-2769-4

Wydawnictwo Akurat

Wydanie I

Warszawa 2023

*Ely, ta książka jest dla Ciebie ze względu na te wszystkie linki
do Tumblra.*

Wiesz, o które chodzi.

Pragnienie istnieje naprawdę.

Prosimy cię, zostań z nami!
Zjemy cię! Tak cię kochamy!
Maurice Sendak,
Tam, gdzie żyją dzikie stwory[\[1\]](#)

Spis treści

drobinki kurzu / chłód i metal
katalizator / śnienie na jawie
tornado / bańki mydlane
wilk z kamienia / Dinah Shore
śliczny chłopaczek / odpierdol się
albo nigdy / osiem tygodni
pazury i kły / śmiech w głos
księżyc
wiele kilometrów / słońce między nami
wilki tak mają / jesteśmy sami
walcz o mnie / rodzina jest wszystkim
ziemia, po której stąpasz / upadły król
nisko opuszczone szorty / ty i Joe
i muszkę / dla ciebie wszystko
na tym polega życie / potrzebuję cię
przyniosę ci niedźwiedzia / skrzywdzę cię
słowo ostrzeżenia / takie prawo
bestia / ogień i stal
otwarte rany / droga do domu
aż do kości / stracić ciebie
zanim wyjedziesz / słodko-gorzki
pierwszy rok / punkciki światła

drugi rok / pieśń bitewna

trzeci rok / mistyczne księżycowe połączenie

dom

jak wilk / tutaj przelaliśmy ich krew

wyłem do ciebie / zawsze byłeś mój

miłość

skrzywdzić cię / nasze pieprzone stado

pusta skorupa / bicie serca

bestia

wilcza pieśń

epilog

drobinki kurzu / chłód i metal

Miałem dwanaście lat, kiedy mój tatko postawił walizkę przy drzwiach.

– A to po co? – zapytałem z kuchni.

Ojciec wydał z siebie ciche, ciężkie westchnienie. Chwilę trwało, nim się odwrócił.

– Kiedy wróciłeś do domu?

– Jakiś czas temu. – Skóra mnie zaswędziała. Wydawało mi się, że coś jest nie w porządku.

Tatko spojrzał na stary zegar wiszący na ścianie. Szybka osłaniająca tarczę była pęknięta.

– Jest później, niż myślałem. Posłuchaj, Ox... – Potrząsnął głową. Wyglądał na skołowanego. Zdezorientowanego. Wiele można było powiedzieć o moim ojcu. Że był pijakiem. Że szybko wpadał w złość, a wtedy w ruch szły wyzwiska i pięści. Że był słodkim diabłem, którego śmiech grzmiał niczym stary harley-davidson WLA, którego zreperowaliśmy poprzedniego lata. Ale nigdy nie widziałem, żeby był skołowany. Nigdy nie bywał zdezorientowany. Nie tak jak teraz.

Zaczęło mnie strasznie swędzieć.

– Wiem, że nie jesteś najbystrzejszym chłopcem – powiedział i spojrzał przez ramię na walizkę.

Nie mijał się z prawdą. Nie grzeszę nadmiarem rozumu. Mama powiedziała kiedyś, że wszystko ze mną w porządku, ale tato uważał, że jestem powolny. Mama odparła, że przecież to nie wyścig. Tato był już wtedy przyssany do swojej whisky, więc zaczął krzyczeć i rozwalać różne rzeczy. Ale jej nie uderzył. W każdym razie nie tamtej nocy. Mama strasznie płakała, ale jej nie uderzył. Upewniłem się, że nie. Kiedy w końcu zaczął chrapać w swoim starym fotelu, wślizgnąłem się z powrotem do pokoju i schowałem pod kołdrę.

– Tak jest, proszę pana.

Popatrzył na mnie, a ja mógłbym przysiąc i do końca swoich dni nie zmienię zdania, że w jego oczach zobaczyłem coś na kształt miłości.

– Głupi jak wół[2] – stwierdził, ale w jego ustach nie zabrzmiało to złośliwie. Tak po prostu było.

Wzruszyłem ramionami. Nie pierwszy raz mi to mówił, chociaż mama prosiła go, żeby przestał. Nic się nie stało. Był moim ojcem. Wiedział o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

– Ludzie będą cię chujowo traktować – zauważył. – Przez większość życia.

– Jestem większy niż przeciętny człowiek – powiedziałem, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Bo tak było. Ludzie się mnie bali, chociaż wcale tego nie chciałem. Byłem duży. Jak mój tato. Duży facet z obwisłym bebzonem, który zawdzięczał gorzale.

– Nikt nie będzie potrafił cię pojąć – dodał.

– Aha.

– Nikt cię nie zrozumie.

– Wcale nie muszą. – Bardzo chciałem, żeby mnie rozumieli, ale zdawałem sobie sprawę, dlaczego nie było to możliwe.

– Muszę lecieć.

– Dokąd?

– Po prostu. Posłuchaj...

– Mama o tym wie?

Roześmiał się, ale nie zabrzmiało to tak, jakby coś go rozbawiło.

– No jasne. Możliwe, że tak. Cóż, wiedziała, na co się zanosi. Pewnie już od jakiegoś czasu.

Zrobiłem krok w jego stronę.

– Kiedy wracasz?

– Ox, ludzie będą dla ciebie podli. Po prostu ich ignoruj. Nie wychylaj się.

– Ludzie nie są podli. Przynajmniej nie zawsze. – Nie znałem zbyt wielu ludzi. Tak naprawdę nie miałem żadnych przyjaciół. Ale ludzie, których znałem, nie byli podli. Przynajmniej nie zawsze. Po prostu nie bardzo wiedzieli, co ze mną zrobić. W każdym razie większość z nich. Ale to nic nie szkodziło. Ja też nie bardzo wiedziałem, co ze sobą zrobić.

A potem tatko powiedział:

– Przez jakiś czas się nie zobaczymy. Może nawet przez dłuższy czas.

– A co z warsztatem? – zapytałem. Ojciec pracował u Gorda. Kiedy wracał do domu, pachniał smarem, olejem silnikowym i metalem. Miał czarny brud pod paznokciami. Miał koszule, na których wyhaftowano jego imię. Czerwoną, białą i niebieską nicią wyszyto na nich słowo „Curtis”. Zawsze uważałem, że to najniezwyklejsza rzecz pod słońcem. Że tylko wielcy ludzie

zasługują na koszule z wypisanym na nich ich własnym imieniem. Czasem zabierał mnie ze sobą do pracy. Kiedy miałem trzy lata, pokazał mi, jak się zmienia olej w samochodzie. Kiedy miałem cztery, pokazał mi, jak się zmienia oponę. Kiedy miałem dziewięć lat, pokazał mi, jak wyremontować silnik w chevrolecie Bel Air coupé z 1957 roku. Wraciałem wówczas do domu pachnący smarem, olejem silnikowym i metalem i późną nocą marzyłem o koszuli z wyhaftowanym na niej moim imieniem. Na piersi byłby napis „Oxnard”. A może po prostu „Ox”.

– Gordo ma to gdzieś – odparł tatko.

Wydawało mi się, że kłamię. Gordowi bardzo zależało. Był opryskliwy, ale kiedyś mi powiedział, że jak dorosnę, to będę mógł do niego przyjść i pogadać o pracy. „Tacy faceci jak my muszą trzymać się razem” – stwierdził. Nie wiem, co miał przez to na myśli, ale wystarczała mi świadomość, że nie traktował mnie jak powietrze.

– Aha – udało mi się wykrztusić.

– Nie żałuję, że się urodziłeś – powiedział ojciec. – Ale żałuję całej reszty.

Nie zrozumiałem.

– Chodzi o...? – Nie wiedziałem, o co mu chodziło.

– Żałuję, że tu utknąłem – wyjaśnił. – I dłużej tego nie zniosę.

– W porządku – odparłem. – Jakoś temu zaradzimy. – Przecież mogliśmy iść gdzieś indziej.

– Temu nie da się zaradzić, Ox.

– Naładowałeś telefon? – spytałem, bo ciągle o tym zapominał. –

Pamiętaj, żeby go ładować, bo w przeciwnym wypadku nie będę mógł do ciebie zadzwonić. W szkole robimy nowe zadania z matmy,

których nie rozumiem. Pan Howse powiedział, że mogę poprosić cię o pomoc. – Chociaż i tak wiedziałem, że tatko nie poradzi sobie z zadaniami lepiej niż ja. Nazywało się to „wstęp do algebry” i mnie przerażało, bo chociaż było tylko wstępem, to i tak miałem duże trudności. Bałem się, co będzie, jak zacznie się prawdziwa algebra.

Rozpoznałem minę, którą po moich słowach zrobił tatko. Oznaczała, że jest zły. Jest na mnie wkurzony.

– Czy ty, kurwa, nic nie rozumiesz? – warknął, a ja usiłowałem się nie wzdrygnąć.

– Nie – odparłem, bo naprawdę nic nie rozumiałem.

– Ox – powiedział tatko. – Nie będzie odrabiania zadań z matmy. Nie będzie rozmów przez telefon. Przestań albo pożałuję i tego, że się urodziłeś.

– Aha – stwierdziłem.

– Musisz stać się mężczyzną. Dlatego próbuję ci to wytłumaczyć. Ludzie będą obrzucać cię błotem. A ty masz je z siebie strząsnąć i iść dalej. – Ręce trzymał opuszczone wzdłuż tułowia, dłonie zwinął w pięści. Nie wiedziałem dlaczego.

– Umiem być mężczyzną – zapewniłem go, bo wydawało mi się, że może dzięki temu poczuje się lepiej.

– Wiem – odparł.

Uśmiechnąłem się do niego, ale odwrócił wzrok.

– Muszę już iść – powiedział w końcu.

– Kiedy wracasz? – zapytałem.

Zrobił chwiejny krok w stronę drzwi. Wziął wdech, zarzęziło mu w piersi. Podniósł walizkę. Wyszedł. Słyszałem, jak na dworze odpalił silnik swojego starego auta. Motor zakrztusił się, kiedy nabierał prędkości. Brzmiał tak, jakby potrzebował nowego paska

rozrządu. Pomyślałem, że będę musiał później przypomnieć o tym ojcu.

Tamtej nocy mama wróciła do domu późno. Wzięła w knajpce dwie zmiany z rzędu. Znalazła mnie w kuchni. Stałem w tym samym miejscu, co w chwili, gdy tatko wyszedł. Wszystko się zmieniło.

– Ox? – spytała. – Co się dzieje? – Wyglądała na bardzo zmęczoną.

– Cześć, mammo – przywitałem się.

– Dlaczego płaczesz?

– Wcale że nie. – Nie płakałem, bo byłem już mężczyzną.

Mama dotknęła mojej twarzy. Jej dłonie pachniały solą, frytkami i kawą. Przesunęła kciukami po wilgotnych policzkach.

– Co się stało?

Popatrzyłem na nią z góry. Zawsze była drobna, a w którymś momencie, jakoś tak z rok temu, przerosłem ją. Szkoda, że nie pamiętam dnia, kiedy to się stało. To była wiekopomna chwila.

– Zajmę się tobą – obiecałem. – Nie musisz się martwić.

Jej oczy złagodniały. Widziałem zmarszczki, które się wokół nich uformowały. Zmęczenie w ułożeniu jej szczęki.

– Cały czas się mną opiekujesz. Ale to... – Urwała. Wzięła wdech.

– Poszedł sobie? – zapytała. Wydawała się taka drobna.

– Tak myślę. – Nawinałem sobie kosmyk jej włosów na palec. Ciemnych, takich jak moje. Takich jak tatki. Wszyscy byliśmy tacy ciemni.

– Co powiedział? – spytała.

– Jestem już mężczyzną – odparłem. Tylko tyle musiała usłyszeć.

Śmiała się tak, że aż zgięła się wpół.

Nie zabrał pieniędzy, kiedy odchodził. A przynajmniej nie wszystkie. Nie żeby było tego dużo. Nie wziął też żadnych zdjęć. Tylko trochę ubrań. Maszynkę do golenia. Samochód. Niektóre narzędzia. Jakbym nie wiedział lepiej, pomyślałbym, że w ogóle go tu nie było.

Cztery dni później zadzwoniłem do niego. Był środek nocy. Sygnał odezwał się kilkakrotnie, po czym usłyszałem komunikat, że wybrany numer jest nieaktywny. Następnego ranka musiałem przeprosić mamę. Ścisnąłem telefon tak mocno, że go zgniotłem. Powiedziała, że nic się nie stało, i nigdy więcej o tym nie rozmawialiśmy.

Miałem sześć lat, kiedy tatko kupił mi mój własny zestaw narzędzi. Nie taki zabawkowy. Nie taki z kolorowego plastiku. Chłodny w dotyku, metalowy i całkiem prawdziwy.

Powiedział:

– Dbaj, żeby zawsze były czyste. I niech Bóg ma cię w swojej opiece, jeśli znajdę je rzucone gdzieś na dworze. Jak zardzewieją, to przetrzępię ci skórę. Cholera, nie do tego służą. Zrozumiano?

Dotknąłem ich z szacunkiem, bo dostałem je w prezencie.

– Okej – powiedziałem, bo nie potrafiłem znaleźć odpowiednich słów, by wyrazić, jaką radość czułem w sercu.

Pewnego ranka, kilka tygodni po tym, jak odszedł, stanąłem w ich (jej) pokoju. Mama znów była w restauracji, wzięła kolejną zmianę. Wiedziałem, że wróci do domu z obolałymi kostkami. Światło wpadało do pomieszczenia przez okno na przeciwległej ścianie. Drobiniki kurzu unosiły się w jego promieniach. Sypialnia pachniała nim. Pachniała nią. Pachniała obojgiem. Tym czymś, co robi się razem. Miało upłynąć wiele czasu, nim zapach się ulotni. Ale w końcu tak się stało.

Otworzyłem przesuwne drzwi szafy. Połowa była w zasadzie pusta. Zostało w niej jednak parę drobiazgów. Kawaleczki życia, którego nikt już nie wiódł. Na przykład jego koszule do pracy. Z tyłu szafy wisiały cztery. Ze słowami „Warsztat u Gorda” wyhaftowanymi kursywą. Na wszystkich widniał napis „Curtis”. Curtis, Curtis, Curtis. Dotknąłem każdej opuszkami palców. Zdjąłem ostatnią w rzędzie z wieszaka. Narzuciłem na ramiona. Była ciężka i pachniała mężczyzną, potem i pracą. Powiedziałem sobie:

– W porządku, Ox. Dasz radę.

No i zacząłem ją zapinać. Moje paluchy, zbyt wielkie i szorstkie, z trudem radziły sobie z guzikami. Niezdarny i głupi, taki właśnie byłem. Niezgrabny, pozbawiony gracji i tępy. Za wielki, by mogło mi to wyjść na dobre.

Kiedy ostatni guzik przeszedł w końcu przez dziurkę, zamknąłem oczy. Wziąłem wdech. Przypomniałem sobie, jak tamtego ranka wyglądała mama. Fioletowe cienie pod oczami. Zgarbione ramiona. Powiedziała:

– Zachowuj się dzisiaj grzecznie, Ox. Postaraj się nie wpakować w kłopoty. – Jakbym potrafił tylko wpadać w tarapaty. Jakbym nic innego nie robił.

Otworzyłem oczy. Spojrzałem w lustro, które wisiało na drzwiach szafy. Koszula była za duża. A może to ja byłem za mały. Nie wiem. Wyglądałem jak dzieciak bawiący się w przebieranki. Jakbym udawał. Spojrzałem spode łba na swoje odbicie. Powiedziałem niskim głosem:

– Jestem mężczyzną.

Nie uwierzyłem sobie.

– Jestem mężczyzną.

Skrzywiłem się.

– Jestem mężczyzną.

W końcu zdjąłem koszulę roboczą ojca i odwiesiłem ją do szafy. Kiedy zamykałem za sobą drzwi, w promieniach zachodzącego słońca wciąż tańczyły drobiny kurzu.

katalizator / śnienie na jawie

Warsztat u Gorda, słucham.

– Cześć, Gordo.

Mruknięcie.

– No, kto mówi? – Jakby nie wiedział.

– Oo.

– Oxnard Matheson! Właśnie o tobie myślałem.

– Poważnie?

– Nie. Czego, kurwa, chcesz?

Wyszczrzyłem zęby, bo wiedziałem. Uśmiech na mojej twarzy wydał mi się dziwny.

– Też się cieszę, że cię słyszę.

– Jasne. Dawno cię nie widziałem, dzieciaku. – Był wkurzony moją nieobecnością.

– Wiem. Musiałem... – Nie wiedziałem, co muszę zrobić.

– Ile to już czasu minęło, odkąd dawca spermy spierdolił z chałupy?

– Będzie chyba kilka miesięcy. – Pięćdziesiąt siedem dni, dziesięć godzin i czterdzieści dwie minuty.

– Jebać go. Kumasz, nie?

Kumałem, ale nie zmieniało to faktu, że był moim tatkiem. Więc może i nie kumałem.

- No pewnie – odparłem.
- U twojej mamy wszystko w porządku?
- Pewnie. – Nie. Wydawało mi się, że nie jest w porządku.
- Ox.
- Nie. Nie wiem.

Wziął głęboki wdech i westchnął.

– Przerwa na papierosa? – spytałem i poczułem ból, bo było to coś, co znałem. Niemal czułem w powietrzu dym. Palił mnie w płuca. Kiedy myślałem o tym wystarczająco intensywnie, widziałem go siedzącego na tyłach warsztatu. Palącego papierosa i patrzącego spode łba. Długie nogi wyciągnięte przed siebie, skrzyżowane w kostkach. Olej silnikowy pod paznokciami. Jasne, kolorowe tatuaże pokrywające ramiona. Kruki i kwiaty, i kształty, których znaczenia nigdy nie potrafiłem rozszyfrować.

- No. Karmię raka, kolego.
- Mógłbyś rzucić.
- Ja z niczego nie rezygnuję, Ox.
- Nawet starego psa można nauczyć nowych sztuczek.

Parsknął.

- Mam dwadzieścia cztery lata.
- Staruszek.
- Ox. – Gordo wiedział.

Dlatego się zwierzyłem:

- Nie radzimy sobie.
- Bank? – spytał.
- Wydaje jej się, że ich nie widzę. Znaczących listów.
- Z iloma ratami zalegacie?

– Nie wiem. – Czułem się zażenowany. Niepotrzebnie do niego zadzwoniłem. – Muszę kończyć.

– Ox – warknął. Rzeczowo i wyraźnie. – Z iloma ratami?

– Z siedmioma.

– Pieprzony łajdak – odparł. Był wściekły.

– On nie...

– Przestań, Ox. Po prostu... przestań.

– Tak sobie myślałem...

– O rety.

– Może mógłbym...? – Mój język wydawał się ciężki jak z ołowiu.

– Wyduś to z siebie.

– Może mógłbyś mnie zatrudnić? – rzuciłem pospiesznie. –

Chodzi o to, że potrzebujemy pieniędzy. Nie mogę pozwolić, żeby straciła dom. Tylko tyle nam zostało. Poradzę sobie, Gordo. Będę się przykładał do roboty i będę pracował u ciebie już zawsze. W końcu i tak zacząłbym u ciebie pracować, więc czemu nie miałbym zrobić tego już teraz? Mogę zacząć już teraz? Przepraszam, po prostu muszę zacząć pracować, bo teraz ja jestem głową rodziny. – Bolało mnie gardło. Żałowałem, że nie mam pod ręką nic do picia, bo nie mogłem zmusić nóg, by się poruszyły.

Z początku Gordo się nie odzywał. Wreszcie powiedział:

– Chyba nigdy wcześniej nie słyszałem, jak wypowiadasz tyle słów naraz.

– Nie mówię zbyt wiele. – Jak widać.

– Zgadza się. – Wydawał się rozbawiony. – Słuchaj, zrobimy tak...

Gordo dał mojej mamie pieniądze, żeby mogła uregulować spłatę kredytu hipotecznego. Powiedział, że odliczy tę kwotę od pensji, którą będzie mi wypłacał pod stołem do czasu, aż będę mógł zacząć u niego legalnie pracować.

Mama się rozplakała. Najpierw odmówiła, ale potem zdała sobie sprawę, że nie może sobie pozwolić na odmowę. Wtedy ponownie się rozplakała i zgodziła się, a Gordo kazał jej obiecać, że jeśli znów zrobi się kiepsko, to mu o tym powie. Wydaje mi się, że mama uznała go za naszego zbawcę, być może nawet spróbowała uśmiechnąć się do niego nieco szerzej. Może zaśmiała się beztrąsko. Może zakółsała lekko biodrami.

Nie wiedziała, że kiedyś, jak miałem sześć lat czy coś koło tego, zobaczyłem go z innym facetem. Wchodzili razem do kina, a Gordo trzymał tamtego delikatnie za łokieć. Śmiał się w głos, a w jego oczach lśniły gwiazdy. Nie sądzę, że byłby zainteresowany moją mamą. Nigdy więcej nie widziałem go z tamtym mężczyzną. Nigdy nie widziałem go też z nikim innym. Chciałem go o to zapytać, ale wokół jego oczu pojawiło się jakieś napięcie, którego wcześniej tam nie było, więc nigdy się na to nie zdobyłem. Ludzie nie lubią, jak się im przypomina o smutnych sprawach.

Skończyły się listy i telefony z pogrózkami z banku. W zaledwie pół roku udało się spłacić Gordę. A przynajmniej tak nam powiedział. Nie bardzo rozumiałem, jak działają pieniądze, ale zdawało mi się, że powinno to potrwać dłużej. Gordo powiedział, że jesteśmy kwita, i tyle. Później niezbyt często widywałem swoje pieniądze. Gordo oznajmił, że otworzył dla mnie konto w banku, na którym będą narastać odsetki. Nie miałem pojęcia, na czym polega „narastanie odsetek”, ale ufałem Gordowi.

– Na czarną godzinę – powiedziało.

A ja nie lubiłem, jak robiło się czarno.

Miałem kiedyś przyjaciela. Nazywał się Jeremy, nosił okulary i na widok wielu rzeczy uśmiechał się nerwowo. Mieliśmy wtedy po dziewięć lat. On lubił komiksy i rysowanie, a pewnego dnia podarował mi własnoręcznie wykonany obrazek, który przedstawiał mnie jako superbohatera. Miałem na nim pelerynę i w ogóle. Pomyślałem, że to najfajniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem. Ale potem Jeremy przeprowadził się na Florydę, a kiedy sprawdziliśmy z mamą na mapie, gdzie leży Floryda, okazało się, że to po drugiej stronie kraju od naszego domu w Oregonie.

– Ludzie nie zagrzewają miejsca w Green Creek – powiedziała mi, kiedy śledziłem palcem przebieg dróg na mapie. – Tu nic nie ma.

– My zostaliśmy – odparłem.

Odwróciła wzrok.

Mama się myliła. Niektórzy ludzie zostawali. Może niewielu, ale zostawali. Ona została. Ja zostałem. Gordo został. Zostali ludzie, z którymi chodziłem do szkoły, chociaż było możliwe, że i oni w końcu wyjadą. Green Creek umierało, ale nie było jeszcze martwe. Mieliśmy tu spożywcza. Knajpkę, w której pracowała mama. McDonalda. Kino z jedną salą, w którym wyświetlano filmy z lat siedemdziesiątych. Sklep monopolowy z kratami w oknach. Sklep perukarski z głowami manekinów na wystawie, udekorowanymi

rudymi, czarnymi i blond włosami. Warsztat samochodowy Gorda. Stację paliw. Dwa skrzyżowania ze światłami. Jedną szkołę dla wszystkich klas. A wszystko to pośrodku lasu w samym sercu Gór Kaskadowych[3].

Nie rozumiałem, dlaczego ludzie chcieli opuścić to miejsce. Dla mnie było domem. Mieszkaliśmy na uboczu pośród drzew, przy końcu drogi gruntowej. Dom był niebieski. Wykończenia białe. Farba łuszczyła się, ale to nie miało znaczenia. W lecie pachniało tu trawą, bzem, tymiankiem i sosnowymi szyszkami. Jesienią liście kruszyły się z chrzęstem pod stopami. Zimą z komina unosił się dym, który mieszał się z padającym śniegiem. Wiosną ptaki nawoływały do siebie z gałęzi, a nocami sowy pohukiwały aż do wczesnego poranka.

Na samym końcu naszej ulicy stał dom, widoczny między drzewami. Mama powiedziała, że nikt w nim nie mieszka, ale czasami widywałem zaparkowany przed nim samochód osobowy albo ciężarowy i światła palące się nocą w środku. Był to duży budynek z wieloma oknami. Próbowałem przez nie zaglądać, ale zawsze pozostawały zasłonięte. Czasem mijały miesiące, zanim znów zobaczyłem jakieś auto na podjeździe.

– Kto tam mieszkał? – zapytałem ojca, kiedy miałem dziesięć lat.

Tatko stęknął i otworzył sobie kolejne piwo.

– Kto tam mieszkał? – zapytałem mamę, kiedy wróciła z pracy.

– Nie wiem – odparła i pogładziła mnie po uchu. – Stał już pusty, kiedy się tu przeprowadziliśmy.

Nigdy nikogo więcej o to nie pytałem. Wmawiałem sobie, że robię to dlatego, że tajemnica jest lepsza od rzeczywistości.

Nigdy nie pytałem, dlaczego przeprowadziliśmy się do Green Creek, kiedy miałem trzy latka. Nigdy nie pytałem, czy mam dziadków albo kuzynostwo. Zawsze byliśmy tylko my troje, do czasu, aż zostało nas tylko dwoje.

– Myślisz, że on wróci? – spytałem Gorda, kiedy miałem czternaście lat.

– Jebane komputery – wymruczał pod nosem Gordo i wcisnął kolejny guzik na skanerze diagnostycznym Nexiq, który podłączył do samochodu. – Do wszystkiego trzeba ich używać. – Nacisnął kolejny guzik i maszyna zapiszczała na niego gniewnie. – Nie mogę po prostu zajrzeć pod maskę i samemu dojść do tego, gdzie leży problem. Nie. Muszę użyć kodów diagnostycznych, bo wszystko jest zautomatyzowane. Mój dziadek potrafił powiedzieć, co się popsuło, jedynie przysłuchując się pracy silnika na biegu jałowym.

Wzięłem urządzenie z jego rąk i stuknąłem palcem we właściwe miejsce na ekranie. Kiedy pojawił się kod, wręczyłem mu je z powrotem.

– Katalizator.

– No przecież wiedziałem – oznajmił i się skrzywił.

– To będzie sporo kosztować.

– Wiem.

– Pana Fordhama nie stać na taki wydatek.

– Wiem.

– Masz zamiar policzyć mu mniej, prawda? – spytałem, bo takim właśnie człowiekiem był Gordo. Dbał o innych, chociaż nie chciał, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział.

Powiedział:

– Nie, Ox. On nie wróci. Wsadź to na podnośnik, dobra?

Mama siedziała przy kuchennym stole, a wokół niej leżały rozłożone papiery. Wyglądała na smutną. Zdenerwowałem się.

– Więcej dokumentów z banku? – spytałem.

Pokręciła głową.

– Nie.

– W takim razie co?

– Ox, to są... – Wzięła długopis i zaczęła się podpisywać. Zatrzymała się, nim jeszcze skończyła pisać pierwszą literę nazwiska. Odłożyła długopis. Spojrzała na mnie. – Będę cię dobrze traktować.

– Wiem – odparłem zgodnie z prawdą.

Podniosła długopis z powrotem i podpisała się. I jeszcze raz. I jeszcze. I jeszcze. Kilkakrotnie coś parafowała. Kiedy skończyła, powiedziała:

– To by było na tyle. – Roześmiała się, wstała od stołu i chwyciła mnie za rękę, a potem tańczyliśmy w kuchni w takt piosenki, której żadne z nas nie słyszało. Niedługo później mama wyszła.

Kiedy zerknąłem na rozłożone na stole dokumenty, zrobiło się już ciemno. Na blacie leżał pozew o rozwód.

Mama wróciła do nazwiska panińskiego. Callaway. Spytała mnie, czy też chciałbym zmienić swoje. Odparłem, że nie. Postanowiłem, że sprawię, by nazwisko Matheson dobrze się kojarzyło. Myślała, że nie widzę jej łez, kiedy to mówiłem. Ale widziałem.

Siedziałem w szkolnej stołówce. Było głośno. Nie mogłem się skupić. Bolała mnie głowa. Chłopak o imieniu Clint podszedł do mojego stolika razem z grupką przyjaciół. Ja byłem sam. Clint powiedział:

– Pierdolony przygłup.

Jego kumple się roześmiali. Wstałem i zobaczyłem strach w jego oczach. Byłem od niego większy. Odwróciłem się i wyszedłem, bo mama powiedziała, że nie mogę wdawać się w kolejne bójkę. Clint powiedział coś za moim plecami, a jego przyjaciele znów wybuchli śmiechem. Powiedziałem sobie w duchu, że jak już się z kimś zaprzyjaźnię, to nie będziemy tacy wredni jak oni.

Nikt mi nie dokuczał, kiedy usiadłem na dworze. Było prawie miło. Kanapka mi smakowała. Czasami spacerowałem po lesie. Tam wszystko wydawało się klarowniejsze. Drzewa kołysały się na wietrze. Ptaki opowiadały mi historie. Nie oceniały mnie.

Pewnego dnia podniosłem z ziemi kij i udawałem, że to miecz. Przeskoczyłem przez strumyk, ale był zbyt szeroki i zmoczyłem sobie stopy. Położyłem się na plecach i patrzyłem na niebo przez gałęzie drzew. Czekałem, aż wyschną mi skarpetki. Zagłębiłem palce stóp w ziemi. Na kamieniu tuż obok mojej głowy wylądowała ważka. Była zielononiebieska. Na skrzydełkach miała błękitne żyłki. Jej oczy były czarne i lśniące. Odleciała, a ja zastanawiałem się, jak

długo pożyje. Na prawo ode mnie coś się poruszyło. Kiedy spojrzałem w tamtą stronę, usłyszałem warknięcie. Pomyślałem, że powinienem uciekać, ale nie mogłem zmusić stóp, by się poruszyły. Ani rąk. Nie chciałem zostawiać skarpetek w lesie. Zamiast rzucić się do biegu, powiedziałem:

– Cześć.

Nie doczekałem się odpowiedzi, ale wiedziałem, że coś tam się kryje.

– Jestem Ox. Wszystko w porządku.

Dźwięk wydychanego powietrza. Coś jak westchnienie. Poinformowałem to coś, że lubię las. Mignęła mi plama czerni, ale po chwili już jej nie było. Kiedy dotarłem do domu, we włosach miałem pełno liści, a przed pustym domem na końcu ulicy stał zaparkowany samochód. Następnego dnia już go nie było.

Tamtej zimy pewnego dnia po wyjściu ze szkoły poszedłem do restauracji. Zaczęły się ferie świąteczne. Czekają mnie trzy tygodnie laby, jeśli nie liczyć pracy w warsztacie, więc czułem się szczęśliwy. Zanim dotarłem do Oazy i otworzyłem drzwi, znów zaczął padać śnieg. Nad głową rozległ się dźwięk dzwonka. Niedaleko wejścia stała dmuchana palma. Z sufitu zwisało słońce zrobione z masy papierowej. Cztery osoby siedziały przy ladzie i piły kawę. Wnętrze pachniało tłuszczem. Uwielbiałem ten zapach. Kelnerka o imieniu Jenny strzeliła balonem z gumy do zucia i uśmiechnęła się do mnie. Chodziła do tej samej szkoły co ja, o dwie klasy wyżej. Czasem uśmiechała się do mnie również w szkole.

– Cześć, Ox – przywitała się.

– Cześć.

– Zimno na dworze?

Wzruszyłem ramionami.

– Masz czerwony nos – powiedziała.

– Aha.

Roześmiała się.

– Jesteś głodny?

– No pewnie.

– Siadaj. Przyniosę ci kawy i powiem twojej mamie, że przyszedłeś.

Usiadłem w swoim boksie na tyłach sali. Tak naprawdę boks nie należał do mnie, ale i tak wszyscy wiedzieli, że był mój.

– Maggie! – krzyknęła w stronę kuchni. – Ox przyszedł. – Puściła do mnie oczko i zaniósła talerz z jajecznicą i grzankami panu Marshowi, który flirtował z nią z szelmowskim uśmiechem, chociaż miał już osiemdziesiąt cztery lata. Jenny nie przestawała chichotać, kiedy jadł jajecznicę. Najpierw polał danie keczupem. Pomyślałem, że to dziwne.

– Hej – powiedziała mama i postawiła przede mną dzbanek z kawą.

– Cześć.

Przeczesała palcami moje włosy, strzepując z nich płatki śniegu. Stopiły mi się na ramionach.

– Jak ci poszły sprawdziany?

– Chyba nieźle.

– Wystarczająco dużo się uczyliśmy?

– Chyba tak. Ale zapomniałem, kim był Stonewall Jackson[4].

Mama westchnęła.

– Oj, Ox.

– Wszystko w porządku – uspokoilem ją. – Napisałem całą resztę.

– Dajesz słowo?

– Tak.

Uwierzyła mi, bo jej nie okłamałem.

– Głodny?

– No. Mógłbym prosić o...?

Rozbrzmiał dźwięk dzwonka nad drzwiami. Do środka wszedł mężczyzna. Odniosłem niejasne wrażenie, że skądś go znam, ale nie potrafiłem sobie przypomnieć, gdzie mogłem go wcześniej widzieć. Był w wieku Gorda i wyglądał na silnego. Był duży. Miał bujną jasną brodę. Przeciągnął dłonią po gładko ogolonej głowie. Zamknął oczy i wziął głęboki wdech. Powoli wypuścił powietrze z płuc. Otworzył oczy, a ja mógłbym przysiąc, że się zaświeciły. Ale po chwili znów widziałem tylko błękit.

– Daj mi chwilę, Ox – powiedziała mama. Poszła porozmawiać z przybyszem, a ja bardzo się starałem, żeby się na niego nie gapić. Owszem, był nieznajomy, ale chodziło o coś jeszcze. Myślałem o tym, popijając kawę.

Mężczyzna usiadł w boksie obok mojego. Twarzą do mnie. Uśmiechnął się do mnie przelotnie. Miał miły uśmiech, taki radosny, ukazujący wszystkie zęby. Mama wręczyła mu kartę dań i powiedziała, że zaraz wróci. Widziałem, jak Jenny wygląda z kuchni i przygląda się nieznajomemu. Podciągnęła cycki do góry, przeczesła włosy palcami i chwyciła dzbanek z kawą.

– Ja się nim zajmę – burknęła pod nosem. Mama przewróciła oczami.

Jenny była czarująca. Mężczyzna uśmiechnął się do niej uprzejmie. Jenny dotknęła jego dłoni, leciutko przejechała po niej paznokciami. Mężczyzna zamówił zupę. Jenny się zaśmiała. Mężczyzna poprosił o śmietankę i cukier do kawy. Jenny się przedstawiła. Mężczyzna poprosił o jeszcze jedną serwetkę. Jenny odeszła od stolika. Wyglądała na nieco zawiedzioną.

– Posiłek i przedstawienie – wymruczałem. Facet uśmiechnął się do mnie, jakby mnie usłyszał.

– Już wiesz, co byś zjadł, młody? – spytała mama, kiedy wróciła do stolika.

– Hamburgera.

– Już się robi, przystojniaku.

Uśmiechnąłem się, bo ją uwielbiałem.

Mężczyzna przyglądał się jej, kiedy odchodziła. Nozdrza mu się rozszerzyły. Przeniósł wzrok na mnie. Przekrzywił głowę. Jego nozdrza ponownie się rozszerzyły. Zupełnie jakby... węszył? Obwąchiwał? Skopiowałem jego zachowanie i też powęszyłem powietrze. Moim zdaniem pachniało tak samo jak zawsze. Facet roześmiał się i potrząsnął głową.

– Nie chodzi o nic złego – powiedział. Miał głęboki, przyjazny głos. Znów błysnęły białe zęby.

– To dobrze – odparłem.

– Jestem Mark.

– Ox.

Uniósł w zdziwieniu brew.

– Doprawdy?

– Mam na imię Oxnard. – Wzruszyłem ramionami. – Ale wszyscy mówią na mnie Ox.

– Ox – powtórzył. – Silne imię.

– Silne jak wół? – podsunąłem.

Zaśmiał się.

– Często to słyszysz?

– Chyba tak.

Mężczyzna wyjrzał przez okno.

– Podoba mi się tutaj.

Jego słowa niosły ze sobą o wiele więcej treści, niż się wydawało, ale nie potrafiłem rozszyfrować ich znaczenia.

– Mnie też. Ale mama mówi, że ludzie nie zagrzewają tutaj miejsca.

Mark powiedział:

– Ty tutaj jesteś. – Zabrzmiało to przenikliwie.

– Jestem.

– To twoja mama? – Kiwnął głową w stronę kuchni.

– No.

– W takim razie ona także tu została. Może i większość wyjeżdża, ale niektórzy zostają. – Spuścił wzrok i spojrzał na swoje dłonie. – A może niektórzy mogliby wrócić.

– W sensie: do domu? – spytałem.

Na jego usta powrócił ten uśmiech.

– Tak, Ox, wrócić do domu. To... tutaj właśnie tak pachnie.

Pachnie domem.

– Ja czuję tylko smażony boczek – odparłem z zakłopotaniem.

Mark się roześmiał.

– Wiem. Jest taki budynek. W lesie. Na końcu ulicy McCarthy'ego.

Teraz stoi pusty.

– Wiem, o który chodzi! Mieszkam tuż obok.

Pokiwał głową.

– Tak mi się właśnie zdawało. To by tłumaczyło, dlaczego pach...

Wróciła Jenny. Przyniosła mu zupę. Mark znów zachowywał się uprzejmie, ale nic ponadto. Inaczej niż wobec mnie.

Otworzyłem usta, żeby zapytać go o coś (o cokolwiek), ale moja mama wróciła z kuchni.

– Pozwól klientowi zjeść – zrugła mnie, gdy postawiła przede mną talerz. – To nieuprzejme tak przeszkadzać człowiekowi przy obiedzie.

– Ale ja...

– On nic nie zrobił – wtrącił się Mark. – To ja byłem wścibski.

Mama spojrzała na niego nieufnie.

– Skoro pan tak mówi.

Mark pokiwał głową i zabrał się za jedzenie zupy.

– Zostań tutaj, dopóki nie skończę pracy – nakazała mi mama. – Nie chcę, żebyś wracał do domu piechotą w taką pogodę. Do szóstej nie zostało już dużo czasu. Może później obejrzymy jakiś film?

– W porządku. Obiecałem Gordowi, że jutro zjawię się w warsztacie z samego rana.

– Nie dadzą nam odpocząć, co? – Pocałowała mnie w czoło i zostawiła mnie z moją kolacją.

Chciałem zadać Markowi więcej pytań, ale przypomniałem sobie o dobrych manierach, więc zamiast tego zabrałem się za burgera. Był delikatnie zwęglony, dokładnie taki, jak lubię.

– Gordo? – powiedział Mark. Zabrzmiało to niemal jak pytanie, ale też tak, jakby smakował imię językiem. Uśmiechał się teraz smutno.

– Mój szef. Właściciel warsztatu samochodowego.

– O – powiedział Mark. – Kto by pomyślał?

– Co by pomyślał?

– Pamiętaj, żeby się jej trzymać – odparł bez związku. – Swojej mamy.

Podniosłem na niego wzrok. Wyglądał na zasmuconego.

– Zostaliśmy tylko we dwoje – powiedziałem cicho, jakbym zdradzał mu wielką tajemnicę.

– W takim razie tym bardziej. Ale sytuacja się zmieni. Tak sędzę. Dla ciebie i dla niej. Dla nas wszystkich. – Otarł usta, wyciągnął portfel, wyjął z niego złożony banknot i położył go na stole. Wstał i naciągnął płaszcz na ramiona. Zanim wyszedł, obdarzył mnie spojrzeniem. – Wkrótce się z tobą spotkamy, Ox.

– Kto?

– Moja rodzina.

– Chodzi o tamten budynek?

Pokiwał głową.

– Myślę, że nadchodzi czas, by wrócić do domu.

– Czy moglibyśmy... – Urwałem, bo byłem tylko dzieciakiem.

– O co chodzi, Ox? – Wyglądał na zaintrygowanego.

– Czy moglibyśmy zostać przyjaciółmi, kiedy wrócisz do domu?

Nie mam ich zbyt wielu. – Właściwie nie miałem żadnych przyjaciół poza Gordem i mamą, ale nie chciałem go odstraszyć.

Ręce, które trzymał wzdłuż ciała, zacisnęły się w pięści.

– Niezbyt wielu? – dopytywał.

– Za wolno mówię – odparłem i spuściłem wzrok na swoje dłonie. – Albo wcale. Ludziom się to nie podoba. – A może to mnie nie lubią, ale nie dodałem tego na głos. Już i tak powiedziałem za dużo.

- Nie ma nic złego w sposobie, w jaki mówisz.
 - No może. – Skoro przynajmniej niektóre osoby tak twierdzą, to musi to chociaż częściowo być prawda.
 - Ox, zdradzę ci tajemnicę, dobrze?
 - Pewnie. – Czułem się podekscytowany, bo przyjaciele dzielą się sekretami, więc to mogło oznaczać, że jesteśmy przyjaciółmi.
 - Często to ci, którzy są najcichsi, mają do powiedzenia najwspanialsze rzeczy. I tak, myślę, że zostaniemy przyjaciółmi.
- Po tych słowach wyszedł. Nie widziałem swojego nowego przyjaciela przez następne siedemnaście miesięcy.
-

Tamtej nocy, kiedy leżałem w łóżku i czekałem na nadejście snu, z głębi lasu dobiegło mnie wycie. Wzniosło się niczym pieśń, aż nabrałem pewności, że już nigdy nie zapragnę zaśpiewać nic innego. Pieśń trwała i trwała, a moje myśli krążyły wokół jednego: d o m, d o m, d o m. W końcu ucichła, a ja zasnąłem. Wmówiłem sobie później, że to był tylko sen.

– Trzymaj – powiedział Gordo w dniu moich piętnastych urodzin. Wcisnął mi w dłonie kiepsko zapakowaną paczkę. Na papierze widniały bałwanki. Byli tam też pozostali chłopacy z warsztatu. Rico. Tanner. Chris. Wszyscy młodzi, naiwni i pełni życia. Przyjaciele Gorda, którzy dorastali razem z nim w Green Creek. Wszyscy szczerzyli do mnie zęby w uśmiechu, czekali. Jakby znali jakąś wielką tajemnicę, o której ja nie miałem pojęcia.

– Przecież jest maj – zauważyłem.

Gordo przewrócił oczami.

– No otwórz to cholerstwo. – Rozparł się w podniszczonym krześle stojącym w pomieszczeniu na tyłach warsztatu i pociągnął długiego macha z papierosa. Jego tatuaże wydawały się jaskrawsze niż zazwyczaj. Zastanawiałem się, czy nie poprawił ich ostatnio.

Rozdarłem papier. Zaszleścił głośno. Chciałem rozkoszować się tą chwilą, bo nieczęsto dostawałem prezenty, ale nie mogłem się doczekać. Zajęło mi to tylko chwilę, lecz zdawało mi się, że całą wieczność.

– To – powiedziałem, kiedy zobaczyłem, co było w środku. – To jest...

To był wyraz szacunku. To była łaska. To było piękno. Zastanawiałem się, czy to oznacza, że będę mógł w końcu odetchnąć. Jakbym wreszcie znalazł swoje miejsce w świecie, którego nie rozumiałem.

Haft. Czerwień. Biel. Błękit. Dwie litery wyszyte idealnym ścięciem. Napis na koszuli roboczej głosił: „Ox”. Jakbym się liczył. Jakbym coś znaczył. Jakbym był ważny. Mężczyźni nie płaczą. Tego nauczył mnie tatko. Mężczyźni nie płaczą, bo nie mają na to czasu. Najwidoczniej nie byłem jeszcze mężczyzną, bo się rozplakałem. Pochyliłem głowę i zacząłem płakać.

Rico dotknął mojego ramienia. Tanner pogłaskał mnie po głowie. Chris przytknął stopę obutą w roboczy kamasz do mojej. Stanęli wokół mnie. Pochylali się nade mną. Skrywali mnie, na wypadek gdyby ktoś niespodziewanie wpadł do warsztatu i zobaczył łzy. A Gordo przytknął swoje czoło do mojego i powiedział:

– Teraz należysz do nas.

Coś we mnie rozkwitło i zrobiło mi się ciepło. Jakby słońce wybuchło w mojej piersi. Poczujęm się bardziej żywy, niż czułem się od dłuższego czasu.

Później chłopacy pomogli mi założyć koszulę. Leżała idealnie.

Któregoś dnia tamtej zimy poszedłem z Gordem na przerwę na papierosa.

– Mógłbym jednego zapalić?

Wzruszył ramionami.

– Nie mów mamie. – Otworzył paczkę i wyciągnął dla mnie papierosa. Uniósł zapalniczkę i osłonił dłonią płomień od wiatru. Włożyłem fajkę między wargi i zbliżyłem ją do ognia. Zaciągnąłem się. Paliło. Rozkaszałem się. Oczy mi załzawiły, a z nosa i ust buchnął szary dym. Drugie sztachnięcie poszło łatwiej. Chłopacy się śmiali. Pomyślałem, że może jesteśmy przyjaciółmi.

Czasami wydawało mi się, że śnię, ale potem zdawałem sobie sprawę, że wcale nie śpię. Budzenie się przychodziło mi z coraz większym trudem.

Cztery miesiące później Gordo zmusił mnie, żebym rzucił palenie. Powiedział, że to dla mojego dobra. Odparłem, że to dlatego, że nie chce, żebym mu dłużej podbierał szlugi. Trzepnął mnie w tył głowy i kazał zabrać się za robotę. Od tamtego czasu nie paliłem. Wszyscy wciąż się przyjaźniliśmy.

Zapytałem kiedyś Gorda o jego tatuaże. Kształty. Wzory. Jakby stał za nimi jakiś zamysł. Żywe barwy i dziwne symbole, które sądziłem, że powinienem znać. Jak słowo, które się ma na końcu

języka. Wiedziałem, że ciągną się wzdłuż całych jego ramion. Nie miałem pojęcia, gdzie się kończą. Odparł:

– Każdy ma jakąś przeszłość, Ox.

– Czy one są twoją?

Odwrócił wzrok.

– Coś w tym stylu.

Zastanawiałem się, czy ja kiedykolwiek wyryję swoją przeszłość na własnej skórze za pomocą zawijasów, kolorów i kształtów.

W dniu moich szesnastych urodzin wydarzyły się dwie rzeczy. Zostałem oficjalnie zatrudniony w warsztacie Gorda. Dostałem wizytówki i w ogóle. Wypełniłem druk zeznania podatkowego, z którym Gordo mi pomagał, bo nic a nic z niego nie rozumiałem. Tym razem się nie popłakałem. Chłopacy pokleпали mnie po plecach i rzucili kilka żartów na temat tego, że wreszcie przestali pracować w zakładzie wykorzystującym do pracy dzieci. Gordo dał mi mój własny komplet kluczy do warsztatu i wysmarował twarz towotem. W odpowiedzi tylko się do niego wyszczerzyłem. Chyba nigdy wcześniej nie widziałem go tak szczęśliwego.

Tamtego popołudnia wróciłem do domu i powiedziałem sobie, że od teraz jestem mężczyzną. A potem wydarzyła się druga rzecz. Pusty dom na końcu ulicy już nie był pusty, a na gruntowej drodze w lesie stał jakiś chłopiec.

tornado / bańki mydlane

Szedłem ulicą w stronę domu. Było ciepło, więc zdjąłem koszulę roboczą. Zostałem w białej koszulce bez rękawów. Wiaterek chłodził moją skórę. Klucze do warsztatu ciążyły mi w kieszeni. Wyciągnąłem je i przyjrzałem się im. Nigdy wcześniej nie miałem aż tylu kluczy. Czułem się za coś odpowiedzialny. Wsadziłem pęk z powrotem do kieszeni. Nie chciałem ryzykować, że je zgubię. I wtedy on zawołał:

– Hej! Hej tam! Ty! Hej, koleś!

Podniosłem wzrok. Pośrodku gruntowej drogi stał chłopiec, obserwował mnie. Nos mu drgał, a oczy miał szeroko otwarte. Były niebieskie i bystre. Dzieciak miał krótkie blond włosy. Skórę opaloną niemal tak mocno jak moja. Był młody i drobny, a ja zacząłem się zastanawiać, czy znów śnię.

– Cześć – przywitałem się.

– Kim jesteś? – spytał.

– Jestem Ox.

– Ox? Ox! Czujesz to?

Powęszyłem w powietrzu. Nie czułem nic oprócz zapachu lasu.

– Czuję drzewa – powiedziałem.

Pokręcił głową.

– Nie, nie, nie. To coś w i ę k s z e g o.

Podszedł do mnie, coraz szerzej otwierając oczy. I wtedy rzucił się do biegu.

Nie był duży. Nie mógł mieć więcej niż dziewięć, dziesięć lat. Kiedy się zderzył z moimi nogami, zrobiłem ledwie krok w tył. Chłopak zaczął się po mnie wspinać. Zahaczał nogami o moje uda i podciągał się, aż zarzucił mi ramiona na szyję i znalazł się ze mną twarzą w twarz.

– To ty!

Nie wiedziałem, co się dzieje.

– Co: ja?

Tkwił teraz w moich ramionach. Nie chciałem, żeby spadł. Chwycił moją twarz w dłonie i ścisnął policzki.

– Dlaczego tak pachniesz? – zażądał odpowiedzi. – Skąd się tu wzięłeś? Mieszkasz w lesie? Czym jesteś? Dopiero przyjechaliśmy. N a r e s z c i e. Gdzie znajduje się twój dom? – Przytknął swoje czoło do mojego i wziął głęboki wdech. – Nie łapię tego! – wykrzyknął. –

Co to jest? – Po chwili już wspinał się na moje barki, wciskając mi nogi w klatkę piersiową i szyję, aż wdrapał się na plecy, oplótł szyję rękami i oparł brodę na ramieniu. – Musimy iść spotkać się z moimi rodzicami – powiedział. – Mama i tata będą wiedzieli, o co chodzi. Oni wiedzą w s z y s t k o.

Dzieciak był niczym tornado złożone z palców, stóp i słów. A ja znalazłem się w oku cyklonu. Wplątał mi dłonie we włosy i pociągnął głowę do tyłu, po czym powiedział, że mieszka w domu na końcu ulicy. Że przyjechali dopiero dzisiaj. Że przeprowadził się z bardzo daleka. Że jest mu smutno, bo musiał zostawić przyjaciół. Że ma dziesięć lat. Że ma nadzieję, że jak dorośnie, to będzie taki duży jak ja. Spytał, czy lubię komiksy. Czy smakuje mi purée

ziemniaczane. Kto to jest Gordo. Czy czasami zdarza mi się naprawiać ferrari. Czy wysadziłem kiedykolwiek samochód w powietrze. On chciałby zostać astronautą. Albo archeologiem. Ale nie może zostać nikiem takim, bo pewnego dnia będzie musiał zostać przywódcą. Po tym, jak to powiedział, zamilkł na chwilę. Wbił mi kolana w boki. Złapał mnie dłońmi za szyję. Już sam jego ciężar był dla mnie niemal nie do zniesienia.

Doszliśmy do mojego domu. Kazał mi się zatrzymać, żeby mógł mu się przyjrzeć. Nie zszedł mi z pleców. Zamiast tego podsadziłem go wyżej, żeby lepiej widział.

– Masz własny pokój? – spytał.

– Tak. Teraz mieszkam sam z mamą.

Milczał. Po chwili powiedział:

– Przykro mi.

Dopiero co się poznaliśmy. Nie miał powodów, by było mu przykro.

– Z jakiego powodu?

– Bo coś cię zasmuciło. – Jakby wiedział, o czym myślę. Jakby wiedział, co czuję. Jakby tam był, prawdziwy.

– Miewam sny – powiedziałem. – Czasami mam wrażenie, że to jawa. A po chwili już nie jest.

A on odparł:

– Teraz nie śpisz. Ox, Ox, Ox. Nie rozumiesz?

– Co mam rozumieć?

Wyszeptał w odpowiedzi, jakby powiedzenie tego chociaż odrobinę głośniej mogło sprawić, że przestanie to być prawdą:

– Mieszkamy tak blisko siebie.

Odwróciliśmy się w stronę domu stojącego na końcu ulicy.

Popołudnie miało się ku końcowi. Cienie zaczęły się wydłużać. Szliśmy pomiędzy drzewami, a przed nami widać było światła. Jaskrawe światła. Sygnał naprowadzający kogoś do domu.

Trzy auta. Jeden SUV. Dwie ciężarówki. Wszystkie pojazdy młodsze niż rok. Wszystkie z tablicami rejestracyjnymi stanu Maine. Dwie ciężarówki do przeprowadzek o długości ponad dziewięciu metrów. No i ludzie. Wszyscy stali. Obserwowali. Czekali. Jakby wiedzieli, że nadchodzimy. Jakby usłyszeli nas z bardzo daleka.

Dwie osoby były młodsze. Jeden chłopak w moim wieku. Drugi może ciut młodszy od niego. Obaj jasnowłosi i drobniejsi ode mnie, ale niewiele. Mieli niebieskie oczy i zaciekawienie wymalowane na twarzach. Wyglądali zupełnie jak tornado na moich plecach.

Była tam też kobieta. Starsza. O tym samym ubarwieniu co pozostali. Nosiła się po królewsku, a ja zastanawiałem się, czy kiedykolwiek widziałem piękniejszą osobę. Patrzyła na mnie uprzejmie, ale i ostrożnie. Była spięta, jakby w każdej chwili gotowa do ruchu. Obok niej stał mężczyzna. Był ciemniejszy od reszty grupy, bardziej podobny do mnie niż pozostali. Wyglądał groźnie i niepokojąco i choć nigdy wcześniej go nie widziałem, w mojej głowie kołatało się tylko jedno słowo: szacunek, szacunek, szacunek. Jedną rękę trzymał na plecach kobiety. A obok nich stał... och!

– Mark – odezwałem się. Wyglądał dokładnie tak samo.

Mark wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Ox. Jak miło znów cię widzieć. Widzę, że zyskałeś nowego przyjaciela. – Wyglądał na zadowolonego.

Chłopiec na moich plecach zaczął się wiercić, żeby zejść. Kiedy puściłem jego nogi, zeskoczył za mną na ziemię. Złapał mnie za rękę i pociągnął w stronę pięknych ludzi, jakbym miał prawo tam być. Znow zaczął się kręcić niczym tornado, jego głos to wznosił się, to opadał, a słowa były akcentowane silnie, lecz bez ładu i składu.

– Mamo! M a m o. Musisz go p o w ą c h a ć! Pachnie jak... j a k... Nawet nie wiem jak co! Chodziłem po lesie, patrolowałem nasze terytorium, żebym mógł być jak tata, i nagle... r a n y! On tam stał i z początku w ogóle mnie nie zauważył, bo robię się c o r a z lepszy w polowaniu. Pomyślałem: „wrrr” i „grrr”, ale potem znow to poczułem i to był o n, no i b u m! A ja nawet nie wiem! No nie wiem, no! Musicie go p o w ą c h a ć i powiedzieć mi, dlaczego pachnie laskami cukrowymi i sosnowymi szyszkami, tak epicko i kapitalnie.

Wszyscy wpatrywali się w niego, jakby natknęli się na coś, czego się nie spodziewali. Na twarzy Marka malował się tajemniczy uśmiech, który zakrywał dłonią.

– Doprawdy? – odezwała się w końcu kobieta. Jej głos drżał, jakby był czymś kruchym. – „Wrrr”, „grrr” i „bum”?

– I t e z a p a c h y! – wykrzyknął chłopak.

– Nie możemy o nich zapominać – powiedział cicho stojący obok kobiety mężczyzna. – Laski cukrowe, sosnowe szyszki, epickie i kapitalne.

– A nie mówiłem? – zwrócił się do nich Mark. – O x j e s t... inny.

Nie miałem pojęcia, o co chodzi. Ale dla mnie nie było to nic nowego. Zastanawiałem się, czy coś przeskrobałem. Czułem się podle. Próbowałem wyszarpnąć dzieciakowi rękę, ale nie chciał mnie puścić.

– Hej – powiedziałem mu.

Obejrzał się na mnie. Błękitne oczy były wielkie jak spodki.

– Ox – rzucił. – Ox, m u s z ę ci pokazać różne rzeczy!

– Jakie rzeczy?

– Na przykład... Nie wiem... – bełkotał. – No, w s z y s t k o.

– Dopiero co przyjechaliście – odparłem. Czułem się nie na miejscu. – Nie musicie...? – Nie wiedziałem, co chcę powiedzieć. Słowa mnie zawodziły. Właśnie dlatego nie rozmawiałem z ludźmi. Tak było łatwiej.

– Joe – powiedział mężczyzna. – Daj Oxowi chwilę, dobrze?

– Ale, t a t o...

– Josephie. – Zabrzmiało to prawie jak warknięcie.

Chłopak (J o e, pomyślałem, J o s e p h) westchnął i puścił moją dłoń. Cofnąłem się o krok.

– Przepraszam – powiedziałem. – On tam po prostu był, nie miałem złych zamiarów.

– W porządku, Ox – powiedział Mark i zszedł z werandy. – To chyba trochę... za dużo.

– Jakie „to”? – spytałem.

Wzruszył ramionami.

– Życie.

– Powiedziałeś, że możemy zostać przyjaciółmi.

– Zgadza się. Powrót zajął nam trochę dłużej, niż sądziłem. – Za jego plecami kobieta pochyliła głowę, a mężczyzna odwrócił wzrok. Dłoń Joego powoli wślizgnęła się w moją, a ja zorientowałem się, że coś stracili, chociaż nie wiedziałem co. Ani nawet skąd to wiem.

– To jest Joe – powiedział Mark, przełamując nagłą ciszę. – Ale to już chyba wiesz.

– Chyba – odparłem. – Nie przedstawił mi się. Za dużo gadał.

Wzrok wszystkich znów skierował się na mnie.

– Wcale że nie gadałem za dużo – sarknął Joe. – To ty za dużo gadasz. Tą swoją twarzą – stwierdził, ale nie opuścił mojego boku. Rozkopywał trampkami ziemię. W jednym z jego butów poluzowała się i prawie rozwiązała sznurówka. Na mniszku lekarskim siedziała biedronka, czerwień czerń i żółcień. Wietrzyk zawiał i odleciał.

– Joe – powiedziałem, wypróbowując brzmienie imienia.

Popatrzył na mnie i wyszczerzył w uśmiechu wszystkie zęby.

– Cześć, Ox. Ox! Muszę ci coś... – Urwał i posłał ojcu ukradkowe spojrzenie, po czym ponownie westchnął. – W porządku – powiedział, a ja nie wiedziałem komu.

– A to jego bracia – Mark kontynuował prezentację. – Carter. – Wskazał na chłopaka w moim wieku, który uśmiechnął się do mnie szeroko. Pomachałem mu. – Kelly. – To był ten młodszy. W wieku gdzieś pomiędzy Carterem a Joem. Kelly skinął mi głową. Wyglądał na nieco znudzonego.

Pozostały jeszcze dwie osoby. Nie bałem się ich, chociaż wydawało mi się, że powinienem. Czekałem, aż Mark ich przedstawi, ale on milczał. W końcu kobieta powiedziała:

– Ciekawy z ciebie okaz, Ox.

– Tak, proszę pani – odparłem, bo mama nauczyła mnie szacunku do starszych.

Kobieta zaśmiała się. Jej śmiech wydał mi się piękny.

– Jestem Elizabeth Bennett, a to mój mąż, Thomas. Jego brata, Marka, już poznałeś. Wygląda na to, że będziemy sąsiadami.

– Miło mi państwa poznać – powiedziałem, bo mama nauczyła mnie dobrych manier.

– A co z poznaniem m n i e? – zapytał Joe, ciągnąc mnie za rękę.
Spojrzałem w dół na niego.

– Ciebie również miło mi poznać.

Uśmiech powrócił.

– Zechciałbyś zostać na kolację? – spytał Thomas, przyglądając mi się uważnie.

Pomyślałem jednocześnie „tak” i „nie”. Aż mnie od tego głowa rozboleła.

– Mama niedługo wraca do domu. Jemy wieczorem razem kolację, bo mam dzisiaj urodziny. – Skrzywiłem się. Nie miałem zamiaru tego mówić.

Joe wziął gwałtowny oddech.

– Co? Dlaczego mi nie powiedziałaś! Mamo! Dzisiaj są jego urodziny!

W głosie Elizabeth słysząc było rozbawienie, kiedy stwierdziła:

– Stoję tuż obok, Joe. Słyszałam. Wszystkiego najlepszego, Ox. Ile lat kończysz?

– Szesnaście. – Wszyscy wciąż się we mnie wpatrywali. Po karku spływały mi strużki potu. Powietrze było gorące.

– Fajnie – powiedział Carter. – To tak jak ja.

Joe posłał mu gniewne spojrzenie i obnażył zęby.

– Ja go pierwszy znalazłem. – Stał przede mną, jakby chciał odciąć mnie od brata.

– Wystarczy – wtrącił się ich ojciec. Tembr jego głosu wydawał się nieco głębszy.

– Ale... a l e...

– Hej – powiedziałem do Joego.

Chłopak popatrzył na mnie sfrustrowany.

– Wszystko gra – kontynuowałem. – Słuchaj taty.

Joe westchnął, pokiwał głową i znów ścisnął moją dłoń. Sznurówka mu się rozwiązała, kiedy kopnął mlecz.

– Mam dziesięć lat – wymamrotał w końcu. – Wiem, że jesteś stary, ale to ja cię pierwszy znalazłem, więc najpierw musisz zostać moim przyjacielem. Przepraszam, tato.

A potem dodał:

– Ja tylko chcę dać ci jakiś prezent.

Wobec czego ja powiedziałem:

– Już to zrobiłeś. – Chyba nigdy wcześniej nie widziałem uśmiechu tak szerokiego jak ten, którym obdarzył mnie w tamtej chwili Joe.

Wtedy się pożegnałem. Wiedziałem, że przyglądali mi się, kiedy odchodziłem.

– Ktoś się tam wprowadził? – spytała mama po powrocie do domu.

– No. Bennettowie.

– Poznałeś ich? – W jej głosie brzmiało zaskoczenie. Wiedziała, że nie rozmawiam z ludźmi, jeśli mogę tego uniknąć.

– Taa.

Czekała.

– No i?

Podniosłem wzrok znad podręcznika do historii. W przyszłym tygodniu miały się odbyć egzaminy końcowe, a mnie czekały jeszcze sprawdziany, na które nie byłem przygotowany.

– Co: „no i”?

Przewróciła oczami.

– Są mili?

– Tak mi się wydaje. Mają... – Zastanawiałem się, co właściwie mieli.

– Co?

– Dzieci. Jedno jest w moim wieku. Pozostałe są młodsze.

– A skąd ten uśmiech?

– Przez tornado – powiedziałem, choć nie miałem takiego zamiaru.

Mama pocałowała mnie w głowę.

– A ja już myślałam, że jak zrobisz się starszy, to będziesz mówił z większym sensem. Wszystkiego najlepszego, Ox.

Tamtego wieczoru zjedliśmy razem kolację. Klops. Moje ulubione danie, specjalnie dla mnie. Razem się śmialiśmy. Nie robiliśmy tego od dłuższego czasu. Mama dała mi prezent zawinięty w komiksy z niedzielnego wydania gazety. Instrukcję napraw buicka z 1940 roku, starą i podniszczoną. Książka miała pomarańczową okładkę. Pachniała stęchlizną i była cudowna. Mama powiedziała, że jak tylko ją zobaczyła w Goodwill[5], od razu o mnie pomyślała.

W paczce znalazłem też nowe spodnie do pracy. Stare zaczynały się już rozlatywać. Była tam też kartka okolicznościowa. Z przodu był wilk wyjący do księżycy, a w środku dowcip: „Jak się nazywa sierść wilka? Wilkokłaki!”. Pod spodem mama napisała siedem słów: „Ten rok będzie lepszy. Kocham Cię, Mama”. Dookoła słowa „kocham” narysowała serduszka, małe wiotkie kształty, które – jak przypuszczałem – odfrunęłyby w dal, gdyby porwał je mój oddech.

Pozmywaliśmy naczynia przy muzyce płynącej z jej starego radia, które stało w otwartym oknie nad zlewem. Mama podśpiewywała cicho i co jakiś czas ochlapywała mnie wodą, a ja zastanawiałem się,

dlaczego pachnę laskami cukrowymi i sosnowymi szyszkami. Dlaczego pachnę epicko i kapitalnie.

Na nosie mamy osiadła bańka mydlana. Mama powiedziała mi, że ja mam jedną na uchu. Chwyciłem ją za rękę i obróciłem, kiedy muzyka nabrała tempa. Oczy błyszczały jej jasno, gdy mówiła:

– Pewnego dnia sprawisz, że ktoś stanie się bardzo szczęśliwy. A ja nie mogę się doczekać tej chwili.

Gdy położyłem się do łóżka, zobaczyłem przez okno światła zapalone w domu na końcu ulicy. Pomyślałem o nich. O Bennettach.

„Ktoś”, powiedziała mama. „Sprawisz, że ktoś stanie się bardzo szczęśliwy”. Nie „jakaś kobieta”. Ktoś.

Zamknąłem oczy i zasnąłem. Śniły mi się tornada.

wilk z kamienia / Dinah Shore[6]

Kiedy następnego dnia przyszedłem do pracy, Rico powiedział:

– Nieźle wyglądasz, *papi*[7]. Czemu zawdzięczasz ten sprężysty krok?

Była niedziela, dzień pański, jak mnie uczono, ale stwierdziłem, że Pan nie ma nic przeciwko temu, bym przychodził do tego kościoła zamiast do jednego z jego miejsc kultu. Wiary nauczyłem się w warsztacie Gorda.

– To pewnie sprawka jakiejś ślicznotki – krzyknął Tanner pochylony nad wnętrzem jednego z tych niedorzecznych SUV-ów, które można odpalić za pomocą głosu. – Nasz Ox to już prawdziwy mężczyzna. Czyżbyś wczorajszej nocy zaliczył jakąś szesnastoletnią nieznajomą?

Byłem przyzwyczajony do ich nieokrzesanego zachowania. Wiedziałem, że nie chcą mnie zranić. Co nie powstrzymało moich policzków przed oblaniem się wściekłym szkarłatem.

– Nie – odparłem. – To wcale nie tak.

– Aha – powiedział Rico, podkradłszy się do mnie, i poruszył biodrami w obscenicznym geście. – Spójrzcie tylko na ten rumieniec. – Przeczesał mi włosy palcami i potarł kciukiem małżowinę ucha. – Ładna jest, *papi*?

– Nie ma żadnej dziewczyny.

– Aha. Czyli chodzi o chłopaka, tak? W *Casa de Gordo*[8] nikogo nie dyskryminujemy.

Odepchnąłem go, a on zaśmiewał się do rozpuku.

– Co z Chrisem? – spytałem.

– Pojechał do matki – odparł Tanner. – Znów ma problemy z żołądkiem.

– Wszystko z nią w porządku?

Rico wzruszył ramionami.

– Może. Jeszcze nie wiemy.

– Ox! – zawołał mnie Gordo, który siedział w biurze. – Przywlec tu swoje tłuste dupsko!

– Oye[9] – powiedział Rico i delikatnie się uśmiechnął. – Uważaj na siebie, *papi*. Ktoś wstał dziś z łóżka lewą nogą.

Właśnie taki wydawał się dziś Gordo. Głos miał znużony i chrapliwy. Zmartwiłem się. Nie sobą. Nim.

– Po prostu jest wkurzony, bo Ox musi w przyszłym tygodniu wziąć wolne ze względu na szkołę – wymamrotał Tanner. – A wiecie, jak on się zachowuje, kiedy Oxa nie ma w warsztacie.

Poczułem się okropnie.

– Może mógłbym...

– Zamknij japę – nakazał Rico i przycisnął palce do moich warg. Poczułem smak oleju silnikowego. – Ty musisz się teraz skupić na szkole, a Gordo musi się z tym pogodzić. Wykształcenie jest ważniejsze niż jego wkurw. Jasne?

Pokiwałem głową, a on opuścił dłoń.

– Damy sobie radę – dodał Tanner. – Po prostu pozdawaj wszystkie testy, a będziemy cię mieć przez całe lato, okej?

– Ox!

Rico burknął po hiszpańsku coś, co zabrzmiało, jakby wyzywał Gorda od pierdolonego ciula z dyktatorskimi zapędami. Już wcześniej zdążyłem się zorientować, że jestem biegły w podłapywaniu przekleństw po hiszpańsku.

Poszedłem na tył warsztatu, gdzie Gordo siedział w swoim biurze. Brwi miał złączone w pojedynczą kreskę i pisał na komputerze, używając tylko jednego palca, jak to on. Tanner twierdził, że wali w klawiaturę jak dzięcioł dziobem w pień drzewa. Gorda to nie śmieszyło.

– Zamknij drzwi – nakazał, nie podnosząc na mnie wzroku.

Zrobiłem, o co prosił, i usiadłem po drugiej stronie biurka. Nie odzywał się, więc doszedłem do wniosku, że to ja powinienem zacząć rozmowę. Czasem Gordo zachowywał się w taki sposób.

– Wszystko gra?

Spojrzał spode łba na ekran.

– Tak, w porządku.

– Dziwne, bo wyglądasz na strasznie niespokojnego.

– Nie jesteś wcale zabawny, Ox.

Wzruszyłem ramionami. Nic się nie stało. Wiedziałem przecież, że nie jestem.

Gordo również wzruszył ramionami i potarł dłonią twarz.

– Przepraszam – wymamrotał.

– Nie szkodzi.

W końcu podniósł na mnie wzrok.

– W przyszłym tygodniu nie chcę cię tu widzieć.

Starłem się nie wyglądać na urażonego, ale chyba nie poszło mi za dobrze.

– W porządku.

Uderzyły go moje słowa.

– O Jezu, Ox, nie o to chodzi. W przyszłym tygodniu masz testy końcowe.

– Wiem.

– I wiesz też, że zgodnie z umową, którą zawarłem z twoją mamą, możesz u mnie pracować tylko pod warunkiem, że nie ucierpią na tym twoje stopnie.

– W i e m. – Odczuwałem irytację i było to po mnie widać.

– Nie chcę... po prostu... – Jęknął i rozparł się w fotelu. – Jestem w tym do niczego.

– W czym?

Wskazał dłonią najpierw na siebie, potem na mnie.

– No, w t y m w s z y s t k i m.

– Nieźle ci idzie – powiedziałem cicho. To wszystko. Bycie moim bratem, może nawet ojcem. Nie rozmawialiśmy o tym. Nie musieliśmy. Obaj wiedzieliśmy, o co chodzi. Skrępowanie w tym temacie przychodziło nam z większą łatwością. Bo byliśmy facetami.

Gordo przymknął oczy.

– Serio?

– Serio.

– A jakie masz oceny?

– Czwórki. Jedną trójkę.

– Z histy?

– No. Pieprzony Stonewall Jackson.

Roześmiał się i śmiał się długo i głośno. Choć taka wesołość nie zdarzała mu się często, to zawsze wtedy wybuchał głośnym śmiechem.

- Tylko nie mów tak przy mamie.
- Nigdy w życiu.
- Latem popracujesz na pełen etat?

Wyszczrzyłem się do niego. Nie mogłem się doczekać długich dni.

– No jasne, Gordo.

– Każę ci zapierdalać, aż padniesz ze zmęczenia, Ox. – Zmarszczki na jego czole się wygładziły.

– Mógłbym... mógłbym wpaść w przyszłym tygodniu? – spytałem. – Nie będę... Ja tylko... – Słowa. Słowa były moim wrogiem. No bo jak miałem wyrazić, że to w warsztacie czuję się najbezpieczniej? Że czuję się tam jak w domu? Nikt mnie tam nie osądza. Nikt nie uważa za jebanego debila. Nikt nie twierdzi, że tylko marnuję powietrze albo czyjś czas. Chciałem tyle powiedzieć, chciałem powiedzieć z a d u ż o i w końcu się zorientowałem, że nie potrafię powiedzieć zupełnie nic.

Ale Gordo to Gordo, więc nie musiałem nic mówić. Wyglądał, jakby mu ulżyło, chociaż ton jego głosu pozostawał srogi, żeby mógł zachować pozory.

– Dobrze, ale żadnej pracy. Przychodzisz tu i się uczysz. Żadnego opierdalania się. Mówię poważnie, Ox. Chris albo Tanner pomogą ci z pieprzonym Stonewallem Jacksonem. Znają się na tym gównie lepiej ode mnie. Rica nie pytaj. Bo nic nie zrobisz.

Poczułem, jak zmniejsza się ciężar przygniatający mi pierś.

– Dzięki, Gordo.

Przewrócił oczami.

– Wynocha stąd. Masz robotę do skończenia.

Zasalutowałem mu. Wiedziałem, że tego nie cierpi. A że miałem taki dobry humor, udałem, że nie słyszę, jak mruczy pod nosem:

– Jestem z ciebie dumny, dzieciaku.

Później sobie przypomniałem, że zapomniałem mu opowiedzieć o Bennettach.

Poszedłem do domu. Słońce przeświecało przez gałęzie drzew, malując na mojej skórze drobne cienie liści. Zastanawiałem się, jak stary jest tutejszy las. Wydawał mi się bardzo wiekowy.

Joe czekał na mnie na gruntowej drodze, na której spotkałem go poprzedniego dnia. Wiercił się, a jego oczy były szeroko rozwarte. Ręce trzymał schowane za plecami.

– Wiedziałem, że to ty! – powiedział. Głos miał wysoki, pobrzmiwał w nim triumf. – Robię się coraz lepszy w... – Urwał nagle i kaszlnął. – No, tego... W takich tam różnych rzeczach. Na przykład... w tym, że wiem... kiedy się zbliżasz.

– To dobrze – odparłem. – Szlifowanie umiejętności to fajna sprawa.

Posłał mi olśniewający uśmiech.

– Cały czas je szlifuję. Pewnego dnia zostanę przywódcą.

– Przywódcą czego?

Jego oczy zrobiły się jeszcze okrągłejsze.

– Oj, do dupy.

– Co?

– Eee... Prezenty!

Zmarszczyłem czoło.

– Prezenty?

– No, j e d e n prezent.

– Dla kogo?

– Dla ciebie. – Zmrużył oczy i spojrzał na mnie. – Dla ciebie. – Zaczerwienił się gwałtownie. Rumieniec pokrył plamami jego twarz, aż po linię włosów. Spuścił wzrok na ziemię. – Na urodziny – wymamrotał.

Chłopacy kupowali dla mnie prezenty. Mama mi je kupowała. Ale tak naprawdę nigdy nie dostawałem ich od nikogo innego. Prezenty kupują sobie przyjaciele. Albo rodzina.

– O – powiedziałem. – Wow.

– No. Wow.

– Czy właśnie to chowasz za plecami?

Poczerwieniał jeszcze mocniej i nie chciał na mnie spojrzeć. Kiwnął raz głową.

Słyszałem ptaki, które latały nad naszymi głowami. Ich przeciągłe, głośne nawoływania. Dałem mu tyle czasu, ile potrzebował. Nie trwało to długo. Widziałem, jak nabiera determinacji, dzięki której wyprostował ramiona. Wzniósł wysoko głowę. Ruszył rażno naprzód. Nie wiedziałem, czego przywódcą miał stać się pewnego dnia, ale nie miałem wątpliwości, że świetnie sprawdzi się w tej roli. Miałem nadzieję, że nie zapomni o życzliwości.

Wyciągnął ku mnie rękę. Trzymał w niej czarne pudełko przewiązane cienką niebieską wstążeczką. Z jakiegoś powodu poczułem zdenerwowanie.

– Ja nic dla ciebie nie mam – powiedziałem cicho.

Wzruszył ramionami.

– Przecież to nie moje urodziny.

– A kiedy je obchodzisz?

– W sierpniu. Ale co ty w ogóle... r a n y. No, weź to pudełko!

Zrobiłem, o co prosił. Prezent okazał się cięższy, niż się spodziewałem. Przerzuciłem roboczą koszulę przez ramię, a Joe przysunął się do mnie. Odetchnął głęboko i zamknął oczy. Rozwiązując wstążkę, przypomniałem sobie sukienkę, którą moja mama założyła na pewien piknik tego lata, kiedy skończyłem dziewięć lat. Na rąbku miała przyszyte malutkie kokardki zrobione z kawałków wstążki i mama śmiała się, wręczając mi kanapkę i porcję sałatki ziemniaczanej. Potem położyliśmy się na plecach, ja wskazywałem kształty wypatrzone wśród chmur, a mama powiedziała:

– Uwielbiam takie dni jak dziś.

A ja odparłem:

– Ja też.

Nigdy więcej nie założyła tamtej sukienki. Któregoś dnia spytałam ją o to. Odrzekła, że przez przypadek się podarła.

– On nie chciał – dodała. Poczułem wówczas gniew tak wielki i tak straszny, że nie wiedziałem, co z nim zrobić. W końcu sam minął.

A teraz ta wstążka. Trzymałem ją w dłoni. Była ciepła.

– Czasami ludzie są smutni – powiedział Joe i oparł się czołem o moje ramię. Usłyszałem coś jakby skowyt dochodzący z głębi jego gardła. – A ja nie wiem, jak ten smutek odgonić. Tylko tego zawsze pragnąłem. Sprawić, by zniknął.

Otworzyłem pudełko. W środku leżał kawałek czarnego filcu, ostrożnie włożony i poskładany. Wydawało mi się, że pod nim leży

ukryta wielka tajemnica, i chciałem ją poznać tak bardzo, jak nic innego w całym swoim życiu.

Gdy rozwinąłem filc, wewnątrz znalazłem wilka wyrzeźbionego w kamieniu. Figurka była niezwykle szczegółowa jak na coś tak małego i ciężkiego. Puszysty ogon owijał się wokół ciała zwierzęcia, które przysiadło na tylnych łapach. Trójkątne uszy, które wyglądały tak, jakby miały zaraz zacząć drgać. Łapy o ostrych pazurach i czarnych poduszkach. Głowa przekrzywiona w taki sposób, że odsłaniała szyję. Zamknięte ślepia i pysk zwrócony ku górze, gdy wilk wyśpiewywał pieśń rozbrzmiewającą w mojej głowie. Kamień, z którego wyrzeźbiono figurkę, był ciemny i przemknęło mi przez myśl pytanie, jakiego koloru byłoby zwierzę w prawdziwym życiu. Czy miałoby na łapach białe plamki? Czy miałoby czarne uszy?

Ptaki nad naszymi głowami przestały ćwierkać, a ja zastanawiałem się, czy to możliwe, by świat wstrzymał oddech. Zastanawiałem się nad wagą oczekiwań. Zastanawiałem się nad wieloma rzeczami. Wyjąłem wilka z pudełka. Leżał idealnie w mojej dłoni.

– Joe. – Mój głos brzmiał szorstko.

– No?

– Ty... to dla mnie?

– No tak? – odparł takim tonem, jakby zadawał pytanie. Chwilę później już nieco pewniejszym głosem stwierdził: – No tak.

Zamierzałem mu powiedzieć, że to za dużo, że powinien wziąć figurkę z powrotem. Że nie posiadam nic równie pięknego, co mógłbym mu ofiarować w zamian, bo niczego, co mam, a co jest równie piękne, nie mogę nikomu oddać. Mojej mamy. Gorda. Rica, Tannera i Chrisa. Byli jedynym, co miałem.

Ale Joe się tego spodziewał. Widziałem to. Spodziewał się, że odmówię. Że oddam figurkę i powiem mu, że nie mogę jej przyjąć. Dłonie mu drżały, kolana się trzęsły. Był blady i przygryzał nerwowo dolną wargę. Nie wiedziałem, co innego mógłbym powiedzieć, więc odparłem:

- To najfajniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek dostałem. Dziękuję.
- Naprawdę? – wychrypiał.
- Naprawdę.

I wtedy się roześmiał. Jego głowa kiwała się w przód i w tył, kiedy się śmiał, a ptaki wróciły i śmiały się razem z nim.

Tamtego dnia po raz pierwszy wszedłem do domu na końcu ulicy. Joe wziął mnie za rękę, a potem mówił i mówił, kiedy tak szliśmy i szliśmy. Nie przerwał nawet wtedy, gdy zbliżyliśmy się do mojego domu. Tak po prostu go minęliśmy, nie zrobiwszy nawet jednego kroku w stronę schodków.

Ciężarówki do przeprowadzek zniknęły spod domu Bennettów. Drzwi frontowe były otwarte, a ze środka dobiegała muzyka. Gdy się zatrzymałem, Joe próbował pociągnąć mnie na ganek.

– Co ty robisz? – domagał się wyjaśnień tonem, który potrafiłem już rozpoznać.

Nie do końca wiedziałem. Wydawało mi się nieuprzejme, by tak po prostu wparować do czyjegoś domu. Mama nauczyła mnie dobrych manier. Ale swędziały mnie nawet podeszwy stóp, by zrobić krok w tamtą stronę, a potem kolejny i jeszcze jeden. Często toczyłem wojnę sam ze sobą w kwestii takich drobiazgów. W kwestii

tego, co było dobre, a co złe. Co było do zaakceptowania, a co nie. Gdzie było moje miejsce i czy gdzieś przynależałem.

Czułem się taki mały. Oni byli bogaci. Te samochody. Ten dom. Nawet przez szyby dostrzegałem ładne rzeczy znajdujące się w środku. Kanapy obite ciemną skórą i drewniane meble, które nie były ani porysowane, ani powgniatane. Wszystko wyglądało słodko i czysto i tak cudownie się na to patrzyło. A ja byłem Oxnardem Mathesonem. Miałem brud pod paznokciami. Nosilem ubrania pokryte czarnymi smugami i podrapane robocze buty. Nie miałem za dużo zdrowego rozsądku, a jeśliby wierzyć mojemu tatkowi, w ogóle nie miałem zbyt wielu pozytywnych cech. Myślałem raczej sercem niż głową, no i byłem biedny. Może nie żyliśmy z mamą na koszt państwa, ale niewiele brakowało. Nie potrafiłem znieść myśli, że Joe chce mi dać jałmużnę.

Poza tym nie znałem tych ludzi. Bennettów. Co prawda Mark był moim przyjacielem, Joe chyba także, ale tak naprawdę wcale ich nie znałem.

Ale wtedy Joe powiedział:

– Wszystko w porządku, Ox.

A ja spytałem:

– Skąd wiedziałeś?

– Bo nie dałbym swojego wilka byle komu – odparł, znów się zarumienił i odwrócił wzrok.

A ja poczułem, że umknęło mi coś ważniejszego niż jego słowa.

Elizabeth śpiewała piosenkę razem z Dinah Shore, której płyta obracała się na wiekowym gramofonie. Winył był porysowany, więc

utwór to urywał się, to przeskakiwał, ale kobieta wiedziała, w których dokładnie miejscach, więc podejmowała śpiew na nowo dokładnie tam, gdzie melodia znów się zaczynała.

– Nie przeszkadza mi samotność – intonowała chropawym głosem – kiedy serce mi mówi, że ty także ją odczuwasz[10].

Mój Boże, jakiż ból poczułem.

Elizabeth kręciła się po kuchni, a jej letnia sukienka wirowała wokół niej lekko i zwiewnie. Pomieszczenie wyglądało prześlicznie. Całe w kamieniu i ciemnym drewnie. Niedawno je wysprzątało, więc wszystko lśniło jak nowe. Słyszałem pozostałych członków rodziny krzątających się w ogródku za domem. Śmiali się, a ja poczułem się niemal swobodnie.

Dinah Shore przestała czuć się samotna, a Elizabeth obrzuciła nas czujnym spojrzeniem.

– Lubisz tę piosenkę? – spytała mnie.

Pokiwałem głową.

– Boli, ale w dobrym znaczeniu tego słowa.

– Mówi o pozostawaniu na miejscu – odparła – gdy inni ruszają na wojnę.

– O pozostawaniu na miejscu czy o byciu pozostawionym na miejscu? – spytałem, myśląc o ojcu. Elizabeth i Joe zamarli. Spojrzeli na mnie oboje i przekrzywili głowy w identyczny sposób.

– Och, Ox – odezwała się kobieta, a Joe ponownie chwycił mnie za rękę. – Istnieje różnica.

– Czasami.

– Zostaniesz z nami na niedzielny obiad – powiedziała. – To tradycja.

Nie kultywowałem zbyt wielu tradycji.

– Nie chciałbym nikomu przeszkadzać.

– Widzę, że rozpakowałeś prezent – stwierdziła, jakbym w ogóle się nie odzywał.

Joe wyszczerzył w uśmiechu wszystkie zęby.

– Był nim o c z a r o w a n y!

– Mówiłam ci, że tak będzie. – Przeniosła wzrok z powrotem na mnie. – Tak się zamartwiał. – Dinah Shore znów zaczęła śpiewać w tle, a Elizabeth wzięła się za krojenie ogórka na cienkie plasterki.

Joe się zarumienił.

– Wcale że nie.

Przez tylne drzwi wszedł Carter.

– A właśnie że tak – powiedział, po czym dodał wysokim, drżącym głosem: – A co, jeśli mu się nie spodoba? A co, jeśli figurka nie jest dość fajna? A co, jeśli pomyśli, że jestem przegrywem?

Joe spojrzał na niego z wściekłością. Wydawało mi się, że z głębi jego trzewi dobywa się jakiś grzmiący dźwięk.

– Z a m k n i j się, Carter!

– Chłopcy – ostrzegła ich matka.

Carter przewrócił oczami.

– Hej, Ox. Czy u ciebie w domu jest Xbox?

Joe parsknął śmiechem.

– Ha! To się rymuje. Ox i Xbox. – Puścił moją dłoń i zaczął wyciągać sztucce z szuflady koło piekarnika.

Potarłem dłonią tył głowy.

– Yyy. Nie... Chyba mam Segę[11].

– Stary, retro.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie mam czasu na granie.

– Znajdziemy czas – zapewnił. Wyjął z szafki plastikowe kubki. – No, tak czy siak, muszę wypytać cię o szkołę. Od przyszłego roku Kelly i ja będziemy z tobą chodzić.

– Szkoda, że ja nie mogę pójść do szkoły – sarknął Joe grobowym tonem.

– Znasz zasady – powiedziała Elizabeth. – Edukacja domowa do ukończenia dwunastego roku życia. Został ci już tylko rok, słoneczko.

Słowa matki nie uspokoiły go ani trochę. Sam nigdy nie byłem nauczany w domu, więc nie wiedziałem, czy to dobra metoda, czy zła.

– Ox, mógłbyś zaprosić swoją mamę? – poprosiła Elizabeth, krzątając się przy blacie. Kręciła się tam i z powrotem.

– Jest w pracy – powiedziałem. Nie byłem pewien, co powinienem zrobić. Bennettowie zachowywali się, jakby mieszkali tutaj od zawsze. Mnie przypadła rola słonia w składzie porcelany. A może wołu. Sam nie byłem pewien.

– W takim razie następnym razem – odparła, jakby miał być jakiś następny raz.

– Bo to tradycja?

Uśmiechnęła się, a ja zobaczyłem w niej Joego.

– Dokładnie. Chwytasz w lot.

Nagle stałem się boleśnie świadomy własnego wyglądu.

– Nie mam odpowiedniego stroju na taką okazję. – Przeczesałem włosy palcami, po czym przypomniałem sobie, że są upaprane.

Zbyła moje słowa machnięciem ręki.

– My też nie jesteśmy odświętnie ubrani, Ox.

– Ale ja jestem brudny.

– Raczej spracowany. Mógłbyś zanieść to na tyły domu? Thomas i Mark ucieszą się na twój widok. – Wręczyła mi misę z owocami, złapałem ją razem z pudełkiem, w którym tkwił wilk z kamienia. Joe chciał wyjść zaraz za mną, ale matka go zatrzymała. – Ty na razie zostajesz ze mną w kuchni. Potrzebuję pomocy. Ox, już cię tu nie ma.

– Ale, m a m o...

Wyszedłem tylnymi drzwiami. Na trawie ustawiono sporych rozmiarów stół. Przykryto go czerwonym obrusem, który w rogach przyciśnięto starymi książkami. Kelly stawiał wokół stołu rozkładane krzesła.

– Wszystko w porządku? – spytał, kiedy umieściłem miskę na blacie.

– Wszystko... dzieje się tutaj tak szybko – odparłem.

Zaśmiał się.

– O połowie nawet nie masz pojęcia – stwierdził, po czym dodał:

– Tata chciałby z tobą porozmawiać.

– O. A o czym? – Próbowałem sobie przypomnieć, czy czegoś nie przeskrobałem. Pamiętałem wszystko, co mówiłem poprzedniego dnia. Nie było tego wiele. Może w tym tkwił problem.

– Wszystko w porządku, Ox. Nie jest taki straszny, na jakiego wygląda.

– Kłamca.

– No t a k. Ale to dobrze, że już o tym wiesz. Dzięki temu wszystko będzie łatwiejsze. – Nagle wybuchnął śmiechem, jakby usłyszał coś zabawnego. – Tak, tak, tak – powiedział i zamachał na mnie ręką.

Mark i Thomas stali przy grillu. Rozpaczliwie pragnąłem do nich podejść. Pogadać o pierdołach. Porozmawiać z nimi, jakbym należał do rodziny. Zebrałem się na odwagę. Tylko po to, żeby Mark się odwrócił i ruszył w moją stronę.

– Pogadamy później – powiedział i ścisnął mnie za ramię, zanim zdążyłem się odezwać. Zostawił mnie sam na sam z Thomasem. Mężczyzna był o dobre dziesięć centymetrów wyższy ode mnie, miał masywne ramiona, uda i klatkę piersiową. Nawet w wieku szesnastu lat byłem większy niż większość facetów, ale Thomas był jeszcze potężniejszy.

Przyjrzał się uważnie pudełku, które trzymałem w dłoni.

– Joe sam zawiązał na nim wstążkę – poinformował mnie. – Nie pozwolił, by ktokolwiek mu pomógł.

Chciał być szczery, chyba.

– Już miałem mu powiedzieć, że nie mogę przyjąć prezentu.

Thomas uniósł brew.

– A to dlaczego?

– Figurka wydaje się... cenna.

– I taka właśnie jest.

– W takim razie czemu?

– Co: „czemu”?

– Czemu mi ją dał?

– A dlaczego nie? – odparł irytująco.

– Nie posiadam niczego cennego.

– Jak rozumiem, mieszkasz z matką.

– Zgadza się. – Nagle zrozumiałem, o co mu chodzi. – Aha.

– Każdy z nas ma prawo mieć pewne rzeczy, które należą wyłącznie do nas. – Gestem dłoni wskazał Kelly’emu, żeby podszedł

do grilla. – Przejdźmy się, Ox.

Poszedłem za nim. Poprowadził mnie z dala od domu. Pomiedzy drzewa. Człowiek, którego spotkałem ledwie wczoraj. A jednak się nie wahałem. Wmawiałem sobie, że to dlatego, że łaknę uwagi i nic więcej.

– Mieszkaliśmy tu kiedyś – oznajmił. – Przed tobą. Carter miał tylko dwa lata, kiedy się wyprowadziliśmy. Nie planowaliśmy opuszczać tego miejsca na tak długo. To dzięki temu życie jest takie zabawne. I takie przerażające. Wchodzi ci w drogę i pewnego dnia otwierasz oczy tylko po to, by się zorientować, że minęła cała dekada. A nawet więcej czasu. – Wyciągnął dłonie i przesunął nimi wzdłuż rowków widocznych na pniu drzewa. Jego palce pasowały do nich niemal idealnie, a ja zacząłem się zastanawiać, co mogło pozostawić takie zadrapania na korze. Wyglądały jak ślady pazurów.

– Czemu wyjechaliście? – spytałem, chociaż to nie była moja sprawa.

– Obowiązki wzywały. Zobowiązania, których nie mogliśmy zignorować, choćbyśmy nie wiem jak się starali. Moja rodzina mieszka pośród tych lasów od bardzo dawna.

– To chyba miło wrócić w końcu do domu.

– Masz rację – odparł. – Od czasu do czasu Mark przyjeżdżał i rozglądał się po okolicy, ale to nie to samo, co móc dotykać drzew własnymi rękami. Wiesz, on jest pod ogromnym wrażeniem twojej osoby.

– Mark?

– Jasne, on także. Wydaje ci się, że jesteś skryty, ale nie masz pojęcia, ile szczegółów zdradzasz. Przez wyraz twarzy. Sposób, w jaki oddychasz. Bicie serca.

– Staram się tego nie robić.

– Wiem, ale nie potrafię zrozumieć dla czego. Dlaczego chcesz się ukryć?

Bo tak jest łatwiej. Bo robię to, odkąd sięgam pamięcią. Bo tak jest bezpieczniej niż wylegiwać się na słońcu i zapraszać do siebie innych ludzi. Lepiej jest się ukrywać i zastanawiać niż się ujawnić i poznać prawdę. Mogłem mu to powiedzieć. Sądzę, że dałbym radę to zrobić, że udałoby mi się znaleźć właściwe słowa. Wyjąkałbym je. Wyszłyby spomiędzy moich warg kulawe, zdławione i gorzkie. Ale potrafiłbym je z siebie wydusić. A jednak nie powiedziałem nic.

Thomas uśmiechnął się do mnie w milczeniu. Zamknął oczy i zwrócił twarz w stronę słońca.

– Tutaj jest inaczej niż gdziekolwiek indziej – powiedział i wziął głęboki wdech.

– To samo mówił Mark, kiedy się poznaliśmy. O zapachach domu.

– Naprawdę? W knajpce?

– Opowiadał panu?

Mężczyzna znów się uśmiechnął. Jego uśmiech był miły, ale ukazywał zbyt dużo zębów.

– Tak. Wyglądało na to, że znalazł w tobie pokrewną duszę. A potem jeszcze to, co zrobiłeś Joemu.

Zaniepokoiłem się. Cofnąłem się o krok.

– Co ja takiego zrobiłem? Wszystko z nim w porządku? Przepraszam. Ja nie...

– Ox – odezwał się głębokim głosem, głębszym niż wcześniej. A kiedy położył mi ręce na ramionach, poczułem się, jakby wydał mi rozkaz, i rozluźniłem się, jeszcze zanim się zorientowałem, co się dzieje. Napięcie uleciało, jakby nigdy go nie było, a ja odchyliłem

lekko głowę, jakbym odsłaniał szyję. Nawet Thomas wydawał się tym zaskoczony. – Jak masz na nazwisko? – spytał.

– Matheson. – Poczułem napływającą falę paniki, ale jego głos wciąż był głęboki, a dłoń wciąż spoczywała na moim ramieniu, więc panika nie zdołała przebić się na powierzchnię.

Thomas otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale po chwili ponownie je zamknął. A potem wyszły spomiędzy nich słowa, przemyślane i ostrożne.

– Wczoraj, kiedy Joe cię znalazł, który z was odezwał się pierwszy?

– On. Zapytał, czy coś czuję. – Zapragnąłem wyjąć kamiennego wilka z pudełka i ponownie na niego popatrzeć.

Thomas cofnął się i opuścił ręce wzdłuż tułowia. Potrzęsnał głową. Na jego twarzy zagościł nieśmiały uśmiech, jakby wyraz zdumienia.

– Mark mówił, że jesteś inny. W dobrym tego słowa znaczeniu.

– Nie, jestem byle kim – odparłem.

– Ox, przed waszym wczorajszym spotkaniem Joe nie odzywał się do nikogo przez piętnaście miesięcy.

Drzewa, ptaki i słońce zniknęły, a mnie zrobiło się zimno.

– Dlaczego?

Mężczyzna uśmiechnął się smutno.

– Przez życie i całą jego potworność. Świat potrafi być okropnym miejscem.

Zgadza się. Potrafi. Potrafi być strasznym, chaotycznym, wspaniałym miejscem. A ludzie potrafią być okrutni. Słyszałem to,

gdy wyzywali mnie za moimi plecami. Słyszałem to, gdy te same okropne rzeczy mówili mi prosto w twarz. Słyszałem to w dźwięku zamykanych drzwi, gdy odszedł ojciec. Słyszałem to w łamiącym się głosie matki.

Thomas nie powiedział mi, dlaczego Joe przestał się odzywać. A ja nie pytałem. To nie była moja sprawa. Ludzie potrafią być okrutni. Potrafią być piękni, ale potrafią także być okrutni. Tak jakby coś równie cudownego nie mogło być po prostu cudowne. Jakby musiało być zarazem okrutne i przeżarte rdzą. Nie potrafiłem pojąć tej złożoności.

Nie ujrzałem okrucieństwa, kiedy po raz pierwszy usiadłem przy ich stole. Po mojej lewej siedział Mark, po mojej prawej – Joe. Jedzenie zostało podane, ale nikt nie podniósł ani widelca, ani łyżki, więc ja także tego nie zrobiłem. Wszystkie oczy zwróciły się na Thomasa, który zasiadł u szczytu stołu. Wiał ciepły delikatny wietrzyk. Mężczyzna uśmiechnął się do każdego z nas i skosztował kęs. Pozostali poszli w jego ślady.

Trzymałem pudełko z kamiennym wilkiem na kolanach. No i był Joe. Joe mówił takie rzeczy jak: „Lubię, jak coś wybucha w filmie, b u m!, i w ogóle” czy: „Jak sądzisz, co by się stało, gdybyś pierdnął na Księżycu?” albo: „Kiedyś zjadłem czternaście tacos naraz, bo Carter rzucił mi wyzwanie, a potem nie mogłem się ruszyć przez bite dwa dni”.

Mówił też: „Maine to Maine. Tęsknię za przyjaciółmi, ale teraz mam ciebie”. „To nawet nie jest śmieszne! Nie śmieję się!” „Mógłbyś mi podać musztardę, zanim Kelly zużyje całą jak skończony buc?”

Mówił też: „Kiedyś poszliśmy w góry i jeździliśmy na sankach”. „Jestem do bani, jeśli chodzi o gry komputerowe, ale Carter mówi, że się poprawię”. „Założę się, że biegam szybciej niż ty”.

Mówił też: „Mogę ci zdradzić tajemnicę?”. „Czasami miewam koszmary, ale nie pamiętam, co mi się śni”. „Czasami pamiętam wszystko dokładnie”.

Rodzina przy stole ucichła, ale Joe był wpatrzony we mnie jak w obrazek. Odparłem:

– Ja też czasami mam koszmary. Ale potem sobie przypominam, że nie śpię, a koszmary nie mogą mnie dręczyć, kiedy nie śpię. I wtedy czuję się lepiej.

– W porządku – powiedział. – W porządku.

Zdałem wszystkie testy końcowe. Jebać Stonewalla Jacksona.

śliczny chłopaczek / odpierdol się

Moja mama poznała Bennettów tak gdzieś w połowie lata, podczas jednego z niedzielnych obiadów. Denerwowała się, tak jak wcześniej ja. Co i rusz przyglądała dłońmi sukienkę. Wplatała palce we włosy. Powiedziała:

– Wydają się tacy elegancy.

A ja się zaśmiałem, bo byli elegancy, a zarazem nie byli.

Mama uśmiechnęła się z niepokojem, kiedy Elizabeth ją uścisnęła. Później usiadły w kuchni, żeby napić się wina, i mama chichotała z twarzą lekko zarumienioną od trunku i szczęścia.

Thomas pracował zdalnie z domu. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, czym dokładnie się zajmował, ale wiecznie rozmawiał z kimś przez telefon w swoim gabinecie. Późną nocą zawsze dzwonił do Japonii lub Australii, a wczesnym rankiem do Nowego Jorku lub Chicago.

– Finanse – wyjaśnił mi Carter i wzruszył ramionami. –

Pieniądze, coś tam, coś tam, bla, bla, bla, same nudy. Nie możesz zgiąć na tym poziomie, Ox. Jest za łatwy.

Elizabeth malowała. Powiedziała, że tamtego lata znajduje się w fazie zielonej. Wszystko było zielone. Nastawiała płytę na starym adapterze marki Crosley, mówiła coś w stylu: „Dzisiaj, dzisiaj, dzisiaj” albo: „Czasem się zastanawiam”, a potem zaczynała. Jej praca zawsze przybierała formę kontrolowanego chaosu, a od czasu do czasu kobieta miewała farbę na brwiach i uśmiech na twarzy.

– Podobno jest dobra – oznajmił Kelly. – Trochę tej tandety wisi w muzeach. Nie mów jej, że ci powiedziałem, ale dla mnie wszystkie jej obrazy wyglądają tak samo. Znaczący, wiesz, ja też potrafię pochłapać płótno farbą. No i gdzie moja forsa i sława?

Po pracy wracałem gruntową drogą, na której czekał na mnie Joe.

– Cześć, Ox – mówił i uśmiechał się od ucha do ucha.

Bywały okresy, kiedy nie wolno mi było wpadać do nich z wizytą. Przez dwa, trzy, a nawet cztery dni z rzędu.

– To czas dla rodziny, Ox – wyjaśniała Elizabeth.

Albo:

– Chcemy, żeby dzieciaki zostały dziś wieczorem w domu – oznajmiał Thomas. – Wpadnij we wtorek, dobrze?

Rozumiałem, bo nie stanowiłem części ich rodziny. Nie wiedziałem, kim dla nich jestem, ale odpędzałem od siebie urazę. Nie potrzebowałem jej. Miałem zbyt wiele własnych zmartwień, żeby sobie jeszcze dokładać. Nie mieli nic złego na myśli,

przynajmniej tak sądziłem. Kilka dni później zawsze spotykałem Joego na drodze. Przytulał mnie i mówił:

– Tęskniłem za tobą.

A ja szedłem za nim do domu. Elizabeth zawsze witała mnie słowami:

– Jest i nasz Ox.

A Thomas zawsze pytał:

– Wszystko w porządku?

A potem zawsze było tak, jakby nic się nie wydarzyło.

W te noce, kiedy nie mogłem się z nimi spotkać, leżałem w łóżku pogrążony w myślach i wsłuchiwałem się w dobiegające z oddali dźwięki. Mógłbym przysiąc, że to wyły wilki. Księżyc był tłusty i okrągłutki i oświetlał pokój, jakby był słońcem.

Oni nigdy nie wchodzili do mojego domu. Nigdy ich nie zaprosiłem, a oni nie nalegali. Właściwie to nigdy nie pomyślałem, by to zrobić.

– Nadal planujesz zerwać się wcześniej z roboty? – spytał Gordo pewnego parnego dnia pod koniec sierpnia.

Spojrzałem na niego znad alternatora, który akurat naprawiałem.

– No. Rejestracja na zajęcia. To już. – Wziąłem ze sobą do pracy ubrania na zmianę, żebym nie musiał iść śmierdzący metalem i olejem silnikowym.

– Twoja mama pracuje?

– No.

– Chcesz, żebym pojechał z tobą?

Pokręciłem głową.

– Dam radę.

– Przedostatnia klasa. Ciężka sprawa.

Przewróciłem oczami.

– Zamknij się, Gordo.

– Masz zamiar zabrać ze sobą tego ślicznego chłopaczka, *papi*? – krzyknął Rico z przeciwległej części warsztatu.

Zarumieniłem się, chociaż to nie było nic takiego.

Oczy Gorda zwęziły się.

– Jakiego ślicznego chłopaczka?

– Nasz wielkolud znalazł sobie niezłą partię – odparł Rico. – Tanner widział ich razem kilka dni temu wieczorem.

Jęknąłem.

– To tylko Carter.

– C a r t e r – westchnął Tanner chrapliwym głosem.

– Carter? – dopytywał Gordo. – Kim on jest? Chcę go poznać. Najlepiej w biurze, żebym mógł przestraszyć go na śmierć. Cholera jasna, Ox. Lepiej, żebyś używał jebanych kondomów.

– No – potaknął Chris. – Upewnij się, że kupujesz jebane kondomy, a nie te zwykłe. Są lepsze. Do jebania oczywiście.

– Trafieś w samo sedno! – wykrzyknął Rico.

– Nie znoszę was wszystkich – wymamrotałem.

– Kłamiesz – odparował Tanner. – Kochasz nas. Przynosimy ci radość i szczęście.

– Czyli pieprzysz się z nim? – powiedział Gordo i obrzucił mnie gniewnym spojrzeniem.

– Jezu, Gordo. Nic z tych rzeczy. Mieliśmy zamiar kupić pizzę i podzielić się nią z jego młodszymi braćmi. Przyjaźnimy się. Jego rodzina niedawno się wprowadziła. Nie lubię go w ten sposób. – Chociaż sądziłem, że nie byłoby to trudne. Miałem w końcu oczy.

– Jak go poznałeś?

Wścibski sukinkot.

– Wprowadzili się do tego starego domu obok naszego. A może do niego wrócili. Właściwie to jeszcze do końca nie wiem. Bennettowie. Słyszałeś o nich?

I wtedy stało się coś dziwnego. Widywałem już Gorda wkurzonego. Widywałem, jak śmiał się tak mocno, że popuszczał w gacie. Widywałem go zmartwionego. Widywałem go smutnego. Ale nigdy nie widziałem, żeby go cokolwiek przeraziło. Gordo nie bał się niczego. Nie przestraszył się niczego ani razu od czasu naszego pierwszego spotkania, kiedy tatko pewnego dnia przyprowadził mnie do warsztatu, a Gordo powiedział:

– Hej, chłopie, dużo o tobie słyszałem. Może pójdziemy i kupimy sobie po puszcze napoju z automatu?

Ani razu. Gdyby ktoś mnie zapytał, powiedziałbym, że Gordo był nieustraszony, chociaż wiem, jak idiotycznie by to zabrzmiało. A teraz Gordo się bał. Oczy zrobiły mu się okrągłe, a krew odpłynęła z twarzy. Trwało to jakieś dziesięć sekund. No, może piętnaście albo dwadzieścia. A potem strach zniknął, jakby nigdy się nie pojawił. Ale ja zdążyłem go zauważyć.

– Gordo...

Odwrócił się i poszedł do biura. Trzasnął za sobą drzwiami.

– Co, do chuja? – spytał Rico zwięźle.

– Zazdrosny zarozumialec – wymamrotał Tanner.

– Tanner, zamknij się, do kurwy nędzy – ostrzegł go Chris i rzucił mi spojrzenie przez ramię.

A ja wpatrywałem się tępo w zamknięte drzwi.

– Przepraszam – powiedziałem później Gordowi. – Cokolwiek zrobiłem źle.

Westchnął.

– Nie chodzi o ciebie, dzieciaku. Muszę... Nie mógłbyś sobie poszukać innych kumpli? My ci nie wystarczamy? – Wydawał się przygnębiony.

– To nie to samo.

– Zachowaj ostrożność.

– Dlaczego?

– Zapomnij, Ox. Po prostu na siebie uważaj.

– Odbyłam dziwną rozmowę przez telefon z Gordem – powiedziała mama któregoś wieczoru.

– Co?

– Prosił mnie, żebym trzymała cię z daleka od sąsiadów.

– Ż e c o?

Wyglądała na zdezorientowaną.

– Powiedział, że Bennettowie oznaczają kłopoty.

– Mamo...

– Kazałam mu się nie wtrącać.

– Chodzi ostatnio jakiś wkurwiony – powiedziałem.

Mama zmarszczyła czoło.

– Jak ty się wyrażasz? Nie jesteś w warsztacie.

Wparowałem przez drzwi gabinetu.

– O co ci, do diabła, chodzi?

– Jeszcze mi podziękujesz – odparł. Nie odrywał wzroku od komputera. Jakby mnie olewał.

– Szkoda, że ona ma w dupie, co myślisz. Powiedziała, że jestem już na tyle dorosły, żeby podejmować samodzielne decyzje.

To przykuło jego uwagę. Wkurwił się. Wypadłem z pomieszczenia jak burza.

Chciał codziennie odwozić mnie po pracy do domu. Zaśmiałem się i powiedziałem:

– Odpierdol się.

– Ox, zobacz, ile frytek mieści mi się w buzi! – wykrzyknął Joe, po czym upchnął ich przynajmniej trzydzieści w rozdziawionej paszczy, wydając przy tym dźwięki przypominające ciche powarkiwanie.

– Obrzydliwe – jęknął Carter. – Właśnie dlatego zazwyczaj nie wypuszczamy cię między ludzi.

Kelly prychnął.

– Ty po prostu starasz się zaimponować tej kelnerce.

Carter walnął go pięścią w ramię.

– G o r a c a sztuka. Chodzi do naszej szkoły, Ox?

– Tak mi się zdaje. Do ostatniej klasy.

– A mnie się zdaje, że w tym roku zaliczę ten towar.

– Ach, uroki młodszej miłości – westchnął Mark. – Joe, nie wkładaj sobie frytek do nosa.

– Z a l i c z y s z t o w a r? – spytał Kelly niedowierzająco. – Stary. To obleśne.

– Och, przepraszam, że uraziłem twoją delikatną wrażliwość. Miałem na myśli, że będę uprawiał z nią miłość.

– Błagam, nie mów ani słowa na ten temat Thomasowi ani Elizabeth – poprosił mnie Mark. – Jestem dobrym wujkiem, przysięgam.

– Ox, hej, Ox! Jestem frytkowym morsem. Patrz! Patrz...

Wszyscy czterej zamarli w tej samej chwili. Leżące na stole dłonie Marka zwinęły się w pięści.

– Zostańcie tutaj – warknął. Wstał i wypadł przez drzwi, nim zdążyłem się odezwać.

– Co, do diabła? – rzuciłem.

Kelly chciał pobiec za wujem, ale Carter go przytrzymał.

– Puszczaj mnie!

– Nie – odparł Carter. – Zostajemy tutaj. Ox i Joe. Przecież w i e s z.

Kelly skinął głową i stanął obok stołu z rękoma skrzyżowanymi na piersi, jakby zagradzał drogę każdemu, kto chciałby podejść.

Wyjrzałem przez okno restauracji. Mark stał po drugiej stronie ulicy. Z Gordem. Nie wyglądali na szczęśliwych ze spotkania.

– Skurwiel – bąknąłem.

Przepchnąłem się, żeby wyjść z boksu. Kelly złapał mnie za ramię i powiedział:

– Nie, Ox, nie możesz tak po prostu... – zaczął mówić, ale warknąłem na niego dziko. Zrobił wielkie oczy i się odsunął.

– Joe, ty zostajesz tutaj – rzuciłem ostro przez ramię.

Chłopak zmrużył oczy i otworzył usta, żeby coś odpyskować, ale wszedłem mu w słowo, nakazując Kelly'emu go pilnować. Carter bez słowa podniósł się ze swojego miejsca i podążył za mną przez drzwi.

Kiedy zbliżałem się do mężczyzn, udało mi się wychwycić strzępki ich rozmowy. Bez znajomości kontekstu nie potrafiłem rozgryźć, o co chodzi. Widziałem tylko wściekłą minę Gorda i zaciśnięte szczęki Marka.

– Gordo, to n i e to samo...

– O d s z e d ł e ś. Ja utrzymywałem w miasteczku bezpieczeństwo, a ty o d s z e d ł e ś...

– Musieliśmy, nie mogliśmy...

– Postawię wokół niego bariery. Wzmocnię ochronę wokół jego domu. Ty nigdy nie będziesz...

– Wybór należy do n i e g o, Gordo. Jest wystarczająco dorosły, żeby...

– Nie mieszaj go do tego. On n i e jest częścią tego.

– Wiesz, co przydarzyło się Joemu. A on Joemu pomaga, Gordo. N a p r a w i a g o.

Gordo zrobił krok w tył.

– Ty pieprzony sukinsynu. Nie możesz w y k o r z y s t y w a ć...

– Gordo!

Spojrzał na mnie przez ramię i otworzył szeroko oczy.

– Ox, przywlecz tu swoje dupsko. Ale już.

– Z czym masz, kurwa, problem? – spytałem. Przepchnąłem się obok Marka i stanąłem naprzeciwko Gorda, ledwie kilka centymetrów od niego. Nigdy wcześniej nie wykorzystywałem swoich rozmiarów, żeby kogoś zastraszyć. Ale nic się nie stało, bo Gordo zastraszyć się nie dał, nawet kiedy w tej samej chwili zdaliśmy sobie sprawę z faktu, że przez kilka ostatnich miesięcy podrosłem i zrobiłem się od niego wyższy. Musiał teraz zadzierać głowę, żeby popatrzeć mi w oczy.

– Stań za mną, Ox, i pozwól, że załatwię tę sprawę.

– Niby jaką? Nie mówiłeś mi, że ich znasz. Co tu się dzieje?

Gordo cofnął się o krok. Zwinięte w pięści ręce trzymał opuszczone wzdłuż tułowia. Jego tatuaże wydawały się żywsze niż kiedykolwiek.

– Stary dramat rodzinny – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Długa historia.

– Rozumiem – powiedziałem, wskazując gestem najpierw jednego, potem drugiego. – Wszystko rozumiem. Ale nie możecie mi mówić, co mam robić. Nie w tej kwestii. Nie robię niczego złego.

– Nie c h o d z i o ciebie...

– Zdziwko, bo właśnie tak to wygląda.

Gordo zamknął oczy. Wziął głęboki wdech. Powoli wydmuchał powietrze.

– Ox, ja tylko chcę, żebyś był bezpieczny.

– A niby dlaczego miałyby mi coś grozić? – Nie rozumiałem, o co mu chodzi.

– Cholera – wymamrotał Mark. – On jest twoim postronkiem. – Zachichotał ponuro. – Co za pieprzona ironia.

Momentalnie oczy Gorda rozwarły się szeroko. Próbował mnie wyminąć, ale zagroziłem mu drogę.

– Przejdź się, stary – nakazałem. – Ochłoń.

Warknął na mnie, ale odwrócił się i odszedł. Okręciłem się na pięcie w stronę Marka.

– Co to, do diabła, było?

Mężczyzna patrzył w ślad za oddalającym się Gordem.

– Stary dramat rodzinny.

– Że co?

– To bez znaczenia, Ox – odparł. – Zamierzchłe czasy.

Poprosiłem Gorda o wyjaśnienia. Zapytałem, skąd zna Marka i pozostałych członków rodziny. Dlaczego mnie okłamywał i zachowywał się tak, jakby byli dla niego obcymi ludźmi. Tylko się we mnie wpatrywał z gniewem dopóty, dopóki nie odszedłem.

Zapytałem Marka, skąd zna Gorda. Mark zrobił zasmuconą minę, której nie mogłem znieść, więc go przeprosiłem i już nigdy nie poruszałem tego tematu.

To był ostatni niedzielny obiad przed rozpoczęciem roku szkolnego. Joe i ja siedzieliśmy na ganku i przyglądaliśmy się drzewom.

– Szkoda, że nie mogę iść z tobą – bąknął.

– W przyszłym roku, co nie?

Wzruszył ramionami.

– No tak. Ale to nie to samo. Nie będę cię już widywał tak często jak do tej pory.

Otoczyłem ramieniem jego barki.

– Nigdzie się nie wybieram.

– Boję się.

– Czego?

– Wszystko się zmienia – wyszeptał.

Ja także się bałem. Bardziej, niż był sobie w stanie wyobrazić.

– No, zmienia się. Bo musi. Ale ty i ja? Przyrzekam, że to się nigdy nie zmieni.

– W porządku.

– Wszystkiego najlepszego, Joe.

Położył mi głowę na ramieniu i musnął nosem moją szyję. Wdychał mój zapach, podczas gdy obserwowaliśmy zachód słońca. Niebo było różowe i pomarańczowe, i czerwone, a ja nie potrafiłem sobie wyobrazić żadnego innego miejsca, w którym wolałbym być.

– Jebany przygłup – rzucił z pogardą Clint drugiego dnia szkoły. Bo takie miał hobby.

Zignorowałem go, jak zwykle, i dalej upychałem książki w szafce. Tak było łatwiej. Ale najwyraźniej nie Carterowi. Chwycił Clinta za tył głowy i pchnął go na szafki, po czym przycisnął jego twarz do zimnego metalu.

– Jak jeszcze raz tak się do niego odezwiesz, to wyrwę ci twoje pieprzone serce – wysyczał. – Powiedz wszystkim, że Ox jest pod

ochroną Bennettów i jeśli ktokolwiek choćby krzywo na niego spojrzy, to połamię mu łapska. Lepiej nie zadzierajcie z Oxem.

– Nie musiałeś tego robić – powiedziałem cicho, kiedy Carter i Kelly mnie odciągali. Carter otoczył ramieniem moje barki, a Kelly przytrzymał mnie za łokieć.

– W końcu zawsze odpuszczają.

– Jebać to – warknął Carter.

– Nie tkną cię – mruknął Kelly. – Już nigdy.

Zaczęli chodzić do szkoły w tych swoich eleganckich ubraniach, z tymi swoimi idealnie wyrzeźbionymi twarzami i z tymi swoimi tajemnicami, i wszyscy o nich gadali. O chłopakach od Bennettów. Gdziekolwiek byś pojechał, ogólniaki są wszędzie takie same. Pełne plotek, banałów i insynuacji. Ludzie szeptali: „Należą do gangu”, „Handlują prochami”, „Wydalili ich z poprzedniej szkoły, bo zamordowali nauczyciela”, „Na zmianę dymają Oxa”, „Ox dyma ich obu”. Nie przestawałem się śmiać.

Siadywaliśmy na stołówce i miałem przyjaciół. Czasem chciałem pogadać. Czasem nie miałem nic do powiedzenia, więc otwierałem podręcznik. A oni zawsze przy mnie zostawali. Zawsze siadali po tej samej stronie stołu co ja i tłoczyli się blisko mnie.

Lubili kontakt fizyczny. Cała rodzina. Palce w moich włosach. Uścisk. Pocałunek Elizabeth na moim policzku. Joe na gruntowej drodze, kiedy szedłem w słońcu. Jego dłoń wsuwała się w moją,

a ciało wtulało we mnie, kiedy kierowaliśmy się w stronę domu. Kelly trącający mnie ramieniem, gdy mijaliśmy się na korytarzu. Ciężar dłoni Cartera, kiedy szliśmy na lekcje. Dłoń Thomasa ściskająca moją, silny chwyt i twarde odciski. Kciuk Marka ocierający się o moją małżowinę. Z początku byłem tylko ja. Ale kiedy zaczęła zbliżać się zima, Bennettowie włączyli w swój krąg także moją mamę.

Gordo opowiedział mi historię Joego. A przynajmniej jej część. Znienawidziłem go za to.

– Musisz na niego uważać – powiedział. Wyszliśmy właśnie na papierosa, chociaż ja już nie paliłem.

– Wiem – odparłem.

– Oj, nie wiesz. Nie masz zielonego pojęcia. – Dotknął kruka wytatuowanego na ramieniu. Dym oplatał mu palce.

– Gordo...

– Uprowadzono go, Ox.

Zamarłem.

– Został porwany. W środku nocy. Ludzie, którzy to zrobili, chcieli się zemścić na jego ojcu. Na jego rodzinie. Tygodniami go krzywdzili. A kiedy wrócił, był złamany. Nie wiedział nawet, jak się nazywa...

– Zamknij się – powiedziałem ochryplym głosem. – Zamknij tę swoją pieprzoną jadaczkę.

Chyba się zorientował, że przegiął. Zamknął oczy.

– Cholera.

– Kocham cię – oznajmiłem. – Ale w tej chwili cię nienawidzę. Nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło, Gordo. Ale, kurwa, tak strasznie cię teraz nienawidzę i nie wiem, jak to powstrzymać.

Przez bardzo długi czas nie odzywaliśmy się do siebie.

A potem wszystko się zmieniło.

albo nigdy / osiem tygodni

Chrisowi zmarła mama i było okropnie. Rozpłakał się na środku warsztatu, a ja położyłem mu głowę na ramieniu. Rico złapał go za szyję. Tanner oparł się czołem o jego plecy. Gordo pogładził palcami jego obcięte na jeża włosy. Wyjechał na jakiś czas.

Wrócił z Jessie. Swoją młodszą siostrą. Dziewczyna niedawno skończyła siedemnaście lat i miała zamieszkać razem z nim w Green Creek. Wyglądała wypisz wymaluj jak jej brat. Brązowe włosy oraz śliczne zielone oczy. Jasna karnacja, drobne piegi na nosie i policzkach, i jeden na uchu, który mnie zafascynował. Chris przyprowadził ją do warsztatu, a ona stała bez słowa i uśmiechała się, kiedy nam ją przedstawiał.

– A to jest Ox – powiedział, a ja wpadłem plecami na ścianę.

Chłopacy wgapili się we mnie.

– Czy on właśnie...? – spytał Gordo.

– Kapitalne – stwierdził Tanner.

– Cześć – powiedziałem. Mój głos zdawał się głębszy niż kiedykolwiek wcześniej. – Mam na imię Ox. Oxnard. Ale mów mi Ox.

– Chciałem stanąć na tle chevroleta Tahoe z 2007 roku, ale poślizgnąłem się i tylko zdarłem skórę na łokciu. Pozbierałem się. –

Albo Oxnard. Jak wolisz.

– O rany – powiedział Rico. – Aż żal na to patrzeć. Powinniśmy go ratować. Albo wyjść.

Nikt mnie nie uratował. Ani nie wyszedł.

– Cześć, Ox – powiedziała Jessie. – Miło cię poznać. – Uśmiechnęła się szeroko, jakoś tak po szelmowsku, na ułamek sekundy błysnęła zębami. Zaschło mi w ustach, bo jej wargi były śliczne, tak jak oczy, i pomyślałem sobie: „No, wszystko pięknie”.

– Ciebie... ach. Ciebie też?

– Może Ox mógłby oprowadzić cię w przyszłym tygodniu po szkole, jak już zaczniesz do niej chodzić – powiedział Chris.

Upuściłem sobie klucz nasadowy na stopę.

Jessie zaczęła chodzić do naszej szkoły w pewien wiosenny wtorek. Czułem się skrępowany i niepewny, nawet kiedy roześmiała się z żartu, który nieumyślnie powiedziałem. Jej śmiech był niski i gardłowy i pomyślałem, że to jeden z najfajniejszych dźwięków, jakie kiedykolwiek słyszałem.

Wyglądało na to, że Carter i Kelly nawet ją polubili, ale między lekcjami wciąż nie odstępowali mnie na krok, a na przerwie obiadowej otoczyli mnie jeszcze ciaśniej niż zwykle. Przypuszczam, że widok musiał się wszystkim wydawać dziwny. Trzech wielkich chłopaków stłoczonych na jednej małej ławeczce i siedząca naprzeciwko nich dziewczyna, mająca tyle przestrzeni, ile dusza zapragnie. Uniosła brwi, ale Carter i Kelly nie chcieli się przenieść, a ja wyjaśniłem jej później, że tacy już po prostu są.

– Opiekuńczy? – spytała, obserwując ich uważnie.

– Można tak powiedzieć. Chłopaki, no, dajcie spokój.

Obrzucili mnie gniewnym spojrzeniem, nim przenieśli je na Jessie. Roześmiała się im w twarz. Później, po szkole, poszła ze mną do warsztatu. Zarumieniłem się, kiedy otarła się o mnie ramieniem. Przytrzymałem jej drzwi, a ona nazwała mnie džentelmenem. Potknąłem się o własne stopy i prawie przewróciłem ją na ziemię. Rico powiedział na cały głos, że to musi być miłość.

Słońce już zachodziło, kiedy wracałem do domu, a w mojej głowie kłębiły się myśli o ślicznych dziewczynach i brązowych włosach. Joe czekał na mnie z uśmiechem na ustach. Uśmiech zgasł, kiedy się zbliżyłem.

– Co to jest? – spytał, kiedy się z nim zrównałem.

– Co?

– Ten zapach.

Powęszyłem wokół siebie. Powietrze pachniało tak samo. Lasem i liśćmi, i trawą, i kwitnącymi kwiatami, ostro i intensywnie. Powiedziałem to Joemu.

Pokręcił głową.

– Nieważne. – Uśmiech powrócił na jego wargi, a Joe złapał mnie za rękę i ruszyliśmy w stronę domu. Opowiedział mi ze szczegółami, czego się nauczył, i o tym, że nie może się doczekać, kiedy będzie mógł iść do szkoły razem ze mną, Carterem i Kellym. I czy to drzewo nie wygląda jak tańcząca dama? A widziałem ten kamień z paskiem kryształu biegnącym po boku? A oglądałem ten zwiastun nowego filmu o superbohaterach? Latem musimy iść na niego do kina. A chciałbym zostać na kolację? A chciałbym poczytać wieczorem komiksy?

– Tak, Joe – powiedziałem.

Odpowiedź na wszystkie pytania brzmiała: „Tak”.

W któryś czwartek zebrałem się w końcu na odwagę.

– Ona się będzie na mnie dziwnie patrzeć, a ja zapomnę, jak się oddycha! – jęknąłem do Cartera i Kelly’ego.

– Nie musisz robić nic, na co nie masz ochoty – zauważył Kelly.

– Ale ja m a m ochotę.

– Jesteś pewien? – spytał Carter, a w jego głosie dźwięczało powątpiewanie. – Bo wcale się tak nie zachowujesz. Może daj sobie kilka dni na przemyślenie sprawy?

– Albo tygodni – dodał Kelly.

– Albo lat – powiedział Carter.

– Albo nigdy tego nie rób – stwierdził Kelly.

– Ona tu idzie! – powiedziałem. Może nawet zapiszczałem.

– Cześć, chłopaki. – Jessie posłała nam uśmiech i usiadła przy stołówkowym stoliku.

– Jessie – powiedział Carter, który brzmiał tak, jakby śmiertelnie się nudził.

– Miło cię znowu widzieć – powiedział Kelly, który brzmiał tak, jakby miał na myśli coś zupełnie przeciwnego.

Obaj przysunęli się jeszcze bliżej mnie. Ledwie mogłem oddychać.

– Cześć – przywitałem się. – Wyglądasz... pierwszorzędnie.

Kelly parsknął.

– Dzięki – odparła dziewczyna.

– Więc – powiedziałem.

Cała trójka spojrzała na mnie.

– Jest... coś. Znaczący: dzieje się. W ten weekend.

– Doprawdy? – spytał Carter jak ostatni idiota. – Co niby się dzieje w ten weekend, Ox?

– Różne rzeczy. – Kopnąłem go pod stołem. Nawet mu powieka nie drgnęła.

– Coś i różne rzeczy? – spytała Jessie. – Ekscytujące.

– Może...

– Może co?

– Może chciałabyś... zrobić? Coś i różne rzeczy? Ze mną.

Kelly wydał z siebie jęk. Jessie uśmiechnęła się szeroko.

– Ależ, Oxnardzie Matheson. Ty diable. W sobotę nie mogę, bo razem z Chrisem musimy jechać do domu po mamie. Ale co powiesz na niedzielne popołudnie?

– Wtedy nie może – powiedział Carter.

– Nie mogę? – spytałem.

– Niedzielnny obiad – przypomniał mi Kelly.

– Ach. No cóż. Może mógłbym go opuścić. Tylko ten jeden raz.

Nikt mi nie zabrania iść w następną niedzielę.

Carter i Kelly wlepili we mnie wzrok.

– Brzmi nieźle – powiedziała Jessie. Zarumieniła się, a ja pomyślałem: „Wow”.

– Ale to ty będziesz musiał powiedzieć Joemu – stwierdził Carter.

– Serio – zgodził się z nim Kelly. – Nie chcę być wtedy nawet w tym samym pokoju.

– Joemu? – spytała Jessie.

– Naszemu młodszemu bratu – odparł Carter, jakby to było coś oczywistego.

– Najlepszy przyjaciel Oxa – dodał Kelly, jakby rzucał dziewczynie wyzwanie.

– Kapitalny dzieciak – przyznałem i, nie wiedzieć czemu, poczułem pierwsze ukłucie winy.

– A gdzie on jest? – spytała.

– Uczy się w domu – odparłem. – Zaczyna szkołę w przyszłym roku. – A ja już nie mogłem się doczekać.

– Ile ma lat? – spytała. Wydawała się zdezorientowana.

– Jedenaście.

– Twój najlepszy przyjaciel ma jedenaście lat?

Siedzący po obu moich stronach Carter i Kelly spięli się i zwinęli jak pułapki sprężynowe.

– To takie słodkie – powiedziała Jessie. Uśmiechnęła się do całej naszej trójki.

– Jeden czort – bąknął Carter.

– Nie zapomnij powiedzieć Joemu – przypomniał mi Kelly.

Zapomniałem powiedzieć Joemu. Nie wiem dlaczego. Może przez pracę. I szkołę. I przez to, że po raz pierwszy szedłem na randkę z ładną dziewczyną. Może dlatego, że się rozproszyłem, bo koledzy z warsztatu zaczęli się ze mnie radośnie nabijać, jak tylko się dowiedzieli („Nie zapomnij go zapakować, *papi*”, powiedział Rico. „Bo inaczej Chris wybierze się do ciebie z dubeltówką”). Chris najpierw wyglądał na przerażonego, a potem zaczął mi grozić obrażeniami cielesnymi, jeśli choćby pomyślę o seksie w jakikolwiek sposób, w jakimkolwiek kształcie czy

w jakiegokolwiek formie. Tanner i Gordo tylko śmiali się do rozpuku. Gordo wydawał się szczególnie zadowolony z całej sytuacji).

(Chris wpadł do mnie w sobotę z paczką prezerwatyw i kazał nie wspominać o tym ani słowem. Wyrzuciłem ją do kontenera na śmieci za warsztatem, żeby mama nie znalazła ich w domu. Czułem się zawstydzony).

Ale zapomniałem mu powiedzieć.

Jessie obdarzyła mnie uśmiechem, kiedy zapukałem do drzwi jej mieszkania. Chris starał się, jak mógł, żeby patrzeć na mnie wilkiem, ale za dobrze go znałem. Przewrócił oczami, zmierzwił mi włosy i kazał grzecznie się zachowywać.

I tak też się zachowywaliśmy. Jessie opowiadała mi historie nad talerzem lazanii, która była za sucha. Usłyszałem na przykład, jak w wieku siedmiu lat jechała na koniu, którego spłoszył wąż. Poniósł z nią na grzbiecie i nie zatrzymywał się prawie przez godzinę. Od tamtego czasu nie jeździ już konno, ale uważa, że węże są w porządku.

Upiła łyk wody z kieliszka do wina, jakbyśmy byli dorośli. Jakby to naprawdę było wino, a my bylibyśmy dorośli i robili to samo co dorośli. Zdawało mi się, że trąciła moją stopę swoją. Powiedziała:

– Zdawaliśmy sobie sprawę, że odchodzi. Wiedzieliśmy o tym od dłuższego czasu. Ale kiedy zaczerpnęła tchu po raz ostatni, to i tak zaskoczyło mnie to tak bardzo, że myślałam, że rozpadnę się na kawałki. Ale z czasem zrobiło się lepiej. Dużo szybciej, niż się spodziewałam.

Otworzyłem usta, żeby w zamian podzielić się z nią swoją tragedią, żeby opowiedzieć jej, jak tatko opuścił nas pewnego losowo wybranego dnia, ale nie potrafiłem znaleźć odpowiednich

słów. Nie dlatego, że ich nie było, ale ponieważ nie widziałem powodu, dla którego miałbym się nimi dzielić. Jessie była otwarta i miła, a ja nie wiedziałem, co mam z tym zrobić.

O zachodzie słońca zjedliśmy lody. Spacerowaliśmy po parku, a ścieżki oświetlało białe światło latarni. Jessie wyciągnęła rękę i złapała moją dłoń, a ja zacząłem się jąkać i potknąłem o własne stopy.

Było idealnie. Było tak idealnie. A potem Jessie zapytała:

– Jak się miewa Joe?

A ja odparłem:

– O cholera.

Odprowadziłem ją do domu. Przeprosiłem ją za to, że tak nagle przerwałem naszą randkę. Była zdezorientowana moim zachowaniem, ale odniosła się do tego z sympatią. Powiedziała, że będę jej to mógł wynagrodzić następnym razem, przez co poczułem, że twarz mnie pali. Znów się roześmiała i nim się zorientowałem, co się dzieje, wspięła się na palce, pochyliła w moją stronę i pocałowała mnie delikatnie. Pocałunek był słodki i miły, a ja miałem nadzieję, że z Joem wszystko w porządku.

– Widzimy się jutro? – spytała, gdy się ode mnie odsunęła.

– Jasne – udało mi się jakimś cudem wydukać.

Uśmiechnęła się do mnie i weszła do środka. Dotknąłem warg, bo czułem w nich mrowienie, ale po chwili się opamiętałem.

Do domu miałem trochę ponad trzy kilometry. Nie posiadałem komórki. Nie było nas stać. Całą drogę biegłem. W domu na końcu ulicy paliły się światła. Drzwi otworzyły się, jeszcze zanim dopadłem ganku. W wejściu stanął Thomas. U jego boku tkwił Carter. Obaj wyglądali na gotowych do ataku. Thomas dał krok na

ganek. Jego nozdrza się rozszerzyły i przez chwilę zdawało mi się, że w jego oczach dostrzegam niemożliwy blask, ale wmówiłem sobie, że to pewnie przez oświetlenie. Nic więcej.

Carter dopadł do mnie w ułamku sekundy, obmacywał mi głowę i szyję.

– Wszystko w porządku? – spytał głębokim głosem. – Co cię tak przerażyło? Co się stało?

Właśnie wtedy zdałem sobie sprawę, że byłem przerażony. Dlatego, że zawiodłem przyjaciela.

– Nikt nie szedł jego tropem – powiedział Thomas i stanął obok syna. Czułem ciepło bijące od nich obu.

– Nie jest ranny – stwierdził Carter. Położył mi dłonie na ramionach i spojrzał w oczy. – Czy ktoś cię skrzywdził?

Pokręciłem głową.

– Joe – odparłem. – Joe. Zapomniałem. On...

– Aha – powiedział Thomas. – To wszystko wyjaśnia.

Carter opuścił ręce i cofnął się o krok. Teraz wyglądał już tylko na poirytowanego.

– Ależ z ciebie dupek, Ox.

– Carter – warknął na niego ojciec, kiedy się wzdrygnąłem. – Wystarczy.

– Ale on...

– D o ś ć.

Gdy z jego ust padło to jedno słowo, zapragnąłem jedynie wszystko naprawić. Zrobić, cokolwiek Thomas by mi nakazał. I nie potrafiłem pojąć dlaczego.

Carter westchnął.

– Przepraszam, Ox. Po prostu chodzi o to, że... Joe, stary. No, Joe to Joe.

Zwiesiłem głowę.

– Tato – powiedział cicho. – Nie uważasz, że powinien w końcu poznać prawdę? Należy do watahy.

– Do środka – odparł Thomas.

Carter nie odezwał się już słowem. Wszedł z powrotem na werandę, a potem do domu i zamknął za sobą drzwi.

– Wszystko z nim w porządku? – spytałem mężczyznę, choć nie umiałem spojrzeć mu w oczy.

– Będzie – odparł.

– Nie chciałem...

– Wiem, Ox.

Podniosłem wzrok. Nie był zły. Tylko smutny.

– Odprowadzę cię do domu.

Miałem zamiar mu się postawić. Powiedzieć, że chciałbym zobaczyć Joego chociaż przez chwilę, aby mi powiedzieć, że mi przykro. Ale ton Thomasa nie pozostawiał miejsca na kłótnie, więc kiwnąłem tylko głową i poszedłem za nim, powłócząc nogami po gruntowej drodze.

– Miła jest? – spytał Thomas.

– Kto?

– Ta dziewczyna.

Wzruszyłem ramionami.

– Jest w porządku. Wydaje się, że to dobry człowiek.

– A takich nie miałeś wielu w swoim życiu – spytał, choć nie było to pytanie.

– Teraz już mam – odpowiedziałem szczerze. Bo tak właśnie było.

– Zgadza się – potwierdził. – Czasami zapominam, że masz tylko szesnaście lat. Twoja dusza jest bardzo stara, Oxnardzie.

Nie wiedziałem, czy to dobrze, czy źle, więc nic nie powiedziałem.

– Lubisz ją?

– No, chyba.

– Oх.

– Tak, lubię.

– Dobrze – stwierdził. – To dobrze. Elizabeth i ja poznaliśmy się, kiedy miałem siedemnaście lat. Ona miała piętnaście. Nigdy nie istniała dla mnie żadna inna.

– Ale... Joe. On...

– Joe... – westchnął. – Joe się zasmucił. Nie mówię tego, byś poczuł się źle, Oх, nie zrozum opacznie moich intencji, proszę. Joe jest... inny. Po tym wszystkim, co mu się przydarzyło, może być tylko inny.

– Gordo powiedział... – przerwałem w pół zdania, ale już było za późno.

Thomas przekrzywił głowę i popatrzył na mnie.

– A cóż takiego p o w i e d z i a ł Gordo? – spytał. Jego głos brzmiał groźniej, niż kiedykolwiek wcześniej słyszałem.

– Że ktoś go skrzywdził – wyszeptałem, patrząc na własne dłonie. – Nie dałem sobie powiedzieć więcej.

– Dlaczego?

– Bo... nie miał prawa mi tego mówić. A ja nie mam prawa, by czegokolwiek się dowiedzieć. I szczerze mówiąc, nie wiem, czy mi na tym zależy. Ale nie dlatego, że nie zależy mi na nim, tylko

dlatego, że chcę być jego przyjacielem niezależnie od tego, jak bardzo mnie potrzebuje. – Pogrzebałem czubkiem buta w nawierzchni drogi. – I będę jego przyjacielem tak długo, jak mi na to pozwoli.

– Ox, popatrz na mnie.

Podniosłem wzrok. Nie powstrzymałbym się przed tym, nawet gdybym chciał. Jego ciemne oczy były większe, niż kiedykolwiek widziałem. I wtedy zaczął mówić, głosem spokojnym i łagodnym. Jego słowa zalały mnie niczym wody rzeki. Nie mogłbym go powstrzymać od mówienia, choćbym nie wiem jak chciał. Choćbym nie wiem jak bardzo pragnął, żeby zamknął te pieprzone usta.

Joe został porwany przez człowieka, który chciał skrzywdzić Thomasa i jego rodzinę. Przetrzyzymał go przez wiele tygodni. Krzywdził go. Fizycznie. Psychiczenie. Połamał mu paluszki u rąk. Paluszki u stóp. Złamał mu rękę. Połamał zebra. Sprawiał, że Joe płakał, krwawił i krzyczał. Czasem do nich dzwonił. Ten zły człowiek. Dzwonił do nich, a w tle słyszeli, jak Joe mówi, że chce wrócić do domu. Chciał tylko wrócić do domu.

Osiem tygodni. Odnalezienie Joego zajęło im osiem tygodni. W końcu się udało. Ale mały przestał mówić. Rozpoznawał ich. Swoją rodzinę. Zazwyczaj. Płakał bezgłośnie, a jego ramiona i plecy drżały.

Ale nie mówił. Nawet kiedy koszmary przybrały na sile i Joe budził się z krzykiem w środku nocy, rzucając się na łóżku i usiłując uciec od złego człowieka, wciąż nic nie mówił.

Posłali go na terapię. Nie pomogła. Nic nie było w stanie sprawić, by się odezwał.

– Dopóki nie spotkał ciebie – powiedział Thomas.

Najwidoczniej nie byłem jeszcze mężczyzną, bo spod całego nagromadzonego gniewu wymknęła się łza, która spłynęła mi po policzku.

– Kto? – spytałem, a to jedno słowo zabrzmiało jak trzęsienie ziemi.

– Człowiek, który chciał dostać coś, czego nie mógł mieć – odparł Thomas.

– Zabiłeś go?

Oczy mu pociemniały.

– Dlaczego pytasz?

– Bo jeśli ty tego nie zrobisz, zrobię to ja. Złamię go i sprawię, by cierpiał.

– Zrobiłbyś to?

– Dla Joego? Tak.

– Jesteś o wiele bardziej skomplikowany, niż się wydaje na pierwszy rzut oka – odparł Thomas. – Masz tyle różnych warstw. I kiedy już mi się wydaje, że dotarłem do dna, odsłania się kolejna i okazuje się, że sięgają jeszcze głębiej.

– Mogę go zobaczyć?

– Daj mu kilka dni, Ox. – Thomas położył mi rękę na ramieniu i delikatnie ścisnął. – Sam cię znajdzie, kiedy będzie gotowy. A ty dbaj o swoją dziewczynę. Zasluguje na to.

Oblałem się rumieńcem.

– Ona nie jest moją dziewczyną – wybąkałem.

– Mogłaby być.

– Może. Czy jestem częścią twojej watahy?

Po raz pierwszy, odkąd go poznałem, udało mi się wziąć Thomasa Bennetta z zaskoczenia. Jego oczy zrobiły się ogromne, a on sam

zrobił krok do tyłu i spytał:

– Słucham?

– Twojej watahy. Czy jak to tam Carter powiedział.

Nie odrzekł nic, a ja zastanawiałem się, czy nie przekroczyłem jakiejś granicy, o której istnieniu nawet nie wiedziałem.

– Nie chciałem... – Umilkłem niepewny, jak dokończyć zdanie.

Thomas spytał:

– A co według ciebie oznacza wataha?

– Rodzinę – odparłem bezzwłocznie.

Uśmiechnął się.

– Tak, Ox. Jesteś częścią mojej watahy.

Carter i Kelly nie przyszli następnego dnia do szkoły. Martwiłem się. Zazwyczaj jeździłem z nimi na lekcje. Ale rano ich nie było, więc prawie się spóźniłem. Mama mnie podrzuciła.

– Jestem pewna, że wszystko w porządku – powiedziała Jessie i ścisnęła moją dłoń, kiedy usiedliśmy razem w porze lunchu. Starąłem się, jak mogłem, żeby się uśmiechać, kiedy ona mówiła. Że Green Creek spodobało jej się bardziej, niż sądziła. Że już nie może doczekać się lata. Że bardzo tęskni za mamą. Zastanawiała się, jak długo strata będzie boleć, a ja odparłem, że nie wiem, choć chciałem powiedzieć, że najpewniej będzie boleć już zawsze. Pocałowała mnie w policzek, zanim poszedłem do pracy.

Chłopacy z warsztatu nabijali się ze mnie bez litości. Chris powiedział, że Jessie wróciła poprzedniego wieczoru do domu cała w skowronkach.

– Ox jest taki m a r z y c i e l s k i – powiedział wysokim falsetem.

– T e o c z y, t e n u ś m i e c h, n o i t e n ś m i e c h. O mój Boże!

Poczerwieniłem wściekle i próbowałem skupić się na wymianie oleju.

– Spójrzcie na niego! – powiedział Rico radośnie. – Wygląda jak pomidor!

– Nasz ukochany chłopczyk dorasta – westchnął Tanner.

Spytałem:

– Gdzie jest Gordo?

W gabinecie panowały ciemności.

– Wziął wolne – odrzekł Rico. – Musiał się zająć jakąś sprawą.

– Jaką sprawą? – Nie przypominałem sobie, żeby coś wspominał.

Nigdy nie brał wolnego w poniedziałki.

– Nie zaprzataj tym sobie tej ślicznej główki – odparł Tanner. –

Skup się na tym, żeby zaimponować swojej dziewczynie.

– Ona nie jest moją dziewczyną!

– Taa – zauważył Chris. – Spróbuj powiedzieć to j e j.

Joe nie czekał na mnie na gruntowej drodze. Dom na końcu ulicy był pogrążony w ciemności, jakby nikogo w nim nie było. Zastanawiałem się, czy nie zapukać do drzwi, ale w końcu poszedłem do domu. W moim pokoju na półce siedział kamienny wilk. Wziąłem go do ręki i zdałem sobie sprawę, że Thomas nie

odpowiedział mi na pytanie dotyczące złego człowieka, który skrzywdził Joego. Nie dowiedziałem się, czy wciąż żyje.

Następnego ranka usłyszałem dochodzący sprzed domu dźwięk klaksonu. Carter i Kelly czekali na mnie w samochodzie. Poczułem zdenerwowanie.

– Cześć, Ox – powiedzieli, kiedy usadowiłem się na przednim siedzeniu. Kelly siedział za mną.

– Cześć – odparłem. Nerwowo wyłamywałem sobie palce.

– Z Joem wszystko w porządku – oznajmił Carter, kiedy podskakiwaliśmy na polnej drodze.

Wypuściłem powietrze.

– Jesteś pewien?

– Na pewno będzie.

Kelly dodał:

– Już my się o to postaramy.

A ja odparłem:

– Wasz tata mówi, że jestem częścią waszej watahy. – Chciałem się upewnić, że oni też tak uważali.

Carter nacisnął gwałtownie na hamulec. Pas bezpieczeństwa zacisnął się wokół mojej klatki piersiowej. Ramiona Kelly'ego oplotły mnie od tyłu i mocno uściśniły. Carter pochylił się w moją stronę i potarł czołem o moje ramię.

– Oczywiście, że jesteś – powiedział, a Kelly zamruczał na potwierdzenie, podczas gdy jego ramiona zacisnęły się wokół mnie jeszcze mocniej.

Później nie mówiliśmy już wiele i to było w porządku.

Carter roześmiał się z czegoś, co powiedziała Jessie. Nawet Kelly się uśmiechnęła. Poczujęm się oszołomiony.

Gordo był w warsztacie. Jak tylko przeszedłem przez próg, stanął przede mną. Pod oczami miał wielkie wory, wyglądał blado. Nawet tatuaże na jego ramionach zdawały się wyblakłe.

– Wszystko gra? – spytałem.

Pokiwał głową.

– Tak. A u ciebie? – W jego głosie pobrzmiwał ból.

– Nie było cię tu wczoraj.

– No.

– Stary, może powinieneś wrócić do domu. Nie wyglądasz najlepiej.

– Ale czuję się już lepiej – powiedział, a potem mnie przytulił.

Nie robiliśmy tego często, więc się zdziwiłem. Ale mimo to odwzajemniłem uścisk, bo przecież to był Gordo. Włożyłem w ten gest wszystko, co mogłem, bo musiałem.

– Załatwię ci telefon – wymamrotał. – Komórkę. Wkurza mnie, że jej nie masz. Nawet nie mogłem do ciebie zadzwonić.

– Hej, nie. Nie musisz...

– Zamknij się, Ox.

Zrobiłem, jak kazał.

Joe nie czekał na mnie na gruntowej drodze. W domu na końcu ulicy paliły się światła. Byłem teraz co prawda częścią watahy, ale poszedłem do swojego domu. Zasnąłem, ściskając w dłoni kamiennego wilka.

Gdy następnego dnia rano wsiadłem do samochodu, Carter i Kelly uśmiechnęli się do mnie. Chciałem ich zapytać o te osiem tygodni, w trakcie których nie widziałem Joego, ale słowa stanęły mi kością w gardle. Obaj znaleźli taki czy inny sposób, żeby mnie dotknąć. Klepięcie w plecy. Dłoń położona na piersi. To powinno być dla mnie oczywiste. Powinno być dla mnie oczywiste, kim byli, jednak nie doszukiwałem się niczego niesamowitego ukrytego pod tym, co zwyczajne.

– Jak się miewa Joe? – spytała Jessie podczas lunchu, a Carter i Kelly zamarli.

– Dawno go nie widziałem – bąknąłem.

Wyglądała na zdezorientowaną.

– Dlaczego?

– Jest chory – odrzekł Carter, nim zdążyłem się odezwać, a Kelly ścisnął pod stołem moją nogę. Nadal tłoczyli się po moich bokach, kiedy jedliśmy.

– Och – powiedziała. – Przykro mi to słyszeć. Mam nadzieję, że mu się poprawi.

– Z pewnością – powiedziałem. Najwyraźniej położyłem zbyt duży nacisk na wypowiedane słowa, bo spojrzała na mnie z dziwnym wyrazem twarzy.

Carter i Kelly przycisnęli się do mnie i wiedziałem, co chcą mi przekazać.

Gordo wręczył mi telefon komórkowy. Nie był wymyślny. Był funkcjonalny. Był niesamowity. Gordo wpisał na listę kontaktów swój numer, numer warsztatu, restauracji mamy i numery pozostałych chłopaków.

– Noś go przy sobie, dobra? Ale ani mi się waży używać podczas lekcji, chyba że w razie nagłego wypadku.

Pokiwałem głową i delikatnie dotknąłem wyświetlacza.

– Mam swój własny numer telefonu? – spytałem z podziwem.

Gordo się do mnie uśmiechnął. Tym swoim nikłym uśmiechem, który, jak wiedziałem, był zarezerwowany tylko dla mnie.

– Jasne, stary. Masz swój własny numer telefonu.

Powiedziałem:

– Dzięki, Gordo. – I przytuliłem go jeszcze raz.

Zaśmiał mi się do ucha, a ja zapomniałem, że przez krótki czas czułem do niego nienawiść.

W środę Joego znów nie było na drodze.

Carter i Kelly nalegali, żebym wpisał ich numery telefonu do kontaktów. Podali mi także numery swoich rodziców. I Joego, bo najwyraźniej on też posiadał telefon, chociaż miał tylko jedenaście lat. Nie wiedziałem, po co takim małym dzieciom są potrzebne telefony, ale jak tylko dostałem jego numer, zacząłem się w niego wpatrywać. Nie potrafiłem rozgryźć, jak się wysyła SMS-y, więc nie zrobiłem zupełnie nic.

Chris mi powiedział, że Jessie daje mu do zrozumienia, że powinienem znów gdzieś ją zaprosić. Przewróciłem oczami, kiedy reszta chłopaków zaczęła się śmiać i gwizdać.

Szedłem drogą do domu. Kurz wznosił się niewielkimi chmurkami, kiedy powłóczyłem nogami. Niebo było szare, a chmury straszyły deszczem.

I nagle go zobaczyłem. Stał tam. Z szeroko otwartymi, błyszczącymi oczami.

Znałem go już od niemal roku. Urósł od naszego pierwszego spotkania. Jego bracia wciąż nazywali go cherlakiem, ale nie sądziłem, żeby ta sytuacja miała się długo utrzymać. Już wkrótce miał się stać tak duży jak pozostali. W końcu należał do rodziny Bennettów.

Nie spuszczał ze mnie wzroku, kiedy szedłem powoli w jego stronę, niepewny, jak się zachować. Nie wyciągnął do mnie ręki, kiedy się zbliżyłem. Jakaś część mnie chciała być na niego wściekła

i wykrzyzczyć: „To był tylko jeden pieprzony obiad, opuściłem tylko jeden dzień, to nie fair, to nie fair, nie możesz zachowywać się w ten sposób!”. Ta część była mała, ale była i nienawidziłem się za to.

A potem on się odezwał:

– Hej, Ox – powiedział to głosem tak cichym, tak do niego niepodobnym, że wszystkie negatywne uczucia uleciały.

Odparłem zatem:

– Cześć, Joe. – Mój głos brzmiał nieco szorstko.

Chłopiec wyglądał, jakby chciał wyciągnąć rękę i dotknąć mojej dłoni, ale się powstrzymał. Czekałem, nie chciałem na niego naciskać.

Powiedział:

– Chciałem cię zobaczyć. – Spuścił wzrok na swoje stopy i kopnął zeschnięty liść. Gdzieś tam ptak zaśpiewał pieśń, która wywoływała ból.

Powiedziałem jedyną rzecz, która przyszła mi na myśl:

– Dostałem komórkę. Mam twój numer. Nie wiem, jak się pisze SMS-y. Mógłbyś mnie nauczyć? Bo chciałbym coś do ciebie napisać, ale nie wiem jak.

Spojrzał na mnie tymi wielkimi oczyskami, a jego dolna warga zadrżała.

– Jasne, jasne. Mogę cię nauczyć. To nic trudnego. Kochasz ją?

Odparłem:

– Nie. Nie znam jej na tyle dobrze.

I wtedy wskoczył mi w ramiona, owinął się wokół mnie i zaczął wypłakiwać mi się w szyję. Trzymałem go mocno i chyba nie byłem jeszcze mężczyzną, bo moje oczy też zaczęły przeciekać. Powiedziałem mu, że strasznie mi przykro, że nie pojawiłem się

wtedy na niedzielnym obiedzie i że to się już nigdy nie powtórzy, bo on jest Joem, a ja jestem Oxem, i tak to już jest.

Trząśł się i łkał, a moja szyja zaczęła się kleić, ale w końcu się uspokoił i zwinął na mojej piersi. Kiedy już się ułożył, nabrał głęboko powietrza, jakby chciał wciągnąć w nozdrza każdą cząstkę mnie. Zaniósłem go do domu.

Cała rodzina na nas czekała, kiedy dotarliśmy do domu na końcu ulicy. Joe spał z buzią wciśniętą w zagłębienie mojej szyi, ręce zwisały mu luźno po bokach ciała.

– Był zmęczony – powiedziałem tytułem wyjaśnienia, a pomyślałem: „wataha”.

– Stęsknił się za tobą – powiedziała Elizabeth, a jej głos emanował ciepłem. – My także.

– Przepraszam – odrzekłem.

– Nie masz za co przeproszać – stwierdził Mark.

Zmarszczyłem brwi.

– To nieprawda. Ja...

– Ox?

Przeniósłem wzrok z powrotem na Elizabeth.

– Masz szesnaście lat – zauważyła. – Wolno ci chodzić na randki.

Mógłbyś po prostu ostrzec zawczasu Joego, dobrze?

Pokiwałem głową.

– Głodny? – spytała.

Znów skinąłem, chociaż tak naprawdę nie miałem ochoty nic jeść. Chciałem tylko wejść do środka razem z nimi wszystkimi.

– Może zanieziesz go na górę, a ja w tym czasie podgrzeję resztki obiadu? A potem będziesz nam mógł opowiedzieć o tej swojej ślicznotce.

Ruszyłem za nimi do domu.

Zostałem z Joem. Przez chwilę. Tylko po to, żeby się upewnić, że nie będzie miał złych snów.

Następnego dnia nauczył mnie, jak się pisze SMS-y. Był moim pierwszym adresatem.

cześć joe tu ox dzięki za pomoc

Wklepanie tekstu zajęło mi pięć minut, bo moje paluchy były za duże. Nie pozwoliłem mu czytać, kiedy pisałem, wciąż trafiając w niewłaściwe przyciski. Niemal natychmiast po tym, jak skończyłem, jego telefon brzdęknął, a mnie zadziwiła szybkość, z jaką można przesyłać słowa. Ta myśl napawała mnie strachem. Joe odczytał wiadomość i śmiał się tak mocno, że aż spadł na podłogę, a w jego oczach pojawiły się łzy.

Później tamtego wieczoru dostałem swojego pierwszego SMS-a:

Ty też mi pomogłeś

pazury i kły / śmiech w głos

Skończyłem siedemnaście lat i pożegnałem się z przedostatnią klasą ogólniaka. Przede mną były trzy bite miesiące pracy, watahy i Jessie. Nie dowierzałem, że wszystko układa się tak, jak się układało. Wydawało się, że jest zbyt pięknie. Za bardzo jak we śnie.

Przez chwilę wszystko było normalnie.

Gordo powiedział:

– Dobrze będzie mieć cię tu z powrotem przez cały dzień.

Mama powiedziała:

– Chyba powinniśmy pogadać o kupieniu ci jakichś czterech kółek, co? Jestem pewna, że Gordo mógłby nam w tym pomóc.

– Wszystkiego najlepszego! – wykrzyknęli wszyscy.

Carter powiedział:

– Naprawdę muszę zaliczyć.

Kelly odparł:

– Nie chciałem tego słyszeć.

Tanner spytał:

– Mógłbyś zadzwonić do pani Epstein i dać jej znać, że skończyliśmy naprawiać jeepa? Rozjebałem sobie kłykcie i krew się ze mnie leje jak z zarzynanej świni.

Elizabeth powiedziała:

– Zielona faza już za mną. Najwyższy czas. Myślę o Picassie i błękie. Co o tym sądzisz, Ox?

Rico powiedział:

– Cieszę się, wróciłeś na cały etat, *papi*. Gordo robi się znacznie miłszy, kiedy jesteś w pobliżu.

Thomas spytał:

– Słyszałeś o Platonie i alegorii jaskini? Nie? Nie szkodzi. Po prostu nie wierz w to, że cienie to jedyne, co istnieje naprawdę.

Chris mnie poinformował:

– Ona cię lubi, Ox. Bardzo cię lubi. Nie złam jej serca, bo w przeciwnym wypadku ja będę musiał połamać ci kończyny. A jeśli ona złamie ci serce, to mi powiedz, a skopię jej dupsko. Z rodziną nie można lecieć w chuja.

Mark oznajmił:

– Każdego dnia sprawiasz, że jest z nim odrobinę lepiej. Ox, tak się cieszę, że cię znaleźliśmy.

Joe powiedział:

– Ox! Hej! *M u s i s z* ze mną *i ś c w t e j c h w i l i*. Znalazłem te... jak im tam... *d r z e w a i o n e s ą o b ł ę d n e*, i moglibyśmy zrobić z nich fort albo coś w tym stylu. Sam nawet nie wiem! *M u s i s z* przyjść i je *z o b a c z y ć*.

Jessie oświadczyła:

– Myślę, że powinniśmy zacząć uprawiać seks.

Wlepiłem w nią gały:

– Że co?

– Powinniśmy zacząć uprawiać seks.

Powiedziałem pierwszą rzecz, która przyszła mi do głowy:

– Twój brat mnie z a m o r d u j e.

Przewróciła oczami i wciągnęła stopy na moje łóżko. Miała takie smukłe palce. Nie wiem, dlaczego tak mnie fascynowały. Paznokcie pomalowała na czerwono. Na taki odcień czerwieni, który wydawał mi się seksowny.

– Jesteśmy już na tyle dorośli, żeby popełniać własne błędy – stwierdziła.

– Yyy, mamy po siedemnaście lat. I nie jestem pewien, czy nazwanie tego błędem to najlepszy sposób, by mnie zbałamucić.

Roześmiała się i szturchnęła mnie w ramię.

– Zbałamucić? O Jezusie.

– Więc – powiedziałem.

Uniosła brew.

– Może? – Dłonie miałem spocone, a gardło wyschnięte. – A może nie.

– To... jasne. Jak zawsze.

– Nie jestem... dobry. W robieniu różnych rzeczy.

Odparła:

– To kompletna bzdura.

I zostałem zbałamucony.

Po wszystkim leżeliśmy na moim łóżku, spoceni i zaspokojeni. Robiłem jej różne rzeczy ustami, a ona robiła ustami różne rzeczy mnie, ale nie mieliśmy prezerwatyw, więc nie zrobiliśmy wiele więcej. Nie miało to jednak znaczenia, bo w moim umyśle zapanowały szczęście i pustka. Przypominał mi stary telewizor,

który tatko trzymał w garażu. Łapał wyłącznie zakłócenia. Biały szum. Byłem zapomnianym, popsutym telewizorem zagrzebanym pod wieloletnią warstwą wspomnień. Roześmiałem się na tę myśl, a kiedy Jessie zapytała mnie, co mnie tak rozbawiło, odpowiedziałem:

– Nic.

– Co to jest? – spytała.

Nie widziałem miejsca, które wskazywała.

– Co?

– Ten taki pies. – Podniosła się ze mnie.

– Hmm? – zapytałem. Kanały wciąż się dostrajały. Pomyślałem, że muszę owinąć folią aluminiową swoją antenę pokojową.

– Ciężkie – powiedziała cicho.

I nagle wszystko stało się ostre jak brzytwa. Usiadłem szybko i wyrwałem jej figurkę z ręki.

– Ox – pisnęła zdezorientowana.

– To jest... Ja nie... – Nie chciałem, żeby dotykała wilka. Nie chciałem, żeby kiedykolwiek dotykał go ktokolwiek poza mną. Tylko nie potrafiłem znaleźć słów (powodów), by to zwerbalizować.

– Wygląda na stare – stwierdziła w końcu.

– Joe mi to dał. Na urodziny.

– Joe – westchnęła. – Czy kiedykolwiek go poznam?

– Może.

– Może? To twój najlepszy przyjaciel, Ox. A ja jestem twoją dziewczyną. Przedstawiłam cię swoim przyjaciółkom. –

Rzeczywiście tak było. Przedstawiła mnie paru dziewczynom z naszej szkoły, które poznała na zajęciach. Cassie i Felicia, i ktoś tam. Nie bardzo sobie radziłem z nowo poznanymi ludźmi.

Wydawały się miłe, ale widziałem, jak strzelały oczami w tę i z powrotem pomiędzy Jessie a mną, myśląc: „Serio?”.

– Znasz Cartera i Kelly’ego.

– Ox.

– Ale to... Joe.

– Wiem.

– Nie zawsze jest z nim dobrze.

– To też wiem. Chodzi o to coś, o czym nikt nie chce mi powiedzieć.

Przełknąłem ślinę, żeby utrzymać gniew na wodzy. Gniew na nią.

– Nie musisz nic o tym wiedzieć.

Skrzywiła się.

– Udam, że przed chwilą nie zachowałeś się jak dupek. Dlaczego on nigdy tu nie przychodzi? Dlaczego żaden z nich nie odwiedza cię w domu?

– Łatwiej iść tam.

– To dziwne, Ox.

Odłożyłem kamiennego wilka i westchnąłem.

– Ona chce cię poznać.

Joe odparł:

– Aha.

– Wie, ile dla mnie znaczysz.

Joe spytał:

– Poważnie?

– Nie pozwolę, żeby ktokolwiek cię skrzywdził.

Joe odparł:

– Wiem.

– Możesz odmówić.

Podniósł wzrok i spojrzał na mnie. Promienie słońca przeświecające przez gałęzie drzew smagały jego twarz, kiedy wędrowaliśmy polną drogą. Jego dłoń emanowała ciepłem w mojej.

– Zależy ci na niej?

– Tak.

– Zależy ci na mnie?

– T a k.

– W porządku – oznajmił.

– W porządku?

Wzruszył ramionami.

– W porządku.

Przyszła na niedzielny obiad na początku lipca. Denerwowała się. Powiedziałem jej, że nie musi. W letniej sukience wyglądała ślicznie. Sukienka była żółta, a ona – złocista. Dotknąłem jej włosów. Jej buzia wydawała się taka drobna obok mojej dłoni.

– Ale oni są twoją rodziną – powiedziała, kiedy szliśmy w stronę domu na końcu ulicy. Jej słowa wypełniły mnie takim ciepłem, że ledwie mogłem oddychać.

– Poznałaś przecież moją mamę – wydukałem w końcu.

– To co innego i dobrze o tym wiesz.

Frontowe drzwi domu Bennettów otworzyły się, jeszcze zanim doszliśmy do werandy, jak zawsze, jakby zawsze wiedzieli, że nadchodzę. Joe wypadł przez drzwi. Na mój widok jego buzię rozjaśnił szeroki uśmiech. Kiedy przyjrzał się Jessie, na jego twarzy

pojawił się jakiś o wiele bardziej skomplikowany wyraz, którego nie potrafiłem rozgryźć. Lewa dłoń chłopca zwinęła się w pięść, a następnie rozluźniła.

– Hej, Ox – przywitał się.

– Cześć, Joe.

Nie przytulił się do mnie, jak to miał w zwyczaju. Został na ganku. Wyglądał niepewnie. Wypuściłem dłoń Jessie i zrobiłem krok w przód. Zeskoczył ze schodków i wpadł na mnie z impetem, przyciskając nos do mojej szyi. Roześmiałem się i mocno go przytuliłem.

– W porządku? – wyszeptałem.

Wzruszył ramionami. Po chwili skinął głową. Potarł czołem o moje ramię. Jessie już chciała ruszyć w naszą stronę, ale pokręciłem głową, więc się zatrzymała. W końcu Joe zsunął się ze mnie. Schwycił moją dłoń i stanął sztywno u mojego boku.

– Cześć – bąknął do Jessie. Zerknął na jej twarz, potem odwrócił wzrok. Następnie wbił go w ziemię.

– Cześć, Joe – przywitała się Jessie. – Tyle o tobie słyszałam. Cieszę się, że mogę cię w końcu poznać.

– Ja też – odrzekł, po czym się skrzywił, bo nie zabrzmiało to ani trochę przekonująco. – Przepraszam.

– Nie ma za co – odparła. – Nie masz za co przeproszać.

Wciągnął mnie do domu, a Jessie weszła za nami.

Widziałem, że Jessie nie rozumie Bennettów. Nie tak jak ja. Dotykali mnie. Cała rodzina. Uściski, poklepywanie po karku, włosach, ramionach i plecach. Byłem do tego przyzwyczajony. Ona nie.

Thomas i Elizabeth uśmiechali się do niej ciepło, lecz jej nie dotykali. Nie wyciągali w jej stronę rąk. Nie całowali jej policzków.

Ich zachowanie nie było niegrzeczne. Ani powściągliwe. Podczas kolacji śmiali się wraz z nią. Zachęcali ją do snucia opowieści. Zapraszali ją do rozmowy. Dbali o to, by żarty rodzinne (dotyczące watahy) nie zaszły na tyle daleko, by się pogubiła. Ale jej nie dotykali.

Zająłem swoje zwyczajowe miejsce obok Joego. Jessie siedziała po mojej drugiej stronie, na miejscu, które zazwyczaj było zarezerwowane dla mojej mamy. Czasami Joe się odzywał. Czasami wyglądał na nieobecnego. Zdawało mi się, że raz usłyszałem, jak warknął, ale odwrócił wzrok. Dłonie trzymał po bokach zwinięte w pięści. Potem je rozluźnił. Ramiona miał przygarbione i robił taką minę, jakby coś go bolało.

– Co się dzieje? – spytałem ze ściągniętymi brwiami.

– Tylko zeszywniałem – bąknął. Jego głos brzmiał nisko i szorstko.

– Chory jesteś?

Pokręcił głową.

Kiedy podniosłem wzrok, ujrzałem, że przyglądają nam się Mark, Elizabeth i Thomas. Carter i Kelly rozmawiali z Jessie. Troje dorosłych swoimi żywymi oczami dawało mi odpowiedzi, których nie potrafiłem zrozumieć.

Joe nabrał powietrza do płuc, po czym powoli je wypuścił. A potem się uśmiechnął. Miał tak dużo zębów.

– Są... dziwni – stwierdziła Jessie, nim wsiadła do swojego samochodu.

Spojrzałem na nią spode łba.

– Wcale że nie.

– Oo, no, trochę są.

– Bądź miła.

– Nie jestem wredna. Wiem, że jesteś wobec nich opiekuńczy, ale wokół nich roztacza się taka... aura. Nie wiem, jak inaczej to wyjaśnić.

– To moja wataha.

Jej czoło pokryły zmarszczki.

– Wataha?

– Miałem na myśli: rodzina.

Pocałowała mnie w usta.

– Joe jest całkiem fajny – powiedziała cicho.

– Wiem.

– Ale nie bardzo mnie lubi.

Ściągnąłem brwi.

– Nie no, polubił cię. Po prostu wiele przeszedł.

– Nie dostrzegasz tego, prawda? – Wydawała się rozbawiona.

– Czego nie dostrzegam?

– Że jest wobec ciebie bardzo opiekuńczy.

– To mój przyjaciel.

– Aha – odparła. Uśmiechnęła się łagodnie. A potem odjechała.

Teraz już wiedziałem, jak się pisze SMS-y.

Środa:

cześć jestem w pracy

Cześć, Ox! Ile czasu Ci zajęło napisanie tego lol

co to lol

Kupa śmiechu

aha nie jestem w tym za dobry lol

Nieźle Ci idzie. Przysięgam

Piątek:

Chciałbyś obejrzeć z nami film dziś wieczorem?

nie mogę jessie chce gdzieś wyjść

Aha. OK!

ty też chodź

Chcesz, żebym z Wami poszedł?

tak

Zapytam mamę!!! =D

co to

Uśmiechnięta buźka

lol

Czwartek:

Mama prosiła, żebym Ci przypomniał, że to nasz czas dla rodziny. Nie będzie nas przez kilka dni

ok

Szkoda, że nie możesz być z nami

ja też żałuję

Pewnego dnia. Obiecuję <3

co to

Mniejsza z tym. Wkrótce się odezwę.

Niedziela:

Wróciliśmy!

*cieszę się że jesteś bezpieczny
Tak. Nie jestem dzieckiem Ox
jesteś dzieckiem
Jak sobie chcesz. Przyjdiesz na obiad?
jest niedziela oczywiście że przyjdę
Weźmiesz ze sobą Jessie?
nie ma coś do zrobienia
Wtorek:
co byś chciał dostać na urodziny
Został jeszcze ponad miesiąc!
no to co chcesz
Prostak
joe powiedz mi co byś chciał
Wszystko!
ok da się załatwić <3
Co
Ox.
Ox!*

Była druga nad ranem, kiedy rozdzwonił się mój telefon.

- He? – wymruczałem do słuchawki.
 - Ox. – Mark wydawał się zdenerwowany.
- Sen uleciał w jednej chwili.
- Co się stało?
 - Chodzi o Joego.

Zerwałem się z łóżka i natychmiast zacząłem myszkować w poszukiwaniu rzuconych na podłogę bokserek.

– Wszystko z nim w porządku?

– Nie. Miał koszmar. Nie możemy go uspokoić. Sądzę, że jesteś mu potrzebny.

– Jasne. Już pędzę.

W drzwiach przywitał mnie Carter. Nie zdążył nawet otworzyć ust, nim usłyszałem głośny wrzask dochodzący z wnętrza domu. Przepchnąłem się obok niego, mówiąc:

– Joe.

Wykrzykiwałem:

– J o e!

Byłem już na schodach, kiedy znów go usłyszałem.

– Nie! Nie pozwólcie, żeby go zabrał. P r o s z ę, mamó! Proszę, nie pozwólcie, żeby zabrał Oxa. – Głos Joego był złamany i wilgotny, aż serce pękło mi w piersi.

Mark stał przy drzwiach z Kellym. Obaj wpatrywali się we mnie szeroko otwartymi, zmęczonymi oczami. Zignorowałem ich, bo musiałem dostać się do niego. Musiałem go zobaczyć i...

Leżał na swoim łóżku. Thomas i Elizabeth zwinęli się po jego bokach. Twarz miał wtuloną w szyję matki i cały się t r z ą s ł, nad wyraz g w a ł t o w n i e, a kiedy znów krzyknął, chwycił ją mocno, a ja powiedziałem:

– Och, Joe.

Nie zastanawiałem się długo. Sięgnąłem pomiędzy dwoje dorosłych i podniosłem go. Nie warknęli na mnie za to, że obchodzę się w taki sposób z ich synem. Nie próbowali mnie powstrzymać. Twarz Thomasa była ściągnięta z niepokoju. Elizabeth płakała wielkimi kulistymi łzami, które rozorywały mi pierś.

Przez chwilę Joe spał się w moich ramionach, a potem chwycił się mnie, jakby od tego zależało jego życie, oplótł mnie nogami w pasie, a ręce położył mi z tyłu głowy. Thomas i Elizabeth wstali z łóżka. Dotknęli mojego ramienia, a Thomas powiedział, że dadzą znać mojej mamie, gdzie jestem. Zamknęli za sobą drzwi.

Przesunąłem się razem z Joem bliżej łóżka i usiadłem na podłodze, opierając się plecami o brzeg materaca. Przełożyłem małego tak, żeby spoczywał na mojej piersi. W końcu się odezwał:

– Miałem zły sen.

Odparłem:

– Wiem.

Powiedział:

– Zawsze śni mi się to samo. No, zazwyczaj. Przychodzi po mnie i mnie zabiera, i robi mi... różne rzeczy.

Chciałem wykrzyczeć swoje przerażenie, lecz zdusiłem je w sobie i oznajmiłem:

– Jestem tutaj.

Joe powiedział:

– Czasami zabiera moją mamę. Albo tatę.

Pogładziłem go po włosach. Joe opowiadał dalej:

– Tym razem zabrał ciebie, a skoro potrafi odnaleźć cię w moich snach, to w prawdziwym życiu też cię odnajdzie.

Odparłem:

– Ochronię cię. – Nigdy w życiu nie mówiłem bardziej serio.

Mały zasnął, gdy słońce zaczęło wschodzić. Ja nie spałem przez długi czas.

Po tamtej nocy, za każdym razem gdy miał zły sen, Joe prosił (wołał, w z y w a ł) mnie, a ja zawsze się zjawiałem. Trząśł się i łkał, a w jego oczach widziałem, że był na wpół oszalały przez koszmar. Ale wtedy moje dłonie wędrowały na jego plecy, gdzie zataczały kojące kręgi, a Joe uspokajał się, aż nie zostawało nic poza drżącymi oddechami i mokrą buzią.

Trzy tygodnie później odkryłem ich sekret.

księżyc

O_x.

– Weż spadaj.

– Ox, do kurwy nędzy, obudź się!

Otworzyłem oczy. Wciąż była noc, a ciemność rozpraszało jedynie światło księżyca w pełni, który stał wysoko na niebie.

W pokoju znajdował się ktoś jeszcze i potrząsał mną.

– Co, do chuja? – spytałem.

– Ubieraj się.

– Gordo? Co się, do diabła...?

Odsunął się ode mnie, zmrużył oczy.

– Musisz iść ze mną.

Serce podeszło mi do gardła.

– Czy mama...?

– N i c jej nie jest, Ox. Śpi. Nic nie usłyszy. Jest bezpieczna.

Narzuciłem na siebie koszulę i walające się po podłodze szorty bojówki. Gordo czekał na mnie w drzwiach sypialni. Podążyłem za nim korytarzem w stronę schodów. Drzwi do pokoju mamy były uchylone i widziałem, że śpi. Gordo szarpnął mnie za ramię. Wyszliśmy na zewnątrz, zanim się odezwał. Nocne powietrze owiało ciepłem moją skórę. Wszystko wydawało się zbyt głośne.

– Są takie rzeczy – powiedział, a ja w oparach snu potknąłem się o jego słowa i nie potrafiłem ich przetworzyć. – Rzeczy, które zobaczysz dzisiejszej nocy. Rzeczy, których nie widziałeś nigdy wcześniej. Musisz mi zaufać. Nie pozwolę, by wyrządzono ci krzywdę. Nie pozwolę, by cokolwiek ci się stało. Jesteś bezpieczny, Ox. Musisz o tym pamiętać.

– Gordo, co się dzieje?

Głos mu się załamał, kiedy odpowiadał:

– Nie chciałem, żebyś dowiedział się w ten sposób. Sądziłem, że będziemy mieć więcej czasu. Właściwie miałem nadzieję, że nie będziesz musiał się dowiadywać.

– Więcej czasu na co?!

Z głębi lasu dobiegł skowyt, który zmroził mnie do szpiku kości. To była pieśń, którą słyszałem wcześniej, tylko że teraz dźwięczała w niej rozpacz.

– Kurwa – mruknął Gordo. – Musimy się pospieszyć.

Dom na końcu ulicy stał pogrążony w mroku. Księżyc nad naszymi głowami był gruby i biały. Na niebie świeciły gwiazdy. Tak wiele gwiazd. Zbyt wiele. Nigdy wcześniej nie czułem się taki mały.

Szybkim krokiem weszliśmy w las. Słuchałem Gorda jednym uchem, próbując jednocześnie nie potknąć się o korzenie i pnie po wyciętych drzewach. Bełkotliwie wyrzucał z siebie zdania, zaczynał coś mówić i przerywał w pół słowa, sylaby zamierały w jego ustach, nim udało im się połączyć z innymi w większą całość. Gordo był nerwowy i przerażony, a to wpływało na jego mowę.

Nagle przestało być tak ciemno. I to wcale nie za sprawą księżyca.

– To jest tak, że... Bo widzisz. Istnieją różne r z e c z y.

– Gordo? – przerwałem mu.

– Co?

– Twoje tatuaże świecą – oznajmiłem.

Bo tak właśnie było. Kruk. Linie. Zawijasy i spirale. Na całej długości obydwu jego ramion wzory jarzyły się i poruszały, jakby ożyły.

Odparł:

– No, to właśnie jedna z tych rzeczy.

Stwierdziłem:

– W porządku.

Wypalił:

– Jestem czarownicą.

A ja na to:

– Harry... jesteś czarodziejem[12]. – Wydawało mi się wysoce prawdopodobne, że wciąż śnię.

Roześmiał się, ale zabrzmiało to raczej, jakby się dławił.

Zdekoncentrowałem się i uderzyłem piszczelą w coś twardego. Ból był żywy i lodowaty, przebił się przez mgłę otaczającą mój umysł. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że nigdy wcześniej nie czułem bólu we śnie i że gdzieś kiedyś przeczytałem, że odczuwanie bólu we śnie nie jest tak naprawdę możliwe.

– Kurwa – rzuciłem. – Że c z y m ty jesteś?

– Czarownicą.

– Od jak dawna?

– Przez całe życie.

– C o?

Kolejny skowyt. Tym razem bliżej. Weszliśmy w głąb lasu już co najmniej na jakieś osiemset metrów. Może nawet dalej. Dookoła nie

było nic poza połacią drzew, która rozciągała się przed nami na tysiące hektarów. Wiele razy zgubiłem się wśród nich.

– Co to było?

– Twoja wataha – odparł, a jego słowa ociekały taką goryczą, że niemal poczułem jej smak na języku.

– Moja... Ja nie... – Śnię, śnię, śnię. To musiał być sen, nawet mimo bólu. Noga mnie bolała, ale może po prostu tak to sobie wymyśliłem i dlatego tak jest.

– Starąłem się trzymać ich od ciebie z daleka – powiedział. – Naprawdę się starałem. Nie chciałem dla ciebie takiego życia. Nie chciałem, żebyś stał się częścią tego. Chciałem, żebyś pozostał czysty. Żebyś pozostał nietknięty. Bo jesteś jedyną rzeczą w moim życiu, która jest tego warta.

– Gordo.

Powiedział:

– Posłuchaj mnie, Ox. Potwory istnieją naprawdę. Magia istnieje naprawdę. Świat to mroczne i przerażające miejsce, i to w s z y s t k o jest prawdziwe.

– Jak to?

Potrząsnął głową.

– Nie bój się.

Chmura przesłoniła księżyc i jedynym źródłem światła pozostał zmieniający się kalejdoskop wijący się na jego ramionach. Kolorowe pryzmaty, złożone z błękitów, zieleni, różów i czerwieni.

– Czy to boli? – spytałem.

– Co?

– Te kolory.

– Nie. Ciągnie, a ja pcham, pełza po mojej skórze, ale nigdy nie boli. Już nie.

– Dokąd idziemy?

– Na polanę – odrzekł, a skowyt rozbrzmiał na nowo, ale teraz słyszałem więcej niż jeden głos. Było ich wiele, mieszały się i razem wznosiły, pieśń ukryta o pół tonu powyżej i poniżej, fałszywa, ale tylko do czasu. Nagle stała się p i ę k n a.

– Kto? – spytałem. Całe ciało mnie swędziało, bo c o ś poczułem.

Zamiast odpowiedzieć na moje pytanie, Gordo rzekł:

– Próbowałem to powstrzymać. – Był zdesperowany, słyszałem jego b ł a g a l n y ton, ale ich ś p i e w wznosił się ponad jego głos i...

chodź, przyzywała mnie pieśń. pospiesz się chodź już. tutaj. prosimy. pospiesz się pospiesz pospiesz bo ty jesteś nami a my jesteśmy tobą.

Gordo powiedział:

– Kazałem im trzymać się od ciebie z daleka. Nie mieszać cię w to.

Ox. to Ox to on jest tu i jest nasz. powąchajcie go spróbujcie go jest nasz potrzebujemy go bo on słyszy naszą pieśń.

– Ale zanim się dowiedziałem, że wiesz, kim oni są, że wrócili do Green Creek, było już za późno.

– Wzywają mnie – oznajmiłem, a mój głos brzmiał lekko i beztrasko.

– Wiem – wycedził Gordo przez zaciśnięte zęby. – Ox, nie możesz im ufać. Nie możesz ufać temu.

– Mogę – odparłem, chociaż nie wiedziałem, co ma na myśli. – Nie słyszysz tego?

Ox Ox Ox Ox. przynieście mu jedzenie króliki ptactwo jelenie. pokażcie mu, że zapewnimy mu pożywienie bo należy do

WatahyNaszMójBratSynUkochany.

– Słyszę – odrzekł Gordo. – Ale nie tak jak ty, bo nie należę do watahy. Już nie.

Wataha.

O Boże. Wataha.

Zacząłem biec.

– OX! – ryknął za mną.

Zignorowałem go. Musiałem dostać się bliżej, bo w piersi czułem takie ciepło, jakbym płonął, skóra mnie swędziała, aż myślałem, że oszaleję. Wiatr huczał mi w uszach, chmura ześlizgnęła się z księżycyca i zrobiło się niemal tak jasno jak w dzień, a oni wyli. Śpiewali. Ich pieśń była taka żywa i przepiękna energią, a ja z trudem powstrzymywałem się przed odchyleniem głowy do tyłu i wykrzyczeniem melodii płynących z głębi duszy – *słyszę was znam was idę do was kocham was* – tak, by mogły je usłyszeć cały las i księżyc. Moje serce było bębnem, a rytm łomotał mi w piersi. Zdawało mi się, że mógłbym się roztrzaskać, a kawałki rozsypałyby się pomiędzy drzewami i jedynym, co by pozostało, byłyby drobne fraktale księżycowego blasku odbite od odłamków, które niegdyś stanowiły moją całość.

OX OX OX OX OX OX

Trzy gałęzie chlasnęły mnie po twarzy. Po ramionach. Niewielkie rozbłyski krótkotrwałego bólu, nim owładnęła mną pieśń.

TUTAJ TUTAJ TUTAJ TUTAJ

Pomyślałem o ojcu, który powiedział:

– Ludzie będą cię chujowo traktować. Przez większość życia.

NASZ NASZ NASZ NASZ NASZ

Pomyślałem o matce, która się zaśmiała:

– Masz na uchu bańkę mydlaną.

DOM DOM DOM

Pomyślałem o Gordzie, który wyszeptał:

– Teraz należysz do nas. – Ale czy tak było? Czy tak było naprawdę?

TAK TAK TAK TAK TAK

Pomyślałem o Joem i ta myśl była w pieśni, tworzyła jedną melodię z wszystkimi tymi skowytami, które dobiegały tuż sponad linii drzew, a mnie zostało już tylko kilka kroków i musiałem tam być i zobaczyć to, co było do zobaczenia, i ja, ja, ja, ja...

Dotarłem na polanę. Zatrzymałem się. Padłem na kolana. Zamknąłem oczy. Opadłem pośladkami na pięty. Zwróciłem twarz w stronę księżyca. Oni ś p i e w a l i. I wtedy pieśń rozbrzmiała echem i zamarła w oddali. Wziętem wdech. Otworzyłem oczy. Przede mną stało to, co niemożliwe. Biały wilk. Z drobnymi plamkami czerni na piersi. Na nogach. Na grzbiecie. Jego oczy jarzyły się czerwienią w świetle księżyca. Zwierzę było wielkości konia, a jego łapy – dwa razy większe od moich dłoni. Miało pysk tak długi jak moje ramię. Błysnęły zęby niczym szpikulce. Dostrzegłem za nim jakiś ruch, ale nie mogłem oderwać wzroku. Wilk ruszył w moją stronę, a ja nie mogłem nawet drgnąć.

– To sen – szepnąłem. – O Boże. To tylko sen.

Zwierzę stanęło przede mną. Opuściło łeb. Obwąchało moją szyję, czułem na skórze gorąco niespiesznych celowych oddechów. Wydawało mi się, że powinienem się bać, ale nie potrafiłem znaleźć powodu do strachu.

Wilk wydmuchał powietrze, które owiało moje gardło. Moje włosy. Moje ucho. W głowie słyszałem szepty: OxWatahaOxBezpiecznyOxOxOx. Znałem ten głos. Te głosy. Znałem je wszystkie. Wyciągnąłem ręce. Moje dłonie wślizgnęły się w miękką sierść, musnęły skórę pod spodem. I wtedy jakby ktoś wylał na mnie kubek zimnej wody.

– Ox! – krzyknął głos zza moich pleców.

Ponad moim ramieniem zawarczał wilk. Ostrzegawczo.

– Och, odpiardol się, Thomas – rzucił Gordo. Słyszałem, jak podchodzi do mnie od tyłu. – Gównu wiesz. Bariery trzymają.

Thomas. Thomas. Thomas.

– Thomas? – W moim głosie pobrzmiwała dezorientacja.

Wilk (Thomas) przeniósł wzrok z powrotem na mnie, ślepią błysnęły czerwienią. Przycisnął swój nos do mojego czoła i sapnął.

– Rany – wykrztusiłem z siebie. – Jakie ty masz wielkie oczy...

Trącił mnie pyskiem w głowę, a ja zrozumiałem to właściwie. Wilk (Thomas Thomas Thomas) cofnął się o kilka kroków i przysiadł na tylnych łapach. Górował nade mną. Czekał. Na co, tak naprawdę nie wiedziałem. Wstałem powoli, zastanawiając się, czy zamierza mnie pożreć. Miałem nadzieję, że stanie się to szybko. Wilk (THOMAS THOMAS THOMAS) przekrzywił łeb i mi się przyglądał.

A ja powiedziałem:

– A więc to jedna z tych rzeczy.

Zza pleców dobiegło mnie prychnięcie Gorda.

– Wydaje mi się, że nie śnię – zauważyłem.

– Nie śniesz – przytaknął Gordo.

– W porządku. Ty masz świecące ramiona, bo jesteś czarodziejem. – Nie spuszczałem wzroku z wilka, który ponownie sapnął, jakbym powiedział coś śmiesznego.

– Czarownicą, inaczej wiedźmą – sprostował Gordo. – I wcale nie mam świecących ramion.

– Kłamiesz – burknąłem. – Wyglądasz jak dwunożna latarka.

– Na tym się skupiłeś? Odkryłeś, że Bennettowie są wilkołakami, a myślisz tylko o moich świecących ramionach?

– Wilkołakami – wyszeptałem. – To... hola!

Wilk potrząsnął łbem, zupełnie jakby coś go rozbawiło.

– Jezu Chryste – wymamrotał Gordo. – Thomas, przyprowadź tu resztę tych swoich kundli na obwąchiwanie tyłków. Ja dopilnuję, żeby wszystko dalej trzymało.

Thomas wydał z siebie niskie, gardłowe warknięcie. Jego ślepią znów zrobiły się czerwone.

– Jasne, jasne. Te twoje gówniane sztuczki samca Alfa w ogóle na mnie nie działają. Mógłbym ci w mgnieniu oka sfajczyć sierść na dupsku. Ty psi kutasie.

Przepchnął się obok nas, a jego tatuaże migotały wzdłuż ramion. Spojrzałem ponownie na Thomasa.

– Ja... – Nie wiedziałem, co powiedzieć.

Spojrzał w tył, a z głębi jego piersi dobiegł grzmot. Usłyszałem głośnie ujadanie i nagle na polanę wpadły dwa mniejsze wilki, jeden ciut większy od drugiego. Ocierały się o mnie całego, poszturchiwały łbami moją pierś i głowę. Ten większy był ciemnoszary, tylko na tylnych łapach miał małe czarne i białe plamki. Ten mniejszy miał podobne umaszczenie, tyle że u niego białe-czarne ciapki zaczynały się na pysku i ciągnęły do łopatek.

Ich oczy lśniły pomarańczowo, kiedy przeciągały jęzorami po mojej skórze.

– Fuj – powiedziałem łagodnie.

Roześmiały się. Co prawda nie na głos, ale i tak się roześmiały, a ich poufałość sprawiła mi ból.

– Carter – powiedziałem. – Kelly. – Sprawiałem wrażenie, jakbym zgłupiał z podziwu.

Znów się roześmiali i zaczęli biegać wokół mnie, podskakując, jakby byli szczeniętami. Podskubywali zębami moje ubrania i palce, a ja nie spałem.

Dotknąłem ich grzbietów, a promienie księżyca przeświecały między moimi palcami na ich skórę. Byli szczęśliwi. W jakiś sposób poznałem, że są szczęśliwi. Czułem to w głowie i w piersi, ich radość była taka żywa.

Wróciłem wzrokiem do Thomasa i zobaczyłem dużego brązowego wilka, który siedział po jego prawej stronie i bacznie mi się przyglądał. Daleko mu było do rozmiarów Thomasa, lecz jego oczy świeciły się jak latarnie w Halloween, ogniste i ciepłe. Sapnął na mnie, a ja dostrzegłem wargi wygięte w tajemnym uśmiechu. Powiedziałem:

– Mark.

Pochylił się ku mnie i wydał z siebie gardłowy pomruk. Jego nos wałęsał się po mojej twarzy, a język podążał w ślad za nim.

– A więc lizanie to jeden z waszych zwyczajów – stwierdziłem. –

Później poczujecie się tym zażenowani. Nie mam zamiaru polizać was w tej chwili. – Przerwałem i zacząłem rozważać tę myśl. – A najpewniej wcale.

Żaden z nich nie wyglądał, jakby go to obeszło. Nie wiedziałem, czy mnie rozumieją. Nie wiedziałem, czy to się dzieje naprawdę.

Wrócił Gordo, jego tatuaże się uspokoiły. Wciąż wyglądały jak podświetlone, ale nie poruszały się tak jak wcześniej. Mężczyzna był blady, a jego oczy – zapadnięte w oczodołach. Podniósł wzrok na Thomasa i powiedział:

– To nie działa. Nie da rady przywiązać się do żadnego z was. Jego postronek nie chce się przymocować. – A potem jego głos stał się surowy. Oskarżycielski. – Ale coś mi się wydaje, że wiedzieliście o tym już wcześniej.

Wówczas dobiegł mnie dźwięk. Mokry, jakby pęknięcia, straszny, podszyty jękiem mięśni i skóry. Białe futro zafalowało i przerzedziło się. Trwało to tylko kilka sekund, ale w miejscu, gdzie wcześniej stał basior, teraz widziałem Thomasa. Nadal był zwierzęciem, a przynajmniej częściowo, jakby zatrzymał się w pół drogi pomiędzy człowiekiem a wilkiem. Jego palce kończyły się czarnymi pazurami, a twarz była delikatnie wydłużona. Pomiedzy wargami widniały zęby, ostre zęby, a oczy lśniły czerwienią. No i był nagi, co sprawiło, że cała sytuacja wydawała mi się jeszcze bardziej surrealistyczna.

– Wiedzieliśmy, że to możliwe – poinformował Gorda głębokim, dudniącym głosem. Przez kły lekko seplenił. Przez kły.

– I to ma niby być fair wobec Oxa? – spytał Gordo z goryczą. – Nie daliście mu wyboru.

– A ty mu dałeś?

Tatuaże na ramionach Gorda rozbłysły.

– To nie to samo i dobrze o tym wiesz.

– Nie jesteś głupi – warknął Thomas. – Więc nie zachowuj się, jakbyś był. Te rzeczy same dokonują wyboru. Twój ojciec, niezależnie od tego, w co się zmienił, dobrze cię wyszkolił.

– Ani się w a ż wciągać w to mojego ojca. Ox nie jest...

– Ja tu stoję – jakoś udało mi się wtrącić.

Spojrzeli na mnie obaj, z zaskoczeniem wypisanym na twarzy, jakby zapomnieli o mojej obecności. I wtedy coś mnie uderzyło.

– Joe – powiedziałem. – Gdzie jest Joe?

Carter i Kelly, stojący po moich bokach, zaskomlili i otarli się o mnie.

Thomas westchnął.

– To jego pierwsza przemiana. On... nie radzi sobie zbyt dobrze.

Przeszył mnie strach.

– Gdzie on jest? – zażądałem odpowiedzi.

Gordo zrobił krok naprzód.

– Ox, musisz zrozumieć. Z a w s z e masz wybór. Nic nie zostało wryte w kamieniu.

– Nic mnie to nie obchodzi. Nie obchodzi mnie, co się dzieje. Nie obchodzi mnie, czy to sen, czy jawa, czy może postradałem zmysły. Obok mnie pieprzone wilkołaki i czarownice, a mnie to wali. Gdzie, do kurwy nędzy, jest Joe? – Dłonie zacisnąłem w pięści po bokach ciała. Carter i Kelly położyli uszy po sobie i skulili się na ziemi, starali się zajmować jak najmniej miejsca.

Thomas powiedział:

– Potrzebuje twojej pomocy.

Na co Gordo stwierdził:

– Jebać to. Nie obarczaj tym Oxa.

Ale Thomas złapał go za gardło. W tamtej chwili był bardziej wilkiem niż człowiekiem, chociaż nadal stał na dwóch nogach. Biała sierść ponownie się pojawiła, pazury wydłużyły. Zęby wyglądały na większe, jak szerokie paznokcie, a głos, który wydobył się z jego gardła, sprawił, że na ramionach i karku wyskoczyła mi gęsia skórka.

– Jesteś tutaj – warknął na Gorda – ponieważ szanowałem twojego ojca, a przynajmniej to, czym kiedyś był, i szanowałem przymierze. Nie miej złudzeń, że chodzi o cokolwiek innego. Z własnego wyboru przestałeś być częścią watahy.

– A mimo to wzywasz mnie w takiej chwili? – odszczeknął się Gordo, szamocząc się w jego uścisku. – Zresztą przyszedłem. Nie jestem do niczego zobowiązany, a i tak się zjawiłem.

– To mój syn. Następny Alfa. Okaż mu szacunek.

– Pierdol się – wycharczał.

A ja powiedziałem:

– Prześcicie.

I przestali. Gordo upadł na ziemię, chwytając łapczywie powietrze. Thomas oddychał ciężko, oczy błyszczały mu na czerwono, a z gardła wydobywał się niski pomruk. I wtedy to zobaczyłem. Za nimi. Na polanie. W promieniach księżyca. Ciemny kształt zwinięty na ziemi. Zamigotało wokół niego światło. Chyba zielone. W głębokim odcieniu zieleni, ale zniknęło, nim nabrałem pewności. Przepchnąłem się obok Gorda i Thomasa. Nie miałem na nich czasu. Carter i Kelly trzymali się po moich bokach z wywieszonymi jęzorami. Mark stał za mną z nosem przyciśniętym do moich pleców.

Zobaczyłem, że na ziemi leży jeszcze jeden wilk, prawie tak duży jak Mark, i pomyślałem: „Elizabeth”. Miała umaszczenie podobne do synów, w odcieniach szarości, czerni i bieli. Podniosła łeb, kiedy podszedłem, a jej oczy pozostały takie same, takie piękne i błękitne. Przypomniałem sobie, jak mi powiedziała, że skończyła się jej zielona faza. Roześmiała się wtedy i zakręciła mną w kółko, a jej dłonie pokrywały cętki z farby. Jej oczy pozostały takie same, lecz teraz dostrzegałem w nich smutek.

– Ja nie... – Pokręciłem głową.

– Ona cię nie słyszy – zza pleców dobiegł mnie cichy głos Gorda.

– Wokół nich jest rozpięta bariera ziemi, nasyciona srebrem. Blokuje wszelkie dźwięki i zapachy. – Mignął mi kolejny błysk zieleni i w świetle księżyca dojrzałem szramy w ziemi tworzące krąg wokół Elizabeth.

– Czy oni są uwięzieni? – Ogarnęło mnie przerażenie.

– Z własnego wyboru – odparł Gordo. – Zważywszy na obecny stan Joego, tak jest bezpieczniej. Krąg blokuje wszystko poza jego matką.

Zrobiłem krok w stronę Elizabeth, ale Gordo schwycił mnie za ramię i powstrzymał.

– Musisz mnie wysłuchać – nakazał. – Najpierw.

– Najpierw?

Elizabeth nie spuszczała ze mnie wzroku. Jej oczy słały pomarańczowe błyski. Nie widziałem Joego i rozboleła mnie głowa.

– Musimy... Potrzebujemy czegoś. Czegokolwiek. Jakiejś r z e c z y, która pozwala nam trzymać się naszego człowieczeństwa. – Chwył na moim ramieniu zelżał, jednak Gordo nie puścił mnie całkowicie. W jego dotyku dawało się wyczuć coś jakby elektrycznego

i zastanawiałem się, czy to przez tatuaże. A może przez niego samego. I co to w ogóle było. – Magia wiele nam zabiera. Ciągnie w miejsca, w które nigdy byś nie przypuszczał, że mogłaby pójść. W ciemne zaułki, które lepiej omijać szerokim łukiem.

– A wilki?

– Wilki potrzebują czegoś, co by im przypominało, że są po części ludźmi. Szczególnie te, które urodziły się wilkami. Im łatwiej zatracić się w zwierzęcej postaci. I tak też się dzieje, jeśli nic ich nie wiąże z racjonalnym światem.

Odparłem:

– Nic tutaj nie jest racjonalne. – Mój głos brzmiał szorstko. Czułem się, jakbym powoli wpadał w miejsce, z którego nie sposób wrócić.

Gordo przebił się przez narastającą we mnie panikę.

– Joe zdziczeje, Ox. Zdziczeje, jeśli nie będzie miał postronka. Zazwyczaj jest to wataha lub rodzina, lub jakieś uczucia, jak miłość czy świadomość, że ma się dom, do którego można wrócić. Może to też być gniew lub nienawiść, bo to już coś. Joe nie ma teraz nic takiego. Nie stanie się to dzisiaj. Nie stanie się jutro i być może nawet nie za rok. Ale jeśli nie uda się go przywiązać do jego człowieczeństwa, to pewnego dnia zdziczeje i już nie zmieni się z powrotem. A wilk bez postronka jest niebezpieczny. Wtedy będzie trzeba... podjąć decyzję.

Rozbłysk w ciemności, wspomnienie sprzed jakiegoś czasu. Dotyczące postronków.

– Mark powiedział...

Gordo wiedział. Westchnął.

– Ta. No, rzeczywiście. Jesteś moim postronkiem, Ox.

– Od kiedy?

– Od kiedy skończyłeś piętnaście lat. Od chwili, w której dałem ci koszulę.

– Nie poczułem żadnej różnicy.

Teraz należysz do nas.

– Oczywiście, że poczułem.

– Ja pierdolę – szepnąłem.

– To się po prostu stało – próbowałem się usprawiedliwić. – Nigdy nie miałem zamiaru...

– Mogę być obydwoma?

– Obydwoma?

– Twoim i jego postronkiem.

– Nie mam... Może. Jeśli ktokolwiek da radę, to z pewnością ty.

– Dlaczego ja? Jestem niczym. Jestem nikim.

Ścisnął moje ramię.

– Jesteś potężniejszy niż ktokolwiek z nas, Ox. Wiem, że tego nie dostrzegasz. Wiem, co myślisz. Ale jesteś czymś więcej.

Byłem teraz mężczyzną, więc powstrzymałem pieczenie w oczach.

– Co muszę zrobić?

– Jesteś pewien? – spytał Thomas za moimi plecami.

Byłem zapatrzony w Elizabeth. Czułem zgromadzone dookoła mnie wilki, lecz nie spuszczałem z niej wzroku.

– Tak – oświadczyłem, bo chodziło o Joego.

– Wszystko potoczy się szybko – poinformował mnie Gordo. –

Bariera ochronna opadnie. Usłyszysz go. Zachowywał się... głośno. Nie pozwól, by cię to przestraszyło. Wyczuje twój zapach. Mów do

niego. Niech usłyszy twój głos. W tej chwili nie... nie przypomina siebie. Rozumiesz? Ale to nadal Joe.

– Rozumiem. – Serce łomotało mi w piersi.

To nie był sen.

– Nie pozwolę, żeby cokolwiek ci się stało – powiedział Gordo cicho.

– W porządku.

– OX, masz wybór.

W końcu na niego spojrzałem.

– Już go dokonałem.

Wpatrywał się we mnie badawczo. Nie wiem, czy znalazł w moich oczach to, czego szukał, ale wreszcie kiwnął sztywno głową. Wzniósł lewą rękę wnętrzem dłoni do góry. Wszystkie tatuaże na jego ramieniu zbladły poza jednym, w kolorze głębokiej, ziemistej zieleni. Składał się z dwóch linii, harmonijnie poskręcanych ze sobą. Potarł je dwoma palcami i wymruczał coś pod nosem. Powietrze się naelektryzowało, w uszach słyszałem ciche trzaski. Zgromadzone dookoła mnie wilki warknęły, a ja przeniosłem wzrok z powrotem na Elizabeth.

Krąg rozblęsnął na krótką chwilę, po czym szerniał. Stał się matowy i pozbawiony życia. I wtedy to usłyszałem. Niskie pomruki. Powarkiwania. Ciche, lecz wściekłe. Zrobiłem krok w stronę Elizabeth. Wyciągnąłem przed siebie rękę. Przycisnęła nos do mojej dłoni, zrobiła wdech, potem wydech. Nastąpiła cisza. Czyjeś ręce wyciągnęły się nad Elizabeth z drugiej strony. Czarne pazury.

– Joe – powiedziałem cicho.

Rzucił się na mnie. Zanim udało mi się poruszyć. Zanim udało mi się pomyśleć. Usłyszałem ostrzegawczy krzyk, srogie warknięcia.

Ścięło mnie z nóg, poczułem na sobie ciężar. Pazury wbiły mi się w ramiona, drobne ranki zapiekły. Widziałem błyskające zęby, oczy lśniące na pomarańczowo, czerwono, niebiesko i zielono. Poczułem nos przy swojej szyi. Przy swoim policzku. Wąchający mnie. Wdychający mój zapach.

Powiedział:

– Ox. – Jego głos był niski, mroczny i gniewny.

Zatrzymał się w połowie drogi między chłopcem a wilkiem, podobnie jak wcześniej jego ojciec. Tylko że Thomas to kontrolował. Joe nie. Biała sierść to wyrastała, to rzedła na jego ramionach i twarzy. Kły przebijały dziąsła, po czym malały. Widziałem chłopca. Potem półwilka. I znów chłopca. Jęknął i powiedział:

– Ox, to boli, to boli, to... – Reszta się rozplynęła, kiedy wilk Joego znów wylazł na wierzch, a słowa przeszły w charczenie i warknięcia. Jego oczy gwałtownie zmieniały barwę i przez chwilę kolory mieszały się w fiolet i furię, a pazury naparły mocniej na moją pierś. Skrzywiłem się z bólu, dookoła siebie usłyszałem pozostałych. Brzmiało to tak, jakby chcieli go ode mnie odciągnąć, ale na to nie mogłem pozwolić. Nie mogłem pozwolić, by go ode mnie zabrali. Rzuciłem:

– Ojciec od nas odszedł, jak miałem dwanaście lat.

Wszyscy umilkli. Pazury się odsunęły, ale ledwo co.

– Nie wylewał za kołnierz. Wmawiałem sobie, że wszystko jest w porządku, ale wcale tak nie było. Wydaje mi się, że bił mamę, ale nie wiem, czy kiedykolwiek zbiorę się na odwagę, żeby ją o to zapytać. Pewnego dnia założyła sukienkę na piknik, a on chyba ją podarł. Jak się dowiem, że to zrobił, że ją krzywdził, a ja o niczym nie miałem pojęcia, to sprawię, że będzie cierpiał.

Joe zaskomlił z bólu.

– Postawił walizkę przy drzwiach i sobie poszedł. Powiedział, że jestem durny i głupi, i że ludzie będą mnie chujowo traktować. Powiedział, że nie chce żałować, że się urodziłem, i dlatego musi odejść. Rzecz w tym, że według mnie on już żałował. Wydaje mi się, że żałował każdej najdrobniejszej części swojego życia. Ale w niektórych kwestiach miał rację. Byłem durny i głupi, bo sądziłem, że wróci. Myślałem, że pewnego dnia wróci i będzie pachniał tak jak zawsze, olejem silnikowym, piwem Pabst i potem, bo tak pachniał mój o j c i e c.

Tak właśnie było. Tak było od zawsze.

– Ale nie wrócił. I już nie wróci. Ale nie dlatego, że zrobiłem coś złego. To on zachowywał się źle. Opuścił nas, a my zostaliśmy, to on postąpił źle. Ale pogodziłem się z tym. Pogodziłem się z tym, że zostałem porzucony, bo mam moją mamę. Mam Gorda i chłopaków. No, i mam ciebie. Joe, gdybym nie został porzucony, nie miałbym ciebie, więc teraz musisz się skupić, dobrze? Bo nie zniósłbym, gdyby przytrafiło ci się coś złego. Potrzebuję cię u swojego boku, Joe, i nie obchodzi mnie, czy jesteś chłopcem, czy wilkiem. Takie rzeczy nie mają dla mnie znaczenia. Jesteś moim przyjacielem i nie mogę tego stracić. Nigdy cię nie pożałuję. Nigdy.

Nigdy wcześniej nie mówiłem tak długo naraz. W ustach mi zaschło, język stanął kołkiem. Bolało mnie wszystko i od wszystkiego. W głowie słyszałem głos ojca, który się ze mnie śmiał. Powiedział, że to nie zadziała. Powiedział:

– Chuja ci się uda.

Nie wiedziałem, kiedy Gordo przywiązał się do mnie postronkiem. Nie w sposób, który można by było zdefiniować. Ale

teraz wiedziałem, co się dzieje. Czułem to. Ciepło w piersi, które rozeszło się wzdłuż szyi i ramion. Po twarzy i wzdłuż nóg. Jak słońce drgające delikatnie przez liście drzew.

Dookoła mnie wilki zaczęły wyć. Ich pieśń przetoczyła się przeze mnie, aż pomyślałem, że rozerwie mnie na kawałki. Wrzeszczałem im do wtóru, łącząc swój głos z ich głosami. Jestem pewien, że ten nędzny ludzki krzyk w niczym nie przypominał wilczej pieśni. Ale włożyłem w niego wszystko, co miałem, bo tylko tyle mogłem z siebie dać.

Skowyt zamarł. Ciężar na mojej piersi zelżał. Otworzyłem oczy. Nade mną stał wilk. Był mniejszy od pozostałych. Chudszy. I nieskazitelnie biały, bez ani jednego przebarwienia na calutkim ciele. Uszy mu drgały. Nozdrza się rozszerzały. Spojrzał w dół, na mnie. Jego oczy były pomarańczowe, jasne i piękne. Rozbłyły na chwilę, nim znów wróciły do swojej normalnej błękitnej barwy, a ja wiedziałem, że w środku jest Joe. Wiedziałem, że wilk wciąż jest tym chłopczykiem, który stwierdził, że pachnę sosnowymi szyszkami i laskami cukrowymi. Epicko i kapitalnie. Starłem się nie myśleć, ile spraw nabrało teraz sensu, bo bałem się, że mogłoby mnie to przytłoczyć. Zamiast tego powiedziałem więc:

– Hej, Joe.

A on odchylił łeb do tyłu i z a ś p i e w a ł.

Wilki przebiegły przez polanę. Wskoczyły pomiędzy drzewa. Wyskoczyły z powrotem. Ganiały się nawzajem. Podgryzały po piętach.

Z początku Joe poruszał się niezgrabnie. Brakowało mu pewności. Potykał się o własne łapy. Upadał pyskiem na ziemię. Pochłaniały go widoki, dźwięki i zapachy. Ruszył na mnie z pełną prędkością. Zrobił zwód w lewo, kiedy przygotowałem się na nokaut. Zaskowytał głośno, mijając mnie w pędzie. Zawrócił. Ocierał się o moje nogi jak kot. Wtulił nos w moją dłoń. A potem znów pognął.

Thomas i Elizabeth trzymali się blisko. Powarkiwali na niego łagodnie, kiedy zaczynał nadmiernie się ekscytować. Mark siedział obok mnie i był w tej pozycji niemal tak wysoki jak ja. Posapywał cicho, jakby do siebie, obserwując Joego. Carter i Kelly oderwali się od stada i ruszyli do lasu. Słyszałem, jak przedzierają się przez drzewa i podszycie. Dwa przebiegłe drapieżniki.

I nagle uderzyła mnie prawda. Przygięła mi ramiona swoim ciężarem. Rzeczywistość zmieniała się, bo musiała. Zaczerpnałem gwałtownie powietrza. Mark zaskomlił cicho u mego boku. Gordo spytał:

– Wszystko w porządku?

A ja odparłem:

– Jasna cholera.

Nie roześmiał się. Nie spodziewałem się, że to zrobi.

– To są pieprzone wilkołaki!

– Tak, Ox.

– A ty jesteś pieprzonym czarodziejem.

– Jestem czarownicą – przypomniał, patrząc na mnie spode łba.

– Dlaczego, do kurwy nędzy, ukrywaliście to przede mną?! – ryknąłem.

To nie miało tak wyjść. Miałem zamiar zachowywać się rozsądnie. Spokojnie. Ale byłem przerażony, wściekły i zdezorientowany,

a rzeczywistość się zmieniła. Wszystko nabrało sensu, miało go teraz o wiele więcej niż wcześniej, a zarazem go nie miało. Ani trochę. Świat przecież nie był pełen potworów i magii. Miał być przyziemny i nudny, skażony drobnymi nieprzyjemnościami, takimi jak „ty pieprzony debilu” czy „będą cię chujowo traktować, Ox”. I to nie tylko dla Gorda. Nie. Miał taki być dla nich wszystkich. Dla wilków. Dla czarownicy. Dla jebanych postronków.

„Przestań albo pożałuję i tego, że się urodziłeś”, powiedział mój ojciec, a ja z jakiegoś powodu potrafiłem myśleć tylko o drobinkach kurzu w ich (jej) sypialni, tańczących w promieniach słońca, podczas gdy dotykałem zaokrąglonych szwów, które układały się w napis: „Curtis”, „Curtis”, „Curtis”. Ale to było wtedy, a teraz było teraz. Bo (nie) byłem już dwunastolatkiem. (Nie) byłem mężczyzną. (Nie) byłem częścią watahy. Byłem. Byłem. Byłem, no i te postronki. Boże święty, postronki, czułem, jak za nie ciągną i...

Gordo stanął naprzeciwko mnie. Nagle byłem otoczony przez wilki. Przez wszystkie. Zawarczały jednym głosem, kiedy Gordo schwycił mnie za ramiona. Zignorował je.

– Ox – powiedział. – Musisz oddychać. – Był zachrypnięty.

– Próbuję – powiedziałem piskliwym, łamiącym się głosem. Ale nie mogłem. Nie mogłem nabrać tchu. Oddech uwiązał mi gdzieś między gardłem a płucami. Niewielkie rozbłyśki światła tańczyły mi przed oczami, a palce zdrętwiały. Jeden z wilków zaskomlał u mojego boku. Pomyślałem, że to Joe, a czy to już nie było coś? Że potrafiłem rozpoznać go w wilczej postaci, chociaż jeszcze godzinę wcześniej nie wiedziałem nawet, że takie rzeczy w ogóle istnieją? Drobne sprawy. Wskakujące na swoje miejsce. Wataha

i d o t y k a n i e, zapachy i wycie w głębi lasu. Rodzinne wieczory, na które nie byłem zapraszany, a które przypadają zawsze wtedy, gdy księżyc był bielutki i okrągły. Kamienny wilk w mojej dłoni. Sposób, w jaki się poruszali. Sposób, w jaki mówili. Zły człowiek. Zły człowiek, który porwał Joego. To musiało się stać dlatego, że...

Joe wyszeptał: „Pewnego dnia zostanę przywódcą”. Czyż nie poczułem wściekłej dumy, gdy po raz pierwszy mi to powiedział? Czyż nie poczułem dumy na samą myśl o tym, choć nie miałem pojęcia, co kryje się za jego słowami?

Istniały fakty, których byłem świadomy. Proste prawdy. Nazywałem się Oxnard Matheson. Moja mama nazywała się Maggie Callaway. Mieszkaliśmy w Green Creek w stanie Oregon. Ojciec zostawił nas, kiedy miałem dwanaście lat. Nie byłem bystry. Byłem głupi jak wół (O x). Ludzie będą mnie chujowo traktować. Niczego bardziej nie pragnąłem, niż mieć przyjaciela. Gordo był dla mnie ojcem-bratem-przyjacielem. Moja mama lubiła tańczyć. Tanner, Chris i Rico byli moimi przyjaciółmi. Należeliśmy do siebie nawzajem. Bennettowie byli moimi przyjaciółmi (w a t a h ą w a t a h ą w a t a h ą) i w każdą niedzielę jedliśmy razem obiad, bo tak nakazywała tradycja. Jessie była moją dziewczyną. Joe był moim... Och, Joe był m o i m... Takie były moje proste prawdy. Ale rzeczywistość zaczęła się zmieniać. Rzeczywistość się wygięła. Rzeczywistość pękła. A ja stałem pośrodku zalanego światłem księżycyca terenu, przede mną mój ojciec-brat-przyjaciel z tymi swoimi tatuażami, które mieniły się większą liczbą kolorów, niż myślałem, że istnieje, potrząsał mną, krzyczał, wrzeszczał:

– Ox, Ox, Ox, wszystko w porządku, Ox, w porządku, nie bój się, trzymam cię.

A ja stałem pośrodku zalanego światłem księżyca terenu, otoczony przez wilki (WATAHA WATAHA WATAHA WATAHA), które przyciskały się do mnie. I w moim tajemnym sercu, poprzez te drobne więzi, o których istnieniu nie miałem dotąd pojęcia, słyszałem szeptaną pieśń, którą śpiewały dla mnie.

Elizabeth powiedziała: *cii, DzieckoSynuSzczenie, cii. nie ma się czego bać.*

Thomas powiedział: *Ox, Ox, Ox. jestem twoim Alfą, a ty jesteś częścią tego, co spaja nas w całość.*

Carter powiedział: *nie smuć się, PrzyjacieluCzłonkuWatahyBracie, bo my cię nie opuścimy.*

Kelly powiedział: *nie pozwolę, by cokolwiek ci się stało. będę trwał u twego boku.*

Mark powiedział: *nie musisz dłużej być sam. już nigdy nie będziesz sam.*

No i Joe. Joe śpiewał najgłośniej z nich wszystkich.

Powiedział: *należysz do mnie.*

wiele kilometrów / słońce między nami

Thomas spytał:

– Chciałbyś stać się wilkiem?

Była pierwsza niedziela po pełni księżyca. Thomas i ja poszliśmy przed kolacją na spacer po lesie. Joe poszedł za nami, ale ojciec kazał mu wrócić do domu, a jego oczy błysnęły czerwienią. Zastanowiło mnie, dlaczego nigdy wcześniej tego nie zauważyłem. Jakim cudem przeoczyłem coś, co powinno być oczywiste? Joe przemknął z powrotem do domu, obrzuciwszy mnie ostatnim szybkim spojrzeniem.

Thomas zaczął z pytaniem, aż odeszliśmy na tyle daleko od domu, by inni nie mogli nas usłyszeć. W ciągu ostatnich kilku dni wiele się nauczyłem o wilkach. Wyczulony węch. Słuch. Zdolność regeneracji i samoleczenia. Potrafią się zmieniać. Połowicznie. Albo całkowicie. Alfy, Bety, Omegi. Omegi to mroczne stworzenia. Straszne. Zdziczałe i pozbawione postronków. Nauczyłem się więcej, niż kiedykolwiek sądziłem, że zdołam.

I znów spacerowaliśmy po lesie. Tylko on i ja. Od czasu do czasu dotykał drzew, jak zawsze. Oddychał głęboko. Spytałem dlaczego.

– To moje terytorium – wyjaśnił. – Należy do mnie. Jest w posiadaniu mojej rodziny od bardzo dawna.

– Twojej watahy.

Pokiwał głową.

– Tak, Ox. Mojej watahy. Naszej watahy.

Czy mi się zdawało, czy zrobiło mi się od tego cieplej?

Z pewnością zrobiło.

– Te drzewa – rzekł. – Ten las. Przepętnia go stara magia. Płynie w mojej krwi, towarzyszy pomrukowi i skrętom mego ciała.

– A jednak wyjechaliście – zauważyłem.

Mężczyzna westchnął.

– Czasami ciążą na nas ważniejsze zobowiązania niż dom. Czasami musimy zrobić to, co konieczne, zanim będziemy mogli zrobić to, czego pragniemy. Ale każdego dnia, gdy mnie tu nie było, czułem to miejsce. Wzywało mnie śpiewem, wywoływało ból i palące uczucie. Mark wrócił, żeby sprawdzić, co tu słychać, ponieważ ja nie potrafiłem. Przyjechał, żeby sprawdzić, czy to miejsce nadal istnieje.

– Dlaczego?

Uśmiechnął się do mnie.

– Ponieważ ja jestem Alfą. Nie wiem, czy mógłbym ponownie je opuścić.

– Jak daleko się ciągnie? Mam na myśli twoje terytorium.

– Na wiele kilometrów. I przebiegam je wszystkie. Ziemia pod moimi stopami i powietrze w moich płucach. Tego się nie da z niczym porównać, Ox.

Dotknął najbliższego drzewa. Chciałem poczuć to samo co on. Potarłem korę palcami, zamknąłem oczy. Zaśmiałem się cicho pod nosem. Zachowywałem się nedorzecznie. Nie byłem taki jak oni, ani trochę.

I wtedy Thomas spytał:

– Chciałbyś stać się wilkiem?

Otworzyłem oczy, bo coś tam naprawdę było. Drobne więzi, jakby sznurki napięte w mojej głowie i moim tajemnym sercu. Nie potrafiłem ich jeszcze nazwać, ponieważ były dla mnie zupełnie nowe, ale byłem blisko. Chociaż potrafiłem nazwać tę łączącą mnie z Joem. Łatwizna. Spytałem:

– A czy wy chcecie, żebym stał się wilkiem?

Thomas uśmiechnął się do mnie, szeroko i olśniewająco.

– Tyle warstw – wymruczał, gdy szliśmy między drzewami.

Nie stałbym się taki jak oni, niezupełnie. Tyle mi, jak dotąd, wyjaśniono. Przemieniony człowiek nigdy się taki nie stawał. Istniała różnica pomiędzy tymi, którzy zostali ugryzieni, a tymi, którzy się tacy urodzili. Na przykład instynkt. Oni mieli go przez całe życie. Ja ciągle bym się potykał, jak uczące się chodzić dziecko.

– Byłyby między nami różnice – powiedziałem na głos.

– Owszem, byłyby – przyznał.

– Ale byłbym Beta.

– Tak. Jednym z moich. A w przyszłości jednym z Joego.

– Dlaczego ani Carter, ani Kelly nie mogą zostać następnym Alfą?

Odparł:

– Nie urodzili się do tego. A Joe tak. To on zostanie Alfą.

Nie chciałem go urazić, ale słowa same wypłynęły mi z ust.

– Miałbym coś, czego wam by brakowało. Gdybym się przemienił.

– Doprawdy? A cóż takiego?

Ponownie dotknąłem drzewa.

– Pamiętałbym, jak to jest być człowiekiem.

Z jego strony nie było gniewu. Otoczył ramieniem moje barki, przytknął policzek do moich włosów, potarł raz. Drugi. Trzeci. Tak

już robili. Teraz rozumiałem dlaczego. Byłem częścią ich stada i musiałem odpowiednio pachnieć. To było dziwne. Ale i krzepiące. Thomas się odsunął.

– Tak, pamiętałybyś – powiedział cicho. – I byłby z ciebie wspaniały wilk.

– Moja mama. – Użyłem jej jako wymówki. Próbowałem grać na zwłokę, podczas gdy wszystko wokół mnie wirowało szaleńczo.

– To zależy od ciebie – odparł.

– Czy ona należy do watahy?

– Na swój sposób.

– Musiałyby znać prawdę.

– Ufam ci, Ox – odrzekł, a ja zamknąłem oczy. Zrozumiałem wagę jego słów. Zważywszy na historię jego rodziny.

– Czy utracę siebie? – spytałem. – Tę część mnie, która sprawia, że jestem sobą.

– Nie. Na to bym nie pozwolił. Nadal byłbyś sobą. Tylko...

– Bardziej? – spytałem z goryczą.

– Inny – odparł. – Ox. Ox. Nie musisz stawać się bardziej. Nie musisz być niczym więcej. Jesteś idealny taki, jaki jesteś. Ludzie są... wyjątkowi. Ludzcy członkowie stada są poważani. Zawsze będziesz otaczany ochroną. Zawsze będziesz kochany.

Obok moich nóg przeleciała pszczoła, a ja śledziłem wzrokiem jej lot dopóty, dopóki nie zniknęła.

– To po co pytasz?

– Bo zawsze będziesz miał wybór. Wybory, których dokonujemy, nas definiują. Kiedy skończysz osiemnaście lat, ugryzę cię, o ile będziesz tego chciał.

Popatrzyłem na niego. Przyglądał mi się uważnie.

– Mógłbym z wami biegać – zauważyłem nieśmiało. – Podczas pełni.

Roześmiał się.

– Tak czy inaczej będziesz to robił. Może nie jesteś tak szybki jak my, ale nie pozwolimy, żebyś pozostawał z tyłu.

– Dlaczego mi nie powiedzieliście?

Uśmiech znikł z jego twarzy.

– Żeby cię chronić.

– Przed czym?

Odparł:

– Istnieją rzeczy znacznie ważniejsze od ciebie czy mnie, Ox. Zarówno dobre, jak i złe. Świat jest większy, niż możesz sobie wyobrazić. Tutaj jesteśmy bezpieczni. Na razie. Ale nie zawsze musi tak być. To miejsce mocy. A takie zawsze przyciągają uwagę.

– Co się zmieniło?

– Joe.

Odwróciłem wzrok.

– Powiedzielibyście mi, gdyby on...?

– Tak. Pewnego dnia.

Nie drażyłem tematu.

– Chyba już czas na obiad – stwierdziłem. – To tradycja.

Uśmiech powrócił na jego usta.

Zastanawiałem się, czy Thomas zauważył, że nie odpowiedziałem na jego pytanie. To na temat stania się wilkiem. Uznałem, że tak. Sądziłem, że wszystko wie.

– Trzymam cię w miejscu – powiedziałem Gordowi niedługo potem. Byliśmy sami w warsztacie, przygotowywaliśmy się do zamknięcia dnia pracy. Nadchodził czas powrotu do szkoły i spokojne chwile, które ze sobą dzieliliśmy, miały stać się rzadsze.

Nie odpowiedział od razu. Nie przeszkadzało mi to. Zamknąłem drzwi wejściowe na klucz i poszedłem za nim na tyły warsztatu, gdzie on palił papierosa, a ja tylko udawałem, i gdzie gadaliśmy o pierdołach przez kolejne dziesięć minut, zanim wróciliśmy do domów.

Gordo siedział na swoim podniszczonym krześle ogrodowym z papierosem wetkniętym za ucho i obracał w dłoniach zapalniczkę. Przyglądał się stadku ptaków, które przelatywało nad naszymi głowami.

– Mój ojciec – zaczął.

Czekałem.

Odchrząknął.

– Mój ojciec – podjął kolejną próbę. – Nie był... miłym człowiekiem.

Chciałem mu powiedzieć, że w takim razie mamy ze sobą więcej wspólnego, niż sądziłem, lecz słowa zamarły mi na języku.

– Nie znasz tego świata, Ox. Jeszcze nie. W przeciwnym wypadku wiedziałbyś, jak miał na imię mój ojciec. Był niezwykle potężny. Był silny i odważny, a ludzie czcili ziemię, po której stąpał. Niech to diabli, ja też. Ale nie był miłym człowiekiem.

Mój ojciec był wspaniałym człowiekiem. Uważałem, że był silny i odważny i czciliem ziemię, po której stąpał. Ale też nie był zbyt

miły.

Głupi jak wół. Bo ludzie mieli mnie chujowo traktować.

– Watahy takie jak ta Bennettów – stare, z długą historią – przyjmują do swojego stada czarownicę. Ma to pomóc zachować pokój i równowagę, a także zwiększyć moc Alfy. Mój ojciec... był czarownicą Abla Bennetta. Ojca Thomasa. Wataha Bennettów była wówczas większa. Silniejsza. Poważano ją i bano się jej.

– I co się stało? – spytałem cicho.

– Stracił swój postronek – odparł Gordo. Zachichotał z goryczą.

– Twoją matkę?

– Nie. Inną kobietę. Ona... to nieistotne. Umarła. Była wilkołaczką.

Po jej śmierci ojciec zabił wiele osób.

Poczułem się odrętwiały.

– Zająłem jego miejsce – kontynuował Gordo. – Miałem wtedy dwanaście lat.

– Gordo...

– Nie byłem gotowy. Na przyjęcie odpowiedzialności. Popełniałem błędy. Ojciec zniknął. Chuj wie, czy w ogóle jeszcze żyje. Ale miałem dom. Swoje miejsce.

– Gordo?

– Co?

– Jestem twoim postronkiem.

– No.

– A kto nim był przede mną?

– To nie ma znaczenia. – Odwrócił wzrok.

Ale oczywiście, że miało.

– Jak długo?

– Jezu Chryste.

– Jak długo żyłeś bez postronka?

Spodziewałem się, że nie odpowie. Ale w końcu się odezwał.

– Całe lata.

– Ty pieprzony dupku – wyrzuciłem z siebie ochryłym głosem.

– Dlaczego mnie nie poprosiłeś?

– Nie myślałem...

– Nie myślałeś? No, nie pierdol. Mogła ci się stać krzywda.

Zapalił papierosa. Zaciągnął się głęboko. Wydmuchał dym.

– Miałem wszystko pod kontrolą.

– Jebać cię i twoją kontrolę.

Spojrzał mi w oczy.

– Ox, to, że tkwisz teraz w tym wszystkim, nie znaczy, że cokolwiek wiesz na ten temat. Nie zapominaj. Ja się z tym bujam przez całe życie. A ty jesteś tylko pieprzonym dzieckiem.

Wyciągnąłem się na całą wysokość.

– Dzieciakiem, który należy do stada Bennettów i jest postronkiem dla ciebie i Joego.

Przez chwilę obserwował mnie z dziwnym wyrazem twarzy.

– Cholera – bąknął. – Ox.

– Przestań. Nigdy więcej. Słyszysz? Niczego przede mną nie ukrywaj. Nigdy więcej.

– Ox...

– G o r d o.

– Jezu, młody. Czasami robisz się zajebiście przerażający. Wiesz o tym, co nie? Masz w sobie coś z Alfą.

Nic nie powiedziałem. Tylko wpatrywałem się w niego gniewnie.

Westchnął.

– No dobra.

– Kto to był?

Dym zwijał się w kłęby wokół jego twarzy, kiedy mówił:

– Mark. W porządku? To był Mark. Kochałem go. Kochałem go, ale on wyjechał, a ja zostałem i zanim poznałem ciebie, błądziłem w ciemnościach. Ty mnie sprowadziłeś z powrotem, Ox. Sprowadziłeś mnie z powrotem i nie mogę cię stracić. Nie mogę.

Pozostali nic nie wiedzieli. Tanner. Rico. Chris. Gordo powiedział, że tak jest lepiej. Czasem mi się wydawało, że nawet Gordo nie wierzy we własne kłamstwa.

Zaczęła się szkoła. Ostatnia klasa liceum. Przed domem zatrąbił klakson. Otworzyłem drzwi. Uśmiech Joego był pogodny i olśniewający. Pomachał do mnie z tylnego siedzenia. Powiedział:

– Hej, Ox. W końcu będę taki sam jak wy. Czas do szkoły, co nie?

Wtedy w lesie, po tym, jak spytał mnie, czy chcę stać się wilkiem, Thomas powiedział:

– Postronki są ważne, Ox. Zwłaszcza jeżeli są ludźmi. Gdyby to miało być uczucie, musiałyby być wszechogarniające. A to zazwyczaj zdarza się w przypadku wściekłości bądź nienawiści, lecz ich meandry są tak zawiłe i kręte, że postronek robi się czarny i spalony. W przypadku gdy postronek to wataha, brzemień rozkłada się na wszystkich członków i każdy dźwiga jego ciężar.

– A jeśli to tylko jedna osoba? – spytałem. Wiaterek rozwiał mi włosy, a ja zamknąłem oczy.

– Jeśli to jedna osoba – odparł Thomas cicho – to tę osobę traktuje się jak coś niezwykle cennego. Ale z czasem rodzi się zaborczość. Tak to już po prostu jest. To jeden z najważniejszych aspektów bycia wilkiem.

– A co jest twoim postronkiem? – spytałem. Jak tylko te słowa wyszły z moich ust, chciałem je cofnąć. Poczułem, że to bardzo osobiste pytanie, którego nie miałem prawa zadawać.

Ale Thomas odrzekł:

– Wataha. To zawsze była moja wataha. Nie pojedyncze osobniki jako takie, ale i d e a stojąca za pojęciem watahy.

– Rodzina – zauważyłem.

– Tak. Ale też o wiele więcej. Sytuacja może być trudniejsza, gdy w grę wchodzi jednostki.

– A co w przypadku, gdy jestem związany z dwiema osobami?
Zmarszczył czoło.

– To się jeszcze okaże, nieprawdaż?

„Patrzcie, Bennettowie mają jeszcze trzeciego brata” – szeptali między sobą ludzie na korytarzu.

„Wygląda zupełnie tak samo jak pozostali”.

„Dlaczego oni nadal zadają się z Oxem?”

Na stołówce okazało się, że potrzebujemy większego stolika. A może tylko większej ławki. Otaczali mnie Bennettowie. Kelly siedział po mojej lewej. Joe po mojej prawej. Carter z jego drugiej strony.

Zagonili mnie na jedną stronę stołu. Siedzieliśmy ściśnięci, jak tylko się dało, a Joe nawijał o tym i o tamtym, i o wszystkim, co tylko przyszło mu do głowy.

Siedząca samotnie naprzeciwko nas Jessie wyglądała na rozbawioną, ale wydawało mi się, że w jej uśmiechu kryje się coś więcej, choć nie potrafiłem określić co. Jestem pewien, że wszystkim pozostałym osobom w stołówce sytuacja wydawała się dziwna. Nas czterech i ona. Nie przejmowałem się tym.

Joe gadał jak najęty. Ze mną. Z Carterem. Z Kellym. Z Jessie – nigdy. Dał mi cząstkę jabłka. Ja podzieliłem się z nim frytkami. Powiedział cicho:

– Cieszę się, że tu jestem. Z tobą.

Odparłem:

– Ja też.

– Kochałeś go? – spytałem Marka pewnego jesiennego popołudnia.

– Kogo?

– Gorda.

Odparł:

– Przestań. – I sobie poszedł.

Nie poszedłem za nim.

Zmusiłem Gorda, żeby zdmknął bariery ochronne wokół mojego domu, dzięki czemu pewnej niedzieli Bennettowie przyszli do nas na obiad. Z początku odmówił.

– To niebezpieczne.

Odparłem:

– Należę do watahy nadopiekuńczych wilkołaków, które mieszkają po sąsiedzku. Jestem całkiem pewny, że nie mógłbym być bezpieczniejszy.

– Chryste – bąknął. – Kiedyś ledwo co się odzywałeś, pamiętasz? Ach, stare dobre czasy.

Zabolało mnie to. Bardziej, niż się spodziewałem. Najwyraźniej nie udało mi się zachować kamiennej twarzy, bo Gordo westchnął i powiedział:

– Ox.

– No? – Spuściłem wzrok i gapiłem się na swoje buty. Wiedziałem, że nie zawsze mówiłem najtrafniejsze czy najmądrzejsze rzeczy, ale wydawało mi się, że radzę sobie coraz lepiej. Starąłem się.

Jego dłoń spoczęła na moim karku i poczułem, że c o ś pomiędzy nami pulsuje. Uczucie nie było tak silne jak w przypadku Joego czy stada, ale było i było ciepłe i miłe, a ja poczułem się jak w d o m u.

– Przepraszam – powiedział cicho.

– Wiem – odparłem, próbując zbagatelizować sprawę. – Wszystko w porządku.

Zacisnął mocniej palce.

– Nie – stwierdził. – Nie jest w porządku. Nikomu nie wolno zachowywać się tak, żebyś czuł się chujowo. Zwłaszcza mnie. To niedopuszczalne.

– Wiem.

– Postaram się bardziej, dobrze? Nie jestem najlepszy, wiem. Będę wobec ciebie w porządku. Przysięgam.

– Wiem.

Ścisnął mój kark, po czym opuścił rękę.

– Nie zdejmę barier – powiedział. – Nie całkowicie. Ale je zmodyfikuję. Dla Joego. Dla Cartera i Kelly’ego.

– A dla reszty stada? – spytałem.

Gordo odwrócił wzrok.

– Jasne, Ox. Dla reszty też.

Po raz pierwszy mieliśmy zjeść niedzielny obiad u nas w domu. Mama była mocno podenerwowana. Śmigąła po kuchni jak ptaszek. Kiedy zapytałem ją dlaczego, odparła:

– Bo oni są tacy e l e g a n c c y. A my nie jesteśmy e l e g a n c k i m i ludźmi, Ox.

– Oni się nie przejmują takimi rzeczami.

– Wiem.

– Ładnie wyglądasz – pochwaliłem ją. I nie minąłem się z prawdą. Zawsze wyglądała ładnie. Nawet gdy była zmęczona. Nawet gdy była smutna.

Zaśmiała się i powiedziała:

– Cicho bądź. – Pacnęła mnie ścierką do wycierania naczyń i kazała zrobić sałatkę, a sama zajęła się sprawdzaniem, czy lazania jest już gotowa.

Pierwszy przez drzwi przeszedł Joe. Obrzucił wnętrzem szybkim spojrzeniem, by w jak najkrótszym czasie przyswoić sobie jak najwięcej szczegółów. Jego klatka piersiowa falowała, by wchłonąć

jak najwięcej zapachów. Oczy miał szeroko otwarte, niemal wybałuszone.

– Joe – powiedział Thomas, kiedy podszedł do syna od tyłu. – Spokojnie. Oddychaj miarowo. – W jego głosie usłyszałem rozkaz, od którego ciarki przeszły mi po skórze. Teraz łatwiej było mi rozpoznać ten ton. Alfa. Nie byłem wilkiem, ale i tak chciałem obnażyć przed nim szyję.

– To dla mnie dużo – odparł cichutko Joe, próbując uspokoić oddech. – Za dużo naraz.

Nie rozumiałem, ale doszedłem do wniosku, że nie miałem zrozumieć.

Następna weszła Elizabeth, za którą podążali Carter, Kelly i Mark. Mama nie przestawała trajkotać, a jej zdenerwowanie przejawiało się wyraźnie w ciągle to wznoszącej się, to opadającej intonacji. Albo tego nie zauważyła, albo postanowiła nie zadawać pytań, gdy Bennettowie dotykali prawie wszystkiego w zasięgu wzroku. Przeciągali dłońmi po obiciu kanapy. Po stole w jadalni. Po krzesłach. Po kuchennych blatach. Carter i Kelly rozwalili się na krzesłach przy stole, wyciągając się tak daleko, jak tylko mogli.

Wiedziałem, co robią. Sprawiali, by to miejsce pachniało nimi. Pachniało stadem. Zapachy miały ogromne znaczenie. Bennettowie nie chcieli, byśmy byli z mamą sami. Chcieli się włączyć. Po kolei przytuliłem każdego członka rodziny. Carter i Kelly potarli nosami moją szyję. Joe wziął mnie za rękę.

– Twój pokój – powiedział. – Chcę zobaczyć twój pokój.

Zaciągnął mnie po schodach na górę, nie czekając na odpowiedź. Nie musiałem mu nawet mówić, gdzie ma iść. Wyciągnął wolną rękę i pozwolił, by palce przemykały wzdłuż ścian. Głowa obracała mu

się gwałtownie to w lewo, to w prawo. Wydał z siebie niskie warknięcie, a jego dłoń na króciutką chwilę zesztyniała w mojej. Nie pytałem, o co chodzi. Nie byłem pewien, czy chcę się dowiedzieć. Ale wtedy dotarliśmy do mojego pokoju i naraz wszędzie było pełno Joego. Nie mógł ustać w miejscu dłużej niż przez sekundę i dotykał wszystkiego, czego udało mu się dosięgnąć.

Mruczał do siebie:

– Jest tutaj silny, taki silny, silny, silny. – A potem: – Mogę go zamaskować, mogę sprawić, że zniknie. – I jeszcze: – Mój, mój, mój.

Pozwoliłem mu. Pozwoliłem mu zrobić to, co musiał. W końcu zatrzymał się przed moim biurkiem. Wciągnął gwałtownie powietrze.

– Joe – powiedziałem i ruszyłem się z wejścia.

– Zatrzymałeś go?

– Co?

Nie odpowiedział. Podszedłem do niego od tyłu. Robił się coraz wyższy. Czubkiem głowy dosięgał mi już do połowy piersi. Poczułem ukłucie czegoś, co miało słodko-gorzki smak. Nie wiedziałem dlaczego. I wtedy dostrzegłem, na co patrzył. Na małego wilka zrobionego z kamienia. Poczułem się zdezorientowany.

– No. Dlaczego miałbym go nie zachować?

– Ox – powiedział zdławionym głosem. Spuściłem wzrok. Jego palce wpijały się w blat, znacząc drewno drobnymi śladami pazurów. Jego oczy błysnęły pomarańczowo, a ja powiedziałem:

– Hej. – Położyłem mu dłoń na ramieniu i znów to poczułem, to samo ciepło, które czułem przy Gordzie. Lecz o ile Gordo wydawał

się ciepłym ogniem, to puls, przyciąganie Joego wydawało się słońcem.

Westchnął, schował pazury i odsunął dłonie.

– Podoba mi się twój pokój – oznajmił cicho. – Wygląda dokładnie tak, jak sobie wyobrażałem. Zagracony, ale czysty.

– Sosnowe szyszki i laski cukrowe? – spytałem.

Uśmiechnął się.

– Epicki i kapitalny.

Dotknął przelotnie wilka. Ledwie musnął opuszkami palców głowę zwierzęcia, a słońce pomiędzy nami rozjarzyło się bardzo, bardzo mocno.

wilki tak mają / jesteśmy sami

Trenowali. Wilkołaki. Wataha. Przemykali między drzewami szybko i cicho. Tropili mnie w lesie, podczas gdy ja usiłowałem ich zmylić.

Thomas mówił:

– Atak. – I gdy oni wysuwali pazury, on wykonywał nagłe, mylące manewry w lewo i w prawo, w górę i w dół.

Zapytałem go kiedyś, dlaczego trenujemy w ten sposób.

– Musimy być gotowi – odrzekł.

– Na co?

Położył mi dłoń na ramieniu.

– Na to, by bronić tego, co nasze.

– Przed czym?

– Przed czymkolwiek, co mogłoby nam odebrać stado lub terytorium. – Jego oczy zaświeciły się na czerwono.

Po kręgosłupie przeszedł mi dreszcz.

Trenowałem jeszcze ciężiej.

– Wesołych świąt, Ox. – Joe wyszczerzył zęby w uśmiechu, gdy przytuliłem go mocno, opierając podbródek na czubku jego głowy.

– Zmieniłeś się – powiedział Gordo i zaciągnął się papierosem.

– Serio?

– Poruszasz się inaczej – doprecyzował.

– Może po prostu rosnę.

– Nie, to raczej... kwestia pewności siebie. Nosisz wyżej głowę.

– Wilki tak mają.

– Ty nie jesteś wilkiem.

– Jestem wystarczająco podobny.

Zmrużył oczy.

– Zrobił to, prawda?

– Kto?

– Thomas. Zaproponował, że cię ugryzie.

Usłyszałem, jak Rico rechocze głośno w głębi warsztatu. Tanner i Chris wrzasnęli coś do niego w odpowiedzi.

– No – przyznałem.

– Ox – powiedział ostrzegawczo.

– Decyzja należy do mnie – odparłem. – Nie zrobi tego dopóty, dopóki nie skończę osiemnastu lat. Ale to ja muszę podjąć decyzję.

– Po prostu... noż kurwa. – Gordo był wyraźnie wkurzony. – Po prostu pomyśl o konsekwencjach. Będą na ciebie polować. Przez resztę życia. Na tym świecie istnieją różne rzeczy. Potwory i ludzie, którzy najchętniej zatknęliby twoją głowę na włócznię.

– Bo byłem wilkiem? – spytałem. – Czy dlatego, że już stałem się częścią stada?

- Cholera – mruknął.
- A może dlatego, że jestem postronkiem czarownicy?
- Powiedziałem ci, że...
- Nie jestem już dzieckiem, Gordo.

Głos mu się załamał, kiedy mówił:

- Ale jesteś wszystkim, co mam.
- Dobrze – odparłem. – W takim razie wiesz, że nigdy cię nie opuszczę. Nie zostawię tego.

Zamknął oczy i nabrał głęboko tchu.

- Odrzuciłeś jego propozycję – wypaliłem, kierując się przeczuciem. – Nie chciałeś, żeby cię ugryzł. Odmówiłeś.

Jego oczy otworzyły się powoli.

- Najłatwiejsza decyzja, jaką kiedykolwiek musiałem podjąć. Wiedzieliśmy obaj, że to było kłamstwo.

Nie powiedziałem mu, że zdecydowałem się pozostać człowiekiem. Na razie.

Mama powiedziała:

- Jessie wpadła dzisiaj do restauracji.

Zerknąłem jeszcze raz na pracę domową z matmy. Wydawało mi się, że robię coś źle.

- Powiedziała mi, że nie widziała się z tobą od kilku dni.
- Zajęty byłem – wymamrotałem. – Nauka. Praca. – Pełnia księżycy z wilkołakami.

– Priorytety, Ox. Dobrze je mieć, ale nie można zapominać o przyjemnościach.

Bieganie z wilkami było największą przyjemnością.

Mroczne pulsowanie wewnątrz słońca pomiędzy Joem a mną. Poderwałem głowę z ławki na lekcji historii. Wstałem z miejsca i wypadłem z klasy, zanim się zorientowałem, że w ogóle się ruszyłem. Pomyślałem: *JoeZagrożonyJoeZnajdźJoeego*. Kolejne dwa drgnięcia, krótkie rozbłyski światła. Carter i Kelly. Pomyślałem: *wataha*. Słońce było zabarwione gniewem. Hamowanym, lecz takim, który zaraz miał wybuchnąć. Wiedziałem, choć nie wiedziałem, skąd wiem. Męski kibel. Korytarz. Pchnąłem drzwi.

Joe przyciśnięty do ściany. Plecak leżący u jego stóp, otwarty, rozerwany. Ołówki i zeszyty porozrzucone po podłodze. Trzej otaczający go faceci. Jeden przyparł go do ściany, dociskając przedramieniem szyję. Rozpoznałem ich niejasno pomimo zasnuwającej moje oczy czerwonej mgły. Drugoklasiści. Dupki. Joe się nie bał. A przynajmniej nie był całkiem przerażony. Mógłbym przysiąc, że słyszałem szybkie, lecz miarowe uderzenia jego serca. Nie bronił się, bo wiedział, że to wywabiłoby wilka. Wtedy mnie zobaczył. Jego oczy zrobiły się okrągłe. A słońce eksplodowało.

Najpierw chwyciłem tego, który dociskał go do ściany. Złapałem go za kark i szarpnąłem do tyłu. Powiedział:

– Co, do...? – A potem już wcale nie mógł mówić, bo leżał na podłodze, z moim kolanem przyciśniętym do klatki piersiowej i moimi dłońmi zaciskającymi się na gardle. Oczy wyszły mu na wierzch, kiedy warknąłem i obnażyłem zęby tuż nad jego twarzą.

Pozostali dwaj złapali mnie za ramiona i próbowali odciągnąć, ale przypomniałem sobie swój trening i Thomasa mówiącego: „Zachowaj spokój i panuj nad sytuacją”. Pozwoliłem im się podnieść. Wykorzystałem impet i kopnąłem tego po prawej kolanem w żołądek, a tego po lewej trzasnąłem łokciem w twarz. Ten pierwszy zgiął się wpół i usiłował odzyskać oddech. Ten drugi wrzasnął, a między jego palcami mignęła karmazynowa czerwień. Odsunąłem się i wepchnąłem sobie Joego za plecy. Mały zacisnął pięści na mojej koszuli i przytulił się czołem do mojego grzbietu.

Carter i Kelly wparowali do ubikacji, a ich oczy wysyłały złowrogie błyski. Obrzucili pomieszczenie baczным spojrzeniem. Poczułem dziwny spokój, kiedy na ich twarzach zagościł wyraz satysfakcji na widok tego, co zastali. Nie zdziwienia. Satysfakcji. Jakby wiedzieli, że sobie poradzę.

- No – zaczął Carter. – To jak macie na imię?
- Pierdol się – powiedział ten z rozkwaszonym nosem.
- Zła odpowiedź – oznajmiłem, a Kelly ruszył w jego stronę.
- Imiona! – warknął Carter.

Rozkwaszony nos odparł:

- Henry.

Chłopak trzymający się za brzuch powiedział:

- Tyler.

Ten, który nadal leżał na podłodze, odszczeknął:

- Idź do diabła.

Carter chwycił go za szyję i podniósł. Stopy chłopaka oderwały się od podłoża. Wymachiwał nimi w powietrzu. Carter stał blisko niego, ale wciąż panował nad sytuacją.

- Jak. Masz. Na. Imię?

– Dex – wykrztusił tamten.

– Zapamiętasz? – spytał Carter Kelly'ego.

Ten pokiwał głową i wciągnął powietrze w nozdrza.

– Henry. Tyler. Dex. Zapamiętam. – Zapamięta ich zapachy.

– Jeśli kiedykolwiek zbliżycie się jeszcze raz do mojego brata, to was zabiję – wycedził Carter przez zęby. – Co do jednego. Jeśli ja nie dam rady, zrobi to Kelly. A jeśli i jemu się nie uda, to niech Bóg ma was w swojej opiece, kiedy Ox dostanie was w swoje ręce. – Cisnął Dexa na podłogę. Chłopak wrzasnął, kiedy wylądował na boku. Carter i Kelly stanęli nad nim. Pozostała dwójka napastników wzdrygnęła się na ten widok. Ale bracia stanęli u mojego boku, całkowicie zasłaniając Joego. Kelly położył mi dłoń na ramieniu. Carter przycisnął się do mnie barkiem.

Pierwszy uciekł Henry. Potem Tyler. Dex uśmiechnął się szyderczo, ale był to uśmiech tchórza, który szybko przygasł i zniknął. On także zwiął. A ja płonąłem niczym słońce.

Dyrektor szkoły popatrzył na nas. Na mnie. Na moją mamę. Na całą rodzinę Bennettów.

– Zawieszenie w prawach ucznia na pięć dni – oznajmił.

Carter, Kelly i ja nie odezwaliśmy się słowem, tak jak nas poinstruowano.

– Pięć dni? – spytała mama. – A co z tymi trzema, którzy zaczęli?

– Zajmujemy się nimi – odparł dyrektor. Na jego czole dostrzegłem cienką warstewkę potu.

– Doprawdy? – powątpiewała Elizabeth. – Mam taką nadzieję. Po tym, jak przygwoździli mojego dwunastoletniego syna do ściany...

– Ale Ox złamał jednemu z nich nos! – odparował dyrektor. – Ma szczęście, że nie wniesiono przeciwko niemu zarzutów.

– Tak – powiedziała Elizabeth. – Wielkie szczęście. Ale gdyby jednak wniesiono zarzuty, to z pewnością my także coś byśmy znaleźli.

Dyrektor otarł brwi.

– Mark – powiedział Thomas lekkim tonem.

– Słucham.

– Jak duży datek mieliśmy w tym roku złożyć na rzecz okręgu szkolnego Green Creek?

– Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

– Aha. Dziękuję.

– Żaden kłopot.

– Ależ, panie Bennett – powiedział dyrektor. – Jestem pewien, że możemy...

– Skończyliśmy tę rozmowę – odparł Thomas. – Pańska obecność mnie mierzi. Chodźcie wszyscy. Na nas już czas.

Thomas i Elizabeth odciągnęli mnie od pozostałych.

– Ochroniłeś jednego ze swoich – powiedział Thomas, a oczy zalśniły mu czerwienią. – Jestem z ciebie taki dumny.

Był moim Alfą i na dźwięk jego słów moja skóra zaczęła wibrować. Odchyliłem głowę do tyłu i obnażyłem przed nim gardło. Wyciągnął dłoń i dotknął delikatnie mojej szyi. Elizabeth przytuliła mnie mocno do siebie.

Zawieszenie zostało przerwane nagle i bez ostrzeżenia.

– Sam bym sobie poradził – gderał Joe, kiedy szliśmy gruntową drogą.

– Wiem – odparłem.

– Sam bym ich wszystkich powalił.

– Wiem.

– Nie jestem jakimś tam dzieckiem.

– Wiem – odparłem.

Spojrzał na mnie wilkiem.

– Powiedz coś innego.

– Cieszę się, że mogłem cię obronić – stwierdziłem szczerze. – I zawsze będę cię bronił.

Wpatrzył się we mnie tymi swoimi wielkimi błękitnymi oczami. A potem poczerwieniał. Rumieniec zaczął rozchodzić się od gardła i objął całą twarz. Odwrócił wzrok. Zaczął kopać nawierzchnię. Czekałem, aż się zdecyduje. W końcu chwycił mnie za rękę i znów ruszyliśmy gruntową drogą.

Kolejna awantura.

– To moja r o d z i n a – warknąłem.

Twarcz Jessie była zarumieniona, oczy błyszcząły.

– Rozumiem to – odparła. Mówiła twardym głosem. – Nawet jeśli nie całkiem pojmuję ich dziwaczną fascynację twoją osobą.

– To wcale nie jest dziwaczne.

– Ox – powiedziała. – No, trochę jest dziwne. Jakby byli członkami jakiejś sekty czy coś.

– Jessie, dość tego. Nie wolno ci tak o nich mówić. Oni nigdy nie powiedzieli o tobie złego słowa, więc ty też nie mów o nich w ten sposób.

– Poza Joem – bąknęła.

– Co takiego?

Spojrzała na mnie ze swojego miejsca na moim łóżku.

– Powiedziałam, że poza Joem. On n mnie nie lubi.

Roześmiałem się.

– To nieprawda.

– Ox, to prawda. Dlaczego tego nie dostrzegasz? Dlaczego jesteś taki ślepy, jeśli chodzi o niego?

– Jego w to nie mieszaj – powiedziałem, a mój głos zaczął się podnosić.

Wyglądała na sfrustrowaną.

– Ja tylko chcę być częścią twojego życia, Ox. A ty mnie olewasz. Masz przede mną tajemnice. Wiem, że coś się dzieje. Dlaczego mi nie ufasz?

– Przecież ci ufam – odparłem, lecz czułem się, jakbym kłamał.

Obdarzyła mnie uśmiechem, który nie sięgnął jej oczu.

Tuż po Święcie Dziękczynienia mama wysłała do mnie SMS-a, w którym prosiła, żebym wrócił do domu prosto po pracy. Kiedy wszedłem, dom wydał mi się jakiś inny. Uderzyło mnie to prosto w pierś. Czułem gniew. Smutek. Ale i ulgę. Tak wielką ulgę. To musiało mieć związek ze stadem. Nigdy wcześniej nie odczuwałem

w domu takich emocji. Co prawda nie byłem wilkiem, ale nie byłem też zwyczajnym człowiekiem. Byłem czymś więcej. Czułem się tak, jakbym widział w powietrzu kolory. Gniew był ciężkim, mdłym fioletem. Smutek – mieniącym się błękitem. Wibrował wzdłuż krawędzi fioletu. Ulga była zielenią, a ja zastanawiałem się, czy to właśnie czuła Elizabeth, kiedy przechodziła swoją zieloną fazę. Ulgę.

Mama siedziała przy stole. Twarz miała suchą, ale jej oczy otaczały czerwone obwódki. Wcześniej płakała, ale płacz minął, a ja zrozumiałem, że nie jestem już całkiem normalny, bo wiedziałem, co dokładnie zamierzała powiedzieć, jeszcze zanim się odezwała. Ale i tak pozwoliłem jej to powiedzieć. Byłem jej to winien.

– Ox – zaczęła. – Musisz mnie wysłuchać, dobrze?

Więc odparłem:

– Jasne, oczywiście. – Przykryłem jej dłoń swoją. Moja łapa zupełnie ją zakryła, a ja uświadomiłem sobie, jak bardzo kocham tę drobną kobietę.

– Mamy siebie nawzajem – powiedziała.

– Wiem.

– Jesteśmy silni.

– Jesteśmy. – Uśmiechnąłem się.

– Twój ojciec nie żyje – oznajmiła. – Był pijany. Wsiadł za kółko.

Wjechał w drzewo.

A ja na to:

– Aha. – Chociaż coś ścisnęło mnie za serce.

– Jestem tutaj – przypomniała. – I zawsze będę.

Obydwoje postanowiliśmy zignorować to kłamstwo, bo przecież nikt nie może czegoś takiego obiecać.

– Gdzie? – spytałem.

- W Nevadzie.
- Nie uciekł zbyt daleko, co?
- Nie – przyznała. – Chyba mu się nie udało.
- Wszystko u ciebie w porządku? – spytałem i wyciągnąłem rękę, żeby pogłodzić ją kciukiem po policzku.

Skinęła głową. Następnie wzruszyła ramionami. Twarz zaczęła jej drżeć, więc odwróciła wzrok. Zaczekałem, aż mogła kontynuować.

- Kochałam go – wyznała w końcu. – Przez długi czas.
- Ja też. – Nadal go kochałem. Ona być może już nie, ale ja tak.
- Był miły. Przez chwilę. Był dobrym człowiekiem.
- No.
- Kochał cię.
- No.
- Teraz jesteśmy tylko my dwoje.

Zaprzeczyłem:

- Nie, to nieprawda.

Spojrzała na mnie.

- Co masz na myśli? – Łza skapnęła jej na policzek.
- Jest nas więcej – powiedziałem. Zacząłem się trząść.

Zmartwiła się.

- OX, co się dzieje?
- Nie jesteśmy sami. Mamy Bennettów. Gorda. Oni...
- OX?

Wzięłem głęboki wdech, a potem powoli wypuściłem powietrze. Nie mogłem pozwolić, by myślała, że jesteśmy sami. Już nie. Nie wtedy, kiedy nie musieliśmy być.

– Coś ci pokażę. Musisz mi zaufać. Nie pozwolę, żeby stała ci się jakakolwiek krzywdą. Zawsze będę cię chronił. Przy mnie będziesz

bezpieczna.

Płakała.

– Oх...

– Ufasz mi? – spytałem.

– Tak. Jasne. Tak. Oczywiście. – Słowa oddzielały od siebie ciche westchnienia.

– Nigdy go nie potrzebowaliśmy. Przetrwaliśmy.

– Czyżby? C z y ż b y?

Chwyciłem jej dłoń, pomogłem jej wstać. Oplotłem ramionami jej barki. Podprowadziłem ją do frontowych drzwi. Na dworze było zimno, więc trzymałem się blisko. Byłem cieplejszy niż ona.

– Nie bój się – powiedziałem. – Nigdy więcej się nie bój.

Spojrzała na mnie, a w jej oczach czaiło się tyle pytań. Więc podniosłem wzrok na nocne niebo i odchyliłem głowę do tyłu. I z a ś p i e w a ł e m.

Moja pieśń nie była tak dobra jak wilcza. I nigdy nie będzie, bo niezależnie od tego, czym byłem, bliżej mi było do człowieka niż do czegokolwiek innego. Tyle powiedział mi Thomas, kiedy uczył mnie w głębi lasu. Ale skowyt wybrzmiał mocno, mimo że głos mi się załamał. Włożyłem w niego wszystko, co mogłem. Mój fioletowy gniew. Mój błękitny smutek. Moją zieloną ulgę, moją jebaną zieloną ulgę, że on odszedł, odszedł, odszedł, a ja już nigdy nie będę musiał zastanawiać się nad jego losem. Nie będzie już więcej „co jeśli”. Nie będzie już więcej „dlaczego”. Nie będzie już więcej cierpienia, bo n i e byliśmy sami. Ojciec powiedział, że ludzie będą mnie chujowo traktować, ale jebać go. Niech będzie przeklęty. Tak bardzo go kochałem.

Włożyłem w tę pieśń wszystko. I jeszcze zanim jej echo ucichło pośród drzew, odpowiedział jej skowyt z domu na końcu ulicy. Joe. I kolejny. Carter. I Kelly. I Mark. I Elizabeth. Thomas zawył najgłośniej ze wszystkich. Zew Alfy. Usłyszeli moją pieśń i w zamian zaśpiewali mi swoją.

– O mój Boże – wyszeptała matka i przycisnęła się do mnie mocniej.

Z oddali dobiegł nas łoskot. Uderzenia łap i drapanie pazurów po ściętych mrozem liściach. Fiolet oznaczał gniew. Błękit oznaczał smutek. Zieleń oznaczała ulgę. Między drzewami mignęły błyski w kolorze pomarańcza. Strzępki czerwieni. Kolory zażyłości, rodziny, domowego ogniska. Słyszałem ich w sobie, mówili: *jesteśmy tu BracieSynuPrzyjacieluUkochany. jesteśmy tutaj, jesteśmy stadem, jesteśmy twoi i nic tego nie zmieni.*

Mama załkała u mojego boku. Trzymała mnie mocno. Drżała. Zapewniłem ją:

– Oni cię nigdy nie skrzywdzą.

Oddychała z trudem.

– Skąd ta pewność? – spytała.

– Bo jesteśmy watahą. – Wysunąłem się z jej objęć i uciszyłem ją łagodnie, kiedy próbowała mnie zatrzymać. – Wszystko w porządku – uspokajałem ją. – Wszystko w porządku.

Nie spuszczałem z niej wzroku. Tyłem zszedłem z ganku, powoli, żeby nie poślizgnąć się na oblodzonych stopniach. Mój oddech rozszedł się wokół mnie białymi kłębam. Było zimno, ale jak tylko postawiłem stopy na zmrożonej ziemi, otoczyło mnie ciepło. Wilki ocierały się o mnie, jazgocząc z podekscytowaniem, podgryzając mnie w palce, dłonie, ramiona. Joe stanął na tylnych łapach,

przednie położył mi na barkach. Polizał mnie po twarzy, a ja śmiałem się i śmiałem.

Thomas usiadł wygodnie, czekał. W końcu wydał z siebie niskie warknięcie. Pozostali przestali się wokół mnie tłoczyć i odsunęli się na bok. Gdy wstał na cztery łapy, usłyszałem, jak mama bierze gwałtowny wdech. Kroki basiora były spokojne i niespieszne. Podszedł do mnie i położył mi łeb na ramieniu, splatając szyję z moją. Przesunął nosem wzdłuż skóry i włosów. Z jego piersi wydobył się pomruk, cichy i pełen zadowolenia. Po raz pierwszy sam ich wezwałem. Thomas był ze mnie dumny.

Do moich osiemnastych urodzin zostało jeszcze tylko siedem miesięcy, ale najwyraźniej nie byłem jeszcze mężczyzną, bo musiałem mruganiem odpędzić łzy.

– Mój ojciec nie żyje – wyszeptalem do wilka. Joe zaskomlił, lecz nie podszedł bliżej. – Mama sądzi, że zostaliśmy sami.

Pomruk w piersi Thomasa stał się głośniejszy, a poprzez rozciągające się między nami wszystkimi więzi usłyszałem: *cii nie nigdy sami tutaj jesteśmy tutaj nie płacz Synu Członku Stada nie płacz nigdy sami.*

Wplątałem palce w jego futro i mocno się go trzymałem. Pozwolił mi na chwilę rozpaczy, ponieważ wiedział, że potrzebuję ich tylko kilku. Minęły, bo tak to już jest z tymi rzeczami. Thomas zlizął łzy z moich policzków, a ja zaśmiałem się cicho. Przytknął swoje czoło do mojego, a ja powiedziałem:

– W porządku. Już wszystko ze mną w porządku. Dziękuję.

Basior odwrócił się w stronę mojej matki. Wydała z siebie cichy, zdławiony odgłos i drżąc, cofnęła się o krok. Powiedziałem:

– Wszystko dobrze.

Odparła:

– To mi się śni.

A ja powiedziałem:

– Nie.

– O x! – wykrzyknęła. – Co to jest?!

Thomas stanął przed nią i skłonił łeb. Przycisnął nos do jej czoła,
a ona powiedziała:

– O c h.

walcz o mnie / rodzina jest wszystkim

Mama powiedziała:

– W jakim dziwnym świecie żyjemy. – Po czym się roześmiała.

A potem zaczęła płakać.

Wataha przycupnęła wokół niej i tak trwała dopóty, dopóki słońce nie wzeszło następnego ranka.

Dni mijały.

– Mama wie – powiedziałem.

Gordo zamknął oczy. Czuję łączącą nas więź, kiedy starał się zapanować nad swoim gniewem. Fiolet z nutami błękitu. Dostrzegalem domieszkę złota. Drążyłem, aż zrozumiałem, że to zazdrość. Ostre kolory zblakły, gdy wypuścił powietrze.

– To twoje stado – powiedział obojętnym tonem z pustym wyrazem twarzy.

Mój własny fiolet zaczął pulsować.

– Tatko umarł.

Błękit, błękit, błękit.

– Ox, tak mi przykro.

I nagle oplotły mnie jego ramiona. Byłem jego postronkiem i pomyślałem sobie, że może on jest częścią mojego.

Na krótko przed moimi urodzinami Jessie pocałowała mnie w moim pokoju. Przycisnęła się do mnie całym ciałem tak mocno, że musiałem się cofnąć. Walnąłem nogami o łóżko. Opadłem na materac. Usiadła mi okrakiem na kolanach. Roześmiałem się cicho i pomyślałem o pełni, która nadeszła tamtego wieczoru. Mama miała z nami iść po raz pierwszy, tylko żeby popatrzeć.

Jessie powiedziała:

– Myślę, że powinniśmy się rozstać.

Odparłem:

– W porządku.

Cisza.

Odepchnęła się ode mnie i wstała.

– OX. – Zmrużyła oczy.

– Co?

– I to już? Tylko tyle masz mi do powiedzenia?

Poczułem się zdezorientowany.

– Przecież to ty to powiedziałaś!

Przewróciła oczami.

– Powinieneś o mnie walczyć.

– Aha.

– OX.

– Co?

– Chcesz o mnie walczyć?

– Jessie – odparłem. – Po co to robisz? – Sięgnąłem do naszej więzi, żeby zobaczyć, jakie ma kolory, ale przypomniało mi się, że nie ma żadnej więzi, i poczułem się trochę smutny.

Chodziła przede mną w tę i z powrotem.

– Nigdy cię tu nie ma.

– Jak to: „nie ma”? Tutaj? Zawsze tu jestem. To mój dom. Mój pokój.

– Nie. T u t a j. W sensie: przy mnie. O i l e w ogóle się widzimy. O i l e pamiętasz, żeby do mnie oddzwonić. O i l e pamiętasz, żeby wysłać mi SMS-a. O i l e, o i l e, o i l e, bo zawsze jesteś r o z k o j a r z o n y. Zawsze jesteś n i e o b e c n y. Jesteś rozkojarzony, jakbyś, kurwa, był zupełnie gdzie indziej, a ja na to nie zasługuję. Nie zasługuję, Ox.

Miała rację. Nie zasługiwała. Powiedziałem jej to.

– Więc to n a p r a w – rzuciła.

A ja odparłem:

– Nie potrafię. – Usłyszała to, co naprawdę miałem na myśli.

N i e c h c ę.

Odsunęła się ode mnie o krok, a ja zastanawiałem się, co widzi, patrząc na mnie. Zmieniłem się? Stałem się czymś innym? W niektóre dni wydawało mi się, że nadal jestem tym samym Oxem co wcześniej. W inne miałem ochotę zaskowyczeć pieśń, która zatrzęsłaby drzewami.

– Dlaczego? – spytała.

– Posłuchaj, Jessie – odparłem. Mój głos brzmiał spokojnie, ale poczułem, jak od mojego serca odłupuje się wążutki odłamek. –

Mam... coś. Do zrobienia. – Nigdy nie byłem dobry w operowaniu słowami, teraz także mnie zawodziły. Wysiliłem się i uczepiłem

pierwszej myśli, która przyszła mi do głowy. – Priorytety. Mam priorytety.

– A ja nie jestem jednym z nich – zauważyła.

– Nie no – odparłem, bo nie była to prawda. – Jesteś. – Ale to też nie była prawda. Czułem się okropnie. – Cholera – wymamrotałem.

– Kocham cię, Ox – oznajmiła Jessie. – Nie rozumiesz?

Rozumiałem. I ja także ją kochałem. Na swój sposób.

– Wyjeżdżasz – stwierdziłem, zamiast powiedzieć jej prawdę. – Za kilka miesięcy. – Miała jechać na drugi koniec kraju, żeby kontynuować naukę.

– No, wyjeżdżam. Ale mieliśmy s p r ó b o w a ć.

– Może nie powinniśmy.

Potrząsnęła głową.

– Dlaczego?

– Bo nie jestem w stanie dać ci tego, czego potrzebujesz. A to nie fair.

– To przez Joego, prawda? To przez tego gówniarza...

Wstałem. Zerwałem się na nogi. Wycedziłem:

– P r z e s t a ń.

Jej oczy zrobiły się wielkie i okrągłe. Wargę jej zadrżała.

Powiedziała:

– Przepraszam. To nie... Nie wiem, dlaczego to powiedziałam.

– To sprawa pomiędzy mną a tobą – stwierdziłem. – Jego w to nie mieszaj.

W końcu Jessie wyszła.

– Czuję to węchem – powiedział Joe cicho. Siedzieliśmy na ganku i patrzyliśmy na słońce. – Jesteś smutny.

Odparłem:

– No. – Bo byłem.

– Chcesz o tym pogadać?

Pokręciłem przecząco głową.

– Jeszcze nie teraz.

Położył mi głowę na ramieniu i powiedział:

– Okej.

Później, gdy słońce już zaszło, a gwiazdy zaczęły świecić na niebie, obiecałem:

– Nigdy cię nie zostawię.

Chris rzucił:

– Ty skurwielu. Jessie ma złamane serce. Pierdol się, Ox.

Gordo nazwał go dupkiem. Tanner stwierdził, że miłość to trudna sprawa. Rico powiedział, że jestem pożeraczem serc. Chris nie odzywał się do mnie przez trzy dni. Czwartego dnia przyszedł do mnie. Wyglądał na zdenerwowanego. Nie mogłem tego znieść, więc go przytuliłem. Odwzajemnił uścisk i powiedział:

– Tęskniłem za tobą. Jestem debilem. Wybaczysz mi?

Odparłem:

– Pewnie.

Wyszczrzył się w uśmiechu i kupił mi w restauracji kanapkę.

Nie mówił nic na temat Jessie. Ale ja też nie.

Skończyłem osiemnaście lat. Thomas nie zapytał mnie, czy chcę, by mnie ugryzł. A ja nie poprosiłem, by to zrobił.

Green Creek było małym miasteczkiem. Ostatnia klasa liceum liczyła jedynie trzydziestu czterech uczniów. Ale można by pomyśleć, że zgromadzony tłum liczył tysiące osób, tak wszyscy wrzeszczeliśmy, kiedy Carter wchodził na podwyższenie. Uśmiechnął się szeroko i puścił oczko, kiedy odbierał świadectwo. Później usłyszałem:

– Oxnard Matheson. – Ryk, który nastąpił, odebrał mi dech w piersiach. Bennettowie. Mama. Gordo i chłopacy. Krzyczeli i wyli. Myślałby kto, że zdobyłem największe osiągnięcie znane ludzkości. Powiem szczerze. Nie spodziewałem się tego. Bolało, ale w dobrym znaczeniu tego słowa. Czasem ból bywa dobry.

Carter powiedział:

- Nie jadę daleko. Eugene[13] jest tylko kilka godzin drogi stąd.
- Nie będzie tak źle – stwierdził Kelly.
- Będziemy często się widywać – dodał Joe.

Powiedziałem:

- Kurwa, do dupy.
- No – westchnęli wszyscy trzej.

Leżeliśmy na trawie i patrzyliśmy na świecące nad nami gwiazdy. Tworzyliśmy kąty i linie równoległe, wyciągnięci i dotykający się w ten czy inny sposób. Joe trzymał głowę na mojej klatce piersiowej,

a nogi wyciągnął w przeciwną stronę. Carter zarzucił ciężkie giry na moje nogi. Kelly położył mi głowę na ramieniu.

Czułem ciepło. I bezpieczeństwo. I smutek.

– Będzie dobrze – powiedział Carter. – Obiecuję.

– A jak nie wrócisz? – spytał Joe cichym głosem. Przeciągnąłem dłonią po jego włosach.

– Wrócę – odparł Carter. – Ty będziesz moim Alfą. Oczywiście, że do ciebie wrócę. I do Kelly’ego, i do Oxa. Jesteśmy watahą. Pewnego dnia nas poprowadzisz.

– Ale ja nie wiem jak – oznajmił Joe. – Nie sądzę, żebym był w tym dobry.

– Będiesz najlepszy – zapewniłem go. – Będiesz najlepszym Alfą, jaki kiedykolwiek istniał.

Uniósł się dumą jak paw, a Carter i Kelly ryknęli śmiechem. Sądziłem, że się wygłupiam. Stary niemądry Ox. Ale ja wierzyłem w to całym sercem.

Od czasu do czasu Thomas zabierał Joego do lasu. Zostawali tam na wiele godzin. Nigdy nie pytałem, o czym rozmawiali ani co robili, bo doszedłem do wniosku, że to sprawa pomiędzy nimi. Nie mój interes. Dopóty, dopóki Thomas nie powiedział co innego. Posłał po mnie w środku lata. W warsztacie zjawił się Carter, a oczy błyszczały mu czymś, czego nie potrafiłem zidentyfikować. Wyglądał, jakby przewody pod napięciem strzelały mu iskrami pod skórą. Jakbym nie wiedział lepiej, pomyślałbym, że traci nad sobą kontrolę.

– *Papi!* – wykrzyknął Rico. – Przyszedł twój kochaś. Zrób sobie przerwę. Dziesięć minut powinno ci wystarczyć, żeby dojść.

Chris i Tanner zaczęli gwizdać i ryczeć, a ja przewróciłem oczami. Gordo stanął w drzwiach do swojego biura, z rękoma skrzyżowanymi na piersi, i śledził mnie wzrokiem, kiedy szedłem przez warsztat. Sytuacja była nietypowa i Gordo też to wiedział. Nie należał do stada, ale wyczuwał to. Poza tym wilki nigdy tu nie przychodziły. Bariery ochronne broniły im dostępu. Gordo był kutasem, ale nie znałem jego historii. Przynajmniej nie w całości. Staralem się go nie obwiniać. Ale teraz Carter stał przed warsztatem, roztrzęsiony, a jego oczy rzucały pomarańczowe błyski.

Spytałem:

– Wszystko w porządku?

A on odrzekł:

– Alfa chce cię widzieć dziś wieczorem. – Jego głos brzmiał jak chrzęst żwiru, jakby wilk miał zaraz wyskoczyć mu z gardła.

Chciałem go zapytać d l a c z e g o, zakwestionować jego słowa, ale wiedziałem, że lepiej tego nie robić. To było w e z w a n i e. Zamiast cokolwiek mówić, otoczyłem Cartera ramionami, a on zaskomlił gardłowo, z nosem wciśniętym w zagłębienie mojej szyi. W końcu przestał się trząść.

– W porządku? – wyszeptałem mu prosto do ucha.

Pokiwał głową i odsunął się ode mnie.

– Pokręcę się w pobliżu – powiedział normalnym głosem. – Poczekam, a potem podrzucę cię do domu.

Wszedłem z powrotem do warsztatu.

– O co chodziło? – spytał Gordo.

– Sprawy watahy – odparłem i wróciłem do pracy.

Carter niewiele się odzywał w drodze powrotnej do domu. Coś tam bąknął na temat college'u i dziewcząt, więc zacząłem mówić o czymś, o czym rozmyślałem od dłuższego czasu.

– Przyszedł do nas do pracy taki jeden facet. Wydał mi się atrakcyjny. Czasami obczajam facetów. – Słowa wylatywały szybko z moich ust, bo po raz pierwszy mówiłem to na głos. Poczułem swego rodzaju ulgę. Ale i przerażenie.

Carter milczał przez jakąś minutę. A potem powiedział:

– Aha. Okej. Wylizaleś mu jajca?

Śmiałem się tak mocno, że myślałem, że umrę. Carter śmiał się mi do wtóru.

Powiedział:

– Wiesz, że mam to w dupie, co nie? Znaczy ze wszystkich rzeczy na tym świecie, którymi można się przejmować, ta jest na szarym końcu listy.

Odparłem:

– No. Wiem, Carter. – Serce mi waliło.

– Hej. Uspokój się, Ox.

Głupie wilkołaki.

– Jasne.

– Jestem pierwszą osobą, której powiedziales?

– No.

Wyszczrzył się w uśmiechu.

– Skradłem twój gejowski wianek! – Zmarszczył brwi. – Czekaaj.

– O mój Boże.

– Nie o to mi chodziło.

– O mój Boże.

– Znaczy skradłem twój gejowski sekret. – Skrzywił się i zahamował na czerwonym świetle. – To wcale nie zabrzmiało lepiej.

– O mój Boże.

– Całowałaś się już kiedyś z facetem?

Zarumieniłem się.

– Nie.

Zanim zdążyłem jakkolwiek zareagować, przechylił się w moją stronę i złożył mocny pocałunek na moich ustach. Po chwili oderwał się ode mnie z głośnym cmoknięciem.

– No to już się całowałaś.

– O mój Boże.

– Brzmisz za bardzo jak Joe.

– Czułem się, jakbym całował się z własnym bratem – powiedziałem.

– Pieprz się, Oxnard – odparował z luzackim uśmiechem. – Masz szczęście, że jestem hetero. Bo już dawno bym cię zaliczył. – Poniuchał w powietrzu i miał czelność zrobić obrażoną minę. – Poważnie? Nie podnieciłeś się? W o g ó l e?

– No jak rany – jęknąłem.

– Chyba robię coś nie tak.

– Najwyraźniej.

– Nadal lubisz dziewczyny?

Wzruszyłem ramionami.

– Tak mi się wydaje.

Walnął mnie w ramię.

– Chciwiec.

Zaśmiałem się.

– Z drugiej strony, to wszystko ułatwi – zauważył, a ja pomyślałem: „Że co?”.

– Niby co ułatwi?

Wzruszył ramionami.

– Przyszłość. I wszystko, co nam przyniesie.

Nie chciał powiedzieć nic więcej dopóty, dopóki nie dojechaliśmy do domu na końcu ulicy. Thomas i Joe już na nas czekali.

– Wszystko będzie w porządku, Ox – rzucił Carter, nim wszedł do środka.

– Ox – przywitał się Thomas ciepło. – Dziękuję, że przyjechałeś.

Odwzajemniłem jego uśmiech lekko podenerwowany. Wiedziałem, że bez trudu to ode mnie wywęszy. Wilkołaki takie już były. No i powiedział:

– Nie masz się czym martwić.

A ja odparłem:

– Okej.

Joe złapał mnie za dłoń i potarł czołem o moje ramię. Robił się coraz wyższy. Miał prawie trzynaście lat i rósł jak wybująły chwast. Kiedy mu to powiedziałem, obdarzył mnie olśniewającym uśmiechem. Thomas bez słowa ruszył w stronę lasu. Joe pociągnął mnie za rękę i poszliśmy jego śladem. Robiłem to, co oni, i się nie odzywałem. W końcu dotarliśmy do polany. Joe puścił moją rękę i stanął obok ojca. W milczeniu obaj usiedli na trawie ze skrzyżowanymi nogami, twarzami do siebie.

Thomas spytał:

– Joe, co to znaczy być Alfą?

– To znaczy ochraniać pozostałych za wszelką cenę.

– Nawet za cenę życia?

– Tak. Wataha jest ważniejsza niż cokolwiek innego.

Rany, ależ miałem ochotę do nich podejść i coś powiedzieć, ale trzymałem gębę na kłódkę. Thomas rzucił mi przelotne spojrzenie, przybrawszy ostrzegawczą minę, ale uśmiechnął się do mnie bezgłośnie, by dać mi znać, że rozumie.

– A dlaczego wataha jest najważniejsza?

– Bo wataha to rodzina – odparł Joe. – A rodzina jest wszystkim.

– Ox – odezwał się Thomas. – Usiądź z nami.

Tak zrobiłem. Nie byłem pewien, jakie było tu moje miejsce. Nie byłem pewien, dlaczego zostałem tu zaproszony. Nie byłem pewien, co powiedzieć. Dlatego zrobiłem to, co umiałem robić najlepiej – nie odezwałem się słowem. Podobnie jak Thomas i Joe. Siedzieli w milczeniu, obserwując liście na drzewach, przeciągając palcami po źdźbłach trawy. Wszystko było zielone. Zielone jak skrzydła ważki, którą zobaczyłem tego dnia, kiedy poznałem Joego. Zielone jak faza, przez którą przechodziła Elizabeth, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Zielone jak magia ziemi Gorda, ostra i cierpka. Zielone jak ulga, jak ulga tak cholernie wielka, że wszystko to mnie przytłoczyło.

Tak, poczułem się przytłoczony. Ponieważ siedziałem obok wilkołaczego samca Alfa i przyszłego samca Alfa i n a l e ż a ł e m do nich. Do nich. A oni należeli do mnie. Czułem więzi. Pomiędzy nami. Więź łączącą mnie z Alfą. Więź łączącą mnie z moim Joem. Siedzieliśmy tak godzinami i nie odzywaliśmy się słowem.

Od tamtego czasu bardzo często im towarzyszyłem. Czasem siadaliśmy. Czasem przyglądałem się, jak Thomas i Joe trenują

jeden na jednego, jak latają pazury, jak obnażają się kły.

Ponownie zadałem Thomasowi pytanie:

– Po co to wszystko?

– Co?

– Walki. Pazury. Kły. Treningi. To wszystko.

Odparł:

– Żebyśmy byli gotowi bronić naszego terytorium, kiedy nadejdzie czas.

– Przed kim bronić?

Wzruszył ramionami.

– Przed wszystkimi.

– Thomas – zacząłem, lecz przerwałem, bo nie byłem pewien, czego chcę.

Czekał, jak zawsze.

Chcę, żebyś mnie ugryzł.

Miałem zamiar go o to poprosić. Naprawdę miałem. Otworzyłem usta, żeby powiedzieć to na głos, ale słowa nie chciały wyjść. Nie mogłem sprawić, by się wydostały.

Thomas wiedział. Oczywiście, że wiedział.

– Będę tutaj – zapewnił mnie. – Jeśli i kiedy będziesz gotowy. A jeśli nie ja, to Joe.

– Wiesz, on będzie świetny – powiedziałem cicho. – Dzięki temu, czego go nauczyłeś.

Uśmiechnął się. Rzadko mu się to zdarzało i na ten widok poczułem się dobrze.

– Alfa jest tak silny jak jego stado.

Pewnego dnia spytałem go, kiedy Joe zostanie Alfą. Odparł, że wtedy, gdy nadejdzie odpowiedni czas. Spytałem, co wówczas stanie się z nim. Odparł, że będzie służył jako Beta syna. Spytałem, jak będzie się czuł, kiedy zrezygnuje z tego wszystkiego, co wiąże się z byciem Alfą. Odparł, że poczuje się z i e l o n o. Nie pytałem, skąd wie.

Czasami Thomas wysyłał na polanę tylko mnie i Joego. Czasami rozmawialiśmy. Czasami nie mówiliśmy zupełnie nic. Mówił, że to ze względu na więź pomiędzy nami. Czasami wydawało mi się, że coś przede mną ukrywają. Takie tylko miałem wrażenie.

ziemia, po której stąpasz / upadły król

Stała w kuchni i śpiewała do wtóru piosenki płynącej z radia, kiedy powiedziałem:

– Mamo, możemy pogadać?

Obejrzała się przez ramię, nie przerywając mieszania w rondelku na ogniu. Uśmiechnęła się i odparła:

– Cześć, kochanie. – A ja nieomal obróciłem się na pięcie i uciekłem. Miałem osiemnaście lat, a bałem się własnej m a t k i.

Musiła wyczytać coś z mojej twarzy, bo zmniejszyła płomień na kuchence i stanęła przodem do mnie. Położyła mi dłoń na ramieniu.

– W porządku?

Potrząsnąłem głową.

– Yyy. Chyba? Tak mi się wydaje. Możliwe, że tak.

Czekała.

Kochałem ją. A ona kochała mnie. Dlatego powiedziałem:

– Jestem raczej pewien, że lubię dziewczyny.

Odparła:

– W porządku.

Więc powiedziałem:

– I chłopaków. – Ręce mi się spociły.

– W porządku.

– Tak... no, wiesz jak.

Jej oczy leciutko się rozszerzyły.

– A h a. To... – Zmrużyła oczy. – Jednakowo?

– Co?

– Lubisz i dziewczyny, i chłopaków. Jednakowo? Czy kogoś bardziej?

Wzruszyłem ramionami.

– Może tak samo? Nie wiem na pewno, bo nigdy nie robiłem nic z chłopakiem. – Skrzywiłem się. – Rany, po co ja to powiedziałem?

Oblała się rumieńcem.

– Cóż, masz osiemnaście lat. Możesz... no, wiesz. Robić. To. Jesteś dorosły.

– O Boże – jęknąłem.

– Nie, nie. Wszystko gra! – W jej głosie pobrzmiwało zdenerwowanie – Ja tylko... Słyszysz się, że rodzice po prostu wiedzą takie rzeczy o swoich dzieciach. Ja... nie wiedziałam. – Zmarszczyła brwi. – Czy jestem przez to złą matką?

– Nie! Hm. Nie. Nieee. Jesteś... świetna. W tym. No, w tym, co robią mamy.

Westchnęła.

– OX.

– No?

– Nie przejmuję się takimi rzeczami.

– Jakimi rzeczami?

– Czy jesteś gejem, czy czymkolwiek innym.

– Biseksualny – podsunąłem, jakby to słowo mogło w czymkolwiek pomóc.

– Biseksualny – odparła. – Okej.

– To takie niezręczne.

– Naprawdę?

– A nie?

– Wyglądasz na przestraszonego – zauważyła.

Spuściłem wzrok na podłogę.

– Nie chciałem cię rozgniewać – udało mi się wydusić.

Nagle jej ramiona oplotły mnie w pasie, a głowa oparła się o moją pierś. Położyłem czoło na jej ramieniu i oddałem uścisk.

– Nigdy bym się na ciebie nie rozgniewała za to, kim jesteś – zapewniła cicho. – I przepraszam, jeśli kiedykolwiek odniosłeś przeze mnie takie wrażenie.

– Czyli nie uważasz... że to dziwne? Czy coś?

Roześmiała się.

– Ox. Jesteś członkiem watahy wilkołaków i pytasz mnie, czy coś takiego uważam za dziwne?

– Ty też jesteś jej częścią – powiedziałem szybko.

Bo tak było. Do pewnego stopnia. W tamtej chwili, w której Thomas dotknął jej głowy, a ona stała się świadoma tego, jak dziwaczny potrafi być świat, została członkinią stada. Kilka tygodni zajęło jej zaakceptowanie rzeczy, które zobaczyła, a jeszcze dłużej – uwierzenie w nie aż do szpiku kości. Kelly powiedział mi, że bardzo długo śmierdziała strachem za każdym razem, gdy miała jakikolwiek kontakt z Bennettami. Kazałem mu nie brać tego do siebie, bo to nic osobistego, a on tylko się roześmiał, otoczył ramieniem moje barki i odparł, że oczywiście żadne z nich tak nie pomyślało.

Zazwyczaj nie wychodziła z nami podczas pełni, ale Thomas nalegał, by trenowała tak samo jak reszta z nas, kiedy tylko mogła.

Z początku zachowywała się cicho i niezręcznie. Z początku robiła niewiele.

Nie wiem, co się zmieniło. Może to było wtedy, kiedy Thomas wziął ją na spacer po lesie i rozmawiał z nią o rzeczach, o które ja nigdy nie pytałem. A może wtedy, kiedy Elizabeth zabrała ją na lunch, piły razem wino brzoskwiniowe i chichotały jak małe dziewczynki. A może to przeze mnie, bo zobaczyła, jak bardzo tego potrzebuję. Jak bardzo potrzebuję ich.

Nie wiem, co wywołało zmianę. Ale pewnego dnia przyszła na trening z błyszczącymi oczami, włosami ściągniętymi w ciasny kucyk i udało jej się podciąć mi nogi. Zamroczyło mnie. Leżałem i wpatrywałem się w chmury widoczne między koronami drzew, a ona tylko stała i się śmiała.

Boże, kochałem tę kobietę. Bardziej niż wszystko. I właśnie dlatego tak się bałem, że mógłbym ją zawieść. Przez coś tak głupiego jak seks.

– Czy jest...? No, wiesz... – Popatrzyła mi w oczy. – Ktoś wyjątkowy?

Pokręciłem głową.

– Od czasu Jessie nie.

– W okolicy nie ma zbyt wielkiego wyboru.

– Yyy.

– Poznasz kogoś – powiedziała z nagłą zaciętością. – Zobaczysz. Chłopaka albo dziewczynę, którzy będą wielbić ziemię, po której stąpasz, bo zasługujesz na to, by traktowano cię jak skarb. A ja będę przy tobie, by ci powiedzieć: „A nie mówiłam?”, bo sobie na to zapracowałeś. Jeśli ktokolwiek na tym świecie na to zapracował, to tylko ty.

Carter poszedł do college'u. Udało mi się wyrwać w jeden weekend, żeby go odwiedzić. Kelly i Joe też chcieli jechać, ale mieli dużo pracy domowej i Elizabeth się nie zgodziła. Carterowi to nie przeszkadzało. Miał pokój w akademiku tylko dla siebie. Przedstawił mnie paru osobom, ale niemal natychmiast zapomniałem, jak miały na imię, bo od tygodni nie widziałem przyjaciela. Chyba czuł to samo, bo kazał ludziom wyjść. Położyliśmy się na podłodze, Carter oparł głowę o moje nogi i powiedział:

– Pachniesz domem.

Leżeliśmy tak dopóty, dopóki nie zaszło słońce. Potem zabrał mnie do jakiegoś klubu i wprowadził nas do środka. Nie wiedziałem, jak mu się to udało. Powiedział, że to pewnie dlatego, że byliśmy więksi niż cała reszta.

Muzyka grała głośno. Światła migają. Nie wiedziałem, jak udaje mu się to wytrzymać, biorąc pod uwagę jego wyostrzone zmysły. Wyczuwałem zapach wody, potu i mdłych, nieciekawych perfum jakiejś kobiety, która pojawiła się nie wiadomo skąd i otarła o mnie, nim zniknęła z powrotem w tłumie.

Carter tylko się roześmiał. Powiedział:

– Trzymaj. – I wręczył mi szklaneczkę c z e g o ś.

Wypiłem. Miało owocowy posmak i paliło w gardło. On też pił, ale alkohol nie działał na wilki, no chyba że wypily ilość, która wystarczyłaby do zabicia zwykłego śmiertelnika. Powiedział mi kiedyś, że po prostu lubi ten smak. Zastanawiał się, jak by to było się upić. A ja zastanawiałem się, jak by to było poczuć przyciąganie księżycy.

W oczach przyjaciela zauważyłem pomarańczowy błysk. W klubie było gorąco. Wilgotno i parno. W jednej chwili zaśmiewałem się, kiedy podeszły do nas dwie kobiety i ścisnęły Cartera pomiędzy sobą na parkiecie tak, że wyglądali razem jak kanapka, a w następnej zobaczyłem przed sobą zielone oczy. Błądą skórę. Zawadiacki uśmiech delikatnie odsłaniający zęby.

Chłopak spytał:

– Jak masz na imię?

A ja odparłem:

– Ox.

– Ox. Niespotykane.

Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu, bo czułem się dobrze.

– Chyba tak. A ty to kto?

Moje kończyny były wiotkie. Drgania basów pełzały po skórze.

– Eric – odparł, a po chwili dodał: – Chcesz zatańczyć?

– Nie jestem w tym zbyt dobry. Jestem za duży.

Zawadiacki uśmiech jeszcze mocniej wygiął jego wargi.

– Czyżby?

Złapał mnie za rękę i poprowadził przez tłum. Carter złowił mnie wzrokiem i zadał pytanie, które tylko ja mogłem usłyszeć. Wzruszyłem ramionami i odwróciłem się.

Eric przycisnął się do mnie długą, gorącą linią potu i ciała. Otarł się pośladkami o moje krocze, a ja powiedziałem:

– W o w.

Roześmiał się.

Zmieniła się piosenka, a ja poczułem usta na swojej szyi i szybkie muśnięcie językiem. Później znalazłem się w kabinie w toalecie. Eric klęczał. Mój fiut tkwił w jego ustach, a głowa opierała się o ciepłe

płytki ceramiczne, które drżały w rytm muzyki. Moje palce wplotły się w jego włosy, wszystko było gorące i wilgotne. Stęknąłem ostrzegawczo, więc się odsunął i zwałił mi ręką, aż spuściłem się na brudną podłogę. Wtedy wstał, zaczął mnie całować i jednocześnie sobie trzepał. Westchnął prosto w moje usta. Smakował nieświeżym piwem i miętą. Doszedł sobie na dłoń. Czułem się niedoświadczony.

– Dzięki – powiedział, zapinając rozporek. – Byłeś świetny.

– Jasne – odparłem, bo nie byłem pewien, co innego mógłbym powiedzieć. – Ty też.

I wyszedł. Postąłem chwilę w kiblu, ale śmierdziało szczynami i głowa mnie rozboleła.

Nigdzie nie mogłem znaleźć Cartera, usiłowałem więc schwytać tę nic pomiędzy nami, to coś wewnątrz, co mówiło: *WięźWatahaBrat*, ale wszystko tak mnie przytłoczyło, że powiedziałem:

– Carter, Carter, Carter. – Przez chwilę nic się nie działo. Nagle znalazł się przede mną, ze zmrużonymi oczyma, położył mi dłonie na ramionach i obejrzał od stóp do głów, usiłując wypatrzeć, gdzie zostałem ranny.

Nozdrza mu się rozszerzyły, a potem spytał:

– Czy to się odbyło za obopólną zgodą? – A ja oblałem się rumieńcem i odwróciłem wzrok.

Chwilę mi zajęło, nim pokiwałem głową. Otoczył ramieniem moje barki i zachichotał tuż koło mojego ucha, z czołem przyciśniętym do moich włosów.

– Ty psie – rzucił.

– Powiedział wilkołak.

Warknął mi koło ucha.

– Dobrze ci było?

- Zamknij się.
- Było z a j e b i ś c i e?
- Zamknij się, Carter.
- O m d l a ł e ś z wrażenia?
- Och, do kurwy nędzy.
- No, popatrz, popatrz – powiedział. – Lodzik w miejscu publicznym? Mój malutki Ox dorasta.
- Jestem większy od ciebie – wymamrotałem, a on nie mógł przestać się śmiać.

Wyciągnął mnie stamtąd. Dopiero gdy wyszliśmy na ulicę, zauważyłem szminkę rozmazaną na jego ustach. Na jego szyi. Powiedziałem mu, że niezła z niego dziwka. Warknął, a ja rzuciłem się do biegu. Gonił mnie, błyskając radośnie pomarańczowymi ślepiami. Udał, że wygrałem.

Spaliśmy w jednym łóżku, spleceni w uścisku, bo należeliśmy do tego samego stada i wiedziałem, że tęskni za domem. Długo i dokładnie szorowałem się pod prysznicem, zanim wyjechałem następnego ranka.

Gdy wróciłem, Joe spytał:

- Dobrze się bawiłeś?

A ja odparłem:

- Jasne, Joe. – Ale zabrzmiało to jak kłamstwo.

Rok później przydarzył mi się Nick. Wszedł do warsztatu Gorda cały zakurzony po długiej jeździe. Sprzęgło w jego motocyklu wysiadło kilka kilometrów od Green Creek. Został na tydzień. Pieprzyłem go

przez ostatnie trzy dni jego pobytu w miasteczku. Potem wyjechał, a ja nigdy więcej go nie widziałem.

Joe miał wówczas czternaście lat i po tamtych wydarzeniach nie odzywał się do mnie przez trzy tygodnie. Twierdził, że jest zajęty. Że zbliżają się testy końcowe, więc musi się uczyć.

– Jasne – powiedziałem, starając się nie martwić napięciem słyszalnym w jego głosie. – Wszystko w porządku?

– Taa, Ox – westchnął do telefonu. – Wszystko gra.

Prawie mu uwierzyłem.

Właśnie skończyłem dwadzieścia dwa lata, kiedy do miasteczka przybyły potwory. Pomimo wszystkich ostrzeżeń Gorda na temat tego, jak wielki i przerażający potrafi być świat, pomimo wszystkich pomysłów Thomasa na ochronę terytorium nigdy nic się nie działo. Nikt się nie pojawiał. Nic nas nie atakowało. Nigdy nie pytałem o inne stada ani o to, co jeszcze istnieje, skoro wilkołaki są prawdziwe. Żyłem w bańce w małym miasteczku pośród gór i sądziłem, że już zawsze będę w tym miejscu.

Wszystko było dobrze. Wszystko szło świetnie. Carter skończył college i wrócił do Green Creek, żeby pracować z ojcem. Kelly uczył się zdalnie, żeby nie opuszczać stada. Joe miał szesnaście lat i wciąż niemal każdego dnia czekał na mnie na gruntowej drodze. Gordo zamierzał otworzyć drugi warsztat w miasteczku obok. Mama uśmiechała się, kiedy nocą biegała z wilkami. Jessie wprowadziła się z powrotem do Green Creek i rozpoczęła pracę jako nauczycielka. Tanner, Rico i Chris zapraszali mnie na piwo, wspólnie zajadaliśmy się pikantnymi skrzydełkami. Mark był bliski opowiedzenia mi

o sobie i Gordzie. Elizabeth malowała w odcieniach różu i żółci. Thomas uśmiechał się do drzew niczym król zadowolony ze swoich włości. Powinienem być zadawać więcej pytań. O to, co czai się gdzieś tam na zewnątrz. O to, czego może chcieć. Ale byłem naiwny, niebezpiecznie naiwny.

Szedłem w stronę restauracji na lunch. Wydłubywałem smar spod paznokci. Dłonie miałem pełne odcisków, oznak ciężkiej pracy. Zdumiewało mnie własne miejsce w świecie. W Green Creek. Ojciec powiedział, że ludzie będą mnie chujowo traktować, ale on już nie żył, a ja miałem swoje miejsce. Miałem przyjaciół. Rodzinę. Miałem ludzi. Coś znałem. Byłem kimś. Był słoneczny czerwcowy dzień, a ja byłem żywy i szczęśliwy. I nagle jakaś kobieta powiedziała:

– No, no. Witam.

Zatrzymałem się. Podniosłem wzrok.

Coś było z nią nie tak. Nie w porządku. Otaczał ją mrok. Była piękna, miała rude włosy i bladą skórę, a na ustach rekini uśmiech, ukazujący ostre zęby, gotowe, by gryźć. Na sobie miała śliczną letnią sukienkę w odcieniach błękitu i zieleni. Była boso, a ja zastanawiałem się, czy na betonie rozgrzanym od słońca nie pieką jej stopy.

– Cześć – odparłem. Wyglądało na to, że na chodniku nie ma nikogo innego.

Kobieta zrobiła krok w moją stronę. Przekrzywiła głowę na bok, a ja pomyślałem: *Nie w porządku. Nie w porządku, nie w porządku, nie w porządku.*

– Mam na imię Marie – przedstawiła się. – A ty?

– Oх.

– Ox – szepnęła. – Naprawdę mi się podoba. – Znalazła się na tyle blisko, że mógłbym jej dotknąć, a ja nie wiedziałem, jak to się stało.

– Dziękuję – odparłem. – To bardzo miłe z twojej strony.

Zamknęła oczy i wciągnęła głęboko powietrze.

– Pachniesz jak...

– Jak co?

Otworzyła oczy. Błysnęły fioletem jak u Omegi.

– Jak człowiek. Powiedz mi coś, człowieku. Lubisz bawić się z wilkami? – Zrobiła kolejny krok w moją stronę.

W odpowiedzi ja zrobiłem krok do tyłu. W mojej głowie rozbrzmiewał głos Thomasa nakazujący mi, bym pamiętał swój trening. Bym pamiętał, czego mnie nauczył. Nie sądziłem, by to naprawdę był on, ale nie mogłem mieć pewności. Wiedziałem, że Gordo pozakładał bariery ochronne w całym miasteczku, więc z pewnością wiedziałby, gdyby jakiś inny wilk je przełamał.

– Powinnaś sobie stąd pójść – powiedziałem. – Zanim.

– Zanim co?

– Wiesz dlaczego.

– Ox? Co się dzieje?

– Cholera – wymamrotałem. Spojrzałem ponad ramieniem Marie. Mama wysunęła górną połowę ciała przez drzwi knajpki i przyglądała mi się z wyrazem troski na twarzy.

– Wracaj do środka – nakazałem jej, kiedy Marie odwróciła się, by na nią popatrzeć, i pomachała palcami w obscenicznym geście. Paznokcie miała pomalowane na niebiesko.

– Pachnie tak samo jak ty – oznajmiła Marie. – Wiedziałeś o tym? Jak ty, dym z drewna i jesienne liście. A teraz ja wiem, jak

ona pachnie. Pamięć węchowa, Ox. Nigdy nie zanika.

– Ox – powiedziała mama.

– Do środka – warknąłem na nią.

Zniknęła we wnętrzu restauracji. Wiedziałem, że sięga po telefon.

Marie się zaśmiała.

– Mały człowieczek potrafi pokąsać. Wilki cię tego nauczyły?

– Weszłaś na terytorium watahy Bennettów – oznajmiłem. – To nie twoje miejsce.

– Bennettów – powtórzyła. – B e n n e t t ó w. Jakby to nazwisko jeszcze cokolwiek znaczyło. Pozwól, że poopowiadam ci trochę o B e n n e t t a c h.

– Co to ma znaczyć, do kurwy nędzy?

U mojego boku znalazł się Gordo. Rysy jego twarzy wykrzywiały gniew. Ramiona przykrywały mu rękawy roboczej koszuli, ale wiedziałem, że tatuaże na jego skórze zaczynają się zmieniać.

Marie zasyczała:

– Wiedzma.

– Wilk – odwarknął. – Masz jaja, paniusiu, żeby pokazywać tutaj swoją buźkę. Thomas Bennett już jest w drodze. Jak sądzisz, co zrobi, kiedy cię zobaczy?

Mgnienie strachu przemknęło przez jej twarz i zniknęło. Uśmiechnęła się ponownie, tym razem obnażając wszystkie kły.

– Upadły król? Wylezie z kryjówki? Chwała Ojcu!

– To nie żadne ukrywanie się, skoro przebywa na własnym terytorium – zauważyłem.

– Z ludźmi w stadzie – powiedziała. – To słabe, nawet jak na niego. Czołga się, ciągnąc brzuch po ziemi.

Dłonie zacisnęły mi się w pięści. Marie wyszczerzyła się do mnie w uśmiechu.

– Ależ ty jesteś słodki. Wiesz, mogłabym cię wypatroszyć. Tu i teraz. Zanim zdążyłbyś się ruszyć. Twój Alfa ukrywał się dość długo. Teraz jest osłabiony. Nawet ja to czuję. Mogłabym cię sobie wziąć, a on nie potrafiłby nic z tym zrobić.

– Spróbuj – rzuciłem, a Gordo się napreżył.

Ale nic nie zrobiła. Cofnęła się o krok. Zerknęła przez ramię, nim się odwróciła. Uśmiechnęła się delikatnie i powiedziała:

– Pozdrów ode mnie swoją mamę, Ox. – I ruszyła ulicą, aż zniknęła nam z pola widzenia.

Przyszli dwie noce później.

Zdiczali. Było ich czworo. Nie stanowili stada, bo nie mieli Alfy, lecz i tak jakimś cudem ze sobą współpracowali.

Thomas zmusił mnie i mamę, byśmy przenieśli się do domu Bennettów po tym, jak Marie mnie osaczyła. Powiedziałem mu, że Gordo też powinien być z nami. Thomas się nie spierał. Za to Gordo – owszem. Kazałem mu stulić dziób. Możliwe, że zabrzmiało to nieco histerycznie.

W ciągu dnia mama chodziła do pracy. Towarzyszyli jej Carter i Kelly. Gordo i ja też chodziliśmy do pracy. Nie spuszczał mnie z oka, nawet wtedy, gdy zrobiliśmy sobie dłuższą niż normalnie przerwę na lunch, żeby mógł wzmocnić bariery ochronne.

Joe nie chodził do szkoły. Przyniosłem mu lekcje, a on wziął je ode mnie pewnymi rękoma. Thomas i Mark zaszyli się w gabinecie Thomasa, szeptali coś gniewnie do telefonu i rozmawiali z ludźmi,

o których nigdy wcześniej nie słyszałem. Elizabeth nas uspokajała, przechodząc obok, mimochodem gładziła nas po włosach.

Drugiego wieczoru usiedliśmy do kolacji. Rozmawialiśmy cicho. Sztućce zgrzytały na glinianych talerzach. Nagle Gordo nabrał gwałtownie powietrza i westchnął.

– Nadchodzą – powiedział.

Wokół nas rozbłysły oczy Alfy i Bet. Znaliśmy plan. Trenowaliśmy na wypadek takich sytuacji. Kiedy podnosiłem łom wykonany z metalu z domieszką srebra, podarunek od Gorda, sądziłem, że ręce będą mi się trzęsły. Nie trzęsły się.

Thomas i Mark. Carter i Gordo. Wyszli na ganek. Reszta z nas pozostała w środku. Elizabeth i ja na przodzie. Kelly z Joem i moją mamą z tyłu. Zobaczyłem, jak zbliżają się w ciemności. Fioletowe ślepie świeciły między drzewami.

Thomas oznajmił:

– To terytorium Bennettów. Daję wam szansę na jego opuszczenie. Sugeruję, byście z niej skorzystali.

Roześmiali się.

Jakiś mężczyzna rzucił:

– Thomas Bennett. A niech mnie kule biją.

Inny mężczyzna powiedział:

– I wiedźma, ni mniej, ni więcej. Pachnie jak... Livingstone? Czyżby to był twój o j c i e c?

Gordo Livingstone. Jego ojciec, który stracił swój postronek i skrzywdził wielu, wielu ludzi.

Ale Gordo nic nie odpowiedział. Nie był u siebie. Alfa mówił za wszystkich, nawet jeśli Gordo nie należał do stada.

Thomas powiedział:

– Jedyna szansa.

Odezwał się trzeci mężczyzna:

– Ucierpią dzieci. Szczególnie mały Joseph. Nie sądzę, by złamanie go zajęło nam wiele czasu. – Na jego twarzy pojawił się paskudny uśmieszek, a ja bez mrugnięcia okiem zatłukłbym go na śmierć tam, gdzie stał, gdyby Elizabeth nie zacieśniła chwytu na moim ramieniu.

Thomas odparł:

– Nie powinieneś być tego mówić.

Na co Marie stwierdziła:

– Za dużo gadasz.

Nagle wszędzie były pazury i kły, i rozpaczliwe warknięcia. Wilki przeobraziły się połowicznie i rzuciły się na siebie nawzajem. Oczy Thomasa stały się czerwone jak ogień, a on sam wydawał się większy, o wiele większy od pozostałych. Zastanawiałem się, dlaczego Omegi uważały, że mają jakiegokolwiek szanse w starciu z nim.

Gordo ruszył w pogoń za pierwszym mężczyzną. Jego tatuaże lśniły i przesuwwały się, a powietrze wokół niego zapachniało ozonem, jakby uderzył piorun, i zaczęło wydawać trzaski. Ziemia pod stopami Omegi poruszyła się, a spod niej wystrzeliła kolumna ze skały i wepchnęła go na stary dąb.

Carter zajął się drugim mężczyzną, stanowili skłębioną masę kłów i rozdzieranej skóry. Carter zawył wściekle, gdy Omega wyrył mu pazurami głębokie bruzdy na grzbiecie. W odpowiedzi zza pleców usłyszałem warknięcie Kelly'ego, który zrobił krok w stronę brata, nim Joe, z szeroko otwartymi, oszalałymi ze strachu oczami, złapał go za rękę.

Mark wznosił trzeciego napastnika nad głowę, po czym opuścił go gwałtownie na własne kolano. Kręgosłup Omegi pękł, wydając ostry, chrupiący odgłos. Mężczyzna upadł na ziemię. Jego ręce i nogi drgały spazmatycznie.

Thomas wyzwał do walki Marie. Rude włosy fruwały dookoła na wpeł przemienionej twarzy. Czerwone ślepia śledziły każdy ruch kobiety. Thomas był uosobieniem wdzięku, Marie – agresji. Gdy zderzali się pazurami, w mroku rozbłyskiwały iskry. Thomas poruszał się jak płyn lub dym, Marie była niczym staccato. Już przegrała, choć jeszcze o tym nie wiedziała. Miała przegrać. Już wkrótce.

Ale.

Nie wiedzieliśmy, że było ich pięcioro. Może wilki powinny były wiedzieć. Może powinny były umieć to wyczuć. Może naruszenie barier ochronnych powinno było ostrzec Gorda. Ale były krew i szaleństwo, magia i łamane kości. Nasza rodzina walczyła i chociaż wygrywała, to nie bez strat. Zmysły były przeciążone, nerwy napięte jak postronki.

Mama stała na naszych tyłach. Powiedziała:

– Ox.

Więc się odwróciłem.

Trzymał ją Omega. Przyciskał ją do siebie, plecami do piersi. Otaczał ją w pasie ramieniem, łokciem miażdżył piersi, drugą ręką z wysuniętymi pazurami chwycił ją za gardło.

Powiedziałem:

– Nie.

Omega odparł:

– Każ im przestać.

Powiedziałem:

– Będiesz tego żałował. Każdego dnia, aż do końca twojego żalośnie krótkiego życia.

Oznajmił:

– Zabiję ją tu i teraz.

Odrzekłem:

– P o ż a ł u j e s z tego.

Duży zły wilk uśmiechnął się.

– Człowiek – prychnął.

Mama powiedziała:

– O x – tonem tak miękkim i słodkim, i tak pełnym łez. Zrobiłem krok w jej stronę.

– Puść ją.

Omega odparł:

– Każ. Im. P r z e s t a ć.

No i Joe. Joe. Szesnastoletni Joe. Stojący trochę z boku. Zapomniany, bo Omega nie spuszczał wzroku ze mnie, jakby wyczuwał, że to ja mam tu władzę. Jakbym to ja kontrolował watahę. Albo był w wielkim błędzie, albo sądził, że wie coś, czego nie wiem ja.

Ale Joe. Zanim postawiłem kolejny krok, on już się zerwał. Sprężył nogi, wysunął pazury. Skoczył i odbił się stopami od ściany. Wybił się w górę i rzucił na Omegę. Spuścił pazury na jego twarz. Poranił oczy, porozcinał skórę. Omega wrzasnęła. Dłoń oplatająca gardło mojej mamy opadła.

Mama nie była głupia. Trenowała. Wiedziała, na co się zanosi. Uderzyła Omegę łokciem w brzuch. Kopnęła go piętą w jaja.

Wymknęła się z jego uścisku. Joe zeskoczył z niego na ziemię. Zrobiłem trzy kroki.

Oślepiiony Omega zawarczał:

– Zawsze będzie nas wi ę c e j.

Odparłem:

– Nie powinieneś był tykać mojej matki. – I zamachnąłem się posrebrzanym łomem jak kijem bejsbolowym. Rozwaliłem mu górną połowę głowy, czaszka pękła z trzaskiem, krew rozprysnęła się dookoła. Skóra się spaliła, włosy zatliły. Omega wydał z siebie pojedynczy jęk i padł na ziemię. Jego pierś uniosła się raz, zamarła, nie dała rady. Po chwili opadła z powrotem.

Odgłosy walki przed domem ucichły. Wzięłem głęboki wdech. Na języku poczułem miedziany posmak.

Mama spytała:

– Wszystko w porządku? – Dotknęła mojego ramienia.

Odparłem:

– No. A z tobą?

Odrzekła:

– Tak. Już lepiej.

Powiedziałem:

– Joe.

Wtedy popatrzył na mnie wielkimi oczyma. Ręce trzymał luźno po bokach, a z dłoni na podłogę skapywała krew. Nie traciłem czasu na myślenie. Nic mnie nie obchodziło. Odsunąłem się od mamy i przyciągnąłem go do siebie. Zacisnął pięści na mojej koszuli na plecach, orząc pazurami skórę. Nie dbałem o to, bo ból oznaczał, że nie śnię i że przeżyliśmy. Wtulił nos w moją szyję, taki już był wysoki. Znacznie wyższy niż mały chłopiec, na którego pewnego

dnia natknąłem się na gruntowej drodze. Wciągał w nozdrza mój zapach, a jego serce biło tuż przy mojej piersi. U naszych stóp zebrała się kałuża krwi wilkołaka, którego zabiłem.

Kilka dni później spytałem Gorda:

– Co jeszcze tam się czai?

A on odparł:

– Cokolwiek jesteś w stanie sobie wyobrazić.

Jak się okazało, nie potrafiłem sobie wyobrazić wielu rzeczy.

Prowadząc mnie pomiędzy drzewami, Thomas powiedział mi, że na świecie żyje wiele watah, choć nie tak dużo jak niegdyś. Mordują się nawzajem. Ludzie polują na nie i zabijają je, jakby na tym polegała ich praca. Jakby to był sport. Inne potwory także na nie polują i je zabijają.

– Mieli fart – powiedział. – Inni wiedzą, żeby się tu nie zbliżyć.

Nie byłem pewien, kogo próbował przekonać, mnie czy siebie.

Dlatego zapytałem:

– Dlaczego?

– Ze względu na to, co oznacza nazwisko Bennett.

– A co oznacza? – Przypomniałem sobie, jak Marie nazwała go upadłym królem. Jej ciało było teraz niczym więcej jak popiołem, spalonym i rozrzuconym po całym lesie.

– Szacunek – odrzekł. – A Omegi tego nie rozumiały. Myślały, że mogą sobie tak po prostu wejść na moje terytorium. Do mojego

domu. I próbować mi coś zabrać. Przelaliśmy ich krew, ponieważ nie znały swojego miejsca.

– Zabiłem go, bo zagroził mojej mamie.

Thomas położył dłoń na moim karku i delikatnie nacisnął.

– Zachowałeś się bardzo odważnie – powiedział. – Bronisz tego, co twoje. Kiedyś będziesz robił wielkie rzeczy, a ludzie będą dla ciebie pełni podziwu.

– Thomasie – zacząłem.

Popatrzył na mnie.

– Kim jesteś? – spytałem, bo było coś jeszcze, czego nie rozumiałem.

Odparł:

– Jestem twoim Alfą.

A ja przyjąłem jego odpowiedź bez zastrzeżeń.

nisko opuszczone szorty / ty i Joe

To nie stało się stopniowo. Czekałcie. To kłamstwo. Nie wiedziałem, że to działo się stopniowo. Ale najwyraźniej tak właśnie było. Musiało tak być. Bo tylko to tłumaczyłoby tę kosmiczną eksplozję uczuć: pragnę, potrzebuję, moje moje moje. Ich siła była nedorzeczna. A zatem to musiało istnieć już wcześniej. Od dłuższego czasu.

W sierpniu Joe skończył siedemnaście lat. Jak zawsze urządziliśmy imprezę. Był tort, były prezenty, a on tak szeroko się do mnie uśmiechał.

Po urodzinach, we wrześniu, poszedł do ostatniej klasy ogólniaka. Kelly zaczął magisterskie studia menedżerskie. Carter pracował z Markiem i Thomasem. Elizabeth robiła to, co ją uszczęśliwiało. Gordo zdecydował, że lepiej poczekać z otwarciem drugiego warsztatu. Mama uśmiechała się częściej niż kiedyś. Ja pracowałem, oddychałem, żyłem. Miałem krew na rękach, lecz przelałem ją w obronie stada. Śniły mi się koszmary o martwych wilkach z wgniecionymi czaszkami. Budziłem się zlany potem, ale za każdym razem, gdy widziałem uśmiech matki, poczucie winy powoli ustępowało.

Któregoś październikowego wieczoru Jessie mnie pocałowała. Oddałem pocałunek, ale nagle przerwałem. Uśmiechnęła się do mnie ze smutkiem i powiedziała, że rozumie. Nie powiedziałem jej, że nie byłem z nikim od tamtej nocy, gdy zaatakowały nas Omegi, bo nie mogłem się zdekonzentrować. Nie mogłem się rozpraszać. Poza tym nie żywiłem już wobec niej takich uczuć jak wcześniej.

W listopadzie Carter zaczął się spotykać z dziewczyną o imieniu Audrey. Była słodka, śliczna i śmiała się ochryple. Lubiła pić i tańczyć, ale pewnego dnia po prostu przestała przychodzić. Carter wzruszył ramionami i powiedział, że nie byli sobie przeznaczeni. Po prostu dobrze się razem bawili.

W grudniu spadł śnieg. Biegałem z wilkami po białym puchu, a nad naszymi głowami świecił księżyc. Oddech ciągnął się za mną, podczas gdy wokół mnie stado śpiewało swoje pieśni.

W styczniu do domu Bennettów przyszedł jakiś facet i przez długi czas rozmawiał z Thomasem w jego gabinecie. Był to wysoki mężczyzna o przenikliwym spojrzeniu, który poruszał się jak wilk. Miał na imię Osmond. Kiedy tamtego wieczoru wychodził, stanął przede mną i powiedział:

– Człowiek, co? No cóż, jak kto lubi. – Jego oczy błysnęły pomarańczowo. Potem sobie poszedł, a ja poważnie się zastanawiałem, czy nie rzucić mu kubkiem z herbatą w tył głowy.

W lutym jakiś młody facet chodził za Joem w drodze ze szkoły do domu. Joe wyglądał na zakłopotanego, ale nie kazał mu spadać. Chłopak był w jego wieku i miał na imię Frankie. Był niski, miał czarne włosy i ogromne brązowe oczy, które śledziły każdy krok Joego. Bał się mnie, co niezwykle bawiło Joego. Jakoś tak w połowie miesiąca wszedłem do sypialni Joego i zobaczyłem, jak Frankie

pochyla się w jego stronę i całuje go w usta. Joe zamarł. Ja też zamarłem, ale tylko na chwilę, po czym wycofałem się z pokoju i zamknąłem cichutko drzwi. Uśmiechnąłem się do siebie w duchu, chociaż poczułem, jak w moim żołądku zwija się w kulkę jakieś dziwne, wiercące się stworzonko. Odszedłem z nadzieją, że mój przyjaciel jest szczęśliwy. Ta mała kulka nie chciała opuścić mojego żołądka, lecz nauczyłem się ją ignorować.

Był marzec, kiedy o trzeciej nad ranem zapukał do moich drzwi, krzycząc:

– Ox, Ox, O x. – Spanikowałem, chwyciłem łom i nakazałem matce zostać w jej sypialni. Zdążyła już wyciągnąć sztylet, a ja zatrzymałem się na chwilę, żeby jej powiedzieć, że wygląda kozacko. Przewróciła oczami i kazała mi sprawdzić, co się stało.

Gdy otworzyłem drzwi, Joe wyrzucił z siebie:

– O x.

Nie został ranny. Nie widziałem krwi. Nic go nie goniło. Wszystko było z nim w porządku. Fizycznie. Nieważne. Przyciągnąłem go do siebie, a on wplótł mi palce we włosy i z a d r ż a ł, kiedy przycisnął się do mnie całym ciałem.

– Co się stało?

Odparł:

– Frankie. – A ja zacząłem się zastanawiać nad stanem własnej głowy i własnego serca, kiedy zacząłem knuć zabójstwo siedemnastoletniego chłopaka, który uwielbiał masło orzechowe i kreskówki. Obiecałem samemu sobie, że gdyby skrzywdził Joego, nie zostałby z niego ani jeden kawałek, który krewni mogliby pochować.

– Co zrobił?

– Nic – odrzekł Joe. – Nie zrobił n i c.

– No to co się stało?

– Ty d u p k u ! – wrzasnął Joe, odsunąwszy się ode mnie.

Spytałem:

– Ale co? – No bo właśnie: c o?

– Popatrz na mnie – zażądał.

Tak zrobiłem. Bo zawsze tak robiłem.

– Co widzisz?

– Joe – odparłem. – Widzę ciebie. – Może trochę rozczochranego. Może z workami pod oczami. Może trochę bladego. Gdyby nie był wilkołakiem, zastanawiałbym się, czy nie bierze go jakaś choroba. Ale to było n i e m o ż l i w e, więc nie brałem tego pod uwagę.

– Nieprawda! – wykrzyknął. – Nieprawda, kurwa. – Jeszcze nigdy nie widziałem go tak wkurzonego.

– Ja... nie rozumiem? – spytałem. A może mu powiedziałem.

– Ox! – wrzasnął na mnie, a w oczach błysnęły mu oranż i czerwień, a potem odwrócił się na pięcie i sobie poszedł.

Przeprosił mnie następnego dnia. Tłumaczył, że był zmęczony. Powiedziałem mu:

– Jasne, Joe. W porządku. Nie martw się.

A potem złapał mnie za rękę i poszliśmy gruntową drogą tak jak zawsze.

Był kwiecień, kiedy Frankie przestał wpadać do domu Bennettów. Chciałem zapytać o to Joego, ale nie potrafiłem znaleźć właściwych słów. Kelly powiedział mi, że zerwali, a ja odparłem:

– Aha. – Choć tak naprawdę myślałem sobie: *Dobrze. Dobrze. Dobrze.*

Był maj, kiedy wszystko wybuchło. To była najdziwniejsza rzecz pod słońcem.

Dni były gorące i parne. W wiadomościach podawali, że to będzie najgorętsze lato od lat. Fala upałów, mówili. Mogła trwać całymi tygodniami.

Zbliżały się moje dwudzieste trzecie urodziny. Wydawało mi się, że nadszedł czas, bym wyprowadził się od mamy, ale zaczynałem się pocić na samą myśl, że miałbym mieszkać z dala od watahy, więc nie naciskałem na to za bardzo. Mama nigdy się nie skarżyła. Lubiła mieć mnie blisko. A to oznaczało, że mogłem ją chronić na wypadek, gdyby znów pojawiły się potwory.

No więc na krótko przed tym, nim upłynęły dwadzieścia trzy lata, odkąd pojawiłem się na świecie, poszedłem do Bennettów na niedzielny obiad. Elizabeth spytała, czy mógłbym przynieść z ogródka kilka pomidorów. Uśmiechnęła się do mnie i pocałowała mnie w policzek.

Joe, Carter i Kelly wychodzili właśnie z lasu po przebieżce, kiedy ja wracałem z ogrodu. Śmiali się i popychali, jak to bracia. Kochałem wszystkich trzech. Tyle że. Tyle że. Joe miał na sobie nisko opuszczone szorty. Takie króciutkie. I to było to.

Był już niemal tak wysoki jak ja. Oczy mieliśmy na tym samym poziomie albo na tyle podobnym, że nie sprawiało to żadnej różnicy, co oznaczało, że musiał mieć około metra dziewięćdziesięciu wzrostu.

Jego tors pokrywała cieniutka, lśniąca warstewka potu. Drobne kępki wilgotnych blond kędziorów porastały jego pierś, która

wyglądała jak wykuta z granitu. Delikatnie zarysowane mięśnie odznaczały się na brzuchu. Strużka potu, która spływała ścieżką do raję, wsiąkała w pasek szortów.

Odwrócił się, żeby odpowiedzieć coś Carterowi, a ja zobaczyłem wgłębienia nad jego pośladkami. Patrzyłem, jak napinają się mięśnie jego ud i łydek, gdy przeskakiwał z jednej nogi na drugą. Wymachiwał dziko rękoma w stronę czegoś w lesie, a wzdłuż jego bicepsa uwydatniała się błękitna żyła, po której chciałem przejechać palcem, no bo kiedy to się stało?

I te dłonie. Kurwa, te duże dłonie, a ja... Joe wyrósł. I jakimś cudem tak naprawdę tego nie dostrzegałem dopóty, dopóki nie zobaczyłem go w pełnej krasie. Tuż przed sobą.

Musiał mnie zauważyć kątem oka. Odwrócił się i wyszczerzył zęby w uśmiechu, i był to Joe, ale był to J o e. No i oczywiście właśnie wtedy wpieprzyłem się na ścianę budynku. Rozgniotłem pomidory, które niosłem w rękach. Głową walnąłem w drewnianą elewację i pomyślałem: „O kurwa”.

Odsunąłem się od ściany. Kawałki pomidorów pospadały w trawę. Cholera jasna. Kiedy znów podniosłem wzrok i spojrzałem na braci Bennettów, poczułem, że pali mnie twarz. A oni stali i przyglądali mi się z zatroskanymi minami.

– Co, do diabła? – spytał Carter. – Co ty, nie wiesz, że tam jest budynek? Stoi tam od dawna. Właściwie od zawsze.

– Yyy – wydukałem opadającym coraz niżej głosem. Nie mogłem nic z tym zrobić. – Hej. Chłopaki. Co tam? Ja tylko... zbierałem pomidory. – Skrzyżowałem ręce na piersi i jeszcze bardziej rozsmarowałem warzywa. Chciałem oprzeć się o ścianę, ale okazało się, że stoję dalej, niż myślałem, i rąbnąłem w nią z całej siły.

– Co się w ogóle dzieje? – spytał Kelly.

Joe zrobił krok w moją stronę. Mięśnie jego brzucha się naprężyły, a przeze mnie przetoczyła się fala niskiego, nikczemnego pożądania, ale przypomniałem sobie, że wilkołaki potrafią to wyczuć, i cofnąłem się o krok, absolutnie przerażony.

– Hej – powiedziałem załamującym się głosem. Odchrząknąłem i spróbowałem ponownie: – Hej. No. Wiecie. Jest coś. Czego muszę przypilnować. U siebie w domu. Przed obiadem.

Teraz już wszyscy trzej patrzyli na mnie dziwnym wzrokiem. Na razie jeszcze nie wyczuli mojej rozszalałej niemoralnej żądzy. Czy co to tam było. Moich uczuć. Których nie powinienem był żywić.

Joe postąpił jeszcze jeden krok do przodu i miał mięśnie piersiowe. Miał klatkę, która była taka... no, po prostu była bardzo fajna i przez nią przychodziły mi do głowy różne pomysły, więc powiedziałem:

– Hola, kowboju. – Wymierzyłem sobie solidnego wewnętrznego kopniaka za takie chrzanie.

– Co się stało u ciebie w domu? – spytał Joe. Skurwiel zaczął węszyć w powietrzu.

– Ox – zauważył Carter. – Serce bije ci jak szalone.

Głupie, pieprzone wilkołaki. A Joe cały czas tam sobie stał. Z tymi swoimi mięśniami.

– Przebrać się! – wrzasnąłem, aż wszyscy trzej cofnęli się o krok. Zniżyłem głos. – Muszę się... przebrać. Koszulę zmienić. – Wskazałem palcem plamy. – Pomidory i domy nie chodzą ze sobą w parze. Ha, ha, ha.

– Nadal nie mam zielonego pojęcia, co się dzieje – stwierdził Kelly.

Dlatego odpowiedziałem:

– Zaraz wracam. – Odwróciłem się do nich plecami. Ledwo się powstrzymałem, żeby nie rzucić się do ucieczki.

– Yyy, Ox?

Zatrzymałem się.

– Tak, Joe?

– Twój dom jest w drugą stronę.

– Zgadza się – odparłem, lecz zamiast przechodzić koło nich, żeby mogli mnie obwąchać, poszedłem dłuższą drogą dookoła budynku. Kiedy znów pojawiłem się w ich polu widzenia, wciąż stali w tym samym miejscu i mi się przyglądali.

Wszedłem do domu i zamknąłem drzwi na klucz.

– Co się stało z twoją koszulą? – spytała mama.

– Pomidory – odparłem.

– Zarumieniłeś się – zauważyła. – Twarz masz całą czerwoną.

– Na dworze jest gorąco.

– Ox, czy coś się stało?

– Nie. Nic a nic.

– Naprawdę ciężko oddychasz.

– Tak już mam. Kawał ze mnie chłopca, wiesz. Potrzebuję dużych haustów powietrza.

– Jasne – odparła. – To chyba nie problem.

– Muszę zmienić koszulę. – Unikałem patrzenia jej w oczy.

– Chcesz, żebym na ciebie zaczekała?

Pokręciłem głową.

– Nie, nie. Możesz... już iść. – Chciałem, by sobie poszła, żebym mógł w coś przywalić.

Zaczekała, aż odsunę się od drzwi, zanim przecisnęła się obok mnie. Zmarszczyła czoło, kiedy nacisnęła klamkę.

– Zamknąłeś na klucz?

Uśmiechnąłem się. Pewnie wyglądałem jak obłąkany.

– Siła nawyku.

– Aha. – Wyszła na dwór i zamknęła za sobą drzwi.

Walnąłem w ścianę. Zabolało jak skurwysyn.

On ma tylko siedemnaście lat. To nie w porządku. Tyle że niedługo kończy osiemnaście. A to... No dobra.

Ale. Przecież to jest J o e.

Tam i z powrotem, tam i z powrotem.

Mój telefon zabrzączał. SMS.

Joe.

Gdzie jesteś???

Spojrzałem na zegar. Tkwiłem przed drzwiami już dwadzieścia minut.

– Cholera – wymamrotałem.

Nie mogłem nie iść na obiad. To była tradycja. A gdybym poprosił o zwolnienie z obowiązku z powodu nagłej choroby, to ktoś (JoeJoeJoe) z pewnością by tu wpadł, żeby sprawdzić, co ze mną. Dlatego musiałem iść. Nie mogłem zrobić nic z biciem swojego serca. I tak je usłyszą. Coś wymyślę.

Ale zapach. Wbiegłem po schodach, zerwałem z siebie koszulę i wyciągnąłem drugą z szuflady. Założyłem ją, wchodząc do łazienki. Odszukałem flakonik starej wody kolońskiej, której już nie używałem, bo wilki jej nie lubiły. „Blokuję twój zapach”, powiedział

mi kiedyś Joe. „A przynajmniej jego większość”. Spryskałem się przynajmniej sześć razy.

Odpisałem Joemu.

zaraz bede

Kolejne dwadzieścia minut zajęło mi przekonywanie samego siebie, żeby wrócić do domu na końcu ulicy. W końcu nakazałem sobie zebrać się na odwagę, bo przecież, kurwa mać, miałem prawie dwadzieścia trzy lata, walczyłem już z potworami (raz) i trenowałem z wilkami (wiele razy). No i przecież to był tylko Joe. Któremu, najwyraźniej, chciałem robić różne rzeczy. Z którym chciałem. Razem.

Myśli w najmniejszym stopniu nie uspokoiły tętna. Z każdym krokiem, który przybliżał mnie do domu Bennettów, czułem się, jakbym szedł na śmierć. Słyszałem ich wszystkich na tyłach domu. Pewnie przygotowywali się do jedzenia. Śmiechy. Rozmowy. Pokrzykiwania. I nagle konwersacja po prostu się u r w a ł a. Jeszcze zanim obszedłem budynek.

– To Ox? – Usłyszałem Marka. Wydawał się zaniepokojony.

Usłyszałem jakiś trzask, a potem tupot wielu stóp. Wybiegli z za rogu i z a t r z y m a l i się w miejscu.

– Gdzie to jest? – zażądał odpowiedzi Mark.

– Ktoś nas zaatakował? – spytał Thomas, gotów do przemiany w wilka. Jego oczy zrobiły się czerwone.

– Ox? – odezwał się Carter. – Koleś, powaga. Twoja pikawa. Bije, jakbyś był przerażony.

– Cześć, ludziska – powiedziałem. Bardzo wcześnie nauczyłem się, że nie powinno się uciekać przed wilkami tuż przed ich

przemianą. To uruchamia ich instynkt drapieżnika. Tylko że tak strasznie chciałem dać nogę.

Bo na samym przodzie stał J o e. Przebrał się. W białe szorty. I zieloną koszulkę, która n i c z e g o nie zakrywała. Nie miał butów. A jego stopy były seksowne jak diabli.

– Yyy – powtórzyłem. – Cześć, ludziska.

– Dlaczego mam wrażenie, że powinienem coś rozumieć z tej sytuacji? – rzucił Kelly.

Joe zmarszczył nos.

– Co to za zapach?

No i oczywiście wszyscy mężczyźni z klanu Bennettów zaczęli węszyć w powietrzu. To nie było śmieszne. Ani trochę.

Carter podszedł do mnie.

– Chłopie. Ox, co u licha? Czym ty się oblałeś?

– Niczym – odparłem obronnym tonem i cofnąłem się. – Nie wiem, o czym mówicie.

– Ox – powiedział Joe i zmarszczył czoło. – Wszystko w porządku?

Nie potrafiłem nawet na niego s p o j r z e ć, kiedy odpowiadałem:

– Jasne. Wszystko gra.

– To... było kłamstwo – zauważył Kelly.

Joe zrobił krok w moją stronę, a ja – jeden do tyłu.

– Czy coś się dzisiaj wydarzyło? – spytał Thomas.

Chciałem odpowiedzieć: „Być może zacząłem sobie wyobrazać pańskiego nieletniego syna nago”, ale nie byłem pewien, czy wypada powiedzieć coś takiego samcowi Alfa stada wilkołaków. Zamiast tego powiedziałem tylko niepewnie:

– Nic się nie stało. Chciałem tylko... pachnieć... inaczej?

Bennettowie wpatrywali się we mnie. Ja wbiłem wzrok gdzieś ponad ich głowami.

Joe powiedział:

- Ox.
- No? – odparłem, gapiąc się na drzewo.
- Hej.
- Co tam?
- Popatrz na mnie.

Jezu, kurwa, Chryste. Popatrzyłem. Nawet ja zauważyłem zaniepokojenie malujące się na jego twarzy. Na jego durnej, przystojnej twarzy. Poczułem, że się rumienię.

– Może powinniśmy... – odezwał się Mark, ale Carter wszedł mu w słowo:

- No, nie ma m o w y. – Dlatego ja spytałem:
- Carter, mógłbym z tobą zamienić dwa słowa? Teraz? Proszę. Natychmiast.

Carter rzucił mi pełen samozadowolenia uśmiech, najszerszy, jaki widziałem, a Joe patrzył to na mnie, to na niego, mrużąc oczy.

- Coś ty zrobił? – spytał brata.
- Absolutnie nic – odparł Carter. Dało się słyszeć, że jest c z y m ś zachwycony. – I to naprawdę n i e s a m o w i t e.
- Carter – rzuciłem ostro. – Teraz!

Zanim pozostali zdążyli zaprotestować, Carter ruszył do przodu, złapał mnie za ramię i pociągnął w stronę lasu.

- To nie zajmie dużo czasu – krzyknął radośnie przez ramię.
- C o nie zajmie? – Usłyszałem pytanie Joego.
- Och, jestem pewien, że w swoim czasie się dowiesz – odparł Mark. O mój Boże, byłem z g u b i o n y.

Jako że wilkołaki były niecierpliwe jak diabli, Carter zaciągnął mnie w las tylko na tyle, by się upewnić, że jesteśmy poza zasięgiem słuchu stada, po czym zatrzymał się, puścił moją rękę, odwrócił się, żeby na mnie popatrzeć, i stwierdził:

– Staje ci na myśl o moim młodszym braciszku.

Musiałem przynajmniej spróbować.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Carter odparł:

– Złałeś się najpaskudniej śmierdzącym syfem, jaki udało ci się znaleźć, żeby zatuszować zapach swojego w z w o d u.

– Przestań mówić, że mam w z w ó d albo że mi s t a j e!

Poruszał brwiami w górę i w dół. Rzuciłem mu gniewne spojrzenie.

Wypalił:

– Najwyższy czas.

Spytałem:

– Ż e c o?

Popatrzył na mnie spod zmrużonych powiek.

– Ty i Joe.

– Co: ja i Joe?

– No, poważnie. Właśnie to się z tobą dzieje.

Mogłem albo się przyznać, albo dostać ataku paniki.

– Tak – potwierdziłem. – To właśnie się ze mną dzieje.

– No i git – odparł. – Wolno ci mieć wzwód na myśl o moim siedemnastoletnim bracie.

Jęknąłem i zakryłem twarz dłońmi.

– Tylko wszystko utrudniasz.

Prychnął.

– Szczerze wątpię. Jeśli ci się wydaje, że cała sytuacja jest niezręczna dla ciebie, to pomyśl, jak ja się teraz czuję.

– Cały czas mówisz o w z w o d z i e!

– No – odparł luzacko. – Nawet nie wiesz, jak świetnie się teraz bawię.

– Carter!

– Dlaczego tak się tym przejmujesz?

– A dlaczego ty n i e?

– Chodzi o to, że jesteśmy wilkołakami?

– Co? Nie. Wisi mi, czy Joe jest...

– Nie chodzi też o to, że jest facetem. Zdarzało ci się już pieprzyć z mężczyznami.

– Co, do diabła? Chyba nie będziesz mi teraz tego wypominał, co?

– Chodzi o to, że ma siedemnaście lat? – spytał. – Tata nie będzie się tym przejmował. No cóż. Przynajmniej n i e z a b a r d z o.

Popatrzyłem na niego przerażonym wzrokiem.

– O czym ty w ogóle g a d a s z?

– Ox – odrzekł powoli, jakby rozmawiał z dzieckiem. – Stary, przecież to Joe. Jak niby myślałeś, że to się potoczy?

– Ja nie... ja tylko... miał na sobie te s z o r t y i...

Carter się skrzywił.

– Dobra, wywęszenie tego to jedno, ale s ł u c h a n i e o tym, to już zupełnie inna para kaloszy. Mówisz o moim młodszym braciszku.

Wydałem z siebie zduszony okrzyk.

– Ox, przecież zawsze wiedziałeś, że tak się to skończy, prawda?

Zatkało mnie.

- Co?
- Wilk.
- Przecież ci mówiłem, że w i s i mi, że Joe jest wilkiem...

Ale Carter zaczął kręcić głową.

– Nie o to mi chodzi. Kamienny wilk. Ten, którego dał ci na urodziny.

- Co w związku z nim?

Carter westchnął.

- O ludzie, to nie pójdzie łatwo.

Jego słowa nie pomagały. Powiedziałem mu to.

– Posłuchaj – odparł. – Kiedy na świat przychodzi wilk, dostaje od swojego Alfa wilka wykutego z kamienia. Czasami Alfa robi go własnoręcznie. Czasami zleca pracę komuś innemu. Ale każdy naturalnie urodzony wilk dostaje figurkę. Nie wiem, kiedy zaczęto kultywować ten zwyczaj i szczerze mówiąc, dla mnie to jakieś archaiczne bzdety, ale co tam. To tradycja, a wiesz, jak tata traktuje tradycję.

Pokiwałem głową, bo wiedziałem doskonale.

– Ta figurka to najcenniejszy skarb każdego wilka – kontynuował Carter. – Coś, czego należy strzec i co należy szanować. A przynajmniej tego się nas uczy.

- No to dlaczego oddał ją mnie?

Carter uśmiechnął się bezgłośnie.

- Bo to właśnie należało z nią zrobić.

- Nie bardzo ro...

– Gdy osiągniemy odpowiedni wiek, dowiadujemy się, że pewnego dnia kogoś spotkamy. Kogoś, kto przypadnie do gustu naszemu wilkowi. Kogoś, kto sprawi, że nasze serce zabije szybciej.

Kogoś, kto nas dopełni. Stanie się naszym postronkiem. Sprawí, że będziemy ludzcy.

Poczułem, jak moja skóra pokrywa się gęsią skórką. Ptaki śpiewały pośród drzew. Liście kołysały się na gałęziach. Czułem, że dookoła jest zielono. Tak bardzo zielono.

– A gdy znajdziemy tę osobę – mówił dalej Carter – tę jedyną osobę, dzięki której zapomnimy wszelkie zło, którego kiedykolwiek doświadczyliśmy, to, no cóż... Właśnie po to jest wilk. To dar, Ox. I obietnica.

– Obietnica czego? – wychrypiałem.

Wzruszył ramionami.

– Może oznaczać wiele rzeczy. Przyjaźń. Rodzinę. Zaufanie. – Zamknął oczy i wsłuchał się w odgłosy lasu. – Albo coś więcej.

– Coś więcej?

– Miłość. Wierność. Oddanie.

– On...

– Tak, stary. Tak było.

– Miał d z i e s i ę ć lat.

Carter otworzył oczy.

– I przemówił do ciebie po tym, jak nie odzywał się przez ponad rok. Wszyscy wiedzieliśmy. Już wtedy.

Poczułem się w pewien sposób zdradzony.

– Jeszcze jedna sprawa, którą przede mną zatailiście? – spytałem. Nie potrafiłem ukryć goryczy w głosie.

Carter pokręcił głową.

– Miałaś szesnaście lat, Ox. I nie wiedziałaś nic o istnieniu wilkołaków.

– Ale kiedy ja...

– Jessie – przerwał mi.

Wszystko wskoczyło na swoje miejsce.

– Jasna cholera – wyszeptałem. – To dlatego...

– No właśnie. Poza tym zachowywałeś się jak skończony kutas.

Posłałem mu gniewne spojrzenie.

Wzruszył ramionami.

– Nie mam zamiaru nic z tym robić – powiedziałem. – Joe jest młody. Niedługo idzie do college’u. Będzie miał swoje życie. Jest moim przyjacielem i to...

Carter prychnął.

– Taa, powodzenia życzę, Oxnardzie. Zaufaj mi. Jak Joe to wyniucha – a tak na pewno się stanie – to nie będziesz miał szans.

– Nie wyniucha – odparłem z determinacją. – A ty nie piśniesz słówka.

W odpowiedzi tylko wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Carter kazał mi wrócić do domu i wziąć prysznic. Powiedział, że bijący ode mnie smród jest tak przytłaczający, że nie ma mowy, żebym usiadł z nimi do stołu. Walnąłem go tak mocno, jak tylko mogłem. A on po prostu roześmiał mi się w twarz.

Próbowałem przeciągnąć to tak długo, jak się dało, myśląc o wszystkim, b y l e n i e o Joem. Wzięcie prysznicza zajęło mi cztery minuty. Dziesięć minut później, już ubrany, szedłem w stronę domu Bennettów. Słyszałem ich wszystkich, włącznie z moją matką, w ogródku za domem. Elizabeth się śmiała. Carter wydzierał się na Kelly’ego. Mama rozmawiała z Markiem.

Zanim skręciłem za róg budynku, poczułem czyjąś dłoń na ramieniu. Nie musiałem się nawet odwracać, żeby wiedzieć, kto to. Ale i tak się odwróciłem. Za mną stał Joe, wpatrywał się we mnie z troską. Prześliznął palcami w dół mojej ręki i chwycił delikatnie za łokieć. Staliśmy tak blisko siebie, oddaleni zaledwie o kilka centymetrów.

– Hej – powiedział.

– Cześć – udało mi się wykrztusić w odpowiedzi.

– W porządku?

– No – odparłem. – Świetnie. Wszystko gra.

– Yhm. Chcesz spróbować jeszcze raz?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Ox – powiedział tym tonem, którym, jak obaj wiedzieliśmy, mógł skłonić mnie do zrobienia czegokolwiek, o co tylko by mnie poprosił. Teraz, w pełni świadomy, z czym mogło się to wiązać, ledwie mogłem oddychać.

– Wilk – wypaliłem.

– Co? Jaki znowu wilk?

Spojrzałem na niego spode łba.

– Ten, którego mi dałeś.

Z tej odległości widziałem, jak delikatny rumieniec rozchodzi się po jego szyi. Nie spuścił jednak wzroku.

– Co z nim?

– Ja tylko... No, ja... Dziękuję. Za niego. No, chyba tak.

– Proszę bardzo. Ale dlaczego ty... Czekał. O czym rozmawialiście z Carterem?

– Yyy. O niczym.

– No, naprawdę. Weź nie chrzań.

- O niczym – upierałem się.
- Dziwnie się zachowujesz.
- To t y dziwnie się zachowujesz.

Przewrócił oczami.

– Ten twój zapach, spacer z Carterem do lasu, napomykanie ni z tego, ni z owego o figurce. Że już nie wspomnę o tym, jak obszedłeś dom dookoła, kiedy wróciliśmy z...

Nagle zamilkł. Znałem ten wyraz twarzy. Wiedziałem, co oznacza. Taką minę miał, kiedy jego umysł zaczynał pracować na najwyższych obrotach, dopasowując do siebie kawałeczki układanki.

- Chyba powinniśmy iść na kolację – powiedziałem pośpiesznie.
- Nie chcemy przecież, żeby wszyscy na nas czekali. To bardzo niegrzeczne.

Oczy zrobiły mu się okrągłe.

Noż kurwa.

– Ox. – W głosie Joego pobrzmiwał jego wewnętrzny wilk, a oczy zaczęły błyskać. – Chciałbyś mi coś powiedzieć?

– Nie – odparłem prędko. – Absolutnie nic.

– Jesteś tego pewien? – spytał i zacisnął palce mocniej na moim łokciu.

Ledwie mi się udało wyszarpnąć rękę.

– Głodny jestem – powiedziałem szorstko. – Powinniśmy...

– Jasne – odrzekł. – Chodźmy.

Zamrugałem.

Uśmiechnął się do mnie.

Moje serce zmyliło rytm.

Uśmiech stał się jeszcze szerszy.

Kiedy wyszliśmy z za rogu, nikt nie skomentował naszego pojawienia się, choć byłem pewien, że wszyscy, co do jednego, jeśli nie liczyć mojej matki, słyszeli całutką rozmowę. Carter puścił do mnie oczko. Kelly wyglądał na dość zadowolonego. Mark uśmiechnął się tym swoim tajemniczym uśmiechem. Elizabeth patrzyła na mnie z czułością. Mama wydawała się zdezorientowana. A Thomas... Thomas wyglądał na bardziej odprężonego niż kiedykolwiek wcześniej.

Joe nie opuszczał mojego boku, usiadł, nie zostawiając ani krzty przestrzeni pomiędzy nami. Posiłek okazał się ćwiczeniem w znoszeniu tortur. Rozmawiając ze mną, Joe nachylał się w moją stronę, owiewał mi szyję oddechem, szeptał do ucha. Dotykał mojego ramienia, mojej dłoni, mojego uda. Do szklanki z napojem wsadził słomkę. Nigdy wcześniej nie pił przez słomkę. N i g d y. Ale teraz wsadził do szklanki jedną, nie wiem skąd wytrzaśniętą, i rzepocząc rzesami, p r z y s s a ł się do niej, aż wciągnął policzki.

Upuściłem widelec, który zabrzączał głośno o talerz.

– Joe – westchnął Thomas. – Poważnie?

– Ojej – odparł Joe. – Przepraszam. – Wcale nie brzmiał, jakby czuł się winny.

Kelly zauważył:

– O kurczę, teraz to nabrało sensu. I wydaje się znacznie bardziej obleśne.

– Upiekłam placek na deser – oznajmiła Elizabeth, kiedy wróciła do stołu. – Zwieńczony bitą śmietaną.

Jęknąłem.

Joe wyglądał na zachwyconego. Tym bardziej, gdy zgarnął palcem trochę bitej śmietany i zlizął ją, nie spuszczając ze mnie wzroku.

Carter i Kelly mieli identyczne miny, w których mieszały się obrzydzenie i groza.

– Przestań – wysyczałem.

Joe przekrzywił głowę, po czym nachylił się w moją stronę i powiedział niskim głosem:

– Och, Ox. Dopiero się rozkręcąm.

i muszkę / dla ciebie wszystko

Powinienem był wiedzieć, że nie odpuści. Dał mi trzy dni na to, żebym się pomartwił. Żebym się podenerwował każdym najdrobniejszym szczegółem wszystkich naszych dotychczasowych interakcji. Wszystko stało się jasne. Jessie. Mężczyźni, z którymi sypiałem. To, jak później Joe zniknął z mojego życia na wiele dni. No i Frankie. Frankie był jego próbą... No właśnie, czego? Normalnego życia? Czegoś, co nie było mną? Nie lubiłem Frankiego, jak się okazało. Wcale a wcale.

Trzy dni. Dał mi trzy dni. Trzy dni patrzenia na jego uśmiech. Trzy dni prób rozgryzienia ukrytego znaczenia każdego SMS-a, którego mi przysłał. W poniedziałek i wtorek czekał na mnie na gruntowej drodze, kiedy wracałem z pracy do domu. Mówił:

– Cześć, Ox.

Ja się rumieniłem.

Szliśmy razem do domu, a ja starałem się znaleźć odpowiednie słowa, żeby powiedzieć: „To się nie może zdarzyć” i „Zasługujesz na kogoś znacznie lepszego ode mnie”, i „Miałeś tylko dziesięć lat, jak mogłeś to zrobić, miałeś tylko dziesięć lat”, lecz nie potrafiłem wymówić ich na głos. Jego dłoń często ocierała się o moją, a mnie od czasu do czasu przemykało przez myśl, by ją chwycić.

Trzeciego dnia nie było go na drodze. Chciałem poczuć ulgę. Ale zamiast tego poczułem się rozczarowany. Dopóki nie dotarłem do domu. Mama wzięła dzień wolnego, pierwszy od dłuższego czasu. Właśnie dlatego była w domu, kiedy tam dotarłem. I Joe też tam był. Siedział przy kuchennym stole. Miał na sobie spodnie w kant i białą koszulę. I muszkę. Która, o czym wcześniej nie wiedziałem, okazała się moją największą słabością. Na ten widok zderzyłem się z kuchennymi drzwiami.

– Aha – powiedziała mama. – Teraz wszystko zaczyna mieć sens. Potarłem obolały nos i rzuciłem obojgu gniewne spojrzenie.

– Co się dzieje?

– Joe poprosił mnie o rozmowę – odparła mama.

– Przyniosłem jej kwiaty! – wypalił Joe z zapartym tchem. Wydawał się zdenerwowany.

– I przyniósł mi kwiaty – przytaknęła mama, ruchem głowy wskazując stojący na stole wazon, wypełniony po brzegi jej ulubionymi irysami. Jakim sposobem odkrył, że je lubi, nigdy się nie dowiem.

– Po co przyniosłeś jej kwiaty? – spytałem.

– Bo moja mama powiedziała, że to miły gest i że dzięki temu będę ją miał po swojej stronie, kiedy spytam, czy mogę cię zatrzymać na resztę życia – wyjaśnił Joe. Po chwili jego oczy zrobiły się okrągłe. – Cholera. To nie miało tak wyjść.

– O mój Boże – powiedziałem słabo.

– To dokładnie na jak długo chcesz go zatrzymać? – spytała mama, patrząc na Joego spod przymrużonych powiek.

– Yyy – odparł Joe. – Szlag by to trafił. Nie idzie tak, jak chciałem. Zaplanowałem sobie dokładnie, co powinienem powiedzieć.

Poczekajcie. – Sięgnął ręką do kieszeni i wyciągnął kartkę okolicznościową. Była pomięta i miała naderwany róg. Wpatrzył się w nią i poruszał bezgłośnie ustami, odczytując to, co na niej napisał, cokolwiek to u diabła było. Po jego czole spłynęła strużka potu.

To musiał być sen.

– Joe, może powinniśmy... – spróbowałem powiedzieć.

Ale on spojrzał na moją mamę ze zdecydowanym wyrazem twarzy.

– Dzień dobry, pani Callaway – odezwał się. – Te kwiaty są dla pani.

Jęknąłem.

– Dziękuję, Joe – odparła mama. Wargi jej drżały. – To samo powiedziałam dziesięć minut temu, kiedy mi je dałeś, a potem usiadłeś i zacząłeś się we mnie wpatrywać, czekając, aż Ox wróci do domu.

– No tak – powiedział. – Nie ma za co. A skoro mowa o Oxie, to przyszedłem o nim porozmawiać.

– Masz na sobie muszkę – wtrąciłem niepotrzebnie.

Obrzucił mnie spojrzeniem.

– Mama powiedziała, że na taką okazję muszę się elegancko ubrać.

Usłyszałem ciche parsknięcie śmiechu dochodzące z za otwartego okna nad zlewem. I już wiedziałem. Podkradłem się do okna i wyjrzałem na zewnątrz. A tam, rozwaleni na trawie, siedzieli pozostali członkowie rodziny Bennettów. C h o l e r n e wilkołaki.

– Cześć, Ox – przywitała się Elizabeth bez cienia wstydu. – Prześliczny dzień, nieprawdaż?

– Później się z wami wszystkimi policzę – odparłem.

– Och! – powiedział Carter. – Aż mnie ciarki od tego przeszły.
– Przyszliśmy tutaj jako wsparcie – wtrącił Kelly. – No i żeby się pośmiać z Joego. Jest taki żenujący.

– Słyszałem to! – krzyknął Joe zza moich pleców.

Walnąłem głową o parapet.

– Maggie – powiedział Joe, po czym dodał: – Mogę mówić do ciebie „Maggie”?

– Oczywiście. – Mama zdawała się czerpać z tego przyjemność. Zdrajczyni. – Możesz mówić mi „Maggie”.

– To dobrze – odparł Joe, któremu najwyraźniej ulżyło. – Czy znasz obecnego tu Oxa?

– Coś tam o nim słyszałam – odrzekła mama.

– W porządku. – Joe rzucił okiem na kartkę, zanim znów podniósł wzrok na moją mamę. – W życiu każdego wilkołaka nadchodzi taki czas, kiedy osiąga odpowiedni wiek, by podjąć pewne decyzje dotyczące swojej przyszłości.

Zastanawiałem się, czy jeśli czymś w niego rzucę, to rozproszę jego uwagę na tyle, że zdołam wywlec go z kuchni. Zerknąłem przez ramię w stronę okna. Carter mi pomachał. Jak skończony dupek.

– Moją przyszłością – ciągnął Joe – jest Ox.

O Boże, jego słowa wywołały ból.

– Naprawdę? – spytała mama. – A skąd wiesz?

– Jest bardzo miły – powiedział Joe z powagą. – I ładnie pachnie. I sprawia, że jestem szczęśliwy. No i niczego bardziej nie pragnę, niż przywrzeć do niego wargami.

– No cóż – odezwał się Thomas. – Próbowaliśmy.

– Uważaj, nasz mały kwiatuszek łatwo się obraża – zwróciła mu uwagę Elizabeth.

– Że c o ty mi chcesz robić? – spytałem z niedowierzaniem.

Skrzywił się.

– Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. – Wpatrywał się teraz w moją mamę i znacznie obficiej się pocił. – Chciałbym się zalecać do pani syna.

– Co to znaczy? – spytała.

– To znaczy, że chcę o niego zadbać, by udowodnić swoją wartość – wyjaśnił Joe. – A potem, jak już zgodzi się być mój, pokryję go i ugryzę, i wszyscy zobaczą, że należymy do siebie nawzajem.

Dyszałem wprost okropnie.

– Joe – zza okna dobiegł głos Elizabeth. – Może nie wspominaj już teraz o tej części. Albo wcale.

– Jasne – odparł Joe i szarpnął muszkę, jakby go uwierała. – Zapomnij, że to powiedziałem.

– Nie wiem, czy potrafię – wydukała mama, patrząc to na mnie, to na Joego.

– P o k r y j e s z? – wykrztusiłem. – Ze wszystkich rzeczy, które mogłeś powiedzieć, zdecydowałaś się mówić akurat o t y m?

– Denerwuję się! – wykrzyknął Joe. – To nie moja wina! Nic innego nie przyszło mi do głowy!

– M a s z t o s p i s a n e n a k a r t c e – wysyczałem.

– Znaczy, no wiesz – wtrąciła się mama – rzuciłeś to ot tak, jakby to było nic.

Zignorowałem odgłosy tłumionego śmiechu dochodzące zza moich pleców.

– No dobrze – powiedział Joe. – Spróbujmy jeszcze raz. Cześć, Maggie. Jak się masz? Te kwiaty są dla ciebie. Uważam, że twój syn to najwspanialsza rzecz pod słońcem.

Wszyscy umilkli.

– Naprawdę? – spytała mama.

Pokiwał głową.

– Naprawdę. Jest wiele spraw, o których... nie wiesz. Dotyczących mnie. Kiedyś było mi... ciężko. Przez jakiś czas. Czasami nadal bywa. Ale Ox. On... no, po prostu... Miewam koszmary. O złych ludziach. O potworach. A on je przepędza.

Próbowałem przełknąć gulę, która urosła mi w gardle.

– Czekałem – ciągnął Joe – aż Ox zacznie patrzeć na mnie tak, jak ja patrzyłem na niego. I w końcu zaczął. W końcu zaczął. A ja zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby tak już zostało. Bo chcę go na zawsze.

– Masz siedemnaście lat – zauważyła mama. – Skąd możesz wiedzieć, czego chcesz, w tak młodym wieku?

– Jestem wilkiem – odparł. – To zupełnie co innego. Jesteśmy... inaczej skonstruowani.

– Co, jeśli on odmówi?

Joe zbladł.

– No, to wtedy, yyy... Myślę, że... to zaakceptuję? Chyba.

– Potrafiłbyś?

Pokiwał głową. Dłonie trzymał zaciśnięte w pięści po bokach ciała.

– Może i nie. Ale z pewnością to uszanuję. Bo Ox jest przede wszystkim moim najlepszym przyjacielem. I zadowolę się tym, co od niego dostanę.

– Hmm – powiedziała mama, a po chwili spytała: – Ox? A co ty o tym sądzisz?

Wszyscy wstrzymali oddech. A ja... co? Gapiłem się, chyba. Miałem wrażenie, jakby skóra zrobiła się na mnie za ciasna. Jakby miała za chwilę pęknąć. Jakby miała pęknąć, a potem bym się obudził, bo to był tylko sen. To wszystko było tylko snem. W końcu wyrzuciłem z siebie:

– Dlaczego? – Bo tylko tego nie mogłem do końca rozgryźć. Tej jednej rzeczy nie potrafiłem zrozumieć. Mój tatko już nie żył, ale kiedyś powiedział, że ludzie będą mnie chujowo traktować, a to nie było chujowe traktowanie. To było zatrwajające, to była szansa. To był obowiązek, a nie jakieś tam gówno. To wcale nie było gówno.

– Co: „dlaczego?” – spytał Joe. Wydawał się skonsternowany.

– Dlaczego ja?

Teraz to on obrzucił mnie gniewnym spojrzeniem.

– Dlaczego nie?

– Pewnego dnia zostaniesz Alfą. – I to wspaniałym.

– No i?

Spojrzałem na swoje dłonie.

– To ważna sprawa.

– Wiem.

– A ja jestem...

– Czym jesteś?

– No, wiesz. Niczym.

Nagle znalazł się naprzeciwko mnie i był wkurzony. Aż wibrował wściekłością.

– Zamknij się – nakazał. – Po prostu się zamknij.

– Joe... – zacząłem, ale nie dał mi dojść do głosu.

– Nie wolno ci tak mówić. Nie wolno ci nawet myśleć w ten sposób.

– Masz siedemnaście...

Zaczął warczeć. Wiedziałem, że gdybym podniósł wzrok, zobaczyłbym, jak wilk usiłuje wydostać się na zewnątrz.

– Czyli że co? Myślisz, że nie wiem, co robię? Wydaje ci się, że skoro mam tylko siedemnaście lat, to nie mam pojęcia, o czym mówię? Już dawno temu przestałem być dzieckiem, Ox. On odebrał mi dzieciństwo, kiedy po raz pierwszy połamał mi palce i tym samym zmusił mnie, bym krzyczał do telefonu, tak by mama słyszała moje wrzaski. Przestałem być dzieckiem, kiedy wydarł ze mnie dzieciństwo i zmienił mnie w coś zupełnie innego. Wiem, o co chodzi. Wiem, co robię. Tak, mam siedemnaście lat, ale już w dniu, w którym cię poznałem, wiedziałem, że zrobiłbym dla ciebie wszystko. Zrobiłbym wszystko, żeby cię uszczęśliwić, bo nikt nigdy nie pachniał tak jak ty. Cukrowymi laskami i sosnowymi szyszkami. I domem. Pachniałeś moim domem, Ox. Zdążyłem już zapomnieć ten zapach, rozumiesz? Zapomniałem, bo on mi go odebrał, a ja nie potrafiłem go znów odnaleźć, aż spotkałem ciebie. Więc nie stój tam tak i nie mów, że mam tylko siedemnaście lat. Tata dał mamie swojego wilka, gdy miał siedemnaście lat. To nie jest kwestia wieku, Ox. Chodzi o to, kiedy wiesz.

Mój głos brzmiał ochryple, kiedy mówiłem:

– Ale ja nie...

– Zamknij się! – wykrzyknął. – Wiesz co? Nie. Nie ty decydujesz, ile jesteś wart, bo najwyraźniej sam tego nie wiesz. Nie ty o tym decydujesz, bo nie masz, kurwa, pojęcia, że jesteś wart

w s z y s t k o. Myślisz, że co to niby jest? Żart? Decyzja podjęta dla jaj? Nic z tych rzeczy. Nie jest to też przeznaczenie, Ox. Nie jesteś też przez to z w i ą z a n y. Jeszcze nie. Masz wybór. Z a w s z e jest jakiś wybór. Mój wilk cię wybrał. Ja cię wybrałem. I jeśli ty nie wybierzesz mnie, to będzie to t w ó j wybór, a ja wyjdę stąd ze świadomością, że wybrałeś własną ścieżkę. Ale klnę się na Boga, że jeśli mnie wybierzesz, to dopilnuję, byś pamiętał, ile jesteś wart, każdego dnia do końca naszego życia, bo tak to już jest. Pewnego dnia zostanę pieprzonym A l f ą i nie istnieje nikt, kogo wolałbym mieć u swego boku od ciebie. To ty, Ox. Dla mnie to zawsze byłeś ty.

Odpowiedziałem więc:

– W porządku, Joe. – Spojrzałem na niego. Jego wilk czaił się tuż pod powierzchnią.

I wtedy on zapytał:

– W porządku?

Odparłem:

– W porządku. W porządku. Tylko nie wiem, czy postrzegam wszystko tak samo jak ty.

– Wiem.

– I nie wiem, czy będę wystarczająco dobry.

– Ja wiem, że będziesz – zapewnił mnie, a jego oczy błysnęły pomarańczowo.

– Ale ci obiecałem. Powiedziałem, że zawsze będziemy razem, ty i ja.

Mięśnie twarzy zadrżały mu lekko, nim powiedział:

– Tak było. Obiecałeś mi. O b i e c a ł e ś.

Odpowiedziałem:

– Nie jestem nikim szczególnym. Niewiele posiadam. Czasami czuję się głupi i mówię durne rzeczy. Ojciec nas zostawił, a ja cały czas popełniam błędy. Nie poszedłem do college’u, a do domu wracam z brudem pod paznokciami, w spodniach upapranych smarem. Nie mam wielu przyjaciół. Ale złożyłem ci obietnicę i nawet jeśli wolałbym, byś znalazł sobie kogoś lepszego, to jej dotrzymam. Bo ja dotrzymuję obietnic. Więc tak, Joe. W porządku? Po prostu: tak.

Najwyraźniej jeszcze nie byłem mężczyzną, bo oczy trochę mnie zapiekły. Mama siedziała przy stole i płakała, słyszałem też, jak na dworze Elizabeth pociąga nosem, ale nagle Joe znalazł się tuż przede mną. Był znów tym samym małym chłopcem, który znalazł mnie na gruntowej drodze w dniu, kiedy skończyłem szesnaście lat. Tym samym małym chłopcem, który zmienił się w mężczyznę i stał przede mną na kilka dni przed moimi dwudziestymi trzecimi urodzinami. Uważał, że jestem coś wart. A ja chciałem mu wierzyć.

Przycisnął swoje czoło do mojego, wciągnął w nozdrza mój zapach i było między nami słońce, okej? To słońce między nami, ta więź, która paliła, paliła, paliła, bo on mi ją dał. Bo on mnie wybrał. A ja dostałem szansę, by wybrać jego.

na tym polega życie / potrzebuję cię

A więc zostaliśmy towarzyszami życia. A ja się nauczyłem, że głównie wiem o wilkołakach. Powiedziałem:

– Wydaje mi się, że powinniście byli mi o tym powiedzieć.

Thomas popatrzył na mnie. Spacerowaliśmy pomiędzy drzewami.

– Naprawdę?

– Tak.

– Aha.

– Elizabeth jest twoją towarzyszką życia.

– Z braku lepszego określenia, tak. Możemy tak to nazwać. Ale ona jest dla mnie czymś o wiele więcej.

– Skąd wiedziałeś?

Zaśmiał się.

– Stąd, że za każdym razem, kiedy ją widziałem, niczego bardziej nie pragnąłem, niż sprawić, by już nigdy nie zniknęła mi z oczu.

Rozumiałem to. Całkowicie.

– Wiedziałeś – ciągnąłem – o mnie i o Joem.

– Tak.

– To dlatego... – Urwałem.

Czekał.

– Kiedy go trenujesz, wyprowadzasz mnie.

– Tak.

– Ponieważ jestem tym, kim jestem. Dla niego.

– Tak.

– Towarzyszem życia.

– Jeśli tak chcesz to nazywać. To bardzo romantyczne sformułowanie, ale przypuszczam, że lepszego nie znajdziemy.

– Czym jestem?

Wyglądał na zaskoczonego.

– Jesteś Oxem.

A ja odparłem:

– Dla niego. Czym jest Elizabeth dla ciebie?

– Warstwami – odparł i zachichotał. – Tak wieloma warstwami. Należy do mnie i zrobiłbym dla niej wszystko. Dzięki temu sprawia, że jestem silniejszy. Alfa potrzebuje tego bardziej niż jakikolwiek inny wilk. Bez niej nie byłoby mnie.

– Czy tym samym stanę się ja dla Joego?

– Być może – odrzekł. – Albo czymś więcej. Jesteś inny, Ox. Chyba nawet ja nie wiem jak bardzo inny. To będzie naprawdę niesamowity widok. Ja w każdym razie nie mogę się doczekać, kiedy to zobaczę.

– Co zobaczysz?

– Wasze wszystko – odparł.

Słońce skryło się za chmurą nad naszymi głowami.

– Dlaczego mu pozwoliłeś?

– Na co?

– Żeby mi dał swojego wilka.

– Bo to był jego wybór.

Zmarszczyłem brwi.

– Mogłeś go od tego odwieść.

- Przypuszczam, że tak.
- Carter mówił, że próbowałeś.
- Bo cię nie znaleźliśmy.
- Ale i tak mu pozwoliłeś. Dlaczego?

Thomas dotknął mojego ramienia.

– Bo kto jak kto, ale Joe powinien móc dokonywać własnych wyborów. Po tym wszystkim, co przeszedł. I po raz pierwszy od czasu, jak go odzyskaliśmy, miał wybór. Zdecydował, że się do ciebie odezwie. Zdecydował, że przyprowadzi cię do domu. Zdecydował, że będzie cię trzymał za rękę. Na tym polega życie, Ox. Na wyborach. Wybory, których dokonujemy, kształtują to, czym się stajemy. Przez długi czas Joemu odmówiono prawa dokonywania wyborów. A później kierował nim strach. Ale potem pojawiłeś się ty i dokonał własnego wyboru. Więc tak. Mogłem go od tego odwieść. Mogłem mu kazać poczekać. Mogłem mu zabronić. Ale tego nie zrobiłem, bo dokonał wyboru. Wybrał cię, Ox.

- Kto to był?

Thomas odwrócił wzrok.

Powiedziałem:

- Muszę wiedzieć.
- Dlaczego?
- Bo jeśli mam wybrać, to wybieram wszystko.

Nazywał się Richard Collins. Pełnił funkcję Alfę dopóty, dopóki go jej nie pozbawiono. Gwałcił i mordował członków własnego stada. Karmił ludźmi tych co bardziej zdziczałych. Był potworem i nie dbał o to. Wyrwali Alfę z jego ciała, lecz uciekł, nim mogli zrobić cokolwiek więcej.

W dzieciństwie Thomas i Richard się przyjaźnili. Mieszkali tutaj. Na terytorium Thomasa. Należeli do jednej watahy i bardzo się kochali. Jak bracia. Pewnego dnia zjawili się ludzcy myśliwi. Thomasa i jego ojca nie było. Myśliwi torturowali matkę i ojca Richarda na jego oczach. Tak jak i wielu innych. Przypalali ciało, aż powietrze wypełniło się popiołem. Zginęła znaczna część stada Bennettów. Wówczas Richard odszedł. Nikt nie wiedział, że został Alfą. Może za sprawą magii. Morderstwa. Dzięki złożonej ofierze. Był okrutny, odbierał życie i nadzieję, aż został złapany. Ale wówczas wymknął im się z rąk. Thomasa poproszono, by wrócił na Wschód i pomógł innym stadom go odnaleźć. Powstrzymać go. Szukali go całymimi latami. Po całym kraju. Thomas nie sądził, by dla jego starego przyjaciela była jeszcze jakaś nadzieja, lecz nie pozwolił, by to go powstrzymało.

Przebywali w Maine, kiedy odebrał telefon. Joe zniknął. Został zabrany z podwórka przed ich domkiem nad brzegiem morza. Nie mogli go znaleźć. Nie potrafili wywęszyć jego tropu. Zapach zniknął, jakby nigdy go tam nie było. Szukali przez trzy dni. Trzeciego dnia zadzwonił telefon.

Richard powiedział:

– Thomas. Thomas, Thomas, Thomas.

A Thomas odparł:

– Ty skurwysynu.

Richard oznajmił:

– Nie było cię tam. Nie zrobiłeś nic, by ich powstrzymać. Wołali do ciebie, byś im pomógł. Ja cię wołałem. Twojego ojca. Ale was nie było.

Thomas błagał:

– Mój syn. Richardzie, mój syn. Proszę.

Ale Richard Collins powiedział:

– Nie.

Dzwonił po kilka razy na tydzień, a Joe w r z e s z c z a ł. Sprawiał, że Joe w r z e s z c z a ł, a Thomas myślał, że oszaleje.

Odnalezienie go zajęło osiem tygodni. Mieszanina zapachów i łut szczęścia doprowadziły ich do chaty w samym środku lasu, o wiele bliżej, niż się spodziewali. Ale udało im się go odnaleźć, zmaltretowanego i samotnego. Nie był taki sam. Był wilkiem, lecz wilki nie przechodziły przemiany przed okresem pokwitania. Regenerował się, lecz proces postępował powoli. No i się nie odzywał.

Kiedy nabrałem pewności, że głos mnie nie zawiedzie, spytałem:

– Czego on chciał?

– Zadawać ból – odparł Thomas. – Tyle bólu, ile zdoła.

I wtedy spytałem o to samo, o co już kiedyś pytałem:

– Czy on żyje?

Na co Thomas odrzekł:

– Tak. Spędzi resztę swoich dni, gnijąc w celi stworzonej przy pomocy magii. Magia nie pozwoli mu się przemienić. Praktycznie rzecz biorąc, jego wewnętrzny wilk został mu odebrany.

Dłonie same zwinęły mi się w pięści po bokach ciała.

– Dlaczego go nie zabiłeś?

Popatrzył na mnie smutnymi oczyma.

– Bo zemsta to lekcja, którą dają nam zwierzęta. Bo trudniej okazać miłosierdzie. Okazałem mu miłosierdzie, ponieważ on nigdy nie okazał go mojej rodzinie.

Przez chwilę czułem wobec Thomasa nienawiść. Myślałem, że jest słaby. Miałem go za tchórza. A on o tym wiedział. Musiał znać każdą myśl, która w tamtym momencie przemykała mi przez głowę. Czekał. Nienawiść minęła, ponieważ go znałem. Ale musiałem być szczery. Powiedziałem:

– Nie wiem, czy potrafiłbym zrobić to samo.

– Nie – odparł nie bez życzliwości. – Nie spodziewałbym się tego po tobie.

Podjęliśmy przerwana wędrowkę w głąb lasu.

Mama spytała:

– Czy na pewno tego właśnie chcesz?

Odparłem:

– Tak.

– On ma siedemnaście lat, Ox.

– I do niczego nie dojdzie dopóty, dopóki nie skończy osiemnastu. – Nie chciałem rozmawiać z nią dłużej na ten temat. Podniecenie wrzało na mojej skórze, aż poczułem, że mi duszno i że się rumienię. To było dla mnie zbyt wiele. Myśl o dotykaniu. O b y c i u dotykanym.

Wyjrzała przez okno na letnie słońce.

– A co się stanie, jeśli wam nie wyjdzie?

Nie chciałem o tym myśleć. W ogóle nie miałem na to ochoty, więc powiedziałem:

– To kwestia ryzyka. Tak jest ze wszystkim.

– Przede wszystkim jesteśmy przyjaciółmi – wyszeptał mi do ucha Joe. – Jesteś moim najlepszym przyjacielem, Ox, i przysięgam, że to się nigdy nie zmieni. Teraz będziemy po prostu... czymś więcej.

– Czy muszę stać się wilkiem, żeby móc być z Joem? – spytałem Thomasa.

– Nie – odparł. – Nie musisz.

– Rozważałem to – przyznałem cicho.

– Naprawdę?

– No.

Czekał.

– Na pewno nie muszę nim być? – dążyłem.

– Nie – powtórzył. – Jesteś wspaniały taki, jaki jesteś.

Zastanawiałem się, czy tak to właśnie wygląda, jak się ma ojca, który kocha cię wystarczająco mocno, by zostać pomimo wszystkich twoich wad.

Elizabeth powiedziała:

– Nie ma nikogo innego, kogo wolałabym dla niego wybrać. Ox, razem dokonacie nadzwyczajnych rzeczy. Joe zostanie przywódcą i jako Alfa będzie przedkładał watahę nad wszystko inne. Ale pamiętaj, że zawsze będziesz jego sercem i duszą.

Mark oznajmił:

– Wiedziałem. Od pierwszego dnia wiedziałem, że zostałeś stworzony do wielkich rzeczy. Jestem dumny z tego, że mogę nazywać cię przyjacielem i członkiem stada.

Carter ostrzegł:

– Mam nadzieję, że jesteś gotów na wilkołaczy wigor. Serio. Będziesz obolały. Przez wiele dni z rzędu.

Kelly powiedział:

– Naprawdę żałuję, że usłyszałem, jak Carter to mówi. Muszę połać mózg wybielaczem. Wiele dni z rzędu.

Śniły mi się wilkołaki i krwistoczerwony księżyc. Śpiewały mi, a ja zebrałem ich pieśni i stworzyłem z nich własną. Biegałem z nimi na czterech łapach, a serce łomotało mi w piersi. Widziałem, czułem i słyszałem wszystko, i wszystko było zielone, zielone, zielone, pomarańczowe jak Beta i czerwone jak Alfa. Kolory pasowały do pieśni i śpiewaliśmy ją, bo byliśmy watahą watahą watahą.

– Yyy, Ox? – zawołała mama, kiedy szykowałem się do pracy. Na zewnątrz niebo zaczynało jaśnieć.

– No?

– Chyba się zaczęło.

– Ale co? – Schodząc po schodach, wsunąłem koszulę w spodnie.

Mama była na ganku, frontowe drzwi stały otworem. Podszedłem do niej od tyłu.

Powiedziała:

– Przynajmniej zrobił, o co prosiłam, i nie położył tego na ganku.

Na trawie leżał tłusty królik z rozszarpanym gardłem i szeroko rozwartymi, niewidzącymi oczyma. Pod nim zebrała się kałuża krwi, lepkiej i ciemnej. Dookoła latały i bzyczały muchy, lądowały na sztywnych łapach.

– Nie zjem tego – było pierwszą rzeczą, którą powiedziałem.

Mama wbiła mi łokieć w żołądek.

– On może nas słuchać! – wysyczała.

– To znaczy... yyy... Wow. Wygląda smakowicie! – prawie krzyczałem.

– Cóż za subtelność, Ox.

– Wilkołak zaleca się do mnie przy pomocy zdechłego królika.

W tym nie ma nic subtelnego.

– Jakby to nie mogły być kwiaty – wymamrotała pod nosem, wkładając stojące przy drzwiach kalosze.

– Dał ci kwiaty – przypomniałem jej, gdy schodziła z ganku.

– Miałam na myśli dla ciebie – odparła. Schyliła się, złapała królika za uszy i podniosła go z ziemi. Oderwał się z cichutkim trzaskiem, pod spodem miał poprzyklejane źdźbła trawy. – Zaloty. No, jak słowo daję.

– Dlaczego go d o t y k a s z? – spytałem zszokowany.

– Nie możemy go tutaj zostawić – odparła. – Bo Joe się obrazi.

- Powiem szczerze: ja już się obraziłem.
- Szybko – nakazała mama, przechodząc obok mnie w stronę domu. – Poszukaj w internecie przepisów na królika, zanim pójdziesz do pracy.
- Kapiesz na podłogę!
- To tylko martwy królik, Ox. Nie zachowuj się histerycznie.
- Zachowuję się higienicznie.

Nie radziłem sobie za dobrze z tym całym internetem, więc wpisałem w wyszukiwarkę: „co zrobić, kiedy twój przyszły wilkołaczy towarzysz życia / chłopak / najlepszy przyjaciel przynosi ci martwego królika”. Na początku wyskoczyło mnóstwo stron z pornosami. Potem znalazłem przepis na gulasz maltański. Pycha. Gulasz, nie pornosy. Pornosy były dziwne.

Gordo powiedział:

– No, tego. Dostałeś koszyk. W środku będzie tak z osiemdziesiąt minimuffinek.

Podniosłem wzrok znad pracy. Zajmowałem się rotacją opon w fordzie escape rocznik 2012.

- Minimuffinek? – spytałem.
- Yyy. No tak. Na oko jest ich tak koło osiemdziesięciu.
- To bardzo dużo muffinek.
- Lynda z piekarni je przyniosła. No, w zasadzie to jej syn, bo koszyk był za ciężki, żeby mogła sama go przytaszczyć.

Westchnąłem.

Gordo zmrużył oczy.

– Rozmarzone westchnienie – powiedział oskarżycielskim tonem.

Poszedł za mną do swojego biura. I rzeczywiście stał tam kosz pełen minimuffinek. Największy kosz, jaki w życiu widziałem. Wiedziałem, o co chodzi. To nie liczy się jako polowanie. Nie żebym narzekał. Nie sądziłem, by Gordo był zachwycony martwymi zwierzakami w warsztacie. W kopercie znalazłem liścik. Napis na nim głosił: „Zamknij się. Oczywiście, że to się liczy jako polowanie”. Westchnąłem ponownie.

– Ox – odezwał się Gordo.

Powiedziałem:

– No. Czyli towarzysze życia to grubsza sprawa, nie?

Gordo powtórzył:

– O x.

– Jesteś tylko dzieckiem! – wrzasnął na mnie później, jak już chłopacy poszli do domu. Napięcie rosło przez cały dzień.

Odparłem:

– Mam dwadzieścia trzy lata, Gordo. Już od długiego czasu nie jestem dzieckiem.

Zmrużył oczy.

– Czy ty w ogóle wiesz, co to oznacza? Na co przystałeś? To jest na całe życie. Kiedy wilk się do ciebie przywiąże, to już na całe życie.

– Wiem.

Thomas mi wyjaśnił. Może i dostałem niewielkiego ataku szału, ale to było wczoraj. Dzisiaj to co innego.

– A mimo to się zgodziłeś? Popierdoliło cię?

– Zabawne – odparowałem. – Wydawało mi się, że to moje życie. Nie twoje.

Zaczął chodzić przede mną w tę i z powrotem.

– Jak ja mam cię, do kurwy nędzy, chronić, jak ty ciągle robisz sobie takie rzeczy?

– Sam umiem się ochronić. Nie potrzebuję do tego ani ciebie, ani nikogo innego.

– Gówno prawda. Wiesz, że potrzebuję... – Urwał i warknął.

– Potrzebujesz mnie. Wiem.

– Nie to chciałem powiedzieć. – Trzasnął otwartą dłońią w stół.

– Gordo.

– Odpierdol się, Ox.

– Pewnego dnia on zostanie Alfą.

– Nie obchodzi mnie to.

Nie dawałem za wygraną.

– Będzie potrzebował czarownicy.

Zachwiał się, jakbym mu przywalił.

– Przestań. Ani mi się waź.

– Co ci się, u diabła, stało? – zażądałem odpowiedzi. – Dlaczego tak bardzo ich nienawidzisz?

Zaśmiał się gorzko.

– To już nie ma znaczenia.

– Ma, jeśli masz zamiar już zawsze się tak zachowywać. Posłuchaj, wiem, że się o mnie martwisz. Tak już masz. Ale musisz mi zaufać. I tak mam co do tego wystarczająco dużo wątpliwości. Nie mogę mieć ich również w twoim imieniu. Potrzebuję cię, stary. Musisz mnie osłaniać.

Oczywiście wytknął mi te słowa.

– Wątpliwości? W takim razie dlaczego to w ogóle robisz?

Odparłem:

– Nie odnośnie do Joego. Odnośnie do siebie. Co, jeśli nie jestem dla niego wystarczająco dobry? Co, jeśli nie potrafię być tym, czego on potrzebuje?

Przestał krążyć po warsztacie, zgarbił się.

– Ox, nie możesz myśleć w ten sposób.

Prychnąłem.

– Mówisz? W zasadzie to nic trudnego.

– Twój ojciec ci to zrobił – powiedział z wściekłością wypisaną na twarzy. – Powinienem być skopać mu dupę, kiedy miałem ku temu okazję.

Podniosłem wzrok zaskoczony.

– Nie podoba mi się to – oświadczył Gordo. – Ani trochę. Ale i tak coś ci powiem, dobra? Każdy, kto może powiedzieć, że jesteś jego, powinien dziękować swojej szczęśliwej gwiazdzie. Nie zamierzam dawać ci swojego błogosławieństwa, bo dla ciebie to i tak nieważne. Na tym etapie nic, co mógłbym powiedzieć, nie będzie mieć znaczenia. – Głos mu się załamał. – Ale lepiej, żeby cię traktował, jakbyś był gwiazdką z nieba, bo inaczej zmiotę go z powierzchni ziemi.

Ścisnąłem jego ramię, starając się, by kolana się pode mną nie ugięły. Oczywiście wszystko, co mówił, miało dla mnie znaczenie. Jak w ogóle mógł myśleć inaczej? Powiedziałem:

– Gordo. Gordo. Jego wilk. Dał mi swojego wilka. Wilka z kamienia.

Gordo uśmiechnął się smutno.

– Domyśliłem się. Wtedy, kiedy przyszedł, żeby się z tobą spotkać?

Pokręciłem głową.

– Dzień po tym, jak się poznaliśmy. Kiedy miał dziesięć lat. Nie wiedziałem, co to oznacza. Powiedzieli, że mam wybór.

I wtedy się pojawił. Ten wyraz na jego twarzy. S t r a c h.

Spytał:

– Mimo wszystko?

Odparłem:

– Mimo wszystko. – No, oczywiście. – Gordo. Gordo. – Oświecenie spadło na mnie jak grom z jasnego nieba. Jaki ja byłem ślepy.

– Co, Ox?

– Czy...? – Prawie się wycofałem. Ale w końcu spytałem: – Mark to zrobił. Prawda? Dał ci swojego wilka.

Tatuaże na rękach Gorda błysnęły przelotnie. Zwiesił głowę. Pogładziłem dłonią jego włosy. Robiły się coraz dłuższe. Powinienem mu przypomnieć, żeby poszedł je obciąć. Zapominał o tak wielu rzeczach, jeśli mu nie przypominałem.

Odparł:

– No. Tak. – Zakasłał. – Dał mi. A ja mu go zwróciłem.

Była pełnia, a my biegliśmy. Kiedy obok mnie śmigaly drzewa, otaczały mnie wilki. Skomlały i jazgotały, żyły i śmiały się. Joe przysuwał się coraz bliżej i bliżej. Był już niemal tak wielki jak Mark. Kiedy zostanie Alfą, będzie tak duży jak Thomas.

Dobiegliśmy do naszej polany. Pozostali rozbiegli się naprzód, goniąc się nawzajem. Podgryzając łapy i ogony. Joe nie opuszczał mego boku. Powiedział mi kiedyś, że kiedy wilk przejmuje panowanie, znika wszelka ludzka racjonalność. Rozumiał i pamiętał, lecz na bardziej prymitywnym poziomie, jak zwierzę kierujące się instynktem. Nadal był Joem, lecz był wilkiem. Wilkiem, który najwyraźniej stwierdził, że nie pachnę nim wystarczająco. Ocierał się torsem o moje nogi i uda. Przyciskał głowę i pysk do mojej piersi i szyi, przeciągał nosem po skórze.

Podeszli Carter i Kelly, chcieli się pobawić. Joe wydał z siebie warknięcie, które miało być dla nich ostrzeżeniem. *Trzymajcie się z daleka*, mówiło. Przekrzywili łby i popatrzyli na niego, po czym położyli się płasko. Joe odwrócił się do mnie i sapnął mi na ucho i szyję. Carter i Kelly podpełzli w naszą stronę. Joe zignorował ich, bo znalazł coś interesującego do powąchania za moim uchem. Powoli przysunęli się bliżej. Joe dotknął nosem mojego czoła. Podpełzli jeszcze bliżej. Joe się odwrócił i popatrzył na nich spode łba. Carter ziewnął, jakby był znudzony. Kelly położył głowę na łapach. Joe odwrócił się z powrotem w moją stronę.

– Głupol z ciebie – powiedziałem.

Obnażył kły, błyszczące i ostre. Walnąłem go po pysku. Powiedziałem:

– Nie boję się ciebie.

Carter i Kelly zerwali się i rzucili do przodu, ocierali się o mnie, jeden po jednej, drugi po drugiej stronie. Joe warknął na obydwo, oczy mu zalśniły. A oni po prostu go wyśmiali. Później pobiegli zapolować. A ja leżałem na plecach i wpatrywałem się w księżyc nad głową. Powietrze było ciepłe, a ja – szczęśliwy.

Zabił łanię, wywłókł ją z lasu i położył przede mną. Jęzor zwisał mu z pyska, oczy miał okrągłe i niewidzące.

Spytałem:

– Serio?

Stał dumny z siebie, z mordą pokrytą zaschniętą skorupą krwi i brudu.

– Serio – westchnąłem.

Powiedział:

– Gdy cię znalazłem, myślałem, że jesteś całym światem.

Powiedział:

– Dałem ci swojego wilka, ponieważ został zrobiony dla ciebie.

Powiedział:

– Przybycie Jessie złamało mi serce.

Powiedział:

– Próbowałem ją polubić. Przysięgam. I lubię. Lubilem.

Powiedział:

– Ale też jej nienawidziłem. Tak bardzo jej nienawidziłem.

Powiedział:

– Gdy ze sobą zerwaliście, pobiegłem do lasu i wyłem do księżyca.

Powiedział:

– A potem wyczuwałem na tobie mężczyzn.

Powiedział:

– Wyczuwałem ich na tobie i musiałem się powstrzymać, by nie rozerwać cię na strzępy.

Powiedział:

– Chciałem ci kazać zaczekać.

Powiedział:

– Chciałem ci powiedzieć, że musisz na mnie zaczekać.

Powiedział:

– Ale nie mogłem. Bo to by było nie fair wobec ciebie.

Powiedział:

– A potem przyplątał się Frankie i ja... nie wiem. Nigdy nie sądziłem...

Powiedział:

– Mącisz mi w głowie. Drażnisz mnie. Jesteś wspaniała i piękna i czasem nachodzi mnie ochota, by zatopić w tobie zęby tylko po to, by zobaczyć, jak krwawisz. Chcę się dowiedzieć, jak smakujesz. Chcę zostawić swoje ślady na twojej skórze. Chcę okryć cię sobą, aż cały będziesz mną pachnieć. Nie chcę, by ktokolwiek inny cię dotykał. Pragnę cię. Calutkiego. Chcę ci kazać zerwać więź łączącą cię z Gordem, bo to, że jesteś związany z kimkolwiek poza mną, mnie pali. Chcę ci powiedzieć, że potrafię być dobrą osobą. Chcę, żebyś wiedział, że nią nie jestem. Chcę cię przemienić. Chcę, żebyś był wilkiem, byśmy mogli biegać pomiędzy drzewami. Chcę, żebyś pozostał człowiekiem, byś nigdy nie utracił tej części siebie. Gdyby coś miało ci się stać, gdybyś stanął na progu śmierci, przemieniłbym cię, bo przenigdy nie mogę cię stracić. Nie mogę pozwolić, byś kiedykolwiek mnie opuścił. Nie mogę pozwolić, by cokolwiek mi cię odebrało.

Powiedział:

– Richard mówił mi różne rzeczy. Okropne rzeczy.

Oddech uwiązł mi w piersi. Ręka zastygła w jego włosach. Nad naszymi głowami świeciły gwiazdy. Trawa pod moimi plecami wydawała się chłodna, głowa Joego na moim brzuchu – ciężka. Spojrzałem na jego twarz. Jego oczy zamigotały, ciemniejsze i dziksze, niż kiedykolwiek widziałem. Mogłem odpowiedzieć:

– Cii. Nie musimy o nim rozmawiać.

Mogłem odpowiedzieć:

– To już nie ma znaczenia. Więcej cię nie tknie.

Mogłem odpowiedzieć:

– Odnajdę go i zabiję dla ciebie. Powiedz mi, gdzie on jest.

Ale odpowiedziałem:

– Naprawdę?

Nie wiedziałem, czy powiedziałem to, co należało. Joe wypuścił z drzeniem powietrze.

– No.

– Aha.

– Oo.

– No? – Udało mi się wydusić przez gniew i żądzę mordy szalejące w moim sercu.

– Wszystko w porządku.

Oczywiście potrafił to wywęszyć. Zastanawiałem się, jaką woń wydaje gniew. Pomyślałem sobie, że pewnie pali. Dlatego powiedziałem:

– No to okej.

– Musisz się dowiedzieć. Zanim.

– Zanim?

Odwrócił lekko głowę i potarł nosem mój bok, wzdłuż żebra.

– Żebyś wiedział. Wszystko.

– Nie złamał cię.

Odparł:

– Tego nie wiesz.

Zaprzeczyłem:

– Wiem. Żyjesz. Skoro możesz wziąć kolejny wdech, skoro możesz postawić kolejny krok, to nie jesteś złamany. Zmaltretowany, być może. Posiniaczony. Popękany. Ale nie złamany.

Odparł:

– Richard powiedział, że to, co się stało, to moja wina. Że gdybym tylko był lepszym synem, gdybym tylko był lepszym chłopcem, nic z tego by się nie wydarzyło. Powiedział, że mnie nienawidzą, bo nie jestem takim Alfą, jakiego pragnęli. Że jestem za mały. Że nie jestem dobrym wilkiem. Że nie zasługuję na bycie Alfą, bo przeze mnie wataha się rozpadnie i wszyscy zginą. I że będę nosił to brzemię.

Westchnął.

– Nie wiem, czy potrafię to wyjaśnić, naprawdę. To uczucie, które noszę w swoim wnętrzu. Związane z Alfą. Jeszcze nim nie jestem, ale to się wkrótce zmieni. Czuję to, jakby bulgotało tuż pod powierzchnią. Są takie chwile, kiedy myślę tylko o tym, by cię naznaczyć, żeby wszyscy wiedzieli, do kogo należysz. By wyryć moje imię na twojej skórze, żebyś nigdy o mnie nie zapomniał. By ukryć moją rodzinę, żeby nikt nigdy ich nie skrzywdził. Muszę bronić tego, co moje. Richard próbował mi to odebrać i myślę, że przez to jest jeszcze gorzej. Nie sądzę, by wiedział, że przez niego będzie gorzej.

Odrzekłem:

– Nie jest źle. – Lecz nie byłem pewien, czy tak jest w istocie.

W mroku błysnęły na mnie jego oczy, pomarańczowe z plamkami czerwieni. W jego głosie dało się słyszeć powarkiwanie, gdy mówił:

– Chcę poczuć smak twojej krwi na języku. Chcę otworzyć cię siłą i wpełznąć do środka. To, że mogę ci zrobić takie rzeczy, przed których zrobieniem nie mógłbyś mnie powstrzymać, czyni ze mnie potwora. – Odwrócił wzrok i wziął wdech, by się uspokoić. I jeszcze jeden. A potem kolejny. Kiedy znów się odezwał, mówił ciszej: – Tata o tym wie. Mama też. To dlatego z nim chodzę. W sam środek lasu. Żeby nauczyć się nad sobą panować. Dla siebie samego. Dla nich. Dla ciebie. Bo Richard coś we mnie popsuł. To on mnie takim uczynił. Sprawił, że chcę być potworem i nie zawsze myślę, że uda mi się to powstrzymać.

Odgarnąłem mu z czoła kosmyk włosów.

– Nie boję się ciebie. Nigdy się nie bałem.

– Może powinieneś.

– Joe. – W moim głosie pobrzmiwały nuty rozdrażnienia.

– Zabiłbym dla ciebie – powiedział. – Gdyby ktoś próbował cię skrzywdzić. Zatłukłbym go.

Odparłem:

– Wiem. – A potem dodałem: – Bo ja zrobiłbym to samo dla ciebie.

Roześmiał się, a jego śmiech był zabarwiony wilkiem, pełen kłapnięć zębami i warknięć.

– Widuję go. Czasami. Kiedy zamykam oczy.

– Wiem.

– Nie sądzę, by to się kiedykolwiek skończyło.

– To też wiem.

– I mimo to się zgodziłeś?

Odparłem:

– Tak. – I po raz kolejny przeczesalem mu włosy palcami.

Westchnałem.

Zapatrzyliśmy się w gwiazdy. Były o wiele dojrzsze, niż my kiedykolwiek będziemy. Ktoś powiedział mi kiedyś, że płynące z nich światło, które widzimy, ma setki tysięcy lat. Że gwiazda, którą obserwujemy, może być już martwa, ale my nigdy się tego nie dowiemy, bo wciąż wygląda na żywą. Pomyślałem, że to straszna sprawa. Że gwiazdy mogą kłamać.

Spytałem:

– Boisz się?

– Tak – odparł natychmiast. Po chwili spytał: – Czego?

– Zostać Alfą.

– Może. Czasem. Wydaje mi się, że sobie poradzę, wiesz? A potem mi się wydaje, że jednak nie.

– Poradzisz sobie.

– Tak?

– Ja ci pomogę. – Taki miałem zamiar.

Przez chwilę milczałem.

– Nie sądziłem, że dotrzemy do tego miejsca.

Słuchanie tego sprawiało ból. Ze względu na nas obu.

– Przepraszam.

Potrząsnąłem głową.

– Nie przepraszaj. Masz wybór. Jesteś człowiekiem.

Spytałem:

– A ty? Czy ty też masz wybór?

Odparł:

– Ty nim jesteś. Zawsze wybiorę ciebie. Nie obchodzi mnie, czy to biologiczny imperatyw, czy nie. Nie obchodzi mnie, czy to przeznaczenie. Nie obchodzi mnie, czy zostałeś stworzony specjalnie dla mnie. To nie ma znaczenia. Bo i tak bym cię wybrał, niezależnie od wszystkiego.

Pomyślałem, czyby go nie pocałować. Rozważałem to przez chwilę. Ale w końcu tego nie zrobiłem. A powinienem był. Zamiast tego powiedziałem:

– Nie jesteś potworem. – Dotknąłem jego policzka. Uszu. Ust. – Nie jesteś. Przyrzekam. Przysięgam ci. Nie jesteś.

A on odparł:

– Ox. Ox. O x. – I zatrzęsł się, i załamał, a ja rozpadłem się razem z nim.

Chyba obaj trochę popłakaliśmy. Bo nie byliśmy jeszcze mężczyznami.

przyniosę ci niedźwiedzia / skrzywdzę cię

Czasami wracałem do domu starą furgonetką, którą kupił mi Gordo. Najczęściej wracałem pieszo, bo wiedziałem, że Joe będzie na mnie czekał. Mogłem na to liczyć. Nie wymagało to żadnego wyjaśniania. Tak po prostu było. No więc oczywiście był tam, kilka dni później. Stał w cieniu starego wiązu, a promienie słońca przeświecały przez liście i tańczyły na jego barkach i szyi. Wcześniej był drobny. Pierwszego dnia. Najśłabszy członek watahy. Małe tornado. Ale to się zmieniło. Częściowo za sprawą genetyki. Częściowo dlatego, że stawał się Alfą. Dojrzał, a ja wiedziałem, że usłyszał, w którym momencie moje serce potknęło się o własne nogi, bo uśmiechnął się, jakby sprawiło mu to przyjemność.

– Hej, Joe.

– Cześć. Cześć, Ox.

Zatrzymałem się naprzeciwko niego, niepewny. Minął zaledwie tydzień od... no, tego. Zaczęło się. To... c o ś między nami.

– Cześć – odparłem kulawo. Słowa zasychały mi na języku.

Wpatrywaliśmy się w siebie nawzajem. To było g ł u p i e. Dlatego powiedziałem:

– To jest dziwne. – W tym samym czasie Joe wypalił:

– Chciałbym cię zabrać na randkę.

Zadławiłem się własnym językiem. Rozkaszałem. W końcu udało mi się wydusić:

– Ta. Jasne. Okej. No. Brzmi świetnie. Kiedy? Teraz? Moglibyśmy iść teraz.

Oczy zrobiły mu się okrągłe.

– W tej chwili?

Odparłem:

– Nie! Nie. Nie to miałem na myśli. No, wiesz. Możemy.

– Aha. No cóż. A może? Moglibyśmy... iść. Gdzieś.

– Masz zamiar przynosić mi więcej martwych zwierząt albo minimuffinek? – rzuciłem bez zastanowienia i natychmiast wzdrygnąłem się z zażenowania. – Ty... ach. Nie musisz. – Nawet nie udało mi się spróbować żadnej minimuffinki, bo chłopacy z warsztatu wszystkie zżarli. Poza Gordem. Gordo tylko wpatrywał się w nie z wściekłością.

Joe popatrzył na mnie dziwnie.

– A c h c e s z więcej zwierząt? Mogę zaraz pobiec na polowanie! Przyniosę ci jeszcze jednego jelenia. Albo niedźwiedzia. Przyniosę ci niedźwiedzia!

Zaczął zdejmować buty, więc spytałem:

– Rozbierasz się do n a g a? – Bo zobaczyłem całą tę s k ó r ę.

Zdażył już zdjąć koszulę, kiedy spytał:

– Co?

Chwyciłem się jedynej rzeczy, która miała sens.

– Masz siedemnaście lat!

– Już niedługo – odparł, a jego głos był taki g ł ę b o k i. Łypał na mnie z n a c z ą c o.

Zamiast się na tym skupić, oświadczyłem:

– Nie potrzebuję niedźwiedzia.

– Jelenia? – spytał.

Pokręciłem głową, bo wizja Joego wyciągającego z lasu martwego jelenia i zostawiającego truchło na trawniku przed moim domem sprawiła, że poczułem mdłości.

– Powinieneś założyć z powrotem koszulę – powiedziałem.

Zamrugnął.

– Dlaczego?

– Bo... no, wiesz. Z powodu tego w s z y s t k i e g o. – Machnięciem dłoni wskazałem całą jego postać.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu. To było takie złe.

– Tego wszystkiego? – Napiął mięśnie na kłacie. Cios p o n i ż e j p a s a.

Zdołałem wydukać:

– Tak. Tego wszystkiego.

Zrobił krok w moją stronę.

– Moglibyśmy. Ach... no, wiesz. – Poruszał brwiami w górę i w dół, a ja pomyślałem: „Oż, kurwa”.

Cofnąłem się o krok.

– Albo moglibyśmy poczekać, aż skończysz osiemnaście lat.

Teraz to on rzucił mi wściekłe spojrzenie. Było w tym trochę z wilka.

– To tak nie działa.

– Ta, bo ty wiesz najlepiej, jak to działa. Masz takie doświadczenie w zalecaniu się.

– Nie mogę się doczekać, aż zostanę Alfą, bo wtedy cały czas będę mógł ci mówić, co masz robić.

– Powiem twojemu tacie, że chcesz zostać Alfą tylko dlatego, żeby dobrać mi się do majtek.

Jęknął.

– Nie wspominaj o moim ojcu, kiedy próbuję cię uwieść.

– Przestań gadać – poprosiłem. – Błagam.

I wtedy, a jakżeby inaczej, pojawili się Carter i Kelly. Biegli. Zatrzymali się i zaczęli na nas gapić. A my na nich. Poczułem się winny. Ponieważ ich nieletni brat był półnagi, a w miejscu, w którym staliśmy, najprawdopodobniej śmierdziało jak w burdelu.

Kelly powiedział:

– Niezręczna sytuacja.

Odparłem:

– Do niczego nie doszło!

Carter zauważył:

– O mój Boże, ależ tu cuchnie s e k s e m.

Joe odparował:

– Zamierzam zabić dla niego niedźwiedzia.

Ponownie wymieniliśmy spojrzenia. Kelly oznajmił:

– Czuję się teraz taki zakłopotany.

Nakazałem:

– Ubierz się.

Carter ciągnął:

– Jakbym się topił w feromonach i oparach wzwodu.

Joe zdawał się go nie słyszeć:

– Albo może jelenia.

I ten wpatrzony w nas wzrok.

Kelly rzucił:

– Mam nadzieję, że obaj wiecie, że zniszczyliście mi życie.

Naciskałem:

– Koszula, Joe. Załóż koszulę.

I wtedy, tylko dlatego, że był skończonym kutasem, Carter powiedział:

– Dobrze, że rozdziewiczyłem usta Oxa, jeśli chodzi o całowanie z facetami, już wieki temu. Nie ma za co.

Joe zaryczał, a Carter się roześmiał i dał w długą. Koszula Joego spadła na ziemię, a spodenki się rozdarły, gdy zaczął zmieniać się w wilka. Gonił brata pomiędzy drzewami, głośno powarkując i wyjąc ze złości.

Kelly i ja zostaliśmy na gruntowej drodze.

– No to... – powiedziałem.

– Ta – odparł Kelly.

– Czy on naprawdę ma zamiar zabić niedźwiedzia?

Parsknął.

– Pewnie tak. Teraz, jak się dowiedział, że przelizałeś się z Carterem.

– Wcale się z nim nie przelizałem!

– Ale go pocałowałeś?

– To on pocałował mnie.

– Nie widzę żadnej różnicy.

– On jest hetero.

Kelly uniósł jedną brew.

– Nie wiem, czy jakikolwiek wilkołak może o sobie powiedzieć, że ma orientację inną niż płynna.

– Ale... on powiedział... Twierdził...

Kelly przewrócił oczami.

– Nie wiem nic o wilkołakach – wymamrotałem.

Kelly sapnął, kiedy usłyszał wściekły ryk Joego roznoszący się echem po całym lesie.

– Jestem niemal pewien, że właśnie słuchamy, jak dokonuje się bratobójstwo – oznajmił.

– Nawet nie wiem, co to takiego.

Kelly wyjaśnił:

– Joe zabije Cartera.

– Poważnie?

Kelly wzruszył ramionami.

– Pewnie tak. A już z pewnością brzmi, jakby miał taki zamiar.

– Nie wyglądasz na zmartwionego.

– Ech – westchnął. – A co ja mogę zrobić? Nie uprawiałem jeszcze seksu a n i z chłopakiem, a n i z dziewczyną.

– Yyy. Dzięki, że mi się z tego zwierzyłeś – powiedziałem niepewnie.

– Myślałem o tym – odparł.

– Okej.

– Wydaje się, że to kupa roboty – powiedział i zmarszczył brwi, gdy – sądząc po odgłosach – jeden z wilków rzucił drugim o drzewo.

– Bo tak jest – zapewniłem go.

– Ale za to całowałem się z facetem – dodał.

– Co? Kiedy?

– Na tym... j a k m u t a m. Nawet nie wiem. A potem była taka dziewczyna. Chociaż nie wiem, czy to się liczy. Ona po prostu... polizała mnie po twarzy. Koło nosa.

– Jasne...

– Czy to źle, że mam dwadzieścia jeden lat i jeszcze z nikim nie uprawiałem seksu?

– Yyy... nie. Dlaczego mnie o to pytasz?

Wpatrzył się we mnie.

– Jesteś przyszłym towarzyszem życia przyszłego samca Alfa. Musisz odpowiadać na takie pytania.

– Naprawdę muszę?

– No. To tak jakby twoja praca.

– Aha. Nikt mi nie powiedział.

– A myślałeś, że co będziesz robił?

– Szczerze? Nie jestem pewien. To wszystko było dość... niespodziewane.

– Kiedy zaczął ci stawać na myśl o Joem? – spytał ze współczuciem.

– O mój Boże.

– Musisz nam doradzać i takie tam. Pomagać stadu, kiedy będzie mieć problemy. Tym właśnie zajmuje się mama. To samo robiła w przeszłości, kiedy stado było większe.

– Nie jestem twoją mamą.

Zbył moje słowa machnięciem ręki.

– Równie dobrze mógłbyś być. – Wargi mu drgnęły. – Albo kimś w tym stylu. Tata?

– Zadbam o to, żebyś nigdy nie zaliczył.

Wzruszył ramionami.

– Jestem pewien, że to się stanie, kiedy będę gotowy.

Pokiwałem głową.

– I ani o dzień wcześniej. Nie pozwól, by ktokolwiek cię do czegokolwiek przymuszał.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Dzięki, tato.

Wzięłem głęboki wdech, by się powstrzymać przed walnięciem go w twarz. I tak zdążyłby się wygoić, zanim ja doszedłbym do domu z połamaną dłonią.

– W porządku. Nie jestem zbyt dobry w gadaniu. Ani w dawaniu rad. Ani w wielu innych rzeczach. – Ale jeśli tego potrzebuje, jeśli wataha mnie potrzebuje, to zrobię, co będę mógł.

– Radzisz sobie całkiem nieźle.

Uśmiechnąłem się do niego.

– Tak?

– No, poza tym, że przelizałeś się z Carterem, zanim Joemu udało się do ciebie dostać.

Gdzieś w lesie zawarczały wilki. Powiedziałem:

– No po prostu zajebicie.

– Joe zaprosił mnie na randkę – powiedziałem mamie, bo teraz mówiłem jej wszystko. To wydawało się łatwiejsze.

Spytała:

– Naprawdę? Gdzie?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie wiem. Możliwe, że upoluje dla mnie niedźwiedzia.

Pokiwała głową.

– Brzmi nieźle. Cóż... baw się dobrze. Ja muszę jechać do restauracji. Nie idź z nim jeszcze do łóżka.

Prawie się przewróciłem.

– Yyy. Dobrze?

Westchnęła.

– Chociaż masz na to ochotę.

– Jezu Chryste, mam...

– Mam ci kupić prezerwatywy? Wydaje mi się, że mam jakiś kupon rabatowy.

Rąbnąłem głową w blat kuchennego stołu.

– Proszę, wyjdź. Proszę.

Pocałowała mnie w czoło i poszła do pracy.

Wybraliśmy się na randkę. Było niezręcznie. Nie z naszego powodu. No cóż. Nie tylko z naszego powodu. Zapukał do drzwi. Otworzyłem je, zanim skończył. Powiedział:

– To dla ciebie. – Wręczył mi kolejne minimuffinki. A potem sarknął:

– Nie mogłem znaleźć żadnego niedźwiedzia.

Odparłem:

– Nic nie szkodzi. – Szczerze mówiąc, nie miałem pojęcia, co bym zrobił z niedźwiedzim truchłem.

Podrapał się po potylicy.

– Przepraszam.

– A zatem minimuffinki?

Uśmiechnął się olśniewająco.

– No, minimuffinki.

– Mnie to pasuje.

– Wyglądasz seksownie – wypalił, po czym zmarszczył czoło. – To znaczy wyglądasz bardzo fajnie. Mam zamiar zachowywać się z klasą. Mama kazała mi zachowywać się z klasą.

Popatrzyłem po sobie. Założyłem dżinsy i zapinaną na guziki czerwoną koszulę.

– Dzięki – powiedziałem niepewnie. Ale dokładnie to chciałem powiedzieć, więc powtórzyłem: – Dzięki. – Po czym dodałem: – Ty też wyglądasz bardzo fajnie. – Chociaż moje zdradzieckie usta niemal powiedziały: „Wyglądasz tak, że chciałbym cię z e r ż n ą ć”, zamiast: „Wyglądasz bardzo f a j n i e”. – Podobają mi się twoje... spodnie.

– Moje spodnie – powtórzył.

Szare, casualowe. Chyba z wełny. Wpatrywałem się w nie.

A Joe spytał:

– Poważnie? Co niby ci się w nich podoba? Chyba myśl o tym, jak by wyglądały leżące na podłodze w twoim pokoju? – Otworzył szeroko oczy. – Hola. W mojej głowie zabrzmiało to z większą klasą.

Jakim cudem podszedł tak blisko mnie, a ja nawet tego nie zauważyłem? Czułem jego oddech na policzku.

– Chyba... – wydukałem. – Yyy... powinniśmy... iść?

Odparł:

– Możemy zostać. – Jego wargi otarły się o mój policzek.

Powiedziałem więc:

– Dzięki za muffinki. – I odsunąłem się.

Obrzucił mnie gniewnym spojrzeniem.

– Nadal to czuję, wiesz?

A ja na to:

– To nie jest normalne.

Przewrócił oczami i zaciągnął mnie do samochodu Elizabeth. Był drogi. Miał w środku mnóstwo guziczków. Kiedy nacisnąłem jeden z nich, mój fotel zaczął wibrować, więc wykrzyknąłem:

– Och!

Pojechaliśmy do jedyne­go eleganckiego lokalu w Green Creek. Mówiąc „elegancki”, mam na myśli, że mieli tam obrusy i składane materiałowe serwetki. No i oczywiście Frankie pracował tam jako kelner. Powiedział:

– Cześć, Joe! – I uśmiechnął się szeroko. Spojrzał na mnie. Skrzywił się. – Cześć, Ox. – Powitanie zdawało się wymuszone.

– Nie wiedziałem – oznajmił Joe, patrząc na mnie szeroko otwartymi oczyma.

Odparłem:

– Wszystko gra. – Bo tak było. Nie obchodziło mnie to. To, że Frankiemu pierwszemu się udało, dla mnie nie miało żadnego znaczenia. – Cześć, Frankie. Miło znów cię widzieć.

Chłopak zignorował mnie i zwrócił się do Joego:

– Co tam u ciebie słychać? Nie widziałem cię jeszcze tego lata. Cieszysz się na myśl o pójściu do ostatniej klasy?

Joe odparł:

– Wszystko dobrze. Ostatnio...

Wtrąciłem się w rozmowę:

– Poproszę lemoniadę. Co polecasz do jedzenia?

Frankie obrzucił mnie gniewnym spojrzeniem, a Joe zaczął się tak śmiać, że mało mu ten dumny łeb nie odpadł. Frankie powiedział nam, co poleca. Z sarkazmem. A potem odwrócił się z powrotem do Joego i powiedział:

– Przepraszam za to. Co mówiłeś?

A Joe odparł:

– Mógłbyś nam dać chwilkę na zastanowienie?

Frankie spytał:

– Jesteś pewien?

Powiedziałem:

– Tak.

I Frankie sobie poszedł.

Joe stwierdził:

– To było nie samowite.

Patrzyłem spode łba na kartę dań. Nie miałem pojęcia, czym jest połowa z wypisanych na niej rzeczy. Chciałem zjeść zwykłego hamburgera.

– Jesteś zazdrosny – zapiał Joe.

– Wcale że nie.

Kopnął mnie pod stołem. Zignorowałem to, bo udało mi się znaleźć w menu hamburgery.

Joe powiedział:

– Ox.

Uparcie wpatrywałem się w kartę.

– Ox. Ox. Ox.

Rzuciłem:

– Czego?!

– Jakiś ty zazdrosny – wyszeptał.

Wrócił Frankie z lemoniadą. Trochę wylało się ze szklanki, kiedy stawiał ją na stole. Powiedział:

– Ojej. – I ostrożnie postawił wodę Joego. A potem stanął obok i tak stał.

Rzuciłem:

– Więcej czasu.

Frankie popatrzył na Joego.

Joe powiedział:

– O x. – Wyglądał na rozbawionego.

Jakaś kobieta za moimi plecami spytała:

– O x?

Z głębi piersi Joego wyrwał się pomruk. Frankie uniósł brwi. Odwróciłem się. Przy stoliku za nami siedziała Jessie z jakąś kobietą, której nie rozpoznałem. Przywitałem się:

– Cześć, Jessie.

Frankie powiedział:

– Wiesz, Joe, tak sobie myślałem.

Joe nie zwrócił na niego uwagi.

– O, h e j, Jessie.

Dziewczyna spojrzała ponad moim ramieniem.

– Hej, Joe. Miło cię widzieć. – Na jej twarzy pojawił się znaczący uśmiech, jakby wiedziała coś, o czym ja nie miałem pojęcia. Spytała:

– Wieczór na mieście? – I już w i e d z i a ł e m.

Odparłem:

– Tak. – Zarówno twarz, jak i głos miałem puste.

Frankie nie dawał za wygraną:

– Joe, tak sobie myślałem. Jest taki...

Joe mu przerwał:

– Jessie, wydaje mi się, że w przyszłym semestrze będę chodził do ciebie na zajęcia.

– O nie – wyrwało mi się.

Jessie spytała:

– Naprawdę?

Frankie dodał:

– No, ja też. – Zignorowali go wszyscy poza mną. Próbowałem zmusić go do odejścia samą siłą woli. Nie udało się.

– Powinno ci się spodobać – powiedziała Jessie. – Będziemy czytać świetne książki. Brać udział w fajnych projektach. Ale w klasie nie będziesz mógł mówić do mnie „Jessie”. Będziesz musiał mówić...

– Naprawdę? – przerwał jej Joe. – Nie mogę się doczekać. – Brzmiał, jakby miał na myśli coś dokładnie przeciwnego.

– Nie jesteśmy jeszcze gotowi, żeby złożyć zamówienie – poinformowałem Frankiego, bo najwyraźniej nie załapał.

Kobieta, z którą przyszła Jessie, spytała:

– Ox? Och, czy to nie twój...? – Umilkła. Miała na tyle przyzwoitości, by się zarumienić.

– Tak – odparła Jessie. – To właśnie Ox.

– Jest taki... duży – stwierdziła kobieta, jakbym nie siedział tuż obok. – Spójrz na jego dłonie.

Jak na komendę wszyscy spojrzeli na moje dłonie. Ukryłem je na kolanach pod obrusem. Jessie uśmiechnęła się szeroko i powiedziała:

– Wiesz, co mówią o mężczyznach, którzy mają duże dłonie...

– Jesteśmy na randce – rzucił Joe dość głośno.

Frankie wypalił:

– Że co? Przecież on jest taki s t a r y.

Jessie nie dowierzała:

– Że co? Przecież on jest taki m ł o d y.

– Hej – powiedzieliśmy z Joem w tym samym momencie.

Wydawaliśmy się równie dotknięci.

– Ma tylko dwadzieścia trzy lata – odparł Joe.

– Ma prawie osiemnaście lat – odrzekłem ja. Boże, mój argument brzmiał okropnie.

Frankie zauważył:

– Wiedziałem. Od początku. – Wyglądał na wkurzonego.

Jessie stwierdziła:

– Dobrze obstawiałam. – Wyglądała na rozbawioną i zranioną jednocześnie. To była dziwna mieszanka.

Spytałem:

– Że co?

Joe odparł:

– Nie, Frankie. Nie o to chodziło. No dobrze, może i o to, ale to zupełnie nie tak.

Frankie powiedział:

– No błagam. Nawijałeś o nim w każdej sekundzie każdego dnia.

Jessie przypomniła:

– Ciągle tylko Joe, Joe, Joe.

– Nie musisz obsłużyć ludzi przy innych stolikach? – spytałem Frankiego.

– Jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi – poinformował Jessie Joe.

– Nie – odparł Frankie. – Mamy dziś spokojny wieczór.

– Och, zawsze byłem świadoma tego faktu – potaknęła Jessie. – Nawet kiedy ze sobą chodziliśmy...

Joe przystawił stopę do mojej i warknął. Przycisnąłem swoją mocniej. W jego oczach dojrzałem pomarańczowy błysk.

Powiedziałem:

– Joe.

Popatrzył na mnie. Powiedziałem:

– Zostań ze mną.

Odparł:

– Jest za głośno.

Wzięłem go za rękę. Jego dłoń zwinęła się w mojej. Poczułem ukłucie pazurów. Powtórzyłem:

– Joe.

Odparł:

– Muszę.

Powiedziałem:

– W porządku.

Frankie znów się odezwał:

– Joe, ja...

– Odejdź – nakazałem. – Natychmiast.

Jessie spytała:

– Wszystko z nim w porządku?

Odparłem:

– Będzie dobrze. Proszę, po prostu zajmijcie się swoją kolacją.

Frankie sobie poszedł. Jessie się odwróciła. Zapatrzyłem się w Joego. Jak zawsze w Joego. Nozdrza mu się rozszerzyły. Zauważył:

– Krwawisz.

Odparłem:

– Nie boli. Ty nigdy byś mnie nie skrzywdził.

Powiedział:

– Ox. – A ja odparłem:

– Chodźmy.

Więc wyszliśmy.

Poszliśmy przez las. Joe wziął mnie za rękę i przysunął ją sobie do twarzy. Skóra była lekko opuchnięta. Trochę zaczerwieniona.

Wnętrze dłoni pokrywały drobne płatki zaschniętej krwi. Stałem, by pozwolić mu skończyć robić to, co zaczął. Powiedział:

– Mówiłem ci.

– Co?

– Pamiętasz?

– Tak, ale co?

– Że chciałem zobaczyć, jak krwawisz. Że chciałem spróbować twojej krwi.

Odparłem:

– Tak, ale nigdy byś mnie nie skrzywdził, żeby to zrobić.

– Skąd wiesz? – Błysnęły halloweenowe oczy.

– Bo cię znam.

Przysunął się bliżej.

– Mogę wyrządzić ci krzywdę – powiedział.

– Wiem.

– Mam pazury. I kły. – Zderzyliśmy się klatkami piersiowymi.

– Wiem. Nie odstraszysz mnie, Joe.

Spuścił wzrok.

– Wcale nie...

– Albo próbujesz mnie odstraszyć, albo mnie sprawdzasz.

– Oo.

Powiedziałem:

– Nie. Sam tego chciałeś. Dałeś mi swojego wilka. Szukałeś mnie.

– To nie...

– To się nie uda.

Zobaczyłem strach. Prawdziwe przerażenie.

– Co się nie uda? – zaskrzeczał.

– Odstraszenie mnie. Wiem, na co się pisałem. Zwiąłbym już dawno temu, gdybym nie potrafił sobie poradzić. Tato powiedział mi kiedyś, że ludzie będą mnie chujowo traktować. I, kurwa, nie uwierzyłem mu. Nie wierzę w to. Już nie. Więc nie wciskaj mi kitu. Bo się na to nie złapię. Nigdy się na to nie złapię.

Jego oddech na mojej twarzy. To był Joe. A ja byłem Oxem. Dotknął mnie nosem. Moje dłonie odnalazły jego talię. Zadrżał pod moim dotykiem. Coś zagrzmiało głęboko w jego piersi. Powiedział:

– Mój.

Otarłem się o niego policzkiem.

Wilk warknął:

– M ó j. – To było wspaniałe i straszne zarazem.

Więc powiedziałem:

– Tak, Joe. No tak. Tak.

I odwróciłem się, żeby go pocałować. Ale zanim nasze wargi się zetknęły, w powietrze wzniósł się skowyt, który odbił się echem pomiędzy drzewami. Ptaki zerwały się z gałęzi i czmychnęły. Cały las zadrżał od tego dźwięku.

To był Thomas. Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości. Dobrze znałem swojego Alfę. Ale tę pieśń wypełniały taka wściekłość i taka rozpacz, że zatoczyłem się do tyłu, a w mojej głowie i w moim sercu nagle uwydatniła się więź ze stadem, rozbłysła czerwienią i błękitem. I fioletem. Taką ilością fioletem, że niemal p o g r z e b a ł mnie żywcem.

Oczy Joego zapłonęły życiem, a on sam odpowiedział śpiewem na zew. W jego pieśni słyszałem strach. Czysty, lodowaty strach. Sama pieśń zabarwiona była czerwienią Alfę i oranżem Bety. I błękitem.

Była taka niebieska. Ucichła wśród otaczających nas drzew.
Wszystko zastygło w ciszy, a ja z trudem nabierałem tchu.

Joe powiedział:

– Musimy się pospieszyć. – A jego oczy zaśniły.

Więc się pospieszyliśmy. I wszystko znów się zmieniło.

słowo ostrzeżenia / takie prawo

U Bennettów byli jacyś ludzie. Ludzie, których nigdy wcześniej nie widziałem. Stali przed domem obok czarnych SUV-ów. Usłyszeli, jak się zbliżamy, i na chwilę ich oczy rozbłyły w mroku na pomarańczowo, a ja zastanawiałem się, czy razem z Joem dalibyśmy im radę. Obcy mieli przewagę liczebną, ale my nie byliśmy słabi. Thomas się o to postarał.

Walka nie była jednak konieczna. Thomas wyszedł na werandę i wydał z siebie niskie warknięcie. Mężczyźni ustąpili. Kolejny wyszedł z za pleców Thomasa. Osmond, ten sam, który pojawił się zimą. Powiedział:

– Spokój. Wszyscy.

Ci, którzy stali obok SUV-ów, przestali patrzeć na mnie i na Joego i zaczęli przeczesywać wzrokiem las za nami.

Osmond spytał:

– Gdzie twoja czarownica?

Thomas odparł:

– Dotrze tutaj. – A ja zastanawiałem się, co powiedziałyby na to Gordo. Na to, że ktoś nazwał go czarownicą Thomasa.

– Co się stało? – zażądał odpowiedzi Joe.

– Wejź do domu – odparł jego ojciec. – Wataha czeka.

Joe wyglądał, jakby zbierał się do kłótni, lecz oczy Thomasa błysnęły czerwienią, więc nic nie powiedział. Przeszedł sztywnym krokiem obok ojca i zniknął w domu. Ruszyłem, by pójść w jego ślady. Thomas położył mi dłoń na ramieniu, więc się zatrzymałem.

– Przepraszam – powiedział.

– Za co?

– Wiem, że poszliście na randkę.

Wzruszyłem ramionami.

– To coś ważnego?

Odparł:

– Tak.

Powiedziałem:

– W takim razie wszystko gra.

Thomas westchnął.

– Joe jest prawdziwym szczęściarzem.

Osmond spytał zdziwiony:

– Na randkę? Z J o e m? Thomasie, to c z ł o w i e k...

Thomas przygwoździł go do ściany, nim zdążyłem choćby pomyśleć, by jakoś zareagować. Stojące za nami Bety zawarczały w odpowiedzi, ale nie zbliżyły się. Może i były lojalne wobec Osmonda, ale też znały swoje miejsce.

Mimo wszystko stanąłem tak, by mieć Thomasa za plecami, i spiorunowałem wzrokiem wilki przed sobą. Nie zostawiłbym swojego Alfya bez ochrony.

– Słowo ostrzeżenia – powiedział Thomas głosem spokojnym i zimnym. Rzuciłem na niego okiem przez ramię. – Nie masz prawa wchodzić na moje terytorium, do mojego d o m u, by ferować sądy na temat rzeczy, o których nie masz bladego pojęcia. Mój syn

dokonał wyboru. To nie twoja sprawa. A na nietolerancję wobec innych gatunków nie ma miejsca ani w Green Creek, ani w moim stadzie.

– Ale on ma zostać Alfa. Jak sądzisz, co... – Umilkł, gdy Thomas przeobraził się połowicznie, wysunęły mu się kły, a mięśnie urosły.

– To. Nie. T w o j a. Sprawa – wycedził.

Osmond pokiwał głową.

– Przeproś Oxa.

Pomarańczowe oczy.

Thomas zawarczał:

– N a t y c h m i a s t.

– Nie chciałem nikogo obrazić – powiedział Osmond sztywno, popatrując na mnie. – Przyjmij moje przeprosiny, Ox.

Nie odpowiedziałem, odwróciłem tylko wzrok od stojących poniżej wilków.

Thomas się odsunął, a Osmond oparł się o ścianę. Zgromadzone na podwórku Bety nie zrobiły nic. Thomas powiedział:

– Ox, jeśli możesz, to wejdź do środka i dołącz do pozostałych. – Nie spuszczał wzroku z Osmonda.

Położyłem mu dłoń na ramieniu.

– Jesteś pewien? Mogę zostać i ci pomóc.

Uśmiechnął się.

– To potrwa tylko chwilkę, Ox.

Wszedłem do domu. Pozostali byli w salonie. Mark wyglądał przez okno. Miał wynędzniałą twarz. Elizabeth mówiła coś po cichu do Joego, nie słyszałem co. Carter i Kelly wstali, jak tylko wszedłem do pokoju, i stłoczyli się obok mnie. Z piersi obydwu wydobywały się

niskie pomruki, a ja czułem, jak przechodzą na mnie wibracje. Nie wiedziałem, czy robią to na mój pożytek, czy na swój.

– W porządku? – spytał Kelly.

– No. Co się dzieje?

Carter odparł:

– Nie mamy pojęcia. Przyjechał Osmond z tymi swoimi dziwkami i poszli z tatą do jego gabinetu. Pięć minut później tata wypruł z pokoju, wyłamując drzwi z zawiasów, i zaczął wyć, by ściągnąć ciebie i Joego do domu.

Spytałem:

– Mama. Gdzie moja mama?

– Gordo – odparł Kelly. – Ma ją wyciągnąć z pracy.

– Jest źle? – Pomyślałem, że powinni wiedzieć lepiej niż ja.

Uciekli wzrokiem. Wszedł Thomas. Zignorował resztę z nas i podążył prosto do Joego i Elizabeth. Usłyszałem, jak Joe pyta:

– Co się stało? – Ale Thomas uciszył go delikatnie i kazał mu czekać.

Osmond wkroczył tuż za nim. Ostentacyjnie unikał patrzenia mi w oczy. Ledwie kilka minut później pod dom podjechał samochód. Osmond się spiął, lecz Thomas powiedział:

– Wiedzma i matka Oxa.

Na zewnątrz rozległy się powarkiwania, ale zaraz usłyszałem, jak Gordo mówi:

– Och, zamknijcie się, do cholery, zanim sfajczę wam te futrzaste dupska.

Kiedy mama weszła do salonu, miała oczy okrągłe ze strachu. Odszukała mnie wzrokiem i chwyciła za rękę. Powiedziałem jej, że

nie wiem, co się dzieje. Chwilę później pojawił się Gordo. Lekko zesztywniał.

- Osmond – przywitał się.
- Livingstone – odparł Osmond równie oficjalnym tonem.
- Nie chodzi o nic dobrego, prawda?

Osmond westchnął.

- Nigdy nie chodzi, Gordo. Przykro mi, że do tego doszło. Te...
- Ox – przerwał mu Thomas.

Spojrzałem na niego, a Osmond umilkł.

- Pamiętasz, co ci kiedyś mówiłem? O postronkach?

Mówił mi dużo rzeczy o postronkach. Powiedziałem mu to.

Odparł:

– Ciągną nas. W czasach wielkiej niepewności. Ciągną. Jak jeszcze nigdy wcześniej. A ty musisz się trzymać tak mocno, jak tylko potrafisz. Rozumiesz?

– Thomas – odezwał się Gordo i spojrzał spode łba. – Co się, u diabła, stało?

Thomas go zignorował. Był wpatrzony we mnie.

- Rozumiesz?

Odparłem:

– No, tak. – Bo rozumiałem. Zdawało mi się, że rozumiem. Poczułem, jak w pomieszczeniu rośnie napięcie, coś pełgało mi po skórze. Rozbłyskiwało w głowie. W piersi. Przyciągało mnie do Joego. Do Gorda. Dotknąłem tych sznureczków, które nas ze sobą wiązały, i przesłałem przez nie falę opanowania i spokoju. *Wszystko w porządku wszystko dobrze z nami wszystko dobrze bo jesteśmy watahą watahą watahą, nawet jeśli Gordo do niej nie*

należał. Nie był jej prawdziwym członkiem. Ale był związany ze mną. A ja byłem związany z nimi.

– Postronek? – spytał Osmond. – Czyj?

– Mój – odparł Joe, a oczy zapłonęły mu na pomarańczowo.

Gordo dodał:

– I mój. – Kruk na jego ramieniu rozbłysnął na chwilę. Wyglądał, jakby miał się zaraz wzbić do lotu.

Osmond popatrzył na mnie z przekrzywioną głową.

– A kim ty w ogóle jesteś?

– Jestem Ox – odparłem. – Po prostu Ox. To wszystko.

Mężczyzna wyglądał, jakby z jakiegoś powodu mi nie uwierzył. To było bardzo dziwne.

Thomas oznajmił:

– Richard Collins uciekł. – Z pokoju jakby wyszło całe powietrze.

Niemal spytałem, o kogo chodzi, lecz nagle sobie przypomniałem, i gniew, który we mnie rozkwitł, sprawił, że poczułem się, jakbym płonął. Była to straszliwa wściekłość, a ja – po raz pierwszy w życiu – zastanawiałem się, jaki wpływ na moją duszę miałyby morderstwo. Z pewnością nadszarpywałyby ją, kawałek po kawałku, aż nie zostałyby nic oprócz zwęglonych ruin, dymu wzbijającego się spiralną smużką w powietrze i smaku popiołu na języku. A jednak myślałem o morderstwie. I niechby diabli wzięli konsekwencje.

Gdyby Richard pokazał się w tamtej chwili, zabiłbym go bez najmniejszych wyrzutów sumienia. Gdyby podniósł ręce w geście poddania, i tak bez zastanowienia odebrałbym mu życie. Gdyby błagał o przebaczenie, bez wahania przelałbym jego krew.

Wściekłość niemal mnie pochłonęła, bo przecież to był Joe i to wszystko było takie niesprawiedliwe, i czyż on teraz nie był mój? Czyż nie był mój, bym go chronił i troszczył się o niego? Oczywiście, że był, jednak więź pomiędzy nami nie była kompletna. Zdobył mnie, lecz jeszcze mnie nie nazaczył. To było niesprawiedliwe. Mieliśmy mieć czas. Zrobić to tak, jak chciał. Tak, jak o b a j chcieliśmy.

Poczułem czyjąś dłoń na ramieniu. Mama. Ktoś inny położył mi rękę na karku. Gordo. Nie należał do stada. Nie należał. Z własnej woli. Ale niewiele brakowało. Byłem jego postronkiem i uczyłem się, czy to możliwe, by prawdą okazało się również odwrotne stwierdzenie.

– Jak? – spytałem, ponieważ Thomas mówił, że siedział w klatce. Zrobionej z m a g i i. Z czegoś, czego nie rozumiałem, bo nie wiedziałem, jak magia działa, ale ten wilk miał być z a m k n i ę t y. Zastanawiałem się, jak głupi musiałem być, skoro wierzyłem bez zastrzeżeń we wszystko, co mi mówiono.

A wtedy Gordo powiedział:

– Nie, nie, nie. – I już w i e d z i a ł e m. Bo Gordo wiedział i pchnął to ku mnie po postronku, całe fioletowe i niebieskie, i była w tym też c z e r ń. Bo c z e r ń oznaczała strach. Czerń oznaczała przerażenie.

Klatka z magii wykonana dla człowieka, by okiełznać jego wilka. Wydawało się właściwe, że taka klatka może zostać zniszczona w y ł ą c z n i e za pomocą magii.

Osmond powiedział:

– Sądzymy, że to sprawka twojego ojca, Gordo. Sądzymy, że Robert Livingstone znalazł ścieżkę, która zawiodła go z powrotem

ku magii, i zniszczył bariery ochronne, które więziły Richarda Collinsa.

Dokonałem wyboru. Chociaż cały mój instynkt krzyczał: *JoeJoeJoe*, to jego otaczało całe stado, a Gordo nie miał nic.

Wyszedł z domu. Podążyłem za nim. Wilki czekające na podwórzu usunęły się nam z drogi, a ja powiedziałem:

– Gordo.

Jego tatuaże błysnęły gniewnie i zaczęły się zmieniać. Gordo szedł dalej.

Powiedziałem:

– Stój.

Zignorował mnie i podszedł do drzwi samochodu. Zebrałem całą swoją siłę i warknąłem:

– Gordo. Kazałem ci sta n a ć. – Słowa przetoczyły się przeze mnie jak burza przetacza się przez dolinę, mroczne, naładowane elektrycznością.

Gordo zatrzymał się. Otaczające mnie wilki zaskomliły i spuściły wzrok. Usłyszałem, jak za naszymi plecami Osmond wyszedł na ganek i wymamrotał:

– Co, do diabła?

– Nie rozumiesz, Ox – odezwał się Gordo. Głos miał chrapliwy.

– Wiem.

– Nie wiesz, co on zrobił.

– A ty nie wiesz, czy to w ogóle był on.

Zacisnął dłonie w pięści po bokach ciała.

– Magia zostawia podpis, Ox. To jak odcisk palca.

– Ale mówiłeś, że jemu została ona odebrana. Jakim cudem miałby ją odzyskać?

Gordo potrząsnął głową.

– Nie wiem. Istnieją... sposoby. Ale... są mroczne. To pieprzona mroczna magia, a ja nawet nie chcę zaczynać się zastanawiać, co to oznacza. – Sięgnął dłonią do klamki.

– Nie możesz odejść.

Westchnął.

– Ox. Tutaj się nie przydam. Nie jestem częścią stada. Muszę ustalić...

– Nie obchodzi mnie to. Nie obchodzi mnie, co myślisz o stadzie ani inne bzdety. Zostajesz tutaj i razem pracujemy nad rozwiązaniem problemu. Nic innego się nie liczy. Potrzebuję cię, stary. Wiesz o tym. Sam sobie z tym nie poradzę.

Odparł:

– Nie jesteś sam. Wataha jest z tobą.

A ja na to:

– A kogo ty masz? Ty jesteś m o j ą w a t a h ą. – Wiedziałem, że gram na jego poczuciu winy, ale mnie to nie obchodziło. Nie wiedziałem, co to wszystko znaczy. Nie wiedziałem, kim są ci ludzie, no, może znałem kilka szczegółów z horrorów.

– Ja pierdolę – burknął. – Jesteś, kurwa, do dupy, Ox.

– No.

Staliśmy tam, w ciemności. Po chwili Gordo spytał:

– Ox, a jeśli to naprawdę on? – powiedział to cichym głosem. Zdławionym. Przez wszystkie te lata, odkąd go poznałem, nigdy nie słyszałem u niego takiego tonu.

Zrobiłem krok do przodu i położyłem mu dłoń na ramieniu. Trząśł się. Pomyślałem o wszystkich tych rzeczach, o których mógłbym mu powiedzieć. I o wszystkich tych, o których nie mogłem, ponieważ nic nie wiedziałem. Powiedziałem tylko:

– Nie jesteś sam.

Na te słowa zadrżał. Nie wiedziałem, czy to dobrze, czy źle.

– Pamiętasz, jak to było, jak tata od nas odszedł?

Pokiwał głową.

– Bałem się.

– Ox...

– Ale ty mi pomogłeś i już więcej się nie bałem.

– Tak?

Powiedziałem więc:

– A teraz moja kolej, żeby zrobić to samo dla ciebie.

Odwrócił się tak szybko, że prawie mnie przewrócił. Ale wtedy otoczył mnie ramionami, a ja poczułem drżącą w nim magię, kłębowisko kształtów i kolorów. Poszukałem wśród nich zieleni, ulgi. I znalazłem ją, zakopaną głęboko pod fioletami, błękitami, czerwieniami i pomarańczami.

Kiedy poszedłem z powrotem do domu, powiedziałem:

– Joe.

– Ox – odparł i chwycił mnie za rękę. Zaprowadził mnie z dala od pozostałych. Wiedziałem, że wciąż mogą nas podsłuchać, jeśli będą chcieli. Ale wiedziałem też, że Thomas im na to nie pozwoli.

Znaleźliśmy ciemny kąt z dala od ciekawskich oczu. Z dala od wszelkiego światła. Jego oczy migotały w ciemności. Powiedział:

– Nie pozwolę, żeby cokolwiek ci się stało.

Odparłem:

– Wiem.

Powiedział:

– On tu przyjdzie.

Odparłem:

– Wiem.

Joe westchnął.

– Chce zostać Alfą.

– Thomas.

– Albo ja. Żeby dobrać się do taty. Raz już spróbował. Może spróbować znowu.

– Dlaczego? Dlaczego ty? Dlaczego Thomas?

Joe odparł:

– Są takie rzeczy... Ox, przysięgam... Ja tylko... Są takie rzeczy, o których nie masz pojęcia. Ja nigdy...

Próbowałem utrzymać gniew w ryzach. Naprawdę. Joe na to nie zasługiwał. Nie po tym wszystkim, co się wydarzyło. Ale świadomość, że trzymano mnie w niewiedzy. Że Joe miał... Nie chciałem się wściec. Powiedziałem:

– Ach, tak?

Joe wyglądał na zmartwionego.

– To nie tak.

– Wszystko wydaje się dość jasne.

– Ox.

– Jestem członkiem waszego stada.

– Tak.

– I twoim towarzyszem życia.

Odparł:

- T a k.
- Ale coś przede mną ukrywaliście.

Na co odrzekł:

- Nie z własnego wyboru.
- Zawsze jest jakiś wybór – powiedziałem, bombardując go jego własnymi słowami.

Z głębi jego gardła wydobyło się skomlenie.

- To nie...
- Czym on jest? Znaczy Thomas.
- Nigdy bym cię nie okłamał. – W głosie Joego usłyszałem błaganie.

Położyłem mu dłoń na karku i przysunąłem go do siebie tak, byśmy zetknęli się czołami. Wpatrywał się lśniąco jasno oczami w moje, nie odwracał wzroku.

Powiedziałem:

- Wiem. – Bo tak właśnie było. Powtarzałem sobie, że tak jest.

Joe potarł nosem mój nos i powiedział:

- Był najwyższym rangą spośród nas wszystkich. Był przywódcą. Dowodził wszystkimi wilkami. Zrezygnował, kiedy mnie porwano. Przez lata rządili tymczasowi przywódcy, pionki. Ale chodzi o linię rodu Bennettów. O prawo przysługujące z urodzenia. Prawo przysługujące mnie.

Po tym, co przytrafiło się Joemu, pozwolili mu odejść. Powiedział im, że musi zrezygnować dla dobra rodziny i że, być może, pewnego dnia Joe będzie gotowy. Oczywiście nie chcieli się zgodzić. Osmond

i podobni do niego ludzie dzierżący władzę. Mieli jakieś rady. I organizacje. Spotkania wilkołaków. Zgromadzenia samców Alfa. Kontynuowali swoją działalność, chociaż Thomas przestał. Odszedł, by ratować syna. A potem po prostu nie wrócił. Nic dziwnego, że Osmond dostał szału na wieść, że jestem człowiekiem. I że Joe się do mnie zaleca. Joe miał zostać kolejnym wielkim przywódcą. Dokładnie tak, jak mi powiedział, kiedy był dzieckiem. Powinienem być bardziej się postarać. Powinienem być zadawać więcej pytań. Ale kiedy twoim oczom ukazuje się coś nieprawdopodobnego, łatwo oślepnąć na wszystko inne.

bestia / ogień i stal

Zabrali ją drugiego dnia, gdy zapadł zmierzch. Byliśmy przygotowani. Byliśmy. Byliśmy. Byliś my. Powtarzałem to sobie w kółko, każdego dnia od tamtej chwili. Byliś my. Przysięgam na Boga. Na wszystko, co mam. Byliś my. Ale niewystarczająco. Nasze przygotowanie nigdy nie było wystarczające. I nigdy nie będzie.

Mama powiedziała:

– Muszę iść do domu. Zabrać trochę ubrań. Strój służbowy na jutro do pracy.

Odparłem:

– Pójdę z tobą.

Powiedziała:

– Zostań tutaj. Dom jest tylko na drugim końcu ulicy. A ty i bez tego jesteś zajęty.

Tak było. Trenowałem. Z Thomasem. Z Joem. Z pozostałymi. Osmond bacznie mi się przyglądał. Czułem, że muszę mu coś udowodnić. Zważywszy na to, kim byłem. Na moją pozycję. Wewnątrz stada. Związek z Joem.

Powiedziałem:

– Nie możesz iść sama.

Osmond oznajmił:

– Poślę z nią dwóch swoich ludzi.

A ja powiedziałem:

– W porządku.

W porządku. Powiedziałem: „W p o r z ą d k u”. Jakby to było takie nic. Jakby to n i c nie znaczyło.

Elizabeth i Mark byli w domu. Carter i Kelly drapali i cięli się nawzajem po mojej prawej. Gordo sprawdzał bariery ochronne rozstawione wokół miasteczka. Osmond patrzył, jak poruszamy się w przód i w tył, ale wciąż wracał wzrokiem do mnie. Byłem czymś, czego nie potrafił rozgryźć. Zachowywał się ostrożnie. Był ciekaw. Od tamtej chwili, gdy ton mojego głosu sprawił, że jego Bety zaczęły się trząść. Nie rozmawialiśmy o tym. A przynajmniej ja nie słyszałem, by o tym wspominał. Byłem rozkojarzony. Powiedziałem:

– W p o r z ą d k u.

– Potrzebujesz czegoś? – spytała mama, jakby to było takie nic. Jakby to n i c nie znaczyło.

Pokręciłem głową. Otarłem pot z twarzy. Zamarkowałem ruch w lewo, kiedy Joe mnie zaatakował. Okręciłem się. Walnąłem go pięścią w kark, aż się zatoczył.

– Nie. Nic mi nie potrzeba. – Bo tak właśnie było. Niczego nie potrzebowałem. Wszystko było w porządku. Miałem się świetnie. W naszą stronę nadchodziło nieznane, potwór zdolny popełnić najstraszliwsze czyny, ale ja byłem z rodziną. Nad moją głową świeciło słońce. Po niebie płynęło kilka chmurek. Słyszałem śpiew ptaków. W powietrzu czułem woń drzew i trawy. Dookoła było zielono. Było tak cholernie zielono, że nawet fioletowe krawędzie wydawały się odległe, bo byliśmy w a t a h ą. Byliśmy silniejsi niż

cokolwiek, co mogło nas zaatakować, i gdyby Richard Collins pokazał tu swoją gębę, byłaby to ostatnia rzecz, jaką zrobiłby w życiu. A gdyby Robert Livingstone przybył pachnący ozonem i gromem, wydarlibyśmy magię z jego skóry, aż nic by z niego nie zostało. To była przysięga. Ze względu na Joego. Ze względu na to, kim był. Dla swojego stada. Dla ludzi takich jak Osmond. Dla mnie.

Byłem skupiony. Nie zadałem pytań, które powinienem był zadać. Dlaczego ojciec Gorda sprzymierzył się z Richardem Collinsem? Czego chcą? Czego szukają? (Kto jest najsłabszym ogniwem? Kto jest najłatwiejszą ofiarą, którą można zamordować jako pierwszą? Kogo można oderwać od stada? Kto jest dobry i piękny i nie zasługuje na takie pierdolone tchórzliwe czyny, na takie potworne rzeczy, które...?)

Mama oznajmiła:

– Zaraz wracam.

A mnie znów zaatakował Joe. Thomas obserwował nas uważnie. Carter i Kelly warczeli i kłapali pyskami. Osmond wskazał palcem dwie Bety, które poszły za moją mamą. To były wielkie chłopy. Nie przejąłem się. Byliśmy tu bezpieczni. Na ziemiach Bennettów. Na terytorium Bennettów. Chronieni przez bariery postawione przez wiedźmę i las wypełniony starą magią, której nigdy nie będę w stanie zrozumieć. Jednak nie muszę jej rozumieć. Bo rozumie ją mój Alfa. I ma nas chronić.

Zorientowałem się, że coś jest nie tak, jakieś dwadzieścia minut później. Mama należała do stada. Bez dwóch zdań. Ale z nią było inaczej niż ze mną. Ja byłem związany z Bennettami. Łączące nas więzi były silne. Podczas pełni słyszałem w głowie ich szepty. Ale pełnia minęła. Księżyc był w nowiu. A jej nie łączyły z nami takie

same więzi, jakie łączyły nas. Była z nimi związana przeze mnie. Wilki były wewnątrz mnie. Ona śmigła po obrzeżach, drobne jasne rozbłyśki światła. Ale wiedziałem.

Z początku wrażenie było nikłe. Drobne pociągnięcie gdzieś z tyłu głowy. Thomas obserwował Cartera, Kelly'ego i Joego. Napiłem się wody. Była zimna i słodka, a to drobne pociągnięcie zaczęło swędzieć. Powiedziałem:

– Hej.

Spytałem:

– Jak długo?

Spytałem:

– Jak długo już ich nie ma?

Osmond zmarszczył brwi i odparł:

– Dwadzieścia minut. Coś koło tego.

Wyciągnąłem telefon. Wysłałem SMS-a.

co tak długo

I czekałem. Zacząłem się pocić.

W końcu przyszła odpowiedź: *Już kończę. Mógłbyś mi pomóc? Tylko szybko.*

Odpisałem: *Jasne.*

– Zaraz wracam – poinformowałem Osmonda. – Mama potrzebuje pomocy.

Odparł:

– OX.

Spojrzałem na niego.

– Nieważne – powiedział po chwili wahania.

Przeszedłem przez dom Bennettów. Elizabeth i Mark siedzieli w kuchni. Uśmiechnęli się do mnie, kiedy ich mijałem. Oboje

wyglądali na wymizerowanych, ale się starali.

– Wszystko w porządku, Ox? – spytała Elizabeth.

– Ta. Mama potrzebuje pomocy w domu, i to szybko.

Mark odparł:

– Zaczekaj, pójdę z tobą.

Pokręciłem głową.

– Nie trzeba. Nie wydaje mi się, żeby to miało zająć dużo czasu.

– Ox...

Roześmiałem się.

– Wszystko gra. Przysięgam.

– Tylko... wracaj szybko, dobrze?

– No.

I byłem szybki. Przeszedłem przez trawnik w stronę mojego domu. Oczy i uszy miałem cały czas otwarte, bo tego mnie nauczono. Bariery ochronne były postawione, a jakże. Otaczały mnie wilki. Byłem członkiem stada. Byłem duży i silny. Mój ojciec twierdził, że ludzie będą mnie chujowo traktować, ale od dawna nie żył i leżał w ziemi, a ja żyłem. Byłem dla kogoś ważny. Dla wielu ktosiów. Miałem przyjaciół. Miałem rodzinę. Może i niektórzy będą mnie chujowo traktować, ale zostanie im za to odpłacone kłami i pazurami.

Moje ruchy były celowe. Ja sam byłem świadomy. Wszystko grało. Nic nie wydawało mi się nie w porządku. Byłem człowiekiem, ale z rozbudowanym instynktem. Było w porządku. Wszystko było w porządku. Ale i tak dmuchałem na zimne. Wszedłem do kuchni bocznymi drzwiami. Jak tylko zamknąłem je za sobą, poczułem się, jakby ktoś zarzucił mi na głowę mokry koc. Wszystko było wyciszone. Ciemne. W powietrzu unosił się ostry zapach, jakby

dymu. Wciąż wyczuwałem więzi z watahą, ale poszarzałe i przytępione. Stłumione.

– Mamo?

Nagle jakiś mężczyzna powiedział:

– Cześć.

Stał oparty o blat obok zlewu. Był wysoki. Szczupły. Miał rzednące brązowe włosy. Drobne zmarszczki okalały oczy. Ostro zakończony, kanciasty nos sterczał nad równymi zębami. Na opalonej skórze nie było żadnych widocznych blizn i tatuaży. Uśmiechnął się do mnie i był to życzliwy uśmiech. Pełen śmiechu. Rozbawienia. Facet był zadowolony. Powiedział:

– OX, prawda?

Zrobiłem ostrożnie krok, bo czułem, że coś nie gra nie gra nie gra.

– Gdzie moja mama?

Przekrzywił głowę, a jego uśmiech nieco przygasł.

– To było niegrzeczne – upomniał mnie. – Zadałem ci pytanie.

Nie odezwałem się.

Westchnął.

– OX.

Mama trzymała srebra w szafce po drugiej stronie kuchni. Mógłbym...

Facet oznajmił:

– Tyle się o tobie nasłuchałem. O człowieku, który biega z wilkami. O człowieku, który jest członkiem wilczej watahy. Powiedz mi, Oxnardzie, czujesz w sobie wilczy zew? Drapie pazurami ludzką tkankę otaczającą ludzkie kości?

– Gdzie ona jest? – Przytłaczające mnie uczucie nie chciało minąć i zastanawiałem się, czy właśnie tak to jest, gdy zalewa cię magia. Czy tak właśnie czuje się Gordo przez cały czas.

Zmarszczył brwi.

– Zadałem ci pytanie.

– Nie jestem wilkiem.

– T o wiem. T e g o jestem świadomy. Nie o to pytałem.

– Nie. Nie czuję.

Odparł:

– To było kłamstwo. Dlaczego mnie okłamałeś, Ox?

– Przepraszam. Proszę. Gdzie ona jest?

– Oni cię nie słyszą, wiesz?

– Kto?

– Twoja wataha. Nie wiedzą, że cokolwiek jest... nie tak. Jest silne.

Zakłęcie.

– Odpowiedz mi.

– Wiesz, kim jestem? – spytał. Oczy miał jasne i zielone dopóty, dopóki nie pochłoniął ich oranż. Ale nie był to ten sam halloweenowy odcień pomarańczowego, do którego przywykłem, żywy i pełen energii. Nie, ten odcień wyglądał, jakbygnił.

– Nie.

– To było kolejne kłamstwo, Ox. Czyżby niczego cię nie nauczyli?

Powiedziałem:

– Nie rób tego.

Zaśmiał się.

– Czego mam nie robić?

– Nie wyrządzaj jej krzywdy.

– Aha. No cóż. Oczywiście. Możesz mnie przed tym powstrzymać, Ox. Jeśli tylko zechcesz.

– Jak?

– To bardzo proste, naprawdę. Daj mi Joego i Thomasa Bennettów, a ja oddam ci twoją matkę. Zadzwonisz do nich i poprosisz ich, żeby tutaj przyszli. Nie obchodzi mnie, co będziesz musiał powiedzieć, żeby ich sprowadzić. Tych dwóch i tylko ich. Jeśli będę miał choćby cień podejrzenia, że próbujesz dać im cynk, to pomaluję ścianę jej krwią.

– Nie możesz...

Odparł:

– I tu się myślisz. Bo mogę to zrobić. Co więcej, właśnie to robię. To się dzieje naprawdę, Ox. Gdy ze sobą rozmawiamy. Gdy oddychasz. Gdy stoisz tu z tym swoim malutkim króliczym sercem.

– Nie możesz...

– Ox. Ox. Nie możesz się ze mną sprzeczać. Nie w tej sprawie. Jestem bestią. Zostałem takim stworzony przez potęgę i głupotę ludzi i już dawno temu przestałem zaprzeczać swojej prawdziwej naturze. Zamierzam zabrać to, co mi się zgodnie z prawem należy, a wtedy wszystko będzie dobrze.

– Nie musisz tego robić. – Głos mi się załamał.

Powiedział:

– Musisz dokonać wyboru, Oxnardzie. Pospiesz się. Masz na to minutę.

Zrobiłem krok w jego stronę, dłonie zwinięte w pięści zwisały mi po bokach. Głowa mnie bolała i jedyne, o czym mogłem myśleć, to MAMA i JOE, i THOMAS, i byłem taki wściekły. Ogarnęła mnie taka furia na myśl o tym, że ten człowiek, ten zwodniczo zwyczajnie

wyglądający mężczyzna śmiał wejść do mojego domu i próbować mi wszystko odebrać. Wszystko, co miałem. Wszystko, co zbudowałem.

Powiedziałem:

– Richard Collins.

Wyszczrzył się w uśmiechu. Skłonił głowę. Wyciągnął ręce i wykonał nimi drobny, elegancki gest.

– Do usług.

Jego zgniłe oczy znów błysnęły.

Oznajmiłem:

– Zabiję cię. Za wszystko, co zrobiłeś.

Jego uśmiech stał się szerszy. Zęby były bardziej wilcze niż ludzkie.

– Rozumiem, dlaczego Thomas cię lubi. Człowiek czy nie, coś w sobie masz, nieprawdaż? Czterdzieści pięć sekund, Ox.

Odparłem:

– Nie rób tego. Weź mnie. Ich zostaw w spokoju. Ja z tobą pójdę.

Uśmiech spętał mu z ust.

– Taki jesteś skory do tego, by się poświęcić?

– Po prostu mnie weź. – Kolejny krok do przodu. – Pójdę cicho.

Gdziekolwiek zechcesz.

– Zabijesz mnie, pójdziesz ze mną, to w końcu co? Wszystko gmatwasz, Ox. Jakże kapryśna jest ludzka wola.

Z trudem łapałem oddech.

– Trzydzieści sekund, Oxnardzie. Nie potrzebuję ludzi, no chyba że dzięki nim mogę uzyskać to, czego chcę. Ale ty się po prostu nie nadajesz.

Zrobiłem jeszcze jeden krok i ją zobaczyłem. Była tam. W salonie. Razem z nią jacyś mężczyźni. Same Omegi. Ich oczy były jaskrawofioletowe, a moja mama... O Boże, moja matka klęczała przodem do mnie. W ustach miała knebel. Po policzkach płynęły jej łzy. Kiedy mnie zobaczyła, otworzyła szeroko oczy i pochyliła się w moją stronę, a jeden z Omeg złapał ją za włosy, gwałtownie szarpnął jej głowę do tyłu i...

– Zabiję was – powiedziałem ochrypłym głosem. – Wszystkich. Co do jednego. Przysięgam. Przysięgam na wszystko, co mam.

Roześmiali się. Bety Osmonda klęczały po obu stronach mamy, krew ciekła im z ran, które nie chciały się zamknąć. Nie chciały się zamknąć.

– Piętnaście sekund – oznajmił Richard.

Odparłem:

– Nie mam telefonu, nie mam, nie mam, przysięgam, że nie. – Nie mogłem oddychać, bo przecież to byli MAMA i JOE, i THOMAS, a on kazał mi dokonać wyboru, kazał mi wybierać pomiędzy nimi.

Rozkazał:

– Zabijcie Bety. – I zanim zdążyłem postawić kolejny krok, dwie Omegi ruszyły do przodu i złapały klęczące wilki za głowy. Szybki ruch nadgarstków i rozległ się trzask i odgłos pęknięcia kości i tkanek, wilki padły na podłogę, kopiąc nogami, a ich palce zmieniły się w pazury. Przekreślono im głowy tak daleko w bok, że skóra na szyi się rozdarła, a z ran pociekła krew. Z tego się już nie wywiną. Nie da się ich uleczyć. Omegi stały nad nimi i czekały na ich śmierć. Nie potrwało to długo.

– Mówię poważnie, Ox – oznajmił Richard cicho. – Są rzeczy, których potrzebuję. Rzeczy, które muszą zostać zrobione, zanim będę mógł sobie stąd iść. Uczynię wszystko, żeby zabrać, co moje, co mi się należy. Nie widzisz, Ox? Ona się b o i. To twoja m a t k a. Nie złączyłeś się z Joem. Jeszcze nie. Możesz sobie poszukać kogoś innego. Gdzieś na swojej drodze możesz spotkać miłego chłopaka albo miłą dziewczynę, ale nigdy nie będziesz mieć drugiej m a t k i, Ox. Ta jest jedyna. Proszę, nie zmuszaj mnie, bym ją skrzywdził. Poczuję się z tym bardzo ź l e. Naprawdę. Możesz mi wierzyć.

Wiedziałem o tym. Wiedziałem. Wiedziałem. Mama była jedna jedyna. Jedyna, jaką kiedykolwiek miałem i będę miał.

– Pójdę tam i ich przyprowadzę – powiedziałem. – Przysięgam. Pójdę po nich i ich przyprowadzę.

Richard westchnął.

– Ox. Ox. Ox. Nie tak to działa. – W jego głosie zabrzmiało rozczarowanie. Podszedł do mamy.

Popatrzyłem na nią i znów miałem siedem lat. Albo sześć. Albo pięć. Patrzyłem na mamusię, pytałem ją, co mam zrobić, błagałem, by mi powiedziała, c o , do kurwy nędzy, mam zrobić, bo wszystko było fioletowe i niebieskie, a ja przed oczami widziałem tylko c z e r w i e ń.

Mama odwzajemniła spojrzenie. Tymi swoimi ciemnymi oczami. Już nie płakała. Twarz miała mokrą, tak jak i oczy, ale łzy przestały płynąć. I w głębi tych oczu widziałem ogień i stal, i chłodną determinację. Tylko na mnie spojrzała, a ja już wiedziałem. Wiedziałem, co ma zamiar zrobić. Zachowywała się odważnie i głupio, a ja poczułem do niej nienawiść. Nienawidziłem jej za to. Za to, że podjęła decyzję za mnie. Żegnała się ze mną.

Powiedziałem:

– Nie. Nie, nie, nie. – I zrobiłem krok w jej stronę.

Omegi zawarczały. Richard stał zaledwie kilka kroków dalej.

Wskazała oczami drzwi za moimi plecami, te, przez które wszedłem. Drzwi, przez które kazała mi uciekać, kiedy wykona ruch.

– Mamo.

Skinęła głową.

Richard powiedział:

– Jakie to wzruszające. Ostatnia szansa, Ox.

Wychrypiałem:

– M a m o.

Uśmiechnęła się pomimo knebla. Pogodnym, promiennym uśmiechem, który był najokropniejszą rzeczą, jaką w życiu widziałem. A potem się p o r u s z y ł a. Z gracją. Pięknie. Płynnie, jak woda i dym. Zwinęła się w miejscu, po czym poderwała do góry szybciej, niż kiedykolwiek widziałem, by się poruszała. Odrzuciła głowę do tyłu i trzasnęła stojącego za nią Omegę. Jego nos pękł, on sam krzyknął z bólu, a ja zrobiłem kilka chwiejnych kroków w tył, bo jeśli poruszałbym się wystarczająco szybko, gdybym wybiegł z domu, poza zasięg magii, która mnie dusiła, to mógłbym przywołać swoje stado, a oni by nas uratowali, uratowaliby ją i już nigdy nie musielibyśmy być sami.

Tyle że dłoń Richarda zmieniła się w zakrzywione czarne pazury. Uniósł rękę w powietrze. Przypomniat mi się wieczór tego dnia, kiedy skończyłem szesnaście lat i tańczyliśmy w kuchni. Sposób, w jaki się do mnie uśmiechnęła. Bańka mydlana na moim uchu. To, jak się ś m i a ł a. I kiedy ja przeciskałem się przez drzwi, by śpiewem przyzwać swoją rodzinę do domu, dłoń bestii opadła na jej gardło.

Po wszystkim podłoga zrobiła się mokra. Wokół niej. Dźwięk, który z siebie wydała, był mokry. Jej oczy były mokre. Jej usta. I jej gardło. Jej gardło. Jej g a r d ł o. Zaczęła upadać, a ja pchnąłem drzwi na oścież, lecz magia trzymała i ciągnęła mnie, a ja wyrzeszczałem swoją pieśń straty i przerażenia i p r z e p c h n ą ł e m się przez nią.

Kiedy wyszedłem po drugiej stronie, w mojej piersi ziała dziura, w miejscu, gdzie pękła jedna więź, i już wiedziałem. Wiedziałem, wiedziałem, wiedziałem. I wtedy zaśpiewałem. Czołgałem się na czworakach i ś p i e w a ł e m. Ze strzaskanym sercem śpiewałem dla swojej matki pieśń z samego dna duszy. Wiedzieli. Moja wataha. Jak tylko moja pieśń dotarła do ich uszu, wiedzieli. Gdy odpowiedzieli, w ich wyciu brzmiały wściekłość i furia, i rozpacz.

A ja czołgałem się w ich stronę, wołając ich, błagając, by zabrali ode mnie ten ból. Błagałem, by to wszystko okazało się tylko snem. Koszmarem. Ale kiedyś gdzieś przeczytałem, że w snach prawdziwy ból nie istnieje. Wspomnienie przedarło się przez opary magii i mrok. Przypomniałem to sobie. A zatem to nie mógł być sen, bo czułem tylko ból. Przetoczył się przez całe moje ciało, aż zacząłem się nim krztusić.

Joe dobiegł do mnie pierwszy, w wilczej postaci. Zwiślały z niego strzępy ubrań, których zdejmowaniem się nie kłopotał. Przycisnął się do mnie i drżał razem ze mną, wydając z siebie głęboki skowyt. Trącał mnie całego nosem. W końcu się przemienił i zawarczał:

– Ox, Ox. Proszę. Proszę, spójrz na mnie. Proszę. Gdzie to jest? Dlaczego pachniesz krwią? Zrobił ci krzywdę? Proszę. Żeby tylko nic ci nie było. Proszę, powiedz, co się stało. Nie możesz być ranny. Po

prostu nie możesz. Nic ci się nigdy nie może stać. – Przebiegał dłońmi po całym moim ciele, usiłując znaleźć ranę.

Obok nas, w kierunku domu, przemknęły wilki. Słońce zachodziło za górami. Joe chwycił w dłonie moją twarz i całował mnie w czoło, policzki, podbródek. Powiedział:

– Przepraszam. Przepraszam. Przepraszam. – Jakby to była jego wina. Jakby to o n to zrobił.

I przez chwilę, przez jedną niesamowicie okropną chwilę sądziłem, że to zrobił. Sądziłem, że wszyscy to zrobili. Bennettowie. Bo gdyby nigdy nie wrócili, gdybym nigdy ich nie spotkał, nigdy nie słuchał, co mówią, ani nie poznał ich tajemnic, to mama nadal by ze mną była. Bylibyśmy smutniejsi. Bylibyśmy cichsi. Bylibyśmy samotniejsi. Ale byśmy byli. Lecz ta chwila minęła. Minęła, ponieważ dano mi wybór. Pomiędzy nią a nimi. I wybrałem.

Powietrze było ciepłe, ptaki śpiewały, a Joe miał takie gładkie ręce, lecz ja nic nie czułem. Nic nie słyszałem. Po mojej twarzy nie płynęły łzy. Nie płakałem, bo ojciec powiedział mi kiedyś, że mężczyźni nie płaczą. Odepchnąłem od siebie ręce Joego i wstałem.

Thomas wyszedł z mojego domu. Zmienił się już z powrotem w człowieka. Chwycił poręcz na ganku i zamknął oczy. Zza niego wychynał Osmond. Słyszałem, jak inni chodzą po domu.

Spytałem:

– Gdzie on jest?

Thomas odparł:

– Uciekł do lasu.

– Możecie go wytropić?

Thomas postąpił krok w moją stronę.

– Ox, ja...

– Możecie go wytropić? – powtórzyłem.

Osmond odparł:

– Tak. Ale on tego właśnie chce. Ilu?

– Pięciu lub sześciu – poinformowałem go. – Same Omegi.

Osmond zamknął oczy.

– Zbierają się wokół niego. On ich prowadzi. Pojawią się inni.

Chce stać się Alfą dla Omeg.

Wyszła Elizabeth. Miała pobladłą twarz. Nadal miała na sobie ubrania, więc najwyraźniej się nie przemieniła. Przepchnęła się obok Osmonda i Thomasa i wyciągnęła do mnie ręce, jeszcze zanim dotarła do podnóża schodów. Jej ramiona oplotły mnie i mocno przytuliły. Moje zwisały luźno po bokach.

Powiedziała:

– Ox.

Odparłem:

– Znajdziemy go. Dziś w nocy. – Nie spuszczałem wzroku z Thomasa.

Elizabeth powiedziała:

– Och, Ox. – Z trudem nabrała tchu.

– Nie będzie uciekał – stwierdził Osmond. – To było zaplanowane.

A Thomas nakazał:

– Zadzwoń do Gorda. Musimy zaraz ruszać.

Siedziałem na ganku z łomem w ręku. Członkowie stada zwinęli się w kłębek obok mnie. Joe nie opuszczał mego boku. Nigdy wcześniej

nie było mi tak zimno. Zrobiło się już zupełnie ciemno, kiedy Gordo wrócił. Wsiadł z samochodu i powiedział:

– Ox.

Wstałem.

Dodał:

– Przepraszam.

Spytałem:

– Za co?

– Za to, co się stało. Ja... podzwoniłem trochę. Zajmą się nią.

– Co to znaczy?

– Nie pozwolę, by coś jej się stało.

Na to było już za późno.

– To dobrze.

Zrobił krok w moją stronę.

– Mogę cię stąd zabrać. Z dala od tego wszystkiego.

Wokół mnie rozległy się warknięcia wilków. Zignorowałem je.

– Gdzie miałbym pójść? – spytałem.

– Gdziekolwiek zechcesz. Możemy wyjechać z Green Creek i nie oglądać się za siebie.

Joe podniósł się i stanął przede mną.

– Nie wtrącaj się – warknął. Nie musiałem patrzeć, żeby wiedzieć, że jego oczy są pomarańczowe.

– Josephie – powiedział Thomas. Głos Alfy przetoczył się przez nas. – Uspokój się.

Joe wyglądał, jakby ktoś mu przyłożył. Powiedział:

– Ox, nie możesz.

Gordo odparł:

– Ależ może. Może robić, co mu się podoba.

– Naprawdę mogę? – spytałem.

– Tak – potwierdził Gordo. – Cokolwiek zechcesz.

Zwróciłem się do Thomasa:

– Naprawdę mogę?

– Tak, Ox – odrzekł cicho.

– Dobrze – zdecydowałem. – W takim razie chcę dopaść Richarda Collinsa i go zabić.

Nikt się nie odezwał. Po chwili Gordo powiedział:

– Ox. – To zabrzmiało, jakby się krztusił. Zrobił kolejny krok w moją stronę.

Zacisnąłem dłoń na łomie.

– Nie tego by chciała – powiedział.

A ja na to:

– Nie mów mi, czego by chciała moja matka. – Głos mi drżał. Nie wiedziałem, czy ze smutku, czy z gniewu. – Nie waż się. – Mama wciąż leżała w naszym domu w kałuży własnej krwi, więc nie miał prawa nic o niej mówić. Elizabeth poinformowała mnie, że przykryła ją kocem. Chciałem podziękować, ale w końcu nic nie powiedziałem, bo to nie miało znaczenia. Jebany koc.

– Proszę – nie odpuszczał Gordo. – Pozwól, żebym cię stąd zabrał. Z dala od tego wszystkiego.

– Ja nie uciekam od problemów – powiedziałem tonem tak zimnym, na jaki było mnie stać. – Nie jestem tobą.

Cofnął się o krok, otworzył szeroko oczy. Poczułem dłoń na ramieniu. Myślałem, że to Joe. Albo Thomas. Albo Elizabeth. Ale nie. Dłoń zacisnęła się, jakby delikatnie dawała do zrozumienia, że ma pazury, i Mark powiedział:

– Przestań, Ox. Wiem, że to boli. Wiem, że pali cię od środka tak, jak nic, co kiedykolwiek czułeś. Ale p r z e s t a ń. To nie jego wina. Nie mów nic, czego później nie będziesz mógł odkręcić.

Zazgrzytałem zębami i stłumiłem słowa, które z pewnością by zabolowały. Takie niebezpieczeństwo niesie ze sobą poznanie i pokochanie innych. Dowiadujesz się o nich takich rzeczy, które później możesz im rzucić w twarz. Byłem do tego zdolny. Jak większość ludzi. Ale wszystko sprowadzało się do wyboru. Dlatego przełknąłem urazę (*to jego wina to wasza wina to wina was wszystkich to wy sprowadziliście tutaj nieszczęście to przez was się to stało dlaczego nie mogliście po prostu zostawić nas w spokoju dlaczego joe musiał mi dać swojego wilka nienawidzę was wszystkich*) i spytałem:

– Pomożesz mi?

Gordo odparł:

– Ox. To jest... To jeszcze nie koniec, okej? Przysięgam. Na to wygląda. Tak się wydaje. Ale to jeszcze nie koniec. Przysięgam ci.

I wtedy wtrącił się Osmond:

– Gordo, powinieneś o czymś wiedzieć. Doszło do... stłumienia. W domu Mathesonów. Bardzo silnego. Nie tylko wyciszyło sygnały przesyłane przez więzi. Sprawilo, że nikt, kto znajdował się poza budynkiem, nie mógł wyczuć niebezpieczeństwa czyhającego wewnątrz.

Gordo odparł:

– Mój ojciec. Bariery na północy. Zostały zmodyfikowane. A ja nawet nie poczułem, że coś się zmieniło. Tylko on mógł to zrobić. Było czuć, że to on. Tylko jakoś inaczej.

– Możesz je naprawić? – spytał Osmond.

Gordo pokiwał głową.

– Jestem lepszy, niż byłem. On o tym nie wie. Może i zorientował się, jak skomplikowane wydają się na pierwszy rzut oka, ale nie domyślił się, jak głęboko sięgają. Jego czary były jak infekcja powierzchniowa. Wyleczyłem ją.

Z ciemności wyłoniły się wilki Osmonda.

– Północ – powiedział jeden z nich. – Poszli na północny zachód.

– Ilu?

– Dziesięciu albo coś koło tego. Może więcej. Może mniej.

Osmond spojrział na Thomasa.

– Co się znajduje na północny zachód stąd?

– Polana – odparł Thomas. – Często tam bywamy. Richard o niej wie. Bawiliśmy się tam jako dzieci. Dla mojej rodziny to uświęcone miejsce.

– Sam nie wie, co robi – powiedział Osmond cicho. – Wszedł na twoje terytorium. Zna magię drzemiacą w tym lesie. Ona jest stara, Thomasie. W noc najbardziej oddaloną od pełni księżyca? Nie sądzi chyba, że uda mu się wygrać?

– Pewnie słyszał opowieści o upadłym królu – odparł Thomas. Jego głos był zabarwiony goryczą, mroczny. Po raz pierwszy w życiu słyszałem, by mówił takim tonem. – Bez wątpienia sądzi, że jestem słaby. Że musi jedynie podzielić i rządzić. Zaczął od ludzi, bo wie o nich tylko tyle, że łatwo ich złamać. Nie spodziewał się, że znajdzie w nich siłę. – Jego słowa były pełne dumy, lecz ja nic po nich nie poczułem. Nie byłem w stanie. Popatrzył na mnie i powiedział:

– Czy jeśli cię poproszę, byś mi zaufał i tu został, posłuchasz mnie?

– Nie.

– Oх.

Powiedziałem:

– To niesprawiedliwe.

Jego oczy spowiała czerwień. Poczułem jej przyciąganie, a głęboko w moim wnętrzu zakwitła potrzeba, by się podporządkować.

– Mógłbym cię do tego zmusić – zauważył. – Wiesz, że bym mógł.

– Ale tego nie zrobisz.

– Czyżby? A niby dlaczego? Jestem twoim Alfą. Masz robić, co ci każe.

– Nie jesteś taki. I ufam, że będziesz o tym pamiętał. Nie zostanę tutaj. Gdzie ty, tam i ja.

Wyglądał na zasmuconego.

– Czasami musimy iść w miejsca, do których inni nie mogą za nami podążać.

– On mi ją odebrał. – Głos mi zadrżał.

Thomas odparł:

– Wiem.

Zrobił krok do przodu. Nie zatrzymywał się, aż stanął naprzeciwko mnie. Położył mi rękę na karku i przyciągnął mnie do siebie, aż moja twarz znalazła się przy jego gardle. Kojący pomruk dobył się z jego piersi, po czym wyszeptał:

– Tak bardzo mi przykro, że cię to spotkało. Żałuję, że nie mogę zabrać całego bólu, który odczuwasz. Ale nie zrobiłbym tego, nawet gdybym mógł, bo ten ból pokazuje, że żyjesz. Że oddychasz. Że możesz zrobić kolejny krok. A tam gdzie ty, tam i ja. Zakończymy to,

a potem stado pomoże pochować twoją mamę. Nie jesteś sam, Ox, i nigdy nie będziesz.

Łom wypadł mi na ziemię, kiedy go mocno przytuliłem. Nadal nie płakałem.

Alfa.

Czekali na nas na polanie. Gwiazdy świeciły jasno nad naszymi głowami, a mrok wokół nas rozpraszały fioletowe oczy Omeg. Naliczyłem ich piętnaście. Same wilki. Omegi nie powinny zbierać się w tak duże grupy. Prawie jakby utworzyły stado. Nie miały Alfy, jeszcze nie, więc nie mogły być Betami. Ale wydawały się w jakiś sposób zjednoczone.

Richard powiedział:

– Thomas.

Na co Thomas odpowiedział:

– Nie powinieneś był tu przychodzić.

Richard się roześmiał.

– Wiedziałeś, że któregoś dnia to nastąpi. – Obrzucił mnie spojrzeniem, nim powrócił wzrokiem do Thomasa. – Ludzie, Thomasie? Poważnie? Nadal? Przeszłość niczego cię nie nauczyła? Powinieneś mi podziękować za to, że rozwiązałem twój problem za ciebie.

Nie był Alfą, lecz warstwy czerwieni opadły mi na oczy i mogłem myśleć jedynie o śmierci, mordowaniu i krwi.

Thomas powiedział:

– To zawsze był twój problem, Richardzie. Nie doceniałeś tych, których uważałeś za gorszych od siebie. Ale to, że nie potrafisz

dostrzec ich wartości, nie oznacza, że im jej brak.

Oczy Richarda rozbłysły.

– Twoje bałwochwalstwo było zabawne trzydzieści lat temu. Już dawno przestało mieć znaczenie.

Gordo spytał cichym głosem:

– Gdzie on jest?

Richard się uśmiechnął.

– Kto?

– Wiesz kto.

– Aha. Ale chciałbym usłyszeć, jak to mówisz.

Dla niego to była gra. Wszystko to była gra.

– Mój ojciec.

Richard odrzekł:

– Tak. On. Musiał... zająć się innymi sprawami. Przesyła ukłony. Jestem pewien, że wkrótce się z nim spotkasz. – Przebiegł wzrokiem po pozostałych członkach naszego stada, aż zatrzymał się na Joem. – No, no, ależ ty urosłeś. Witaj, Josephie. Miło cię znowu widzieć.

Tyle mi wystarczyło. To przelało czarę goryczy. Nie zniósłbym więcej. Richard mógł odzywać się do mnie, jak mu się żywnie podobało. Mógł gadać głupoty Thomasowi. Albo Gordowi. Oni potrafili to udźwignąć. Potrafili. Ale ten człowiek zabił mi matkę, a teraz rozmawiał z Joem. Miałem dość.

Najwyraźniej Carter i Kelly również, bo gdy warknąłem, wyrwali do przodu z wysuniętymi pazurami i obnażonymi kłami. Ruszyłem ich śladem, bo byli moimi braćmi. Ruszyłem ich śladem przez wzgląd na moją matkę. Ruszyłem ich śladem przez wzgląd na Joego.

Czułem więzi. Pomiedzy nami wszystkimi. Byliśmy watahą. Oni mieli przewagę liczebną, ale my byliśmy watahą.

Wzniósłem łom i grzmotnąłem nim upazurzoną rękę, która się na mnie zamachnęła. Kość trzasnęła, nim pazury zdołały rozpruć mi brzuch. Omega wrzasnął, gdy jego skóra zwęgliła się w kontakcie ze srebrem. Zaczął przeobrażać się w wilka, lecz przykucnąłem i obróciłem się na pięcie, a w połowie obrotu rzuciłem się naprzód, biorąc łomem zamach, jakbym uderzał kijem golfowym. Od siły uderzenia zatrzęsły mi się ręce, a szczęka Omegi pękła. Odłamki zębów i krew trysnęły mu z ust i obryzgały twarz, gdy zakołysał się do tyłu. Wygięta końcówka łomu prześlizgnęła się po skórze pod jego brodą i zahaczyła o krawędź szczęki. Szarpnąłem, ile sił w rękach, i oderwałem mu żuchwę od czaszki.

Ognista linia wyryła mi się na plecach. Jęknąłem i zatoczyłem się w bok. Gdzieś po mojej prawej Joe zaryczał gniewnie, albo na Omegę, która podeszła do mnie od tyłu, albo na coś zupełnie innego. Nie wiedziałem.

Odwróciłem się, żeby jej się przyjrzeć. Miała krew na twarzy. Uśmiechnęła się do mnie szyderczo. Przypominała mi Marie.

Powiedziała:

– Wkrótce twoja matka zacznie gnić. Zacznie się rozkładać i wypełniać gazami. Ależ będzie w z d ę t a.

Wiedziałem, co próbuje zrobić. Thomas mnie tego nauczył. Gniew i wściekłość wywoływały wyrzut mocy i siły kosztem precyzji. Łatwo było zatonać w czerwonym blasku, ponieważ był wszechogarniający. Ale przez to stawałeś się chaotyczny.

Kobieta mnie podpuszczała. I prawie osiągnęła cel. Bo mówiła o mojej m a t c e.

Maggie Callaway nigdy nikogo nie skrzywdziła. Całe życie ludzie chujowo ją traktowali, a ona chciała tylko być szczęśliwa. Nie prosiła o wiele. Nie potrzebowała wiele. Miała mnie. A później także i stado. I została nam odebrana. Odebrana mnie.

Omega prawie osiągnęła cel, bo miała r a c j ę. Czułem, jak prawda wciąga mnie w swoje odmęty. Krew ściekała mi po plecach, ból był żywy i niesamowity, a ona prawie osiągnęła cel. Ale nagle po więziach łączących nasze stado rozniósł się b r z d ę k. Impuls. Uderzył mnie, a ja go przyjąłem, mówił: „dom, zaufanie, miłość”.

Ale czegoś brakowało. Bo j e j już nie było. I ta świadomość paliła mnie jak kwas wylany na skórę. Mroziła jak lód w żyłach.

Powiedziałem:

– Nie powinnaś była tu przychodzić.

Mój umysł pozostał j a s n y. Moje ruchy – p r e c y z y j n e. Zrobiła krok do przodu, a jej pazury, pokryte moją krwią, sięgnęły mojej twarzy. Była szybka. Zrobiłem unik, udałem, że ruszam w lewo, gdy tak naprawdę rzuciłem się w prawo. Znalazłem się za nią i wyprowadziłem łom płaskim łukiem, aż jego zakrzywiona końcówka wbiła się w tył jej głowy.

Stęknęła nisko, gardłowo. Zaczepnęła tchu. Wydała z siebie zdławiony odgłos. Przykucnąłem i wsunąłem prawe ramię pod łom. Siedział mocno w czaszce, więc uchwyciłem go obiema rękami. Zacisnąłem zęby i wyciągnąłem się na całą wysokość. Omega opadła mi na plecy, kiedy szarpnąłem łom w przód. Wyrzuciło ją z impetem do góry. Przeleciała przez mój grzbiet, ze stopami skierowanymi ku niebu, i wylądowała płasko na twarzy tuż przede mną. Jej ciało drgało na ziemi, gdy wyrywałem narzędzie. Wzniosłem je nad głowę, by znów opuścić, i jeszcze raz, i jeszcze.

Zostałem zaatakowany z prawej strony. Siła uderzenia zwała mnie z nóg i pchnęła barkiem na drzewo, wałnąłem głową w pień. Przed oczami widziałem gwiazdy i rozbłyśki światła. Upadłem na ziemię, myśląc: „wstawaj, wstawaj, wstawaj”, ale nic się nie wydarzyło. Łatwiej było leżeć.

Wokół mnie rozbrzmiewały warknięcia i wściekłe ryki. Wzrok nie chciał nabrać ostrości. Zamknąłem ponownie oczy. Myślałem o wielu rzeczach. Na przykład o Joem. I mojej matce. O tym, jak było ciemno. Jak bardzo bolą mnie plecy. Jak bardzo boli mnie głowa. Jak bardzo boli mnie serce.

– Ox! – wykrzyknął jakiś głos nade mną.

Chciałem powiedzieć temu komuś, że wszystko ze mną w porządku. Ale zamiast tego powiedziałem:

– Idź sobie.

Głos odparł:

– Potrzebuję cię.

To był Joe. To był Joe, który klęczał obok mnie. Joe, którego pazury przebiegały po mojej skórze. Joe, który raz po raz powtarzał moje imię i mówił mi, że mam się ruszyć, otworzyć oczy i być cały, po prostu być cały.

Część mnie została zabrana. Zmiażdżona i zniszczona, gdy krew trysnęła na podłogę. Część mnie spłonęła i stała się niczym więcej niż dymem, popiołem i zwęglonymi szczątkami. Ale inna część trzymała się dobrze. Ta część, która należała do niego. Do Gorda. Do mojej watahy.

Otworzyłem oczy. Wzrok miałem rozmyty. Zamrugałem raz. Drugi. Trzeci. Był tam nade mną. Z pomarańczowymi oczami. Z zaostrzonymi kłami. Połowicznie przeobrażony i zatroskany.

Wyciągnąłem rękę i dotknąłem jego twarzy. Zamknął oczy i wtulił się w moją dłoń. Powiedziałem:

– Musimy to zakończyć.

Otworzył oczy i odparł:

– Już prawie po wszystkim.

Pomógł mi wstać. N a p r a w d ę było prawie po wszystkim. Ale nie tak, jak się spodziewałem.

Byliśmy zbyt rozproszeni. Nigdzie nie widziałem Cartera ani Kelly'ego, lecz słyszałem ich powarkiwanie między drzewami. Ich wściekłość była wyraźna. Łącząca nas więź naprężyła się mocno i rozciągnęła w cieniutką nić, pulsowała tępym gniewem.

Zdawało mi się, że dostrzegłem przemykającą Elizabeth, w wilczej postaci, pełną wdzięku, z jaśniejącymi oczyma i obnażonymi kłami, lecz po chwili już jej nie było, a jej śladem czołgały się Omegi.

Mark leżał zgięty na ziemi, oddychał płytko. Gordo stał naprzeciwko niego, jego tatuaże świeciły, a z rozcięcia na czole skapywała krew. Otoczyła ich grupka Omeg. Gordo wyszczerzył zęby w uśmiechu. Miał okrwawione zęby. Rzucił:

– No, chodźcie. C h o d ź c i e.

I wtedy zobaczyłem Thomasa. Alfę. Powiedziałem:

– Nie. – Połowicznie przeobrażony krwawił z ran pokrywających każdy centymetr odsłoniętej skóry. Jego oczy lśniły czerwonym blaskiem, pazury ociekały posoką. Martwe Omegi leżały porzucane u jego stóp, krew wsiąkała w trawę porastającą polanę.

Oddychał ciężko, jego klatka piersiowa to unosiła się, to opadała. Prawe ramię zwisało bezwładnie wzdłuż boku, ostry kawałek kości

wystawał z przedramienia. Proces regeneracji jeszcze się nie rozpoczął. Miał przygarbione barki i wysunięte kły, wciąż nadchodziły kolejne Omegi. Wylewały się spomiędzy drzew, a ja nie potrafiłem zrozumieć, jakim cudem jest ich aż tyle. Jakim cudem tak wiele Omeg znalazło się w Green Creek bez naszej wiedzy. Bez wiedzy Thomasa, bo to było jego terytorium. To był jego dom, a ja nic nie rozumiałem.

Wokół niego zaroilo się od przeciwników, a on wydał z siebie ryk. Drzewa w lesie się zatrzęsły. Nad naszymi głowami jasno świeciły gwiazdy. I wtedy zostaliśmy zdradzeni.

Joe wydał z siebie niskie, głębokie, gardłowe warknięcie. Mięśnie drgały mu w gotowości, by rzucić się w stronę ojca. By mu pomóc. By go uratować.

Usłyszeliśmy głos Osmonda:

– Hej. – A gdy się odwróciliśmy, zaskoczeni, walnął Joego na odlew w twarz. Siła uderzenia zbiła nas obu z nóg. Joe poleciał na drzewo i wrzasnął, gdy jego kręgosłup pękł z okropnym trzaskiem. Upadł i zwijał się z bólu na ziemi.

Leżałem w trawie oniemiały i przyglądałem się gwiazdom na niebie. Pomyślałem o matce i na moment zapomniałem, że leży w naszym domu przykryta kocem, a pod nią stygnie kałuża jej krwi. Powiedziałem:

– Głowa mnie boli, mamó. – Gwiazdy nie odpowiedziały.

Po chwili coś je przesłoniło. Osmond patrzył na mnie, przekrzywiając głowę. Stwierdziłem:

– To twoja sprawka.

Odparł:

– W zasadzie nie było wyboru.

Podniósł stopę nad moją twarz. Zastanawiałem się, czy będzie bolało, jak rozwali mi czaszkę.

Odezwał się Richard Collins:

– Zostaw człowieka w spokoju, Osmondzie. Jeszcze z nim nie skończyłem.

Mężczyzna zabrał stopę, lecz nie odsunął się ode mnie.

Odwróciłem głowę. Dotyk trawy na policzku był zimny. Joe leżał na ziemi niecałe pół metra ode mnie. Jego skóra połyskiwała od potu, a twarz wykrzywiał grymas bólu. Dłonie zacisnął w pięści po bokach ciała. Zawołałem:

– Joe. – A przynajmniej próbowałem. Jego imię wyszło spomiędzy moich warg łamiące się i słabe. Nie usłyszał mnie. A jeśli nawet usłyszał, to za bardzo cierpiał, by jakkolwiek zareagować.

Nigdzie nie widziałem Gorda i zastanawiałem się, czy jeszcze żyje. Odwróciłem głowę w drugą stronę. Kosztowało mnie to więcej wysiłku, niż sądziłem.

Omegi obskoczyły Thomasa i zmusiły go, by się poddał. Padł na kolana przed Richardem Collinsem. Sam ten widok, sama myśl o Thomasie klęczącym przed kimkolwiek wystarczyły, by krew w moich żyłach zawrzała.

– Wiesz – powiedział Richard – spodziewałem się czegoś więcej po wielkim Thomasie Bennecie. Jestem nieco... rozczarowany.

Krew pociekła Thomasowi z ust, gdy wzruszył ramionami.

– Oczekiwania potrafią obrócić się przeciwko nam – wycharczał.
– Wierz mi, ja jestem nie mniej rozczarowany tobą.

Richard pokiwał głową.

– Zdążyłem zapomnieć, jaki dźwięk wydają kości Joego, kiedy pękają. Ten mokry trzask. Tym razem to był, jak sądzę, kręgosłup.

Z głębi gardła Thomasa wydarło się warknięcie, ale nawet ja widziałem, że siły go opuszczają. Zbyt wiele ran, zbyt mało czasu na regenerację. Był Alfą, ale nie był nieśmiertelny. Próbował wyszarpnąć się Omegom, ale trzymały go mocno.

Richard powiedział:

– Chcę, żebyś się czegoś dowiedział, zanim umrzesz. Winą obarczam ciebie. Za wszystko. Za moją rodzinę. Mojego ojca. Wszystko. Wszystko, co się wydarzyło. Twoi rodzice. Twoje stado. Wiedźmy i wilki. Składam te wszystkie śmierci u twoich stóp i z ich powodu zamierzam odebrać ci życie. Ja zostanę Alfą i gwałtem podporządkuję sobie twoje terytorium. Stara magia będzie należeć do mnie, Thomasie. Podobnie jak twoja żona. I synowie. Jesteś fałszywym bogiem, niewartym tego, co ci dano.

Nie byłem wilkiem. Byłem człowiekiem, który stanowił część wilczego stada. Nie potrafiłem poruszać się tak jak one, nie bardzo. Nie miałem takiej zdolności regeneracji. Nie potrafiłem walczyć tak sprawnie jak one. Nie posiadałem pazurów ani kłów, ani świecących oczu. Byłem Oxem, i tyle.

Ale oni należeli do mnie.

Ci ludzie wtargnęli do mojego domu i tak wiele mi odebrali. Potraktowali mnie chujowo, tak jak przewidział mój ojciec. Mówił, że ludzie będą mnie chujowo traktować, bo jestem Oxnardem Mathesonem, bo jestem głupim chujem, który nie potrafi nawet ochronić własnej rodziny.

Koniec z tym.

Koniec.

Pociągnąłem za więzi łączące mnie ze stadem. Pociągnąłem tak mocno, jak mogłem.

Osmonda rozproszyła tyrada Richarda. Moje palce odnalazły walający się w trawie łom. Przypomniałem sobie, czego nauczył mnie Thomas. Mój ojciec mówił, że przez całe życie ludzie będą mnie chujowo traktować, ale on nie był moim prawdziwym ojcem. Już nie. Może i on mnie zrobił, ale to Thomas ukształtował mnie jako osobę.

Sądziłem, że zginiemy. Wszyscy. Ale zamierzałem zabrać ze sobą tyłu, ilu zdołam. Osmond nie spodziewał się, że wstanę. Nie spodziewał się, że kopnę go pod kolano i zwałę z nóg. Ruszyłem dalej, nim upadł na ziemię.

Gdzieś między drzewami śpiewał wilk, a ja poczułem, jak płonie we mnie pieśń, a więzi mówią: *OxTowarzyszuBracieSynuPrzyjacielu*. Poruszałem się szybciej niż kiedykolwiek w życiu. Nie byłem wilkiem. Ale, Boże mój, sprawiałem takie wrażenie.

Richard zaczął się zmieniać, kiedy podszedłem do niego od tyłu. Nie dałem jego Omegom szansy na reakcję. Łom wbił się w jego plecy znacznie łatwiej, niż sądziłem. Ciało rozstało się, metal zazgrzytał o kość. Krew zbryzgała mi ręce i twarz, lecz p c h a ł e m dalej. Richard wrzasnął, wysunął pazury i sięgnął przez ramię, by złapać łom, by złapać m n i e, usiłował drapać, ciąć, zostawić na mnie swoje ślady.

Wepchnąłem łom jeszcze głębiej, w nadziei, że przebiję sukinsynowi serce. Z nadzieją, że to wystarczy, bo Thomas broczył obficie krwią, a ja nie wiedziałem, ile jeszcze zdoła wytrzymać i... Upazurzona łapa Richarda spadła na moje ramię i ś c i s n ę ł a mocno. Pazury przebiły mi skórę. Richard przeciągnął mnie do przodu, śliskie od krwi ręce omsknęły się z łomu. Postawił

mnie przed sobą i chociaż musiałem ważyć od niego o dobre dwadzieścia kilo więcej, złapał mnie za szyję i podniósł z ziemi.

Jego pomarańczowe oczy świeciły jasno, gorący oddech owiewał mi twarz. Wycedził przez wydłużające się, wypełniające całe usta zęby:

– Mały człowieczku, jak ja cię podziwiam.

Po swojej prawej dostrzegłem pulsowanie, które rozświetliło otaczający nas las. To był Gordo. Ziemia pod naszymi stopami zaczęła się poruszać i zmieniać, z jej wnętrza dobyło się głuche dudnienie, które przerodziło się w coś znacznie głośniejszego. Z gleby wystrzeliło zielone światło, a ziemia zajęczała, gdy Gordo przyzwał do siebie jej magię. Widziałem rozbłyskujące pod moimi nogami symbole, tajemne linie, które formowały się w gwiazdy i półksiężyce, kruki, które przelatowały pode mną, znacząc swoją trasę zielonymi iskrami.

Ziemię pod naszymi stopami r o z e r w a ł o. Richard w a r k n ą ł mi prosto do ucha, kłapnął zębami, ugryzł i... Zwaliło go z nóg, gdy grunt pod nim się rozstał, zapadł i poskręcał. Wszystko wokół było zielone, rozbłyski światła sprawiały, że krew mi wrzała, i śpiewały, a coś głęboko wewnątrz mnie odpowiadało na ten zew.

Richard ze stęknieniem poleciał w dół, z dala ode mnie. Pośród chaosu i zamieszania, które się rozpętało, słyszałem wrzaski wilków. Nie wiedziałem, czy swoich, czy pozostałych. Padłem na kolana, ból był lodowaty i jaskrawy, a zawroty głowy tak silne, że aż skręcały żołądek.

Czyjaś mokra dłoń chwyciła mnie za ramię i pociągnęła. Podążyłem za tym kimś na oślep. Zanim zdołałem skupić uwagę,

byliśmy już głęboko w lesie, pomiędzy drzewami.

Thomas odciągał mnie daleko, daleko, daleko od pola walki.

– Musimy wrócić – wychrypiałem, lecz nie próbowałem mu się wyrwać.

Odparł:

– Zaufaj mi.

Jakże mógłbym mu nie zaufać?

Wszystko mnie bolało. Plecy miałem poszatkwane na kawałeczki.

Powiedział:

– Musisz mnie wysłuchać. – Oddech grzechotał mu w piersi, wydawał mokre odgłosy.

Gwiazdy świeciły jasno na niebie. Drzewa się kołysały.

Powiedział:

– Będziesz teraz potrzebny. Bardziej niż kiedykolwiek. Brzemie Alfę może stanowić potworny ciężar i ktokolwiek dźwiga go na swoich barkach, musi być silny i lojalny.

– Nie – odparłem. – Nie, nie. Ty...

– OX.

Wiatr zaszeleścił liśćmi.

Poczułem ból w głowie i w sercu.

– Oni będą cię potrzebować – oznajmił Thomas, po czym zatoczył się i opadł na jedno kolano. Zacieśnił chwyt na moim ramieniu. Jęknął cicho i zwiesił głowę. Krew kapiała mu z ust. Wysunąłem ramię z jego dłoni. Włożyłem mu ręce pod pachy i splotłem palce na jego piersi. Sporo ważył i kaszlał chrapliwie, kiedy go podnosiłem. Moje plecy zaprotestowały przeciw takiemu wysiłkowi.

Zza nas wciąż dochodziły odgłosy rozstępującej się ziemi, lecz wydawały się odległe. Kontynuowaliśmy ucieczkę.

Thomas powiedział:

- Oni wszyscy.
- Co?
- Stado. Będą potrzebować...
- Dlaczego? – spytałem.

Thomas wziął głęboki wdech i odwrócił twarz ku niebu. Zastanawiałem się, czy wyczuwa księżyc, pomimo że ten skrył się za chmurami.

– Wiedziałem, że jesteś inny – odparł – kiedy cię po raz pierwszy zobaczyłem. Nawet gdyby nie chodziło o Joego, i tak bym wiedział.

– Jego oczy raz po raz błyskały czerwienią. To było jak zew, na który odpowiadała jakaś część mnie. Miałem wrażenie, że krew wrze mi pod skórą.

– Jeśli jestem czymkolwiek – powiedziałem – to tylko dzięki tobie.

Odrzekł:

– Och, Ox. Ja tylko pokazałem ci to, co już wcześniej tkwiło w twoim wnętrzu.

Pociągnąłem za więzi z watahą, lecz gdzieś się zgubiły przesłonięte bólem i magią Gorda.

Thomas powiedział:

- Musisz mnie wysłuchać.

Stęknąłem, kiedy znów się zatoczył. Jakimś cudem udało mi się utrzymać go w pionie.

– Będiesz... – Rozkaszał się, drżał na całym ciele. Po chwili dokończył: – Postronek będzie najważniejszy. Więzi, które łączą

was ze sobą nawzajem. To będziesz musiał być ty. Dla nich wszystkich. Wiem, że muszę cię prosić o rzecz straszną, szczególnie w świetle wszystkich strat, których doświadczyłeś. Ale to możesz być tylko ty.

– Ja nie jestem...

– Ależ jesteś – powiedział gwałtownie. – Jesteś czymś więcej, niż ci się wydaje, Ox. Moc Alfy przechodzi na tego, kto ją przyjmie. Jeśli nie mogę być nim ja, jeśli nie może być nim Joe, to musisz być ty. Joego tu nie ma, więc p r o s z ę o to ciebie.

– C o?

– Richard nie może dostać tej mocy – powiedział Thomas, a jego usta lśniły od krwi. – N i e m o ż e. To, co by z nią zrobił... Nie. A ja już dłużej nie wytrzymam. Nie w tym stanie. Niedługo. Nie dam rady się zregenerować, nie z takimi obrażeniami. Odchodzę.

– Nie – odparłem. – N i e m o ż e s z...

– Musisz zostać wilkiem – oświadczył. – Musisz to dla mnie zrobić.

To było dla mnie zbyt wiele. To... wszystko, o co mnie prosił. Zanim rozpętało się piekło, nie zdążyłem podjąć decyzji, czy chcę zostać ugryziony. A teraz? Teraz Thomas mówi...

– Chcesz, żebym został Alfą. – Mój głos wydawał się cichutki.

– Tak.

Nie potrafiłem znaleźć słów.

Thomas powiedział:

– Wierzę w ciebie, Ox. Zawsze wierzyłem. Jesteś moim synem tak samo jak pozostali. Zawsze będę...

– Tu jesteście – odezwał się Richard Collins za naszymi plecami.

Thomas warknął i wepchnął mnie za siebie z siłą, o jaką nie podejrzewałem go w tym stanie. Potknąłem się o własne stopy i upadłem na kolana. Thomas górował nade mną, nie spuszczał wzroku z drugiego wilka.

Richard nie wyglądał o wiele lepiej. Ktoś wyciągnął mu mój łom z pleców. Jego skóra ociekała krwią. Gnijące oczy lśniły złowrogo, pazury były wysunięte, a ostre zęby pobłyskiwały w świetle gwiazd. Powiedział:

– Musiałeś wiedzieć, że prędzej czy później do tego dojdzie, Thomasie. To się nie mogło skończyć inaczej.

– Tylko dlatego, że takiego wyboru dokonałeś – odrzekł Thomas cicho. – Niegdyś byliśmy przyjaciółmi. Braćmi.

– Gdybyś był moim bratem – warknął Richard – nie pozwoliłbyś im umrzeć. A nawet jeśli by zginęli, zrobiłbyś wszystko, co w twojej mocy, by za karę sprowadzić cierpienie na winowajców. Ludzie powinni cierpieć za to, co ściągnęli na nasze stado. A zamiast tego ty przyjmujesz ich do watahy.

– To była garstka – odparł Thomas. – Niewielka garstka. Jakie skutki będzie miało to wszystko według ciebie?

Pazury Richarda wydłużyły się jeszcze bardziej.

– Zostanę Alfą – odrzekł. – A potem sprawię, że zapłacą. Za wszystko. Ludzie mi się pokłonią, a ja z nimi skończę.

Niespodziewanie skoczył na Thomasa. Przeobraził się w powietrzu, ubrania podarły się na nim na strzępy, sierść wyrosła gwałtownie. Zanim zdołałem chociażby krzyknąć ostrzegawczo, usłyszałem pęknięcie kości i mięśni, kiedy wilk zwał się z wilkiem między drzewami. Kły kłapały, pazury cięły na oślep, by pochwycić przeciwnika.

Thomas był większy z nich dwóch, lecz nawet gdy się zmienił, krew wciąż płynęła z jego ran, zlepiając mu futro. Richard atakował z wściekłością. Odrzuciło mnie do tyłu, kiedy potoczyli się zwarci w moją stronę, z kłami zatopionymi w ciele przeciwnika. Z ich ust wydobywały się urywane warknięcia.

Rozejrzałem się dookoła w poszukiwaniu czegoś, czegokolwiek, co mogłoby posłużyć mi za broń, dzięki której położyłbym temu kres. Dzięki której powstrzymałbym Richarda, nim ten pogorszyłby sytuację. Natrafiłem na kamień, niewiele mniejszy od mojej dłoni. Chwyciłem go bez namysłu, bo to był mój Alfa. To był Thomas i nie mogłem pozwolić mu odejść.

To on pokazał mi, kim jestem. Kim mógłbym się stać. Alfa oznaczał ojca. (*Jesteś moim synem*). Oznaczał bezpieczeństwo. Oznaczał dom.

Wstałem, nie robiąc najmniejszego hałasu. Bez wahania skierowałem się w stronę białego wilka walczącego z brązowym. Bez namysłu zacząłem śledzić ich ruchy i czekałem, czekałem, aż nadejdzie właściwa chwila.

Okazja nadarzyła się szybciej, niż mogłem marzyć. Richard powalił Thomasa. Thomas wpadł na drzewo i wydał z siebie przeciągły skowyt. Osunął się na ziemię. Nie mógł skupić wzroku. Richard stanął nad nim. Jego wargi rozciągnęły się, ukazując zębiska. Niski pomruk zaczął wydobywać się z jego gardła, a ja zauważyłem, że jego mięśnie napinają się, gdy przygotowywał się do ataku.

W rzeczywistości wszystko zajęło ledwie kilka sekund. W jednej chwili Richard stał nad Thomasem, a w następnej ja spuszczałem kamień na jego łeb. Usłyszałem ostry *t r z a s k*, który – jak miałem

nadzieję – oznaczał przynajmniej pękniętą czaszkę. Wilk zaskomlał, a ja przez chwilę poczułem chorą radość. Radość na myśl, że wygraliśmy. Że go załatwiłem. Że padnie na ziemię i już nigdy nie powstanie.

Zobaczyłem, jak krew zbiera się na czubku jego łba. Spłynęła mu między oczami, aż na pysk, skapywała na wykrzywione wargi. Ale nie upadł. Odwrócił się w moją stronę.

Thomas próbował się podnieść, ale zwałił się z powrotem na łapy.

Zrobiłem krok do tyłu. W odpowiedzi wielka przerażająca bestia zrobiła krok w przód.

– No, chodź, ty skurwysynu – rzuciłem ochryple. Zacisnąłem mocniej palce na kamieniu, bo tylko tyle miałem.

Pomyślałem o Joem. I o swojej matce. Czułem się źle. Poświęciłem jedno dla drugiego. A teraz znów robiłem to samo. Ale przynajmniej Joe będzie bezpieczny, jeśli uda mi się zabrać Richarda ze sobą. Nic więcej nie miało znaczenia. Nie mogłem mu pozwolić zabrać Joego. Nie znowu.

Uszy Richarda oklapły i, choć wydawało się to niemożliwe, mógłbym przysiąc, że wilk się uśmiechał. Jakby wiedział, że wygrał.

Przypomniałem sobie, czego mnie uczono. Tylko tyle mogłem zrobić. I o ile uda mi się nie zapomnieć, być może Joe wyjdzie z tego cało. I Thomas. I pozostali. I pewnego dnia będą patrzeć w przeszłość i pamiętać mnie za to, co zrobiłem od czasu, jak się poznaliśmy, a nie za to, co było ostatnią rzeczą, którą zrobiłem.

Pewnego dnia Thomas i ja spacerowaliśmy po lesie. Kazał Joemu zostać. Joe szczególnie się z tego ucieszył, ale Thomas tylko błysnął oczami, tak jak to zwykle robił, i chłopak przestał narzekać. Powiedzmy.

Przez dość długi czas nie rozmawialiśmy ze sobą. Miło było z kimś pomilczeć, bez konieczności znoszenia ciężaru konwersacji. Thomas wiedział to o mnie. Wiedział, że czasami nie potrafiłem znaleźć odpowiednich słów, by powiedzieć to, co chciałem, więc w końcu nie mówiłem nic. Nie uważał, że jestem głupi. W przeciwieństwie do innych osób przed nim.

Była taka chwila, krótka i żywa, kiedy pomyślałem o ojcu. Nadal nie byłem pewien, co wilkołaki potrafią odczytać na podstawie rytmu serca i zapachu, czy smutek ma jakiś smak ani czy lęk wydaje się ciężki.

Ojciec by tego nie zrozumiał. Wilków. Watahy. Mojego miejsca wśród nich. Nic a nic by z tego wszystkiego nie zrozumiał. Nie bardzo. Zrobiłby mi o to piekło. Próbowaliby odebrać. Mój ojciec nie był dobrym człowiekiem. Teraz już to wiedziałem. Jego słowa przepełniały obojętność i bezduszność. Gniew i agresja. Ale i tak go kochałem, bo byłem jego synem. A on był moim ojcem. Zastanawiałem się, co mówi o mnie to, że kochałem kogoś takiego jak on. Pomimo wszystkich jego wad.

Nie pierwszy raz powiedziałem sobie, że lepiej, że umarł. Ale być może pierwszy, kiedy w pełni w to uwierzyłem. Bardzo mnie to poruszyło. Nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego cieszę się z czyjejs śmierci. Przecież nie byłem tego typu człowiekiem. Moich słów nie przepełniała obojętność. Ani bezduszność. Gniew ani przemoc.

Serce w mojej piersi zmyliło rytm. Wziętem wdech, ostry, jakby bezgłośnie westchnienie.

Thomas położył swoją wielką dłoń na moim karku i ścisnął. Pozostawił ją tam, gdy szliśmy dalej. Nie odzywał się. Był. Po prostu był. Ze mną. Bicie serca zwolniło. Oddech wrócił do normy. Przestałem powłóczyć nogami. Szliśmy dalej.

Co dziwne, to ja pierwszy się odezwałem. Oczywiście później. Dużo później. Pomyślałem, że może Thomas na mnie czekał. Spytałem:

– Skąd zawsze wiesz?

Thomas nawet nie udawał zaskoczonego tym pytaniem.

– Jesteś mój – powiedział po prostu. – Zawsze wiem.

– Ponieważ jesteś Alfą?

– To też – odparł, nie spuszczać ze mnie wzroku.

I usłyszałem wszystko to, co przemilczał.

Bestia przyszła po mnie w ciemnym lesie.

Mój Alfa leżał cicho pod dębem, którego gałęzie stukały na wietrze. Jego pierś uniosła się płytko i zatrzymała. Opadła. Minęły wieki, nim ponownie się uniosła.

Richard usiadł w kucki.

Zmrużyłem oczy. Powiedziałem:

– Powinieneś być trzymać się z daleka od mojego terytorium.

Richard skoczył. Wysunął pazury, by mnie nimi dosięgnąć. Otworzył szeroko paszczę.

Wzniosłem kamień i... Przede mną śmignęło coś białego.

Richard zawył odrzucony w bok.

Przede mną stał wilk. Sierść na grzbiecie miał zjeżoną, głowę trzymał nisko przy ziemi, zęby obnażył w grymasie wściekłości i warknął na Richarda, który gramolił się na łapy.

Joe. Joe tu był. Joe był cały. To nie mógł być sen, bo plecy okropnie mnie bolały. Wyciągnąłem rękę i wplotłem palce w futro na jego karku. Poczułem, jak głęboko w jego wnętrzu wzbiera grzmot. Usłyszałem jego zew.

Richard błysnął zgniłymi oczami i posłał Joemu gniewne spojrzenie, obchodząc nas powoli dookoła.

Joe poruszał się razem z Richardem, zawsze pomiędzy nim a mną. Czułem buzujący w nim gniew, wściekłość i udrękę. Próbowałem sięgnąć do innych, pociągnąć za sznurki, które łączyły nas ze sobą, by się upewnić, że nie straciliśmy żadnego członka stada, ale wszystkie były poplątane. Bolała mnie głowa i nie mogłem skupić się na niczym poza zieloną ulgą, że Joe jest ze mną, i świadomością, że nic mu się nie stało. Że już nie leży pod drzewem ze złamanym kręgosłupem i nie zwija się z bólu.

Mogło się nam udać. Mogliśmy...

Richard zaatakował, nie wydawszy z siebie dźwięku. Joe napiął się pod moją dłoń, szykując się na zderzenie. Zaparłem się piętami w ziemi i zwalczyłem instynkt, który nakazywał ucieczkę, bo nie byłem tchórzem i miałem zamiar stawić czoło wrogowi razem z moim towarzyszem życia...

Wokół nas wystrzeliły światła, wzniosły się wprost z ziemi, a grunt pod naszymi nogami usuwał się, jęcząc. Richard zderzył się ze światłem, aż odrzuciło go do tyłu, jakby poraził go prąd. Oczy uciekły mu w głąb czaszki, gdy wpadł na pień starego dębu. Dostał drgawek, jego łapy kopały ziemię, wbijały się w glebę.

– Ox – usłyszałem czyjś głos za plecami.

Odwróciłem się.

Gordo stał oparty o drzewo i dyszał ciężko. Jego twarz była pokryta warstewką potu i blada. Ostrożnie przyciskał lewą rękę do piersi. Ubrania zwisały na nim w strzępach. Większą powierzchnię ciała miał pokrytą krwawiącymi ranami niż nietkniętą.

A tatuaże na jego ramionach świeciły jaśniej, niż kiedykolwiek widziałem.

– Jak ty to...

– Terytorium – odparł cichym, słabiutkim głosem – należy do Bennettów. Zawsze należało. Nie znosi intruzów. Ziemia... Słyszę ją. Mówi do mnie. Mogę zatrzymać go na zewnątrz. Na razie. Ale nie utrzymam bariery, Ox. Nie wiecznie. Cokolwiek musi się wydarzyć, musi się wydarzyć teraz.

Wyciągnąłem rękę i dotknąłem światła (bariery?), która nas otaczała, oddzielała od Richarda. Pod palcami wydawała się lita i ciepła. Wyczuwałem też nić łączącą mnie z Gordem, tę samą, którą wcześniej zawsze delikatnie czułem. Nigdy nie była tak solidna jak pozostałe, bo choć byliśmy ze sobą związani, to Gordo nie należał do stada.

Ale teraz była jasna. I silna.

– Co musi się wydarzyć? – spytałem, niepewny, czy chcę znać odpowiedź.

Gordo powiedział:

– O x.

I już wiedziałem.

Wtedy odezwał się łagodny głos. Spytał:

– Tato?

Obejrzałem się za siebie.

Joe znów przemienił się w człowieka i klęczał obok ojca. Przez całą długość jego pleców, w miejscu, gdzie walnął o drzewo, biegł paskudny ciemny siniak. Na moich oczach jego krawędzie blakły, kiedy chłopak się regenerował. Nie wiedziałem, czy przeżył zderzenie dlatego, że był tym, kim był. Ani czy Carterowi albo Kelly'emu udałoby się to samo.

Ojciec Joego leżał wyciągnięty przed nim, wciąż w wilczej postaci. Oczy miał otwarte, patrzył na syna. Z głębi jego gardła wydobyło się ciche skomlenie. Ogon uderzył w ziemię raz. Potem drugi.

Joe nakazał:

– Musisz wstać.

Thomas wyciągnął szyję, aż dotknął nosem dłoni syna.

– Wszystko z nimi w porządku – powiedział, jakby usłyszał pytanie niewypowiedziane przez ojca. I o ile wiedziałem, mogło tak być. – Zajmują się pozostałymi. Ale potrzebują cię. Rozumiesz? Musisz wstać. – Na końcu głos mu się załamał.

Thomas westchnął, potężna pierś zafalowała. Jakby wszystkie jego strachy umykały.

Za nami zawył wilk, zaśpiewał pieśń furii.

Obróciłem się.

Richard Collins wstał i był wściekły. Kłapał paszczą i rzucał się na barierę. Oczy miał ciemniejsze niż wcześniej, jakby zatracił się w wilku, zdziczały i rozwścieczony. Za każdym razem, gdy wpadał na zieloną barierę, pulsowanie światła rozchodziło się kręgami na zewnątrz, jak zmarszczki na powierzchni wody. Co tylko sprawiało, że stawał się jeszcze bardziej zły.

– Thomasie – wykrztusił Gordo. – Musisz to zrobić. T e r a z. Nie mogę...

Thomas zaczął się przeobrażać, wolniej, niż kiedykolwiek widziałem. Sądząc po grymasie bólu na jego wilczej twarzy i napięciu całego ciała, przemiana musiała być bolesna. Połamane wcześniej kości pozostały połamane. Rozcięcia były głębokie, a krew wyciekła z nich swobodnie, bez oznak, że zamierza przestać.

Joe jęknął nad ojcem, wyciągnął ku niemu trzęsące się ręce. Zawahał się, jakby nie był pewien, gdzie może go dotknąć.

Richard wrzasnął i kontynuował szturm.

Joe powiedział:

– T a t o.

Thomas Bennett uśmiechnął się do niego. Usta miał czerwone, po policzku kapłała mu krew. Wzrok miał przytomny. Powiedział:

– Cieszę się, że nic ci nie jest.

– Musimy wstać – błagał Joe. – Musimy wstać i iść. Mama na ciebie czeka.

– Dasz radę – odparł Thomas. – Zaboli. Przez chwilę. Ale d a s z radę.

Joe pokręcił głową. Złapał ojca za rękę i trzymał ją w swojej dłoni.

– Nie dam rady – stwierdził. – Nie jestem gotowy. – Zdawał się tak niemożliwie młody.

– Ależ jesteś – zapewnił go Thomas. – Już od dawna. Przecież pracowaliśmy nad tym. Ty...

Rozległ się głośny jęk kości i mięśni, a po chwili Richard powiedział:

– Mogę go uratować, Joe. Mogę go uratować. Musisz mi tylko dać to, czego chcę. Mogę ci pomóc. Jemu także.

Richard stał nagi i pokrwawiony, wpatrywał się w Joego, lecz powstrzymywany magią Gorda nie mógł zrobić ani jednego kroku w przód.

– Nie... – powiedział Thomas, nie spuszczać wzroku z syna. – Nie słuchaj. To nie...

– Nie potrzebujesz tego – powiedział Richard. – Mogę sprawić, że to wszystko zniknie. Z twoim ojcem wszystko będzie w p o r z ą d k u. Ja zostanę Alfą i obiecuję ci, że to wszystko wyda ci się tylko snem. Wrócisz do domu i nigdy więcej mnie nie zobaczysz.

Nie musiałem być wilkiem, by wiedzieć, że kłamie.

I mimo tego, ile był wart, mimo tego, przez co przeszedł, mimo tego, jakie okropieństwa widział, Joe się zawahał.

Widziałem to. Przez krótką chwilę. Ale jednak.

Thomas także to dostrzegł.

Ale Richard też.

I u ś m i e c h n ą ł się.

Dlatego zrobiłem krok do przodu i powiedziałem:

– Joe.

Joe spojrzał na mnie, a jego halloweenowe oczy były jasne i mokre.

– Składa obietnice – powiedziałem – których nie będzie mógł dotrzymać.

Joe zagryzł wargi.

– Ale...

– To człowiek – powiedział Richard głosem ociekającym pogardą. – Nawet jeśli należy do watahy. On nie rozumie. Nigdy nie zrozumie, czym jesteś. Czym masz się stać. Jego

gatunek to przyczyna, dla której to wszystko w ogóle się dzieje. To zdrajcy, Joe. Oni zawsze prędzej czy później dopuszczają się zdrady.

– Przyrzekłem ci – powiedziałem, robiąc kolejny krok do przodu – że zawsze będziemy razem, ty i ja. Że się tobą zaopiekuję. Że nigdy cię nie okłamię.

Łzy popłynęły mu po twarzy.

– Oni potrafią tylko kłamać! – ryknął Richard i walnął pięściami w barierę. – Nic więcej nie umiejają!

– Pospiesz się, Ox – wycedził Gordo przez zaciśnięte zęby.

– Powierzyłeś mi swojego wilka, zanim mnie jeszcze poznałeś – powiedziałem. – Kiedy uważałem, że jestem niczym. Ale ty mi pokazałeś. Ty mi z a u f a ł e ś. A teraz proszę, byś zrobił to ponownie.

Miał szeroko otwarte oczy. Oddech wiązał mu w piersi. Oderwał ode mnie wzrok i przeniósł go z powrotem na ojca.

– To nie jest koniec – wyszeptał do niego Thomas. Jego głos ledwie dał się słyszeć przez wrzaski Richarda. – Zobaczysz. Jestem taki dumny z ciebie i z tego, kim się stałeś. Z tego, kim się staniiesz.

– Sam nie dam rady – załkał Joe. – Nie mogę...

– Nie będziesz musiał robić niczego sam – odparł Thomas. – Ponieważ Alfa jest niczym bez swojego stada. A twoje stado zawsze będzie z tobą.

– Ox! – krzyknął Gordo ostrzegawczo, więc się obejrzałem. Upadł na kolana, pocił się obficie, a jego pierś falowała gwałtownie.

Richard zawył triumfalnie.

– Joe – powiedziałem. – Musisz...

Pazury Joego, czarne i ostre, wysunęły się, nim skończyłem mówić. Bariera zamigotała, kiedy położył je na piersi ojca, nad

sercem, rozcapierzając palce niczym pięć sztyletów.

Załamującym się głosem Joe spytał:

– Pamiętasz? Tamten dzień, który spędziliśmy w lesie. Ganiałiśmy wiewiórki. Powiedziałeś mi, że cieszysz się, że jestem twoim synem.

Thomas uśmiechnął się swoim pełnym spokoju uśmiechem.

– Ja też cię kocham.

Joe przebił jego pierś.

Świat jest wielkim i strasznym miejscem. Tego nauczył mnie Gordo. Powiedział, że prawdopodobnie gdzieś tam czyha na mnie wszystko, co tylko potrafię sobie wyobrazić. Były takie pytania, których nie zadałem, bo bałem się odpowiedzi, które mógłbym otrzymać. Były też takie, o których zadaniu nie pomyślałem, ale na które odpowiedzi pewnie i tak by zachowano przede mną w tajemnicy. I były też takie pytania, na których zrozumienie nie byłem nawet przygotowany. Dlaczego mój ojciec oszczędł? Dlaczego Joe mnie wybrał? Jakie było moje miejsce w tym wszystkim?

W jaki sposób Joe zostanie Alfą?

Ale on wiedział. Musiał wiedzieć, bo się nie zawahał. Nie w tym wypadku. Nie, kiedy podjął decyzję. Zastanawiałem się, kiedy Thomas powiedział mu, co robić. A może to był instynkt? Coś, co po prostu się wie od zamierzchłej przeszłości.

Pazury Joego przeszły skórę jego ojca, wbijały się tak długo, aż jego dłoń legła płasko na piersi Thomasa. Richard wrzasnął z wściekłości, lecz z początku nic się nie wydarzyło. Pomyślałem, że może coś poszło nie tak. Choć, po prawdzie, nie wiedziałem, czego się spodziewać, kiedy jeden Alfa przekazuje swoją moc drugiemu.

Nadal gówny wiedziałem o wilkołakach.

Zaczęło się od mrowienia na skórze. Jakby ktoś szeptał mi do ucha.

Joe się nie poruszał.

Thomas się nie poruszał.

Po chwili poczułem na skórze c i a r k i. Poczułem, że coś wzbiera w mojej głowie i sercu, i zastanawiałem się, czy tak czuje się człowiek rażony piorunem. Więzy ze stadem p o j a w i a ły się nagle, jedna po drugiej, w mojej piersi, czułem je wszystkie, każdą z osobna, a także dojmującą ulgę, tak z i e l o n ą z i e l o n ą z i e l o n ą, bo oni żyli, wszyscy żyli, ale i b ó l, bo więź z Carterem była mocna, tak jak i z Markiem, i Elizabeth, i Kellym, i Gordem (bo on t a k ż e tam był, po raz pierwszy jak prawdziwy członek w a t a h y, aż czułem smak jego magii z tyłu języka, lekko zabarwiony ozonem i gorzki).

Był też J o e, więź z Joem była spośród nich najżywsza, najsilniejsza, emanowała taką m o c ą, że ledwie mogłem oddychać.

No i Thomas. Thomas również tam był. Ale więź z nim zbladła. Nić była cienka. Słabsza, niż miała prawo być. Jakby ledwo się trzymała.

Bariera wskoczyła z trzaskiem na miejsce. Thomas otworzył oczy. Błysnęły przytłumionym pomarańczowym światłem. Odetchnął z taką zieloną ulgą. Powiedział:

– Ox, wilk jest tak silny jak postronek, który go trzyma.

Powieki mu opadły. Wypuścił powietrze. Jego pierś nie uniosła się po raz kolejny. Nić pękła i zniknęła.

Joe powiedział:

– T a t o.

Sierść wyrosła mu na policzkach. Twarz zaczęła się wydłużać jak zawsze podczas połowicznego przeobrażenia. Wargi zrobiły się wąskie. Zęby zmieniły w ostre szpikulce. Odchylił głowę do tyłu i zaśpiewał pieśń Alfy z szeroko otwartymi, płonącymi czerwienią oczami.

Richard odszedł.

Osmond odszedł.

Robert Livingstone nigdy się nie pojawił.

Większość Omeg zginęła.

Te, które przeżyły, czmychnęły.

Ale oczywiście pomyślałem o tym wszystkim dopiero później.

otwarte rany / droga do domu

Wiedzieli. Pozostali członkowie watahy. Jeszcze zanim znaleźli nas pod dębami, wiedzieli. Poczuli moment, w którym umarł, tak samo jak ja. Może nawet dotkliwiej, zważywszy na fakt, że wciąż byłem człowiekiem.

Carter i Kelly wypadli spomiędzy drzew pierwsi. Biegli na czterech łapach, a z ich gardeł dobywał się przenikliwy skowyt. Zatrzymali się zwinnie, jak tylko nas zobaczyli: Thomas nadal leżał na trawie. Joe klęczał, zwiesiwszy głowę nad ojcem, pazury trzymał po bokach. Gordo opierał się o drzewo z twarzą w dłoniach, a jego tatuaże świeciły jasno.

Ja odrętwiałem z żalu po matce, z której zostało jedynie ciało przykryte kocem. Z żalu po Thomasie, którego ciało jeszcze nie ostygło, a rany nie przestały broczyć krwią.

Pierwszy odblokował się Carter. Podszedł i przejechał nosem po ramieniu Joego. Po szyi. Po włosach. Oddychał krótkimi zrywami, wciągając w nozdrza zapach nowego Alfya. Futro miał pozlepiane krwią i oszczędzał prawą przednią łapę, ale nie przestawał przyciskać się do brata.

Kelly w końcu ruszył w ich kierunku, z okrągłymi oczami i otwartą paszczą, z której raz za razem wydobywały się skomlenie i ciche poszczekiwanie. Zostawił Cartera i Joego samych, zwałił się

u stóp ojca i obwącichiwał jego palce. Łydki. W końcu położył łeb na nogach Thomasa i zaczął drzeć.

Wówczas przyszedł Mark. W ludzkiej postaci. Podczas gdy pozostałe wilki były nagie, on miał na sobie obszarpane spodnie, postrzępione, porozdzierane, wymazane brudem i posoką. Otwarte rany zasklepiały się powoli. Na prawym barku miał paskudne ugryzienie, które wyglądało, jakby wyszarpięto mu spory kawał ciała. Zrobił chwiejny krok w stronę Thomasa i pozostałych, lecz się zatrzymał i zacisnął w pięści ręce, które zwisały po bokach ciała. Najwyraźniej zmienił zdanie, bo podszedł najpierw do Gorda i wyszeptał coś, co nie do końca usłyszałem. Gordo nie podniósł wzroku, lecz pokręcił głową. Mark omiótł szybkim spojrzeniem linię drzew. Wzrok miał surowy, szczęki zaciśnięte.

I wtedy nadeszła ona.

Poruszała się powoli, nie potrafiłem stwierdzić, czy z żalu, czy z powodu odniesionych ran. Strzaskane serce potrafi ciążyć bardziej niż złamana kończyna. Była w wilczej postaci, za co poczułem egoistyczną wdzięczność. Wilczy pysk nie może wyrazić równie bogatych emocji jak ludzka twarz. Smutek wyryty na jej wilczym pysku był niczym w porównaniu z tym, jaki malowałby się na jej ludzkim obliczu.

Nie sądziłem, bym był w stanie go znieść. Zrobiło mi się zimno. Zacząłem szczekać zębami.

Carter przestał ocierać się o Joego i teraz trącał pyskiem ojca. Wydawał z głębi gardła takie odgłosy, jakby błagał Thomasa, by wstał.

Kelly skomlał, leżąc na jego nogach, usiłował zagrzebać się w zapachu ojca.

Joe oddychał ciężko, nozdrza mu się rozszerzały, a krew ciekła z miejsc, gdzie wbił sobie pazury w zaciśnięte dłonie.

Mark stał na straży.

Gordo siedział oparty o drzewo z głową na kolanach, a jego tatuaże poruszały się dziko. Kruk podleciał w górę ramienia i zniknął pod rękawem koszuli. Wyłonił się znów na szyi i rozłożył skrzydła tak, że sięgnął ucha.

Za to Elizabeth... Nie podeszła do męża ani do dzieci. Ani do szwagra. Podeszła do mnie. Powoli. Na sztywnych łapach. Wcisnęła nos we wnętrze mojej dłoni. Moje palce zwinęły się koło jej ucha, którego drganie czułem na skórze.

Naparła mocniej.

Spojrzałem w dół.

Myliłem się, sądząc, że powinienem być wdzięczny za jej wilczą postać ze względu na brak człowieczeństwa. Bo jej oczy były najbardziej ludzkie ze wszystkich. I emanowały żalostí.

Przerwałem ciszę. Wydukałem:

– Tak mi przykro. – Ponieważ powinienem był zrobić więcej, żeby go obronić. I może gdybym nie pozwolił mu się odciągnąć, wszystko byłoby w porządku. Gdyby nie stanął między Richardem a mną, Elizabeth nie straciłaby towarzysza życia.

Chwyciła łagodnie moją dłoń pyskiem, a jej zęby pozostawiły wgłębienia na skórze. Przez ułamek sekundy myślałem, że mnie ugryzie. Myślałem, że przeleje moją krew za to, że pozwoliłem, by to się stało. Nie protestowałbym. Ale zamiast tego szarpnęła mnie za rękę i pociągnęła w stronę pozostałych.

Nic nie rozumiałem. Ale i tak za nią poszedłem. Nie puściła mnie. Nie spuszczała ze mnie wzroku. Cofała się powoli, krok za krokiem,

wpatrując mi się w oczy. Skupiłem się na niej, bo coraz ciężiej było mi oddychać.

Docierały do mnie odgłosy. Słyszałem, jak Gordo jęczy cicho łamiącym się głosem. Słyszałem, jak Kelly d y s z y, drżąc przy ciele ojca. Słyszałem coś, co można było uznać jedynie za szloch, a co dochodziło od Cartera.

Z kolei Joe... Joe nie wydawał żadnych dźwięków. A przynajmniej żadnych słyszalnych. Ale ja go czułem. Jego przerażenie. Jego udrękę. Jego wściekłość. Były głośniejsze niż odgłosy pozostałych. Chwytały mnie za serce. P r z y t ł a c z a ł y mnie.

Lecz Elizabeth nie puszczała mojej dłoni. A ja wiedziałem, co chce zrobić.

Wyszeptała: *CzłonkuStadaSynuUkochany.*

Wyszeptała: *należysz do nas.*

Wyszeptała: *należymy do ciebie.*

Wyszeptała: *czuję twój ból, czuję twoją rozpacz. Doznaliśmy straty. Ja doznałam straty. Lecz ty również.*

Wyszeptała: *proszę nie wiń nas. Proszę nie czuj do nas nienawiści.*

Wyszeptała: *nie powinna zostać ci odebrana. Tak samo jak nie powinna zostać odebrana nam.*

Pozwoliłem, by mnie pociągnęła. Pozwoliłem, by jej słowa napływały do mnie przez nici. Przez więzi. Inni także ją słyszeli. Słyszeli, co mówi. Nawet Gordo, który podniósł zaskoczony głowę, wpatrywał się w Elizabeth, kiedy mnie holowała. W jakiś sposób stał się częścią tego. Częścią nas.

Dotarła do synów i męża, wpadła tylnymi łapami na Kelly'ego, który nawet nie otworzył oczu. Zacisnęła szczęki tylko odrobinę mocniej, nim puściła moją rękę. Usłyszałem oznaki zbliżającej się

transformacji i Mark ruszył w naszą stronę. Elizabeth usiadła obok głowy męża, pochyliła się i zlizwała krew z jego twarzy. Obok niej usiadł szwagier w postaci wielkiego, okazałego basiora, największego z nich wszystkich.

Przynajmniej na razie. Bo chociaż nie minęło wiele czasu, Thomas stał się mniejszy niż za życia. Nie wiedziałem, czy za sprawą śmierci, czy dlatego, że zmarł jako Beta, lecz zmałał. Stał się mniej okazały.

Joe się nie zmienił, poza tym, że jego oczy wyglądały jak wypełnione krwią. Ale czułem go inaczej. Promieniował jakąś energią, silniejszą niż kiedykolwiek. Nie rozumiałem, co oznacza bycie Alfą. Nie rozumiałem, co oznacza bycie wilkiem. Bycie związanym z terytorium tak jak on teraz. Chciałem go dotknąć. Ale nie mogłem podnieść ręki.

Nie odszedł od ojca.

Carter i Kelly podnieśli się znad zwłok. Pozostali przeobrażeni. Usiedli w ten sam sposób co Mark, górując nad ciałem. Mark siedział po jego lewej, Carter i Kelly – u stóp.

Elizabeth odsunęła się od twarzy męża i usiadła koło jego głowy, przyciskając łapę do jego policzka.

Joe pozostał przy jego prawym boku.

Usadowili się wokół niego rozmyślnie, według pozycji w stadzie. Czekali. Nie wiedziałem na co. Dopóki wszyscy nie spojrzeli na mnie. Poza Joem.

Zaprzagnąłem stamtąd uciec. Zniknąć między drzewami. Odnaleźć ciało matki i położyć się obok niej. Zamknąłbym oczy i zasnął, a kiedy bym się obudził, okazałoby się, że to wszystko było tylko

snem. I chociaż czułem ból, chociaż czułem w s z y s t k o, okazałoby się, że to był sen, bo przecież to nie mogła być prawda.

Ale w mojej głowie panowała czerń. W moim sercu – żądza mordy. I wszystko wydawało się realne. Nie mogłem się ruszyć. Wilki czekały.

Gdzieś między drzewami zaświergotała sieweczka. Dziwny ptak. Śpiewający nocą. Pomyślałem, że może cały las wstrzymuje oddech.

Za moimi plecami odezwał się Gordo:

– Czekają na ciebie.

Nie odwróciłem się, żeby na niego spojrzeć. Nie potrafiłem. Nie kiedy wilki mnie obserwowały.

– Jesteś członkiem ich stada – wyjaśnił. – Jesteś częścią tego.

W moich uszach znów odezwał się ten cichutki głos, ten złośliwy cichutki głos, który szepnął mi, że tak naprawdę nigdy nie miałem w tej kwestii wyboru. Że gdyby trzymali się ode mnie z daleka, nic z tego by się nie wydarzyło. I nie czułbym się tak winny, jak się czułem. Mama byłaby w kuchni. Strząsałaby mi z ucha bańki mydlane.

Carter zaskomlił na mnie miękkim, niskim głosem i opuścił uszy. Ponieważ pewnie czuł, co myślę. Może nie rozumiał dokładnie słów i szczegółów, ale sedno sprawy – tak. Jak oni wszyscy.

Przełknąłem to więc i pozwoliłem, by spłynęło po gardle. Zapieкло. Poczulem dłoń Gordy na ramieniu. Kątem oka dostrzegłem, że jego tatuaże pulsują i skręcają się.

– Ty też to czujesz – powiedziałem.

Westchnął. To mi wystarczyło za całą odpowiedź.

Strząsnąłem jego rękę. Zrobiłem krok do przodu. Potem kolejny. I jeszcze jeden. Aż zająłem swoje miejsce. Obok Joego. Uklęknałem

u jego boku. Trąciłem go ramieniem. Siedział sztywno, nieruchomo. Wpatrywał się w ojca, a krwistoczerwone oczy lśniły w ciemności.

Coś się wyjaśniło, kiedy zająłem swoje miejsce obok niego. Nie było to wiele, zwłaszcza w obliczu wszystkiego, co się wydarzyło. Ale było. Bo on był teraz moim Alfą. A ja byłem jego towarzyszem życia.

– Dlaczego wyjecie? – spytałem kiedyś Thomasa.

Zagrzebał palce bosych stóp w ziemi i trawie i oparł się o drzewo. Nad naszymi głowami świeciło słońce.

Odrzekł:

– Na wolności wilki wołają do siebie nawzajem. Może to być ostrzeżenie dla innych, które próbują wkroczyć na ich terytorium. Może to być wezwanie, dzięki któremu zbierają członków stada. Wycia używa się też podczas polowań. Aby wskazać położenie. A czasem wilki wyją razem. Aby pokazać, że są szczęśliwe. Żeby wydawało się, że są większą grupą niż w rzeczywistości. Nazywamy to wyciem grupowym i brzmi naprawdę pięknie.

– I właśnie dlatego to robicie?

Zamknął oczy i uśmiechnął się. Rozbawiłem go. A ja byłem nim oczarowany.

– Myślę, że robimy to dlatego, że lubimy słuchać brzmienia naszych własnych pieśni. Jesteśmy narcystycznymi stworzeniami.

– Jego uśmiech nieco zbladł. – Chociaż czasami pieśni są po to, by wyśpiewać członkowi stada drogę do domu. Łatwo zabłądzić, Ox, bo świat to wielkie i straszne miejsce. I od czasu do czasu każdemu trzeba przypomnieć drogę do domu.

Po tamtym dniu długo ze sobą nie rozmawialiśmy.

Nie byłem wilkiem. Nie sądziłem, że kiedykolwiek się nim stanę. Nie z własnego wyboru. Ale straciłem dwóch członków stada.

Odchyliłem głowę do tyłu. Oczy mnie zaszczypały. Gwiazdy na niebie się rozmyły. Powiedziałem:

– Och, Boże.

Głos, który wydobył się z moich ust, był ochrypły. Odchrząknąłem, kiedy gardło próbowało mi się zacisnąć. Pomyślałem o matce. Pomyślałem o Thomasie. Straciłem ich. Musiałem wyśpiewać im drogę do domu. I tak zrobiłem.

Dźwięk łamał się, jakby spękany, rozbity. I, choć niezbyt głośny, drażnił mi uszy. Ale włożyłem w niego wszystko, co mogłem, chociaż zdałem sobie sprawę, że być może wciąż nie byłem mężczyzną, za którego chciałem uchodzić, bo moje policzki stały się wilgotne, a oddech wiązał mi w piersi.

Mój skowyt szybko ucichł. Wziąłem kolejny wdech. Mark zawył wraz ze mną, jego głos był melodyjny i pełen rozpacz. Carter i Kelly dostroili się do nas, włączając się w naszą pieśń.

Elizabeth podjęła śpiew, kiedy nabieraliśmy tchu. Jej skowyt był wysoki i długi. Pieśń zmieniła się za jej sprawą, ze względu na to, co straciła, a wilki wzięły jej melodię i uczyniły swoją, jakby ich głosy były wysadzane jej głosem, oktawy wyżej i niżej.

Na obrzeżu poczułem Gorda. Poczułem jego wahanie. Jego respekt. Jego smutek. Nie wył, lecz jego magia śpiewała za niego. Była w ziemi pod nami. W drzewach wokół nas. Nie wył, ale też nie musiał tego robić. Poczuliśmy to, tak czy siak.

Obok mnie Joe się przemienił. Przeobrażenie przebiegło sprawniej, niż kiedykolwiek widziałem. W jednej chwili siedział obok mnie smutny chłopiec, zagubiony i zakrwawiony, a w następnej – wilk jaśniejący bielą wśród ciemności. Już był większy niż poprzedniej nocy, jego łapy urosły dwukrotnie w porównaniu ze swoim pierwotnym rozmiarem. O ile wcześniej sięgał mi do pasa, teraz pewnie sięgałby do piersi, gdybym wstał. Nie był tak masywny jak ojciec. Większy, owszem, lecz nadal szczupły i żylasty. Sądziłem, że z czasem, w miarę upływu lat, to się zmieni.

Pozostali pozwolili, by ich pieśni rozbrzmiały echem i zamarły wśród drzew, a sami czekali.

Joe popatrzył na każdego z nas po kolei. Na mnie jego wzrok zatrzymał się najdłużej. Jego pieśń była głębsza niż kiedykolwiek wcześniej. Wyczuwałem każdą pojedynczą emocję (*cierpienie ból miłość o boże dlaczego dlaczego dlaczego*), którą w nią wkładał, i mogłem tylko starać się usilnie, by się nie rozpaść.

Tam, w lesie, pod księżycem w nowiu i kłamliwymi gwiazdami, wyśpiewaliśmy członkom naszego stada drogę do domu.

Po tamtych wydarzeniach wszystko działało się bardzo szybko.

Kolejne trzy dni były niczym trąba powietrzna. Dom Bennettów wypełnił się osobami, których nigdy wcześniej nie widziałem. Wchodzili z Joem, Markiem, Elizabeth i Gordem do gabinetu Thomasa i znikali na całe godziny. Wszyscy byli wilkami. Ci, których nie znałem, szeptali coś po cichu do siebie nawzajem. Przyglądali mi się, gdy Carter i Kelly leżeli zwinięci wokół mnie, wciąż

przeobrażeni, skomlać żałośnie, podczas gdy ich łapy kopały w snach, które im się śniły. Nie dałem się zastraszyć nieznanym. Śmiało patrzyłem im w oczy.

Docierały do mnie tylko fragmenty rozmów. Richard zszedł do podziemia. Roberta Livingstone'a nie udało się odnaleźć. Z kolei Osmond... Osmond okazał się niespodzianką. Nikt nie przypuszczał, że przeszedł na stronę wroga. On także zniknął.

Dręczyło to wilki. Wiedza, że mieli w swoich szeregach zdrajcę. Zwłaszcza kogoś tak wysoko postawionego jak Osmond. Nie winię ich. Ale z pewnością nie ufałem nikomu spośród gości Bennettów, których nie znałem. Odnosiłem wrażenie, że było im trudno ufać sobie nawzajem.

Elizabeth nie pozwoliła mi wrócić do domu. Powiedziała, że to nie w porządku. Nie teraz. Może jeszcze długo nie. Zamieszkałem w pokoju Joego. Spałem w jego łóżku. Tyle że Joego nigdy tam nie było.

Powiedzieli, że to było włamanie, podczas którego coś poszło nie tak. Że mama wróciła do domu i zastała w nim kogoś obcego. Ja oczywiście miałem alibi. Przebywałem wówczas z Bennettami. Z Bennettami, których wszyscy szanowali. Których wszyscy podziwiali. Może i mieszkańcy miasteczka ich nie rozumieli, ale rozumieli to, jak Bennettowie się nosili. Rozumieli majątek, który zgromadzili. Rzeczy, które zrobili dla miasteczka.

Koroner powiedział, że gardło mojej matki wyglądało tak, jakby zostało poderżnięte nożem z ząbkowanym ostrzem. Powiedziałem policji, że nie mieliśmy w domu niczego takiego. Najwidoczniej intruz przyniósł narzędzie zbrodni ze sobą.

„A gdzie jest Thomas?”, spytał policjanci.

„Wyjechał w interesach”, odparła Elizabeth. „Za granicę. Na kilka miesięcy”.

Później zamierzała ogłosić, że zmarł na zawał gdzieś za morzem. Ale na razie mówiła, że po prostu go nie ma.

„Kiedy wróci?”, dopytywali policjanci.

„Miejmy nadzieję, że jak najszybciej”, odparła.

Jakimś cudem głos jej nawet nie drgnął. Osoby postronne nie mogły dostrzec pęknięć. Ale ja je widziałem.

Mamę pochowano we wtorek. We wtorkach nie było niczego szczególnego, ale ten okazał się pierwszym dniem, kiedy mogliśmy to zrobić. Mieszkańcy miasteczka opłakiwali ją razem z nami. Razem ze mną.

Kaznodzieja wygłosił kilka uspokajających frazesów o Bogu i tajemnicach jego planu. Powiedział, że być może nigdy nie zrozumiemy, dlaczego dzieją się takie rzeczy. Że jedyne, co możemy zrobić, to mieć nadzieję, że kiedyś się dowiemy, że nic nie dzieje się bez powodu.

Słońce świeciło jasno, kiedy składano ją do ziemi. Wataha nie opuszczała mojego boku. Przez całą ceremonię Joe trzymał mnie za rękę, ale nie rozmawialiśmy ze sobą.

Tanner, Chris i Rico też przyszli. Odepchnęli wszystkich z drogi i nawet nie trudzili się ściskaniem mi ręki. Wszyscy trzej po prostu opletli mnie ramionami i trzymali ze wszystkich sił. Poczułem od nich jakiś blask, który sprawił, że po skórze przeszły mi ciarki, lecz zginął pod ciężarem tego, z czym przyszło mi się zmierzyć.

Jessie również się pojawiła. Zaczekała na swoją kolej, żeby przede mną stanąć. Wyszepiała mi coś, czego nie udało mi się zapamiętać. Przycisnęła usta do mojego policzka, by obdarzyć mnie długim, słodkim całusem.

Joe przyglądał się, kiedy ścisnęła mi dłoń. Odwrócił wzrok, kiedy sobie poszła.

Później, gdy odstałem swoje, pozwalając ludziom płakać nade mną, potrząsać moją ręką i mówić mi, jak bardzo im przykro, stanąłem nad dziurą w ziemi, w której leżała mama. Miała zostać zasypana dopiero, jak wszyscy sobie pójda.

Wataha stała trochę dalej, pomiędzy drzewami. Czekala.

To było niesprawiedliwe. Nic nie było fair.

Powiedziałem:

– Tak mi przykro. – I pomyślałem o dniu, w którym położyliśmy się na plecach, ona w ślicznej sukience z niebieskimi kokardkami, i patrzyliśmy, jak nad nami płyną chmury.

Ciało Thomasa zostało spalone we wtorek w nocy. Nie było nic szczególnego we wtorkach, ale tamtego popołudnia już i tak pochowaliśmy moją mamę, więc lepiej było załatwić wszystko za jednym zamachem.

Ci sami ludzie, którzy wypełniali dom w dniach po ataku Richarda, teraz wypełniali las. Niektórzy pozostali w ludzkiej postaci, lecz większość zmieniła się w wilki. Wszyscy członkowie mojego stada przeobrazili się, nie licząc mnie i Gorda. Ale my także z nimi szliśmy; Elizabeth i ja kroczyliśmy po obu stronach Joego.

Pozostali zajęli miejsca z tyłu. Położyłem dłoń na karku Joego i trzymałem go z całych sił.

Nikt nie mówił o Bogu i jego nieskończonych planach. Właściwie panowała niemal zupełna cisza, kiedy patrzyliśmy na ciało Thomasa na szczycie stosu zbudowanego na polanie w lesie. Wilki zgromadziły się wokół mnie. Moje wilki. Wszyscy pozostali trzymali się na dystans.

Gordo zapalił ogień. Kiedy podszedł do stosu, zastanawiałem się, czy Thomas uznał go za członka stada, nim po raz ostatni zaczerpnął tchu. Czy poczuł, że czarownica w końcu powróciła. Nie rozmawialiśmy o tym. O tym, co to oznacza. O tym, co się teraz stanie. Nawet nie próbowałem. Poczułem się urażony tym, że nie wpuszczali mnie do gabinetu, że urządzali tajne spotkania, lecz odepchnąłem od siebie to uczucie.

Gordo położył obydwie dłonie na stosie. Jego tatuaże ożyły. Skłonił głowę. Pod jego palcami błysnął jęzor ognia. Liznął drewno i ogień zaczął się szerzyć.

Stałem i patrzyłem, jak Thomas płonie. Później Joe ich poprowadził.

To się nazywa chóralne wycie, wyszeptał Thomas. Harmonia sprawia, iż każdy napastnik myśli, że grupa jest większa niż w rzeczywistości.

Tak w istocie było. Miałem wrażenie, że są ich setki, nie dziesiątki.

Gordo wytlumił okolicę, tak by nikt w Green Creek się nie dowiedział. Jego magia okazywała się przydatna, kiedy nie próbował zaprzeczać należnemu sobie miejscu.

Mimo to zastanawiałem się, czy ludzie w miasteczku tego nie słyszą. Albo przynajmniej nie czują, że władza przeszła z jednego króla na drugiego. W końcu mieszkali w obrębie terytorium stada. Ja to poczułem. Poczuję wszystko. Poczuję żar ognia na twarzy.

Pieśni wokół mnie rozbrzmiewały głośniejsze, niż kiedykolwiek słyszałem. Wypatroszyły mnie. Sprawily, że moja skóra stała się napięta i łamliwa. Z tego, kim byłem ledwie kilka dni wcześniej, została tylko skorupa. Nie wiedziałem, czym zapełnić tę pustą przestrzeń. Nie wiedziałem, czy istnieje cokolwiek, czym mógłbym ją wypełnić.

W końcu ogień się wypalił. Pozostały z niego jedynie zgliszczka i popiół. Popiół, który miał później zostać rozniesiony po całym terytorium. Ale na razie nieznanym wilki sobie poszły. Nasze stado pozostało.

Wdychaliśmy dym, który wypełniał nam płuca, dopóki go nie wykaszleliśmy. Wtedy poszedł sobie Gordo. Z rękami w kieszeniach, z opuszczoną głową.

Następny odszedł Mark. Ruszył w stronę przeciwną do domu Bennettów, głębiej w las. Nie widzieliśmy go przez następne dwa dni.

Carter i Kelly odeszli razem z matką, idąc po obu jej stronach, podtrzymując ją w pionie, gdy potykała się na słabych nogach.

Zostaliśmy wtedy sami z Joem. Usiadł na tylnych łapach, przyglądając się dogasającym jęzorom ognia, ostatnim wybuchom iskier. Usiadłem obok niego i oparłem się o jego bok. Górując nade mną, wypuścił z sapnięciem powietrze. Przycisnąłem się do niego mocniej. Prychnął, oczy mu błysnęły. Żar bijący od stosu zaczął

zanikać. Lecz my pozostaliśmy. Rozkrzyczały się nocne ptaki.
Zahukała sowa.

Powiedziałem:

– Jestem tutaj.

Joe podrapał trawę olbrzymią łapą.

Powiedziałem:

– Jak tylko będziesz gotowy.

Uszy mu zadrgały.

– Coś wymyślimy.

Z głębi jego gardła wydobyło się skomlenie.

– Musimy.

Pochylił głowę i przejechał nosem po moim policzku. Po mojej szyi. Za moim uchem. Sapnął, wydmuchując na mnie swój zapach, czego nie robił od czasu, gdy został Alfą. Uwielbiałem to. I jego. Ale nie potrafiłem tego powiedzieć. Słowa uwięzły mi w gardle. Miałem więc nadzieję, że wyczuwa to w moim zapachu. Bo tylko tyle mogłem mu dać.

Wszystko powinno było się wówczas skończyć. To powinno być zakończenie tego straszego dnia. Ale nie było. Inne słowa wydobyły się z mojego gardła i powiedziałem ostatnią rzecz, którą należało powiedzieć. Ale zostałem pogrzebany. W gniewie. W rozpaczy. Dlatego nie myślałem o tym, co mogło się wydarzyć. Tylko o tym, czego pragnąłem. Powiedziałem:

– Wiele nam odebrał.

Powiedziałem:

– Odebrał nam część naszego stada.

Powiedziałem:

– Skrzywdził nas.

Zachłysnąłem się.

– Odebrał mi m a m ę.

Joe zaczął warczeć.

Powiedziałem:

– Uciekł.

Powiedziałem:

– Musimy go odnaleźć.

Powiedziałem:

– Nie możemy pozwolić, by przytrafiło się to komuś innemu.

Powiedziałem:

– Musimy chronić innych.

Powiedziałem:

– I musimy sprawić, by zapłacił za to, co zrobił.

To był koniec. Później zdałem sobie sprawę, że to był koniec. To była chwila, w której zaczęliśmy się żegnać.

aż do kości / stracić ciebie

Nadal niczego nie przeczuwałem. Może powinienem był. Ale nie przeczuwałem.

Opuściły nas. Po jakimś czasie. Dziwne wilki. Te, których nie znałem. Wróciły tam, skąd przyszły. Ale najpierw jeszcze raz odbyły tajne spotkanie. Nie mogłem zdobyć się nawet na to, by zadać jakiegokolwiek pytania. Zainteresować się, kim były. Wpatrywałem się w zamknięte drzwi. A potem sobie poszedłem. Wyjechały i zapanowała cisza.

Carter i Kelly spędzali całe godziny w lesie, przemykając niespokojnie między drzewami. Kiedy nie wracali na noc do domu, znajdowałem ich na polanie, leżących płasko na brzuchu nieopodal polaci wypalanej trawy, wybijających ogonami rytm, który tylko oni słyszeli.

Elizabeth znikwała na długi czas. Nigdy za nią nie poszedłem. Nigdy nie odkryłem, dokąd się udawała.

Mark stawał na werandzie i przeczesywał wzrokiem linię drzew. Wiedziałem, czego wypatruje, ale nie sądziłem, by postać, na którą czekał, miała się pojawić. Richard przepadł.

A ze względu na Gorda było mało prawdopodobne, by znów się pokazał. Ze względu na Gorda, który spędził kilka następných dni po ataku na wzmacnianiu barier ochronnych, postawionych przez niego wokół Green Creek. Teraz, kiedy ponownie został członkiem stada, zyskał dostęp do takich obszarów swojej magii, które wcześniej były dla niego niedostępne. Czułem pociągnięcia magii za każdym razem, gdy zrobił coś innego, dziwne uczucie, jakbym schodząc po schodach, ominął przypadkiem ostatni stopień.

Joe przesiadywał w gabinecie ojca. Ja starałem się utrzymać ich wszystkich razem. Kładłem się z Carterem i Kellym na trawie. Pod gwiazdami. Kiedy Elizabeth była w domu, pilnowałem, by jadła. Stawałem na ganku obok Marka, przeczesywałem palcami jego futro i obserwowałem.

Łaziłem za Gordem, przyglądałem się mu, kiedy mruczał coś pod nosem, i rozglądałem się, by mieć pewność, że nikt w Green Creek nie widzi, jak ruszają się tatuaże na jego ramionach. Powiedział, że to nie jest konieczne. Że nikt się nie dowie. Ale i tak chodziłem.

Joe ledwo się do mnie odzywał, nawet gdy był w ludzkiej postaci i nawet gdy byłem u jego boku. Nie rozumiałem, przez co przechodzi. Nie rozumiałem, co dał mu Thomas. Nie rozumiałem, co oznacza bycie Alfą. Mogłem tylko mieć nadzieję, że wystarczę jako jego postronek.

Oczywiście jego wcześniejsze zaloty całkowicie ustały. Nie przeszkadzało mi to. Wiedziałem, że musi się skupić na innych kwestiach. Na bardziej istotnych kwestiach.

Któregoś dnia poszedłem do pracy, tylko po to, żeby zrobić w końcu coś innego. Gorda nie było w warsztacie. Został z Joem i rozmawiał z nim o rzeczach, o których miałem nic nie wiedzieć. Być może popatrzyłem spode łba na nich obu. Odwzajemnili to spojrzeniem i pustym wyrazem twarzy. Być może trzasnąłem również drzwiami, kiedy wychodziłem z domu. Nie byłem z tego dumny. Z braku lepszego pomysłu, gdzie by tu iść, poszedłem do warsztatu.

Trzymałem się z dala od głównej ulicy miasteczka. Nie chciałem, by ktokolwiek mnie zatrzymywał. By silił się na rozmowę ze mną. By składał mi kondolencje. Miałem po dziurki w nosie kondolencji.

Pewnie nie pomogło to, że wkurzyłem się na Joego i Gordę, chociaż bardzo starałem się nie denerwować. Ale nigdy niczego przede mną nie ukrywali. Przynajmniej od czasu, gdy dowiedziałem się o istnieniu wiedźm i wilkołaków. Przynajmniej zazwyczaj.

Ale kiedy zobaczyłem warsztat po raz pierwszy od kilku dni, gniew zmalął. Widok stłumił smutek. Pomyślałem, że praca mogła stać się moją ucieczką. Przynajmniej na jakiś czas.

Wszedłem do warsztatu. Nad głową zadzwonił mi dzwoneczek zamocowany na drzwiach do poczekalni. Dźwięk sprawił, że zaczęło mnie trochę boleć serce, ale w dobrym znaczeniu tego słowa.

– Zaraz przyjdę! – zawołał jakiś głos z tylnej części warsztatu.

Znałem ten głos. Gardło mi się ścisnęło. Tylko troszkę.

– Witamy w warsztacie Gordy – powiedział Rico, wchodząc do poczekalni. Wycierał ręce szmatką i próbował wygrzebać smar spod paznokci. Szmatka wydzielala słodki zapach oleju kokosowego, w którego skuteczność Rico święcie wierzył. Ja i pozostali chłopacy używaliśmy wody z mydłem. Rico powiedział, że są gusta i guściki.

– Jak mogę państwu po...?

Stanął jak wryty i zaczął się gapić.

– Hej – powiedziałem. – Cześć. Cześć, Rico.

– Cześć. – Prychnął i pokręcił głową. – On mówi „cześć”. „Cześć”, jakby był jakimś małym... Przywlecz tu swoje dupsko, Ox.

Przywlokłem do niego swoje dupsko. Jego uścisk był przyjemny. Bardzo przyjemny.

– Dobrze cię widzieć – wyszeptał, oplótłszy mnie mocno ramionami.

Pokiwałem tylko głową wtuloną w jego szyję. Po chwili wciągnął mnie do hali napraw. Na podnośnikach stało kilka samochodów. Z radia ryczała ulubiona muzyka country Tannera, jakaś piosenka o mężczyźnie, którego wszystkie byłe mieszkania w Teksasie, ale on osiedlił się w Tennessee[14].

Sam Tanner nurkował pod maską toyoty corolli z 2012 roku. Wyglądało na to, że wymienia pasek rozrządu, podśpiewując piosenkę płynącą z radia.

Chris robił diagnostykę ciężarówki i wpatrywał się w ekran komputera, mrużąc oczy, chociaż okulary trzymał na czubku głowy. Powiedział mi kiedyś, że nie znosi tego, jak w nich wygląda.

Wzięłem głęboki wdech. Powietrze pachniało smarem, sadzą, metalem i gumą. Tak samo jak wtedy, kiedy byłem dzieckiem i przychodziłem tu z tatkiem, a Gordo proponował, że kupi mi napój z automatu. Brakowało tylko samego właściciela. Ale w porządku. Był teraz zajęty.

– Spójrzcie, co *gato*[15] nam przytargał – powiedział Rico.

Pozostali podnieśli głowy. Pomachałem im z zakłopotaniem. Obskoczyli mnie, zanim zdążyłem zrobić krok w tył. Śmiali się. Ściskali mnie. Dotykali mojej głowy. Przeczesywali palcami włosy.

Otaczali ramionami moje barki. Przytykali swoje czoła do mojego. Powtarzali, że mój widok jest kojący dla ich zbolątych oczu. Że się za mną stęsknili. Że jak będę gotowy, to każą mi pracować, aż urobię sobie ręce po łokcie.

Nie potrafiłem znaleźć odpowiednich słów, by powiedzieć to, co chciałem. Czasem, kiedy serce staje się pełne, odbiera ci głos i jedyne, co możesz zrobić, to trzymać się ze wszystkich sił.

Wróciłem do domu o zmierzchu. Nikt na mnie nie czekał na gruntowej drodze. Spodziewałem się tego. Ale i tak mnie to dotknęło.

Zachodzące słońce przeświecało przez drzewa. Przeciągnąłem dłonią po wysokiej trawie, która rosła wzdłuż drogi. Zastanawiałem się, dokąd zmierzam. Co robię. Ile czasu musi minąć, nim będę mógł znów odetchnąć swobodnie, bez tego ciężaru na piersi. Ile czasu musi minąć, nim moje stado pozrasta się na nowo. Ile czasu musi minąć, nim Joe znów się do mnie odezwie. W zasadzie to do któregośkolwiek z nas.

Zastanawiałem się nad wieloma sprawami. Zatrzymałem się przed domem. Przed swoim domem. Nie przed tym na końcu ulicy. Wpatrzyłem się w niego. Nakazałem sobie, by iść dalej. By iść do Bennettów. By tam zostać, jak robiłem przez ostatni tydzień. Musiałem sprawdzić, co u nich. Upewnić się, że wszystko z nimi w porządku. Upewnić się przynajmniej, że coś zjedli. Nie mogłem pozwolić na to, by wilki biegały głodne.

Wyobraźcie sobie więc moje zdziwienie, kiedy znalazłem się przed drzwiami frontowymi do mojego własnego domu, z dłonią

wiszącą nad klamką. Nakazałem sobie stamtąd odejść.

Położyłem dłoń na klamce i nacisnąłem. Ani drgnęła. Nie rozumiałem, co się dzieje. Po chwili zdałem sobie sprawę, że drzwi są zamknięte na klucz, chociaż nigdy nie zamykaliśmy ich na klucz. Nawet kiedy odszedł ojciec, bo nie mieliśmy ku temu powodów. Mieszkaliśmy w szczerym polu. Dom na końcu ulicy najpierw stał pusty, a potem zamieszkały w nim wilki. W miasteczku nie było żadnej przestępczości, nie było potworów, które wyłaziłyby nocami spomiędzy drzew. Przynajmniej wcześniej. To się zmieniło, a kiedy to sobie uświadomiłem, zadrżała mi ręka.

Nie miałem przy sobie klucza. Nie wiedziałem, gdzie jest. Nigdy go nie potrzebowałem...

„Położymy go tutaj”, powiedziała mama. „Na wszelki wypadek, gdybyś go kiedykolwiek potrzebował”. Zapasowy klucz. Ukryła zapasowy klucz pod gankiem i przykryła kamieniem. Pokazała mi go pewnego dnia, kiedy miałem dziewięć lat. Może dziesięć. Zanim się nad tym zastanowiłem, sięgałem ręką pod deski ganku.

Nie mogłem znaleźć kamienia. Zeschłe liście i pająki, owszem, ale nie ten pieprzony kamień...

Uderzyłem kłykciami o coś twardego. Wyciągnąłem go. Leżał mi w dłoni tak samo jak tamten w lesie. Ten, którym uderzyłem Richarda. Pod spodem... klucza nie było. Wziąłem wdech. Potrząsnąłem głową. Popatrzyłem jeszcze raz. Leżał tam. Po prostu trochę przysypany ziemią. Na nim zwinęła się kulanka o lśniącem szarym pancerzyku.

Podniosłem klucz i zdałem sobie sprawę, że ostatnią osobą, która go dotykała, była moja mama. Ojciec nigdy go nie używał. Nigdy go

nie potrzebował. Jeśli wracał późno do domu i wytaczał się ze swojej furgonetki, cały w oparach piwa, drzwi zawsze czekały na niego otwarte.

Ja też nigdy go nie używałem. Wracałem do domu ze szkoły. Z pracy. Z biblioteki. Ze spaceru w lesie, gdzie czułem, jak terytorium Thomasa buzuje mi w żyłach. To ona dotykała klucza jako ostatnia.

Przypomniałem sobie dzień, w którym po raz pierwszy założyłem własną koszulę roboczą, z moim imieniem wyhaftowanym starannym ściegiem.

Przypomniałem sobie pierwszy raz, gdy trzymałem Joego za rękę, małe tornado, które powiedziało, że pachnę laskami cukrowymi i sosnowymi szyszkami. Epicko i kapitalnie.

To wydawało się równie ważne. Wszedłem znów po schodkach. Włożyłem klucz do zamka. Zapadki zazgrzytały. Przekręciłem go. Oparłem czoło o drewniane drzwi i wciągnąłem ich zapach w nozdrza. Za moimi plecami gasło światło. Cienie się wydłużały.

Wyjąłem klucz z zamka i wsadziłem sobie do kieszeni, żeby się nie zgubił. Nacisnąłem klamkę i pchnąłem drzwi. Zazgrzytały zawiasy.

W domu cienie były głębsze. Zrobiłem krok do przodu i zaatakowały mnie zapachy domu, środka do czyszczenia mebli i płynu do mycia podłóg Pine-Sol. Zapach wiosennych kwiatów i jesiennych liści. Ciasta i przypraw. Pachniało ciepłem, ale ta woń też tam była, prawda? Smród zatłuszczonych centów przebijający się spod zapachu domu. Bo to wszystko to nie był sen. Czułem ból w piersi tak wyraźnie, że nie miałem wątpliwości.

Zamknąłem za sobą drzwi. W środku panowała ciemność. Postanowiłem iść do kuchni. Albo na górę. Do jej sypialni. Albo do mojego pokoju. Potrzebowałem czystych ubrań. Przez ostatni tydzień nosiłem ciuchy Cartera i chociaż cieszyłem się, że pachnę swoją w a t a h ą, chciałem pachnieć s o b ą. Tak, to był plan. Całkiem niezły. Pójdę na górę i zabiorę ubrania na zmianę, na k i l k a zmian, a potem...

Znalazłem się w salonie. Powiedziano mi, co tam zastanę. Jeden z tych obcych wilków mnie poinformował. Powiedział:

– Przykro mi. Próbowaliśmy. Usiłowaliśmy wyczyścić pomieszczenie, na ile się dało. Ale jej... wszystko wsiąkło. Wsiąkło w deski podłogowe. Ta...

Była tam. Ciemna plama o poszarpanych brzegach. Szorowano ją. Czyszczono myjką ciśnieniową. Z d r a p y w a n o. Ale wszystkiego nie udało się pozbyć. Krew mojej matki wsiąkła aż do kości domu. Ale była w tym jakaś sprawiedliwość. Ponieważ mama stanowiła jego część. To był j e j dom i u m a r ł a...

Wypadłem na trawnik przed domem. Wymiotowałem w trawę na czworakach. Gorąca żółć opryskała mi dłoń niedaleko kciuka. Wydałem z siebie chrapliwy, gardłowy jęk, aż nitka śliny zwisała mi z dolnej wargi. W jakiejś odległej myśli poczułem ukłucie strachu.

Rozległ się ryk, głębszy, niż kiedykolwiek słyszałem. Ukłucie przerodziło się w krzyk. Usłyszałem oddech dużego zwierzęcia. Odgłosy ogromnych łap dudniących po ziemi.

Kiedy wymiotowałem po raz kolejny, był przy mnie. Usłyszałem trzaski i skrzypienie kości i mięśni i nagle Joe znajdował się przede

mną, poruszał gorączkowo rękami, pocierał moje plecy i barki. Powiedział:

– O x.

– Joe – jęknąłem i wyplułem gorycz z ust. – Wszystko w porządku, w porządku, w p o r z ą d k u...

– Czułem to – odparł łamiącym się głosem. – Wszystko. W domu trudno cokolwiek zauważyć, bo w s z y s c y czujemy się tak samo. W s z y s t k i c h to dotknęło. Ale nagle cię nie było, a ja nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie się podziałeś, i to poczułem. Tak jakbym został użądłony dosłownie wszędzie. Wcześniej też zawsze to czułem, ale nie w ten sposób. Nigdy wcześniej nie doświadczyłem c z e g o ś t a k i e g o . Takiego jak t y .

– Ja nie...

– Tak właśnie musiał się czuć. Mój tata. C a ł y c z a s . Bo należysz do mnie... do mojej watahy. To jest... O x. To jest tak ogromne, że nie wiem, co z tym z r o b i ć .

Dziwnie było znów go słuchać po tygodniu niemal zupełnej ciszy. Brzmiał teraz tak samo jak wtedy, kiedy był dzieckiem, dzieciakiem, który nie odzywał się do nikogo przez piętnaście miesięcy i wdrapał się na mnie jak na drzewo, domagając się wyjaśnień, co tak pachnie. Przywróciło mi to równowagę, ledwie, ale jednak w jakiś sposób tak.

Milczał, gdy ja kołysałem się na piętach i próbowałem złapać oddech. Wsunął rękę w moją dłoń, nie dbając o to, że była spocona i śliska od zółci. Spytał:

– Dlaczego wszedłeś do środka?

Spojrzałem w niebo. Noc zajmowała miejsce dnia. Nad nami rozciągały się oranż, czerwień, fiolet i czern. Zauważyłem pierwsze nieśmiałe gwiazdy. Pierwszą bladą krągłość księżyca.

- Musiałem – odparłem. – Znalazłem klucz, no i musiałem.
- Nie możesz wchodzić tam sam.
- To mój d o m.

Oczy Joego błysnęły.

- Jestem twoim Alfą.

Na widok czerwieni jego oczu przeszedł mnie dreszcz, potrzeba, by obnażyć przed nim szyję i okazać posłuszeństwo, usłyszałem szept, który rozrósł się w burzę. Pociągnął za łączącą nas nić, aż od tego z a d y g o t a ł e m, aż musiałem zagryźć zęby, by zwalczyć to uczucie. Zamknąłem oczy i czekałem, aż minie.

Nie trwało to długo. Bo Joe się wycofał. Powiedział:

– O kurwa. Przepraszam. Bardzo przepraszam. – Oczy zrobiły mu się okrągłe i wyglądał tak niemożliwie młodo.

– Nie rób mi tego – powiedziałem ochryplym głosem – nigdy więcej.

– Ox, ja... My... Nie chciałem. W porządku? Przysięgam ci, że nie chciałem.

Ścisnął moją rękę tak mocno, że myślałem, że kości mi popękają.

– Wiem – odparłem. Bo wiedziałem. Nie był taki. Ostatnio w ogóle nie przypominał siebie. Wszystko tak strasznie się popieprzyło. – Wiem.

Wyglądał na przygnębionego, był tylko siedemnastoletnim dzieciakiem, na którego barki wszystko spadło. Ale nosił w sobie także gniew, cichy i pulsujący, a ja nie wiedziałem, jak ten gniew powstrzymać. Głównie dlatego, że tak bardzo przypominał mój własny.

Oświadczył:

- Nie możesz tam wrócić. Nie sam. Nie dopóty, dopóki my...

– Nie uda ci się tego naprawić – powiedziałem tak uprzejmie, jak tylko mogłem. – Jeszcze nie.

Wzdrygnął się, ale przytrzymałem jego dłoń.

– Ox, ja...

– Źle mnie zrozumiałeś.

– Ty... ty sam nie wiesz, co masz na myśli.

– Możliwe. Nie wiem. Teraz wszystko jest dziwne.

– Wiem.

– Ale to naprawimy.

– Wiem.

– Uda nam się – upierałem się.

Odwrócił wzrok.

– Musimy pogadać, Ox. Ja... podjąłem decyzję. Na temat tego. Na temat wszystkiego. Chciałbym, żebyś... Po prostu musimy pogadać, dobrze?

Zrobiło mi się zimno.

Staliśmy w gabinecie Thomasa. Cała nasza wataha. Po raz pierwszy od tamtej nocy, kiedy Richard zaatakował, wszystkie wilki były jednocześnie w ludzkiej postaci. Fakt, że staliśmy tam wszyscy razem, nie uszedł mojej uwagi, zwłaszcza że Gordo także z nami był.

Gordo, który najwyraźniej miał teraz swoje miejsce w stadzie. Coś wydarzyło się tamtej nocy, kiedy zginął Thomas, coś, co związało go z Alfą tak samo jak resztę z nas. Nie wiedziałem, czy stało się to za sprawą jego magii, zmiany Alfę czy połączenia obydwu czynników.

Gordo nie chciał o tym rozmawiać. Właściwie żadne z nich nie chciało o tym rozmawiać.

Pomyślałem, że istnieje bardzo realna szansa na to, że wszyscy poza mną wiedzą, co się za tym kryje.

Elizabeth była blada i wymizerowana, narzuciła sobie na ramiona kolorowy koc. Carter i Kelly stali ramię w ramię niedaleko Joego i marszczyli brwi. Mark wyglądał przez okno z rękami skrzyżowanymi na piersi. Gordo opierał się o przeciwległą ścianę i wpatrywał we własne dłonie. Joe usiadł przy biurku ojca. Wyglądał jak dziecko bawiące się w dorosłego. No i byłem jeszcze ja. Utrzymywany w nieświadomości ja.

Nikt się nie odzywał. Dlatego spytałem:

– Co wyście zrobili?

Wszystkie spojrzenia zwróciły się na mnie, ale ja nie spuszczałem oka z Joego.

Westchnął.

– Wyjeżdżamy.

– Co? Kiedy?

– Jutro.

– Wiesz, że nie mogę teraz wyjechać – odparłem. – Za dwa tygodnie mam spotkanie z prawnikiem mamy, który otworzy testament. Jest jeszcze nasz dom i...

– Nie ty, Ox – oznajmił Joe cicho.

Zamarłem.

– Mama też nie. Ani Mark.

Poczułem mrowienie na skórze.

Joe czekał.

– Czyli ty – powiedziałem powoli, nie do końca pewien, czy dobrze zrozumiałem. – A także Carter i Kelly.

– I Gordo.

– I Gordo – powtórzyłem głosem wypranym z emocji. – Dokąd się wybieracie?

– Zamierzamy zrobić to, co należy – odparł, wpatrując mi się w oczy. Czułem, jak coś narasta pomiędzy nami dwoma coś niedobrego. Coś bardzo niedobrego.

– Ale tego nie robisz – powiedziałem. – Dlaczego nic mi nie powiedziałaś o swoich planach?

– Teraz ci mówię.

– Bo tak należy... Dokąd się wybieracie?

– W ślad za Richardem.

Powinienem być się tego spodziewać. Ale się nie spodziewałem.

Słowa Joego uderzyły mnie, jakbym dostał cios młotem w klatkę piersiową.

– Dlaczego? – wykrztusiłem.

– Bo tak wiele nam zabrał – odparł Joe i zwinął dłonie w pięści. – Tak wiele nam odebrał, nam wszystkim. Mnie. Tobie. To ty mi powiedziałaś, że musimy...

– Byłem wściekły! – krzyknąłem na niego. – Ludzie mówią różne rzeczy, kiedy są wściekli.

– No cóż, ja nadal jestem wściekły. I ty także powinieneś być. OX, on...

– I co niby zamierzasz zrobić? – spytałem go. – Jak myślisz, co się może wydarzyć?

– Zamierzam szukać go dopóty, dopóki go nie dopadnę – oświadczył Joe i wysunął pazury. – I zamierzam go zabić za

wszystko, co mi odebrał.

– Nie możesz rozdzielić stada – powiedziałem. Zabrzmiało to dość desperacko. – Nie teraz. Joe, jesteś pieprzonym Alfą. Wataha cię potrzebuje. Wszyscy jej członkowie. Razem. Naprawdę myślisz, że zgodzą się na...

– Powiedziałem im już kilka dni temu. – Skrzywił się, a potem dodał: – Cholera.

Mrowienie się nasiliło.

– Że co zrobiłeś?

Popatrzyłem na każdego z nich po kolei.

Carter i Kelly wpatrywali się w podłogę. Mark i Elizabeth odwzajemnili moje spojrzenie. Oczy Elizabeth były zgaszone, bez wyrazu. Mark miał wyraz twarzy surowszy niż kiedykolwiek.

A Gordo... On...

– Ox... – zaczął mówić.

– Nie! – przerwałem ostro. – Z tobą policzę się później.

Westchnął.

Spojrzałem z powrotem na Joego. Wydawał się dotknięty, ale zdecydowany.

– Czyli postanowione.

– Tak.

– Po prostu ruszycie jego śladem.

– Tak.

– Wytropicie go i dopadniecie.

– T a k.

– A resztę z nas zostawicie tutaj, żebyśmy... Co właściwie? Czekali na was? Mieli nadzieję, że was nie pozabija? Mieli nadzieję, że nie wróci tutaj, gdzie zostawiliście nas bez ochrony? Czy tak się

zachowuje Alfa? – Nie chciałem powiedzieć tego ostatniego zdania. Samo wyszło. Zobaczyłem na twarzy Joego ból, nim ostrożnie nasunął na twarz maskę obojętności. Nigdy wcześniej nie zachowywał się wobec mnie w ten sposób. Nie ukrywał się. Byliśmy ze sobą szczerzy. Zawsze. Aż do ostatniego tygodnia, kiedy to najwyraźniej ukrył przede mną więcej tajemnic, niż sądziłem, że by potrafił.

Powiedział:

– Nie spodziewam się, że zrozumiesz, Ox. Przynajmniej nie całkiem. Ja po prostu muszę to zrobić.

– Nieprawda. Chuj a musisz. Naprawdę sądzisz, że Thomas by tego chciał? Naprawdę sądzisz, że tego dla ciebie chciał? Nie chciałby...

Oczy Joego błysnęły czerwienią. Kiedy się odezwał, słyhać było, że zaraz wysunie kły.

– Był m o i m ojcem, nie twoim. Nie masz prawa...

– Josephie – odezwała się Elizabeth, smagnęła go ostrzeżeniem jak biczem.

Lecz szkoda została już wyrządzona.

Zrobiłem krok w tył, nagle niepewny wszystkiego. Mojego miejsca w stadzie. U boku Joego. Zabawne, jak ledwie kilka słów sprawiło, że zacząłem wszystko kwestionować.

Joe wydał z siebie odgłos, jakby ktoś go ranił, miękki, łamiący się.

– Ox – jęknął. – Nie to chciałem powiedzieć.

Wiedziałem o tym. A przynajmniej wydawało mi się, że wiem. Ale i tak bolało bardziej niż cokolwiek. Zwłaszcza że usłyszałem to od niego. Mój ojciec wciąż mnie prześladował, chociaż została z niego tylko kupka kości leżących w ziemi.

I po raz pierwszy poczułem, jak moja własna maska wskakuje na miejsce, jak powstrzymuje ból. Gniew. Czyste przerażenie na myśl o tym, że Joe wyjeżdża. Nie bałem się o nas, o tych, którzy mieli pozostać na miejscu. Bałem się o niego.

Zadecydowali o tym wspólnie. Beze mnie. Jedyne go człowieka w stadzie.

– Na jak długo? – spytałem szorstko i zwięźle.

Wilki wyglądały na zaniepokojone. Gordo zmarszczył czoło.

– Ox – powiedział Joe miękkim głosem.

– Nie – odparłem. – Chcesz to zrobić? W porządku. Chcesz podejmować decyzje, nie licząc się ze mną? Nie krępuj się. Najwyraźniej sprawy mają się zupełnie inaczej, niż myślałem. Ale skoro jesteś zdolny do podejmowania takich decyzji, możesz też, do cholery, odpowiedzieć na moje pytania. Na. Jak. Długo?

Pusty wyraz zniknął z jego twarzy. Teraz wyglądał jak przestraszony chłopczyk, nie jak samiec Alfa watahy Bennettów. Niemal każdy kawałek mnie wrywał się do niego. Chciał objąć go mocno i już nigdy nie spuszczać z oka. W jakiś sposób to wszystko n a p r a w i ć, bo myślałem, że na tym polega moja praca.

Ale tego nie zrobiłem.

– Na tak długo, na ile będzie trzeba – odpowiedział cicho.

– A co z pozostałymi z nas?

– Zostaniecie tutaj.

– A jeśli on wróci? Albo przyjdzie ktoś inny? Omegi szukające sobie terytorium. Osoby takie jak Marie. Albo cokolwiek, co gdzieś tam się czai, a o czym żadne z was mi nie powiedziało.

– Założę... ochrony – odparł Gordo. Nawet na niego nie spojrzałem, cały czas wpatrywałem się w Joego.

– Takie same, jakie mieliśmy wtedy, kiedy zjawił się twój ojciec?
– spytałem. Kolejny cios poniżej pasa, lecz konieczny.

– Tym razem jestem lepiej przygotowany – odparł Gordo – bo wiem, czego się spodziewać. Richard nie da rady wrócić do Green Creek. Ani mój ojciec. Ani Osmond.

– Ale mogą przyjść inni.

– Nie przyjdą – wtrącił się Joe. Wydawał się mniej pewny siebie, niż powinien być, zwłaszcza jeśli usiłował brzmieć przekonująco.

Maska opadła.

– Skąd możesz to wiedzieć? Nawet cię tu nie będzie.

Joe się wzdrygnął.

– Żeby dobrze zrozumiał – kontynuowałem. – Moja matka umarła. Twój ojciec umarł. Ty zająłeś jego miejsce. A twoją pierwszą decyzją podjętą jako Alfa jest podzielenie stada, byś mógł się zemścić, tak?

Oczy Joego ponownie zaczęły krwawić czerwienią.

– Masz rację – powiedział chłodno. – J e s t e m Alfą. I zrobię to, co uważam za słuszne. Możesz się ze mną nie zgadzać, Ox, lecz uszanujesz moją decyzję, ponieważ to ja ją podjąłem.

– To tak nie działa – odparłem, chociaż znaczna część mnie żądała, bym obnażył przed nim gardło w geście uległości. – Sam fakt, że jesteś tym, kim teraz jesteś, nie oznacza, że będę ślepo za tobą podążał. Twój ojciec to rozumiał. Ty, jak sądzę, nie.

Jego pazury wyłobiły rowki w drewnianym blacie biurka, a z jego gardła dobyło się niskie warknięcie.

Carter i Kelly zaskomlili. Spoglądali to na mnie, to na niego. Elizabeth zbladła jeszcze bardziej. Nawet Mark wyglądał na zaniepokojonego. A Gordo, no cóż... Jebać go.

– Co, jeśli skrzywdzi kogoś innego? – spytał Joe, kiedy zdołał się opanować. – Co, jeśli spróbuje odebrać rodzinę komuś innemu? Myślisz, że mógłbym żyć spokojnie z czymś takim na sumieniu? On krzywdzi ludzi, Ox. I robi to, bo może. Nie mogę pozwolić, by to trwało.

– W takim razie wyruszmy wszyscy – odparłem. – Jeśli zamierzasz wyjechać, zabierz ze sobą resztę z nas.

Pokręcił głową.

– Nie. Absolutnie nie.

– Dlaczego?

– Bo nie chcę ryzykować życiem mamy. I nie możemy pozostawić terytorium bez ochrony.

Powstrzymałem się przed wytknięciem mu, że wcześniej Bennettowie opuścili Green Creek na wiele lat i nic się tutaj nie działo.

– W porządku – powiedziałem. – W takim razie Carter może zostać. Albo Kelly. Mark już jest na miejscu. Ale ja idę z tobą.

– Nie – sprzeciwił się.

– Dlaczego nie?

– Bo ja tak powiedziałem.

– To nie wystarczy.

– Naprawdę? – spytał. W jego głosie pobrzmiwała wściekłość. – Chcesz wiedzieć dlaczego, Ox? Bo właśnie straciłem ojca i mnie to zła mało. Jego śmierć boli bardziej niż cokolwiek, czego do tej pory doświadczyłem. Ale utrata ciebie? Ox, gdyby stało ci się coś złego, to by mnie zabiło. Dlatego nie. Nie jedziesz z nami. Zostaniesz tutaj, ponieważ kocham cię bardziej niż cokolwiek na tym parszywym świecie i nie obchodzi mnie, kurwa, czy cię to

wkurza, czy nie. Nie obchodzi mnie, czy mnie za to znienawidzisz, czy nie. Liczy się tylko to, że wiem, że będziesz bezpieczny. Właśnie dla tego, ty skurczybyku.

Niczego nie pragnąłem bardziej, niż powiedzieć mu dokładnie to samo. Ale naciskałem. Bo to nie było w porządku.

– Nie możesz wykorzystywać swoich uczuć do mnie, żeby mnie tu zatrzymać, Joe. To tak nie działa. Nie zamierzam stać z boku, żebyś mógł...

– Gównu mnie to obchodzi! – ryknął i walnął pięścią w biurko ojca. Błat pękł, drewno się rozłupało. – Jesteś moim postronkiem, Ox. Tak samo jak Gorda. Jak myślisz, co by się stało, gdybyśmy cię stracili?

– Ależ z ciebie dupek – odparłem. – Jezu Chryste, Joe.

– Decyzja została podjęta.

– Najwyraźniej. W takim razie nie wiem nawet, co ja tu robię ani dlaczego w ogóle rozmawiamy. Widzę, że i tak zrobisz, co zechcesz. Chcesz jechać? W porządku. Jedź. Nie będę stawał ci na drodze. Już nie.

– Ox...

– Podjąłeś decyzję?

Pokiwał głową i odwrócił wzrok.

– Dobrze – odparłem. – To teraz zmierz się z konsekwencjami. Odwróciłem się i wyszedłem.

zanim wyjedziesz / słodko-gorzki

Gordo znalazł mnie pierwszy.

Byłem niedaleko naszej polany, leżałem na plecach i wpatrywałem się w gwiazdy widoczne przez baldachim z drzew. Widziałem stamtąd, gdzie płonął stos pogrzebowy Thomasa, a ziemia została wypalona. Nie mogłem się zdobyć na to, by podejść bliżej.

Nie musiałem nawet podnosić wzroku, by wiedzieć, kto przyszedł. Zastanawiałem się, kiedy zacząłem wiedzieć wszystko o ruchach stada dzięki samej więzi. Pomyślałem, że większość pozostałych członków watahy znajduje się w pobliżu, lecz trzyma się na uboczu. Właściwie to wszyscy. Poza Joem. Jego w lesie nie było.

– Kiedy wychodziliśmy z domu – powiedziałem obojętnym tonem, śledząc wzrokiem gwiazdozbiór Wielkiego Psa – a ty ustawiałeś ponownie bariery, już wtedy wiedziałeś, prawda?

Zawahał się. Po chwili przyznał:

- Tak.
- Ale kazał ci nic mi nie mówić.
- Tak, ale byłem tego samego zdania.

Prychnąłem.

- Jakżeby inaczej.

Gordo westchnął. Widziałem kątem oka, jak porusza się w ciemności po mojej prawej.

– Nie myli się co do tego, Ox.

– Mówisz to dlatego, że Joe ma rację? Czy dlatego, że sądzisz, że coś mogłoby mi się stać?

Gordo nie odpowiedział. Jego milczenie mówiło wiele.

– Potrafię o siebie zadbać.

– Wiem – odparł.

– Gówniana sprawa, Gordo.

– No. – Usiadł obok mnie i przyciągnął kolana do piersi.

– A ty się na to zgadzasz.

– Ktoś musi przypilnować, żeby nie dał się zabić.

– I tym kimś jesteś ty. Bo należysz do watahy.

– Na to wygląda.

– Z wyboru?

– Tak mi się wydaje.

– Muszą być inni, którzy go szukają. Szukają ich. Ze względu na to, kim był Thomas. Przecież tego nie odpuszczają.

– Nie odpuszczają – zgodził się Gordo. – Ale też nie będą szukać w ten sam sposób co my.

– Czyli jak?

Jego tatuaże się rozjarzyły. Odwróciłem się od niego.

– Masz na myśli: żeby zabić.

Westchnął.

– Uważasz, że to w porządku?

– Nic w tej sprawie nie jest w porządku, Ox. Ale Joe ma rację. Nie możemy pozwolić, by komuś jeszcze stała się krzywda. Richard chciał dopaść Thomasa, ale ile minie czasu, nim zaatakuje kolejne

stado tylko po to, by zostać Alfą? Ile minie czasu, nim uda mu się zgromadzić następną grupę popleczników, większą niż poprzednia? Trop już zaczyna wietrzeć. Musimy to zakończyć, póki jeszcze możemy. Dla dobra wszystkich. Kieruje nami chęć zemsty, to jasne jak słońce, ale wynika z dobrych pobudek.

– Naprawdę w to wierzysz?

– Może. Joe wierzy. A mnie to wystarcza.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, każdy zatopiony we własnych myślach. Po jakimś czasie Gordo się odezwał:

– Przeprowadzę go z powrotem, Ox.

Wszystko mnie bolało.

– Możesz powierzyć mi to zadanie?

Nie chciałem, ale jeśli ktokolwiek mógł to zrobić, to tylko Gordo. To właśnie mu powiedziałem.

– Dobrze – odparł i wyciągnął nogę, żeby trącić mnie buciorem w biodro.

– Powinieneś z nim pogadać – zauważyłem. – Zanim wyjedziesz.

– Z Joem? – spytał zdeorientowany.

– Z Markiem.

– Ox...

– Co, jeśli nie wrócisz? Naprawdę chcesz, by myślał, że ci nie zależy? Nieźle byś zjechał, stary. Znasz mnie. Ale czasem wydaje mi się, że zapominasz, że ja znam ciebie równie dobrze. A może nawet lepiej.

– Cholera jasna.

– No.

– Kiedy ty się zrobiłeś taki mądry, co?

– Do licha, z całą pewnością nie miało to nic wspólnego z tobą.

– W takim razie będziesz musiał zrobić to samo.

Zmarszczyłem brwi.

– Co?

– Pogadaj z Joem, zanim wyruszymy. Nie możesz tak tego zostawić, Ox.

– Mógłbym – odparłem. – Bez większego trudu.

– Ale tego nie zrobisz.

– Jak do tego doszedłeś?

Gordo wzruszył ramionami.

– Bo go kochasz.

– Trzymał to przede mną w tajemnicy.

– Bo wiedział, jak zareagujesz.

– To nie sprawia, że działał słusznie.

– Wcale tak nie powiedziałem.

Obrzuciłem go gniewnym spojrzeniem.

– Powinieneś być mi powiedzieć.

Westchnął.

– Pewnie masz rację. Teraz już na to trochę za późno. Zapomniałem, jak to jest być częścią stada. Niby masz wolną wolę, ale miesza się ona z tym, czego chcą wilki. On jest Alfą. Muszę go słuchać.

– Ufasz mu?

– A ty?

Pokręciłem głową.

– Nie dałbym głowy, że o siebie zadba.

Gordo poklepał mnie po ręce.

– W takim razie dobrze, że z nim będę. I tak, wydaje mi się, że mu ufam. Co prawda jest młody, ale ja też byłem, kiedy to wszystko się

zaczęło. Przynajmniej tyle mamy ze sobą wspólnego.

– Czy to wystarczy?

– Przekonamy się.

Umilkliśmy na chwilę, a potem powiedziałem, tylko dlatego, że mogłem:

– Czyli zasadniczo zostałeś czarownicą siedemnastoletniego Alfya.

Kawał dobrej roboty.

Prychnął i pchnął mnie mocno.

– Spierdalaj mi z takimi tekstami.

– Kutas.

– Dziwka.

Roześmiał się.

Możliwe, że ja także. Tylko troszeczkę.

Wyjechał.

Czekałem na wilki, bo wiedziałem, że przyjdą. Pierwsi pojawili się Carter i Kelly. Opuścili uszy i podkulili pod siebie ogony. Położyli się na tyle daleko ode mnie, że ledwie dostrzegałem ich sylwetki w mroku, lecz na tyle blisko, że słyszałem ich błagalne skomlenie i posapywanie.

Kiedy ich nie zrugalem ani nie odeslałem, podeszli bliżej. I czekali. Jeszcze bliżej. I znów czekali. Nie minęło dużo czasu, nim uwalili się tuż przy mnie, przyciśnięci do moich boków, położyli mi łby na piersi i obserwowali mnie wielkimi oczami. Uszy im drgały, kiedy słuchali odgłosów lasu, ale nie odwracali ode mnie wzroku.

– Jestem wściekły na was obydwu.

Kelly zaskomlił i przycisnął mi nos do brody.

– Straszne z was palanty.

Carter sapnął i położył mi łapę na dłoni.

– Musicie dbać o siebie nawzajem – nakazałem im. – I o niego. Jeśli sytuacja zacznie wyglądać źle, jeśli walka zacznie was przerastać, zabieracie go i spieprzacie. Nie obchodzi mnie, że on jest Alfą. Walczcie z tym. Walczcie z nim. Jak będzie trzeba, przywleciecie jego dupsko siłą. Zrozumiano?

Błyszeli na mnie pomarańczowymi ślepiami. W głowie usłyszałem ich szept. Mówili: *bracie i ukochany, i prosimy nie gniewaj się na nas prosimy nie bądź na nas zły prosimy nie opuszczaj nas.*

Ale to nie ja ich opuszczałem. To oni opuszczali mnie.

Carter uciął sobie drzemkę. Kelly'emu wystawał jęzor z pyska, kiedy drapałem go za uszami. Wtedy dołączyli do nas Mark i Elizabeth. Ona była w wilczej postaci. On – nie. Szedł obok niej, nagi, z lekko przygarbionymi ramionami.

Czułem to, co czuła Elizabeth, ale w tym przypadku było inaczej niż z Carterem czy Kellym. Od niej płynęły fale bólu i rozpacz. Straszliwy smutek. Nie była zielona. Nie odczuwała ulgi. Pogrążyła się głęboko w błękitnej fazie, a ja nie wiedziałem, czy kiedykolwiek z niej wyjdzie.

Położyła się u moich stóp i zamknęła oczy. Nie minęło wiele czasu, nim zasnęła. Mark usiadł obok mnie. Powiedział:

– Sądzę, że ona tak zostanie. Przez jakiś czas.

– W wilczej postaci?

– Tak.

– Dlaczego?

Odparł:

– Łatwiej wówczas przetrwać różne rzeczy. Jako wilki właściwie wszystko pamiętamy, ale trochę inaczej. Na bardziej podstawowym poziomie. Trudniej nam zrozumieć zawiłości. Widzimy ogólny zarys sytuacji. Kształty. Szczegóły nam umykają. To jej sposób na radzenie sobie z traumą. Smutek wilka to coś zupełnie innego niż smutek człowieka. Przeważnie.

Zrozumiałem, o co mu chodziło. I pomyślałem, że może było to swego rodzaju oszustwo.

– Ja nie jestem wilkiem – zauważyłem.

– Nie – odparł.

– I serce mi pęka.

– Tak.

– I nie potrafię nie zwracać na to uwagi.

– Nie chodzi o to, że łatwiej sobie poradzić z problemami, Ox. Po prostu łatwiej je wtedy zrozumieć.

– Wydaje mi się, że nie rozumiem wielu rzeczy – przyznałem.

Powiedział:

– Ja też nie.

A potem dodał:

– Wiesz, będziemy cię potrzebować.

I jeszcze:

– Jesteś dla nas bardzo ważny.

– Dlaczego?

– Dlaczego jesteś ważny? Czy dlaczego będziemy cię potrzebować?

– Tak.

– Cierpimy, Ox – odparł. – Tak samo jak ty. Być może nie rozumiemy twojego bólu, ale i tak go czujemy. Każdy cierpi na swój sposób. A kiedy odchodzi członek watahy, zwłaszcza jeśli jest to Alfa, pojawia się wielka dziura, która otwiera się niczym otchłań, a my rozpaczliwie próbujemy ją zapełnić. Sprawić, żeby zniknęła. Albo przynajmniej o niej zapomnieć. Choćby na chwilę. Niezależnie od tego, czy chowamy się w tym celu nocą w lesie...

– Czy ruszamy w pogoń za tym, kto to rozpętał – dokończyłem. Uśmiechnął się w milczeniu.

– Wiesz, powiedziałem mu, żeby tego nie robił. Joemu. Powiedziałem mu, że popełnia błąd.

– Posłuchał cię?

– Chciałbym wierzyć, że tak.

– To nie wystarczy.

– Trudno się słucha tego, czego słyszeć się nie chce, kiedy jest się zdesperowanym i zna się jedynie gniew.

– Ale jest łatwiej, kiedy jesteśmy razem. Przecież od tego jest stado.

Mark pokiwał głową.

– Właśnie dlatego będziemy cię potrzebować. I mam nadzieję, że ty będziesz potrzebować nas. Bo my też tu jesteśmy, Ox. Przysięgam. Nie zostawimy cię samego.

Chciałem mu uwierzyć.

Zostawiłem ich w lesie.

Mark się przeobraził i zwinął koło Elizabeth. Carter i Kelly zaskomlili, kiedy wstałem, lecz znaleźli pocieszenie u pozostałych

członków stada. Wiedzieli, dokąd się udaję. Postanowili dać nam prywatność, której potrzebowaliśmy. Ale nie wiedzieli, o co mam zamiar go poprosić.

Podjąłem decyzję.

Moja mama wyszeptała: *Będę cię dobrze traktować.*

Thomas wyszeptał: *Obronisz to, co twoje. Jestem z ciebie taki dumny.*

Wydawało mi się, że idą razem ze mną przez las, ale nie byłem pewien. Nie wiedziałem, czy potrafię odróżnić wspomnienia od duchów. Łączące nas nici zostały przerwane. Ale poczułem, jak dłoń matki pogładziła mnie po uchu, a Thomas uścisnął moje ramię. Nie śniłem, bo czułem ból.

Joe wciąż był w gabinecie. Siedział w fotelu ojca i nieobecny spojrzeniem wpatrywał się w przestrzeń. Trudno było uwierzyć, że ledwie tydzień wcześniej poszliśmy na pierwszą randkę, która rozpała żywą, lecz skrupowaną nadzieję, która rozsadzała mi żołądek. Trudno było mi myśleć o tym, jak siedział przy naszym kuchennym stole, z muszką na szyi, i rozmawiał z moją mamą, jakby to, o co prosił, było jedyną rzeczą na świecie, w którą szczerze wierzył. Jakbym był kimś, z kogo mógłby być dumny.

Nie patrzył na mnie. Ale wiedział, że przyszedłem.

Usiłowałem znaleźć właściwe słowa, by wyrazić to, co czułem. Powiedziałem:

– Chcę, żebyś mnie ugryzł.

A Joe odparł:

– Nie.

Potem w pokoju na dłuższy czas zaległa cisza.

W końcu oznajmiłem:

– Wybór należy do mnie, Joe.
– Wiem – odparł i spojrzał na mnie. Wzrok mu się wyostrzał na moich oczach.

– I to ja podjąłem tę decyzję.

– Wiem.

– Chcę tego.

– Doprawdy?

– Tak.

– Wcześniej nie chciałeś. Wczoraj. W zeszłym tygodniu.

– Sprawy miały się inaczej. Wczoraj. I w zeszłym tygodniu.

I przez te wszystkie lata od czasu, kiedy Thomas mi to zaoferował.

– Kiedy?

Zamrugąłem.

– Co: „kiedy”?

Wyglądał na zmęczonego.

– Kiedy mój ojciec zaproponował ci, że cię ugryzie?

– Powiedział mi, że może to zrobić, jak skończę osiemnaście lat.

– Naprawdę?

– Wydajesz się zaskoczony.

Joe potarł twarz dłonią.

– Bo jestem. To znaczy... wiedziałem, że musiał ci to zaproponować. W którymś momencie. Po prostu nie wiedziałem kiedy.

– Nie powiedział ci?

– Dlaczego miałby to zrobić? Nie chodziło o mnie.

– Jesteś pewien?

– Nie widzę zw...

– Oczywiście, że tak było, Joe. Zawsze chodziło o ciebie. Tym właśnie jestem. Tylko tym teraz jestem – powiedziałem, bo nie uważałem się teraz za czyjegokolwiek syna. Już nie. Nie wiedziałem, czy kogoś w wieku dwudziestu trzech lat można uznać za sierotę, ale tym właśnie się stałem.

– A jednak nie przyjąłeś oferty.

– Nie.

– Dlaczego?

Przez chwilę zastanawiałem się, jak odpowiedzieć na to pytanie. Ale potem przypomniałem sobie, co mi kiedyś powiedział Thomas.

– Nie musiałem stać się niczym innym, by być członkiem waszego stada. By należeć do was wszystkich. Thomas powiedział, że jestem wystarczająco dobry taki, jaki jestem. I wydaje mi się, że musiałem to zrozumieć, zanim się stanę czymś innym.

– A zrozumiałeś? – spytał.

Spojrzałem na niego spode łba.

– Nie o to chodzi.

– Nie mam zamiaru cię ugryźć, Ox.

– Czyli to koniec, tak? Tak będzie, bo ty tak powiedziałeś?

– Jestem Al...

– Na mnie to nie działa – odparowałem. – Powinieneś o tym wiedzieć lepiej niż ktokolwiek inny. Gównu mnie obchodzi, jakiego koloru masz oczy. Jesteś J o e m, jasne? Więc ani mi się waży wciskać mi takie bzdety.

– Wyjeżdżam.

– Tym bardziej powinieneś mnie ugryźć. Żebym mógł zrobić, ile się da, kiedy ciebie nie będzie, bo będziesz, kurwa, robił to, co sobie wymyśliłeś.

– Ox. Wyruszamy jutro.

Czyżby p r ó b o w a ł zranić mnie jeszcze bardziej?

– Wiem.

Pokręcił głową.

– Nie mogę zostawić świeżo ugryzionego wilka samego, szczególnie nie członka stada. Jeśli kiedykolwiek zostaniesz ugryziony, to będziesz potrzebował Alfego blisko siebie, żeby pomógł ci przetrwać pierwszą pełnię księżyca. Nie zrobię tego dla ciebie, jeśli mnie nie będzie. Widziałeś, jak źle było ze mną, kiedy zmieniałem się po raz pierwszy. A przecież był przy mnie ojciec.

– Tym bardziej powinieneś zabrać mnie ze sobą.

Nozdrza mu się rozszerzyły i mógłbym przysiąc, że przez chwilę widziałem, jak zadrżała mu dolna warga.

– Wiesz, że nie mogę.

– Jebać to twoje „nie mogę” – warknąłem. – Robisz wszystko, co możesz, by dopilnować, żeby wszystko poszło dokładnie po twojej myśli. Od kiedy to mamy przed sobą tajemnice? Jest jeszcze coś, o czym mi nie mówisz? Jest jeszcze coś, o czym zdecydowaliście za mnie? Proszę, Joe. Powiedz mi. Powiedz mi, jak powinno od teraz wyglądać moje życie. Powiedz mi, co robić.

– Nie oczekuję, że zrozumiesz...

– No i n i e r o z u m i e m. Do bani, Joe. Wszystko jest, kurwa, do bani. Moja m a m a nie żyje. Twój t a t a nie żyje. A teraz jeszcze i ty chcesz mi siebie odebrać, tak? Co ty, kurwa, sobie myślisz? Wiesz, co mi robisz?

Oczy miał wilgotne, policzki zaróżowione.

– Nie chodzi t y l k o o ciebie...

– On mi zabił matkę! – ryknąłem na niego. – Oczywiście, że chodzi, kurwa, o mnie!

Teraz już otwarcie płakał. Joe płakał, a ja nie mogłem tego znieść. O Boże, jakież to było okropne. Widzieć łzy spływające mu po twarzy, temu siedemnastoletniemu dzieciakowi, który powinien być szczęśliwy i chodzić na randki. Dzieciakowi, który zasługiwał na wszystko, co najlepsze, po piekle, które zgotował mu ten potwór. Dzieciakowi, który nie powinien jeszcze martwić się byciem Alfą ani dźwigać na swoich barkach ciężaru całego stada. Był tylko dzieckiem, na miłość boską.

A ja mu nie pomagałem. Sprawiałem mu ból, bo sam cierpiałem. Bo sam w środku częściowo umarłem.

– Nie możesz wyjechać – powiedziałem łamiącym się głosem. – Nie możesz mnie zostawić, Joe.

– Myślisz, że chcę? – wrzasnął. – Myślisz, że tego właśnie chcę? Ox, wolałbym się od ciebie nie oddalać. Wolałbym się z tobą nie rozstawać. Wolałbym nie być tam, gdzie ciebie nie ma. Jesteś dla mnie wszystkim. Kiedy cię zobaczyłem, jak sta-stałeś tam z moim ta-tatą i tym facetem... nigdy w życiu się tak nie bałem. Jasne? Rozumiesz? On mnie porwał. Krzywdził mnie. Całymi tygodniami. Ale najgorszą chwilą w moim życiu była ta, kiedy mi się wydawało, że skrzywdzi ciebie. Dlatego tu, kurwa, zostaniesz! Zro-zrobisz, co ci, kurwa, każę, bo nie mogę cię stracić, Ox. Nie mogę. Nie ciebie. Nie ciebie również.

Zanim skończył, zaczął szlochać. Joe, wilkołak, samiec Alfa, łkał na myśl o tym, że coś mogłoby mi się stać.

Potrafiłem wiele znieść. Nie byłem słabeuszem. Byłem silny, zazwyczaj. Wataha mnie takim uczyniła. Ale na widok Joego w tym

stanie... ja po prostu... Po prostu dłużej już nie wytrzymałem. Znalazłem się po drugiej stronie biurka, zanim o tym pomyślałem.

Przytuliłem go, najmocniej jak umiałem, a on się we mnie wpasował, jakby znów był małym tornadem, a ja – tępym Oxem, który nie wiedział, co to znaczy do kogoś należeć.

Poczułem jego moc, tak. Poczułem jego przyciąganie, o tak. Ale był tylko Joem. A ja byłem tylko Oxem.

I może mój ojciec się mylił, kiedy mi powtarzał, że mężczyźni nie płaczą. Jasne, ludzie czasem traktowali mnie chujowo, dokładnie tak, jak mówił, ale wiedziałem, że jestem mężczyzną. A mimo to płakałem razem z Joem. Bo wszystko się rozpadało, a ja nie wiedziałem, jak to powstrzymać.

Leżeliśmy w jego łóżku, każdy po swojej stronie, przodem do siebie, stykając się kolanami, z twarzami oddalonymi ledwie o kilka centymetrów. W pokoju było ciemno. Jego oczy świeciły jasno, oddech owiewał ciepłem moją twarz. Nie wiedziałem, która godzina, ale zdawałem sobie sprawę, że jest późno. Wiedziałem też, że jeśli zapadnę w sen, to kiedy się obudzę, Joego już nie będzie.

Musiałem zwalczyć senność. Tak długo, jak się da. Ponieważ nie mogłem znieść myśli, że miałbym obudzić się sam.

Obserwował mnie, a ja poczułem, jak c o ś pulsuje między nami, jakaś nowo powstała więź. Nie ta łącząca Alfę z jego stadem, lecz więź między towarzyszami życia. Chciałem złapać tę nić na tak długo, na ile bym zdołał, ponieważ przerażała mnie myśl, że po przebudzeniu jej nie znajdę.

Joe wyciągnął dłoń i przejechał palcami wzdłuż moich brwi. Po moich policzkach. Po nosie. Po ustach. Złożyłem delikatny pocałunek na opuszkach jego palców. Westchnął, a jego powieki zatrzepotały i opadły.

– Do bani.

– No – przytaknąłem. Bo rzeczywiście tak było.

Otworzył oczy.

– Nie tak miało być.

– Wiem.

– Musisz jej pomóc, Ox.

Wiedziałem, o kogo mu chodzi.

– Pomogę.

Oddech uwiązał mu w piersi.

– M u s i s z. To moja m a m a.

– Wiem.

Złapał moją dłoń i trzymał ją pomiędzy nami. W jego oczach czaiły się drobiny czerwieni, nuty, których nigdy wcześniej tam nie było. Powiedział:

– Mówiłem poważnie.

– Kiedy? – spytałem, usiłując zapamiętać go całego, próbując zachować w pamięci każdy najdrobniejszy szczegół. Bo wiedziałem, że nadejdą takie chwile. Chwile, kiedy nie będę mógł spać, bo jego nie będzie obok.

– Kiedy powiedziałem, że cię kocham.

Moje zdradzieckie serce zmyliło rytm w piersi.

– Tak, wiem, Joe.

– Bo to prawda.

– No.

– Ja tylko... chciałem, żebyś to wiedział. Zanim...

– W porządku, Joe. Hej, ja też cię kocham. Wiesz, że tak. Kocham cię od bardzo dawna.

– Tak, Ox, wiem. – Wypuścił z drzeniem powietrze. – To nie fair. Powinniśmy mieć więcej czasu.

Odparłem:

– Wszystko w porządku. – Chociaż wcale nie było w porządku. Jakaś część mnie chciała mu wytknąć, że to był jego wybór. Jego sprawka. Ale nie miałem dość siły, by nadal się z nim kłócić. Nie teraz. Nie w ten sposób. – Teraz jesteśmy razem.

– Nie możesz o mnie zapomnieć – powiedział gwałtownie i ścisnął moją dłoń tak mocno, że zaboląły mnie kości. – Niezależnie od tego, co się wydarzy. Nie możesz o mnie nigdy zapomnieć.

– Tak, Joe. Wiem. Nie udałoby mi się to, choćbym nie wiem jak się starał. Ale nie chcę nawet próbować. Zobaczysz. Zrobisz, co masz do zrobienia, a potem wrócisz i wszystko będzie po staremu. Cała ta sprawa skończy się, nim się zorientujesz. Może już za kilka tygodni. Albo dni. Przyrzekam, okej?

– A potem zostaniemy towarzyszami życia, tak?

– Jasne, Joe.

– Na zawsze.

– No. – Nawet wieczność wydawała się zbyt krótka.

– Ox?

– No?

Złowił wzrokiem moje spojrzenie, a potem spytał:

– Mogę cię pocałować?

Powiedział to tak nieśmiało, z takim wahaniem, że aż sprawiło mi to ból.

– A chciałbyś? – odparłem cicho.

Skinął głową, jakby nią szarpnął.

– Chyba nic złego się nie stanie – zaryzykowałem.

– Nie jestem twoim pierwszym.

– Nie.

– A ty nie jesteś moim.

– Nie – przyznałem i zacisnąłem szczęki.

– Ale jesteś jedynym, który się liczy. Czyli to tak, jakby to był pierwszy raz. Dla nas obu.

I wtedy go pocałowałem. Po tym, co powiedział, nie mógłbym postąpić inaczej.

Stęknął zaskoczony, kiedy nasze usta się zetknęły. Wypuścił cicho powietrze, co brzmiało niemal jak westchnienie. Było to takie niewinne, ledwie słyszalne. Usta miał lekko rozchylone, oczy – otwarte i wpatrzone we mnie, a ja pomyślałem sobie, że może są nieskończone. Potarł nosem mój nos i splótł mocniej palce z moimi. Wyciągnąłem dłoń i położyłem mu na policzku, przyciskając palce nad jego uchem, by przytrzymać jego głowę w miejscu.

Uderzyło mnie ciepło. Miało słodko-gorzki smak, mocny, uderzający do głowy.

Odsunąłem się pierwszy.

Zadrżał i przycisnął swoje czoło do mojego.

– Wróć do ciebie – zapewnił.

Wierzyłem, że przynajmniej spróbuje.

Walczyłem z tym. Tak długo, jak się dało. Ale wszystko mnie dopadło. Thomas. Mama. Joe zostający Alfą. Pogrzeby. Ogień.

Decyzja Joego. Wszystko.

Próbowałem nie spać. Krzyczałem do siebie w duchu, że jak tylko zamknę oczy, on zniknie.

Wyszeptał:

– Śpij, Ox.

Odszepnąłem:

– Ale wtedy odejdiesz.

Uśmiechnął się ze smutkiem.

– Im szybciej wyruszę, tym szybciej będę mógł wrócić do domu.

Powieki mi opadły. Zmusiłem je do tego, by znów się uniosły.

– Będę za tobą tęsknił – powiedziałem. – Każdego dnia.

Odwrócił wzrok, ale nie dość szybko, bym nie dostrzegł, że oczy mu błyszczą.

Walczyłem z tym. Z całych sił. Ale moje ciało stawiało opór. W końcu powieki mi opadły, a ja nie mogłem ponownie ich otworzyć. Poczułem jego palce we włosach. Poczułem jego usta na czole. I kiedy opadałem w mrok, usłyszałem jeszcze, jak mówi ostatnią rzecz na pożegnanie.

Powiedział:

– Wrócę do ciebie.

I już go nie było.

Kiedy zasnąłem, śniłem o nim. Spacerowaliśmy po lesie, a nad naszymi głowami świecił księżyc w pełni. Trzymał mnie za rękę i miał czerwone oczy. Z cienia za drzewami dochodził dźwięk ogromnych łap uderzających o ziemię. Okrążyły nas wilki, lecz my się nie baliśmy. Bo wilki były nasze.

Joe powiedział:

– Wszystko będzie dobrze.

A ja się u ś m i e c h n ą ł e m.

Budziłem się powoli. Nie wiedziałem, gdzie jestem. W tej krótkiej chwili, nim całkiem się rozbudziłem, nic mnie nie bolało, bo wszystko było w porządku. Moja matka nadal żyła. Thomas nadal żył. Czułem na sobie jakiś ciężar, jakby coś mnie przygniatało. Otumaniony snem pomyślałem, że zasnąłem w domu Bennettów, otoczony pozostałymi członkami stada. Przypomniał mi się tłuściutki, lśniący księżyc i zdawało mi się, że spędziliśmy noc, biegając po lesie.

Wiedziałem, że będę musiał zadzwonić do Gorda. Zawsze się zamartwiał po pełni. Nie lubił czekać, aż pojawię się późniejszą porą w warsztacie. Musiał wiedzieć. Nie mogłem sobie przypomnieć, czy mama wychodziła gdzieś wieczorem. Do niej też będę musiał zadzwonić.

Joe i ja zjemy śniadanie. Może nasze stopy splotą się ze sobą pod stołem. I może zdobędę się na odwagę, żeby złapać go za rękę. Carter i Kelly pewnie będą się z nas śmiać, jak usłyszą, że nasze serca zaczęły bić bezładnie, ale co tam. Elizabeth ich zruga, Mark uśmiechnie się tym swoim tajemniczym uśmiechem, a Thomas będzie po prostu wyglądał na zadowolonego, patrząc na nas ze swojego miejsca u szczytu stołu. A kiedy napotkam jego wzrok, błysnie tymi swoimi czerwonymi, czerwonymi oczami i puści do mnie oko, a ja dowiem się, jak to jest mieć znowu ojca, dowiem się...

Mgła zaczęła rzednąć. Poczułem ból. Z początku był jak drzazga. Coś drażniącego tuż pod skórą. Chciałem go wydlubać. Martwił mnie. Ale to tylko pogorszyło sprawę.

Wziąłem głęboki, gwałtowny wdech. Nie spałem. Ich nie było. Mamy. Thomasa. Cartera i Kelly'ego. Gorda. I Joego.

Otworzyłem oczy. Zwinięte tuż przy mnie leżały dwa wilki. Elizabeth i Mark. Oddychały głęboko, pogrążone we śnie. Zazdrościłem im. Bo po mnie przetaczał się ból, lodowaty i ostry.

Wysunąłem się na zewnątrz, próbując odnaleźć pozostałych. Próbując ich wyczuć. Wyczuć więzi. Łączące nas nici. Ale nic nie znalazłem. Naparłem ponownie. Nic. Zupełnie, jakbyśmy zostali od siebie odcięci. Strata była tak wielka, że przez chwilę nie mogłem oddychać. Próbowałem zacisnąć dłonie w pięści, ale lewa ręka nie chciała się zamknąć wokół przedmiotu, który w niej tkwił.

Spojrzałem na nią. W mojej dłoni leżała figurka wilka. Zrobiona z kamienia. Długo jej się przyglądałem. Wiedziałem, co oznacza. Kto ją tam umieścił. W końcu pokiwałem głową. Powiedziałem:

– W porządku, Joe. W porządku.

I zacząłem czekać.

pierwszy rok / punkciki światła

Pierwszy rok był najtrudniejszy. Ponieważ nie wiedzieliśmy, że będą kolejne.

– Pisz do mnie SMS-y – powiedziałem mu, kiedy położyliśmy się do łóżka. Wciąż czułem jego smak na wargach i nie pragnąłem niczego innego, jak jeszcze raz go pocałować. – Co kilka dni. Żebym wiedział.

– Nie napiszę ci, gdzie akurat będziemy – odparł. – Bo wiem, co byś wtedy zrobił.

Spojrzałem na niego spode łba.

– Dobra. Ale masz do mnie pisać. Rozumiesz?

Zrozumiał.

Tęsknię za tobą – tak brzmiała pierwsza wiadomość, którą dostałem trzy dni po ich wyjeździe.

Godzinami gapiłem się w ekran.

– Mama zapisała wszystko panu – powiedział prawnik, kiedy usiadłem naprzeciwko niego w jego gabinecie. Elizabeth i Mark trzymali się blisko, schowani w lesie. – Dom. Konta bankowe. Zostanie też panu wypłacone ubezpieczenie na życie, ale takie sprawy się ciągną. Pieniądzy wystarczy, żeby spłacić hipotekę, i trochę powinno zostać. Mama chciała mieć pewność, że będzie pan miał zabezpieczenie, na wypadek gdyby coś jej się stało. Jest pan dobrze ustawiony, panie Matheson. Przynajmniej na razie. Przygotuję dla pana dokumenty do podpisu, żeby wszystko przebiegło jak najsprawniej. Proszę się skupić na swoim zdrowiu. Bóg jeden wie, jak bardzo pan na to zasłużył.

Pokiwałem głową i wyjrzałem przez okno, myśląc o bańkach mydlanych na moim uchu.

Carter i Kelly się pokłócili – brzmiała kolejna wiadomość. Kazałem im przestać. Nie posłuchali. Zadziałałem mocą Alfy. Już się nie kłóć.

– Co to ma, do kurwy nędzy, znaczyć? – spytał Chris, wpatrując się gniewnie w list, który Gordo zostawił im w warsztacie. – „Muszę wyjechać na jakiś czas – czytał. – Tanner, pod moją nieobecność ty zarządzasz warsztatem. Nie zapomnij przesyłać księgowemu informacji o wysokości przychodów. On się zajmie podatkami. Ox ma dostęp do konta bankowego, mojego prywatnego i tego na warsztat. Jeśli będziecie czegoś potrzebować, załatwcie to z nim. Jeśli będziecie musieli kogoś zatrudnić, żeby zwiększyć wydajność,

zróbcie to, tylko nie zatrudniajcie żadnego zjeba, co nam zrobi rozpierdol. Zbyt ciężko pracowaliśmy na to, co mamy. Chris i Rico, wy zajmiecie się codziennymi działaniami warsztatu. Nie wiem, ile to potrwa, ale na wszelki wypadek powiem, że musicie się nawzajem osłaniać. Ox będzie was potrzebował”.

Rico i Tanner stłoczyli się w warsztacie Gorda. Dłonie Chrisa drżały, kiedy trzymał list, a z każdym czytany słowem miał coraz bardziej ściśnięte gardło.

Będiesz musiał odwracać ich uwagę od tematu – powiedział mi Gordo w lesie. – Będą na ciebie naciskać, Ox. Żądać odpowiedzi. Musisz się od nich oganiać tak długo, jak się da. To moi bracia. Nigdy nie chciałem mieszać ich w sprawy naszego świata. Ale nie wiem, jak długo jeszcze mi się to uda. Teraz nie mogą się dowiedzieć. Przepraszam, że cię tym obarczam. Nigdy nie chciałem dla ciebie czegoś takiego. Ani dla nich.

Wszyscy spojrzeli na mnie.

– Wiedziałaś o tym? – spytał Tanner.

– No – odparłem strapiiony i zmęczony. Żle sypiałem, bo dręczyły mnie koszmary.

– Co za dupek – warknął Rico. – Jak, do chuja, mógł cię tak po prostu zostawić? Po tym wszystkim?

– Gdzie on pojechał? – spytał Chris, rzuciwszy list z powrotem na biurko.

Wszyscy wpatrywali się we mnie wyczekująco.

Wówczas poczułem do nich żal. Do Gorda i do Joego. Bo postawili mnie w niezręcznej sytuacji. Zostałem przyparty do muru i nie wiedziałem, jak odpowiadać na pytania chłopaków bez wciskania im kitu.

Joe wyjechał. Gordo pojechał z nim. Zmusili mnie, bym został i ich krył. I może poczułem się po prostu zmęczony dźwiganiem tego brzemienia w samotności. Dlatego spytałem:

– Co wiecie o wilkołakach?

Wydawało mi się, że coś mamy – napisał Joe w kolejnej wiadomości. – Myślałem, że znaleźliśmy to, czego szukamy, nieopodal Calgary. Ale to była tylko ślepa uliczka. Jebana ślepa uliczka. Ox, to boli.

Zastanawiałem się, czy do niego zadzwonić. Ale prosił mnie, żebym tego nie robił. Powiedział, że musi się skupić. Nie było tutaj zieleni.

– *Dios mío*[16] – wyszeptał Rico na widok przemieniającego się na ich oczach Marka. Wcześniej był mężczyzną, teraz stał się wilkiem.

– Powinienem się bać? – spytał Tanner wysokim głosem. – Bo wydaje mi się, że powinienem się bać. No, dobra, boję się – pisnął głośno, kiedy Elizabeth wyszła z domu, usiadła na ganku i zaczęła się im przyglądać z przekrzywionym łbem, uderzając lekko ogonem w deski.

– Zajebicie d z i w n e – szepnął Chris. – Ja pierdolę, jak z filmów z Lonem Chaneyem[17]!

Wszyscy spojrzeli na mnie i na coś czekali.

– Co? – spytałem.

– Teraz twoja kolej – odparł Rico.

– No, po prostu to z r ó b – ponaglił Tanner.

– Pokaż nam *Amerykańskiego wilkołaka w Londynie*[18] – dodał Chris.

– Jezu, kurwa, Chryste – burknąłem. – Ja nie jestem wilkiem. Wszyscy poczuli się tym faktem rozczarowani.

W środku nocy dostałem SMS-a.

Joe napisał: *Błagam powiedz że z Tobą wszystko w porządku.*

Wszystko gra

Zły sen

o czym

Nie odpisał.

– Gordo jest czarownicą – powtórzył Tanner.

– Weź nie pierdol – powiedział Chris.

– No, wiedziałem, że ten sukinsyn coś knuje – oświadczył Rico. – O północy składa w ofierze kurczaki i kąpie się w ich krwi, prawda?

Wszyscy wlepiliśmy w niego oczy.

– No co? – spytał. – Mogłoby tak być. Niektórzy tak robią. Kurwa, wiem, co mówię. Ludzie, różne rzeczy widziałem. No, r ó ż n e. *Mi abuela*[19] ciągle zarzynała jakieś kurczaki. No, mówię wam, prawdziwy hardcore.

– Właściwie to by wiele wyjaśniało – zauważył Chris. – Wszystkie te jego dziwactwa.

– Na przykład to, że wydawało się, jakby jego tatuaże ciągle zmieniały miejsce – dodał Tanner.

– Albo to, że jak się tutaj przeprowadziliśmy, to obszedł nasze domy dookoła, pocierając ściany i mamrocząc coś pod nosem – powiedział Rico.

– Albo to, że jak chciałem w warsztacie powiesić na Halloween dekoracje z wiedźmami, to stwierdził, że to mało zabawne – przypomniał sobie Chris. – A przecież były zabawne.

– Albo ten jego kompleks tatusia, którego nigdy nie chciał nam wytłumaczyć – stwierdził Tanner. – Zawsze mi się wydawało, że jego ojciec był zwyczajnym palantem. Nie wiedziałem, że był n i k c z e m n y m palantem.

– W sumie to mieliśmy wiele wskazówek – zauważył Rico. – Jestem nami nieco rozczarowany.

– Nie jesteśmy zbyt samokrytyczni – przyznał Chris, marszcząc brwi.

– Jasna cholera! – wykrzyknął Tanner. – On potrafi c z a r o w a ć. Westchnąłem i poddałem się.

– Ma świecące ramiona – przyznałem.

– Świecące ramiona? – zdziwił się Rico. – Ale że... co?

– Ramiona. Zaczynają mu się jarzyć, kiedy czaruje.

– Świecące ramiona – powtórzył Tanner. – To... niesamowite.

– Magia – powiedział Chris. – Ja... nie wiem, co mam z tym zrobić.

– A co z tobą? – zaciekał się Rico. – Jak ty się w to wszystko wpisujesz?

Pytanie doprowadziło do rozmowy o postronkach i towarzyszach życia.

– Chodzi o przeznaczenie i tym podobne pierdy?

– O mój Boże, Ox, twoje życie przypomina scenariusz tych gównianych filmów o skrzących się wampirach. Tych, których nigdy nie oglądałem i których wcale nie lubię, zamknąć się.

– O rany. To tłumaczy całą tę chryję z Jessie. Nie miała żadnych szans w walce ze skrzącym się wampirzym przeznaczeniem czy co to tam jest.

Schowałem twarz w dłoniach. Potem rozmowa toczyła się przez kolejne trzy godziny. Na koniec odezwał się Tanner. Oznajmił:

– Twoja mama była bardzo odważna.

A potem mnie objął. Przytuliłem go ze wszystkich sił. W końcu Rico i Chris też do nas podeszli i zostałem otoczony.

Następną wiadomość wysłał Gordo:

Joemu nic nie jest. Wpakował się w tarapaty. Teraz odsypia. Nie chciał cię martwić.

Tamtej nocy prawie nie zmrużyłem oka.

Zaczęli przychodzić do domu. Rico, Tanner i Chris. Z początku zjawiali się tylko co kilka dni. I za każdym razem zaraz się zmywali. Z początku zachowywali się trochę nieufnie i co chwilę podskakiwali z byle powodu. Śmiali się zbyt głośno. Rozmawiali z Markiem. Obserwowali Elizabeth. Zadawali pytania, ciągle zadawali jakieś pytania.

Jednak wkrótce zaczęli przychodzić niemal codziennie. Jedliśmy razem obiad. Rico, Tanner i Chris towarzyszyli nam podczas drugiej pełni księżyca od czasu, kiedy reszta wyjechała. Byli zdenerwowani. Powiedziałem im, że niepotrzebnie. Nie rozumiałem, co się dzieje, ale zacząłem ich inaczej postrzegać. Mark tylko się uśmiechał tym swoim tajemniczym uśmiechem, kiedy go o to pytałem, chociaż nieco mniej pogodnym niż kiedyś. Elizabeth ciągle pozostawała w wilczej postaci, więc jej nie mogłem zapytać, chociaż rozmawiałem z nią tak, jakby nic się nie stało. Wydawało się, że z jakiegoś powodu lubi dźwięk mojego głosu. Nie wiedziałem, czy mnie rozumie, zwłaszcza że tak długo pozostawała w wilczej postaci. Mark powiedział, że im dłużej jest się wilkiem, tym trudniej wrócić, ale że to zrobi, kiedy poczuje się gotowa. Ufał jej i powiedział, że ja też powinienem.

Mark i Elizabeth biegali między drzewami w świetle księżyca. Ale nie śpiewali. Żadne z nas nie śpiewało. Wydawało się, że nie potrafimy odnaleźć w sobie pieśni, która wyraziłaby nasze uczucia.

Co u nich? – spytał.

Wszystko ok – odpisałem. *Twoja mama jeszcze się nie zmieniła.* Nie powiedziałem mu, że moi przyjaciele już o nich wiedzą, bo nie chciałem, żeby informacja dotarła do Gorda. Przynajmniej na razie.

Czekałem, aż odpisze. Minęło wiele dni, nim odpowiedział.

Mark zamieścił w gazecie nekrolog, który zawiadamiał o śmierci Thomasa, lecz nie zdradzał żadnych szczegółów. Prosił o uszanowanie prywatności. Nadeszła kondolencje. No i kwiaty. Całe mnóstwo kwiatów. Były czerwone i pomarańczowe. Fioletowe i niebieskie. I było tyle zieleni.

Elizabeth dotykała każdego nosem i wdychała głęboko jego zapach.

Czasami czułem się tak, jakbym nie mógł oddychać.

– Kupimy komórki na kartę – wyszeptał Joe, kiedy leżeliśmy obok siebie. – Nierejestrowane. Takie, których nie można namierzyć. Co jakiś czas będziemy je sprzedawać i nabywać nowe. Ale obiecuję ci, że pozostaniemy w kontakcie.

– Nie rozumiem – przyznałem.

– Wiem – powiedział i przejechał mi palcem po policzku. – Wiem.

– Masz zamiar kiedykolwiek z powrotem się przeobrazić? – spytałem Elizabeth.

Polizała moją dłoń, a potem się odwróciła i poszła do lasu.

Długo czekałem, nim stamtąd wróciła.

Tym razem nie było żadnych słów. Tylko zdjęcie. Księżyc w pełni. Wpatrywałem się w niego, przesuwałem po nim palcem, jakbym

mógł zgadnąć, gdzie jest Joe, po prostu patrząc na fotkę. Ale tego niestety nie potrafiłem.

Pięć tygodni po tym, jak wyjechali, i dwa tygodnie po pełni księżyca ktoś zapukał do drzwi. Właśnie wróciłem z pracy do domu (domem był teraz budynek mieszkalny należący do Bennettów, bo w moim starym domu nadal widziałem plamę na podłodze). Usiadłem przy stole w kuchni z bolącymi plecami i palcami ubrudzonymi na czarno. Elizabeth weszła i ułożyła się przy moich stopach, kładąc mi pysk na bucie. Zamknęła oczy i oddychała głęboko. Mark krzątał się po kuchni i pilnował garnka stojącego na ogniu. Cokolwiek przyrządzał, pachniało pikantnie i mój żołądek zaburczał na samą myśl o posiłku. Byłem głodny.

Tuż przed tym, jak usłyszeliśmy pukanie, i Elizabeth, i Mark zeszywnieli. Potem od strony frontowych drzwi doleciały trzy stuknięcia.

Nie mógł to być ani Rico, ani Chris, ani Tanner, bo niecałą godzinę wcześniej zostawiłem ich w warsztacie. Zresztą oni już nie fatygowali się pukaniem. Po prostu wchodzili do domu, wnosząc do niego kurz, śmiech i smar. Nie zachowywali się tak jak inni wcześniej. A ja pomyślałem sobie, że może to dobrze. W każdym razie wiedziałem, że to nie oni. I chociaż Gordo powiedział, że nikt, kto żywiłby wobec nas złe zamiary, nie mógł zbliżyć się do domu Bennettów ze względu na jego bariery ochronne, my i tak stanęliśmy na baczność.

Elizabeth podniosła się i ruszyła w stronę drzwi, jeszcze zanim ucichło stukanie. Mark przeobraził się połowicznie i podszedł do

okna, by obiec wzrokiem ogród na tyłach domu i upewnić się, że nie zostaliśmy otoczeni. Ja chwyciłem swój łom. Więzi pomiędzy nami wybuchły jasnością. Wyczułem też inne nici. Nowsze. Były słabe. Nikłe. Ale były. Nie widziałem, dokąd prowadzą, lecz pulsowały delikatnie.

Pukanie się powtórzyło. Podszedłem do drzwi. Elizabeth zawarczała cicho, napięta jak sprężyna, gotowa do ataku. Mark przesunął się na bok w taki sposób, by ukryć się przed wzrokiem tego, kto stał po drugiej stronie drzwi. Położyłem rękę na klamce. Wzięłem wdech. Otworzyłem.

Nie zostaliśmy zaatakowani. Na zewnątrz stał mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie widziałem.

Nie był o wiele starszy ode mnie. Niższy i szczuplejszy. Kiedy zmrużył oczy, żeby na mnie popatrzeć, wokół ciemnych, obramowanych masywnymi oprawkami okularów oczu zrobiły mu się zmarszczki. Miał bladą skórę i czarne włosy ostrzyżone krótko, niemal po wojskowemu. Ubrany był w dżinsy i zakurzone wysokie buty, które sugerowały, że jest w drodze już od jakiegoś czasu. Był Beta, do tego atrakcyjnym, ale widziałem, że jest tego świadomy. Na mój widok uniósł brew, a Elizabeth zawarczała głośnie.

– Wilku – powiedziałem.

– Ox – odparł. Uśmiechnął się szeroko, błyskając białymi zębami.

– Przychodzę w pokoju i przynoszę radosne wieści. Nazywam się Robbie Fontaine. Być może poznaliście mojego poprzednika Osmonda.

Elizabeth wyszczerzyła na niego kły. Gdzieś po mojej prawej zawarczał Mark.

Robbie cofnął się.

– No tak. To chyba nie był najlepszy pomysł, żeby wspominać to imię. Mój błąd. Więcej się nie powtórzy. No, cóż, właściwie nie mogę tego obiecać. Prędzej czy później pewnie coś niechcący chlapnę. Przepraszam za to. Ciągłe jestem w tym nowy.

– W czym? – Nie mogłem się powstrzymać, żeby nie spytać.

– W pracy na moim obecnym stanowisku.

– A co to za stanowisko?

Przekrzywił głowę i popatrzył na mnie, jakby mnie oceniał.

– Ależ – odparł – jestem tu po to, żeby was chronić.

Prychnąłem.

– Chronić!

Uśmiech powrócił na twarz mężczyzny.

– W rzeczy samej. Muszę zobaczyć się z waszym Alfą.

Robbie Fontaine przybył ze Wschodu.

Wybrano nową Alfę. Tymczasowo. Nazywała się Michelle Hughes. Doszła do władzy i zajęła stanowisko piastowane niegdyś przez Thomasa, to znaczy zarządzała wszystkimi watahami w Stanach Zjednoczonych. Włącznie z moją.

– To dobra kobieta – powiedział Mark. – Ma głowę na karku. Zrobi, co należy. Nic nam z jej strony nie grozi. Dobry wybór na kilka następnych lat.

W domyśle: „aż do powrotu Joego”.

Usiedliśmy w salonie, Robbie zajął miejsce na sofie naprzeciwko nas, podczas gdy my usadowiliśmy się na kanapie. Mark przyciskał się do mnie z jednej strony, Elizabeth z drugiej. Pomyślałem, że być

może to mogłoby wystarczyć, by przemieniła się z powrotem, ale tego nie zrobiła.

– Michelle kazała przekazać wam kondolencje – odezwał się Robbie. – Przyjechałaby sama, ale ma na głowie... sprawy niecierpiące zwłoki, z pewnością rozumiecie.

Mark pokiwał głową. Gość zachowywał się bardzo dyplomatycznie.

– Gdzie jest Joe? – spytał Robbie. – Tu go nie ma. – Oczywiście wiedział o tym. Wiedział o tym już w chwili, gdy wszedł do domu. Pewnie nawet wcześniej. Nie chciałem się zastanawiać, dlaczego Elizabeth i Mark nie słyszeli, jak się zbliża.

Czekał, aż Mark coś powie. Mark jednak się nie odezwał. Ze zdziwieniem odkryłem, że wpatruje się we mnie. Najwyraźniej czekał na mnie. Nasza mała wymiana spojrzeń nie umknęła uwadze Robbiego. Popatrzyłem na niego.

– Tu go nie ma – powtórzyłem powoli.

– Ox, prawda? – spytał.

Skinąłem głową.

– Wiele o tobie słyszałem.

– Tak?

– Wiele dobrego. Wilki o tobie gadają. Mówią, że jesteś człowiekiem, ale równie silnym jak my. Uwierz mi, trudno im zaimponować. A tobie się udało.

– Nic nie zrobiłem – odparłem.

– Może – stwierdził Robbie. – A może nie do końca rozumiesz, co zrobiłeś. To naprawdę dość niezwykłe.

Powiedziałem:

– Nie znam cię.

- Nie – przyznał Robbie.
- Znałem Osmonda. Trochę.

Robbie zmarszczył brwi.

- To była niespodzianka. Dla nas wszystkich.

- Czyżby? – spytałem.

- Tak.

- Niespodzianka?

- Tak.

– Ta twoja niespodzianka skończyła się śmiercią mojej matki.
Śmiercią mojego Alfya.

Robbie poblądł.

- Nie jestem...

– Nie znam cię. Nie wiedziałem, że się zjawisz. Jesteś dla mnie niespodzianką. A ja nie lubię niespodzianek.

– Nie przybyłem, żeby was skrzywdzić – zapewnił. – Ani niczego wam zabrać.

- Osmond powiedziała by to samo – odrzekłem.

Robbie spojrział na Elizabeth. Potem na Marka. Oboje trwali w milczeniu po moich bokach.

Czekałem.

Wrócił do mnie wzrokiem.

- Ciekawe – stwierdził.

- Co?

- Ty. Nie jesteś tym, czego się spodziewałem.

W mojej głowie głos ojca zaszepotał, że ludzie zawsze będą mnie chujowo traktować.

- Często to słyszę.

- Naprawdę?

– Po co tu przyszedłeś?

Zamrugał kilka razy, jakby właśnie wyszedł z gęstej mgły.

– Osmond działał jako łącznik Thomasa z tymczasowym Alfą, kiedy takowego potrzebowaliśmy. Ja objąłem jego stanowisko.

– Thomas nie żyje.

– To prawda – przytaknął. – Ale Joe żyje. A linia Bennettów jest bardzo silna. Gdzie on jest?

– Wiesz, kim jestem? – spytałem i pochyliłem się do przodu.

– Oxnard Matheson – udzielił natychmiastowej odpowiedzi. Wyglądał na zaskoczonego, że to zrobił.

– Osmond ci powiedział? Albo któryś z jego wilków? Poinformowali cię, kim jestem? Kim jestem dla Joego.

Przemknął wzrokiem po mojej rozpiętej roboczej koszuli, prześlizgnął się po mojej szyi.

– Jesteś człowiekiem, który związał się z Alfą – odparł. – Ale formalnie jeszcze nie jesteście parą.

– Będziemy.

Robbie wyszczerzył się w uśmiechu. Uśmiech wyglądał miło, ale nie wzbudził mojego zaufania.

– Romantyk – stwierdził.

– Ile wilków szuka Richarda Collinsa? – spytałem.

Wzdrygnął się. Nieznacznie i nie wiedziałem, czy z powodu samego pytania, czy nagłej zmiany tematu, ale jednak. Teraz zauważałem takie drobiazgi.

Odrzekł:

– Wiele.

– Czyli ile dokładnie?

Uśmiech zniknął z jego twarzy i wydawało mi się, że jego oczy błysnęły pomarańczowo.

– Siedem zespołów – odparł. – Po cztery wilki w każdym. W poszukiwaniu włączył się też kowen czarownic. Ze względu na Livingstone’a.

– A co z Osmondem?

– Zostanie odnaleziony.

– Minęło już sześć tygodni.

– Takie sprawy wymagają czasu. Gdzie jest twój Alfa? Muszę przekazać mu wyrazy szacunku. Powiedziano mi, że są też inni członkowie stada. Bracia Joego. I dziedzic Livingstone’a.

– Powiedziano ci?

– Jestem bardzo dobry w tym, co robię – pochwalił się.

Prychnąłem.

– Najwyraźniej tak, skoro cię przysłali.

Zapadło milczenie. Zegar stojący w korytarzu odmierzał tykaniem sekundy.

Graliśmy na przeczekanie.

Nie odwróciłem wzroku.

Co zabawne, po chwili spuścił go Robbie. Skierował oczy w dół i w lewo. Pochylił lekko głowę. Nic nie rozumiałem, bo widziałem, jak inni zachowują się w ten sposób wobec Thomasa. Była to oznaka...

– Wyjechał, prawda? – spytał Robbie.

Nie odezwałem się.

Robbie westchnął.

– Cholera.

Trzy małe punkciki światła rozbłysły na wątych niciach więzi naszej watahy. Elizabeth i Mark westchnęli jednocześnie po moich bokach, delikatnie i cicho.

Nadchodzili. Zamknąłem oczy i zastanawiałem się, kiedy to się stało. Kiedy stali się tacy sami jak moi. Jak nasi. Niemal mógłbym ich wysledzić. Będą tu za kilka minut. Szybko się przemieszczali.

– Ruszył za nim w pościg? – domyślił się Robbie. – Za Richardem?

– Zrobił to, co uznał za konieczne – odparłem.

– Został Alfą – powiedział Robbie, a w jego głosie pobrzmiwała nuta przerażenia – a mimo to opuścił swoje terytorium? I swoje stado?

Wpatrywałem się w niego. Punkciki światła stawały się coraz jaśniejsze.

– Dlaczego go nie powstrzymałeś? – Robbie domagał się odpowiedzi. – Tutaj jest jego miejsce. Cholera, musi też myśleć o przyszłości.

– Naprawdę wydaje ci się, że ktoś może rozkazywać Alfie, co ma robić? – wtrącił się Mark. – Zwłaszcza świeżo upieczonemu Alfie?

– Ale to nie w porządku, żeby...

Pod dom na końcu ulicy podjechała głośna furgonetka.

Robbie zmrużył oczy. Skoczył w stronę okna.

Reszta z nas nie ruszyła się z miejsca. Bo jakimś cudem wiedzieliśmy.

– Ludzie – oznajmił Robbie. – Trzech facetów. Nie mają broni. Chociaż wydaje mi się, że jeden z nich z jakiegoś powodu niesie młotek. Musimy działać...

– Siadaj – powiedziałem lekko.

Robbie wyglądał na spłoszonego.

Przez moment myślałem, że tego nie zrobi. A jednak zrobił. Nie odwrócił wzroku.

Tanner, Chris i Rico wpadli przez drzwi. Oczy mieli szeroko otwarte i rozgorączkowane. Rico oczywiście trzymał wysoko nad głową młotek, wzniesiony tak, jakby jego właściciel zamierzał rozbić komuś czaszkę.

– Gdzie to coś, co musimy zabić? – warknął Tanner, strzelając oczami po całym pomieszczeniu.

– Znam karate – pochwalił się Chris. – Chodziłem na treningi przez trzy miesiące, jak miałem dziesięć lat.

– A ja mam młotek – dodał Rico.

– Jezu Chryste – bąknąłem. Ale wziąłem ich za naszych. Zerknąłem na Marka. – Poczujesz ich?

Wpatrywał się w nich z czymś na kształt podziwu.

– Przecież to l u d z i e.

– Hej – powiedziałem i walnąłem go w ramię. – Ja też jestem człowiekiem.

– To co innego. – Pokręcił głową. – Ty związałeś się z nami ze względu na Joego. Żadna niespodzianka. Ale oni są tutaj ze względu na c i e b i e. Wszystko, co czujemy, czujemy ze względu na c i e b i e.

Zanim udało mi się przetrwać to, co usłyszałem, i zrozumieć, co to o z n a c z a, Elizabeth zeskoczyła z kanapy i podeszła do chłopaków. Przyciskała nos do ich dłoni, każdemu po kolei.

Przypomniał mi się odgłos, który wydała z siebie moja matka tej nocy, kiedy poznała prawdę. Ciche, chropawe, pełne zdumienia „och”, kiedy Thomas dotknął jej po raz pierwszy.

Wiedziałem, co robi Elizabeth. Przyjmowała ich do stada. Bo jakimś cudem w ciągu tych kilku tygodni, które minęły od czasu, jak nasz świat się rozpadł, Tanner, Chris i Rico stali się częścią naszej watahy. A ja nie wiedziałem, jak to możliwe.

SMS-y stawały się coraz rzadsze. Czasami przychodziły w środku nocy. Czasami mijał cały tydzień bez wieści. Nosiłem ze sobą telefon dosłownie wszędzie i czekałem.

Raz to ja napisałem pierwszy.

Wszystko się zmienia. Nie wiem co robić.

Odpisał o trzeciej nad ranem.

Wiem.

Naciągnąłem jego kołdrę na głowę i czekałem aż do świtu.

Robbie został z nami.

Nie chcieliśmy go w domu Bennettów, bo nie darzyliśmy go wystarczającym zaufaniem. On jednak nie chciał przebywać zbyt daleko od nas. Co prawda w Green Creek było kilka moteli, ale gdyby zabawił tam zbyt długo, ludzie zaczęliby zadawać pytania. Mark uważał, że chłopak jest w porządku. Spytałem, czy znał go wcześniej. Mark pokręcił głową. Podzwonił i sprawdził, czy Robbie jest tym, za kogo się podaje. Trzeba było zresztą zacząć od tego, że przeszedł przez bariery Gorda. A jako że ufałem Markowi, ufałem Gordowi, to powiedziałem Robbiemu, że może zostać w starym domu.

Stary dom, tak teraz o nim myślałem. Nie sądziłem, bym miał tam jeszcze kiedykolwiek zamieszkać. Przynajmniej nie w najbliższym czasie.

Bo były takie noce, kiedy się budziłem i czułem ciężką magię, która mnie przygniatała i odcinała od reszty stada.

Były takie noce, kiedy nie wiedziałem, czy to sen, czy jawa, kiedy mama stawała przy brzegu łóżka ze łzami obsychającymi jej na twarzy, na moich oczach jej wzrok robił się twardy jak stal i kazała mi biec, uciekać od...

W takie noce najbardziej brakowało mi Joego.

Nigdy nie dręczyły mnie koszmary. Nie bardzo. Ale teraz? Teraz były wszystkim, co miałem.

Pamiętałem, jak Joe wzywał mnie krzykiem, kiedy budził się ze złego snu. Ja nie krzyczałem, kiedy otwierałem gwałtownie oczy, chociaż chciało mi się wrzeszczeć. Tłumiłem krzyk, zaciskałem go w gardle, aż po szyi spływał mi pot. Tak było łatwiej.

Dlatego nie mogłem wrócić do domu. Nie kiedy na podłodze wciąż była plama. Nie kiedy w głowie wciąż miałem świeży obraz jej twarzy. Mokry odgłos, który rozległ się, kiedy upadła.

Robbie nie dopytywał. Nic też nie powiedział następnego dnia, po pierwszej nocy spędzonej w domu. Poprosiłem go tylko o jedno – by spał w moim pokoju i nie zbliżał się do sypialni mamy. Nie miał tam żadnego interesu. Nie chciałem też, by zostawił na czymkolwiek swój zapach. Drzwi były zamknięte i tak miało pozostać do czasu, aż będę mógł je otworzyć i wciągnąć w nozdrza jej woń.

– Pewnie, Ox – powiedział Robbie. – Nie ma sprawy. – Po chwili dodał: – Chciała, byś ty także wiedział, że twoja strata napawa ją

smutkiem. Zwłaszcza że chodzi o kogoś tak młodego. Ona... rozumie stratę. Na swój własny sposób.

– Kto? – spytałem skonsternowany.

– Alfa.

Na te słowa moje oczy zrobiły się nieco bardziej okrągłe.

– To ona wie, kim jestem?

Wargi Robbiego zadrgały.

– Tak, Ox. Wiele osób wie, kim jesteś.

– Aha – odparłem, bo nie wiedziałem, co zrobić z tą informacją.

Dlatego nie zrobiłem zupełnie nic.

Minęły dwa tygodnie bez najświeższych wieści. Zdawało mi się, że rozumiem, co to znaczy tracić powoli zmysły. Wyobrażałem sobie wszystkie możliwe tragedie. Pojmanie. Tortury. Śmierć. Wydawało mi się, że wiedziałbym, gdyby coś poszło nie tak. Wydawało mi się, że poczułbym, gdyby stało im się coś złego. Ale w rzeczywistości im dłużej ich nie było, im bardziej rosła odległość między nami, tym mniej czułem. Nie sądziłem, bym się dowiedział, gdyby któryś z nich został ranny. Gdyby Joe został ranny. Ponieważ lepiej niż jego wyczuwałem tych, którzy zostali w Green Creek. Silniej, niż kiedykolwiek wyczuwałem któregokolwiek z nich.

Elizabeth była niebieska, tak diabelnie niebieska. Wiedziałem, że musi wyśpiewać swój ból do księżyca, lecz ona zatrzymywała swą pieśń wewnątrz i pozwalała jej się jątrzyć.

Mark był silny i krzepki jak zawsze, ale wiedziałem, że w szufladzie biurka trzyma zdjęcie. Zdjęcie, o którym myśli, że nikt nie wie. Zdjęcie, które przedstawia jego i Gorda mniej więcej

w wieku Joego, z ramionami otaczającymi barki tego drugiego, szeroko uśmiechniętych. Gordo szczyrzył się do aparatu, młodszy, niż kiedykolwiek widziałem. Za to Mark... Mark był zapatrzony w Gorda.

Nigdy go nie spytałem, czy ze sobą rozmawiali przed wyjazdem Gorda i pozostałych. Miałem nadzieję, że Gordo zrobił to, co należało. Ale nie miałem dość odwagi, by się dowiedzieć.

Tanner, Chris i Rico też z nami byli, z każdym dniem rośli w siłę. Proces był powolny, lecz budowali z nami więź. Ale i tak. Po czterech miesiącach wydawało się, że ledwo trzymamy się kupy. Może dlatego przez te dwa tygodnie, podczas których Joe nie dawał znaku życia, cierpiałem bardziej, niż powinienem. Może dlatego byłem wściekły, kiedy w końcu do mnie napisał. Z nowego numeru. Widocznie stare telefony wyrzucili.

Informacja była lakoniczna.

Wszystko OK.

No i mi odbiło. Wybrałem numer.

Usłyszałem kilka sygnałów, a potem automatyczną wiadomość, dzięki której dowiedziałem się, że poczta głosowa nie została skonfigurowana.

Zadzwoiłem jeszcze raz. I jeszcze. I kolejny. Za piątym czy szóstym razem udało mi się połączyć.

Nie odezwał się.

– Ty pierdolony dupku – warknąłem do telefonu. – Nie masz prawa mi tego robić! Słyszysz? Nie masz prawa. Czy tobie, kurwa, w ogóle na nas zależy? No? Jeśli tak, jeśli chociaż jakiejś maleńkiej części ciebie na mnie – na nas – zależy, to musisz

zapytać samego siebie, czy to jest tego warte. Czy to, co robisz, jest tego warte. Twoja rodzina cię potrzebuje. Ja cię, kurwa, potrzebuję.

Nadal milczał. Ale był tam, bo słyszałem, jak oddech uwiązł mu w gardle.

– Ty dupku – burknąłem. Nagle poczułem się bardzo, bardzo zmęczony. – Ty cholerny draniu.

Połączenie trwało jeszcze godzinę, a my tylko wsłuchiwalismy się nawzajem w swój oddech.

Kiedy znów otworzyłem oczy, był już ranek, a moja komórka leżała rozładowana.

Pół roku po ich wyjeździe zrozumiałem, że coś musi się zmienić. Nie mogliśmy tak dłużej żyć.

Joe pisał do mnie z większą regularnością, co kilka dni, ale jego wiadomości były tak samo ogólnikowe jak zawsze i im dłużej to trwało, tym mniejszą miałem nadzieję, że ich jeszcze zobaczę.

Robbie, jak się okazało, wiedział jeszcze mniej niż my. A przynajmniej tak twierdził. Wydawał się równie sfrustrowany brakiem informacji. Od czasu do czasu wpadałem na niego, kiedy rozmawiał z kimś przez telefon przyciszonym głosem. I chociaż nie słyszałem, co mówił, wystarczał mi sam wyraz jego twarzy. Zespoły wysłane na poszukiwania Richarda, Roberta i Osmonda wracały z pustymi rękami. Nikt nie wiedział, gdzie szukać. Nikt nie wiedział, czy się ukrywa, czy buduje armię złożoną z Omeg. Oficjalnie ostrzeżono wszystkie zarejestrowane Alfy. Ale Mark powiedział mi, że na każde trzy czy cztery zarejestrowane przypadała jedna, o której nikt nie wiedział.

Richard mógł wytropić jedną z tych nieznanych. A jeśli nie wiedziały, że nadchodzi, to nie miały z nim żadnych szans. Zwłaszcza że u boku miał Roberta Livingstone'a.

Pojawiały się plotki, że Richard Collins jest w Teksasie. Albo w Maine. Albo w Meksyku. Roberta Livingstone'a widziano podobno w Niemczech. Osmond miał przebywać w Anchorage.

Żadna z tych pogłosek nigdy się nie potwierdziła.

Michelle Hughes nie ucieszyła się z faktu, że Joe i pozostali wyjechali. Nikt z nich, z tej ich bezimiennej wierchuszki, która wiedziała, kim jestem, nie ucieszył się z tego. Robbie opowiedział nam z mieszaniną rozbawienia i grozy, że ekipy poszukiwawcze poinstruowano, że gdyby natrafiły na Joego, mają go schwytać i sprowadzić na Wschód.

Nigdy go nie odnalazły.

Ale sytuacja w domu musiała ulec zmianie. Elizabeth wciąż nie zmieniła postaci, a ja się martwiłem, że w końcu nadejdzie dzień, w którym nie będzie już potrafiła tego zrobić.

Mark stawał się coraz cichszy. Odzywał się tylko wtedy, kiedy ktoś się do niego zwracał, a i wówczas wypowiadał ledwie kilka słów i znów popadał w milczenie.

Tanner, Chris i Rico nie wiedzieli, co robić. Byli częścią stada, ale nie rozumieli, co to oznacza. Po początkowym zachłyśnięciu się nowością sytuacji, po dołączeniu swoich więzi do naszych podniecenie wygasło. Elizabeth nie biegała po lesie podczas pełni księżyca. Mark z kolei miał w zwyczaju znikać.

Spacerowałem po lesie, słońce przeświecało przez gałęzie drzew.

Bańka wkrótce pęknie – powiedział Thomas idący u mego boku.

– Wiem – odparłem, chociaż tak naprawdę go tam nie było.

Coś musi się zmienić – powiedziała moja mama, przesuwając dłonią po korze daglezi.

– Wiem – odrzekłem, chociaż leżała pochowana w ziemi dziesięć kilometrów stąd.

Mieli rację, czymkolwiek byli. Duchami. Wspomnieniami. Nielicznymi rzeczami, które mi jeszcze zostały.

Nie kolor oczu decyduje o tym, czy ktoś zostaje Alfą – powiedział Thomas, a ja podniosłem sosnową szyszkę z leśnego poszycia.

Pamiętasz dzień, w którym odszedł? – spytała mama. – *Stałeś w kuchni i powiedziałeś mi, że teraz to ty będziesz mężczyzną w naszym domu. Miałeś twarz mokrą od łez, ale powiedziałeś, że staniesz się mężczyzną. Martwiłam się. O nas. O to. O ciebie. Ale w ciebie wierzyłam.*

Tak było. Oboje we mnie wierzyli.

Znalazłem się przed domem. Przed starym domem. Wyglądał tak jak zawsze. Stałem tam przez dłuższy czas. W końcu coś trąciło mnie w rękę. Spojrzałem w dół. Elizabeth patrzyła na mnie wszytkowidzącymi oczami.

Powiedziałem:

– Musimy się zmienić. To nie działa. Już nie.

Zaskomlała.

– Wiem, że to boli – przyznałem. – Wiem, że teraz jest ci łatwiej. W tej postaci. Ale nie możemy dłużej tego ciągnąć.

Ponownie szturchnęła moją dłoń.

Przeniosłem wzrok z powrotem na dom.

Czekała, aż będę gotowy, by znów się odezwać. W tej postaci była taka dobra.

Powiedziałem:

– Muszę wejść do środka.

Powiedziałem:

– Chcę, żebyś ze mną poszła.

Powiedziałem:

– A kiedy stamtąd wyjdziemy, chcę usłyszeć twój głos.

Powiedziałem:

– Najwyższy czas. Dla nas obojga.

Poszła za mną do domu.

Jakimś cudem Robbiemu udało się usunąć plamę z drewnianej podłogi, która powstała tam, gdzie umarła mama.

Dom wyglądał tak samo jak zawsze. W moim pokoju zmieniło się niewiele. Przejechałem palcami wzdłuż grzbietów stojących na półce książek. Wyciągnąłem instrukcję napraw buicka, którą dała mi na urodziny dawno temu. W środku była kartka okolicznościowa.

Jak się nazywa sierść wilka?

Wilkokłaki!

Ten rok będzie lepszy.

Kocham Cię, Mama.

Nie wiedziałem, czy to jawa, czy sen.

Odłożyłem wszystko na miejsce i zacząłem się zastanawiać, czy mam na uchu bańki mydlane.

Elizabeth przyglądała mi się i czekała, nie opuszczała mojego boku. Rozpłakałem się. Tylko trochę. Poleciało kilka łez, które wytarłem wierzchem dłoni. Stałem przed drzwiami do jej sypialni. Położyłem rękę na klamce. Musiałem zebrać się na odwagę. Stawiłem czoła Omegom. Osmondowi. Richardowi. Lecz to było trudniejsze. W końcu, w k o ń c u, otworzyłem drzwi.

Pokój pachniał nią. Ale wiedziałem, że tak będzie. Zapach trochę zwietrzał, lecz wciąż się unosił. Drobinki kurzu tańczyły w słońcu. Było tak jak przedtem, po odejściu ojca. Wychodząc z pomieszczenia, zostawiłem drzwi otwarte.

– Mówiłem serio – powiedziałem. – Jak stąd wyjdziemy, chcę usłyszeć twój głos.

Popatrywała to na mnie, to na drzwi frontowe.

– Wiem, że ci ciężko – przyznałem. – I tak będzie przez długi czas. Ale właśnie dlatego mamy siebie. Dlatego mamy watahę. Musimy sobie o tym znów przypomnieć.

Wyciągnąłem w jej stronę pikowaną kołdrę, by mogła okryć swoją nagość, jeśliby chciała. Nie miałem zamiaru naciskać na nią bardziej niż do tej pory, bo bałem się, że będzie to dla niej za dużo. Przez dłuższy czas wpatrywała się w mój podarunek.

Pomyślałem, że chyba mi się nie udało. Ale wtedy delikatnie chwyciła kołdrę w zęby. Pozwoliłem, by materiał wyslizgnął mi się z palców. Elizabeth pociągnęła ją po podłodze aż za róg.

Usłyszałem dźwięk przeobrażających się mięśni i kości. Po tak długim czasie transformacja wydawała się bolesna. Potem nastąpiło westchnienie.

Czekałem. Usłyszałem szuranie stóp.

Elizabeth Bennett wyszła zza rogu. Oczy miała zmęczone, lecz tak ludzkie, jakich od dawna nie widziałem. Jasne włosy opadały na ramiona, kołdra była ciasno owinięta wokół ciała.

Kiedy się odezwała, jej głos okazał się suchy i szorstki.

To było wspaniałe.

Powiedziała:

– Nie przeszkadza mi samotność, kiedy serce mi mówi, że ty także ją odczuwasz. Pamiętasz?

– Dinah Shore – odparłem. – Tańczyłaś. Byłaś wtedy w zielonej fazie.

– Ta piosenka – kontynuowała. – Powiedziałam ci, że mówi o pozostawaniu na miejscu, gdy inni ruszają na wojnę.

Odegrałem swoją rolę.

– O pozostawaniu na miejscu czy o byciu pozostawionym na miejscu?

– Ox! – wykrzyknęła. – Istnieje różnica.

Zmieniła się z powrotem

To twoja sprawka, prawda?

Nie sama tego chciała

To twoja sprawka, Ox. Uwierz mi.

Musisz wrócić

joe

jesteś tam

JOE

Czasami się uśmiechała. Czasami wyglądała, jakby była gdzieś bardzo daleko.

Mark przytulił ją, kiedy wróciła do domu tamtego dnia, gdy przemieniła się z powrotem. Właściwie nie rozmawiali ze sobą,

tylko przywarli do siebie mocno i tak trwali przez wiele godzin.

Elizabeth nie płakała. Ale Mark – tak. Powtarzał:

– Przykro mi. Tak mi przykro.

Nie pierwszy raz pomyślałem, że wszystko, co mówił mi ojciec, było wierutną bzdurą.

Robbie traktował ją z nabożną czcią.

– Czyżbyś nie wiedział, kim ona jest? – syknął na mnie.

Wiedziałem.

– To Elizabeth.

– To l e g e n d a.

Tanner, Chris i Rico z trudem przebrnęli przez oficjalne przedstawienie się i zarumienili się wściekle, kiedy wycisnęła na policzku każdego z nich długi, słodki pocałunek. Później nabijałem się z nich z tego powodu. Znów zrobili się czerwoni.

Nie wiedziałem, czy próbowała dodzwonić się do synów. Nie wiedziałem, czy wyczuwali ją lepiej, niż ja kiedykolwiek potrafiłem. Powiedziałem jej wszystko, co wiedziałem, ile czasu minęło, jak wymijające odpowiedzi dostawałem.

Pokiwała głową, zapatrzyła się w przestrzeń i powiedziała:

– Powinniśmy zjeść razem niedzielny obiad.

I tak zrobiliśmy. Bo taką mieliśmy tradycję.

Elizabeth stała w kuchni i podrygiwała w rytm piosenki, która płynęła powoli ze starego radia. Nie sądziłem, by była to Dinah Shore. Być może teraz poruszałaby zbyt bolesną strunę.

Mark i Tanner pilnowali grilla, chociaż na dworze było zimno. Rico i Chris nakrywali do stołu. Robbie stał z niepewną miną na samym skraju kuchni, blisko drzwi.

– Ox – spytała Elizabeth – skończyłeś kroić cebulę?

Odparłem:

– Tak. – I wręczyłem jej miskę z drobno pokrojoną kosteczką. Udawaliśmy, że wszystko jest w porządku.

– Dziękuję – powiedziała i uśmiechnęła się. Był to ledwie cień jej dawnego uśmiechu, ale był. Okazała się silniejsza, niż przypuszczałem. Postanowiłem, że już więcej nie popełnię tego błędu.

Przemieszała cebulę na patelni i spytała:

– Robbie, prawda?

– Yyy – odparł Robbie. – Tak?

– Jesteś pewien? Nie brzmisz, jakbyś był pewien.

– Tak – powiedział. – Jestem pewien.

To wciąż nie zabrzmiało, jakby był tego pewien.

– Robbie i co dalej?

– Fontaine.

– Fontaine – powtórzyła i obrzuciła go przelotnym spojrzeniem, zanim wróciła wzrokiem do kuchenki. – Aha. Twoja matka miała na imię Beatrice.

– Znała pani moją matkę? – spytał wyraźnie zszokowany.

– Chodziłyśmy razem do szkoły. Z przykrością przyjąłem wiadomość o jej śmierci.

Robbie wzruszył z zakłopotaniem ramionami.

– To było dawno temu.

– Mimo wszystko. Była mądrą kobietą. Bardzo życzliwą. Nie byłyśmy ze sobą tak blisko, jak bym sobie życzyła. Poszłyśmy różnymi ścieżkami.

– Tak – odparł ochryplym głosem.

– Należysz do jakiegoś stada? – spytała.

Zrozumiałem wagę jej słów, nawet jeśli on nie.

Robbie ponownie wzruszył ramionami.

– Czasem? Nic na stałe. Ze względu na charakter mojej pracy zwykle krążę po różnych miejscach. Wszelkie więzi, jakie tworzę z innymi, zazwyczaj okazują się tymczasowe.

– Tymczasowe? To nie brzmi za dobrze.

– No, jest, jak jest. – Wyglądał na zakłopotanego. Podenerwowanego. Przypomniałem sobie, że na początku też się tak przy niej czułem.

– A teraz jesteś tutaj.

– Bo tak mi kazano. – Oczy zrobiły mu się okrągłe. Następne słowa wypowiedział gwałtownie. Z pośpiechem. – Nie żebym nie chciał tu być czy coś.

– Oczywiście – odparła bez zajknięcia. – Ktoś musi meldować Michelle każdy nasz ruch.

Zarumienił się wściekle.

– Nie k a ż d y ruch.

– Doprawdy?

– Nie powiedziałem nic o... No, wie pani.

– O czym?

– O tym, że... pani wróciła.

– Dlaczego?

Z jakiegoś powodu popatrzył na mnie, zamiast od razu jej odpowiedzieć. Obrzucił spojrzeniem moją twarz. Elizabeth to zauważyła i zachichotała.

– Po prostu nie wydawało mi się to właściwe – oznajmił w końcu i przeniósł wzrok z powrotem na nią.

– Interesujące – zauważyła. – A teraz bądź tak miły i przynieś mi ocet ze spiżarni, dobrze?

Przyglądałem się, jak Elizabeth zaprasza go do swojej przestroni. Wydawał się tym równie zaskoczony co ja. Ale poruszał się szybko i bez wahania.

– Pasuje tutaj – powiedziała, a ja uniosłem w zdziwieniu brew.

– Naprawdę?

– Nie czujesz tego?

– Nie wiem. – Sam już nie wiedziałem, c o czuję.

– Dziwna z ciebie istota, Ox – odparła. – Zawsze tak sądziłam. To takie wspaniałe.

Odwróciłem wzrok.

Pozostawiliśmy miejsce Thomasa u szczytu stołu puste. Bo teraz należało się Joemu.

Chciałem usiąść na tym samym krześle co zawsze, ale Mark pokręcił głową i wskazał mi miejsce, gdzie zazwyczaj siadała Elizabeth, naprzeciwko Alfego. Elizabeth nawet nie próbowała tam podejść, od razu skierowała się na moje stare miejsce, rozmawiając ściszym głosem z Rikiem. Nie zawahała się. Nawet na mnie nie spojrzała.

Nie rozumiałem, co się dzieje, przynajmniej nie w pełni. Jasne, miałem jakieś mgliste pojęcie. Byłem towarzyszem życia Alfego. Miałem swoje miejsce w hierarchii stada, wyższe niż wcześniej. Ale nie byłem wilkiem. Nie połączyliśmy się formalnie w parę. A Joego nie było.

Jedzenie zostało podane na stół. Wszyscy czekali, więc ja także. Aż w końcu zrozumiałem, że czekają na mnie. Spojrzałem na każdego z nich po kolei. Patrzyli mi uważnie w oczy. Wiedziałem, że powinienem coś powiedzieć. Ale nigdy nie szło mi za dobrze ze słowami. A jednak musiałem spróbować. Dla nich. Bo tego potrzebowali. Ja chyba zresztą też.

Powiedziałem:

– Tworzymy stado. Najwyższy czas zacząć się znów odpowiednio zachowywać.

I chociaż nasza wataha była rozbita (nie miałem jeszcze dość odwagi, by wierzyć w to, że kiedyś znów się połączymy), a brak tych, których kochaliśmy, pulsował bólem jak popsuty ząb, wziąłem pierwszy kęs. Pozostali poszli za moim przykładem.

Dopiero później zdałem sobie sprawę, że nigdy wcześniej się to nie zdarzyło. Że nawet za życia Thomasa, kiedy nie było go z nami podczas obiadu, nie czekaliśmy, aż Elizabeth zacznie pierwsza jeść. Tak robiło się tylko wobec Alfy.

Pod koniec pierwszego roku dostałem w środku nocy SMS-a. Odczytałem go dopiero rano.

Przepraszam – brzmiała wiadomość.

Nie rozumiałem.

Za co

Odpowiedź przyszła niemal natychmiast.

Nie udało się dostarczyć wiadomości. Wybrany abonent wyłączył telefon lub jego numer jest nieaktywny.

Zimny dreszcz przebiegł mi po kręgosłupie. Zadzwoiłem pod ten numer. Usłyszałem pojedynczy sygnał. A potem automatyczne powiadomienie.

Wyłączył telefon.

Nieaktywny.

Wszystko jest okej, powtarzałem sobie. Nic się nie stało, to tylko jednorazowy telefon, który pewnie wyrzucili. Kupili kolejny. Joe zapomniał przesłać mi nowy numer. Jak zawsze.

Musiałem tylko poczekać.

Odłożyłem telefon i naciągnąłem kołdrę Joego na pierś. Nie pachniała nim. Nic w tym pokoju nim nie pachniało. Już nie. Ale to też było okej.

Musiałem tylko poczekać.

drugi rok / pieśń bitewna

Gdzieś tak w połowie drugiego roku przyszły Omegi. Nie były na nas przygotowane.

Jessie powiedziała:

– Cześć, Ox.

Byliśmy w warsztacie. Tanner, Chris, Rico i ja. Robbie też z nami był. W którymś momencie stwierdził, że nudzi mu się na tyle, że chciałby się dowiedzieć, co i jak. Szło mu powoli, bo był kompletnie beznadziejny, jeśli chodziło o naprawę i serwisowanie samochodów, więc nie ufałem mu za bardzo, nawet jak miał samodzielnie zmienić olej. Ale się starał.

Wiele się o nim dowiedziałem. Był rok młodszy ode mnie. Jego mama zginęła w wojnie terytorialnej pomiędzy rywalizującymi watahami, kiedy był jeszcze dzieckiem. Jego ojciec, człowiek, mieszkał w Detroit. Widywał się z synem tylko raz na jakiś czas, bo po śmierci żony nie chciał mieć nic wspólnego z wilkołakami. Byli dwiema indywidualnościami i nie było żadnego powodu, dla którego ich ścieżki miałyby się przecinać. Czasami napawało to Robbiego smutkiem, ale nie chciał nic z tym robić. Nie miał towarzysza ani towarzyszki życia. Kiedyś, dawno temu, miał

chłopaka, później dziewczynę, ale nie skupiał się na takich kwestiach. Miał robotę do zrobienia.

Czułem się przez niego zmieszany. A to nie było dobre.

– Dlaczego wciąż tu jesteś? – spytałem go.

Wzruszył tylko ramionami i odwrócił wzrok.

– Robię, co mi każą.

Nie wierzyłem mu. Już nie. Od czasu, jak podsłuchiłem jego rozmowę telefoniczną. Gadał z jedną z tych bezimiennych osób ze Wschodu. Mówił, że nie chce, by ktokolwiek go zastępował, że dobrze mu z nami, że chce zostać. Odkąd przebywał w Green Creek, nic się nie wydarzyło, i chciał się upewnić, że tak zostanie.

Z kolei kiedy rozmawiał z nami, sprawiał wrażenie, jakby jego pobyt tutaj był tylko pracą. Kłamał, ale nie miałem mu tego za złe. Ale i tak niewiele można zrobić, by się w końcu nie znudzić obserwowaniem innych osób. Dlatego przyszedł do warsztatu.

Nie musieliśmy mu płacić, bo i tak zarabiał niesprecyzowaną ilość pieniędzy tylko za to, że mieszkał w Green Creek. Musieliśmy tylko pamiętać, żeby tego nie księgować.

W sumie było fajnie. Móc pogadać z kimś innym. Czułem, jak buduje się powoli, podobnie jak w przypadku Tannera, Chrisa i Rica. Potrzeba, by związać go z nami. Sprawić, by stał się częścią nas. Nie wydarzyło się to od razu, ponieważ pojawił się jako nieznajomy, i to wtedy, kiedy nikogo nie obdarzaliśmy z łatwością zaufaniem. Chłopaków znałem od lat z warsztatu. Byli moimi przyjaciółmi. On nie. Nie z początku. Ale stawał się... czymś. Wiedziałem, że wszyscy to czujemy. A mimo to nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

No więc był też z nami w warsztacie, kiedy przyszła Jessie. Nie wyglądała na zaskoczoną moim widokiem. Nie spotkałem się z nią

ani razu od czasu pogrzebu, kiedy położyła swoją dłoń na mojej. Widywaliśmy się tylko przelotnie, na ulicy czy w spożywczaaku, ale rzadko kiedy bywałem teraz sam, zawsze towarzyszył mi któryś z członków stada.

Nie miałem dla niej czasu. Nie żeby wcześniej było inaczej. Był to jeden z powodów, dla których nasz związek zakończył się tak, jak się zakończył. Ale nawet gdyby brak czasu nie stał się przyczyną rozstania, stałby się nią Joe. Koniec końców wszystko prowadziło do niego. W dużym stopniu czułem wdzięczność za to, że zerwaliśmy w tamtym momencie. To wiele ułatwiło.

Dlatego kiedy powiedziała:

– Hej, Ox – mogłem się do niej uśmiechnąć. Przypomniałem sobie drzenie serca i żołądka, które dopadało mnie na jej widok, zwłaszcza tego dnia, kiedy po raz pierwszy zjawiła się w warsztacie, po śmierci matki, przyjechawszy za bratem do małego miasteczka na zadupiu. Zdawało mi się, że to się przytrafiło komuś zupełnie innemu.

– Hej, Jessie – przywitałem się, a ona podeszła do mnie, omijając graty na podłodze, i uściskała mnie mocno, nie przejmując się tym, że mam brudne ręce.

Zignorowałem ostrzegawcze warknięcie, które dobiegło zza moich pleców. Stwierdziłem, że było zbyt ciche, by dziewczyna mogła je usłyszeć, a nawet jeśli jej się to udało, to z pewnością nie zrozumiała, że ma do czynienia z wilkiem broniącym swojego terytorium. Robbie nie znał Jessie, zaś sam stał się nam bliższy niż kiedykolwiek wcześniej. Jeszcze nie do końca był członkiem watahy, ale nie sądziłem, by ten stan rzeczy miał się długo utrzymać. O ile będzie chciał. O ile my wszyscy będziemy chcieli.

– Dobrze cię widzieć – powiedziała, odsunawszy się ode mnie.

Żeby nie komplikować sytuacji, cofnąłem się o kilka kroków. Przypomniałem sobie, w jaki sposób Carter, Kelly i Joe reagowali na jej poufałość. Nie chciałem kłopotów.

Obejrzałem się przez ramię i rzuciłem Robbiemu gniewne spojrzenie. Miał na tyle przyzwoitości, by się zawstydzić. I zmieszać, jakby nie miał pojęcia, dlaczego w ogóle warknął.

– Ciebie też – zapewniłem, odwróciwszy się z powrotem do dziewczyny. – Co cię sprowadza?

– Lunch z Chrisem – powiedziała i podniosła torbę z fast foodem.

– Pomyślałam sobie, że wpadnę. Trochę mnie tu nie było. Warsztat nieźle wygląda.

– Dzięki – odparłem. – Chris jest w biurze, rozmawia przez telefon. Za chwilę wyjdzie. Rico i Tanner pojechali po części.

Pokiwała głową i spojrzała mi przez ramię.

– My się chyba jeszcze nie znamy – zwróciła się do Robbiego. – Jestem Jessie. Siostra Chrisa.

– Cześć – odparł Robbie. I tyle.

Ledwie się powstrzymałem, żeby nie przewrócić oczami. Pierdolone wilkołaki.

– Cześć – powiedziała Jessie, nawet się nie trudząc ukrywaniem uśmiechu. Wróciła do mnie wzrokiem. – Będzie tutaj świetnie pasował.

Nie wiedziałem, czy miała to być obelga, czy nie, więc tylko kiwnąłem głową.

– Jak się miewasz? – spytała.

Wzruszyłem ramionami.

– W porządku. – Wiedziałem, o co tak naprawdę pyta, co przemilczała. Jak się miewasz od czasu śmierci twojej matki. Ale w porządku. Nie litowała się nade mną. Nie chciałem, żeby się litowała.

Jej wzrok złagodniał.

– To dobrze – stwierdziła. – Wiem, że to wszystko... stało się tak nagle.

Kiedy usłyszałem, że śmierć mamy była taka nagła, w mojej piersi wybuchł ból, w jej wnętrzu nabrzmiało coś czarnego. Było mroczne i oleiste i podsuwało mi myśli w stylu: *to była wina wilkołaków i gdyby powiedziały mi, co się dzieje, mógłbym ją ocalić, i trzymali przede mną różne rzeczy w tajemnicy, jakby to nie było nic takiego, no i proszę, spójrzmy, jak się to skończyło.* Takie myśli pojawiały się czasem w mojej głowie, kiedy leżałem sam w łóżku i nie mogłem zasnąć, a zegar wskazywał trzecią nad ranem.

Ale Jessie o tym nie wiedziała. W przeciwnym wypadku nie dodałaby:

– A jak tam Joe? Słyszałam, że na ostatni rok nauki przeniósł się do prywatnego liceum. Pewnie szykuje się na wyjazd do college’u, co?

Taką przykrywkę wymyśliliśmy. Rozpacz po śmierci ojca okazała się zbyt wielka, by mógł pozostać w Green Creek. Chciał się stąd wyrwać. Dlatego wrócił do Maine. Carter i Kelly wyjechali poza stan, gdzieś na Wschód. O Gorda właściwie nikt nie dopytywał. Nikt nie drażył tematu.

W rzeczywistości nie wiedzieliśmy, gdzie są. Nikt z nas nie miał od nich żadnych wieści od czasu, kiedy najwyraźniej zerwali z nami wszelką łączność. Carter, Kelly i Gordo też wyrzucili swoje telefony.

Robbie twierdził, że nikt na Wschodzie nie wie więcej niż my. Nikt ich nie widział. Z nikim się nie kontaktowali. Elizabeth powiedziała, że nic nie dzieje się bez powodu. Że musimy ufać, że wiedzą, co robią. Mark milczał w tej kwestii.

Pomyślałem, że wszystko to są jakieś brednie. Nigdy wcześniej nie czułem wściekłości wobec Joego, nie tak na poważnie. Mój gniew nie był czymś, co mogłoby zapuścić korzenie w mojej skórze i kościach i przerodzić się w coś innego. Ale tak właśnie działa się teraz. Pomyślałem sobie, że może ten nowy twór jest trujący, bo bywały chwile, kiedy mówiłem sobie, że nas porzucił, że myśli tylko o sobie i swoim samolubnym pragnieniu zemsty. Że to niesprawiedliwe wobec mnie, wobec jego braci, wobec reszty stada. Że n a p r ó ż n o naraża się na niebezpieczeństwo. I że najwyraźniej za bardzo go rozpraszałem, żeby miał się z nami kontaktować.

Tak sobie wmawiałem. Nie sądzę, by miało znaczenie, czy była to prawda, czy nie.

– No – odparłem. – College i te sprawy. – Zabrzmiało niemal wiarygodnie.

Spojrzała na mnie spod zmrużonych powiek.

– Wy nadal...?

Wzruszyłem ramionami. Nie wiedziałem, co mam odpowiedzieć. Czy nadal jesteśmy... No, właśnie: c z y m?

Takie myśli też miałem. Takie, które podszeptowały mi, że jestem dla niego nikim. Że nie zostawił n a s, tylko m n i e. Że inne sprawy liczyły się dla niego bardziej niż ja. Że to tylko dzieciak, który nie wie, czego chce.

Jasne, mój ojciec mylił się przez większość czasu, ale powiedział też, że ludzie będą mnie chujowo traktować. A Joe potraktował mnie

chujowo.

– Hm – powiedziała Jessie. – Zawsze mi się wydawało, że wszystko już ustalone.

– Wszystko się zmienia – odparłem i zmusiłem się do uśmiechu.

– Zobaczymy, jak będzie, kiedy wróci.

Jeśli w ogóle wróci – powiedział ten cichutki głosik.

Chwyciła moją dłoń i ścisnęła delikatnie.

– Wróci – powiedziała, jakby czytała mi w myślach. A może tak właśnie było. W przeszłości dobrze się nawzajem znaliśmy. – Przecież wiesz, Ox.

Robbie znów zawarczał, zrywami, jak silnik, który nie chce zapalić.

– Taa – odparłem. Łatwiej było się z nią zgodzić niż dyskutować o rzeczach, których nie rozumiała.

– Powinniśmy się kiedyś spotkać – zaproponowała. – Jak będziesz miał wolną chwilę.

– Chyba mógłbym...

– Musimy zrobić to, no wiesz, Ox – wtrącił się Robbie.

– Ale co? – spytałem, sięgając do najgłębszych pokładów cierpliwości.

– No wiesz, to – upierał się przy swoim. – Zajmie ci to mnóstwo czasu.

– Nie wiem, o czym ty...

– Nie będziesz miał chwili wytchnienia. Przynajmniej na razie.

– On też jest z rodziny Bennettów? – spytała Jessie. W jej głosie pobrzmiwało rozbawienie. – Mówi zupełnie jak oni.

– Nie, jest z Fontaine'ów – odparłem, marszcząc brwi. Nie rozumiałem, o co jej chodzi.

– Jasne – powiedziała. – No, w każdym razie zadzwoń, jak będziesz miał okazję. Nadal mam ten sam numer.

Kiwnąłem głową, a ona ruszyła w stronę biura, gdzie Chris właśnie kończył rozmawiać przez telefon.

Ja zwróciłem się do Robbiego.

– Co to było?

– Nic – odparł. – Znaczy nie wiem, o czym mówisz.

– Robbie.

– OX, skończmy wymianę oleju.

– Naprawialiśmy alternator.

– Aha. – Obrzucił spojrzeniem samochód. – Teraz nasza praca nabrała więcej sensu.

– To moja przyjaciółka.

Spojrzał na mnie spode łba.

– Nie słyszałeś, jak waliło jej serce. Nie w a c h a ł e ś jej.

– O Boże, nienawidzę wilkołaków – wymamrotałem.

– Śmierdziała podnieceniem.

– Nie powinieneś łązić i o b w a c h i w a ć ludzi.

– Nic na to nie poradzę! Każ jej nie łązić i pachnieć, jakby chciała ci wskoczyć na kutasa!

– Kto chce wskakiwać na kutasa? – spytał Rico, kiedy weszli z Tannerem do zakładu.

– Nikt – powiedziałem szybko.

– Tamta dziewczucha – odparł Robbie. – Jessie.

Westchnąłem.

– To była dziewczyna Oxa – poinformował go Tanner.

– Z czasów liceum – dodał Rico, jak zawsze pomocny. – Taka miłość trwa wiecznie.

Robbie wyglądał na lekko przerażonego.

– S p o t y k a ł e ś się z nią?

Ukryłem twarz w dłoniach.

– Przecież połączyłeś się w parę z A l f a !

To mnie zatrzymało. Opuściłem ręce. Spojrzałem gniewnie na Robbiego i oświadczyłem:

– Nie połączyłem się w parę z nikim. Możesz być pewien jak jasna cholera, że w przeciwnym wypadku by tu był i...

Urwałem. Wszyscy się we mnie wpatrywali. To nie był odpowiedni na to czas. Może nigdy nie będzie.

– Ox – powiedział Rico łagodnie, jakby zbliżał się do przypartego do muru zwierzęcia. – Wiesz, że on by...

Odparłem tylko:

– Skończ.

Nie skończył.

Wybąkałem coś o lunchu i zostawiłem ich samych w warsztacie.

Przyszły cztery dni później. Przez te cztery dni robiłem się coraz bardziej wkurzony. Miałem p r o b l e m y i nie potrafiłem wymyślić ani jednego sposobu na to, by się ich pozbyć. Ponieważ moim problemem były wilkołaki. Moim problemem było stado.

A może chciałem wieść normalne życie, z dala od wszystkiego, co nie powinno istnieć? A może chciałem zostawić to wszystko za sobą i znaleźć miejsce, w którym wilkołaki nie znałyby mojego imienia?

Thomas powiedział mi kiedyś, że im dłużej człowiek jest członkiem watahy, tym silniejszy robi się zapach wilków, aż człowiek staje się ich częścią, zakorzenienia we wszystkim, czym są.

Każdy wilk by wiedział, że należałem do innego stada, choćbym nie wiem jak długo szorował skórę. Drażniło mnie to.

Trzymałem się z dala od innych, jak tylko się dało. Pracowałem do późna, nie wychodziłem z pracy przed północą. Chłopacy z warsztatu próbowali na mnie naciskać, ale powiedziałem im ostro, że mają mnie zostawić w spokoju.

Mark i Elizabeth nie naciskali. Nie chciałem, żeby to robili, ale czułem się zdezorientowany. No, bo niby czemu sądziłem, że powinni? Powinienem był wiedzieć, że Elizabeth zaczeka, aż uzna, że jestem gotowy. Czasem wydawało mi się, że zna mnie lepiej niż ja sam.

Potarłem twarz dłonią i ruszyłem gruntową drogą w stronę domu na końcu ulicy. Pewnie zachowywałem się głupio, chodząc w pojedynkę w samym środku nocy, ale pokładałem wiarę w bariery ochronne Gorda, nawet jeśli zaczynałem tracić wiarę w niego samego.

Byłem zmęczony. Wieloma rzeczami.

Wyczułem Elizabeth, jeszcze zanim ją zobaczyłem czy usłyszałem. Nie wydawało mi się to powszechne wśród ludzkich członków wilczych stad, ale nie znałem innych takich jak ja, więc nie miałem kogo spytać. Poza tym w tamtym okresie już sama myśl o zadawaniu pytań komukolwiek wydawała mi się męcząca. Zwłaszcza na domiar wszystkiego.

Zawołałem:

– Wiem, że tam jesteś. – Spodziewałem się, że wyjdzie spomiędzy drzew jako wilk.

Zamiast tego powiedziała:

– Oczywiście, że wiesz. Nie śmiałabym sądzić inaczej.

Wyłoniła się z cienia, poruszając się z nieczłowieckim wdziękiem. Miała na sobie parę luźnych spodni od dresu i starą bluzę Thomasa, w której rękawach chowały się jej dłonie. Jej oczy rozbłysły na chwilę w ciemności tym samym halloweenowym oranżem, który tak bardzo przypominał mi jej syna. Na samą myśl o nim poczułem ból w klatce piersiowej.

A ona o tym wiedziała. Bo tak już po prostu miała. Powiedziała:

– Aha. Zastanawiałam się, czy to o to chodzi.

– Chciałbym, żebyś przestała to robić – sarknąłem.

Zaśmiała się cicho.

– Nie umiem przestać. To leży w mojej naturze.

– Czajenie się na ludzi w lesie w środku nocy leży w twojej naturze?

– Ja się na nikogo nie czaję. – Wydawała się lekko urażona.

– No, właściwie to tak – odparłem. – To część tego twojego... zachowania.

– Lubię cię – powiedziała z powagą. – Bardzo.

Nie mogłbym powstrzymać uśmiechu wypływającego mi na twarz, nawet gdybym chciał.

– Wiem. Ja też cię lubię.

Ruszyłem w stronę domu na końcu ulicy. Zrównała ze mną krok.

– Unikasz nas ostatnio – zauważyła.

– Byłem zajęty – odparłem.

– No tak – powiedziała. – Pracą w warsztacie.

– No.

– Musi być ogromny?

– Co?

– Napływ do Green Creek ludzi, którym w tym samym czasie psują się samochody.

Spojrzałem na nią spode łba.

Uśmiechnęła się do mnie pogodnie.

– Są ich dziesiątki – odparłem.

– Jesteś zły.

Zatrzymałem się i zwinąłem dłonie w pięści.

– Masz prawo być zły – stwierdziła.

– Nie jestem zły – warknąłem.

– Oczywiście, że nie – powiedziała. – Tylko unikasz swojego stada, a kiedy już nas z a u w a ż y s z, zachowujesz się, jakbyś nami gardził. Nie jesteś zły, wcale a wcale.

– Nikim nie g a r d z ę – oznajmiłem.

– Z całą pewnością nie jest to prawda. Na świecie żyje wielu ludzi zasługujących na wzgardę.

– Elizabeth...

– Nie mamy do ciebie żalu.

Zamrugałem.

– Z a c o?

– Za to, że nas obwiniasz.

Cofnąłem się o krok.

– Ja nie...

– Nic nie szkodzi, jeśli obarczyłeś nas winą. Lub obarczasz. Nie wiem, czy na twoim miejscu nie zrobiłabym tego samego. Z pewnością jesteśmy właściwymi osobami, byś przelał na nas swój żal.

Zwiesiłem głowę.

– W końcu – ciągnęła – gdybyś nigdy nie usłyszał o wilkołakach, nic złego by się nie wydarzyło. Gdybyśmy nie wrócili do Green Creek, nigdy byś nas nie spotkał, a twoja mama spałaby spokojnie we własnym łóżku. A przynajmniej mam nadzieję, że tak by było, bo tak naprawdę nigdy nie można mieć pewności, co przyniesie nam los. Życie bywa pod tym względem przewrotne.

– Dlaczego mi to mówisz? – spytałem.

– Bo ktoś musi – odparła. – A skoro Joego tu nie ma, to tym kimś muszę być ja.

Gniew buchnął we mnie jasnym, wysokim płomieniem. Poczula go, jeśli ciut szerzej otwarte oczy mogły o tym świadczyć.

Powiedziała:

– On nie chciał cię opuszczać, Ox.

Zaśmiałem się z goryczą.

– Doprawdy? Bo nie da się ukryć, że jak na kogoś, kto nie chciał wyjeżdżać, wyjechał cholernie szybko.

– On nie...

– Tylko mi nie mów, że nie miał w y b o r u – warknąłem na nią.

– Bo m i a ł. M ó g ł w y b r a ć n a s. M ó g ł w y b r a ć... – Nie chciałem kończyć myśli, bo to uczyniłoby wszystko jeszcze bardziej realnym.

Ale Elizabeth wiedziała.

– Ależ on wybrał c i e b i e, Ox – powiedziała, nie bacząc na gniew w moim głosie. – A może już zapomniawsz? Dał swojego wilka nie komuś innemu, a tobie. Zawsze liczyłeś się tylko ty.

– I co teraz z tego mamy? Joe jest Bóg wie gdzie, razem z Carterem i Kellym. Z G o r d e m. Kurwa, nawet nie wiemy, czy żyje. Czy którykolwiek z nich żyje.

– Żyją.

Wpatrzyłem się w nią.

– I ty to wiesz.

– Tak.

– Bo...?

– Bo jestem matką. I jestem wilkiem. Wiedziałałabym, gdyby zginęli, tak samo jak wiedziałam, kiedy umarł Thomas.

Zaschło mi w gardle.

– Nie wyczuwam ich. Nie tak jak wcześniej.

Wyciągnęła rękę i musnęła moje ramię. Nie byłem pewien, czy chcę, żeby mnie dotykała, czy nie, ale odsunęła dłoń, nim zdążyłem się cofnąć.

– Nie oczekuję, że będziesz potrafił – stwierdziła. – Nie jesteś wilkiem. Nawet jeśli jesteś czymś więcej, niż byłeś, to nie to samo.

– Rozmawiałaś z nim? – Serce zaczęło walić mi w piersi.

– Nie – odparła ze smutkiem. – Nie rozmawiałam. Z żadnym z nich. Gdyby było inaczej, wiedziałbyś o tym. Ox, rozumiem, dlaczego zrobił to, co zrobił, nawet jeśli tego nie pochwalam. Utrata rodzica to coś strasznego. Zresztą dobrze o tym wiesz. I nie chciałałabym deprecjonować twojego bólu, ale Joe stracił ojca. A z a r a z e m Alfę. A potem musiał przyjąć na siebie rolę, do której się przygotowywał, znacznie wcześniej, niż sądził, że będzie musiał.

– Tu nie chodzi o to, co jest słuszne – zauważyłem. – Chodzi o zemstę. Czy ty w ogóle próbowałaś go zatrzymać?

Wyglądała, jakbym ją spoliczkował. Innej odpowiedzi nie potrzebowałem.

– Posłuchaj, to...

– A co ty byś zrobił? – spytała. – Gdybyś miał okazję wszystko naprawić i zaprzepaścić ją, a później odkrył, że twoja bezczynność

przyczyniła się do cierpienia innych?

Nie odniosłem wrażenia, że mnie osądza, była zwyczajnie ciekawa.

– Postawiłbym stado na pierwszym miejscu – odparłem szczerze. – Pomimo że przepelniała mnie wściekłość i niczego nie pragnąłem bardziej, niż dopilnować śmierci Richarda Collinsa, utrzymałbym watahę razem. Żeby zapewnić jej bezpieczeństwo. Żeby pozostała w całości. A gdybyśmy już wyszli na prostą, podjęlibyśmy decyzję. Wspólnie. Tego nauczył mnie Thomas. Powtarzał, że wataha jest na pierwszym miejscu, niezależnie od wszystkiego.

Uśmiechnęła się niepewnie.

– On cię kochał – oznajmiła. – Thomas. Bardzo. Jak my wszyscy. Zwłaszcza Joe. Nie wiem, czy to rozumiesz, Oxnardzie, ale potrzebujemy cię. Bardziej niż jesteś sobie w stanie wyobrazić.

Oczy mnie zapiekły. Niczego mocniej nie pragnąłem niż tego, by jej słowa okazały się prawdą.

– A co z m o i m i potrzebami? – spytałem.

– Potrzebujesz nas w takim samym stopniu, jak my potrzebujemy ciebie.

– Potrzebuję jego.

– Wiem.

– Oni muszą wrócić.

– Wiem.

– A wróćą?

Dotknęła przelotnie mojego ramienia.

– Jak tylko będą mogli.

Jej odpowiedź mi nie wystarczyła, ale wiedziałem, że tylko taką może mi dać.

Powiedziała:

– Chodźmy...

Zadzwonił mój telefon. Jego dźwięk rozległ się szokująco głośno w leśnej ciszy.

– Przepraszam – bąknąłem. I nagle moje serce fiknęło kozła, bo wiedziałem, że to jest to. Że dzwoni Joe, że zamierza mi powiedzieć, że p r z e p r a s z a, że nie chciał wyjeżdżać na tak długo, że wraca do domu, że już nigdy nie opuści mojego boku, że wszystko będzie w p o r z ą d k u.

Pomajstrowałem przy telefonie. Ekran rozjarzył się w ciemności, rozmazując mi obraz przed oczami, i nie widziałem, nie mogłem...

– Cześć – wychrypiałem. – Joe, to...

– Ox? – Usłyszałem czyjś płaczliwy głos. – Ox, oni mnie... krzywdzą. Ox.

To nie był Joe.

– Jessie? – spytałem zdezorientowany, wściekły i zraniony zarazem. Bo to nie był Joe, to nie był Joe, t o n i e b y ł J o e...

– Ox – powiedziała. Płakała. – I c h o c z y. One się ś w i e c ą...

– Gdzie jesteś? – wyrzuciłem z siebie, zaciskając dłoń na aparacie.

Wtedy dziewczyna wrzasnęła.

– J e s s i e!

Krzyk się urwał.

A w telefonie odezwał się inny głos. Powiedział:

– Cześć, Ox. – Brzmiało to tak, jakby ktoś mówił z paszczą pełną bardzo ostrych zębów.

– Kto mówi? – warknąłem do aparatu.

– Znalazłem twoją przyjaciółkę. Pachniała tobą. Troszeczkę. Jakby to było wspomnienie sprzed wielu lat. Próbuję się przedostać przez twoje małe... bariery.

– Klnę się na Boga, że cię zajebię, jeśli spadnie jej choćby włos z głowy.

– O nie! – warknął głos. – W takim razie pewnie będziesz musiał mnie zabić. Wszystko przez jej krew. Jest taka pyszna.

– Czego chcesz?

– Lepiej. Dziękuję. Tak naprawdę to proste. Chcę ciebie, Ox. Resztek twojego stada. On będzie taki... zadowolony. Ze mnie. P o k o c h a mnie... za to, że zabiorę wszystko, czego on nie zdołał.

– Nie wiesz, z kim...

– Ox – warknął wilk, bo nie mógł to być nikt inny niż wilk. Przebywałem wśród nich wystarczająco długo, by rozpoznawać dźwięki, jakie wydają. Wściekłość, którą potrafią zapalać. – Chyba mnie nie s ł u c h a s z.

Jessie wrzasnęła ponownie, głos załamał jej się w połowie, żywy i drżący od bólu.

– Przestań – rzuciłem błagalnie do telefonu. Bo to była moja wina. Krzywdził ją ze względu na m n i e. – Nie rób jej nic złego. Przestań. Czego chcesz?

– Przyjdź do mnie – odparł wilk. – Poza te... l e p k i e rzeczy. Te, które p a r z a. Te cholerne b a r i e r y. Wyjdź z za nich. A wtedy się zobaczy... co się zobaczy.

– Gdzie? – spytałem przez zaciśnięte zęby.

– Na most. Powiedziano mi, że jest tylko jeden. Masz dwadzieścia minut, Oxnardzie. Obawiam się, że muszę na to nalegać. Dwadzieścia minut. Albo jej krew splami t w o j e ręce.

Wilk się rozłączył.

Ręce mi drżały, kiedy opadły po bokach ciała.

– Słyszałaś? – spytałem.

– Wszystko – potwierdziła, a jej oczy rozbłyły w mroku na pomarańczowo.

– Oni nie wiedzą, prawda?

– Nie. Myślą, że jesteśmy rozbici.

– I dobrze – warknąłem. – Bo w takim razie zjebali sprawę.

Przeobraziła się połowicznie, wysunęła pazury i kły. Sierść zafalowała na jej policzkach i nad brwiami. I po raz pierwszy, odkąd wydała z siebie żałobną pieśń po śmierci swojego Alfya, Elizabeth Bennett odchyliła głowę do tyłu i zaśpiewała. Tyle, że tym razem była to pieśń bitewna.

Byliśmy rozbici. Część z nas wyjechała. Nasze stado nie było całe. Taka była prawda. Ale nadrobiliśmy to. Zapełniliśmy tymczasowo puste przestrzenie, by utrzymać się razem, dopóki było to jeszcze możliwe.

– Po co to wszystko? – spytał Rico z twarzą ociekającą potem.

Przypomniałem sobie, co powiedział mi Thomas. Na temat stada. I ochrony własnego terytorium.

– Na wszelki wypadek – odparłem. Tanner i Chris znajdowali się w zasięgu słuchu, łapali krótkie, urywane oddechy. Mark był

połowicznie przeobrażony, Elizabeth – w wilczej postaci. Ich oczy błyskały na mnie.

- Na wypadek czego?
- Czegokolwiek. Jeszcze raz.
- Spełnili rozkaz. I jeszcze raz.
- I jeszcze.
- I jeszcze.

Miejsce, w którym wilk chciał się ze mną spotkać, było osobliwe. Stary kryty drewniany most na obrzeżach Green Creek. Ludzie twierdzili, że jest urokliwy, chociaż farba się na nim łuszczyła, a deski popękały. Miastowi przyjeżdżali jesienią, żeby robić mu zdjęcia, kiedy liście na okolicznych drzewach zmieniały kolor. Rozciągał się nad korytem strumienia, który spływał powoli z gór zimną wodą. Oznaczało to jednak, że miejsce było odludne, więc nikt z miasteczka nie ucierpi.

Nie przejmowaliśmy się braniem samochodu. Mark spotkał się z nami wśród drzew, już w wilczej postaci, z oczami świecącymi w ciemności i drgającym ogonem. Elizabeth właśnie się rozbierała, kiedy zadzwonił do mnie Tanner po tym, jak usłyszał jej zew.

- To się dzieje naprawdę? – spytał.
 - Tak – odparłem przez zaciśnięte zęby. – Mają Jessie.
 - Kurwa. Chris, on...
 - Zbierz ich. Spotkamy się w warsztacie. Sam mu powiem.
 - Ox...
 - Jazda – uciałem. – Już.
- Stęknął i się rozłączył.

Odwróciłem się do pozostałych.

Robbie też już się pojawił, szary wilk z czarnymi paskami biegnącymi wzdłuż pyska. Był mniejszy niż Mark i Elizabeth, a także smuklejszy, ale miał ostre zęby i wielkie łapy. Cienka nić, która jakimś cudem rozciągnęła się pomiędzy nami a nim, pulsowała delikatnie, a ja wyczuwałem, jak myśl: *stadostadostado* napływa z każdą kolejną falą. Nie przyjmowaliśmy tej więzi w pełni do wiadomości, bo zdrada potrafi być głęboko zakorzeniona. Nie był Osmondem, lecz pochodził z tego samego miejsca.

Ale Robbie z nami był. Trenował z nami. Jadał z nami przy naszym stole. Sądziłem, że nie minie wiele czasu, nim runą wszelkie dzielące nas mury.

Zastanawiałem się, czy Joe ich wyczuwa.

Zastanawiałem się, czy go to obchodzi.

Wilki podążyły za mną między drzewa, pobiegły w ciemności u mojego boku. Nie musiałem patrzeć, dokąd zmierzam. Znałem to miejsce, ten las. Znałem każdy jego centymetr. Thomas mi go pokazał. Nauczył mnie, że terytorium oznacza dom, a to był mój dom. Wiedziałem, w którym miejscu powinienem skoczyć, a w którym się uchylić. Nie zastanawiałem się jak ani dlaczego. Tak po prostu było.

Po dotarciu do Green Creek staliśmy się ostrożniejsi, trzymaliśmy się cienia. Było późno, bardzo późno, a na ulicach – pusto, ale ludzie już i tak plotkowali o wilkach grasujących w lesie, więc nie chcieliśmy, by ktoś pomyślał, że spacerują sobie po miasteczku.

W warsztacie było ciemno, ale wyczuwałem ich gdzieś z tyłu. Ich głosy się urwały, kiedy wyszliśmy z za rogu. Popatrzyli na mnie, kiedy wilki do nich podeszły i zaczęły się ocierać. Tanner rzucił mi

łom, ostrożnie, żeby nie dotknąć nim Robbiego, który przycisnął się bokiem do jego nogi.

Złapałem go, a Chris powiedział:

- Słyszeliśmy go. Skowyt. Brzmiał tak, jakby...
- Rozlegał się w twojej głowie?

Wszyscy pokiwali z wyraźną ulgą.

- Przyzwyczajacie się – zapewniłem. – W większości.
- Co się stało? – spytał Rico.
- Chris – powiedziałem. – Musisz mnie wysłuchać.

Zmarszczył brwi.

- Co... co się stało?
- Omegi – odparłem. – Poza barierami.
- Nie przedrą się, prawda? – spytał Rico. – To dlaczego...
- Mają Jessie – przerwałem mu, nie spuszczając wzroku z Chrisa.

Pobladł.

- Co? – szepnął.
- Zmusili ją, żeby do mnie zadzwoniła.

Chris zrobił krok naprzód, odrętwiały i emanujący wściekłością.

- Żyje? – zażądał odpowiedzi.
- Tak – potwierdziłem i pomyślałem, że tak zostanie. Chłopacy potrzebowali zachęty. Zostało nam dziewięć minut. Może dziesięć.
- Słyszałem jej głos.

- Co powiedziała?

Krzyczała, ale tego nie musiał wiedzieć.

- Że ją schwytali i że oczy im się świecą.
- Kurwa – wymamrotał Rico.
- Porwali ją – zwrócił się do mnie Chris.
- Tak.

– A my ją odbijemy.

– T a k.

– Ox – powiedział, a ja położyłem mu dłonie na ramionach i przycisnąłem czoło do jego czoła. – Ona jest wszystkim, co mam. Ona nie... To moja siostra, Ox. Nie mogą jej tego z r o b i ć.

– Odzyskamy ją – przyrzekłem mu. – Sprowadzimy ją z powrotem, a oni pożałują dnia, kiedy ją nam odebrali.

Odetchnął ciężko, pod dłońmi poczułem, jak drżą mu ramiona. Ale poczułem także moment, w którym odepchnąłem emocje na bok, po sposobie, w jaki się spiął i okrzepł. Po tym, jak oczy mu pociemniały. Po tym, jak obnażył zęby.

– Oni myślą – powiedziałem, podnosząc głos tak, by pozostali też mnie usłyszeli – że jesteśmy nikim. Że mogą tu przychodzić i b r a ć sobie, co chcą. Że jesteśmy z ł a m a n i.

Wilki zawarczały i zazgrzytały zębami.

– Pokażemy im, jak bardzo się mylą.

I może, ale tylko może, przez najdrobniejszy ułamek sekundy, pomyślałem, że rozumiem Joego i wybory, których dokonał.

Poczułem bariery ochronne Gorda, zanim poczułem cokolwiek innego. Kończyły się jakieś dziesięć metrów od krytego mostu. Nie zostaliśmy uwięzieni. Mogliśmy opuścić Green Creek, kiedy byśmy chcieli. Nie chodziło o zatrzymanie nas w miasteczku. Chodziło o trzymanie z dala tych wszystkich, którzy zamierzali skrzywdzić stado. A gdyby przeciwnik okazał się na tyle silny, by się przedrzeć, to, przynajmniej w teorii, mieliśmy się o tym dowiedzieć. Gordo powiedział, że według niego nikt się przez nie nie przedostanie,

nawet jego ojciec, ale na wszelki wypadek zostały połączone z więziami łączącymi watahę, tworząc swoisty system alarmowy.

Im bliżej barier się znajdowaliśmy, tym mocniej tętniły mi pod skórą. Czułem się, jakbym był cieputki i drżący, jakby magia wyśpiewywała własne piosenki. Czary Gordy były połączone z nami, może najbardziej z Joem, ale ich dwóch nie było, a bariery pozostały. Poświęciłem mu myśl, lecz zaraz ją odepchnąłem. Nie miałem czasu na wspomnienia. Nie teraz.

Bariery ciągnęły się wokół całego miasteczka, wcinały głęboko w las. Gordowi nie udało się osłonić całego terytorium należącego do Bennettów, ale wystarczająco dużo, byśmy byli bezpieczni.

Za barierami, przed mostkiem stały wilki. Zbliżyłem się do nich pierwszy, pozostali na razie byli poza zasięgiem wzroku. Wiedziałem, że bariery przeszkadzały Omegom w używaniu zmysłów, więc nie wydawało się prawdopodobne, by zauważyły, ile osób ze mną przyszło. Może nawet były na tyle głupie, by sądzić, że zjawiłem się sam.

Obserwowały mnie fioletowe oczy. Naliczyłem dziesięć par śledzących każdy mój krok.

Nie widziałem Jessie. Na krótką chwilę zapomniałem, że nie potrafię jej wyczuć tak jak pozostałych. Przypomniałem sobie tamten dzień, kiedy rozstaliśmy się w moim pokoju, i spróbowałem wychwycić więź. Nie należała do stada. Nie potrafiłem jej tak po prostu poczuć.

Zatrzymałem się tuż przed barierami. Gdzieś po mojej prawej Gordo wypalił runę na jednym z drzew. Niewidzialna linia przede mną pomrukiwała. Wziąłem wdech. Powietrze śmierdziało ozonem.

– Przyszedłeś sam, człowieku? – warknął znajomy głos sprzed mostku.

Wilk, z którym rozmawiałem przez telefon.

Spytałem:

– Jak masz na imię? – Dostrzegałem tylko oczy Omegi.

Odpowiedział pytaniem:

– Gdzie pozostali? Gdzie resztki tego, czym kiedyś byliście?

– Zadałem ci pytanie.

Omegi wokół niego się zaśmiały, kiedy on wyszedł naprzód. Wciąż w dużej mierze skrywał go cień, ale ja przywykłem już do ciemności.

Wilk nie wyglądał na o wiele starszego ode mnie. Broda rosła mu nieregularnie, włosy miał zaczesane do tyłu i związane rzemykiem. Kły się wysunęły i zostawiały dołki w dolnej wardze. Pomyślałem sobie, że może się uśmiecha.

– Ty – powiedział, a jego głos brzmiał zgrzytliwie – zadałeś pytanie m n i e?

Wilki ponownie wybuchły śmiechem.

– Imię – zażądałem.

– Ludzie nie mają prawa o nic pytać – warknął. – Jesteście brudem pod naszymi stopami. Upadły król urządził sobie kpiny z idei wilczego stada. I zobacz, dokąd go to zaprowadziło. Podziurawiony jak sito wykrwawił się na własnej ziemi.

Spokojnie, powtarzałem sobie, spokojnie. Ponieważ istniała bardzo realna szansa, że rzucę się na niego, nie bacząc na to, ilu ich jest.

On cię podjudza – wyszeptał Thomas. – *Nie rozumie, czym się stałeś.*

Ja też tego nie rozumiałem. Nie wiedziałem, czym byłem. Już nie. Nie sądziłem, by inni ludzie czuli to samo co ja, nawet ci, którzy należeli do jakiegoś stada.

Thomas powiedział, że nie muszę stać się wilkiem. Że nie muszę być niczym więcej, niż byłem. Nie chciał tego dla mnie. Zaproponował mi ugryzienie nie dlatego, że chciał, bym się zmienił, lecz dlatego, że chciał, bym był z nim jeszcze mocniej związany. A także z pozostałymi.

Chociaż czasem słyszałem jego głos, chociaż czasem spacerowałem z nim i z mamą, ich tutaj nie było. Pozostały wspomnienia, kawałki wspomnień, które odłożyłem na przechowanie, a które pazurami wydrapywały sobie drogę na zewnątrz, kiedy najmniej się tego spodziewałem.

Zastanawiałem się, czy wiedział, czym się stanę. Nigdy nie udało mi się go o to zapytać.

Ale nawet wtedy. Zanim. Obserwował mnie. Od czasu do czasu udawało mi się go na tym złapać. Jakby czegoś ode mnie oczekiwał.

Powiedziałem:

- Spytam jeszcze raz.
- Człowiek. – Wilk splunął w moją stronę.

Wzniosłem łom i oparłem go sobie o ramię. Metal otarł się o moje ucho. Przez więzi łączące stado jakby przeszedł prąd. Mark i Elizabeth. Tanner, Chris i Rico. I Robbie też. Jego ciche pulsowanie stało się latarnią morską. Był tu teraz. Z nami. Pomyślałem, że Joe byłby dumny.

Może nawet któregoś dnia sam mi to powie. Jeśli kiedykolwiek wróci. Jeśli kiedykolwiek mu wybaczę.

Powtórzyłem:

– Jak. Masz. Na. Imię?

– Wyjdź do nas – odparł wilk niezrażony. – Poza te lepiące się rzeczy. – Przekrzywił głowę, żeby na mnie popatrzeć, uszy zaczęły mu drgać.

– Powiem ci, co teraz będzie – powiedziałem zmęczony jego zachowaniem. Zmęczony tym wszystkim. – Oddasz mi dziewczynę. Jak już sprawdzę, w jakim jest stanie, podejmę decyzję, czy pozwolę wam stąd odejść o własnych siłach, czy będziecie musieli się czołgać. – Przekrzywiłem głowę, nie spuszczać go z oczu. – Czy też jak głęboko w ziemi was pochowam.

Z tego wilki się nie śmiały.

Dostrzegłem, jak dwa czy trzy z nich cofnęły się o krok. Te oszczędzę, pomyślałem, o ile się da.

Wilki przede mną urwały na chwilę.

– Niezła z ciebie – powiedział w końcu – zagwozdka. Dlaczego jesteś, jaki jesteś?

– Dzięki mojemu ojcu – odparłem, mając na myśli Thomasa.

Przez chwilę mi się przyglądał. Potem zawołał głośno:

– Przeprowadzić dziewczynę.

To nie może być takie proste.

Z cienia zalegającego pod zadaszeniem mostu wyłoniły się dwie postaci. Jedna przystawała przy każdym kroku. Druga ciągnęła ją brutalnie.

Jessie.

Szła o własnych siłach, lecz słyszałem ciężki, płytki oddech. Kulała i starała się jak najmniej obciążać prawą stopę. Oczy miała okrągłe z przerażenia, policzki mokre. Ale usta zacisnęła w wąską kreskę, napięła mięśnie żuchwy. Bała się, owszem, lecz była też

wkurzona. Cieszyło mnie to. Gniew jest lepszym bodźcem niż strach. Prawdopodobnie oznaczało to również, że wilki jej nie doceniły. Podobnie jak nie doceniły mnie. I mojej watahy.

Zauważyła mnie i zawołała ochryplym głosem:

– Ox!

– Już dobrze – zapewniłem. – Po prostu patrz na mnie. Wszystko będzie dobrze.

– Tak naprawdę to nie – wtrącił się wilk i złapał Jessie za ramię. Próbowała mu się wyrwać, ale trzymał ją w żelaznym uścisku. – Powiedz mi, Ox. Myślisz, że ten twój łomik powstrzyma mnie przed rozerwaniem jej gardła na twoich oczach? Myślisz, że zatrzymasz mnie, nim zatrzyma się jej serce?

– Kiedyś inny wilk powiedział mi coś w tym stylu – powiedziałem cicho. – Na długo przed przybyciem Richarda Collinsa. Trzymał moją matkę niemal w ten sam sposób co ty ją. Rozwaliłem mu łeb. Umarł bardzo bolesną śmiercią.

– Historia wcale nie lubi się powtarzać.

Wzruszyłem ramionami.

– Ale może to zrobić.

– Dla twojej matki się nie powtórzyła – zauważył wilk i uśmiechnął się paskudnie. – Powiedz mi, Ox. Uratowałeś ją za pierwszym razem, dlaczego za drugim nie?

Spokojnie – szepnął Thomas.

– Czego chcesz? – spytałem, ledwie kontrolując wściekłość.

Jego oczy rozbłyły fioletem.

– To proste – odparł. – Ciebie. Skoro twój Alfa... porzucił was wszystkich, przyda mu się zachęta, żeby wyszedł z kryjówki. Tą

zachętą będziesz ty. My zostaniemy nagrodzeni. On wywyższy nas ponad innych, kiedy damy mu ciebie i twojego Alfę.

– A jeśli się nie podporządkuję?

– Dziewczyna umrze – oznajmił. – Reszta miasteczka umrze. To, co zostało z twojego stada, u m r z e.

Prychnąłem.

– Bariery wytrzymają. Nie tkniesz ich palcem. Ani watahy, ani mieszkańców miasteczka.

– Ox, co to, u diabła, jest? – spytała Jessie wysokim drżącym głosem.

– Jak długo? – Wilk nie zwrócił na nią uwagi. – Ktoś w końcu popełni jakiś błąd. Ile czasu tam wytrzymacie? Ja mogę czekać tutaj w nieskończoność. I za każdym razem, gdy ktoś opuści to miejsce, będę czekał, by go zabić. Będę ich zabijał jednego po drugim.

– Powinieneś był mi powiedzieć, jak masz na imię – powiedziałem. – O nic więcej nie prosiłem.

Zmrużył oczy.

– Nie wiesz, z kim...

– Dałem ci wybór – wycedziłem, pozwalając sobie w końcu na ujawnienie gniewu. Mój głos stał się głębszy i poczułem, jak c o ś przepływa gwałtownie po więziach łączących stado. – Mogłeś odpuścić. Odejść stąd. Albo nawet się odczołgać. Teraz nie wiem, czy masz jakikolwiek wybór.

BracieCzłonkuStadaUkochanySynuPrzyjacielu

Byli tam. Wszyscy. Ci z nas, którzy pozostali. Bo niezależnie od tego, ilu osób brakowało, byliśmy stadem. Żyliśmy jak stado, jadaliśmy jak stado. Trenowaliśmy jak stado.

Od czasu, gdy Elizabeth przeobraziła się z powrotem, wszystko było inaczej. Od czasu Tannera i Chrisa. Od czasu Rica i Robbiego. Zjawili się, kiedy byliśmy sami, i sprawili, że znów staliśmy się czymś więcej. Może nie byliśmy pełnym stadem, ale trzymaliśmy się razem. Mieliśmy wątpliwości, owszem, zwłaszcza ja, bo pewnych rzeczy nie potrafiłem odpuścić. Wściekłości wywołanej zdradą. Utraty rodziny. Popękanych okruchów, które pozostawili po sobie Joe i reszta.

Ale nie padliśmy na kolana. Nie całkowicie. Miałem swoją watahę. A moja wataha miała mnie.

– Za minutę – poinformowałem Omegi – zaczną się krzyki. Może nawet wrzaski. Zapanuje chaos. Krew zostanie przelana. A kiedy to się stanie, chcę, byście o czymś pamiętali. O tym, że chciałem tylko wiedzieć, jak masz na imię.

Ich było dziesięcioro. Nas – siedmioro. Ale oni o tym nie wiedzieli.

Wilk, który trzymał Jessie, zrobił krok do przodu.

Wtedy się pojawili. U mojego boku. Najpierw wilki. Obnażyły kły i warczały na intruzów, którzy ośmielili się wtargnąć na nasze terytorium, ośmielili się znów próbować tego samego.

Elizabeth i Mark stanęli po mojej prawej. Robbie podszedł z lewej. Otarli się o mnie, mięśnie naprężone jak sprężyna, zjeżona sierść.

Inni ruszyli w ich ślady. Tanner i Rico stanęli obok Robbiego. Obaj trzymali pistolety naładowane kulami ze srebra. Gordo zadbał, bym miał ich zawsze trochę pod ręką w razie nagłego wypadku. Rok temu Rico nigdy nawet nie trzymał broni. Teraz to on był lepszy z nich dwóch.

Chris stanął między Elizabeth a Markiem. Poruszył nadgarstkami, z których wystrzeliły noże sprężynowe z domieszką srebra. Wykuł je sam przy użyciu materiałów i narzędzi znalezionych w warsztacie. Powiedział, że potrzebne wykresy ściągnął z internetu. Poruszył głową w przód i w tył, aż w zaległej ciszy coś chrupnęło mu głośno w karku.

– Co to ma...? – zaczął mówić wilk.

Ale nic więcej nie zdołał powiedzieć. Zanim skończył pierwszy wyraz, my już ruszyliśmy. Nie było słychać żadnego dźwięku poza tymi, które na ziemi wydawały nasze stopy. Nie sądziłem, by zdołali się zorientować, co się dzieje, nim będzie za późno.

Jessie zobaczyła, jak nadbiegamy, i nie chciała czekać na ratunek. Podniosła pod kątem prawą nogę, aż przycisnęła udo do brzucha. Potem równie szybko kopnęła wilka w kolano i złamała mu kość, która pękła z głośnym trzaskiem.

Nie dałem mu nawet szans na to, by zauważył ból. Zamachnąłem się łomem jak kijem golfowym i spuściłem mu go na głowę, aż odrzuciło go do tyłu. Krew i zęby trysnęły w niebo, a on padł na plecy z nogami powyginanymi pod dziwnymi kątami.

Wokół nas rozbrzmiały warknięcia wilków, które atakowały się wzajemnie, wgryzały się w siebie kłami, darły pazurami. Chwyciłem Jessie i odciągnąłem ją od pola bitwy. Poczułem, jak przepływa przeze mnie energia barier, przez które przebiegliśmy.

– Zostań tutaj – nakazałem ostro. – Nie podchodź ani o krok bliżej. Tutaj nie uda im się wejść.

– OX...

Nie zostałem, by jej wysłuchać. Odwróciłem się i przebiegłem z powrotem przez bariery bezpośrednio ku warczącym,

obnażającym kły zwierzętom.

Jedna z Omeg, połowicznie przemieniona, z oczami oszalałymi z wściekłości, ryknęła i skierowała się prosto na mnie. Skoczyła, rozcapierzając pazury. Padłem na kolana na ziemię, robiąc wślizg, aż rozdarłem spodnie, a kamienie poharatały mi skórę. Odchyliłem się do tyłu tak mocno, jak tylko mogłem, i sunąłem w stronę wilka. Przeleciał nade mną, kłapnął paszczą tuż przy mojej szyi, zostawił długie ślady pazurów na skórze. Podniosłem łom ostrym końcem do góry i pchnąłem nim bestię. W kontakcie ze srebrem jej skóra pokryła się bąblami i zaczęła dymić. Trzasnęły żebra, kiedy naparłem tak mocno, jak tylko mogłem. Pęd wilka przerzucił go za mnie, rozcinając ciało od piersi aż po podbrzusze. Grzmotnął ciężko na ramię, aż ziemia jęknęła, i przetoczył się kawałek. Gdy w końcu się zatrzymał z twarzą do dołu, nie ruszał się, a w piach wokół niego wsiąkała posoka.

Za moimi plecami rozbrzmiała kanonada strzałów. Odwróciłem się w kierunku źródła dźwięku.

Elizabeth zatopiła kły w szyi wilka, którego przygniatała. Zwierzę leżało na plecach i kopało niemrawo nogami, kiedy się w nie wgryzała.

Mark był niemal o połowę większy niż którykolwiek z przeciwników. Zdjął dwóch z nich, jeszcze zanim zdołałem się poruszyć. Zęby ociekały mu krwią.

Te Omegi wykazywały o wiele gorszą koordynację w walce niż poprzednie. Nie sądziłem, by to Richard Collins je przysłał. Walczyły przeciwko nam, ale nie jako drużyna. Atakowały niezależnie od siebie. Nie było między nimi więzi.

Robbie zaskomlał, kiedy jedna z bestii rozorała mu pazurami grzbiet. Wykręcił się i kłapnął zębami nad ramieniem, próbując ugryźć Omegę w nogę. Nie czekałem, aż jej dosięgnie. Rzuciłem się pędem w ich stronę i zrzuciłem z niego przeciwnika. Uderzyliśmy w ziemię. Wilk szarpał się nade mną, kły zbliżyły się niebezpiecznie do mojego gardła.

Zanim udało mi się go z siebie zrzucić, pojawił się Chris. Walnął Omegę w kark, a z jego nadgarstka wystrzelił nóż i wbił się prosto w wilczy kręgosłup, przecinając rdzeń kręgowy. Leżącym na mnie wilkiem wstrząsały konwulsje, łapy cięły powietrze i drapały moją skórę. Chris szarpnął rękę do tyłu. Razem z nią uniósł się łeb wilka i opadł dopiero, gdy ostrze wyślizgnęło się spomiędzy kręgów. Chris pobiegł dalej, jeszcze zanim zepchnąłem z siebie truchło.

Tanner i Rico walczyli wspólnie. Stali plecami do siebie, z szeroko rozpostartymi ramionami, i strzelali do każdego wilka, który się zbliżył. Poruszali się powoli, lecz stale po okręgu, puszczając krótkie równomierne serie. Kiedy jeden przeładowywał broń, drugi osłaniał ich obu.

Jedna Omega przemykała nisko bokiem, chciała pozostać niezauważona, gdy się do nich podkradała. Szła na ugiętych łapach z obnażonymi zębami, gotowa do skoku.

– Na drugiej! – krzyknąłem do chłopaków.

Tanner natychmiast się uchylił, a Rico okręcił dookoła, płynnym ruchem zamachnął ręką nad głową kolegi, aż wilk znalazł się na linii ognia. Wystrzelił pojedynczą kulę, która trafiła zwierzę prosto w gardło. Omega padła do tyłu, a ja wiedziałem, że w jej ciele kula właśnie rozpada się na kawałeczki, srebro zaczyna krążyć we krwi,

zatruwając bestię i spowalniając proces regeneracji na tyle, by nie dać jej szans na przeżycie.

Wokół nas ucichły wszelkie dźwięki. Wzięłem głęboki wdech i wydmuchałem powoli powietrze. Rico i Tanner opuścili broń. Chris już biegł w stronę Jessie, która wciąż stała za barierami ochronnymi i wyglądała, jakby była w szoku.

Poczułem ból w ręce. Na ramieniu miałem rozcięcie, niezbyt głębokie, lecz długawe. W którymś momencie musiał mnie dosięgnąć kieł lub pazur. Prawdopodobnie trzeba będzie założyć szwy, bo w przeciwnym razie zostanie blizna. Zresztą nie miało to dla mnie większego znaczenia. Blizny pokazywały, przez co przeszedłem. Że wciąż żyłem. Rana krwawiła niemrawo. Będzie dobrze. Na razie.

Mark stał koło Robbiego i warczał na trzy Omegi, które nie przemieniły się w trakcie walki. Stały niedaleko mostu, a na ich twarzach malował się strach. Nie wiedziałem, czy przyszły tutaj z własnej woli, czy zostały do tego zmuszone. Thomas powiedział mi kiedyś, że Omegi to w większości zagubione stworzenia. Na dobrej drodze do zdziczenia. Z pewnością to właśnie działo się z Marie. Nie wiedziałem, czy te tutaj będą w stanie odnaleźć drogę z powrotem, czy nie.

Elizabeth stała nad wilkiem, który ze mną rozmawiał. Nadal był przytomny, lecz jego ciało płonęło od srebra. Wiedziałem, że w końcu się zregeneruje. O ile mu na to pozwolę.

Na ziemi leżało sześć martwych zwierząt. Wkrótce ktoś zgłosi, że słyszał strzały. Nie mieliśmy dużo czasu.

– Rico – powiedziałem.

– Już się robi – odparł. Wyciągnął telefon, wybrał numer alarmowy 911 i odszedł kawalek. – Halo? Wydaje mi się, że słyszałem strzały. Czy ktoś już to zgłosił? Wygląda na to, że dochodziły gdzieś z południowego krańca Green Creek, więc może to myśliwi? Może gdzieś w lesie?

Wskazywał drugi koniec miasteczka.

Podszedłem do Elizabeth. Z głębi jej gardła wydobywał się niski pomruk, jednolite warczenie. Leżący pod nią wilk krwawił i dusił się.

Przejechałem ręką po jej grzbiecie i uklęknałem obok niej. Wtuliła się w moją dłoń, ale nie odwróciła wzroku od Omegi.

Zacharczał z frustracją, a z jego ust wydobyła się bańka krwi, która po chwili pękła. Drobną czerwoną mgiełką pokryła mu policzki i czoło. Powtórzył dźwięk.

– Trzeba było mi powiedzieć, jak masz na imię – odezwałem się cicho. – Ale nie to było pierwszym błędem, który popełniłeś. Nie nazwałbym nim nawet przybycia tutaj. Wiesz, co nim było?

Z jego ust ponownie dobył się charkot.

Oznajmiłem:

– Twoim pierwszym błędem było to, że mnie nie doceniłeś. Mnie i mojej watahy. Może i jestem człowiekiem, lecz biegam z wilkami.

Wstałem i podszedłem do pozostałych Omeg.

Mark i Robbie zagonili je pod ścianę mostu. Skuliły się ze strachu, gdy się zbliżyłem.

Moje wilki rozstały się na chwilę, by mnie przepuścić. Natychmiast przycisnęły się do moich boków, ogrzewając mnie swoim ciepłem.

– Nie zmieniliście się – powiedziałem. – Dlaczego?

W śledzących moje ruchy oczach widziałem strach. Żaden z nich się nie odezwał.

Zrobiłem w ich stronę kolejny krok.

Zaskomlili. A potem obnażyli przede mną gardła.

Stanąłem jak wryty. Bo przecież to się nie powinno zdarzyć. Ten gest był zarezerwowany dla... Nie byłem... N i e m o g ł e m być...

Coś w moim zapachu lub szaleńczym biciu serca musiało mnie zdradzić, bo nagle wokół mnie znaleźli się i Mark, i Robbie, i Elizabeth. Cała trójka mnie dotykała, przesuwała nosami po moich nogach i rękach. Rico, Tanner i Chris też byli gdzieś w pobliżu. Wyczuwałem ich umysłem jasno i wyraźnie. Nić łącząca mnie z Robbiem była mocniejsza niż kiedykolwiek wcześniej, pulsowała: *przyjaciel, dom, stadostadostado*.

Ledwie mogłem oddychać.

– Zabierzcie je stąd – udało mi się wykrztusić. – Wasze wilki. Nie zostawiajcie żadnych śladów. Jeśli spotkacie Richarda Collinsa, powiedzcie mu, co się tutaj dziś wydarzyło. A jeśli jeszcze kiedykolwiek zobaczę wasze gęby, już nie pozwolę wam odejść.

Omegi nie traciły czasu. Ruszyły w kierunku gruntowej szosy, po drodze zbierając martwych towarzyszy. Wilk, który jako jedyny się odzywał, powoli wstawał na nogi. Miał wyraźnie złamaną szczękę, kość sterczała pod ostrym kątem. Krwawił obficie z ust. Zrobił w naszą stronę kilka chwiejnych kroków. Spojrzał na mnie spode łba, a jego oczy przepęłniała nienawiść.

Nic nie powiedziałem, kiedy pokuśtykał obok nas i w ślad za pozostałymi Omegami przeszedł na drugą stronę mostu. W oddali słyszałem syreny, które robiły się coraz cichsze. Radiowozy nie jechały w naszym kierunku. Przynajmniej na razie.

Bardzo długo wpatrywałem się w cienie zalegające na moście.

Obok mnie coś się poruszyło. Rico i Tanner zbierali łuski po nabojach. Chris nagarniał butami piach, by zasypać przelaną krew. Jessie mamrotała, żądała odpowiedzi, zastanawiała się, kim byli ci ludzie, co, u diabła, się stało, czy to były wilki, o mój Boże, Chris, co to wszystko znaczy?

Robbie i Mark kręcili się po lewej ode mnie, węszyli po ziemi. Wiedziałem, że sprawdzają pozostawione tropy, by się upewnić, że żadna Omega więcej ani nic innego nie czai się w ukryciu i nie czeka, aż odwrócimy się plecami.

To Elizabeth pierwsza do mnie podeszła. Okrążyła mnie, żeby znaleźć się przede mną. Usiadła z wysoko podniesioną głową, królewska i dumna. Zaczekała, aż nie mogłem dłużej ignorować wlepionego we mnie spojrzenia. Popatrzyłem na nią. Błysnęła do mnie oczami. Na ten widok poczułem, jak coś mnie ciągnie, silniej niż kiedykolwiek przedtem.

– Nie mogę być – zaprzeczyłem.

Nie ruszyła się.

– Wiesz, że nie mogę. Nie jestem wilkiem. – Nie wiedziałem, kogo próbuję przekonać.

Coś musnęło łączącą mnie z nią nić. Mówiło: *głupi chłopcze i: to nie ma znaczenia, i jeszcze dla stada najodpowiedniejsze jest stado*. Powtarzało też to jedno słowo, którego nie chciałem słyszeć. Kolejne, które nie powinno być możliwe. Kolejne, przez które czułem się, jakbym zdradził Joego.

– Nie chcę.

Sapnęła. Wyglądała srogo.

– Mówię serio. Nie mogę. Nie mogę... – Uderzyła mnie następna myśl, na ramionach wyskoczyła gęsia skórka. – Wiedziałaś?

Przekrzywiła głowę. To nie była żadna odpowiedź.

– A o n wiedział? – drążyłem.

Nie Joe.

Wiedziała, o kogo mi chodzi. Czułem, jak przepływa przez nią łagodna fala smutku.

– Odpowiadaj! – Myśl, że wiedzieli od samego początku, od tamtego pierwszego dnia, kiedy stali na werandzie domu na końcu ulicy, nie dawała mi spokoju. To nie była prawda, to nie mogła być prawda, ale c o j e ś l i? Co, jeśli wszystko to wydarzyło się tylko po to, bym znalazł się w tym punkcie, doszedł do tego pieprzonego wniosku? Czy ktokolwiek ma tutaj wybór? Czy ma go Joe?

Czy miałem go ja?

Wówczas podszedł Mark i usiadł obok niej. Przycisnął nos do jej ucha, nim spojrzał znów na mnie z tym samym wyrazem pyska.

Robbie także się pojawił, lecz poruszał się wolniej, jakby brakowało mu poczucia pewności siebie. Opuścił ramiona i uszy, a ogon podkulił między nogami. Wyglądał na przestraszonego, jakby bał się, że zostanie odrzucony, jeśli będzie poruszał się szybciej. Usiadłszy koło Elizabeth, odwrócił wzrok.

– Co się, kurwa, dzieje? – Usłyszałem zza pleców pytanie Jessie.

– Uznają go – odparł Chris cicho, robiąc kolejną wyrwę w murze, którym otoczyłem się pospiesznie w obliczu tego obciążającego uznania. Jeśli o n i to poczuli, to...

– Za co? – drążyła Jessie.

– Dlaczego? – spytałem, chwytając się ostatniej deski ratunku. Głos mi się załamał, a ja nie mogłem nic zrobić, by to powstrzymać.
– Jestem n i c z y m. Jestem n i k i m. Nie powinniście tego robić. To się nie powinno było wydarzyć! To powinien być o n. On wróci, jasne? On wróci, a wy musicie...

Usłyszałem nieomyślne oznaki przemiany, trzaski i jęki kości i mięśni. Wilczyca przybrała ludzki kształt. Ale jej oczy pozostały takie same. Powiedziała:

– O x.

– Rany... to się dzieje naprawdę – powiedziała Jessie słabym głosem. – Pani Bennett stoi naga... Ale numer.

Zignorowaliśmy ją.

Czekałem, aż Elizabeth znów się odezwie, bo ja nie miałem już nic do powiedzenia. Nie musiałem czekać długo.

Oznajmiła:

– Czasami nie chodzi o umiejętność przemiany. Niektórzy z nas rodzą się z wilkiem w sercu. Kolor twoich oczu nie ma znaczenia. Fakt, że jesteś człowiekiem, nie ma znaczenia. Liczy się to, że zająłeś należne ci miejsce.

– Nie prosiłem o to – odparłem rozpaczliwie.

– Wiem – przytaknęła miękko. – Ale jesteś tym, czego potrzebujemy.

– Mój ojciec...

Jej oczy zrobiły się twarde jak stal.

– Twój ojciec nie rozumiał twojej prawdziwej wartości. Ani tego, kim była twoja matka. Widziałam cię w jego cieniu. Znam słowa, którymi do ciebie mówił. Ale ty do niego nie należysz. Od chwili, w której mój syn znalazł cię na drodze, należysz do nas.

– Wiedziałaś? Już wtedy? Thomas też wiedział? Czy dlatego to wszystko robiliście? Czy dlatego Joe... – *Dał mi swojego wilka?* Nie potrafiłem wyrzucić z siebie tych słów. Bo na samą myśl o tym, że Joe został zmuszony do uczestnictwa w czymś, na co nie miał żadnego wpływu, czego nawet nie chciałem, zrobiło mi się zimno.

Ona jednak wiedziała. Jak zawsze.

– Nie – powiedziała cicho. – Wiedzieliśmy, że jesteś niezwykłym młodym mężczyzną, Ox. Życzliwym i troskliwym. Wiedzieliśmy o tym od samego początku. Tak jak i to, że wspaniale uzupełnisz nasze stado. Ale cała reszta? To? Ox, to jest coś, czego nie mogliśmy przewidzieć. Można sobie zaplanować całe życie, ale życie zawsze ma własne plany. Jeśli Thomas by nie zginął, jeśli twoja matka by nie zginęła, jeśli Richard Collins by nie uciekł, a przede wszystkim jeśliby nie skupił uwagi na naszej rodzinie... Jeśli, Ox. Zawsze chodzi o jeśli. – Jej oczy zapłonęły pomarańczowym ogniem i poczułem takie szarpnięcie, jakiego jeszcze nigdy nie czułem. – Ale teraz nie chodzi o jeśli. Teraz chodzi o coś innego.

Mark odchylił łeb i odsłonił gardło. Robbie zrobił to samo, waląc nerwowo ogonem. Elizabeth przekrzywiła głowę na bok, długi fragment skóry ukazał się w całej okazałości w przytłumionym świetle gwiazd. I wtedy wypowiedziała to na głos. Jedno słowo.

A ja miałem nadzieję, że Joe mi wybaczy. Bo chociaż chciałem z tym walczyć, nie sądziłem, bym miał dość sił. Już nie.

– Alfa.

trzeci rok / mistyczne księżycowe połączenie

W trzecim roku Robbie przeprowadził się do głównego domu, wkrótce po tym, jak został uznany za członka watahy Bennettów. Jego przełożeni nie wydawali się tym zaskoczeni. Przyjechał do nas opryskliwy facet ubrany w pomięty garnitur i wąski krawat. Otworzył na chwilę szeroko oczy, kiedy wszedł do pokoju i wyczuł we mnie coś, czego ja sam jeszcze do końca nie rozumiałem.

Był boleśnie szczery, mówił zwięźle i na temat. Po Richardzie Collinsie zaginął wszelki ślad, od ponad roku nigdzie nie znaleziono żadnego namacalnego dowodu jego obecności. Zespoły, które prowadziły poszukiwania od czasu, gdy umknął z Green Creek, wracały z pustymi rękami. Już nawet o nim nie plotkowano.

To samo powiedział o Joem i pozostałych. Nie mieliśmy od nich wieści, choć Elizabeth utrzymywała, że żyją, że wiedziałyby, gdyby coś stało się jej synom. Nie miałem serca się z nią nie zgadzać, lecz w nocy leżałem bezsennie i wyobrażałem sobie tysiące rzeczy, które mogły się im przytrafić. Że odnaleźli Richarda, a on ich zabił i został Alfą. Że nawet jeśli żyją, nie mają zamiaru nigdy do nas wrócić. Że nigdy już nie zobaczę Cartera. Ani Kelly'ego. Ani Gorda.

Ani, oczywiście, Joego. Bo o nim myślałem częściej niż o pozostałych.

Opryskliwy mężczyzna powiedział nam, że będą kontynuować poszukiwania, ale nie wydawał się przekonujący. Wyglądało na to, że Michelle Hughes okaże się długoterminowym wyborem, by w końcu ktoś mógł przejąć miejsce Thomasa jako głównego Alfę na stałe.

– Damy sobie trochę czasu – powiedział i upił łyk czarnej kawy. – Ale nie możemy czekać wiecznie.

Prosił o możliwość porozmawiania ze mną na osobności. Zanim się zgodziłem, zerknąłem na Elizabeth, która kiwnęła głową. Wskazała nam stary gabinet Thomasa, a ja wahałem się tylko przez chwilę. Pozostałe wilki wyszły z domu. Tanner, Rico i Chris byli w warsztacie.

Opryskliwy mężczyzna zaczekał, aż był pewien, że odeszli poza zasięg słuchu, i zamknął drzwi od gabinetu. Usiadłem za biurkiem, bardziej onieśmielony, niż się spodziewałem. Usiłowałem stłumić emocje, ale myślę, że on wiedział.

Po chwili oznajmił:

– Jest pana bardzo ciekawa.

Tego się nie spodziewałem.

– Kto?

– Alfa Hughes.

– Dlaczego?

Prychnął.

– Bo jest pan człowiekiem, a jakimś cudem został pan Alfą. I to ni mniej, ni więcej, tylko Alfą stada Bennettów.

– Joe jest Alfą stada Bennettów – odparłem. Ja byłem tylko przejściowy. Nauczyłem się to akceptować bardziej niż przedtem,

ale proces był w toku. A ja miałem nadzieję, że już wkrótce się zakończy.

– Joego tu nie ma.

– Wróci. – Zastanawiałem się, czy opryskliwy mężczyzna usłyszał zdradzieckie walenie mojego serca.

– Jak się to panu udało? – spytał. – Będzie chciała to wiedzieć. Nie dlatego, że zrobił pan coś złego, nie dlatego, że chce panu coś odebrać.

Zmrużyłem oczy.

– Dlaczego od tego zaczynamy?

– Bo pan to zrobił. Nie winię pana za to. Ona też nie. Ta wataha... wiele wycierpiała. Delikatnie rzecz ujmując. Niełatwo obdarzacie innych zaufaniem.

„Wy”, czyli stado. Z szacunku mówił do mnie tak, jakbyśmy stanowili jedność.

– Nie ma wielu ludzi, którym można zaufać.

– Alfa Hughes...

– To obca osoba, której nigdy nie spotkałem – powiedziałem ostro. – Nie może pan więc oczekiwać ode mnie, że jej zaufam.

– Nie powstrzymało jej to przed myśleniem o panu.

– Przed niespuszczaniem mnie z oka.

– Robbie – powiedział.

– Robbie – przytaknąłem.

– Uwierzy mi pan, jeśli powiem, że wraz z upływem czasu jego raporty stawały się coraz bardziej ogólnikowe?

Uwierzyłem, bo tak właśnie było. Pokiwałem powoli głową, zastanawiając się, czy będę musiał walczyć z tym opryskliwym

facetem o jednego z członków mojego stada. Bo Robbie nie był jego. Nie należał do Alfego Hughesa. Należał do mnie. Tutaj. Do stada.

– Ona rozumie.

– Czyżby? – spytałem.

– Prawdopodobnie lepiej, niż się panu wydaje. Nie mogę powiedzieć, że nie ma pan tego samego instynktu co my, bo nie wiem, czym pan jest. Ale wilk wie, gdzie pasuje. Kiedy znajduje dom. Czuje pociągnięcie. W głowie i w piersi. Zaczyna się od czegoś drobnego. Ale to rośnie, jeśli się pozwoli. A pan pozwolił.

– Nie dostaniecie go z powrotem – powiedziałem bez ogródek. – Już moja w tym głowa.

Przez chwilę przyglądał mi się uważnie, po czym powiedział:

– Nie śmiałbym go o to prosić. Ani pana.

– Teraz należy do mnie. – Jakaś prymitywna część mnie uradowała się niezmiernie na tę myśl.

– Wiemy. Nie jest to układ idealny, ale...

– Lepszy niż w przypadku Osmonda.

Opryskliwy mężczyzna się wzdrygnął.

– Racja.

– R a c j a? Myślę, że to niedopowiedzenie.

– Zachowanie Osmonda było... nieoczekiwane.

– Osmond był jedną wielką pomyłką. Myślę, że nawet Thomas o tym wiedział. Przed tym wszystkim.

– Nikt nie mógł tego przewidzieć.

– Może za słabo się przyglądaliście. Wiecie w ogóle, jak to się stało? Kiedy? Zmienił strony czy zawsze należał do Richarda Collinsa?

Opryskliwy facet potarł dłonią twarz.

– Mamy nadzieję, że uda nam się uzyskać odpowiedzi na te pytania, o ile go znajdziemy.

– Kiedy go znajdziecie.

– Jak na kogoś, kto nie ufa moim słowom, pokłada pan ogromną wiarę w nasze ekipy poszukiwawcze.

– Nie mówię o waszych zespołach – powiedziałem spokojnie.

– Będzie dla nas dalej pracował, mam na myśli Robbiego – zmienił temat. – Prosimy, byście nas informowali o wszelkich... zmianach.

– Zmianach?

– Dotyczących waszego stada. Zazwyczaj kiedy do stada dołączają nowi członkowie, przeprowadza się proces weryfikacji. Po to, by uniknąć wpuszczenia w nasze kręgi kogoś, komu leży na sercu interes innych osób.

Zamrugąłem.

– Mnie także poddano weryfikacji?

– Częściowo. Przeważało zdanie Thomasa. Ludzie rzadko mu odmawiali. Nawet kiedy ustąpił ze stanowiska. Potrafił być... przekonujący.

Coś mi tu nie pasowało.

– Pragniecie kontroli.

– Pragniemy bezpieczeństwa – odparł zarzut. – Nie jest nas już tak dużo jak kiedyś. Wszystko się zmienia. Zachowania się zmieniają. Gdyby wszystko było po staremu, większość wilkołaków powstawałaby przez ugryzienie, a nie rodziła się. Kiedy jakiś gatunek wymiera, należy zrobić wszystko, żeby zachować przy życiu istniejące osobniki. Tu nie chodzi o kontrolę. Tu chodzi o przetrwanie.

– Richard Collins ma to głęboko w dupie.

– Richard Collins to psychopata.

– W porządku – ustąpiłem. – Robbie może zdawać wam nadal raporty. Ale jeśli będzie próbował pan wyciągać z niego informacje, których nie powinien zdradzać, jeśli spróbuje pan działać za moimi plecami...

– Groźby nie są konieczne – zapewnił mnie. – Ale nie będę kłamał: oberwie się panu za to.

Zamarłem, ale tylko na ułamek sekundy.

A jednak opryskliwy mężczyzna zdołał to zauważyć. Uniósł brwi.

Odchrząknąłem.

– Jak to?

– Inni nie będą patrzeć przychylnie na Alfę, który jest człowiekiem. Ledwie tolerują te, które zostały ugryzione. Ale pan? Pan jest człowiekiem. Dla niektórych to będzie policzek. Inni pomyślą, że pan zwyczajnie kłamie.

– A pan?

Pokręcił powoli głową.

– Może zanim tu przyjechałem. Może wcześniej słyszałem opowieści o panu, o człowieku, który jest członkiem wilczej watahy. I może niekoniecznie wierzyłem we wszystko, co mówiono. Thomas zawsze powtarzał, że ludzi powinno się szanować, nawet po tym, jak próbowali nas wybić. A jednak ukrył pana przed nami. Właściwie nie pana konkretnie, o nie. O panu wiedzieliśmy. Ale że miał pan połączyć się w parę z przyszłym Alfą? To przed nami zataił. Nikt nie wiedział, dopóki nie pojawił się u was Osmond. Mieliśmy... pewne obawy.

– Na tyle duże, by wysłać do nas zdrajcę i garść Bet, nie wiedząc, wobec kogo są lojalne.

– Nie wiedzieliśmy, że był...

– Jasne – przerwałem mu. – Rozumiem. Ale wydaje się, że nie macie o niczym pojęcia.

– Tak czy owak – odparł – możemy się spodziewać negatywnych reakcji na tę sytuację. Na pana. M n i e pan przekonał, ale to dlatego, że tu przyjechałem. Na pańskie terytorium. Czuję, jakie więzi wytworzył pan ze stadem. Inni tego nie dostrzegą.

– To już nie mój problem. Nie zabiegam o tolerancję. Ja tylko chcę, żeby zostawiono moją watahę w spokoju.

– W takim razie powinien pan być wybrać sobie inną – stwierdził oschle. – Przynależność do stada Bennettów niemal gwarantuje, że inni nie zostawią pana w spokoju. Jeśli to... potrwa dłużej, będzie się pan musiał zarejestrować. Wszystkie Alfy muszą się zarejestrować u głównej Alfy. Pomaga nam to śledzić populację wilków. I upewnić się, że Alfy nie budują stad bez naszego przewodnictwa.

– Jeśli co potrwa dłużej?

– Pan. To. Jeśli Joe nie wróci.

– Nie potrafię tworzyć nowych wilków – przypomniałem mu. – Nadal jestem człowiekiem.

Przyglądał mi się przez dłuższy czas. Fakt, że tak mało mrugał, wytrącał mnie z równowagi.

– Nie znaczy to, że nie może ich pan do siebie przyciągać. Nie musi pan ich gryźć, żeby uczynić ich swoimi. Robbie. Reszta ludzi. Może pan r o z b u d o w y w a ć stado bez konieczności stawania się samemu wilkiem.

– Mówi pan tak, jakby należało się mnie bać.

– Nie wiemy, czym pan jest – odparł. – A to, co nieznane, zawsze wzbudza strach.

– On na pewno...

– Słucham?

– Joe. Wróci.

– Pokłada pan w nim ogromną wiarę. – Wydawał się zaskoczony.

Dlatego powiedziałem:

– Zawsze.

Moje słowa były wystarczająco prawdziwe, żeby opryskliwy mężczyzna niczego nie zauważył. Bo pokładałem w Joego. Ale wydawało mi się, że z każdym kolejnym dniem ta wiara słabnie.

Robbie wyczekiwał nerwowo, tuż poza zasięgiem słuchu, aż opryskliwy facet sobie pójdzie. Jak tylko samochód zniknął na drugim końcu gruntowej drogi, właściwie przybiegł mi do nogi. Słyszałem pozostałych w lesie, jazgot Marka i Elizabeth, śmiech i pokrzykiwania Tannera, Chrisa i Rica.

– No i? – dopytywał, wykręcał sobie dłonie i strzelał oczami to na mnie, to w przeciwną stronę.

– Co: „no i”? – droczyłem się.

– Ox!

Przewróciłem oczami.

– Możesz zostać. Nadal będziesz pracował dla Alfego Hughes, ale możesz...

– Ona nie jest moją Alfą – przerwał mi pospiesznie, a jego oczy zrobiły się okrągłe. – Ona nie jest... nie może być moją Alfą. Nie tak jak... no... Po prostu nie może.

– Dlaczego? – spytałem zaciekawiony. – Wiem, że tak naprawdę nie należałeś do jej stada. Ani w ogóle do żadnego. Ale dla niej pracujesz. Dlaczego nie chcesz być w jej stadzie?

– Nigdy mi nie pasowało – odparł. – Ja nigdy nie pasowałem. Nie do nich. Nawet jak inne watahy przyjęły mnie po śmierci mamy, to... nigdy nie czułem się na miejscu. Chroniły mnie. Karmiły i ubierały. Pomagały poradzić sobie z rozpaczą, ale ja... jakoś nie mogłem. Prosiły, żebym został. A ja nie dawałem rady. Więc jak tylko osiągnąłem pełnoletniość, zacząłem dryfować. Skakałem to tu, to tam. A potem Alfa Hughes poprosiła, żebym dla niej pracował, a kiedy ona o coś prosi, to się to robi. I nie zadaje się pytań. No to przyjechałem tutaj i zacząłem wykonywać swoją robotę i wszystko było w porządku, Ox, było dobrze. I chociaż przez długi czas mi nie ufałeś, żadne z was mi nie ufało, to i tak czułem się tutaj bardziej sobą niż... nawet nie pamiętam od kiedy. – Zanim skończył, zarumieniły mu się policzki, a oczy zrobiły się okrągłe i błyskały na pomarańczowo. Brakowało mu tchu, jakby się bał, że z miejsca go odrzucę.

– Robbie – powiedziałem dziwnie wzruszony. – Będziesz musiał...

– Bo ty jesteś moim Alfą – wypalił. – Jesteś jedyną osobą, którą chcę jako Alfę. Nikogo innego. Mój wilk... No... Jesteś nim i już.

Powiedziałem więc:

– W porządku, Robbie. Hej, w porządku. Zostajesz. Z nami. Ze mną.

Rozdziawił usta.

– Mówisz poważnie?

Pokiwałem głową.

Uśmiech, który pojawił się na jego twarzy, był szeroki i olśniewający.

I chociaż wciąż czułem się jak dziecko bawiące się w przebieranki, rozpierała mnie duma, z którą nie wiedziałem, co zrobić, choć z pewnością nie chciałem, by minęła.

Przez jakiś czas trzymała się z daleka. Mam na myśli Jessie. Nie żebym ją za to winił.

Miałem tylko szesnaście lat, kiedy poznałem prawdę, wciąż byłem wystarczająco młody i naiwny, by uwierzyć w to, co niemożliwe.

Ona nie miała szesnastu lat. Miała dwadzieścia parę. A to oznaczało, że była cyniczna.

Ale nie winiłem jej za to. Nie mogłem. Była świadkiem czegoś, z czym większość ludzi nie wiedziałaby, co począć. Nie wiedziałaby, jak poukładać to sobie w głowie. Została porwana i pobita, była przetrzymywana jako zakładnik na wojnie, z którą nie miała nic wspólnego.

Tamtego dnia wracała z wieczornego wypadu z przyjaciółmi do innego miasteczka. Zjedli późną kolację. Wypili kilka drinków, ale nic, po czym nie mogłaby później prowadzić auta.

Jechała z powrotem do Green Creek, kiedy zobaczyła, jak na poboczu zatrzymuje się inny samochód i wysiada z niego jakaś

kobieta. Kobieta stanęła samotnie w ciemności obok pojazdu. Światła awaryjne migają na pomarańczowo.

Zatrzymała się. Bo tak należało postąpić. Kobieta była sama. I chociaż w Green Creek było bezpiecznie, Jessie stwierdziła, że nie wybaczyłaby sobie, gdyby się nie zatrzymała, a później się dowiedziała, że jednak nie było tak bezpiecznie.

Kobieta uśmiechnęła się do niej. Powiedziała, że zepsuł się jej samochód. Na domiar złego rozładowała się jej komórka, no czy Jessie może uwierzyć w takiego pecha?

Wszystko stało się bardzo szybko. W jednej chwili szła w stronę nieznamomej, a w następnej otaczali ją ludzie, których oczy świeciły na fioletowo.

Bili ją. Sprawili, że krwawiła. Nie tknęli jej jednak, nie... w ten sposób. Ale jej poczucie własnego ja i tak zostało pogwałcone.

Oddaliła się od Chrisa. Może i rzadko zdarzało mi się to rzeczywiście widzieć, ale wiedziałem, że są ze sobą bardzo zżyci. Wściekłość, którą czułem po tamtej bitwie z Omegami, była silniejsza, niż kiedykolwiek u niego widziałem. Rzucił się w wir treningów, ćwiczył, aż mięśnie zaczynały mu drżeć, a skóra spływała potem. Kazałem mu przestać, zrobić sobie przerwę, wycofać się na jakiś czas, jeśli musi. Zignorować stado i skupić się na Jessie, jeśli uważa, że tak należy.

Spojrzał na mnie dotknięty.

– Czy ty mi każesz odejść? – spytał cichutkim głosem.

Nie znałem zasięgu mojego wpływu na nich. Na watahę. Nie rozumiałem go, nie tak na serio, aż do tamtej chwili. Gdybym kazał mu odejść, toby to zrobił. Zostawiłby nas, zadbał o siostrę i trzymał

się z dala od stada, bo ja mu kazałem. W rezultacie ucierpielibyśmy obaj.

Zachowałem się samolubnie. Powinienem był kazać mu odejść. Nie zrobiłem tego. Powiedziałem:

– Nie, nie, nie chcę, żebyś odchodził.

Rozluźnił się i wypuścił długi, powolny oddech.

Ale jednak wróciła. Latem.

Zadzwoił dzwonek nad drzwiami wejściowymi do warsztatu. Zignorowałem dźwięk i skupiłem się na wentylatorze chłodnicy, który usiłowałem wymienić. W biurze obsługi klienta siedział Robbie. Ustaliliśmy, że dla dobra wszystkich bezpieczniej będzie trzymać go z daleka od wszelkich narzędzi. Wykazywał skłonność do kaleczenia siebie i innych, jak tylko znalazł się w promieniu metra od czegoś ostrego. Teraz odbierał telefony. Rozmawiał z klientami. Ustalał grafik napraw. Ludzie, którzy przychodzili do warsztatu, uwielbiali go, a on uwielbiał z nimi gadać. Dzięki nowemu układowi życie stało się łatwiejsze dla wszystkich.

Aż nadszedł tamten dzień, kiedy usłyszałem podniesione piskliwe głosy.

– Nie obchodzi mnie, kim ty, k u r w a, jesteś. Masz mnie wpuścić do warsztatu, bo mam im coś do powiedzenia!

– Proszę pani, niech pani posłucha...

– Mam na imię Jessie, ty dupku.

– J e s s i e, nie możesz tak po prostu...

– Do kurwy nędzy, spierdalaj mi z drogi.

Chris westchnął spod podnośnika obok.

– Nic dobrego z tego nie wyjdzie. Jak ją znam, to zbierała to w sobie aż do tej pory.

– Lepiej, że padło na ciebie niż na mnie – prychnął Tanner.

– W zasadzie to pewnie nawrzeszczy na tego tam Alfę – zauważył Rico.

– A co niby ja takiego zrobiłem? – spytałem jękliwie.

– *Jefe*[20], a czego nie zrobiłeś?

– Ja pierdołę – burknąłem i odłożyłem wentylator. Potem tym samym cichym głosem dodałem: – Robbie, po prostu wpuść ją tutaj.

Robbie urwał w pół słowa kolejną ripostę. Usłyszałem, jak drzwi pomiędzy biurem obsługi klienta a warsztatem otwierają się i z hukiem uderzają o ścianę.

– Ox! – ryknęła Jessie.

– Oj, będzie głośno – zauważył Chris.

– Mamy wyjść? – spytał Tanner.

– Neee – odparł Rico. – Chcę zobaczyć, jak to się skończy.

– Jako wasz Alfa rozkazuję wam mnie ratować – powiedziałem.

A oni tylko się we mnie tępo wpatrywali. Kurwa, co za bezużyteczne stado.

Jessie wkroczyła na wojenną ścieżkę. Włosy miała ściągnięte w ciasny kucyk, twarz zarumienioną, oczy błyszczące. Za nią ciągnął się ostrożnie Robbie, spięty, jakby nie wiedział, czy powinien ją zaatakować, jeśli zanadto się do mnie zbliży. Pokręciłem delikatnie głową, a on spojrzał na mnie gniewnie ponad jej ramieniem i stanął z pozostałymi chłopakami.

Jessie zatrzymała się tuż przede mną i zacisnęła usta w wąską kreskę. Nadal miała ten malutki pieg, który kiedyś całowałem. Nie wiem, dlaczego skupiłem się akurat na nim.

Powiedziała:

– Jesteś pierdoloną kupą gówna.

Westchnąłem.

Spytała:

– W i e d z i a ł e ś o tym? Przez cały ten c z a s?

– Jessie – odparłem spokojnie. – Cześć, witamy w warsztacie Gorda.

Wpatrywała się we mnie. Była wkurzona. Nie miałem do niej o to pretensji.

Ja byłem Alfą. Ale ona potrafiła być groźna, więc powiedziałem:

– Chris też o tym wiedział od jakiegoś czasu.

– H e j! – wykrzyknął Chris. – Dlaczego rzucasz jej m n i e na pożarcie, żeby bronić własny tyłek?

Jessie zmrużyła oczy.

– Och, już ty się nie bój – wycedziła. – Dostanie za swoje. Mogę ci to obiecać.

– Jesteś do bani, Ox – wymamrotał Chris. – Najgorszy Alfa świata.

Robbie na niego warknął.

– T y – powiedziała Jessie i dźgnęła mnie mocno palcem w pierś.

– T o w s z y s t k o t w o j a w i n a.

– Niby dlaczego to m o j a w i n a? – spytałem nieco urażony.

– Wilkołaki! – wrzasnęła na mnie.

– Tak – przyznałem. – Dowiedziałaś się o ich istnieniu pół roku temu. Dlaczego awanturujesz się teraz?

Zamrugęła.

– Potrzebowałam czasu, żeby to p r z e t r a w i ć.

– W porządku – odparłem. – No to przetrzymałaś.

- Wilkołaki – powtórzyła.
- Wilkołaki – przytaknąłem.
- Wiedziałaś. Cały czas.
- Nie c a ł y czas.
- No – wtrącił się Rico. – Tylko p r a w i e cały czas.

Jessie ponownie dźgnęła mnie w pierś, a ja obrzuciłem Rica gniewnym spojrzeniem. A on tylko puścił do mnie oczko.

- Jesteś jednym z nich? – zażądała odpowiedzi.
- Nie – odparłem powoli.
- Czyli jesteś człowiekiem.
- Nie – powiedziałem jeszcze wolniej.
- Co to, do diabła, z n a c z y?
- To znaczy, że nie jestem całkiem...
- Masz zamiar mnie ugryźć? – spytała.
- Kiedyś ci nie przeszkadzało, jak...
- To nie najlepszy moment, Ox!

– Jasne – powiedziałem pospiesznie. – Żarty nadal nie są moją mocną stroną. Ani wybór najlepszego momentu na ich opowiadanie.

- Nie możesz mnie ugryźć!
- Nie mam zamiaru! Nie jestem wilko...
- C z y m ś jesteś.

Zaczynała boleć mnie głowa.

- Niczym, co mogłoby cię przemienić.
- Przemieniłeś mojego brata. Powiedział mi. Powiedział, że cię czuje. Że teraz jest częścią ciebie i twojego s t a d a. – Wypluła z siebie ostatnie słowo, jakby to było przekleństwo.

No i tu mnie miała.

Cholera.

Dźgnęła mnie po raz trzeci.

– Gadaj w s z y s t k o.

– Ale że teraz? – spytałem, powstrzymując się przed skomleniem. Byłem pieprzonym Alfą. Dlaczego ona mi mówi, co mam robić?

– W. Tej. C h w i l i.

Cholera jasna.

No to opowiedziałem.

Zajęło mi to kilka godzin. W paru miejscach się zaciąłem (po innych tylko się prześlizgnąłem, bo choć minęły już dwa lata, śmierć Thomasa i mamy wciąż były na tyle ostre, że mógłbym się pokaleczyć), lecz starałem się pomijać tak mało, jak tylko możliwe. Czułem, że jestem jej to winien, za całe to gówno, które musiała przeze mnie wycierpieć od czasu, jak się poznaliśmy. Muszę przyznać, że przerywała mi rzadko i tylko wtedy, gdy czegoś nie rozumiała i chciała, bym jej to lepiej wyjaśnił. Im dłużej mówiłem (a mówiłem więcej niż kiedykolwiek wcześniej), tym cichsza się stawała.

Gdy skończyłem, wpatrywała się we mnie przez dłuższą chwilę. Gardło mnie bolało, więc zamilkłem i czekałem, aż zadecyduje, co chce teraz zrobić.

W końcu powiedziała:

– I to wszystko wydarzyło się naprawdę.

– Tak.

– Niewiele powiedziałaś o nim.

Udawałem głupiego.

– O kim?

Wiedziała, ale i tak uściśliła:

– O Joem.

Próbowałem przełknąć gorycz, która podeszła mi do gardła jak żółć.

– Nie ma wiele do powiedzenia.

Przewróciła oczami.

– Poza tym, że jest twoim towarzyszem życia i odcisnął na tobie taki ślad, jakbyś był postacią z jakiegoś upiornego fanfika do *Zmierzchu*.

Wzruszyłem ramionami.

– Nawet nie wiem, co to jest.

– Ja wiem – wtrącił się Rico. – I przyznaję, że nie jestem teraz z tego szczególnie dumny.

– Łączy cię z Joem mistyczne księżycowe przeznaczenie – odparła Jessie poirytowanym tonem.

Popatrzyłem na nią spod zmrużonych powiek.

– Że co?

– No, wiesz. T o, co łączy cię z J o e m.

– To nie...

Westchnęła.

– Boże, tak się cieszę, że wyrwałam się z tego w odpowiednim momencie.

– To nie miało nic wspólnego z przeznaczeniem – zaprzeczyłem, ignorując przytyk. – To była kwestia wyboru. On mnie wybrał.

– A ty wybrałaś jego. Kiedy już odkryłaś, co to znaczy.

Tak było, ale dużo mi z tego przyszło. Milczałem więc.

– To wiele tłumaczy – powiedziała.

– Naprawdę?

Popatrzyła na mnie jak na idiotę.

– Co?

Stwierdziła:

– Ox, Joe mnie n i e n a w i d z i ł.

– Wcale że nie. – Możliwe, że żywił do niej silną niechęć. Ale żeby od razu nienawiść? Nie sądziłem, by Joe był zdolny do nienawiści. Nawet wobec Richarda Collinsa. Jeszcze nie wtedy. Teraz to co innego. Nie wiedziałem, jak sprawy miały się teraz. Już go nie znałem i nie potrafiłem powiedzieć, co czuje.

– Głupi jesteś – powiedziała z powagą. – Cała ta sprawa jest głupia.

– No, w sumie – przyznałem.

– Zgadzenie się ze mną nie sprawi, że uda ci się wymigać – ostrzegła.

– Wiem. – No cóż, teraz już wiedziałem. Więc może nie będę musiał tak bardzo jej przytakiwać.

– To by wyjaśniało, dlaczego przez kilka ostatnich lat byłeś taki osowiały.

– Nie byłem o s o w i a ł y...

– No, trochę byłeś – wtrącił się znów Rico. – Chociaż może nie przez cały czas.

– Ale przez większość czasu – poparł go Tanner.

– Czasami zdarza mu się gapić w pustą przestrzeń – dodał Chris, jak zawsze pomocny. – Z tą swoją cichą siłą. I lękami.

– Nienawidzę was wszystkich – powiedziałem poważnie.

– J a n i c n i e m ó w i ł e m – zauważył Robbie.

– Nie poszedł do college’u – przypomniała sobie Jessie. – To było kolejne kłamstwo, które mi opowiedziałeś. Opowiedziałeś wszystkim.

– To nie miało być kł a m s t w o...

– Dlaczego nie ruszyłeś za nim, żeby go szukać?

Jakby nie przeszło mi to wcześniej przez głowę.

– Nawet bym nie wiedział, od czego zacząć. Zresztą, obiecałem mu, że tu zostanę. Zaopiekuję się pozostałymi. Zaopiekuję się watahą.

– Nie potrafiłbyś go znaleźć za pomocą waszego mistycznego księżycowego połączenia?

– Naszego mistycznego... Jezu. Przestań to tak nazywać!

– Dał ci kamiennego wilka, który zasadniczo stanowił obietnicę, że Joe będzie na zawsze twój – powiedziała bez emocji. – Jeśli to nie jest mistyczne księżycowe połączenie, to nie wiem, co to właściwie jest.

– W zasadzie to by się zgadzało – przyznał Robbie i skrzywił się, gdy spojrzałem na niego spode łba. – Wybacz, Ox.

– Czyli zamierzasz tu siedzieć i nic nie robić? – spytała. Wydawała się rozczarowana.

– Wcale że n i e nic nie robię.

– Mówisz taką piękną angielszczyzną – zakpił Rico.

– Nie szukasz go!

– Dokonał wyboru – warknąłem.

– A ty tak po prostu mu na to pozwoliłeś?

– To j u ż się stało. Fakt, że dowiadujesz się o tym t e r a z, nie oznacza, że my nie musimy zmagać się z tym od kilku l a t.

– Nie rozumiem, dlaczego nic z tym nie zrobiłeś. W związku z n i m.

– A co miałem zrobić? – spytałem ostro. – Najwyraźniej pewne rzeczy okazały się dla niego ważniejsze od innych.

Po raz pierwszy od momentu, gdy wparowała do warsztatu, twarz Jessie złagodniała. Przybrała wyraz bliski litości.

– Wygląda na to, że...

– Ox, nie wydaje mi się, by cokolwiek było dla niego ważniejsze od ciebie. – Ścisnęła moją dłoń. – Może ty tego nie widziałeś, ale ja tak. Wzrok, którym na ciebie patrzył... – Uśmiechnęła się smutno. – Byłeś dla niego wszystkim. I nie sądzę, by to się zmieniło.

– Tego nie możesz wiedzieć. – Wyszarpnąłem dłoń, a Jessie zmarszczyła czoło. – Nie wiemy nawet, czy on nadal... – Urwałem i potrząsnąłem głową. – Nieważne. Nie ma go tu. I ch tu nie ma. Jesteśmy my. A ja mam pracę do zrobienia. Nigdy nie sądziłem, że będę musiał robić coś takiego, ale proszę. Więc podsumujmy. Tak, wilkołaki istnieją naprawdę. Tak, najwyraźniej zostałem... Alfą. Albo czymś w tym stylu. I bardzo mi przykro, że ucierpiałaś z tego powodu. Dopilnuję, by to się nie powtórzyło.

– W jaki sposób? – spytała. – Nie możesz obiecać czegoś takiego.

– Nie – odparłem. – Ale mogę zrobić, co w mojej mocy. Byłoby mi łatwiej, gdybyś stała się jedną z nas.

– Nie chcę zostać ugryziona – zaprotestowała szybko. – To nie...

– Na razie nie ma nawet takiej możliwości – powiedziałem. – Ale jeśli się zgodzisz, jeśli zostaniesz częścią tego, to w naturalny sposób zaczniesz poddawać się mojej woli. Nawet dokładnie nie rozumiem, jak to działa, ale tak będzie.

– Może po prostu zaczekamy, jak rozwinie się sytuacja? – odparła, a ja już widziałem, jak się zgadza, niezależnie od tego, czy była tego świadoma, czy nie.

Podjęcie decyzji nie zajęło jej dużo czasu. Nie żebym spodziewał się czegoś innego. Tydzień później Elizabeth zabrała ją do lasu,

upomniawszy nas, żebyśmy za nimi nie szli, bo musi pogadać z Jessie na osobności jak kobieta z kobietą. Jessie wyglądała na nieco zawstydzoną na samą myśl, ale głównie czuła się zaintrygowana, więc odpuściłem. Przecież Elizabeth by jej nie skrzywdziła.

Wróciły cztery godziny później, zarumienione, radosne i szczęśliwe. Jessie chichotała, a Elizabeth uśmiechała się, aż linie wokół jej oczu i ust stały się mniej widoczne.

– Świetnie sobie poradzi – powiedziała mi Elizabeth, przesuwając palcami po moim barku, kiedy przechodziła obok.

I tyle.

Tamtego roku przyszli też inni.

Po tym, jak Omega porwały Jessie, zapanował spokój, ale my byliśmy przygotowani. Robbie wywiązywał się z obowiązków i kontaktował z przełożonymi. Z opryskliwym facetem. Od czasu do czasu z Alfą Hughes, choć chyba coraz rzadziej, zważywszy na fakt, że był teraz moim Beta. Michelle nigdy nie zażądała rozmowy ze mną. Ja nigdy nie zażądałem rozmowy z nią. Nie wiedziałem, jak długo jeszcze pozwoli, by sytuacja trwała. Czasami leżałem bezsennie w nocy i zastanawiałem się, czy tu przyjdzie i spróbuje mi ich odebrać. Z pewnością nie tego potrzebowali.

Nie zrobiła tego, chociaż codziennie czekałem, kiedy wydarzy się coś złego.

Wciąż szukali Richarda Collinsa. I Osmonda. I Roberta Livingstone'a. Nigdy ich nie odnaleźli. Wydawało mi się też, że nadal szukali Joego. Ponieważ był Alfą, który wyslizgnął się poza

system. Nie tyle chodziło o sprowadzenie go bezpiecznie do domu, co o niespuszczenie z oka.

Robbie zapewnił mnie, że nie przekazywał informacji na temat stada nikomu spoza stada. Uwierzyłem, bo mu ufałem. Nie okłamałby mnie. Nie w tej kwestii. Byłem tego pewien.

Ale znów zjawili się obcy.

Jessie, która zawsze była silną kobietą, oświadczyła, że nie zamierza kolejny raz grać roli damy w opałach. Rzuciła się w wir treningów z pozostałym i wkrótce stała się lepsza niż pozostali ludzie. Kiedy po raz pierwszy podcięła bratu nogi dobrze wymierzonym machnięciem kija sparringowego, na twarzy Chrisa pojawił się wyraz dumy pomieszanej z osłupieniem i lekkim gniewem. Stała nad nim z kijem opartym na ramieniu, z zębami wyszczerzonymi w uśmiechu, z warstewką potu pokrywającą jej czoło.

– Kto następny? – spytała, gdy Rico i Tanner próbowali wymknąć się niepostrzeżenie.

Spostrzegła ich. Dziesięć minut później obaj leżeli w piachu, a Jessie piała nad nimi z radości.

Dlatego kiedy zjawili się obcy, byliśmy gotowi. Ale to nie były Omegi. Ten pierwszy był zwyczajnym facetem. I przyniósł nam wieści o Joem.

Siedziałem do późna w warsztacie, robiłem zamówienia na następny miesiąc. Zazwyczaj zajmował się tym Chris, ale tym razem dałem mu trochę luzu, bo umówił się na randkę z dziewczyną z miasteczka obok. Jak mnie zapewnił, nie było to nic poważnego. Przynajmniej na razie. Bałem się myśleć, co by się stało, gdyby przerodziło się w coś bardziej serio. Jessie uspokoiła mnie, że wszystko w porządku, że dziewczyna jest miła i słodka, i kazała przestać się zamartwiać rzeczami, które jeszcze się nie wydarzyły.

Mój organizm nie działał w ten sposób, ale miło było pomarzyć.

Rozważałem właśnie spakowanie się i odłożenie pozostałych zamówień na następny dzień. Dostałem już trzy SMS-y z groźbami, jedną od Marka, dwie pozostałe od Elizabeth. Oboje zapewniali mnie, że jeśli nie wrócę do domu w ciągu najbliższej godziny, to oni po mnie przyjdą. Nie były to czcze pogroźki, więc zdecydowałem się wyruszyć.

Jak tylko zgasilem światło, ktoś zastukał do frontowych drzwi warsztatu. Usłyszałem natarczywe pukanie w szybę. Zamarłem. Kimkolwiek był niespodziewany gość, nie był jednym z moich.

Zegar wskazywał kilka minut po dziewiątej. Najprawdopodobniej nie był to nikt zainteresowany wymianą oleju.

Podniosłem telefon i zawahałem się na krótką chwilę. Ale przezorny zawsze ubezpieczony. Otworzyłem nasz grupowy komunikator i wysłałem dwa słowa:

w pogotowiu

W ciągu dwudziestu sekund otrzymałem odpowiedzi od wszystkich. Nawet od Chrisa. Ucieszyłem się, nawet pomimo że i tak poczułem, jak rozświetlają się więzi pomiędzy nami. Przesłałem członkom stada tak dużo pokrzepiających uczuć:

Spokój *Cisza* *Miłość* *Wataha*, jak tylko mogłem, z nadzieją, że to wystarczy. Bo to nie było nic takiego. Cóż. Najprawdopodobniej to nie było nic takiego.

Pukanie rozległo się ponownie. Ktokolwiek to był, wydawał się nieustępliwy.

Bariery Gorda nadal działały. Pokładałem w nich wiarę, chociaż nie pokładałem jej w człowieku, który je wyczarował. Nie bardzo. Już nie. Ale Gordo powiedział mi kiedyś, że chociaż jest silny, chociaż jest pewien, co potrafi zrobić, magia nie jest niezawodna. Nie jest wszystkim, co najważniejsze.

Jak mnie uprzedził, pewnego dnia coś musi w końcu pójść nie tak. Ale miałem się o to nie martwić. Bo do tego czasu on zdąży wrócić. Tak mi właśnie powiedział.

A ja mu uwierzyłem.

Miałem swój łom. Teraz już nigdzie się bez niego nie ruszałem. Był przedłużeniem mojego ciała, więc trzymałem go zawsze gdzieś blisko. Alfa zapewnia stadu bezpieczeństwo. Łom był jednym ze sposobów, jakie znałem, bym mógł tego dokonać. Podniosłem go z miejsca, w którym stał, oparty o biurko, poczułem znajomy ciężar. Już nie zważałem na przemoc. Jakże łatwo byłoby mi zabić każdego, kto chciałby mi odebrać to, co moje. Gdybym to zrobił, z pewnością zdrząłyby mi dłonie. Pewnie, że bym się zawahał. Ale nie miałem na to czasu. Już nie.

Przeszedłem przez pogrążony w ciemności warsztat. Nawet neon z nazwą był ciemny, wyłączał się automatycznie wraz z zamknięciem warsztatu. Światło z biura nie było widoczne od frontu, więc nieznajomy nie mógł wiedzieć, że ktoś jest w środku.

Chyba że nas obserwował.

Zmrużyłem oczy, by szybciej przyzwyczyły się do ciemności.

Pukanie powtórzyło się po raz kolejny, delikatne, uprzejme stuknięcia w szybę. Drzwi nie zadrżały. Dźwięk nie był podszyty gniewem. Tylko uporczywy.

Poruszając się powoli, przecisnąłem się przez drzwi oddzielające warsztat od biura obsługi klienta. Zauważyłem zarys sylwetki stojącej przed frontowymi drzwiami, podświetlonej od tyłu przez neon sklepu z narzędziami po drugiej stronie ulicy. Harvey zawsze zapominał ustawić wyłącznik czasowy. Wydawało się, że przybysz nie ma niczego w rękach, lecz wiedziałem, że to o niczym nie świadczy. Broń można ukryć w rękawie. Kły można w każdej chwili wysunąć. Gordo powiedział mi kiedyś, że na świecie czai się wszystko, co tylko mogę sobie wyobrazić. Nawet po tak długim czasie potrafiłem wyobrazić sobie wiele różnych rzeczy.

Włączyłem światło.

Na zewnątrz stał mężczyzna. Starszawy, z twarzą wyglądającą dość niechlujnie przez szarobiałą szczecinę. Ciemne oczy zamrugały gwałtownie po nagłym rozbłysku światła. Przyglądał mi się z delikatnie zmarszczonymi brwiami i głową przekrzywioną na bok. Potem się uśmiechnął. Zęby miał duże i krzywe. Jeszcze raz zastukał w szybę.

– Warsztat zamknięty – powiedziałem podniesionym głosem.

Jego uśmiech stał się jeszcze szerszy.

– Nie przyszedłem tu w sprawie naprawy auta, Ox.

Zachowałem obojętny wyraz twarzy.

– Skąd pan zna moje imię?

– Wszyscy je znają – odpowiedział przez szybę. – Nie jesteś anonimowy w tych stronach. Musiałem tylko trochę popytać. Ludzie

z knajpki mają do ciebie słabość.

- Dlaczego pan o mnie wypytywał?
- Otwórz drzwi. Najlepiej się rozmawia twarzą w twarz.
- No, nic z tego.

Uśmiech spętał mu z twarzy.

- Mógłbym po prostu zbić szybę.
- Wtedy popełniłby pan przestępstwo.

Prychnął.

– Wezwij policję. Niech mnie aresztują. Ale wtedy nie usłyszysz, co mam do powiedzenia.

– Dlaczego miałyby mnie interesować, co pan ma do powiedzenia?

- Ze względu na twoje wilki.

Spiąłem się zaalarmowany. Wściekły. Pomyślałem, że to była groźba. B r z m i a ł o jak groźba.

- Moje wilki – odparłem. – Nie wiem, co pan ma na myśli.

Przewrócił oczami.

– Taką wersję utrzymujesz? Słyszałem, że nie jesteś taki głupi, na jakiego wyglądasz, Oxnardzie. Nie wyprowadzaj mnie z błędu.

- Kim pan jest?
- David King – powiedział i ukłonił się nieznacznie. – Do usług.
- Nie znam pana.
- Nie – przyznał. – Ale ja znam ciebie.

Chyba zaczynałem mieć dość ludzi, którzy mi to mówili.

- Nie jest pan wilkiem.
- Jestem tak bardzo ludzki, jak tylko się da. A to, jak widzę, więcej, niż można powiedzieć o tobie.

– I przyszedł pan tutaj – powiedziałem i obnażyłem zęby – na moje terytorium?

– Twoje terytorium. – Wydawał się rozbawiony. – Fascynujące. Zastanawiam się, jak to działa. Nie zostałeś ugryziony. Nie było tutaj nikogo, kto mógłby cię ugryźć.

Odparłem:

– Powinien pan wiedzieć, że moje stado czeka w gotowości. Na wypadek.

– Na wypadek? – spytał. – Na wypadek czego?

– Czegokolwiek.

– Zabiłbyś mnie?

– Gdybym musiał. Gdyby zagrażał pan mnie albo stadu.

– Nie jesteś taki jak inne.

– Inne?

– Inne wilki.

– Nie jestem wilkiem.

– Nie – przyznał. – Ale dużo ci nie brakuje. Dużo mniej, niż powinno być wolno jakiemukolwiek człowiekowi. Jak ty to robisz?

– Czego pan chce?

– Przynoszę wiadomość.

– Proszę ją przekazać.

Zamrugnął.

– Tak po prostu?

Nie odpowiedziałem.

Westchnął.

– Szczerze mówiąc, myślałem, że będzie bardziej dramatycznie.

– Przepraszam, że pana rozczarowałem.

– W tej kwestii owszem. Ale ty jako ty? Nigdy w życiu. Człowiek w roli Alfya. Nigdy wcześniej o niczym takim nie słyszałem. Teraz rozumiem, dlaczego tak desperacko zabiegał o to, żebym tu przyszedł.

Zmęczyły mnie jego gierki.

– Kto? – warknąłem i poczułem przyływ satysfakcji na widok jego lekko rozszerzających się ze strachu oczu.

– Joe – odparł. – Przysłał mnie Joe Bennett.

Świat stał się rozmyty jak wizja w starym telewizorze, którym bawił się mój tato. Kręcił pieprzoną anteną pokojową, aż udało mu się złapać obraz, który podskakiwał i przesuwiał się w dół. Byłem jak biały szum i śnieżenie, krew buzowała mi w żyłach.

– Joe – wychrypiałem.

– Przykułem twoją uwagę, co? – powiedział David i znów się uśmiechnął. – Dobrze.

Tak. Udało mu się przykuć moją uwagę. Ale nie powinien był sobie tego życzyć.

Nie zdążył zareagować, kiedy rzuciłem się na drzwi. Przycisnąłem prawą rękę do piersi i rozbiłem barkiem szybę. Stęknąłem, kiedy szkło rozprysło się wokół nas, a na skórze poczułem ukłucia ostrych żadeł. David wydał z siebie niski okrzyk i poleciał w tył, wymachując ramionami. Wpadłem na niego i obaj runęliśmy na ziemię. Mężczyzna wylądował na plecach na chodniku, zachrząściło pod nim szkło. Podniosłem się, zanim zdołał odeprzeć mój atak, usiadłem mu okrakiem na brzuchu i przyłożyłem łom pod brodę. Nacisnąłem, aż ostra końcówka wbiła się w miękką skórę.

– Jedno pchnięcie – powiedziałem – wystarczy, by wbiło ci się to w mózg.

– Imponujące – wydyszał. Przestał się szamotać. Na prawym policzku miał cienkie rozcięcie od potłuczonego szkła, krew skapywała mu w stronę ucha. – Ja... no, tego się nie spodziewałem. Powinienem być. Ale się nie spodziewałem.

– Gdzie on jest?

– Jezu Chryste, ile ty ważysz? Nie mogę o d d y c h a ć...

– Ostatnia szansa – warknąłem.

– Nie wiem, gdzie on jest!

– K ł a m i e s z.

– Nie kłamie. Przysięgam na Boga. Nie przyszedłem tu po to, by skrzywdzić ciebie albo twoje stado. Próbuję ci pomóc, ty przerośnięty...

– Żyje?

– Co?

– C z y o n ż y j e?

– Tak! Tak. Żył, jak go widziałem ostatnim razem.

– Czyli kiedy?

– Trzy miesiące temu.

– Gdzie?

– Na Alasce.

– Kto z nim był?

– Jego bracia. I wiedźma. Nie pytałem o imiona!

Przycisnąłem mocniej. W zagłębieniu wokół końcówki łomu zebrała się krew.

– Co im zrobiłeś?

– Nic. N i c. Uratowali mnie. Jezu Chryste, oni mnie uratowali.

– Przed. C z y m?

– Przed Richardem Collinsem!

Z a m a r ł e m.

Mężczyzna nie kłamał. Nie wiedziałem, skąd ta pewność, ale ją miałem. N i e kłamał. I znalazł się bliżej Joego niż cokolwiek, na co trafiłem przez niemal trzy lata.

– Co powiedział? – spytałem ochryłym głosem. – Wiadomość. Powiedziałeś, że masz dla mnie wiadomość.

– Gdybyś mógł z e m n i e z e j ś ć...

– Gadaj, co to za wiadomość! – ryknąłem mu w twarz, opryskując śliną.

– Powiedział... powiedział: „Jeszcze nie”. Kazał mi przekazać, że jeszcze nie. Twierdził, że będziesz wiedział, o co chodzi.

J e s z c z e n i e.

Pieprzony drań.

– Coś jeszcze? – spytałem zimno.

– Nie. Tylko: „Oxnard Matheson. Green Creek, Oregon. Jeszcze nie. Jeszcze nie. Jeszcze nie”.

Wiele lat wcześniej David King trudnił się polowaniem na wilki. Dorastał w klanie Kingów, przed nim i jego ojciec, i jego dziadek zajmowali się tą samą pracą. Nauczono go, by zabijał wszystko, co ma ostre zęby. Ale po tym, jak w wieku siedemnastu lat zabił po raz pierwszy, jak zobaczył światło gasnące w oczach samicy Beta, która dławiała się własną krwią z j e g o w i n y, rzucił to.

Jego własny klan się go wyrzekł. David został z niego wykluczony. Wydarzyło się to prawie czterdzieści lat temu.

To klan Kingów urządził masakrę wśród rodziny Richarda Collinsa. David nie brał w tym udziału. Stało się to po tym, jak odszedł.

Nie zostało już wielu Kingów. Ukryli się, bo ginęli jeden po drugim.

– Porozrywane gardła – powiedział David i skrzywił się, wyciągnąwszy niewielki odłamek szkła z boku. – Krew rozchlapana na ścianach. Wiadomość od wilków.

– Jaka wiadomość?

David westchnął.

– Że przyjdzie po nas wszystkich.

David się ukrył i wykorzystywał stare powiązania rodzinne, by być zawsze o krok do przodu przed Richardem Collinsem i jego Omegami. Większość klanów myśliwych go odrzuciła – nikt nie chciał brać udziału w waśni, która z pewnością zakończyłaby się jego śmiercią. Ale byli też tacy, którzy mieli u niego stare długi, i udawało mu się żyć przez kilka dni, a nawet tygodni z rzędu bez konieczności oglądania się za siebie.

– Bywały takie chwile, kiedy już myślałem, że jestem bezpieczny – opowiadał. – Że jestem wolny. Przecież nie miałem nic wspólnego z ojcem ani dziadkiem. Nie brałem udziału w masakrze. Dziadek od dawna nie żył. Rak, jeśli można wierzyć w takie bzdety. Facet spędził całe życie, walcząc przeciw kłom i pazurom, a wykończyło go r a c z y s k o?

– A co z twoim ojcem? – spytałem cicho.

David się roześmiał. Jego śmiech był pusty.

– Był już staruszką. Pamięć już dawno mu siadła. Mieszkał w domu spokojnej starości w Topece. Słyszałem, że to, co z niego

zostało, personel musiał zeskrobać ze ścian.

Jeden miesiąc zamienił się w dwa, potem w trzy i David zaczął myśleć, że został zapomniany, że żaden radar nie zarejestrował jego obecności.

– Tyle wystarczy – powiedział. – Złudne poczucie bezpieczeństwa. Jedna chwila poczucia bezpieczeństwa i robisz się nieuważny. Może pokazałem facjatę ludziom, którzy nie powinni byli jej widzieć. Może zostawiłem swój zapach gdzieś, gdzie nie powinno go być. W sumie nie wiem. Ale mnie znalazł.

Na obrzeżach Fairbanks. Śniegi topniały, trawa wychodziła spod ziemi, jasna i zielona, kiedy pojawił się o n.

– Spytał mnie, czy wiem, kim jest – opowiadał David. – Po prostu pojawił się pod moimi drzwiami i zapukał, uprzejmie, jak tylko można sobie życzyć.

David nawet nie musiał odpowiadać. Najwyraźniej Richard Collins dostrzegł jego minę, bo zaśmiał się, kiedy David próbował zatrzaskać drzwi i chwycić broń. Prawie mu się udało, ale sądził, że Richard mu na to pozwolił.

– To była gra – powiedział. – Myślę, że dla niego to była gra. Duży zły wilk chuchnął i dmuchnął, i wyważył mi jebane drzwi.

Zanim David się obejrzał, wisiał we własnym tymczasowym domu z rękoma związanymi nad głową i skrępowanymi nogami.

– Pociął mnie – oznajmił, podnosząc koszulkę. Jego tors pokrywały blizny, niektóre jeszcze różowawe, większość gruba, twarda i biała. Przecinały jego klatkę piersiową i brzuch, owijały się wzdłuż boków i ginęły gdzieś na plecach, których nie widziałem. Wyglądało na to, że prawie stracił jeden sutek. – Pazurami. Pastwił się nade mną kilka godzin. Problem z bólem polega na tym, że

możesz dużo wytrzymać, zanim zemdlejesz. Tamtego dnia zniosłem wiele bólu.

Zanim wszystko się skończyło, zaczął majaczyć.

– W jednej chwili był tylko Richard, Richard, Richard, a w następnej zniknął, a przede mną stał wilk z czerwonymi oczami. Alfa.

– Joe – szepnąłem.

– Joe – przytaknął David. – Joe Bennett. Słyszałem, co przytrafiło się Thomasowi Bennettowi. Nigdy nie spotkałem go osobiście, ale dużo o nim słyszałem. Wszyscy wtajemniczeni w sprawę słyszeli. Ten wilk był... l e g e n d ą, wiesz? Jego wataha była czymś na kształt wilczej rodziny królewskiej. Nie darzę wilków miłością, jasne? Niektóre są popieprzone, niektóre to p o t w o r y, ale ludzie też tacy potrafią być. Dobrze o tym wiem. Różne rzeczy widziałem. Ale Thomas... polowanie na niego zawsze było zakazane dla większości ludzi. Pewnie, byli i tacy, którzy twierdzili, że pewnego dnia go dopadną. Tylko po to, żeby móc się pochwalić, że upolowali samca Alfa wszystkich wilków. Ale nikomu się to nie udało. Tak tylko pieprzyli głupoty, żeby uchodzić za lepszych niż w rzeczywistości.

Najwyraźniej Richard zniknął dobrą godzinę wcześniej, nim Joe znalazł Davida. Były z nim jeszcze dwa wilki i czarownica. Połatali go, zadali kilka pytań. Joe kipiał z wściekłości.

– Dlaczego?

– Bo byli tak blisko Richarda – odparł David. – Tak blisko jeszcze nie udało im się podejść. Tak przynajmniej mówili.

Wyruszyli niemal natychmiast. Ale wcześniej Joe odciągnął Kinga na bok i z oczami płonącymi czerwienią poprosił go o przekazanie wiadomości.

Jeszcze nie.

Obrzuciłem go gniewnym spojrzeniem.

– I dotarcie tutaj zajęło ci trzy miesiące?

– Spróbuj dać się wypatroszyć oszalałemu wilkołakowi – odwarknął David. – Potrzebowałem czasu, żeby się z tego wylizać. Musiałem też się upewnić, że drugi raz mnie nie znajdzie. Za to nie musiałem się tu fatygować.

Oczywiście miał rację. Chociaż jakaś część mnie żałowała, że jednak przyszedł. Bo „jeszcze nie” mi nie wystarczało.

– Jak wyglądali? – spytałem. – Wyglądali na... Wszystko było z nimi w porządku?

King popatrzył na mnie ze smutkiem.

– Zmęczeni – odparł. – Wyglądali na zmęczonych. Właściwie nie rozmawiałem z pozostałymi, ale wszyscy wyglądali na zmęczonych.

Pokiwałem głową, bo nie wiedziałem, co mógłbym jeszcze powiedzieć.

Po chwili David spytał:

– On nie wie, prawda?

– O czym? – nie zrozumiałem.

– O tobie. O tym, że zostałeś Alfą.

– Nie, nie sędzę. – Po jakimś czasie dodałem: – A ty skąd wiedziałeś?

– Wychowałem się w środowisku myśliwych, młody. Nauczyłem różnych rzeczy. Można by je nazwać sekretami zawodowymi. Alfę zazwyczaj zdradzają czerwone oczy.

– Ja nie mam czerwonych oczu.

– Dlatego powiedziałem: z a z w y c z a j. Kiedy znajdziesz się w obecności Alfę, po prostu o tym wiesz, tak? Zauważasz bijącą od

niego... władzę. Czujesz coś więcej. Zwłaszcza jeśli Alfa przebywa na własnym terytorium. Spotkałem jeszcze tylko jednego Alfę, poza tobą i Joem. Kiedy byłem dzieckiem. Wszyscy wzbudziliście we mnie te same uczucia. – Przekrzywił głowę i przyjrzał mi się. – Jak to zrobiłeś?

– Ja nic nie zrobiłem – odparłem. Poczułem się, jakby ktoś wyszorował mnie do żywego mięsa. – To się po prostu... stało.

– Jezu, młody. Nie zazdroszczę ci.

– Dlaczego?

– Bo ludzie tego nie rozumieją – powiedział to takim tonem jak tamten opryskliwy facet.

– Gównu mnie obchodzą ludzie.

– To też jest im obojętne.

– Mogą robić, co chcą, pod warunkiem że zostawią nas w spokoju.

– Naprawdę sądzisz, że to zrobią?

– Niech przyjdą – odparłem niskim, groźnym głosem. – Nie takim rzeczom stawiliśmy czoła.

David powiercił się na krześle wystarczająco, bym wiedział, że zrozumiał.

– Masz się gdzie zatrzymać?

Roześmiał się.

– Nie tutaj – odparł. – Tutaj nigdy. Zwłaszcza nie na terytorium Alfy. Wynoszę się stąd, jak tylko skończymy. Już raz mnie znalazł, co oznacza, że może to zrobić znowu. Muszę być w ciągłym ruchu. Dopóki zdołam.

– To żadne życie.

– Może i tak – odparł. – Ale jedyne, jakie znam.

– On to zakończy. Znaczący Joe.

– Młody, nie wątpię, że w to wierzysz. I może naprawdę mu się uda. Ale nie zamierzam ryzykować. Jak widzisz, jestem teraz duchem. Możliwe, że pewnego dnia nie będę musiał, ale póki nie usłyszę, że ktoś oddzielił głowę Richarda Collinsa od jego ciała, będę się snuł po drogach.

Wstał powoli, krzywiąc się z bólu.

– Przepraszam za to – powiedziałem.

– Za co?

– Za tę sprawę... z szybą. Ze szkłem.

Prychnął.

– Wszedłem na terytorium Alfego bez zapowiedzi. Myślę, że uszło mi to na sucho.

W sumie miał rację.

– I tak przepraszam.

– Zdarza się – stwierdził. – Bywało gorzej, chociaż nie mogę powiedzieć, że jutro nie będę tego czuł. Już nie jest ze mnie taki młodziak jak kiedyś. Sam odprowadzę się do drzwi. To było... interesujące spotkanie. – Odwrócił się z zamiarem wyjścia.

– Nie powinieneś o mnie rozpowiadać – powiedziałem cicho.

Zatrzymał się.

– Jak to?

– Nie mów nikomu o tym, co tu widziałeś. Nie mów... o mnie.

Prychnął.

– Nie mam komu o tobie opowiadać, nawet gdybym mógł. Tak jest lepiej. Nikomu na ciebie nie doniosę, Alfo. Nie musisz się martwić.

Nie wstałem. Czuję się ociężały, jakby coś ciągnęło mnie w dół.

King podszedł do drzwi biura. Położył już rękę na klamce, kiedy się zatrzymał.

– Wiesz – powiedział, nie odwróciwszy się. – Było w nim coś takiego. Kiedy wymawiał twoje imię. Pojawiło się takie... światło. W jego oczach. Pomyślałem, że może nosi w sobie tylko gniew i wściekłość, zatracił się w swoim wilku. Stał się pół Alfą, pół Omegą. Że fiolet i czerwień zmieszały się ze sobą. Ale wtedy wypowiedział twoje imię i... sam nie wiem. Coś się w nim wtedy zmieniło. Poczułem... zielen? Nie wiem, czy to ma sens. Pomyślałem, że powinienes o tym wiedzieć.

Za chwilę już go nie było.

Spocznij. Fałszywy alarm. Jakies dzieciaki rozbity szybę.

Stado odpowiedziało natychmiast. Wiadomości od nich wyrażały ulgę.

Jesteś pewien? – napisała Elizabeth.

Tak

Więcej się nie odezwała.

Zostałem w biurze do późna.

„Jeszcze nie” – pomyślałem.

Jeszcze nie.

Nie powiedziałem im o Davidzie Kingu.

Tak wydawało się łatwiej.

Robbie pocałował mnie pod koniec trzeciego roku. Chciałbym powiedzieć, że mogłem to przewidzieć. Ale nie przewidziałem. To była moja wina.

W jednej chwili spacerowaliśmy po lesie, tylko on i ja, jak starałem się robić ze wszystkimi moimi Betami, śmialiśmy się i rozmawialiśmy o niczym, a w następnej – jego usta znalazły się na moich (ależ to było niezgrabne), jego ręka na mojej piersi, jego oddech na mojej twarzy. Był ciepły i słodki, a ja znienawidziłem siebie za to, że go nie odepchnąłem. Mógłbym powiedzieć, że mnie zaskoczył. Mógłbym powiedzieć, że się tego nie spodziewałem. Ale pozostaje faktem, że go nie odepchnąłem, przynajmniej nie od razu.

Nie oddałem pocałunku. Po prostu tam stałem, a śmiech zamierał mi w gardle. Ręce zwisały po bokach. Oczy miałem szeroko otwarte.

Nie ruszał się za bardzo, po prostu przycisnął się do mnie na jedną, dwie, trzy, c z t e r y sekundy, po czym się odsunął, a serce tłućło mu się w piersi jak szalone. Usta miał gładkie i wilgotne. Język wysunął się szybko spomiędzy warg, jakby ścigał mój smak.

Wpatrywaliśmy się w siebie nawzajem. Nie wiedziałem, co zrobić.

Powiedział:

– Ox, ja...

Podniosłem dłoń.

Rozważałem to. Naprawdę. Bo byłoby takie proste. Wystarczyło to wziąć. Tam. Wtedy. Nie byłem z nikim od czasu Joego. Ale też tego nie planowałem. Z drugiej strony, nie miałem już pewności, jak wpasowywałem się w plany Joego.

A t o b y ł o b y t a k i e p r o s t e.

No i lubiłem go. Robbiego. Naprawdę go lubiłem. Był miły. I życzliwy. I przystojny. Każdy byłby szczęśliwy, gdyby udało mu się

go zdobyć.

A ja bym mógł.

Ale nigdy nie dałbym mu tego, czego pragnął. Na co zasługiwał. Ponieważ Robbie zasługiwał na kogoś, kto dałby mu całe serce.

A ja swoje oddałem dawno temu błękitnookiemu chłopcu, który stał na gruntowej drodze i na mnie czekał.

– Robbie – westchnąłem.

– Nie powinienem był tego robić – wymamrotał, spuściwszy wzrok, i grzebał butem w ziemi.

– Możliwe – powiedziałem. – Ale to nie było nic złego.

– Nie? – Nikła iskierka nadziei.

– Bo to w ogóle nie może się zdarzyć.

Westchnął i zgarbił ramiona.

– Ze względu na Joego?

– Ze względu na Joego.

– Jego tu nie ma.

– Nie. Nie ma.

– Ox.

– Nie ma go tu. Ale dla mnie to nie ma znaczenia. Może pewnego dnia będzie miało. Ale na razie nie.

– Ja tylko... Ja tylko chciałem...

Powiedziałem:

– Hej. Nie masz się czym przejmować. Wszystko gra. Takie rzeczy się zdarzają.

Zaczynał się frustrować.

– Jesteś moim przyjacielem – stwierdził. – I moim Alfą. Ja tylko... chcę być kimś. Dla ciebie. Wiem, że byłeś z Jessie... przedtem.

I pomyślałem sobie, że... może mógłbyś być ze mną potem. Jeśli będzie jakieś „potem”.

– Ty już jesteś dla mnie kimś. – Wyciągnąłem rękę i położyłem mu palce pod brodą, żeby unieść mu głowę. – Jesteś czymś więcej, niż mogłem sobie wymarzyć.

Obdarzył mnie zboląłym uśmiechem.

– Ale nie jestem wystarczający.

– Nie chodzi o bycie wystarczającym – odparłem. – Chodzi o bycie odpowiednim. Nie jestem odpowiedni dla ciebie, bo jestem dla kogoś innego. Pewnego dnia poczujesz to samo. Kiedy spotkasz właściwą osobę.

Roześmiał się krótko, szczekliwie.

– Może, ale... – Potrząsnął głową. – Nikt nie uwierzył we mnie tak jak ty. Nie wiem, czy chcę poczuć się inaczej.

– Jesteś moim przyjacielem – powiedziałem cicho. – I to mi wystarczy. Mam nadzieję, że tobie również.

Pokiwał głową, a ja opuściłem rękę.

Kontynuowaliśmy spacer pomiędzy drzewami.

Po chwili się odezwał:

– Musisz go naprawdę kochać. Skoro zrobiłeś to, co zrobiłeś.

– On zrobiłby dla mnie to samo – odparłem. Wiedziałem, że to prawda. Nieważne, co jeszcze czułem, wierzyłem w to z całych sił.

Poszliśmy dalej.

Tamtej nocy przyśnił mi się Joe. Czekał na mnie na gruntowej drodze, słońce przeświecało przez liście, niewielkie plamy światła na ziemi wyglądały jak kałuże marszczącej się wody. Uśmiechnął się

do mnie tak promiennie, kiedy chwyciłem jego dłoń, a nasze palce splotły się ze sobą jak zawsze.

Poszliśmy powoli w stronę domu na końcu ulicy. Nie rozmawialiśmy ze sobą. Nie musieliśmy. Wystarczyło, że po prostu byliśmy.

Przez kilka następnych tygodni Robbie czuł się przy mnie niezręcznie. Jąkał się i rumienił, i unikał mnie, jak tylko mógł.

Elizabeth uśmiechnęła się i powiedziała, że takie rzeczy od czasu do czasu się zdarzają.

– Byłby bardzo szczęśliwy – stwierdziła, kiedy usiedliśmy na werandzie, żeby obejrzeć zachód słońca. – Obaj byście byli.

– Należę do kogoś innego – odparłem.

– Naprawdę?

– Tak.

– Cieszy mnie to.

Nigdy więcej nie poruszyła tego tematu.

Przybyły kolejne Omegi. Ale wtedy byliśmy silniejsi. Lepszy. Szybsi. Bardziej kompletni.

Skradały się wzdłuż krawędzi barier ochronnych i kłapały pyskami. Musiało ich być przynajmniej piętnaście. Może nawet dwadzieścia.

– Człowiek – fuknęła jedna.

Oświadczyłem:

– Powiem to tylko raz.

Rozbłysły fioletowe oczy.

– Odejdźcie. Dopóki jeszcze możecie.

Zawarczały na mnie, obnażywszy zęby.

Postukałem łomem o ramię.

– Jeśli tak chcecie to rozwiązać.

Za moimi plecami ryknęło moje stado, ludzie i wilki jednakowo.

Omegi zrobiły krok w tył, straciwszy nagle pewność siebie.

Dalej nie udało im się dojść.

Trzy lata.

Jeden miesiąc.

Dwadzieścia sześć dni.

dom

Była środa.

Siedzieliśmy w warsztacie, kiedy wychwyciłem zmianę w barierach. Jakby się przesuwały. Jakby pękały. Byłem akurat w biurze i poczułem, jakby walnął we mnie piorun.

– Co to, kurwa, było? – usłyszałem z hali napraw głos Tannera, który chwilę wcześniej upuścił jakiś metalowy przedmiot na podłogę.

– Jezu Chryste – wymamrotał Rico.

– Ox? – zawołał Chris. – Czy ty...

Drzwi do poczekalni walnęły z hukiem o ścianę i przez warsztat przemknął Robbie, który biegł w stronę biura.

– Poczujesz to? – zażądał odpowiedzi, jak tylko wbiegł do środka.

– Nic ci nie jest?

– Wszystko w porządku – powiedziałem przez zaciśnięte zęby, chociaż miałem wrażenie, że moja skóra została naelektryzowana.

– To bariery. Coś się z nimi dzieje.

Robbie zbladł.

– Kolejne Omegi?

Pokręciłem głową.

– Coś innego. – Reszta chłopaków stłoczyła się w wejściu. Chris przyłożył telefon do ucha w tej samej chwili, kiedy rozdzwonił się

mój. Usłyszałem, jak mówi coś do Jessie, gdy tylko dziewczyna odebrała.

– Elizabeth – szepnąłem, kiedy przycisnąłem swój aparat do ucha.

– Poczujesz to – stwierdziła.

– Tak. Co to było?

– Nie wiem – odparła. – Coś nadchodzi.

– Czy bariery zostały przełamane?

– Nie, nie sądzę... Raczej się zmieniły. W jakiś sposób.

– Robert?

– Nie wiem, Ox. Wydaje mi się, że to idzie w tę stronę.

– Zostań tam – warknąłem. – Z Markiem. Zaraz będziemy.

– Zachowajcie ostrożność.

Rozłączyłem się.

– Słyszałaś? – spytał Chris siostrę. – Jedź do domu.

– Trzymaj ją na linii – nakazałem mu. – Nie chcę, żeby dotarła tam przed nami. – Wstałem, a Chris pokiwał głową. – Robbie, Tanner, ze mną. Rico, jedziesz z Chrisem. Trzymajcie się za nami. Spotkamy się z Jessie, która zostawi samochód i wsiądzie do was. Zrozumiano?

Pokiwali głowami, zmrużyli oczy, obnażyli zęby.

Dotarliśmy do drogi gruntowej, nie natknąwszy się na nikogo, choć uczucie naelektryzowania wzmagало się, im bliżej domu byliśmy. Zacisnąłem dłonie na kierownicy, aż kłykcie mi zbieleły. Zagryzłem zęby, byłem w ś c i e k ł y.

Jessie już na nas czekała. Bez wahania przesiadła się ze swojego auta do Chrisa i Rica. Włosy miała związane z tyłu głowy, w rękach ścisnęła kij. Spoglądałem w lusterko wsteczne, aż zamknęła drzwi, po czym ruszyłem drogą. Za nami wznosiły się obłoczki kurzu.

Najpierw przejechaliśmy obok starego domu. Stał sobie jak zawsze. Tak samo było z domem na końcu ulicy. Elizabeth i Mark czekali na nas na werandzie, połowicznie przeobrażeni, a ich oczy błyszczały nawet w jasnym świetle dnia.

– I co? – spytałem, jak tylko otworzyłem drzwi furgonetki.

– I nic – odparł Mark. – Nikt nie zbliżał się do domu.

– Zbliży się – powiedziała Elizabeth, spoglądając na las.

Podszedłem tyłem do ganku, przebiegając wzrokiem linię drzew. Wszystko wyglądało tak samo. Drzewa kołysały się, ptaki śpiewały. Terytorium wciąż było moje, było nasze. Ale wyczuwałem coś jeszcze, prześlizgiwało się po powierzchni, nie do końca pasowało, ale prawie. Nie wiedziałem, czy to nie Richard i Robert, którzy próbują nas wykiwać. Bo chociaż po skórze chodziły mi ciarki, miałem wrażenie, że powinienem to coś rozpoznać, mimo że wywoływało we mnie niepokój. Sprawiało, że stawałem się zgryźliwy. Chciałem biegać przed domem, żeby odstraszyć intruzów.

Pozostali zebrali się za nami na werandzie i uformowali szyk, który tak wiele razy ćwiczyliśmy. Nie trzeba im było rozkazywać. Po prostu wiedzieli. Wilki wmieszały się pomiędzy ludzi, wysunęły pazury i czekały w gotowości. Czułem za plecami ich siłę, ich wszystkich, i miałem nadzieję, że ktokolwiek był na tyle głupi, by na nas nacierać, też ją poczuje, zanim dopilnujemy, by więcej tego nie robił.

Naelektryzowanie się nasiliło.

– Nadchodzi z północy – wymamrotał Mark. – Od strony polany.

Poruszało się.

– Ale co to jest? – spytał podenerwowany Rico.

– Nie wiem – odparł Mark. – Ale przypomina...

Wilki się spięły, słysząc coś, czego my nie słyszeliśmy.

– Czwooro – warknął Robbie. – Szybko się przemieszczają.

– Nie rozdzielać się – powiedziałem. – Cokolwiek to jest, musimy stać murem...

Teraz i ja to usłyszałem. W lesie. Odgłosy długich kroków i biegu. Mignięcie koloru między rosnącymi gęsto drzewami, coś czerwonego, coś pomarańczowego i to...

– O mój Boże – powiedziała Elizabeth, bo to ona zrozumiała pierwsza.

Kiedyś, kiedy byliśmy w domu tylko we dwoje, stwierdziła, że nadszedł czas, żeby znów włączyć płytę Dinah Shore. Joe i pozostali wyruszyli prawie dwa lata wcześniej.

Nastawiła starą płytę i gdy piosenkarka śpiewała półgłosem o samotności, ona spojrzała na mnie i poprosiła mnie do tańca.

– Nie umiem tańczyć – powiedziałem, starając się nie zarumienić.

– Nonsens – odparła. – Każdy potrafi, jeśli umie liczyć.

Wzięła mnie za rękę. Poruszała się ze mną powoli, odliczając kroki, a jej dłoń wyglądała przy mojej na taką maleńką. Poruszała się po okręgu, a piosenka powtarzała się raz za razem. Kiedy już nie

musiała liczyć, kiedy poczułem, jak piosenka wsiąka mi w kości, powiedziała:

– Zostaliśmy na miejscu, bo musieliśmy.

Zmyliłem krok, ale się pozbierałem, zanim wszystko wymknęło mi się spod kontroli. Uśmiechnęła się do mnie w milczeniu, podczas gdy ja liczyłem pod nosem.

Po chwili spytałem:

– Naprawdę?

Poruszaliśmy się i kołysaliśmy.

Odparła:

– Tak. Oni nie chcieli nas zostawiać, Ox. Żaden z nich. Joe. Gordo. Carter i Kelly. Thomas. Twoja mama. Żadne z nich nie chciało odchodzić.

– A jednak to zrobili. Wszyscy.

– Czasami – powiedziała, kiedy kręciliśmy się leniwie – odbiera się nam możliwość wyboru. Czasami nie chcemy odchodzić, choć czujemy, że musimy.

– On nie m u s i a ł...

– Uważasz, że jest samolubny – stwierdziła. – Być może masz rację. Ale nigdy nie zapominaj, że wszystko, co robi, robi także dla ciebie. I nadejdzie taki czas, kiedy znów go zobaczysz. Od ciebie będzie zależało, co się stanie potem.

– Jestem wściekły – przyznałem. – Tak strasznie wściekły.

– Wiem – powiedziała i ścisnęła moje dłonie. – Dlatego tańczymy. Trudno mi się wściekać, kiedy tańczę. Jest w tej czynności coś takiego, co nie sprzyja pielęgnowaniu gniewu.

– Myślisz, że...?

– Co, Ox?

– Myślisz, że on wróci?

Odparła:

– Tak, tak sędzę. Do ciebie zawsze wróci.

Tańczyliśmy dalej.

I tańczyliśmy.

I t a ń c z y l i ś m y.

– O mój Boże – powiedziała Elizabeth Bennett.

– O co chodzi? – spytał Rico głosem wyższym niż normalnie. – To złole? To złe wilki?

– Nie – odparł Mark. – Wcale nie. To Alfa. To...

Dłoń Robbiego opadła na moje ramię, pazury przebiły roboczą koszulę i zostawiły dołeczki na skórze. To mnie osadziło w miejscu, uzmysłowiło, że nie śnię, że to jawa, bo przecież we śnie nie można czuć bólu. A teraz go czułem. Ostry ból, który jednak dawało się znieść.

– Ox – powiedział Tanner cicho. – Co robimy? Co mamy...

Nie musieli robić nic.

Spomiędzy drzew wyszło czterech mężczyzn. Wszyscy mieli ogolone głowy. Ten, który szedł na przodzie, Alfa, miał brodę w kolorze brudny blond, bardzo obfitą. Był tego samego rozmiaru co pozostałe dwa wilki, duży i onieśmielający, lecz poruszał się z gracją, której wcześniej mu brakowało. Czwarty mężczyzna szedł razem z nimi, mniejszy od pozostałych, a jego tatuaże świeciły jasno jak zawsze, kruk trzepotał skrzydłami na jego ramieniu.

Wszyscy wydawali się do siebie podobni. Mieli na sobie zakurzone czarne dżinsy i pozdierane buty. Znoszone kurtki. Mężczyzna

z tatuażami miał podciągnięte rękawy, odsłaniające jasne kolory pokrywające ręce.

Pozostałe dwa wilki poruszały się w taki sposób, jakby orbitowały wokół swojego Alfya, i nie oddalały się od niego na więcej niż pół metra.

Zbliżali się do nas powoli, lecz pewnie, zatrzymali się dopiero, gdy dotknęli drogi stopami. Ustawili się w szyku bardzo podobnym do naszego, a ich ruchy były zsynchronizowane. Czarownica obok Alfya, Bety po obu ich stronach. Wszystko doskonale wyćwiczone. Robili to już wcześniej. Wiele, wiele razy.

Zatrzymali się.

Zrobiliśmy wdech.

Joe.

Carter.

Kelly.

Gordo.

Hej! Hej tam! Ty! Hej, koleś!

Żaden z członków mojej watahy nie ruszył się z za moich pleców, choć czułem, jak wielką ochotę mieli na to Elizabeth i Mark. Czekali.

Na mnie.

Kim jesteś?

Ponieważ nie byliśmy jednym stadem.

Byliśmy dwoma.

Ox? Ox! Czujesz to?

Dłoń Robbiego zacisnęła się mocniej na moim ramieniu.

Joe, który nie spuszczał ze mnie wzroku od chwili, gdy wyszedł z linii drzew, zerknął na rękę Robbiego. Jego własne dłonie

drgnęły lekko, a skóra wokół jego oczu napięła się na moment, ale nic więcej.

Nie, nie, nie. To coś większego.

Byli tam. Rozumiałem to. Moi bracia Carter i Kelly. Mój przyjaciel, brat i ojciec Gordo. Byli tam. Nie widziałem ich przez trzydzieści osiem miesięcy. Zniknęli w dziczy, a nas pozostawili na miejscu.

Ale w tamtej chwili widziałem tylko Joego.

To ty! Dlaczego tak pachniesz?

Był większy niż kiedykolwiek w życiu, od czasu, kiedy go znałem. Przedtem. Był mniej więcej moich gabarytów, do twarzy mu było z wagą Alfego. Wcześniej był wysoki i smukły, ciągle rósł na mężczyznę, którym miał się stać. Teraz był masywny, mięśnie jego ramion i nóg rozpychały kurtkę i nogawki spodni. Pierś miał szeroką i mocną. Chyba dorósł do mojego wzrostu.

Skąd się tu wzięłeś? Mieszkasz w lesie? Czym jesteś? Dopiero przyjechaliśmy. Nareszcie. Gdzie znajduje się twój dom?

To nie był chłopiec, którego znałem. Ten, którego spotkałem po raz pierwszy na gruntowej drodze. To był Alfa z krwi i kości. Utrudzony drogą, z ciemnymi kręgami pod oczami odcinającymi się od bladej skóry, lecz emanujący siłą, nawet gdy stał. Niezdarny chłopiec, którego znałem, zniknął, przynajmniej fizycznie. Nie wiedziałem, ile z niego pozostało.

Musimy iść spotkać się z moimi rodzicami. Mama i tata będą wiedzieli, o co chodzi. Oni wiedzą wszystko.

Nie wiedziałem, co robić. Nie chciałem odzywać się pierwszy. Bo byłem pewien, że powiedziałbym coś, czego bym później żałował. Bo byłem tak cholernie wściekły.

Widziałem go przed sobą. Bezpiecznego. Zdrowego. Żywego. Powinienem się czuć szczęśliwszy niż kiedykolwiek. I tak było. Lecz gniew okazał się silniejszy.

Stado za moimi plecami westchnęło, gdy ogarnęła je moja wściekłość.

I wtedy, jakby słyszał z mojej głowy wspomnienie dnia, w którym się poznaliśmy, Joe Bennett powiedział:

– Przykro mi. – Miał głęboki głos. Szorstki. Mocny.

Odegrałem swoją rolę.

– Z jakiego powodu?

– Bo coś cię zasmuciło.

– Miewam sny. Czasami mam wrażenie, że to jawa. A po chwili już nie jest. – Musiałem sobie przypomnieć, że nie jesteśmy już tymi samymi osobami co wtedy, małym chłopcem na gruntowej drodze i wielkim durnym Oxem, którego ludzie mieli chujowo traktować przez całe życie.

Głos mu się załamał, kiedy mówił:

– Teraz nie śpisz. Ox, Ox, Ox. Nie rozumiesz?

– Co mam rozumieć?

Wyszeptał, jakby wypowiedzenie tego głośniejsz miało sprawić, że przestanie być prawdą:

– Jesteśmy tak blisko siebie.

Nie było to to samo co wtedy. Nie było to to samo, co powiedział, kiedy na plecach siedziło mi małe tornado, ale wystarczyło. Bo byliśmy. Byliśmy tak cholernie blisko siebie, bliżej niż przez ponad trzy lata i musiałem tylko zrobić ten pierwszy krok. Musiałem tylko otworzyć ramiona, by on mógł się w nich znaleźć. Gdyby zechciał. Gdybym ja go tam zechciał.

Nie poruszyłem się.

Ale on jeszcze nie skończył.

– Mamo! – powiedział, nie spuszczać ze mnie wzroku. – Mamo. Musisz go powąchać! Pachnie jak... Nawet nie wiem jak co! Chodziłem po lesie, patrolowałem nasze terytorium, żebym mógł być jak tata, i nagle... – Zamknął na chwilę oczy. Wszyscy wstrzymaliśmy oddech. A on mówił dalej: – On tam stał i z początku w ogóle mnie nie zauważył, bo robię się coraz lepszy w polowaniu. Pomyślałem: „wrrr” i „grrr”, ale potem znów to poczułem i to był on, no i bum! – Otworzył ponownie oczy, które napełniły się czerwienią Alfy. – A ja nawet nie wiem! Musicie go powąchać i powiedzieć mi, dlaczego pachnie laskami cukrowymi i sosnowymi szyszkami, tak epicko i kapitalnie.

Jego głos zamarł.

Między drzewami zaśpiewał skowronek. Trawa kołysała się na wietrze.

Powiedział:

– Ox.

A ja powiedziałem:

– Alfo. – Mój głos zdradzał, że ledwo kontroluję gniew.

Skrzywił się odrobinę, nim skinął mi w odpowiedzi głową.

– Alfo – powiedział.

Nie było to powtórzenie. Było to uznanie mojej pozycji. Bo Joe nie był już na swoim terytorium. Jakimś cudem stało się ono moje.

Robbie poruszył łagodnie ręką na moim ramieniu.

Joe znów rzucił mu szybkie spojrzenie. Na jego twarz. Na trzymającą mnie dłoń. Potem wrócił wzrokiem do mnie.

Zawarczał. Ostrzegawczo. Bo zobaczył, że dotyka mnie nieznany mu wilk.

Wszyscy się spięli.

W odpowiedzi Robbie również warknął i nim zdołałem go powstrzymać, przeskoczył przeze mnie, wylądował naprzeciwko stada, przykucnął i obnażył zęby.

Carter i Kelly wysunęli pazury i kły, stłoczyli się wokół Joego i czekali na kolejny ruch Robbiego. Pozostali zaczęli przesuwać się w tył, przyjmować pozycje taktyczne, gotowi walczyć, jeśli zaistniałaby taka potrzeba, bronić swojego Alfya, gdybym został zaatakowany.

To nie tak miało być.

Wszystko było nie tak.

To nie był sen.

T o n i e b y ł s e n .

Powiedziałem:

– D o ś ć .

Robbie oklapł.

Podobnie jak Carter i Kelly.

Zrobili krok w tył, odsunęli się od Joego.

Gordo nadal się nie poruszył. Nie zamierzał ani nikogo atakować, ani nikogo bronić.

Robbie wyglądał na zawstydzonego, stał i pocierał tył głowy.

– Zrobiłbym to samo jeszcze raz – wybąkał.

– Wiem – zapewniłem go. – Ale nie musisz.

Otarł się o moje ramię, kiedy zajmował z powrotem swoje miejsce za moimi plecami.

Spojrzałem ponownie na Joego.

- Jesteś tu. – Krótko. I zwięźle.
- Jestem. Jesteśmy.
- Udało ci się zrobić to, po co wyruszyłeś?

Krótką chwilą wahania. Potem:

- Nie.

To... Nie wiedziałem, co mam z tym zrobić.

- Dlaczego nie?
- Wszystko się zmienia.
- Więc to wszystko poszło na marne?
- Tego bym nie powiedział. Spójrz na siebie.
- Spójrz na mnie – powtórzyłem niczym echo.

– Czy jesteście tu mile widziani? – spytał i było to najważniejsze pytanie. Ponieważ rządzący danym terytorium Alfa musi wyrazić zgodę na obecność innego stada. Tak to działa.

Ale w jego przypadku nie musiało tak być. W ich przypadku.

– To wasz dom – wycedziłem przez zaciśnięte zęby. – Nie musicie pytać.

– Musimy – odparł Joe, a czerwień jego oczu ustąpiła miejsca zwyczajowemu żywemu błękitowi. – Wiesz o tym tak samo jak ja, Ox. Zwłaszcza teraz, gdy jesteś... sobą.

Przez ułamek ułamka sekundy miałem ochotę powiedzieć: „nie”. *Nie, nie jesteście tu mile widziani. Nie, nie potrzebujemy was. Nie, nie chcemy was widzieć. Bo tak długo was nie było. Zostawiliście nas samych. Przedłożyliście innych nad nas. Zachowaliście się samolubnie. I okrutnie. Potrzebowaliśmy was. Potrzebowałem ciebie. Potrzebowałem cię, kurwa, a ty wyjechałeś...*

Powiedziałem:

- Jesteście tu mile widziani. Każdy z was.

Wszyscy odrobinę się rozluźnili.

Poza Joem i mną.

– Jak długo będziemy? – spytał Joe.

Pęknięcie w murze.

– Dopóty, dopóki nie zdecydujecie, że znów nadszedł czas, by pobiec.

Słowa wydostały się spomiędzy warg, nim zdołałem je powstrzymać.

Czterej przybysze wyglądali, jakbym każdemu wymierzył siarczysty policzek. Powinno mi to poprawić humor. Ale nie poprawiło.

– Możecie do nich iść – powiedziałem.

Elizabeth i Mark skoczyli naprzód, przemknęli obok mnie, lekko się ocierając, by połączyć się z rodziną. Gordo zrobił krok w tył, kiedy Elizabeth pochwyciła synów i przytuliła ich tak mocno, jak tylko mogła. Ledwie udało jej się otoczyć ramionami wszystkich trzech jednocześnie. Pocierała policzkiem ich twarze, chciała zostawić swój zapach na nich i ich zapach na sobie. Mój wewnętrzny Alfa zjeżył się na myśl, że część mojego stada będzie pachnieć jak inne stado, ale odepchnąłem od siebie to uczucie. Nie chodziło o to. Nie w przypadku Elizabeth.

Mark przejechał dłonią po ich ostrzyżonych głowach, mieszając swój zapach z zapachem bratowej.

Carter i Kelly płakali, trzymając się kurczowo matki.

Mark zwrócił się w stronę Gordy. Gordy się nie ruszał. Stali i wpatrywali się w siebie nawzajem, rozmawiając w sekretnym języku, którego ja nie znałem.

Joe nadal nie spuszczał ze mnie wzroku, nawet gdy matka przyciskała go do siebie.

Powiedziałem:

– Twój pokój wciąż należy do ciebie. Domyślam się, że będziesz chciał odpocząć.

I ponieważ nie mogłem już dłużej tego znieść, ponieważ nie mogłem dłużej znieść jego bliskości, odszedłem.

Zamknąłem za sobą drzwi starego domu i oparłem się o nie, bo kolana się pode mną ugięły. Usiłowałem złapać dech.

Bardzo długo mnie tutaj nie było. Budynek figurował w księgach pod moim nazwiskiem. Robbie już jakiś czas temu wprowadził się do głównego domu, więc ten zazwyczaj stał pusty. Zatrzymaliśmy go jednak, na wypadek gdyby był potrzebny. Na wypadek, gdybyśmy potrzebowali więcej przestrzeni. Gdyby wataha się rozrosła. Gdyby ludzie zaczęli u nas szukać bezpiecznego schronienia.

Gdyby ktoś wrócił do domu.

Elizabeth i pozostali członkowie stada na zmianę sprząтали budynek. Pilnowali, by był dobrze wywietrzony. Chociaż zazwyczaj dzieliliśmy się obowiązkami, tego nie pozwalali mi robić. Widzieli, jak się tutaj czuję. Co budzi we mnie to miejsce.

Bo chociaż już dawno została porządnie wyszorowana, to wiedziałem, że krew mojej matki wsiąkła aż do kości domu.

Mama była tutaj wszędzie. Większość jej ubrań została oddana na cele charytatywne, jak tylko wyraziłem zgodę. Ale ona była czymś więcej niż ciuchami, które nosiła. Była w każdym kącie tego domu.

Na moim uchu tkwiły bańki mydlane. Denerwowała się, bo mieli do nas przyjść Bennettowie, a oni przecież byli tacy eleganccy.

Podpisała się i rozwiązała swoje małżeństwo. Stała ze mną w kuchni i pytała, dlaczego płaczę. Powiedziałem jej, że nie mogę płakać, bo teraz muszę być mężczyzną.

Wskazała palcem punkt na mapie, by mi pokazać, gdzie przeprowadził się mój kolega, i powiedziała, że tak naprawdę nikt nie zostaje w Green Creek.

Była moją watahą. Moją pierwszą watahą.

– Och – powiedziałem, usiłując nabrać powtórnie tchu. – Och. Och.

Osunąłem się na podłogę z plecami wciąż opartymi o drzwi. Położyłem głowę na kolanach. Wiedziałem, że gdybym podniósł wzrok, z miejsca, w którym siedziałem, mógłbym dostrzec to, w którym umarła. To, w którym popatrzyła na mnie takim stalowym wzrokiem. Wiedziała, że się nie wywinie, ale odeszła na własnych zasadach, dając mi choć nikłą nadzieję na to, że uda mi się uciec i wyciem wezwać na pomoc nasze stado.

Cienie wydłużały się, w miarę jak mijał dzień.

Czułem pozostałych. Moją watahę. Ich radość. Ich zmieszanie. Ich smutek. Ich gniew.

Nie wyczuwałem Cartera i Kelly'ego tak jak kiedyś. Nie czułem się związany z Gordem tak jak kiedyś. Nawet jeśli nie należał do stada przez większość czasu, od kiedy dowiedziałem się o istnieniu wilków, to i tak między nami dwoma zawsze było coś jeszcze, zwłaszcza po tym, jak dał mi koszulę do pracy w dniu, kiedy skończyłem piętnaście lat.

Ale za to Joe... Jego wyczuwałem. Ponieważ był Alfą. Bardziej, niż ja byłem kiedykolwiek. To miejsce, to terytorium, zgodnie z prawem należało się jemu. A skoro (*jeśli jeśli jeśli*) wrócił, to powinno znów być jego. Powinno mi z tego powodu ulżyć. Bo nie musiałem już dłużej dźwigać sam tej odpowiedzialności.

I czułem ulgę. Głównie. Ale istniała też jakaś część mnie, która powtarzała: *moje, moje, moje*. Powtarzała, że to miejsce, te domy, ci ludzie, że to wszystko jest *moje*.

Walnąłem potylicą w drzwi, żeby rozjaśniło mi się w głowie.

Cienie jeszcze bardziej się wydłużyły.

I wtedy nadszedł.

Poczułem go, zanim jeszcze go usłyszałem. Nie skupiałem się na więzi, na łączącej nas nici. Nie chciałem zobaczyć, jak bardzo była zniszczona ani czy w ogóle jeszcze była. Nie chciałem zobaczyć, jak coś, co rosło w siłę każdego dnia, teraz leży w strzępach.

Próbowałem wyrównać oddech. Uspokoić serce. Próbowałem go odpędzić, nie mówiąc ani słowa. Moje oddechy były krótkie. Serce co chwilę myliło krok.

Nie odszedł. Nie odzywał się, ale nie odszedł.

Deski ganku zatrzeszczały, kiedy wchodził powoli po schodach. Położył dłoń na poręczy, przesuwał palcami po odpryskującej farbie. Dotarł na najwyższy stopień i zatrzymał się na jedno uderzenie serca. Wziął głęboki wdech i powoli go wypuścił. Nabierał w nozdrza zapach terytorium. Tego domu. Mnie.

Zastanawiałem się, czy czuje, że od czasu, kiedy wyjechał, nie spędziłem tutaj więcej niż kilka godzin. Zastanawiałem się, czy nadal czuje zapach krwi mojej matki.

Nie odzywał się. Zrobił kolejny krok naprzód. I jeszcze jeden. I jeszcze, aż stanął tuż przed frontowymi drzwiami. Nie zapukał. Nie dotknął klamki. Zamiast tego drzwi zachwiały się lekko, kiedy się odwrócił i o nie oparł. Następnie zsunął się po nich w dół, jak wcześniej ja.

Siedział po drugiej stronie, a nasze plecy oddzielało od siebie kilka centymetrów dębiny. Nie minęło dużo czasu, nim zsynchronizowały się nasze oddechy i bicie serc. Próbowałem to zwalczyć. Powstrzymać. Nie zadziało.

Nie mogłem znieść spokoju, który poczułem. Ulgi, cholernej zielonej ulgi, która się po mnie p r z e t o c z y ł a, jakbym od samego początku nie miał z nią szans. Kurczowo trzymałem się gniewu, tak mocno, jak się dało.

Został dopóty, dopóki nie zasnąłem.

Obudziłem się, kiedy światło poranka przesączyło się przez okna. Byłem zgrzany i miałem bolesny kurcz w karku. Otworzyłem oczy. Nadal siedziałem oparty o drzwi. Bolały mnie plecy.

Dwa wilki oparły łby na moich udach. Obydwa otworzyły oczy w tym samym momencie co ja, jakby czekały, aż się obudzę. Trzeci wilk leżał zwinięty przy moim boku, a jego łapy podrygiwały, gdy coś mu się śniło.

Elizabeth. Mark.

Robbie.

Pozostali też tam byli. Jessie pochrapywała delikatnie, oplatając ramionami jedną z moich nóg. Tanner, Rico i Chris rozwalili się

wokół mnie, a każdy w jakiś sposób dotykał mnie dłonią. W stopę. W rękę. W brzuch.

Nikogo innego nie było. Joe nie siedział oparty o drzwi z drugiej strony. Nie słyszałem, kiedy sobie poszedł. Nie słyszałem, kiedy przyszli inni.

Mark znów zamknął oczy, odetchnął głęboko i powoli.

Elizabeth nadal mnie obserwowała. Przebiegłem palcami po jej uszach. Zastrzygła nimi na mnie i cicho sapnęła.

– Nie wiem, co mam zrobić – powiedziałem równie cicho, żeby nie pobudzić pozostałych.

Zamrugła.

– Jestem wściekły. I nie wiem, jak mam się pozbyć tego uczucia.

Kichnęła.

– To obrzydliwe – stwierdziłem.

Węszyła po mojej dłoni.

– Ale się dopraszasz uwagi – powiedziałem i pogłaskałem ją między oczami.

Prychnęła.

– Jesteś tu – powiedziałem – ze mną.

Patrzyła na mnie, jakby się zastanawiała, jak mogłem powiedzieć coś takiego takim idiotycznie zszokowanym tonem. I prawdopodobnie się nad tym zastanawiała. Miałem kilka lat na to, by przyzwyczać się do różnych wyrazów wilczej twarzy.

– Powinnaś być z nimi.

Delikatnie chwyciła zębami moją rękę, potrząsnęła głową w tył i w przód. I wszystko, co od niej otrzymałem, to:
CzłonkuStadaSynuUkochany.

Wiedziałem, co robi. I ona, i pozostali pokazywali, wobec kogo są lojalni. To polepszyło sytuację. A jednocześnie bardzo ją pogorszyło.

Nie chciałem tego. Tego rozłamu. A jak długo będę się tak czuł, jak długo będę pozwalał, by mój gniew wymykał się pod kontroli, tak długo moja wataha będzie przez to cierpieć. Thomas nauczył mnie, że stado to przedłużenie Alfa i że cokolwiek czuje Alfa, czuje i reszta. Jeszcze bardziej, jeśli chodzi o szczególnie silne emocje. A wszystko, co teraz czułem, to były silne emocje.

Elizabeth zamknęła na powrót oczy i westchnęła, po czym położyła mi łeb na nodze. Wkrótce znowu pogrążyła się we śnie.

Przez długi czas się nie ruszałem, otoczony przez członków swojej watahy.

jak wilk / tutaj przelaliśmy ich krew

Wygląda nieźle – powiedział Gordo, stając w drzwiach do biura. Zamarłem, bo nie słyszałem, jak się zbliża. Od ich powrotu minęły trzy dni, a ja stawałem na głowie, żeby ich unikać, unikać, unikać, przynajmniej dopóty, dopóki nie zrobię porządków w swojej głowie. Zamieszkałem z powrotem w starym domu, podczas gdy Joe i reszta zostali w głównym. Elizabeth i Mark krążyli między jednym a drugim, ale kiedy zapadała noc, każdy spał u siebie.

Nie wiedziałem, co się wydarzy podczas pełni księżyca, do której zostało już tylko kilka dni. Miałem nadzieję, że do tego czasu podejmę decyzję, co dalej. Albo przejrzę w końcu na oczy. Żadna różnica.

Robbie zadzwonił na Wschód, by powiadomić Alfę Hughes, że Joe i reszta wrócili. Miała niecierpiące zwłoki pytania, na które Robbie nie potrafił odpowiedzieć. Tak naprawdę nie rozmawiał z Joem, jeśli nie liczyć ich początkowej konfrontacji przed domem pierwszego dnia. Większość czasu spędzał ze mną w starym domu. Reszta stada przychodziła i odchodziła, jak zwykle zresztą. Czuli, jak coś ich do mnie przyciąga, ale nie w takim samym stopniu jak wilki. Podczas gdy nie było niczym niezwykłym, że wszyscy ludzie ulatniali się w tym samym czasie, zazwyczaj zostawał ze mną przynajmniej jeden wilk, czasem dwa.

Nie rozmawiałem z nimi, tak naprawdę nawet ich dobrze nie widziałem, jeśli nie liczyć jednej lub dwóch okazji, kiedy mignął mi któryś z nich. Raz wracałem z warsztatu i niedaleko starego domu stanąłem twarzą w twarz z Carterem, ale jedyne, o czym potrafiłem myśleć poza jego surową powierzchownością, to jego śmiech, kiedy Joe się dowiedział, że to on pocałował mnie pierwszy. To, jak biegali po lesie. To, jak Kelly powiedział do mnie „tato” tym swoim drwiącym głosem.

Wszystko wydawało się wtedy takie proste.

Carter otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale ja tylko skinąłem mu głową i okrążyłem go łukiem. Myślałem, że wyciągnie rękę i spróbuje mnie powstrzymać, ale tego nie zrobił, chociaż czułem, jak się we mnie wpatruje, kiedy wchodziłem do środka i zamykałem za sobą drzwi.

Joego nie widziałem, ale to nie oznaczało, że mnie nie obserwował.

Nie wypytywałem o nich Elizabeth ani Marka. Oni sami nie wrywali się z informacjami. Ale kiedy nie było ich w starym domu, doskonale wiedziałem, gdzie są.

– Wygląda nieźle – powiedział Gordo, a ja zamarłem nad fakturami zakupu, w które wpatrywałem się przez ostatnią godzinę.

Powoli podniosłem na niego wzrok. Kiedy zobaczyłem, jak tam stoi, ogarnęło mnie dziwne poczucie *déjà vu*, jakby wpadł, żeby sprawdzić, jak mi idzie odrabianie pracy domowej. Nie pozwoliłby mi wejść do hali napraw, gdybym nie potrafił wymieni ć siedmiu informacji na temat jebanego Stonewalla Jacksona, przecież to nie t a k i e trudne, Ox, dasz radę, no, jazda.

Tyle, że ten Gordo nie był tamtym Gordem. Ten Gordo okazał się twardszy, niż ten stary kiedykolwiek był. Wokół jego oczu widziałem zmarszczki, znacznie głębsze niż wcześniej. Miał teraz trzydzieści osiem lat. Ostatnie trzy lata nie były dla niego łaskawe, chociaż urósł. Nie wiedziałem, czy miało to coś wspólnego z watahą, której był członkiem, czy może przez cały czas, kiedy ich nie było, nie robili nic poza ćwiczeniem na siłowni.

Jednak to jego oczy najbardziej mnie uderzyły. Zawsze były żywe. Jasne. Łatwo rozpalał się w nich gniew, łatwo rozbłyskiwały szczęściem. Teraz były chmurne i beznamiętne, lekko zapadnięte. Tak wyglądał Gordo, który przez ostatnie trzy lata wiódł ciężkie życie. Nie chciałem wiedzieć, jakie rzeczy widział. Jakie rzeczy robił.

Jego nowemu wyglądowi nie pomagały ubrania, które miał na sobie. Nie nosił już zwyczajowych warsztatowych ciuchów, roboczej koszuli ze swoim imieniem wyhaftowanym na piersi i granatowych ogrodniczek. Nosił dżinsy i koszulkę bez rękawów, która niemal pękała w szwach na piersi. Znoszoną kurtkę z brązowej skóry z postawionym kołnierzem.

– No – powiedziałem, bo nie wiedziałem, jak inaczej mógłbym zacząć. – Dobrze sobie poradziliśmy.

Nie dzięki tobie pozostało niewypowiedziane, ale i tak usłyszał. Mimo że nawet nie chciałem, by tak po prostu się pojawiło.

Pokiwał głową, przesunął dłonią wzdłuż futryny drzwiowej, do palców przywarły mu drobne odpryski farby.

– A nawet lepiej, jak sędzę.

– Nie zbankrutowaliśmy, jeśli tym się martwisz.

– Nie. Nie spodziewałem się tego. – Posłał mi przelotny uśmiech, którego nie odwzajemniłem. – Tym się nigdy nie martwiłem,

młody.

Wróciłem wzrokiem do faktur, niepewny, co jeszcze powiedzieć.

Gordo westchnął i wszedł do biura, przesuając po drodze dłońmi po wszystkim, czego mógł dosięgnąć. Rozpoznałem jego zachowanie jako zwyczaj wilków, które robią tak, by pozostawić na czymś lub na kimś swój zapach. Bennettowie zachowywali się w ten sposób, kiedy przyszli po raz pierwszy do mojego domu, rozwalali się na krzesłach i dotykali, co tylko się dało. Zwłaszcza Joe. Kiedy wszedł do mojego pokoju. Kiedy zobaczył kamiennego wilka stojącego na...

Nie. Nie miałem zamiaru...

– Zachowujesz się jak oni – powiedziałem, żeby nie iść tamtym tokiem rozumowania. – Jak wilk. Poruszasz się też tak jak oni.

Uniósł brwi.

- Kocioł, garnek.
- To nie było oskarżenie.
- Nie powiedziałem, że było.
- Ja nie...

Czekał.

Nie mogłem tego powiedzieć, bo przecież tak b y ł o. Jeśli już, to ja zachowywałem się bardziej jak wilk niż on, chociaż to on zanurzył się głębiej w to życie, szczególnie w ciągu ostatnich trzech lat. Zakorzenił się w nim, a ja... no cóż.

- Zrobiłem, co musiałem.
- I nie usłyszysz, by ktokolwiek mówił inaczej.

Sytuacja wydała mi się surrealistyczna. Zastanawiałem się, czy on również odnosi takie wrażenie.

- Opowiedzieli ci? Przez co przeszliśmy?

Zatrzymał się. Jego palce ledwie muskały zdjęcie stojące na szafie na dokumenty. Było stare. Ja i Gordo. Tanner, Chris i Rico. Moje szesnaste urodziny, kiedy to dostałem klucze do warsztatu. Dzień, w którym poznałem Bennettów. Nie pamiętałem, kto je zrobił, najpewniej ktoś, kto przyjechał zmienić olej w aucie, ale Gordo otaczał ramieniem moje barki, a ja szczyrzyłem się do aparatu. Rico stał po jego drugiej stronie, a Tanner i Chris – obok mnie. Gordo miał papierosa zatkniętego za uchem.

Jego palec dotknął szybki w ramce i obrysował nim twarze wszystkich, którzy byli na zdjęciu, poza sobą.

– Częściowo – odparł. – Mówili dość niejasno. Celowo. Znają swoje miejsce. Opowieść musi wyjść od Alfego. Podobnie jak my nie powiedzieliśmy wiele im. Ani tobie. Bo to musi wyjść od Joego.

– Dlaczego nic nikomu nie powiedział? – Myślałem, że porozmawia przynajmniej z Elizabeth. Z Markiem. Że przynajmniej przekaże im najważniejsze wieści o tym, co się wydarzyło. Byłem zbyt zajęty rozczulaniem się nad sobą, by się do niego zbliżyć. To nie było fair, ale musiałem zachowywać się samolubnie, żeby zachować własne zdrowie psychiczne.

Gordo prychnął.

– Ox, tamtego dnia odezwał się po raz pierwszy od prawie roku, nie licząc tych kilku słów, które wypowiedział do tego idioty Davida Kinga, żeby go tu wysłać. Zakładam, że tu dotarł.

Na ramionach wyskoczyła mi gęsia skórka.

Jeszcze nie.

– Co, do diabła? – wyszeptałem.

Gordo wzruszył ramionami, wyciągnął krzesło stojące po drugiej stronie biurka i usiadł. Westchnął i potarł dłonią szczecinę na

głowie. Zachrobotąła pod jego palcami.

– Po prostu przestał mówić, Ox. Carter i Kelly powiedzieli, że tak samo było po tym, jak... no cóż. Po Richardzie Collinsie. A przed tobą.

– Ale... Jak... On jest Alfą. Jak on, do diabła... O Jezu. Nawet nie musiał nic mówić, prawda? Więzi. Więzi stadne między wami wszystkimi.

Gordo westchnął.

– No. To było... intensywne. Czuć ich w taki sposób. Tak samo było, kiedy... po moim ojcu, chyba. Miałem dwanaście lat, kiedy zostałem wiedźmą watahy Bennettów. Nie było tak, jak jest teraz. Albo raczej było przez kilka ostatnich lat. Wszystko jest bardziej... Sam nie wiem. Po prostu b a r d z i e j.

– Czyli przestał się odzywać – powiedziałem beznamiętnym tonem.

– W zasadzie tak. Jeśli w ogóle mówił, to jedno, dwa słowa. Wydawał z siebie niewiele więcej niż chrząknięcia.

– A wy wszyscy tak po prostu na to pozwoliliście.

– My na nic nie pozwalaliśmy, Ox. On po prostu taki był. Wydaje ci się, że potrafiłbyś zmusić rozpaczającego Alfę do czegokolwiek? Śmiało. Nie krępuj się.

– No, naprawdę – odwarknąłem. – Bo niby nie wiem nic o byciu rozpaczającym Alfą.

Zamurowało go. Cały gniew, który w nim narastał, zniknął i teraz Gordo wyglądał na zmęczonego. I na starszego, niż kiedykolwiek widziałem.

– Ox – powiedział cicho.

– Nie wspominając już o tym, że zostawiłeś tu swojego towarzysza...

Twarz mu poszarzała.

- Jego w to nie mieszaj.
- Przynajmniej teraz to przyznajesz.
- Nie chcę o nim rozmawiać.
- On o tym wie?
- Ox.
- Trzy pytania.

Zamrugął.

- Co?
- Zadam ci trzy pytania.
- Marka w to nie mieszaj.
- Nie będę pytał o Marka. Tylko o wszystko inne.
- Ox, mówiłem ci już. To musi wyjść od...
- Gordo.
- W porządku. – W jego głosie pobrzmiwała lekka irytacja.

Przypominał mi teraz Gorda, którego kiedyś znałem. – Trzy pytania. A potem ja zadam tyle samo tobie.

Skóra mnie zaswędziała.

- W porządku. Ja zacznę.

Pokiwał głową. Z jakiegoś powodu tatuaże na jego rękach rozbłysły.

- Dlaczego wyrzuciliście telefony? – spytałem.

Gordo gapił się na mnie. Najwyraźniej nie tego się spodziewał.

Czekałem.

– Joe uznał, że tak będzie łatwiej – powiedział powoli. – Uznał, że jeśli przetniemy więzy, będziemy mogli się skupić na tym, na

czym było trzeba. Że przypominanie sobie o domu, o was wszystkich, utrudnia nam zadanie.

– A wy mu przyklasnęliście.

– Czy to było pytanie?

– Stwierdzenie.

– Zgodziliśmy się z nim. Bo miał rację. Ze względu na to, co mieliśmy zrobić. Bo za każdym razem, jak brał do ręki ten telefon, za każdym razem, jak czytaliśmy wiadomość od ciebie, było nam coraz trudniej nie odwrócić się na pięcie i nie wrócić w te pędy. Mieliśmy pracę do wykonania, Ox. A nie mogliśmy jej wykonać, kiedy ciągle przypominano nam o domu.

– Więc zamiast dać nam znać, że wszystko z wami w porządku, że żyjecie, zdecydowaliście – przepraszam, Joe zdecydował – że lepiej będzie, jak potrzymacie nas w nieświadomości.

Gordo się skrzywił.

– Joe powiedział, że Mark i jego matka będą wiedzieć. Że wciąż będą czuć...

Walnąłem pięścią w biurko.

– Ja nie wiedziałem – warknąłem na niego. – Ja nie czułem zupełnie nic. I nie waż się mi mówić, że miałem ich i mogłem się od nich dowiedzieć, bo to nie to samo.

– Myślisz, że tego chcieliśmy? – odpyskował. – Czegokolwiek? Myślisz, że się prosiliśmy o to, żeby nas postawił w takiej sytuacji?

– Czy to było jedno z twoich pytań? – powiedziałem, rzucając mu w twarz jego własne słowa.

Pojawił się cię dawno zamarłego uśmiechu.

– Dlaczego im powiedziałeś?

Ricowi. Tannerowi. Chrisowi. Jessie.

– Ponieważ musieli się dowiedzieć – odparłem. – Ponieważ nie potrafili zrozumieć, dlaczego ich opuściłeś. Ponieważ niezależnie, czy o tym wiedziałeś, czy nie, oni także byli twoją watahą. Musieli zrozumieć, że nie są sami, nawet jeśli ty zniknąłeś.

Zamknął oczy.

– Dlaczego wróciliście? – spytałem.

– David King.

Zmarszczyłem brwi.

– Co w związku z nim?

– W Idaho znaleziono to, co z niego zostało.

– To, co z niego zostało... – powtórzyłem.

– Kawałeczki, Ox – powiedział Gordo, otworzywszy oczy. – Znaleziono go w kawałkach na obrzeżach Cottonwood.

W górnianym motelu Six. Jego głowę ktoś położył na środku łóżka.

– Kiedy?

– Kilka tygodni temu.

– Richard.

– Pewnie tak. Na ścianie napisano krwią Kinga wiadomość. Widziałem zdjęcia. Trzy słowa. „Kolejny upadły król”. Joe. No cóż. Joemu odbiło. Troszkę. Już od dawna się na to zanosilo. Dowiedzieliśmy się o zgonach w stanie Waszyngton. W Nevadzie. W Kalifornii.

– We wszystkich stanach graniczących z Oregonem – wymamrotałem.

Gordo pokiwał głową.

– David był ostatnią ofiarą. Zupełnie jakby Richard z nas drwił. Joe... On... Ruszyliśmy do domu. Po tym. Musieliśmy się upewnić... –

Potrząsnął głową. – Musisz pogadać z Joem. Powie ci, że... Po prostu z nim pogadaj. Moja kolej. Kiedy zostałeś Alfą?

Nie „jak”, ale „kiedy”, jakby wiedział, że było to tylko kwestią czasu.

– Przyszły Omegi – powiedziałem.

– A bariery?

– Jessie wyjechała poza nie. Pachniała nami. Pachniała mną. Omegi ją porwały. Tanner, Chris i Rico byli już wówczas częścią stada. Poszliśmy do Omeg. Walczyliśmy z nimi. One przegrały. Pozostali, oni zwrócili się do mnie. A skoro w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby ich poprowadzić, to zrobiłem, co musiałem.

– Jak zawsze – zauważył.

– Nie jestem wilkiem.

– Nie – odparł. – Ale jesteś czymś. Ostatnie pytanie.

O tak wiele chciałem go wypytać. O ostatnie trzy lata. O miejsce, w którym się dzisiaj znajdowaliśmy. O stan jego umysłu. Czy jest tym samym Gordem co wcześniej. Czy tamten Gordo umarł i został pogrzebany. Czy możemy znów być dla siebie tym, kim byliśmy kiedyś.

Ale tak naprawdę pytanie było tylko jedno.

– Czy nadal jestem twoim postronkiem?

Jego oczy zrobiły się ogromne. Ręce zaczęły mu się trząść. Dolna warga zadrżała. Wziął głęboki, urywany oddech. Kiedy się odezwał, głos miał łamiący się i mokry. Powiedział:

– Tak, Ox. No jasne. Zawsze nim byłeś. Nawet gdy wokół nas zapanował mrok, nawet gdy byliśmy setki kilometrów od domu i spaliśmy na poboczu drogi, tak. Nawet gdy byłem tak zmęczony, że nie sądziłem, że uda mi się postawić jeszcze jeden krok. Nawet kiedy

znajdowałem w swojej magii miejsca, o których nie sądziłem, że są możliwe. Tak. Byłeś nim. I jesteś. Myślałem o tobie, bo jesteś moim domem. Ty też należysz do mojego stada, jasne? Nie obchodzi mnie, że jesteś Alfą. Nie obchodzi mnie, czy jesteś moim Alfą. I tak należysz do mojego stada.

Pokiwałem tylko głową, bo nie ufałem własnemu głosowi.

Powiedział:

– Teraz moja kolej, Ox. O x, czy nadal jestem twoim przyjacielem? Bo nie wiem, czy mógłbym znieść utratę twojej przyjaźni. A bratem? Proszę, powiedz, że wciąż jestem twoim bratem. Bo tego potrzebuję. Tak bardzo tego potrzebuję. Nie wiem, co zrobię, jeśli już nim nie jesteś. Ox, błagam, po prostu powiedz, że jestem...

Położyłem głowę na biurku i rozpłakałem się.

Znaleźli nas jakiś czas później. Gordo kuczał przy moim boku i pocierał czołem o moje ramię. Obaj pociągaliśmy nosami i wycieraliśmy twarze.

– Jezu Chryste – wybąkał Tanner.

– Pachnie tutaj uczuciami – powiedział Rico. – Czy tak właśnie bym powiedział, gdybym był wilkołakiem?

– Chłopaki, czy wy płaczecie nad sobą nawzajem? – dociekał Chris. – Sądziłem, że nadal możemy się na niego gniewać! Ox, ty zdrajco!

Roześmiałem się przez łzy. W tym tempie nigdy nie stanę się takim mężczyzną, jakim mój tatko mówił, że powinienem być. Ale już nie uważałem, że to coś złego.

Gordo wymamrotał coś grobowym tonem, wciąż przy moim boku, ściskając moją dłoń. Nie miałem pewności, czy jestem gotów już go puścić.

– M y nadal możemy się na niego wściekać – stwierdził Tanner.

– Nawet jeśli Ox już się poddał.

– Trzy dni, Alfo – powiedział Rico i posłał mi gniewne spojrzenie. – Wytrzymałeś trzy dni.

– Ja nadal zamierzam być wściekły – doszedł do wniosku Chris.

– Przez dwadzieścia pięć lat się przyjaźniliśmy – powiedział Tanner.

– A ty wszystko przed nami ukrywałeś – dodał Rico. – *Brujo*[21].

– Wmawiałeś nam, że świat po prostu bywa dziwny – zauważył Chris.

– Że twoje tatuaże się nie poruszają – ciągnął Tanner. – Że po prostu nam odbija.

– A kiedy zerwałeś z Markiem, powiedziałaś, że to nic takiego – powiedział Rico. – *Z w y c z a j n e r o z s t a n i e*.

– Powiedziałaś, że twój stary siedzi w kiciu za morderstwo – powiedział Chris. – Ale nie że mordował ludzi za pomocą *m a g i i*.

– Z perspektywy czasu wszystko zaczyna nabierać sensu. – Tanner zmarszczył czoło.

– Jak tak mówimy to wszystko na głos, to czuję się trochę głupio.

– Rico skrzywił się z niezadowoleniem.

– No, dlaczego łykaliśmy te jego wymówki, kiedy zniknął podczas pełni księżyca? – westchnął Chris.

– Ale nadal jesteśmy na ciebie wściekli – zapewnił Tanner.

– Bo jesteś dupkiem – wyjaśnił Rico.

– Największym dupkiem na świecie – dodał Chris.

Skrzyżowali ręce na piersi i wpatrywali się w Gorda spode łba.

– Tęskniłem za wami, chłopaki – powiedział ten ochryple.

– A niech to szlag – powiedział Tanner.

– *Mierda*[22] – powiedział Rico.

– Teraz musimy się przytulić – powiedział Chris.

I wszyscy trzej rzucili się na nas.

Tamtej nocy wracałem do domu na piechotę. Gwiazdy świeciły na niebie. Doszedłem do gruntowej drogi, która prowadziła do domu na końcu ulicy. Stał tam Joe.

Nie widziałem go od pierwszego dnia po jego powrocie. Był teraz normalnie ubrany. Dżinsy. Miękki sweter. Zgolił bodeę. Zobaczyłem w nim chłopca, którym niegdyś był. Ledwie, ale jednak. Tyle że... teraz bardziej.

Nie był już tym samym siedemnastolatkiem co kiedyś. Większy. Silniejszy. Mężczyzna. Samiec Alfa. Nie odzywał się, kiedy szedłem w jego stronę. Byliśmy teraz tego samego wzrostu. Nie miałem wątpliwości. Zastanawiałem się, jak duży jest teraz jego wilk. Czy po przemianie wygląda tak jak Thomas. Miałem tyle pytań. Ale nie mogłem ich zadać.

Powiedziałem:

– Jeszcze nie. – Doskonale wiedziałem, że zaszczypie.

Wzdrygnął się, lecz nic nie powiedział.

Przeszedłem obok niego, nie zatrzymując się.

Dwa dni później Carter i Kelly mnie porwali. Technicznie rzecz biorąc.

Wyszedłem z knajpki po tym, jak skończyłem jeść kanapkę na lunch. Zanim postawiłem stopę na jezdni, żeby przejść na drugą stronę ulicy do warsztatu, znajomy SUV zatrzymał się przede mną z piskiem opon. Nie miałem nawet czasu zareagować, kiedy otworzyły się drzwi od strony pasażera, a ze środka spojrzały na mnie gniewnie dwa wilki.

– Wsiadaj – nakazał Carter.

– Bo co? – spytałem.

– Bo inaczej cię zmusimy – odparł Kelly.

– Serio? Chcecie znów tego spróbować?

– Pewnie – powiedział Carter. – Wsiadaj, ale j u ż.

– Albo wepchniemy tu twoje dupsko – zawtórował my Kelly.

Rozważałem, czyby po prostu nie odejść.

– Pieprzone wilkołaki – burknąłem.

Wsiadłem do SUV-a.

Wyglądali na zaskoczonych, kiedy się odwrócili, żeby na mnie popatrzeć.

– No i? – spytałem, unosząc brew.

– Nie sądziłem, że to się naprawdę uda – stwierdził Chris.

– Poważnie – powiedział Kelly, marszcząc brwi. – Spodziewałem się, że będzie wymagało więcej zatrważania.

Wzruszyłem ramionami.

– Nawet nie wiem, co to znaczy.

– On chce powiedzieć, że myślał, że naprawdę będziemy musieli wepchnąć tu twoje dupsko – wyjaśnił Carter.

– Aha. Czyli zamierzaliście mnie porwać...

– Nie porwać. Nie można porwać kogoś twoich gabarytów, co ty, kurwa...

– ...porwać mnie i co dalej? Siedzieć tutaj i się na mnie gapić? – Pokręciłem głową. – Jezu, jak wyście, u diabła, zdołali przetrwać samodzielnie tyle czasu?

Popatrzyli na mnie spode łba.

Odwzajemniłem spojrzenie i poczułem, jak coś układa mi się w piersi. Jakby wypełniła się jakaś szczelina.

Podsunałem im wyjście.

– No dobra. Mam robotę do zrobienia. Możemy zaczynać? Żeby móc skończyć.

– Nie wracasz już do pracy – oznajmił Kelly. – Nie dzisiaj.

– Gordo już tam jest – poinformował mnie Carter, po czym odwrócił się ode mnie i odjechał od krawężnika. – Stwierdził, że to dobry moment na powrót do warsztatu. Szczęściarze z nas, bo mamy teraz tyle czasu, ile dusza zapagnie.

– Naprawdę tak stwierdził? – spytałem, niepewny, czy powinienem czuć rozbawienie, czy irytację. Najodpowiedniejsza wydała mi się mieszanka obydwu. – Najwyraźniej zapomniał mi o tym wspomnieć. – Pewnie miał ku temu dobry powód. Sytuacja między nami dopiero zaczęła się poprawiać i nie wiem, czy zgodziłbym się na to, gdybym wiedział zawczasu. I chyba wszyscy o tym wiedzieli. Potrafiłem być uparty jak osioł, kiedy zachodziła taka potrzeba.

– No cóż, warsztat nosi jego imię – zauważył Carter. – Z pewnością nie uznał tego za konieczne.

– Pewnie będzie musiał nauczyć się kilku rzeczy na nowo – stwierdziłem. – Trzy lata to szmat czasu.

Na te słowa obaj się skrzywili.

– Zajmuje się tym od wieków – mruknął Carter.

– No przecież by nie zapomniał – wymamrotał Kelly. – To nie było aż tyle cza...

– Przestań – powiedziałem głosem głębszym niż zazwyczaj. –

Ani mi się waź mówić, że to nie trwało aż tak długo. Nie masz pojęcia, jak było tutaj. Więc tak nie mów.

Reszta podróży przebiegła w milczeniu.

Zdziwiłem się, kiedy SUV się zatrzymał, a ja zdałem sobie sprawę, że stoimy obok starego krytego mostu. Był środek dnia i środek tygodnia, więc byliśmy sami. Carter wysiadł pierwszy i zatrzasnął drzwi. Patrzyliśmy, jak przemaszerował przed maską auta, wpatrując się gniewnie w konstrukcję. Powarkiwiał, co słyszałem, mimo że okna były pozamykane.

– Wyczuwamy je – wyjaśnił Kelly. Omegi.

– Połało się mnóstwo krwi.

Kelly przyglądał się bratu.

– Mark nam powiedział. Nie wszystko. Tylko częściowo. Powiedział, że reszta musi wyjść od ciebie. Joe nie był z tego zadowolony.

Prychnąłem.

– No nie wątpię.

– Było mu ciężko. Nam wszystkim.

– Równie ciężko co nam, tym, których porzuciliście.

– Nie chcieliśmy odchodzić.

– Chcieliście.

– Joe... nie. To nie fair. Wszyscy podjęliśmy tę samą decyzję. Do niczego nas nie zmuszał. – Kelly westchnął. – Wyczuwam też twoją krew. Tutaj. I mojej mamy.

– Zdarza się, kiedy walczysz przeciw kłom i pazurom.

– Rozumiesz?

– Co? – spytałem, obserwując Cartera, który węszył wokół obszaru, gdzie stoczyliśmy walkę, i raz po raz zatrzymywał się, patrząc spode łba na ziemię.

– Dlaczego podjęliśmy decyzje, które podjęliśmy.

Mógłbym skłamać, ale wiedziałby o tym. Obaj by wiedzieli, bo miałem świadomość, że Carter przysłuchuje się naszej rozmowie.

– Nie – powiedziałem. – Nie rozumiem. Cholera, ukrywaliście przede mną różne rzeczy. Potem. Zachowywaliście się, jakbym nie był częścią tego wszystkiego. Częścią was. Podjęliście kilka decyzji beze mnie.

– Właśnie straciłeś matkę...

– Więc stwierdziliście, że najlepiej dla mnie będzie, jak stracę również was? – spytałem. – Bo to się właśnie wydarzyło. Straciłem matkę. I mojego Alfę. A potem moich braci i mojego... Joego. Tyle straciłem. Bo wszyscy zdecydowaliście, że...

– Chcieliśmy tylko cię chronić – powiedział Kelly, a jego słowa przepełniała frustracja. – Wiem, że ci się to nie podoba, ale mam, u licha, nadzieję, że zrozumiesz przynajmniej to.

Roześmiałem się.

– Zrozumieć? Jasne. Czemu nie. A ty rozumiesz, dlaczego jestem tak wściekły, że ledwie mogę jasno myśleć? Rozumiesz, dlaczego na sam wasz widok robi mi się jednocześnie i ciepło na sercu,

i niedobrze? Że nie wiem, czy mam was wyściskać, czy zasadzić wam kopa w te wasze pieprzone dupska?

Schylił głowę.

– Oczywiście, że nie wiesz. Ponieważ poszedłeś po linii najmniejszego oporu. Potrafiliście, o n potrafił myśleć wyłącznie o zemście. Nie o konsekwencjach pozostania tutaj. Radzenia sobie z żalem po stracie członków watahy. Po stracie waszego Alfya. A skoro nowy Alfa podjął decyzję, której wy ochoczo przyklasnęliście, my musieliśmy poradzić sobie z tym, co mieliśmy. Więc: tak. Jest tu krew. Moja krew. I krew twojej matki. I Marka. I każdego pozostałego członka m o j e g o stada. Bo oni przelali tutaj swoją krew. Za mnie. Za ciebie. I za n i e g o.

Carter zatrzymał się, dłonie trzymał zwinięte w pięści po bokach ciała, mięśnie ramion miał napięte. Słuchał.

– Próbowaliśmy – powiedział Kelly łamiącym się głosem. – Chcieliśmy... po prostu... Nie było takiego dnia, Ox, rozumiesz? Nie było takiego dnia, kiedy byśmy o was nie myśleli. Kiedy byśmy nie żałowali, że nie jesteśmy w domu z tobą. I z mamą. I z Markiem. Wiem, że straciłeś matkę, Ox. My straciliśmy ojca, ale kiedy... Kiedy wyjechaliśmy... to była najtrudniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek musieliśmy zrobić. Wydaje ci się, że my nie rozpaczaliśmy? Rozpaczaliśmy. Rozpaczaliśmy po stracie naszego ojca. Naszego Alfya. Ale ta rozpacz była niczym w porównaniu z tą, którą czuliśmy, bo musieliśmy was zostawić.

– Powinniście byli wrócić.

– Powinniśmy byli.

– Nie powinniście byli zrywać z nami kontaktu.

Kelly podniósł rękę i otarł oczy.

– No – odparł. – Wiem. Ale wiem też, dlaczego to zrobiliśmy. Gordo... on... yyy... Próbował z tym walczyć. Powiedział, że to głupota. Że ty... że ty tego nie zrozumiesz. Ale dla nas było inaczej. Dla wilków. Bo wówczas wszyscy byliśmy do ciebie uwiązani, rozumiesz? I to bolało. B o l a ł o. Nie mogliśmy robić tego, co było do zrobienia, bo byliśmy do ciebie uwiązani. Przez to, że widzieliśmy twoje słowa na ekranie jego telefonu. Przez to, że...

– Było warto?

Spojrzał przez okno na brata.

– Są takie dni, kiedy myślę, że tak. Są takie, kiedy myślę, że nie. Przez większość czasu sam nie wiem, co mam myśleć. Bo nie wiem, jak się wpisujemy. Czujesz to, prawda?

Otworzył drzwi i wysiadł.

Obserwowałem ich obu przez okno.

Kelly podszedł do brata i stanął z nim ramię w ramię.

Carter wyglądał na spiętego. Obaj wyglądali.

Pomyślałem sobie, że teraz można by ich wziąć za bliźniaków, nie tylko z powodu wyglądu, ale przez ten sam udręczony wyraz twarzy. Przez to, jak uwidaczniało się ich poczucie winy.

Bolało, kiedy odeszli. Kiedy umarła mama. Kiedy umarł Thomas. Rozpaczaliśmy. Po nich. Po nich wszystkich. A i tak n a d a ł bolało. Choć może nie tak bardzo jak wcześniej.

Oni nie dostali takiej szansy. Bo o t a c z a ł o ich coś innego. Richard Collins i wszystko to, co zrobili. Dokonali własnego wyboru, tak. Nieważne, czy ze względu na rodzinę, czy na obowiązek. I nie mieli okazji, by się zatrzymać. By odpocząć. By opłakać wszystko to, co stracili.

Poczułem ból w sercu. Wyszedłem za nimi na zewnątrz. Przyglądali się, kiedy szedłem powoli w ich stronę.

– Nie wiem, jak mam wam wybaczyć – przyznałem. – Jak wybaczyć Joemu.

– Przebaczyłeś Gordowi – zauważył Carter z goryczą. – Nie wydawało się to szczególnie trudne.

– Gównu mu przebaczyłem. To, że z nim rozmawiałem, o niczym nie świadczy. Uwierzcie mi, jest na takiej samej pozycji co wy wszyscy.

– Zrobiłbym to ponownie – oznajmił Carter.

Kelly wydał z siebie zduszony dźwięk.

– Czyżby? – spytałem.

– Gdyby to wszystko wydarzyło się ponownie, gdybyśmy musieli jeszcze raz zrobić każdą rzecz, tobym to zrobił – odparł wyzywająco. Był wściekły. I przerażony.

– Dlaczego?

– Bo musieliśmy iść.

– Mogliście zabrać mnie ze sobą.

Carter wyglądał na sfrustrowanego.

– Nic nie rozumiesz.

– To już chyba ustaliliśmy.

– Tata wiedział.

Kelly powiedział:

– C a r t e r.

Brat go zignorował. Nie spuszczał ze mnie wzroku.

Popatrywałem to na jednego, to na drugiego. W końcu nie wytrzymałem:

– Co wiedział?

– Nie powiedział. Nie w tylu słowach. Nie tak wprost.

Wtrącił się Kelly:

– Carter, może powinien to usłyszeć od...

Carter mu przerwał:

– Kazał nam cię chronić. Powiedział, że jesteś kimś szczególnym. Że jesteś inny. Że gdyby jemu kiedykolwiek się coś stało, to mamy zapewnić ci bezpieczeństwo. Tak samo jak mamie. Ponieważ jesteście w a ż n i. Tylko z innego powodu.

Poczułem się, jakby ktoś walnął mnie pięścią w brzuch. Moje serce zaczęło się rozpadać na nowo.

– I coś n a p r a w d ę mu się stało. U m a r ł. A Joe został naszym Alfą. Jedyną rzeczą, o której mógł myśleć, było powstrzymanie tego raz na zawsze. Jedyną rzeczą, o której w s z y s c y mogliśmy myśleć, było dbanie o twoje bezpieczeństwo. Bo skoro Osmond wiedział, kim jesteś, to Richard także. A skoro Richard wiedział, to n i e b y ł e ś bezpieczny.

– Więc sobie pojechaliście – stwierdziłem.

– Może nie był to najlepszy wybór – odparł. – A l e j e d y n y, jaki mieliśmy.

– Na sto procent n i e b y ł – warknąłem. – Mogliście...

– Wyjechaliśmy, żeby to zakończyć. Żeby odwrócić jego uwagę od ciebie i go znaleźć – powiedział Carter. – Wyjechaliśmy, żeby zapewnić ci bezpieczeństwo. Mieliśmy nadzieję, że ustawienie wkoło barier ochronnych powstrzyma innych. Zrobiliśmy, co w n a s z e j m o c y, Ox. Czy podjęliśmy słuszną decyzję? Nie wiem. Ale zrobiłbym to jeszcze raz, jeśli tylko dzięki temu byłbyś bezpieczny. Wydaje mi się, że żaden z nas nie zdziwił się po powrocie, widząc, czym się stałeś. Myślę, że tata wiedział przed

nami wszystkimi, że właśnie kimś takim będziesz. Utworzyłeś stado, Ox, złożone z ludzi. Nikt poza tobą nie potrafiłby tego dokonać. Przepraszam. Przykro mi, że wyjechaliśmy. Przykro mi, że poczułeś się przez nas opuszczony. Przykro mi, że o niczym ci nie powiedzieliśmy. Ale jesteś moim bratem. Jesteś bratem Kelly'ego. Zrobilibyśmy dla ciebie wszystko.

– Nie możecie znowu wyjechać – powiedziałem szorstkim głosem. – Nie znowu. Nie możecie. Zrobilibyście dla mnie wszystko? Dobrze. Świetnie. W takim razie nie wyjeżdżajcie.

Carter i Kelly wymienili spojrzenie, po czym niemal jednocześnie wzruszyli ramionami.

– Jasne – powiedział Carter.

– W porządku – powiedział Kelly.

Gapiałem się na nich.

– I to już?

Rzucili się na mnie, zanim zorientowałem się, co się dzieje.

Leżeliśmy splątani na ziemi, Kelly trzymał na moim brzuchu głowę, która podnosiła się z każdym moim oddechem. Carter przylgnął do mojego ramienia i mojej ręki, przywarł dłonią do dłoni, mocno chwycił moje palce.

Gniew topniał. Walczyłem, by go zatrzymać, ponieważ myślałem, że byłoby za łatwo, gdybym teraz odpuścił. Że powinno iść za tym coś więcej. Ale było zielono z ulgi.

Nie przebaczyłem im. Gordowi. Dwóm wilkom leżącym koło mnie. Ale kiedyś to zrobię. Nie dzisiaj. I pewnie także nie jutro. Ale kiedyś w końcu tak.

Joe jednak... Co do niego nie miałem pewności. Wszystko kończyło się na nim. Nie wydawało się fair, że udało mi się znaleźć wybaczenie dla innych, ale nie dla niego.

Kelly westchnął i wtulił twarz w moją pierś, pocierając nosem w górę i w dół.

– Okej – powiedział znienacka Carter. – Ja zapytam, bo ktoś musi.

To nie zabrzmiało dobrze.

– Jessie – rzucił Carter.

– Aha – odparłem. – Co z nią?

– Ruchasz ją? – spytał Carter.

– Czy rucham? – powtórzyłem.

– Pachniesz nią – wtrącił Kelly.

– Z pewnością pachnę też waszą matką.

Obaj obrzucili mnie gniewnym spojrzeniem.

– Jasna cholera, nie to miałem na myśli. Jezu, nie mówcie jej, że to powiedziałem. I nie, kurwa, nie r u c h a m Jessie. Między nami nic nie było od bardzo długiego czasu. Ostatniego wieczoru poszła na randkę. Z nauczycielem historii.

– Czyli nie ruchałeś jej, jak nas nie było?

– Przestań mówić „r u c h a ć”!

– Poważnie, Carter – stwierdził Kelly. – To obrzydliwe. – Po chwili spytał: – Ruchasz Robbiego?

– O mój Boże – wymamrotałem.

– Nie powiedziałaś „nie”.

– N i e.

– Jest wobec ciebie bardzo opiekuńczy – zauważył Carter.

– Jestem jego Alfą.

- To wyglądało na coś więcej – stwierdził Kelly.
- Nienawidzę was obu.
- To nadal nie było „nie”.
- To nie... Posłuchajcie... to...
- Zadurzył się w tobie! – Głos Cartera brzmiał radośnie, jakby ucieszyła go ta możliwość.
- Nie z a d u r z y ł...
 - Stary – powiedział Kelly. – Ty nie zbudowałeś watahy, ty zbudowałeś h a r e m.
 - Kelly! – wykrzyknął Carter. – Mama należy do jego haremu! Kelly zbladł.
 - O mój Boże. Mark też.
 - Cała rodzina po kolei, co, Ox? – spytał Carter. – Najpierw pocałowałeś mnie, ale to nie ugasiło twojego nienasyconego pragnienia Bennettów.
 - Przynajmniej obaj nadal jesteście idiotami – burknąłem. Roześmiali się.
- To był miły dźwięk, nawet jeśli bolało słuchanie go po takim czasie.
- Joemu nie bardzo się to podoba – powiedział Carter na luzie.
- Co?
 - Że Jessie należy do twojej watahy. Ale przede wszystkim Robbie. Dokładnie tak powiedział po tym, jak wróciliśmy, a tamten trzymał ci dłoń na ramieniu. Jakby cię uspokajał.
 - Bo tak było.
 - O cholera – stwierdził Kelly. – Nie przyjmie tego dobrze.
 - Czego? – spytałem.

– Robbie – powiedział Carter, jakbym był głupi – jest twoim postronkiem.

– Ja nie jestem wilkiem.

– Jesteś Alfą – wytknął mi Carter. – Więc nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie.

– Odczuwasz wszystko tak jak my, tylko bez przemiany – dodał Kelly. – To wystarczy. On daje ci stabilność emocjonalną.

– Joe nie ma prawa się o to wkurzać – warknąłem. – Nie ma w tej sprawie nic do powiedzenia.

Carter i Kelly się spięli.

Carter powiedział:

– On tylko...

– Nie – przerwałem mu. – Nie muszę się mu z niczego tłumaczyć. Jeszcze nie. A nawet gdyby Robbie był moim postronkiem, to nie mam obowiązku z niczego się przed nim usprawiedliwiać. Ani przed wami. Nie było was. Zerwaliście z nami kontakt. Twierdzicie, że po to, by nas chronić, i że zrobilibyście to samo jeszcze raz. No i g i t. Ale nie oczekujcie, że jak wrócicie, wszystko będzie po staremu. Zrobiliśmy wszystko, co było trzeba, żeby przeżyć, bo teraz tak działa nasze życie. Nie zatrzymuje się tylko dlatego, że w y...

– Nikt wam nie kazał tego robić – zapewnił Carter, ściskając mocno moją dłoń. – I nie wydaje mi się, żebyśmy na to liczyli. Ale znam Joego... on miał nadzieję, Ox. Nawet jeśli nigdy nic nie powiedział, nawet jeśli zmienił się w wiecznie zasepionego dupka, to i tak miał nadzieję. Wiem, że tak było. Więc daj mu trochę luzu, skoro sam poszedłeś do przodu...

Usiadłem, strącając z siebie obydwu wilki.

– Poszedłem do przodu?

Kelly i Carter wymienili kolejne znaczące spojrzenie.

– I związałeś się z Robbiem – powiedział Carter powoli.

– Między mną a Robbiem nic nie ma. Znaczy, wiecie, pocałował mnie... Noż kurwa mać, przestańcie warczeć. Odmówiłem mu, jasne? I on to u s z a n o w a ł. Nasza relacja nie ma takiego charakteru. I nigdy mieć nie będzie. Z mojej strony.

– Z powodu Joego – stwierdził nadmiernie zadowolony z siebie Carter.

Odparłem:

– Nie z powodu Joego. – Słyszając to kłamstwo, obaj wyszczerzyli się w uśmiechu.

– Musisz to naprawić – powiedział Carter.

– Pieprz się – odpyskowałem.

Kelly popatrzył na mnie spod zmrużonych powiek.

– Czy bycie Alfą automatycznie robi z ciebie dupka? Bo między tobą a Joem...

Walnąłem go w ramię. Mocno.

Roześmiał się i popchnął mnie do tyłu, żeby móc się na mnie znów położyć. Nie walczyłem z nim. Nie chciałem walczyć.

Carter przysunął się bliżej, tak że jego głowa znalazła się w zagłębieniu mojego ramienia.

Nie odnosiłem wrażenia, jakby to była porażka. Była w nich zieleń. W obydwu.

Nie wiedziałem, co zrobić z Joem.

Powiedziałem:

– Nie chodzi tylko o niego.

Czekali.

Usiłowałem znaleźć właściwe słowa.

– Mam na myśli Robbiego. Chodzi o nich wszystkich. Chodzi o watahę. Oni są moim postronkiem.

Cisza.

W końcu odezwał się Carter:

– Tak jak w przypadku taty.

– Dla niego zawsze postronkiem było stado – dodał Kelly.

Dotknąłem ich ramion. Ich rąk. Ich karków. Ich twarzy. Wtulali się w moje dłonie, a ja myślałem tylko: *wataha wataha wataha*.

Kiedy słońce zaczęło zachodzić, spytałem:

– Naprawdę sądzicie, że wiedział?

– Kto?

– Wasz tata. O mnie.

– Jasne, Ox. Sądzimy, że wiedział. Myślę, że chyba wszyscy wiedzieliśmy.

Podrzucili mnie z powrotem do warsztatu. Gordo był jedyną osobą, która jeszcze w nim tkwiła. Dziwnie było znów zobaczyć go siedzącego za biurkiem.

Powiedział:

– To był ich pomysł.

Prychnąłem i oparłem się o futrynę.

– Rzucasz mi ich na pożarcie, co?

Wzruszył ramionami.

– Przeżyją.

– Jakie to uczucie? Wrócić.

Przejechał dłońmi po moim... swoim biurku.

– Jakby za długo mnie nie było.
– To by się zgadzało.
– Tanner wpuścił mnie do mojego własnego domu. Miał klucze.
– Sprzątaliśmy tam. Raz w miesiącu albo coś koło tego. Dbaliśmy, by wszystko było gotowe, kiedy wrócisz.

– Naprawdę?

– Tak.

– Powiedziałaś: „kiedy”.

– Co?

– Powiedziałaś: „k i e d y” wrócę. Nie: „j e ś l i”.

– Aha. Chyba tak.

– Myślałaś, że...

Odwróciłem wzrok.

– Może. Miałem nadzieję.

Gordo odchrząknął.

– Poczułem się dziwnie. Stojąc tam. Jakbym nie pamiętał, jak się tam znalazłem. Jakbym śnił.

Coś wiedziałem o śnieniu.

– Tak właśnie się czuję za każdym razem, gdy wchodzę do starego domu. Jakby... jakby to się nie działo na jawie. Jakby nie działo się naprawdę. Ale się dzieje. Musi minąć trochę czasu. Zanim znów poczujesz, że to się dzieje naprawdę.

– A ty to czujesz?

– Zazwyczaj – odparłem szczerze.

Milczeliśmy przez jakiś czas.

Gordo powiedział:

– Joe co noc patroluje okolicę. Godzinami.

– Wiem.

Zabębnił palcami o blat biurka.

– Oczywiście, że wiesz. Bo teraz potrafisz to wyczuć. Tak samo jak on. Może nawet lepiej. Wiedziałeś, prawda? W tej samej chwili, w której wkroczyliśmy do Green Creek.

Pokiwałem głową.

– Dotknąłeś swoich barier. Żeby sprawdzić, czy nadal działają.

– Nie rozumiem, jak to możliwe.

– Ja też nie. – Wątpiłem, czy kiedykolwiek się tego dowiemy.

Wydawało mi się dziwne, że jestem uznawany za dziwoląga wśród osób, które na oczekaniu potrafią zmieniać się w wilki.

– Musisz z nim porozmawiać.

– Mówisz to jako mój przyjaciel? Czy jako jego wiedźma?

Zesztywniał lekko.

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– Nie wiem.

– A c o wiesz?

– Byłem twoim pierwszym. – Uśmiechnąłem się. – Chociaż pewnie Mark by się z tym nie zgodził.

Popatrzył na mnie spode łba.

Odwzajemniłem spojrzenie.

On pierwszy odwrócił wzrok. Po chwili powiedział:

– Joe pewnie także.

Tu mnie miał.

– Na temat którego z nas? – odgryzłem się.

– Masz zamiar to naprawić? – spytał, ignorując moje pytanie.

– Wróciliście do domu niecały tydzień temu – odparłem. – Po ponad trzech latach nieobecności. Rzeczy się zmieniają.

– Zauważyliśmy.

– Co masz na myśli?

– Mam na myśli, że wróciliśmy, a ty masz swoje stado. A w nim osoby, których nie znaleźliśmy. Do bani, Ox.

– Musiałem zadowolić się tym, co miałem pod ręką. Zostawiliście nas w rozsypce. Musiałem spróbować poskładać nas znów do kupy. Nie masz prawa winić nas za cokolwiek. Nie po tym, co zrobiłeś. Co wszyscy zrobiliście.

– Dobrze się sprawiłeś, młody – odparł. – Po prostu zajmie nam chwilę, nim przyzwyczaimy się do sytuacji. Nie winimy cię, Ox. Żaden z nas. Podjąłeś decyzje, które podjąć musiałeś, i nikt nie może mieć do ciebie o to pretensji.

Prawie mu uwierzyłem.

Odrzuciłem jego propozycję podwózki. Wróciłem do domu na piechotę.

Joe znów czekał na mnie w cieniu na gruntowej drodze. Nie mogłem zrobić tego teraz. Dzisiaj już i tak za dużo przeszedłem. Znów zamierzałem go wyminąć i... Złapał mnie za ramię, żeby mnie zatrzymać. Nozdrza mu się rozszerzyły.

– Moi bracia – zauważył. – I Gordo.

Nic nie powiedziałem.

– Nie możesz tego robić – zawarczał – z nimi. Kiedy ze mną nie chcesz. Nie możesz tego ciągnąć w nieskończoność.

– Jeszcze nie – wyrzuciłem z siebie.

Puścił mnie.

Poszedłem i nie oglądałem się za siebie, chociaż każdy krok był dla mnie trudniejszy od poprzedniego.

Tamtej nocy obiegłem granice terytorium, by się upewnić, że jesteśmy bezpieczni.

Thomas kiedyś powiedział: *Jesteś inny, Ox. Chyba nawet ja nie wiem, jak bardzo inny. To będzie naprawdę niesamowity widok. Ja w każdym razie nie mogę się doczekać, kiedy to zobaczę.*

Mama sprawiła, że bańka mydlana na moim uchu pękła.

Gdzieś po drugiej stronie terytorium wilk zaśpiewał pieśń, którą miał usłyszeć cały las. Była niebieska, wszystko w niej było niebieskie.

wyłem do ciebie / zawsze byłeś mój

Jak to ma działać? – spytałem Marka i Elizabeth. Minęło siedem dni, odkąd powrócili pozostali, został jeden dzień do pełni. Spacerowaliśmy po lesie, muskaliśmy drzewa, pozostawiając swój zapach na korze. Moi towarzysze zdecydowali się nie przeobrażać, wiedzieli, że potrzebuję porady.

– Co dokładnie masz na myśli? – spytał Mark.

Przewróciłem oczami.

– Przecież wiecie.

– Może i tak, ale będzie lepiej, jak usłyszymy to od ciebie – odparła Elizabeth.

Powstrzymałem się od riposty i powiedziałem po prostu:

– Joe.

– Chodzi ci o to, co jest między wami? – spytał Mark.

– Nie. No tak, to też. Ale nie to miałem na myśli. Chodzi mi to, co jest między nami wszystkimi.

Mark zachichotał.

– Oczywiście musisz myśleć akurat o tym. O wszystkich, tylko nie o sobie samym.

– Taka praca – odparłem.

– Możliwe – stwierdziła Elizabeth – ale są też takie chwile, kiedy trzeba zachowywać się samolubnie, Ox.

– Nie potrafię – przyznałem. – Jeszcze nie. – Tych dwóch słów nienawidziłem bardziej niż czegokolwiek.

– Wciąż się gniewasz – powiedziała, dotykając mojego ramienia.

– Nie mogę tak po prostu przejść nad tym do porządku dziennego.

– Ale już to zrobiłeś – zauważył Mark. – W przypadku Gorda. Cartera. Kelly’ego. Może nie całkowicie, ale zacząłeś.

– No i? – zapytałem, próbując zgrywać idiotę. – To nie ma nic wspólnego z...

– Dlaczego miałbyś traktować Joego inaczej?

– Bo on jest inny. – Zachowywałem się małostkowo, ale nie lubiłem, kiedy ktoś zapędzał mnie w kozi róg. – Dla mnie on nie jest taki sam jak wszyscy.

Wiedzieli o tym. Ale też rozmawiali z nim po powrocie. Każdego dnia. Chodzili w tę i z powrotem między starym a głównym domem. Spędzali z nim czas, podczas gdy ja byłem w pracy z resztą mojego stada i Gordem. Przytulali go, dotykali, wsłuchiwali się w jego oddech. Nie budzili się z koszmarów, w których Joego znów nie było, w których nic nie mówił, bo go nie było, jakby nigdy nie istniał...

– To nie sen, Ox – powiedziała Elizabeth, a ja kolejny raz zadumałem się nad tym, jak mocno byliśmy ze sobą połączeni. Czasami wydawało mi się, że oni wszyscy siedzą mi w głowie. – Wiem, że może ci się tak wydawać. Granice są rozmyte i nie możesz zrozumieć tego, co się dzieje, ale przyrzekam ci, że to nie sen.

– O czym rozmawiacie – spytałem, nie patrząc na żadne z nich – kiedy mnie nie ma w pobliżu?

Mark westchnął.

– O niczym szczególnym. Przez większość czasu mówią Carter i Kelly. Joe... niewiele się odzywa.

Poczułem ukłucie winy, choć nie byłem pewien, czy powinienem. Najwyraźniej tkwił w takim stanie już od dłuższego czasu. Nie wiedziałem, co jeszcze się zmieniło. Nie wiedziałem, jak o to zapytać.

– Muszę odpuścić – powiedziałem – ale nie wiem jak. Próbowałem. Naprawdę. Wiem, że on jest na wyciągnięcie ręki, a ja nic z tym nie robię, i to mnie dobija.

– No to coś z rób – stwierdziła Elizabeth. – Nigdy wcześniej nie byłeś niezdecydowany, Ox. Nie zaczynaj teraz.

Prychnąłem.

– Chrzaniecie. Wiele razy nie potrafiłem podjąć decyzji.

Walnęła mnie otwartą dłonią w tył głowy, a ja obrzuciłem ją gniewnym spojrzeniem.

– Napraw to – nakazała – zanim stracę całą cierpliwość i sama się tym zajmę. Nie chciałbyś tego.

– Naprawdę byś nie chciał – przytaknął Mark. – Potrafi zachowywać się jak komar, który nieustannie bzyczy ci do...

– Nawet nie zaczynaj, Mark – powiedziała Elizabeth. – Jedziesz z nim na jednym wózku, przysięgam na Boga. Zaczekaj tylko, aż to się skończy, a wtedy zacznę...

Mark uniósł ręce w geście kapitulacji.

– Hej, w porządku. W porządku. Słyszałem.

– Zakończ to albo nie – powiedziała mi Elizabeth, spojrzawszy na szwagra spode łba. – Przebaczone albo nie. Tylko nie każ mu czekać. To nie fair. Wobec żadnego z was. Faceci. Bezużyteczne

stworzenia. Potraficie tylko wszystko utrudniać, i to wyłącznie dlatego, że możecie.

– Czy wataha może mieć dwie Alfę? – spytałem, żeby odwrócić ich uwagę.

Elizabeth spojrzała na mnie spod zmrużonych powiek. Wiedziała, co kombinuję, lecz mi na to pozwoliła.

– A kto mówi, że nie może? Nasza ma Alfę, który jest człowiekiem. Mało to ortodoksyjne. Zresztą nigdy tacy nie byliśmy, nawet kiedy teoretycznie tak. Tradycja swoje, Bennettowie swoje.

Nadal uczyłem się takich rzeczy.

– Co jeśli odmówię? – spytałem powoli. – Co, jeśli go odrzucę? Jeśli postanowię, że obydwu stada powinny pozostać oddzielne?

– To będzie twój wybór – odparła Elizabeth. – A my będziemy wiedzieć, że zgodnie ze swoim sumieniem dokonałeś najlepszego z możliwych.

– Ale nie będziecie się zgadzać z moją decyzją.

– Może – powiedział Mark. – A może i nie. Ale nie o to chodzi. Posiadasz... instynkt, którego nam brak.

– Mógłbym to samo powiedzieć o was.

– Masz rację – odparł. – Lecz nasz instynkt podpowiada nam, że musimy ufać, iż podejmiesz decyzję, która będzie najlepsza dla stada.

– Nawet jeśli się z nią nie zgadzacie?

– Nawet wtedy.

– To wygląda tak, jakbym was kontrolował. Jakbyście nie mieli w tej sprawie nic do powiedzenia.

– Mieliśmy – zauważył Mark życzliwie. – Wybraliśmy ciebie.

– To twoi synowie. A twoi bratankowie.

– A ty jesteś naszym Alfą – powiedziała Elizabeth i błysnęła pomarańczowymi oczami. – Taka jest kolej rzeczy.

Nie chciałem, by taka była kolej rzeczy.

– Nie chcę stawać pomiędzy wami.

– Nie udałoby ci się to, nawet gdybyś próbował – zaśmiała się.

I na tym się skończyło.

Czekał na mnie na gruntowej drodze. Wyglądał na pełnego nadziei. Przestraszonego. Zagniewanego. Spiętego. Ponieważ rozmawiałem z nimi wszystkimi. Poza nim. A on o tym wiedział.

Byłem zmęczony. Całą tą sprawą. Coś się musiało zmienić. I zmiana musiała wyjść ode mnie. Musiałem tylko znaleźć odpowiednie słowa.

Doszedłem do miejsca, w którym stał, i wiedziałem, że pomyślał sobie, że znów mam zamiar przejść obok. Może kolejny raz powiedzieć: „jeszcze nie”, rzucić mu te słowa w twarz, jak robiłem to od czasu, kiedy wrócił do domu.

Już zaczynał garbić ramiona.

Dlatego powiedziałem:

– Hej, Joe. – Miałem nadzieję, że to dobry początek.

Zaskoczyłem go. Kilkakrotnie otwierał i zamykał usta. Z głębi jego piersi wydobyło się warknięcie, niski pomruk, od którego zaswędziało mnie skóra. Dźwięk wyrażał zadowolenie, jakby już sam fakt, że wypowiedziałem jego imię, wystarczył, by go uszczęśliwić. O ile wiedziałem, tak właśnie było.

Odgłos urwał się tak nagle, jak się zaczął, a Joe wyglądał na lekko zażenowanego.

Zaszurałem stopą po nawierzchni drogi; czekałem.

Powiedział:

– Hej, Ox. – Odchrząknął i spuścił wzrok. – Cześć.

Dziwne to było, ten rozdźwięk pomiędzy chłopcem, którego kiedyś znałem, a mężczyzną, który przede mną stał. Jego głos stał się głębszy, a on sam – większy niż kiedykolwiek przedtem. Emanował mocą, której wcześniej w nim nie było. Pasowała mu. Przypomniałem sobie ten dzień, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem go tak naprawdę, ubranego w szorty do biegania i niewiele więcej.

Odsunąłem od siebie te myśli. Nie chciałem, żeby je wywąchał. Jeszcze nie. Ponieważ pociąg fizyczny nie stanowił teraz problemu. A zwłaszcza nie w tej chwili.

Odchrząknąłem, a Joe znów podniósł na mnie wzrok. Nasze spojrzenia spotkały się niczym zderzające się samochody, które najpierw zwierają się ze sobą, by chwilę później od siebie odskoczyć.

Zrobiło się niezręcznie jak jeszcze nigdy wcześniej. Ale to już było coś. Więcej, niż dane nam było mieć od bardzo dawna. Nie mogłem się powstrzymać od myślenia o tamtym pojedynczym pocałunku, który nas połączył, o przepełnionym pragnieniem muśnięciu warg, kiedy leżeliśmy obok siebie. „Wrócę do ciebie”, powiedział i czyż mu nie uwierzyłem? Czyż nie uwierzyłem we wszystko, co mi powiedział?

Uwierzyłem.

A on wrócił. Dokładnie tak, jak powiedział. Tyle że potrwało to dłużej, niż sądziliśmy.

– Ty... – powiedział w tym samym momencie, w którym ja rzuciłem:

– Jutro...

Zamilkliśmy.

Joe zakaszłał.

– Ty pierwszy.

Pokiwałem głową, bo to musiałem być ja.

– Jutro pełnia księżyca.

– Tak? Zdaje się, że tak. – Dobrze o tym wiedział, ale chciał mnie udobruchać.

– Masz już jakieś plany?

Wzruszył ramionami i podrapał się po karku.

– Właściwie jeszcze o tym nie myślałem.

Stwierdziłem, że to chyba było kłamstwo.

– Jeśli nie będziesz zajęty, to moglibyśmy pobiegać. Twoje stado.

I moje.

Wyglądał na zaskoczonego.

– Zrobiłbyś to?

– Ty byłeś tutaj pierwszy, Joe. To twoja ziemia.

– Ale to...

– Daj spokój. Zgadzasz się?

Pokiwał głową jak szalony.

– Tak. No. Mogę. M o ż e m y. Będzie...

– Fajnie – odparłem. – Będzie fajnie.

Nie wiedziałem, co jeszcze mógłbym powiedzieć. Bo miałem mu za d u ż o do powiedzenia. Dlatego nie powiedziałem zupełnie nic.

Przez chwilę wpatrywaliśmy się w siebie. Chłonęliśmy się. Próbowałem się zmusić, by zrobić ku niemu kolejny krok, żeby po prostu... b y ć. Jednak nie potrafiłem.

– W porządku – powiedziałem w końcu. – Do zobaczenia jutro.

Zmarszczył czoło, kiedy obszedłem go, żeby pójść dalej gruntową drogą do starego domu.

– Ox – powiedział cicho, kiedy znaleźliśmy się ramie w ramie.

Wstrzymałem oddech i czekałem.

– Czy my...? – Urwał. Potrząsnął głową. Wydał z siebie pełen frustracji jęk. – Musimy porozmawiać. O wszystkim, co powinieneś wiedzieć. O wszystkim. Są sprawy, o których musisz usłyszeć. Ode mnie. Musisz... po prostu... No, musisz.

Próbowałem zignorować ciepło na skórze i skupić się na tym, co ważne.

– Czy on nadchodzi?

Joe wiedział, kogo miałem na myśli.

– Tak mi się wydaje.

– Czy na razie jesteśmy bezpieczni?

– No. Tak. To może poczekać kilka dni, ale...

– W takim razie reszta też może poczekać.

– Ox.

Nie odezwałem się.

Westchnął.

– W porządku.

Jakimś cudem udało mi się odejść.

Następnego dnia niebo właśnie ciemniało, kiedy moje stado zgromadziło się w starym domu. Staliśmy w kuchni. Nadal unikałem przebywania w salonie, na ile było to możliwe. Elizabeth i Mark wciąż sypiali w domu na końcu ulicy, ale Robbie przeprowadził się z powrotem do starego i zajął zapasową sypialnię, bo wiedział, że

pokój mamy jest objęty zakazem wstępu. Najwyraźniej jego pobyt tam nie odpowiadał Carterowi i Kelly'emu, czego nie omieszkali mi powiedzieć. Nie wiedziałem, jakie zdanie na ten temat ma Joe.

– Jesteś tego pewien? – spytał Robbie. – My ich nawet nie znamy.

– Chciałabym powiedzieć, że ja znam – stwierdziła Elizabeth lekkim tonem. – Urodziłam większość z nich.

Robbie skrzywił się lekko.

– Wybacz. Bardzo mi przykro.

– Z tego powodu, że ich urodziłam? – droczyła się.

Zarumienił się i wymamrotał coś niezrozumiałego.

– On ma rację – zauważyła Jessie. – Z wami pełnie księżycy wyglądają zupełnie inaczej. My znamy te wilki. Ale większość ludzkich członków naszego stada ich nie zna. Ox, jesteś pewien, że panują nad sobą w wystarczającym stopniu? Widziałeś w ogóle, jak się zmieniają od czasu, jak wrócili?

Nie wiedziałem i tak właśnie powiedziałem.

– Odłączyli się od stada – stwierdziła. – Czym to się różni od stania się Omegami?

– Mieli Alfę – powiedział Mark. – Wciąż mają. Może i nie... było ich tutaj, ale przynajmniej mieli Alfę, z którego mogli czerpać siłę. Służył im za postronek.

– O ile żaden wilk nie będzie podgryzał mi dupska, to nie mam nic przeciwko – oświadczył Rico.

– Krótko i na temat, jak zwykle – powiedział Tanner i trzepnął go w tył głowy.

– *Pendejo*[23] – burknął Rico.

– Nikt nikomu nie będzie niczego podgryzał – zapewniłem.

– Naprawdę? – powiedział Chris niewinnym głosem. – Z pewnością Joe będzie zawiedziony, kiedy się o tym dowie.

Spojrzałem na niego spode łba, kiedy większość zgromadzonych w pomieszczeniu osób parsknęła śmiechem.

– Nic się nikomu nie stanie – powiedziałem, usiłując sprowadzić rozmowę z powrotem na właściwe tory. – Pobiegamy z nimi, nikt nikogo nie będzie podgryzał – Chris, trzymaj gębę na kłódkę – jakoś to wszystko rozwiążemy. Okej?

Pokiwali głowami.

– Okej – powiedziałem.

Wszystko będzie w porządku.

Nie było w porządku.

Znaczy było, do czasu.

Kiedy dotarliśmy na polanę, księżyc właśnie wschodził, a Joe ze swoim stadem był już na miejscu. Oczy wilków błyskały w odpowiedzi na zew księżyca. Tatuaze Gorda świeciły, a ja zdałem sobie sprawę, że po raz pierwszy widzę go jako członka watahy podczas pełni księżyca. Poczułem tępy ból na myśl, że był częścią czegoś od tak długiego czasu, a ja tego nie widziałem. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, nie starczyło mi nawet czasu, by go o to zapytać.

Tak jak wtedy, kiedy wrócili, zbili się w ciasną gromadę i patrzyli, jak wkraczamy na polanę. Byłem pewien, że gdybym był wilkiem, słyszałbym, jak ich serca biją zsynchronizowanym rytmem.

Gdy się zbliżaliśmy, atmosfera wydawała się napięta, nieco osobliwa, ale sądziłem, że nie jest tak źle. Możliwe, że było to tylko

moje pobożne życzenie.

– Ox – powiedział Joe, ale dopiero wtedy, gdy prześlizgnął się wzrokiem ponad moim prawym ramieniem, gdzie, jak wiedziałem, stał Robbie.

– Joe – odparłem.

– Dziękujemy, że pozwoliliście nam do siebie dołączyć dzisiejszej nocy.

Pokiwałem głową. Nie podobał mi się ten oficjalny ton.

– Dziękujemy, że przyszliście.

– O mój Boże – wymamrotał Rico. – Zachowują się tak niezręcznie.

– Zamknij się – syknął Tanner. – To wilkołaki. Doskonale cię słyszą.

– Wiem, czym są. Przestań krzyczeć na mnie szeptem!

– Ale masz rację, zachowują się naprawdę niezręcznie – wyszeptał Chris.

– Zawsze tak się zachowywali – wybąkała Jessie pod nosem.

Gdybym nie przyglądał się Joemu, mógłbym nie zauważyć, jak jego wargi wygięły się na sekundę, jakby powstrzymywał uśmiech.

– Oto moje stado – powiedziałem, starając się nie warknąć na nich wszystkich.

– A oto moje – odparł Joe.

Carter i Kelly chichotali razem. Gordo wyglądał, jakby chciał przewrócić oczami.

– Biegniemy? – spytał Joe.

– Możemy – odparłem.

– Teraz następuje ta część, kiedy wyjątkowo atrakcyjni ludzie zrzucają z siebie ubrania – stwierdził Rico. – I większość z nich jest

ze sobą spokrewniona. Co w ogóle nie jest dziwne. Wcale a wcale.

– Rico – powiedziałem.

– Słucham?

– Zamknij się.

– Ale to jest dziwne. To, że tobie nie wydaje się dziwne, nie znaczy, że naprawdę takie nie jest.

– Mówienie o tym nie sprawia, że staje się mniej dziwne.

– Uważam, że powinniśmy przynajmniej odnieść się do tej dziwności...

– Rico!

– Już się zamykam.

Carter i Kelly zdążyli się rozebrać, nim Rico zamknął usta. Carter puścił do mnie oko, zanim się przemienił, a na polanie rozległ się głośny, znajomy trzask kości i mięśni. Kelly szybko poszedł w ślady brata i nagle w świetle księżyca stały dwa wilki z pomarańczowymi ślepiami, odsłaniające zęby w psim uśmiechu.

Nie wyglądali o wiele inaczej niż przed laty. Mieli to samo umaszczenie. Byli tylko więksi i ciężsi. Nigdy nie osiągną rozmiarów Thomasa, ale zauważalnie urosli. Nie wiedziałem, czy miało to związek z wiekiem, czy z Joem. Prawdopodobnie i z jednym, i z drugim.

Mark i Elizabeth poszli za ich przykładem. Rico mamrotał coś o tym, że wszyscy podchodzą do całej tej nagości ze zdecydowanie zbyt dużym spokojem, a Chris wymyślał mu od cnotek.

Wkrótce na polanie stały cztery wilki i ocierały się o siebie. Carter i Kelly tłoczyli się po obu stronach matki i wiercili podekscytowani jak szczeniaczki.

– No, dalej Robbie – powiedziałem, czując na sobie wzrok Joego.

– Nie muszę – odparł z ustami pełnymi zaostzonych zębów. – Mogę zostać z wami. Mogę biegać w takiej postaci. Albo zmienić się połowicznie. Wszystko gra.

Ale nie grało. Wiedziałem, że księżyc go przyciąga, że jego wilk drapie pazurami tuż pod powierzchnią, by wyrwać się na wolność. Mark powiedział mi kiedyś, dawno temu, że brak przemiany podczas pełni sprawia fizyczny ból i że jeśli wilkołak wzbrania się przed tym zbyt długo, podczas zbyt wielu cykli księżyca, może to spowodować załamanie psychiczne.

– Wszystko w porządku – powiedziałem lekko. – Powinieneś przyzwyczać się do pozostałych.

Nie wyglądał na szczęśliwego z tego powodu, popatrywał to na Joego, to na mnie. W końcu sapnął i zaczął się rozbierać. Z grzeczności odwróciłem wzrok.

Joe wciąż obserwował mnie obojętnym spojrzeniem. Kiedyś tak nie potrafił. Nie znosiłem tego.

Robbie przeobraził się gdzieś za moimi plecami. Był mniejszy od reszty, bardziej patykowaty, miał długie chude nogi i wąski tułów. Ogon mu drgał, kiedy stanął obok mnie i przyglądał się, jak wilki z jego stada mieszają się z wilkami z innego stada.

Wyglądał na spiętego i niepewnego. Pogładziłem go obiema rękami po głowie, pociągnąłem delikatnie za ucho. Trącił nosem moją rękę, a ja poczułem ciepłe pulsowanie wzdłuż nici, która się między nami rozciągała.

– No, dalej – zachęciłem.

Myślałem, że pobiegnie. Myślałem, że dołączy do pozostałych wilków, lecz zamiast tego odwrócił się do stojących z tyłu ludzi,

zaczął ocierać się o ich nogi i podgryzać ich w pięty, żeby ruszyli w stronę drzew i zaczęli biegać po lesie.

I wtedy zostaliśmy tylko ja i Joe, przysłuchiwaliśmy się, jak wilki śpiewają, a ludzie pokrzykują.

On odezwał się pierwszy. Powiedział:

– Dobrze się sprawiłeś, Ox.

Nie wiedziałem, jak mam się zachować, więc odparłem tylko:

– Dzięki. – Ale odpowiedź wydawała mi się niewystarczająca, więc dodałem: – To nie tylko moja zasługa.

– Och? – zdziwił się.

– To robota nas wszystkich. Zrobili dla mnie równie dużo, jak ja zrobiłem dla nich.

– Wiem. Tak działa stado.

Powstrzymałem się przed ciętą ripostą i odepchnąłem znajome ukłucie gniewu. Prawdopodobnie Joe o tym wiedział, pewnie poczuł żywą iskierkę wściekłości, nim zdołałem ją pochwycić, lecz nie skomentował.

Zamiast tego powiedział:

– Ale nie myśl, że nie ma w tym twojej zasługi, Ox. Gdyby nie ty...

Czekałem, aż dokończy.

– Ox.

Spojrzałem na niego. Znajdował się bliżej mnie niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich trzech lat. Nie rozumiałem, dlaczego wciąż czułem się tak, jakby nadal był bardzo daleko.

– Dziękuję – powiedział.

– Za co?

– Za to, że zrobiłeś to, czego ja nie mogłem.

Nie powinienem był musieć tego robić! – chciałem wykrzyczeć mu w twarz.

Nie powinieneś być stawiać mnie w takiej sytuacji!

Zostawiłeś nas. Zostawiłeś m n i e.

– Nie miałem wyboru – powiedziałem jednak.

Prychnął, a jego oczy zaczęły krwawić czerwienią.

– Zawsze miałeś wybór, Ox. A i tak zawsze wybierałeś nas. Zawsze tak było.

– Tak działa stado – powiedziałem, posługując się jego własnymi słowami.

Uśmiechnął się do mnie. Miał mnóstwo zębów.

– Zamierzasz się zmienić? – spytałem, czując nagłe ciepło.

Zrobił krok w moją stronę.

Moje stopy nie chciały się poruszyć.

Kolejny krok. I jeszcze jeden.

Zatrzymał się na wyciągnięcie ramienia ode mnie, lecz nie zrobił żadnego ruchu, by mnie dotknąć. Wydało mi się dziwne, że nie muszę już patrzeć w dół, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Kiedy mnie nie było... – powiedział, bawiąc się rąbkiem koszulki. – Kiedy n a s nie było, każdy dzień był ciężki.

Obserwowałem jego palce, kiedy złapał koszulkę i podciągnął ją do góry.

– Ale pełnia była zawsze najtrudniejsza – dokończył, a ja zobaczyłem całe k i l o m e t r y skóry. Nie był już małym chłopcem ani nawet nastolatkiem, niezdarnie podążającym śladami ojca. Nie, teraz był mężczyzną, do tego samcem Alfa. Było to widać w zarysie mięśni jego brzucha. W szerokości klatki piersiowej i pokrywających ją kępkach jasnych włosów. W sposobie, w jaki napiął się jego

biceps, kiedy przeciągnął koszulkę przez głowę, nim upuścił ją na ziemię obok siebie. – Noce podczas pełni zawsze były najtrudniejsze – ciągnął – bo wyłem do swojego stada, a tylko część jego członków mnie słyszała. Tylko niektórzy z nich odpowiadali na zew.

Jego dłonie powędrowały do rozporka dżinsów, palce snuły się wokół talii, przemykały między włosami na brzuchu. Postawił jedną stopę za drugą, by czubkiem jednego buta przytrzymać drugi. Zsunął go i odepchnął na bok.

– Wyłem do ciebie – powiedział cicho, ściągając drugi but. – Nawet jeśli mnie nie słyszałeś, nawet jeśli tego nie czułeś, Ox, to przysięgam, że wyłem do ciebie.

Odpiął górny guzik dżinsów, a ja nakazałem sobie odwrócić wzrok. Mówiłem sobie, że to nie w porządku. Że nadal jestem na niego tak wściekły, że ledwie mogę to znieść. Że mamy jeszcze w chuj spraw do obgadania, jeśli w ogóle chcemy sprawdzić, czy uda nam się wrócić do punktu, do którego kiedyś dotarliśmy. Albo chociaż zbliżyć się do niego.

Doskonale wiedział, co mi robi.

I przez chwilę nienawidziłem go za to, że tak mną manipuluje. Ale kiedy to przemyślałem, kiedy porządnie to przemyślałem, doszedłem do wniosku, że nie zrobiłby czegoś takiego. Nie użyłby własnego ciała, by zdobyć to, na czym mu zależało. Po prawdzie nie znałem tego Joego. Nie wiedziałem, co robił, kiedy go nie było. Z iloma osobami się pieprzył, czy pieprzył się z kimkolwiek. Chłopiec, którego kiedyś znałem, był niewinny i dobry. Próbowałem porównać go ze stojącym przede mną mężczyzną, pogodzić różnice między nimi.

Drugi guzik został odpięty, potem trzeci.

Chyba nie założył bielizny, a księżyc świecił wystarczająco jasno, bym zobaczył jego włosy łonowe i podstawę kutasa.

Spojrzałem mu w twarz.

Puste spojrzenie zniknęło, maska Alfya została odrzucona, choć oczy Joego wciąż pały czerwienią.

Wyglądał teraz młodziej. Delikatniej. Brakowało mu pewności siebie.

Powiedział:

– Nie było nikogo innego, przez cały ten czas, gdy mnie nie było. Nie byłem z nikim innym. Bo nawet jeśli nie słyszałeś, jak do ciebie wołam, skowyt w moim sercu był przeznaczony dla ciebie.

Pragnąłem powiedzieć mu, żeby wyszedł z mojej głowy, bo jakimś cudem wiedział, o czym myślę. Nie powinien był móc tego widzieć. Słyszeć. W i e d z i e ć.

Chciałem mu powiedzieć, że ja też nie byłem z nikim innym. Że czekałem. I czekałem. I czekałem na niego, aż zaczęło mi się wydawać, że skóra popęka mi jak papier, a kości obrócą się w proch. Że zrobiłem to, co musiałem, żeby utrzymać nas przy ż y c i u. Że chociaż staliśmy się czymś więcej, niż powinno dać się ułożyć z poszczególnych kawałków, to w mojej głowie zagnieździł się ból, a w moim sercu ziała dziura, i że to wszystko j e g o wina. On mi to zrobił.

Nie pieprzył się z nikim innym?

Cóż, brawa dla niego.

Ja nawet o tym nie m y ś l a ł e m.

Spomiędzy drzew dobieg skowyt głośniejszy niż pozostałe.

Obejrzałem się.

Robbie stał na linii drzwi i obserwował mnie, przekrzywiając pytająco głowę.

– Zależy mu na tobie – usłyszałem zza pleców głos Joego.

– Jestem jego Alfą.

– Jasne, Ox – odparł Joe. Po odgłosach poznałem, że ściągnął spodnie. Nakazałem sobie nie odwracać się. Już i tak widziałem za dużo, ale nie zamierzałem poddać się tak łatwo, nawet jeśli był wszystkim, czego kiedykolwiek pragnąłem.

Robbie zaskowytał ponownie i odwrócił się w stronę lasu.

– Nadal mamy kilka spraw do obgadania – oznajmił Joe. Stał tuż za mną.

Zamknąłem oczy, lecz wciąż czułem jego ciepło. Jego oddech na karku. Musiałbym tylko odchylić się do tyłu i...

Zrobiłem krok do przodu.

– Pogadamy – odparłem. – Jutro. – Nie sądziłem, bym zdołał wytrzymać tak choćby jeden dzień dłużej. To mnie dusiło, musiałem walczyć o oddech.

– Jutro – powtórzył. Zabrzmiało to jak obietnica, lecz nie byłem pewien, czy ją złożyłem.

Przeobraził się za moim plecami. Dźwięk przemiany zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Za sobą nadal czułem ciepło, ale teraz nieco inne. Coś przycisnęło się do moich pleców, pośrodku. Z tego, co czułem, jego nos.

Wziął długi, powolny wdech. Wypuścił leniwie gorące powietrze.

Poczułem pociągnięcie gdzieś z tyłu głowy, zagrzebane pomiędzy więziami z moim stadem. Chciałem po nie sięgnąć. Sprawdzić je. Wypróbować. Lecz nim zdołałem, wilk Alfa okrążył mnie i stanął przede mną. Zaparło mi dech w piersi.

Był duży, znacznie większy od Thomasa. Czubkiem głowy sięgał mi niemal do szyi. Pozostał śnieżnobiały, jeśli nie liczyć nosa i łap. Warg i pazurów. No i oczu, które płonęły niczym ogień. Zastanawiałem się, czy tak właśnie czuła się za pierwszym razem moja mama. Kiedy Thomas pokazał jej, że już nigdy nie będzie sama.

Jakby słyszał każdą myśl pojawiającą się w mojej głowie, Joe pochylił się ku mnie i przycisnął nos do mojej szyi, a ja powiedziałem:

– O c h.

Zaczęło się w porządku.

Powiedzmy.

Poczułem się, jakbym doświadczał swobodnego spadania, żołądek szybko podjechał mi aż do gardła. Zdawało mi się, jakbym utknął w tej chwili, w której przez pomyłkę ominąłem jeden stopień i wylądowałem stopą twardo na ziemi.

Biegaliśmy po lesie. Przemykaliśmy między drzewami, przeskakiwaliśmy nad zwalonymi kłodami i strumieniami, rozchlapując stopami wodę, kiedy sus okazał się zbyt krótki.

Wokół mnie wyły wilki, lecz coś było nie tak, tony zbyt fałszywe, by stworzyć harmonijną melodię. Moje wilki śpiewały tak jak zawsze, rytmicznie i zgodnie. Joe i jego wilki robiły to samo, lecz ton powyżej lub poniżej moich. W mieszance dało się słyszeć zgrzyt, ale było tam też c o ś j e s z c z e. Jakiś p o m r u k tuż pod powierzchnią. To coś pełzło po mojej skórze, a ja biegłem ku temu, by od tego uciec.

Ludzie śmiali się, kiedy wilki ich ganiały.

Gordo trzymał się na uboczu, głównie obserwował, wpatrzony w obrzeża lasu z jaśniejącymi ramionami, a jego tatuaże trzepotały skrzydłami i latały.

Zdawało mi się, że tam, w lesie, znaleźliśmy się blisko czegoś. Czegoś, co pozostawało tuż poza naszym zasięgiem.

Joe biegł u mojego boku, a mięśnie pod białym futrem poruszały się niczym woda. Niczym dym, płynny i pofalowany.

Nie byłem wilkiem. Nie sądziłem, bym kiedykolwiek miał się nim stać. Nie czułem przyciągania księżycy. Ale teraz czułem się jakoś inaczej. Zapragnąłem wyśpiewać wilczą pieśń. Zapragnąłem wysunąć pazury i kły i rozerwać nimi ciało królika. Zapragnąłem, by moje oczy wybuchły czerwienią, zapragnąłem poczuć pod łapami dotyk trawy.

W mojej głowie kłębiły się myśli, niektóre z nich moje własne, niektóre napływające zewsząd. Mówiły: Członku Watahy Ukochany Bracie Synu i bezpieczni tutaj jesteśmy bezpieczni, i razem o mój boże jesteśmy razem biegamy razem, i dom w końcu jesteśmy w domu spójrzcie na to drzewo znam to drzewo, i on odszedł Ojciec Mąż Alfa on odszedł lecz ja wciąż go wyczuwam wciąż czuję jego zapach wciąż mogę go kochać, i wiele, wiele więcej. Wszystkie głosy mówiły naraz, wilki, może także i ludzie z mojego stada. Śmigały zwinnie między moimi myślami, wiązały się ze mną i ze sobą nawzajem, nici się plątały.

Ale to wilka, który biegł ze mną, słyszałem najgłośniej.

Mówił: tutaj.

Mówił: jestem tutaj.

Mówił: z tobą w końcu z tobą.

Mówił: czuję cię.

Mówił: wiem że mnie czujesz.

Mówił: *ten cichutki głos z tyłu twojej głowy to delikatne pociągnięcie które czujesz które zawsze czujesz które nigdy cię nie opuściło to zawsze byłem ja to zawsze byłem ja bo ty zawsze byłeś mój dałem ci mojego wilka bo należysz do stada stada stada jesteś moim towarzyszem życia jesteś jesteś jesteś...*

Byliśmy tak rozkojarzeni euforycznym bieganiem, gorączkowym snem, który nie mógł działać się naprawdę, że nie zauważyliśmy, jak nadchodzi. W jednej chwili Joe i ja pędziliśmy obok siebie, a w następnej zobaczyłem przed sobą szaroczną smugę, która zwała Joego z nóg i przewróciła go na bok.

Gorączka minęła.

Rozległy się głośne warknięcia i kłapanie zębami.

Przebiegłem jeszcze pięć kolejnych kroków, nim uświadomiłem sobie, że muszę się zatrzymać. Odwróciłem się i...

Robbie siedział na Joem i zatapiał kły w jego gardle. Joe kopał przeciwnika, orząc pazurami tylnych łap jego boki i brzuch.

Za plecami usłyszałem wściekły ryk i spomiędzy drzew wypadli Carter i Kelly. Robbie wydał z siebie przenikliwy skowyt, kiedy Joe kopnął wściekle, zrzucając go z siebie i posyłając na drzewo.

Z drugiej strony nadbiegli Elizabeth i Mark, oboje z pomarańczowymi oczami i obnażonymi kłami. Stanęli naprzeciwko Robbiego, kiedy usiłował się podnieść, a krew kapła mu z poszarpanych boków.

Joe był już na nogach, futro na gardle miał zabarwione czerwienią. Carter i Kelly stanęli po jego bokach, wygięli plecy w łuk

i warcząc, podkradali się do Robbiego, któremu także udało się już wstać.

W mojej głowie za dużo się działo. Ciągnięto mnie w wielu różnych kierunkach jednocześnie. Wylatywały ze mnie nici, które wczepiały się w Robbiego, Elizabeth i Marka, nici, które były mocne i prawdziwe, które mówiły: *wataha i bronić, i mój*. Stały się jeszcze mocniejsze, gdy spomiędzy drzew przybiegli w naszym kierunku ludzie, napędzani strachem i myślami: *atak czy ktoś nas zaatakował pamiętajcie czego nauczyliśmy się na treningach pamiętajcie czego nauczył nas Alfa*.

Były też inne nici, postrzępione, cienkie i słabe, które ciągnęły mnie w stronę białego wilka, Alfę, choć myśl o innym Alfie na moim terytorium sprawiała, że z wściekłości chciałem obnażyć zęby. Te nici ciągnęły się do niego, a przez niego – do innych, do pozostałych dwóch wilków u jego boku, do wiedźmy, która do nich podeszła. Mężczyzna pogładził Bety, a jego ręce rozbłysły. Kruk otworzył dziób w niemym wrzasku, wzleciał w górę ramienia i zniknął na plecach.

Bronili go. Podobnie jak moja wataha broniła Robbiego, chociaż był idiotą.

Nie miało znaczenia, że rodzina została rozdzielona na dwa stada. Liczyły się tylko więzy pomiędzy nami, które mówiły, że nic nie może dotknąć stada, nic nie może krzywdzić tego, co nasze. Jeśli by doszło do najgorszego, watahy zaczęłyby ze sobą walczyć.

Ale Joe... Joe się nie ruszał. Zgodnie z prawami mógłby. Padł ofiarą niesprowokowanego ataku.

Czy jego stado naprawdę na nas nacierało? Czy tylko się broniło?

Nie mogłem tak. Nie potrafiłem.

Nie tak.

Robbie zrobił krok do przodu. Z pyska na trawę kapłała mu ślina, a głęboko w jego piersi rozległ się pomruk.

Carter przykucnął blisko ziemi.

A ja powiedziałem:

– Stójcie.

Mój głos rozległ się w powietrzu jak smagnięcie biczem.

Wszystkie wilki natychmiast się zatrzymały i opuściły uszy. Poza Joem. Jego oczy rozbłysły jaśniej. Nawet ludzie cofnęli się o krok w reakcji na swojego Alfę. Oczy mieli okrągłe, barki napięte.

Czekali.

Panował między nami pewien porządek. Nieważne, jak bardzo chciałem podbiec do Joego, upewnić się, że rany na jego szyi się zasklepiają, że czerwień na jego gardle to nic poważnego, nie mogłem tego zrobić.

Ponieważ najpierw musiałem zająć się swoim wilkiem.

Jego oczy śledziły każdy mój ruch.

Uklęknałem przed Robbiem. Wziąłem jego pysk w dłonie. Oczy miał szeroko otwarte i wilgotne. Jedno ze zwierząt stojących za moimi plecami – Carter, jak mi się zdawało – zawarczało, lecz uciszyło je ciche szczeknięcie Joego.

Elizabeth i Mark węszyli po bokach i brzuchu Robbiego, lizali okrwawioną sierść, podczas gdy on nie spuszczał ze mnie wzroku. Zacieśniłem chwyt, bardzo delikatnie.

– Wiem, co chciałeś zrobić – powiedziałem cicho, chociaż i tak wszystkie wilki mnie słyszały. – Ale tak nie wolno.

Zaskomlał i próbował polizać mi ręce, lecz trzymałem go nieruchomo.

– Nie chcę, żebyś o mnie walczył – powiedziałem. – Zwłaszcza kiedy nie ma takiej potrzeby. Nie przeciwko pozostałym.

I wtedy się przemienił. Poczułem pod dłońmi, jak jego kości pękają i kształtują się na nowo, jak futro rzednie, a mięśnie przeskakują. Poczułem się, jakbym trzymał worek wijących się węży, i zadrżałem z obrzydzenia.

Już nie trzymałem w rękach wilczego pyska. Teraz była to twarz mężczyzny. I to wściekłego.

Rzucił ostro:

– On był w twojej głowie. S ł y s z a ł e m go. Nie miał prawa...

– O czym ty, u diabła, mówisz? – spytałem, opuściwszy ręce.

Robbie zagryzł zęby, pokręcił głową i spojrzał gniewnie gdzieś ponad moim ramieniem.

– Robbie, spytałem cię...

– Ma rację – powiedział Rico. – My też... go słyszeliśmy.

Popatrzyłem na pozostałych. Stali za mną zdenerwowani, w sporej odległości od wilków, lecz gotowi zaatakować, gdyby zaszła taka potrzeba. Nie byli wściekli tak jak Robbie, lecz wyglądali na wystraszonych.

– Co masz na myśli?

Rico rzucił przelotne spojrzenie Tannerowi, który skinął głową.

– Znaczący... słyszymy cię, tak? Tyle, że... ty jesteś naszym Al f a, co nie? Szefem wszystkich szefów. Wyczuwamy pozostałych, potrafimy to robić, tylko... niewyraźnie. Nie w taki sposób, w jaki słyszymy i czujemy ciebie. A Joe był... głośny. Był wszystkim. To nas przytłoczyło.

Elizabeth i Mark także wrócili do ludzkiej postaci, ich ciała się napięły.

– Nigdy się do tego nie przyzwyczaję – wymamrotał Rico. – Dobry wieczór, pani Bennett. Miło panią widzieć. Jest pani naga. Znowu.

Kobieta go zignorowała.

– My także go słyszeliśmy.

– Zdawało mi się, że zawsze go słyszycie – odparłem. – Powiedziałaś mi kiedyś, że...

– Nie w ten sposób. Więź łącząca matkę z synami to coś zupełnie innego.

Spojrzałem na Marka, który pokiwał głową.

– Cholera – burknąłem.

– Ox – oznajmiła Elizabeth – nie chodzi o to, żeby zrzucić ci na głowę problem, z którym nie jesteś gotowy się zmierzyć. Jeśli już, chodzi raczej o podkreślenie, że między wami coś jest. Zawsze było, od dnia, w którym się poznaliście. To nic nowego. Wiedzieliście o tym od dawna.

– To nie powinno tak wyglądać – wtrącił Robbie. – On wywiera na Oxa presję i...

– Robbie – przerwała mu Elizabeth. – Dość.

– Ale on tak n i e m o ż e...

Carter i Kelly warknęli na niego.

Robbie spojrzał na mnie.

Nie chciałem go zranić. Ani narobić mu jeszcze większego wstydu. Nie na oczach wszystkich.

– Umiem sam o siebie zadbać – powiedziałem cicho.

– Wiem – odparował. – Ale nie powinieneś musieć. Nie znam ich. Nie wiem, co zrobią...

– Ale ja tak – oznajmiłem. – Znam ich. Znam ich od bardzo dawna.

– Nie wiesz, czym się stali – zauważył. – Ludzie się zmieniają, Ox. Dobrze o tym wiesz. Znałeś ich dawno temu. Nie wiesz, co robili przez ostatnie trzy lata. Gdzie byli. Co widzieli.

– Ufasz mi?

Zamrugnął.

– Oczywiście, że tak. Jesteś moim Alfą.

– No to musisz mi zaufać w tej sprawie – powiedziałem, złapawszy go zgrabnie w pułapkę. Chyba zachowałem się trochę nie fair.

Zrobił krok w tył i spoglądał to na mnie, to na drugą watahę. Joe stał pomiędzy braćmi, nie wydawał z siebie żadnych dźwięków, po prostu się przyglądał. Czekał. Pozwalał, bym to ja zajął się tą sprawą, ale wiedziałem też, że przy okazji bada, jak blisko ja i Robbie jesteśmy ze sobą związani.

Robbie popatrzył na mnie gniewnie.

– To tak nie działa.

– Może i nie. Ale w naszym przypadku nic nie działa normalnie. Nie jesteśmy jak wszyscy inni. No i jest jeszcze jedna sprawa: mógł cię zabić.

– Poradziłbym sobie.

– On jest Alfą, Robbie.

– Ale...

– Przestań – nakazałem, a mój głos zrobił się odrobinę głębszy.

Wzdrygnął się.

Carter i Kelly zaskomlili.

– Idźcie – powiedziałem. – Wszyscy. Biegnijcie. Robbie, ty zostań.

Jęknął.

Pozostali oddalili się, Mark i Elizabeth zmienili się z powrotem w wilki. Ona przycisnęła nos do mojej dłoni, nim ruszyła w ślad za Markiem między drzewa. Carter i Kelly czekali na linii lasu na Joego, który jeszcze się nie ruszył. Patrzyli na Robbiego spode łba, jakby wyzywali go, żeby zrobił jakiś ruch.

– Będę zaraz za tobą – powiedziałem Joemu.

Jego oczy błysnęły czerwienią, nim odwrócił się do braci i zniknął w ciemności.

– Kochasz go – stwierdził Robbie, jak tylko oddalili się poza zasięg słuchu.

– Jakie to ma znaczenie? – spytałem. – Jest Alfą, którego zaprosiliśmy tutaj na dzisiejszą noc, a ty go z a a t a k o w a ł e ś. Coś ty sobie, u diabła, myślał?

– Nie powinien był...

– Robbie, ta decyzja nie należała do ciebie.

Poczuł się urażony.

– Jak mam cię bronić, skoro ty...

– Dał mi swojego wilka. Kiedy miał dziesięć lat. Wiedziałeś o tym?

Wydał z siebie zduszony odgłos, szczeka opadła mu z wrażenia.

– Nie wiedziałem, co to oznacza. Nie wtedy. Ale mi go dał. Dzień po tym, jak się poznaliśmy. Bo wiedział. A kiedy odkryłem znaczenie figurki, chciałem mu ją zwrócić. Próbowałem mu tłumaczyć, że się pomylił. Że wybrał niewłaściwą osobę. Że nie jestem wystarczająco dobry dla kogoś takiego jak on, odważnego,

bystrego i życzliwego. A on w ogóle nie chciał mnie słuchać. Bo byłem tym. On już zdecydował, że byłem tym dla niego.

– Nie wiedziałem – powiedział Robbie cicho. – Nie że to się zaczęło tak dawno temu.

– Zawsze byliśmy ja i on – odparłem. – I sędzę, że zawsze będziemy, niezależnie od tego, jakich wyborów dokonamy. Nawet jeśli zostaniemy tylko przyjaciółmi. Bądź sojusznikami. Albo czymś więcej. Z a w s z e będziemy ja i on, bo tak wybraliśmy.

– Kochasz go – powtórzył Robbie.

Nie miałem siły zaprzeczać.

– Od bardzo dawna – przyznałem, wpatrując się w miejsce, w którym zniknął Joe.

– Przepraszam – powiedział Robbie. Wydawał się zraniony i dezorientowany. – Nie powinienem był...

Wyciągnąłem ku niemu rękę, a on popędził do mnie, wtulił się w mój bok, położył głowę na piersi i otoczył mnie ramieniem w pasie, kłując mi skórę pazurami. Zadrżał, kiedy położyłem swoje ramię na jego nagich barkach i przeczesalem mu palcami włosy.

Milczeliśmy przez jakiś czas.

W końcu pociągnął nosem.

– Wiesz – powiedział – z Kelly’ego jest niezłe ciacho.

Odchyliłem głowę do tyłu i zaśmiałem się.

Późną nocą odnaleźliśmy w lesie obydwie stada.

Popchnąłem Robbiego w ich stronę. Przeobraził się i opadł na cztery łapy. Rzucił mi przez ramię przelotne spojrzenie i kiwnął głową, zanim się odwrócił i potruchtał w stronę Rica i Elizabeth.

Carter i Kelly przyglądali mu się z rezerwą, lecz nie wykonywali żadnych agresywnych ruchów. Gordo uniósł brwi. Pokręciłem głową. Nic więcej nie trzeba było dodawać.

Joe siedział na obrzeżu grupy, obserwował matkę, która pałaszowała coś, co kiedyś było królikiem. Uszy mu zadrgały, kiedy się zbliżyłem, ale było to jedyne powitanie, które dostałem. Nie wyglądał na wkurzonego, lecz mogłem się mylić.

Usiadłem obok niego, zostawiając dość wolnej przestrzeni, byśmy się nie stykali.

Sierść na gardle miał nadal czerwoną, lecz krew wyglądała na zakrzepłą. Rana już się zabiłniła.

Powiedziałem:

– On nie chciał.

Joe sapnął.

Powiedziałem:

– Nie rozumiesz, jak on to odbiera. Nie było cię tutaj.

Joe warknął z głębi gardła.

Zignorowałem dźwięk.

– On naprawdę nie chciał. To nie tak, jak myślisz.

Joe nawet na mnie nie spojrzał.

– Jutro – powiedziałem i tym razem była to obietnica.

Nie odezwałem się już ani słowem.

Przyglądaliśmy się, jak nasze stada biegają razem. Jak razem kładą się na ziemi. Jak razem dokazują, śmieją się i wyśpiewują pieśni.

Siedzieliśmy tak przez resztę nocy. I nie powiedziałem nic, kiedy Joe przysunął się bliżej mnie i przycisnął do mojego boku, a niebo zaczęło jaśnieć na wschodzie.

miłość

Później w ciągu dnia poszedłem do warsztatu, żeby Tanner i Chris mogli wrócić do domu i trochę się przespać. Spojrzeli na mnie zamglonym wzrokiem, zamrugali i ziewnęli, nim ruszyli w kierunku SUV-a, w którym czekała Elizabeth, by ich odwieźć.

Zanim wysiadłem z samochodu, zatrzymała mnie, kładąc mi rękę na ramieniu, i powiedziała:

– Cokolwiek zdecydujesz, upewnij się, że podejmujesz decyzję, która będzie najwłaściwsza dla ciebie.

Rico kiwnął mi głową, kiedy wszedłem do warsztatu.

– Gordo siedzi w biurze – powiedział cicho. – Czy to dziwne, że czuję się zaskoczony za każdym razem, jak go tu widzę?

Wzruszyłem ramionami.

– Przyzwyczaimy się do tego. On się nigdzie nie wybiera.

Rico prychnął.

– Trzy lata temu też bym tak powiedział.

No tak. Zapiekłó, bo miał rację. Ja powiedziałbym to samo. I nie wiedziałem, czy mogę ufać własnym słowom.

Gordo siedział za biurkiem, pisał na klawiaturze jednym palcem i marszcząc brwi, wpatrywał się w ekran komputera.

– Co to ma być? – warknął. – To się kupy nie trzyma.

– Jak cię nie było, musieliśmy zainstalować nowsze oprogramowanie – odparłem. – Tamto było przestarzałe.

– Nie było przestarzałe. Nadawało się doskonale do tego, do czego je wykorzystywałem.

– Wcale go nie używałeś.

Spojrzał na mnie gniewnie.

– Tak teraz będzie?

– Pewnie tak – powiedziałem swobodnie.

– Jak długo?

– Tak długo, jak uznam za konieczne.

Popatrzył spode łba na monitor.

– Jebane Alfy – mruknął.

– U ciebie wszystko w porządku?

– Jest ekstra. Posiedzę tu sobie i spróbuję ogarnąć, jak używać czegoś, czego nawet nie potrzebujemy.

– Wrzód na dupie – powiedziałem i wyszedłem do hali napraw.

Rico miał rację. Dziwnie było go tam widzieć.

Patrząc, jak opiera się o drzwi biura z rękoma splecionymi na piersi i przysłuchuje się piosenkom, które Rico śpiewa po hiszpańsku.

Słuchać, jak warczy przez telefon na dostawcę, mówi mu, że chyba, do cholery, postradał rozum, jeśli sądzi, że Gordo mu zapłaci aż tyle, bo przecież prowadzi firmę i może iść do kogoś innego.

Czuć jego dłoń na karku, ściskającą mnie lekko, kiedy przechodzi obok.

To było dziwne.

Fajne, ale dziwne.

– Chcesz, żebym cię podwiózł? – spytał, kiedy zamknęliśmy warsztat. Pomachaliśmy Ricowi, który odjeżdżał swoją starą toyotą corollą. Była dopiero trzecia, ale dziś ruszaliśmy się jak muchy w smole.

Pokręciłem głową.

– Będzie na ciebie czekał?

– Pewnie tak.

– Masz zamiar to naprawić?

– Dlaczego?

– Co: „dlaczego”?

– Dlaczego cię to obchodzi?

– Jasne – zadrwił. – Dlaczego miałoby mnie to, kurwa, obchodzić. Zastanawiam się, dlaczego, kurwa, ty miałbyś mnie obchodzić. Albo Joe. I wasze pieprzone brednie. Phi! Nie mam pojęcia.

– Dobrze wiedzieć, że niektóre rzeczy się nie zmieniają.

– Rusz tą swoją pieprzoną głową, Ox. Obchodzi mnie to, bo ty mnie obchodzisz.

– Tak, Gordo. Wiem.

– W takim razie napraw to – stwierdził. – Nie ryzykowaliśmy życia przez tak długi czas, żeby tu wrócić i patrzeć, jak obaj tchórzycie. To tak nie działa.

Nie mogłem nic poradzić na to, że poczułem wobec niego swego rodzaju podziw.

- To co innego.
- Nie rozumiem – powiedział i zamknął frontowe drzwi.
- Kiedyś nie chciałeś, żebym miał z tym cokolwiek wspólnego.

Z nimi.

Podniósł twarz ku niebiosom i przewrócił oczami, jakby błagał Najwyższego, by ten obdarzył go siłą i cierpliwością do takich jak ja. Widziałem to spojrzenie wiele razy w swoim życiu. Ale w jego przypadku było inaczej niż z innymi. On był moim przyjacielem. Nadal.

– Kiedyś – powiedział lekko drwiącym głosem – nie byłem po takich przejściach, po jakich jestem teraz.

– Wcześniej nie dbałeś o takie rzeczy.

Zrobił zbolaną minę.

– Wtedy wszystko było... inaczej. Rozumiesz? Nie wiedziałem tego, co wiem teraz.

– Czyli?

Potrząsnął głową.

– To nie ma znaczenia. Przynajmniej na dłuższą metę. A ty nie powinienesz o tym ze mną rozmawiać, Ox. Przecież wiesz. On na ciebie czeka. C a ł y c z a s czekał. Przestań wreszcie chować głowę w piasek.

– Aha – powiedziałem. – Wiesz, powinienem powiedzieć ci dokładnie to samo. Skoro wszystko się zmieniło, skoro tyle przeszedłeś, to też możesz przestać chować głowę w piasek.

– Ox, przyrzekam, że...

– Zastrany cykor.

– Skończony fiut.

Wyszczrzyłem się do niego.

Położył mi rękę na karku i oparł czoło na moim czole. Oczy mieliśmy otwarte. Z tej odległości obraz mi się rozmywał.

Mógłbym przysiąc, że czuję, jak niewielkie pędy magii wyginają się w łuk na mojej skórze, że czuję drobne ukłucia elektrycznego światła.

Trwaliśmy tak przez chwilę. Potem odsunął głowę do tyłu i pocałował mnie w czoło, przyciskając mocno wargi. W końcu odepchnął mnie i podszedł sztywnym krokiem do swojej furgonetki.

– Napraw to, Ox – zawołał przez ramię – albo zakończ. Pozwól mu wszystko wyjaśnić albo nie. Ale zrób coś, bo im dłużej to przeciągasz, tym większą mam ochotę strzelić cię w ryj. Wasze nedorzeczne uczucia roznoszą się na nas wszystkich, aż chce mi się od tego rzygać.

Kochałem tego gościa bardziej, niż potrafiłbym wyrazić słowami.

Czekał na mnie na gruntowej drodze, dokładnie tak, jak się spodziewałem.

Mogłem fuknąć: „jeszcze nie”. Mogłem przejść obok niego i udawać, że go tam nie ma. Mogłem udawać, że moje serce nie jest od tak dawna złamane. Że mam w dupie, czy stoi przede mną, czy nie.

Ale nie chciałem. Już nie.

Powiedział:

– Hej, Ox.

A ja odparłem:

– Hej, Joe.

Uśmiechnął się, lecz niepewnie.

Próbowałem odwzajemnić uśmiech. Nie wiem, jak mi poszło.

Powiedział:

– Chyba musimy porozmawiać.

Odparłem:

– No, chyba musimy.

Ta rozmowa brzmiała idiotycznie.

Westchnął.

– Posłuchaj. Hej, po prostu... Cokolwiek się stanie... Okej. Cokolwiek... zdecydujesz. Musisz wiedzieć, że mówiłem poważnie.

– Co mówiłeś poważnie?

– Wszystko, co kiedykolwiek ci powiedziałem. Wszystko, Ox.

Coś ścisnęło mnie w gardle, odrobinę.

– Taa, Joe – powiedziałem nieuprzejmie. – Jasne.

Pokiwał głową, po czym odwrócił się i poszedł dalej gruntową drogą.

Zrównałem z nim krok.

Moja dłoń otarła się o jego dłoń. Nie wiedziałem, czy to było specjalnie, czy nie.

Przeklinałem się za to, że brak mi odwagi, by złapać go za rękę. Wcześniej robiliśmy to niezliczoną ilość razy. Zanim on...

Po prostu zanim.

Ale Joe zdecydował za nas obu, bo kiedy zetknęliśmy się kolejny raz, uczeplił się mojej dłoni, zawinął palce wokół moich. Przycisnąłem kciuk do jego nadgarstka, w miejscu, gdzie wyczuwałem puls, nerwowy, nieregularny rytm wybijany pod skórą.

Złapałem się najmocniej, jak się dało.

Stary dom stał pusty, kiedy do niego dotarliśmy. W domu na końcu ulicy paliły się światła, przez okna widzieliśmy krzątające się po nim wilki. Ludzie rozjechali się do swoich domów. Zdawało mi się, że Robbie pałęta się po lesie, ale nie miałem pewności. Joe za bardzo mnie przytłaczał.

Zostawienie nas samych było bardzo miłe z ich strony, ale niezbyt subtelne. Z drugiej strony, nie wiedziałem, czy wilkołaki u m i a ł y być subtelne. Ale jeśli już o tym mowa, to nie wiedziałem, czy sam to potrafię.

Zawahał się na chwilę, popatrzył na dom, a ja przypomniałem sobie ten dzień, kiedy na plecy wskoczyło mi małe tornado, które powiedziało, że jest mu przykro, że coś mnie zasmuciło. Nie wchodził do tego domu od tamtej nocy. Od śmierci Thomasa i mamy.

Puściłem jego dłoń, a on westchnął i weszliśmy po schodach na werandę. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Otworzyłem je, a Joe wszedł za mną do środka.

Jego oczy błysnęły czerwienią, jak tylko przekroczył próg, a pazury i zęby wysunęły się, jakby nie miał nad nimi żadnej kontroli.

Powiedział:

- Cholera. O Jezu. To nie... Jest inaczej. Nie tak jak...
 - Joe – powiedziałem ostro, upewniwszy się, że znajduję się w bezpiecznej odległości.
 - Czuję jego zapach – warknął z ustami pełnymi ostrych zębów.
 - Był tutaj. Cały czas j e s t. W d r e w n i e. W ś c i a n a c h. On...
- Wtedy to do mnie dotarło.
- Robbie.

Joe spojrział na mnie, a ja przez króciutką chwilę myślałem, że nie zdążę chwycić łomu na czas, że chociaż jestem Alfą, to nadal jestem człowiekiem, a Joe – wręcz przeciwnie.

– Prawie się na niego rzuciłem – oznajmił, robiąc krok w moją stronę. – Jak go pierwszy raz zobaczyłem. Przez to, jak stał obok ciebie. Jak cię dotykał. Znał cię. Znał cię od lat. Zrozumiałem to, jeszcze zanim którykolwiek z was się odezwał. A ty po prostu tam stałeś. Pozwalałeś mu na to wszystko. Wracam do domu i znajduję jego... a on dotyka...

Stał tuż przede mną, a z jego dłoni skapywały małe kropelki krwi, z miejsc, w których pazury przebiły skórę. Miał szeroko otwarte, dzikie oczy, a każdy oddech brzmiał tak, jakby z trudem wypychał powietrze z płuc. Jego słowa przypominały niskie powarkiwanie, a on sam był duży, taki wielki.

Ale ja się go nie bałem.

Nigdy się go nie bałem.

Powiedziałem:

– Joe.

– Ox – warknął wilk, a ja poczułem jego oddech na twarzy.

– On tu mieszka. Jest członkiem mojego stada i mieszka tutaj. Mieszkał tutaj na długo przed tym, zanim przeprowadził się do głównego domu. Wiesz o tym. Wiem, że ci powiedzieli. Twoja mama. Mark. Pozostali. Powiedzieli ci.

Joe zamrugał gwałtownie, a jego oczy rozjarzyły się czerwienią, nim powróciły do swojego normalnego błękitnego koloru. Zrobił krok do tyłu. Wyglądał na przerażonego.

– Ja nie... Ja nie chciałem...

– Przestań – odparłem. – To nie...

– Wyrzuciłbym mu krzywdę – wypalił Joe. Zdawał się tak niemożliwie młody. – Gdybym wiedział, że uszłoby mi to na sucho, wyrzuciłbym mu krzywdę. Pierwszego dnia. Kiedy się na mnie rzucił, musiałem powstrzymać każdą najdrobniejszą cząstkę siebie. A i tak prawie nie wystarczyło. Zabiłbym go bez mrugnięcia okiem.

– Wiem.

– Nie wiesz – rzucił ostro. – Nie wiesz, jakie to było uczucie. Wrócić do domu, wrócić w końcu do domu i znaleźć... jego. I was wszystkich. Jak gdyby nigdy nic. Jakbyście nawet nie potrzebowali naszej czwórki.

Pokiwałem głową i zrobiłem krok do tyłu, żeby zwiększyć choć trochę odległość między nami, zanim odniosłem się do jego słów. Nie mogłem jeszcze zejść mu z oczu.

– Więc będzie tak – powiedziałem i zazgrzytałem zębami. – Będzie tak: zrobimy to. Teraz. W ten sposób.

Zaskoczyłem go.

– Co? O co ci chodzi? W jaki sposób?

Zrobiłem jeszcze jeden krok do tyłu, ze względów bezpieczeństwa, bo może i zależało mi na nim, może i czekałem na ten dzień, ale czasami, och, c z a s a m i Joe Bennett potrafił być tak kurewsko głupi.

– Moja matka u m a r ł a – powiedziałem tak spokojnie, jak tylko mogłem. – Mój Alfa u m a r ł. Chłopiec, którego ko... decyzja, którą podjąłem, mój w y b ó r stał się Alfą. A trochę ponad tydzień później już go nie było.

– Ox – odparł Joe. – Wiesz, dlaczego musiałem...

– Nie – oznajmiłem chłodnym tonem. – Nie wiem. Głównie wiem na temat tego, co musiałeś zrobić.

Zmrużył oczy.

– Powiedziałeś mi, że nie może mu to ujść na sucho. Usiadłeś obok mnie i powiedziałeś, że Richard Collins musi zapłacić za to, co ci zrobił. Co zrobił nam. Naszemu stąd.

– Moja matka właśnie została zamordowana – warknąłem na niego. – Nie myślałem jasno.

– A ja myślałem?

– Najwyraźniej na tyle jasno, by podjąć tę jebaną decyzję za moimi plecami...

– Właśnie sam powiedziałeś, że twoja matka została zamordowana. Że nie myślałeś jasno. – Zaczął chodzić przede mną w tę i z powrotem. – Naprawdę uważasz, że chciałem włożyć na twoje barki jeszcze większy ciężar? Że chciałem wciągać cię w to bardziej, niż już cię wciągnąłem? Oj, byłem siedemnastoletnim Alfą, którego kiedyś torturował ten sam zwyroł, który właśnie zabił mi ojca. Nie myślałem o stadzie. Nie myślałem nawet o swojej matce, niech Bóg się nade mną zlituje. Myślałem o tobie. I o jedynym sposobie, w jaki mogłem cię chronić.

– I dlatego aż do ostatniej chwili trzymałeś przede mną wszystko w tajemnicy – stwierdziłem. – A potem zniknąłeś na trzy lata. Bo to był najlepszy sposób na to, żeby mnie ochronić.

Przestał chodzić i popatrzył na mnie, jakbym był debilem. Przez chwilę nienawidziłem go, bo przypomniał mi się tatko, który patrzył na mnie w podobny sposób.

– Nie zniknąłem...

– Gówno prawda – przerwałem mu bezceremonialnie. – Nie wciskaj mi tu, że było inaczej, Joe Bennett. Bo to by było kłamstwo.

Zacisnął szczęki i zwinął dłonie w pięści. Wziął wdech, wyraźnie próbował się uspokoić. Usiłowałem zrobić to samo, bo jeśli sprawy będą szły jak do tego pory, to wszystko się skończy, zanim się w ogóle zaczęło. Nie chciałem, żeby sytuacja rozwinęła się w ten sposób. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

– Posłuchaj – powiedział. – Ja... podjąłem pewne decyzje. Musiałem. Być może na dłuższą metę okazały się nie najlepsze, ale w tamtej chwili takie mi się wydawały. Nie możesz mnie za to winić.

Zaśmiałem się z goryczą.

– Taa, Joe. Zabawne, ale mogę. I cię obwiniam. W tym problem. – Poszedłem do kuchni. Usiłowałem znaleźć się jak najdalej od niego. Oparłem się o blat. Joe zatrzymał się niedaleko drzwi.

– Ox...

– Wiedziateś?

– O czym?

– O mnie.

– Nie rozumiem.

Pomyślałem sobie, że chyba wiedział.

– Że się taki stałem. Taki, jakim teraz jestem.

– Że jesteś Alfą.

– L u d z k i m Alfą.

Zrobił ruch, jakby chciał pokręcić głową, ale się rozmyślił i westchnął.

– Może.

– Może – powtórzyłem.

Potał twarz dłonią.

– Tata uważał... cóż. Tata myślał o tobie różne rzeczy. Wiesz o tym, prawda? Uważał, że jesteś jego, nawet jeśli nie łączyły cię z nim więzy krwi. Chyba nie widział żadnej różnicy między Carterem, Kellym i mną a tobą. Byłeś jego w takim samym stopniu jak my.

Zabolało, lecz w dobry sposób, jakbym naciskał językiem na ruszający się ząb. Słodko-gorzki ból, który wbił mi się pazurami w serce.

– Tak, Joe – powiedziałem ochryple. – Wiedziałem o tym. Może nie w tamtej chwili. Ale teraz? Teraz już wiem.

Pokiwał głową.

– Czasami, kiedy szliśmy do lasu, tylko ja i on, rozmawialiśmy ze sobą, wiesz? O watasze. O tym, co to znaczyć być Alfą. O tobie. Dużo o tobie rozmawialiśmy. O rzeczach, o których nigdy ci nie mówiłem. O rzeczach, o których sam nie zdążył ci powiedzieć.

Czekałem, nie chciałem mu przerywać.

– Po tym, jak wyszedłeś – podjął na nowo opowieść, wpatrując się w swoje dłonie – tamtego pierwszego dnia, gdy cię znalazłem, oni po prostu się we mnie wpatrywali. Bardzo długo. Zwłaszcza on. Nie słyszeli mojego głosu od... cóż. Od czasu Richarda. Z powodu tego, co mi zrobił. Z powodu tego, jak mnie złamał. Ale ty, Ox... Nigdy wcześniej czegoś takiego nie czułem... Okej, po prostu... Posłuchaj... Wpatrywali się we mnie. Słuchali mnie. Uśmiechali się do mnie. Tulili mnie, śmiali się i płakali na przemian, a ja tylko powtarzałem: „Ox. Ox. Ox”. Wiedziałem, co to oznacza, nawet jeśli nie do końca to rozumiałem. Kiedy im powiedziałem, że chcę dać ci swojego wilka, przestraszyli się, wiesz? Bo oni zrozumieli. Wróciliśmy do domu, by znaleźć jakiś sposób, żeby

mi pomóc, żeby mnie n a p r a w i ć, i już pierwszego dnia trafiłem na ciebie, przyprowadziłem cię do domu, odezwałem się pierwszy raz od grubo ponad roku, a potem im powiedziałem, ile dla mnie znaczysz, choć nie użyłem do tego właściwych słów.

Spojrzał na mnie ponownie. Wyraz twarzy miał ponury i błagalny.

– Oni się bali, Ox. Ale ja byłem pewien. Byłem ciebie tak cholernie pewien. Chciałem, żebyś dostał to, co miało dla mnie największą wartość, nie licząc stada. Jak wilkołak jest mały, dostaje swojego wilka i wszyscy mu mówią, że pewnego dnia znajdzie osobę, której będzie mógł go dać jako symbol tego, ile ta osoba dla niego znaczy. Tata... Mama nie chciała, żebym to robił, wtedy jeszcze nie. Chciała, żebym zaczekał. Powiedziała, że jak lepiej cię poznam, ten gest będzie miał większą wartość. Kiedy będziesz wiedział, w co się pakujesz. Powiedziała mi, że nic nie muszę robić. Że nigdzie się nie wybierasz. Nie obchodziło mnie to. A tata? Tata o tym wiedział. Rozumiał to, wiesz? Powiedziałem mu, że to mój wybór. Bo tego się nas uczy. Że zawsze wszystko sprowadza się do wyborów.

– A ty wybrałeś mnie – powiedziałem cicho.

Zaśmiał się i potarł oczy.

– No, Ox. Tak było. Wiesz, że tak było. A tata... wiedział, że to zrobię. Wiedział, że się nie wycofam. Dlatego powiedział mamie, że wszystko w porządku. Jak wilk wie, to wie. Ale o to właśnie chodzi. Ja n i e w i e d z i a ł e m. Nie mam na myśli ciebie. Co do ciebie zawsze miałem pewność. Ale nie wiedziałem, o co mu chodzi, rozumiesz? Nie wiedziałem. Słyszałem tylko: *tak, Joe, tak, możesz mu dać to, co daje się tylko tej jednej jedynej osobie, której chce się to dać.* Pomógł mi. Wyciągnął skądś to pudełko, do którego włożyłem figurkę. Dał mi wstążkę, żebym je przewiązał. A ja nigdy

go nie spytałem. Jej też nie. Ale wydaje mi się, że to to samo pudełko, w którym on dał swojego wilka mamie.

Wokół nas skrzypiał dom. Nie potrafiłem wymyślić nic, co mógłbym powiedzieć. Nie żeby to było coś nowego. Jasne, z biegiem lat zrobiłem się lepszy w mówieniu. Alfa nie może być milczący, nie za bardzo. Ale czasem słowa nadal sprawiały mi problem. Nie chodziło o to, że mi ich brakowało. Miałem ich raczej za dużo i potrafiły utknąć, kiedy chciały wydostać się wszystkie naraz.

Ale to nic nie szkodziło. Bo Joe miał ich dużo.

– On wiedział – stwierdził. – Myślę, że już wtedy wiedział, że jesteś w pewien sposób inny. Że jesteś wspaniały, życzliwy i niesamowity, oczywiście, ale było też w tobie coś i n n e g o. Nie coś więcej, bo to, czym byłeś, było wystarczające. Ale już wtedy istniała taka część ciebie... On ją rozpoznał. Nie wiem jak. Ale, Ox... On wiedział, rozumiesz? Naprawdę myślę, że on wiedział.

Przyglądał mi się. Wiedziałem, że powinienem coś powiedzieć, cokolwiek, byle tylko wypełnić ciszę, która zapadła po jego słowach. Byłem mu to winien. I sobie.

Powiedziałem:

– Nadal go mam.

Kiwnął głową i obdarzył mnie niepewnym uśmiechem, który szybko znikł.

– W porządku – odparł zdławionym głosem. – W porządku. Tak. Naprawdę? To świetnie, Ox. Wiem...

– Wszystko się zmieniło.

Cokolwiek chciał powiedzieć, zamilkł.

– Nie jestem już taki sam – stwierdziłem.

– Wiem – odrzekł. – Wiedziałem to już w chwili, kiedy tu wróciłem. Nawet wcześniej. Wiedziałem, jak tylko wkroczyłem na terytorium.

– Słyszałeś? Że zostałem Alfą? Po tym, jak odszedłeś?

Pokręcił głową.

– Nic o tobie nie słyszałem.

– Alfa Hughes wie.

Wyglądał na zaskoczonego.

– Jak to? Czy oni...

– Robbie.

Rzucił mi gniewne spojrzenie.

– Robbie.

– Przybył tutaj, żeby... szpiegować nas? Możliwe. Nie wiem.
Zastąpił Osmonda.

– A ty dopuściłeś go do w a t a h y? – zażądał odpowiedzi.

Popatrzyłem na niego chłodno.

– Nie należy do Alfy Hughes. Należy do mnie.

Wzdrygnął się, jakbym go spoliczkował.

– Ox, wiesz, co zrobił Osmond. Zdradził mojego ojca. O ile wiemy, Hughes też maczała w tym palce! Mogli od 1 a t planować jego śmierć.

– On taki nie jest – odparłem.

– Tego nie wiesz – wypluł z siebie Joe. – To samo mówiono o Osmondzie.

– Mówisz tak ze względu na Robbiego? Czy ze względu na siebie?

– Co, u diabła?

– To mój przyjaciel, Joe. I tyle.

– Jasne – powiedział Joe zgryźliwie. Przestał udawać. – I nic więcej. Wcale nie liczy na nic więcej.

– Ja nie chcę niczego więcej.

– On nie może... Nie jest...

– Powiedziałem mu to. On wie.

– Co wie?

Nie byłem na to gotowy. Tak łatwo byłoby wybawić go z opresji i jakaś część mnie chciała to zrobić. Byłem już tym wszystkim zmęczony. Całym tym gniewem.

Powiedziałem:

– Odciąłeś się od nas.

Cofnął się o krok.

– Oх.

– Napisałeś: „przepraszam”. W środku nocy, bo wiedziałeś, że nie przeczytam tego od razu. Jak tchórz. Napisałeś: „przepraszam”, a potem przestałeś się ze mną kontaktować. Przestałeś się z n a m i kontaktować. Na kilka l a t.

Zaczynał się nakręcać na kolejną walkę. Poznałem to po kamiennym wyrazie jego twarzy. Lecz nie zamierzałem mu przepuścić. W wielu kwestiach się mylił. Ale pomyślałem sobie, że to była jego największa pomyłka.

– Zrobiłem, co musiałem – powiedział spokojnym głosem.

– Co musiałeś – powtórzyłem jak echo. – A to niby dlaczego?

– Nie mogliśmy sobie pozwolić, by coś nas rozpraszało.

Prychnąłem.

– Jasne. Wy, czyli wszyscy. Znaczy, że zgadzaliście się w tej kwestii?

Zawahał się.

– Nie zgadzaliście się, prawda? – spytałem. – Nie wszyscy się na to zgodzili.

– To nie...

Trzasnąłem ręką w blat.

– Tylko mi nie mów, że to nie ma znaczenia. Bo ma. Wszystko ma znaczenie. Rozumiem, jak musiałeś się czuć, Joe. Naprawdę, łapię...

– Niczego nie łapiesz – wybuchnął. – Nie rozumiesz, bo cię tam nie było!

– A kto podjął taką decyzję? – spytałem zimno. – Dałeś mi jasno do zrozumienia, że...

– Przestań – powiedział i wycelował we mnie pazur. – Nie masz prawa mówić, że cię nie potrzebowałem. Nie masz prawa, bo tak nie było. Potrzebowałem cię. Potrzebowałem cię, kurwa, aż za bardzo.

– Na tym polegał problem, co? – zauważyłem, a odpowiedzi nagle zaczęły układać się w logiczną całość. – Byłem twoim postronkiem. A ty nie mogłeś sobie na to pozwolić. Nie kiedy wyruszyłeś na tę swoją misję.

– Za każdym razem, gdy widziałem napisane przez ciebie słowa – stwierdził – za każdym razem, gdy ci odpisywałem, coraz bardziej pragnąłem wrócić do domu. Do ciebie. Do pozostałych. Ale nie mogłem, Ox. Nie mogłem, bo miałem zadanie do wykonania. Richard coś mi odebrał, a co gorsza, odebrał coś tobie. A nie mogłem zrobić tego, co trzeba było zrobić, kiedy ciągle przypominałeś mi o domu. Więc tak, przestałem się odzywać. Odciąłem się od was wszystkich. Zrobiłem to, bo za bardzo mi na tobie zależało, żebym mógł zrobić to, co zrobić musiałem.

Powtarzałem sobie, że jeśli będę cię trzymał z dala od siebie, od t e g o, to w ten sposób cię ochronię.

– Myliłeś się – odparłem. – Nie byliśmy bezpieczni. Nie przez cały czas.

– Wiem – powiedział, jakby uszło z niego powietrze. – Powiedzieli mi. Pozostali. Nie myślałem...

– Nie, nie myślałeś. Bo skupiłeś się na jednej jedynej rzeczy.

– Na zemście – przyznał. – Na wściekłości. Na pragnieniu, by go odnaleźć i sprawić, żeby cierpiał.

– Ale ci się nie udało. – Nie chciałem, żeby zabrzmiało to tak, jakbym go oskarżał.

Zwiesił ramiona.

– Nie. Byliśmy... blisko. Tak wiele razy. Ale zawsze udawało mu się być krok przed nami. Staralem się, Ox. Próbowałem wszystko naprawić. Ale nie potrafiłem. Więc po prostu próbowałem dalej.

– Wróciłbyś tu w ogóle, gdybyś nie uważał, że znów chce nas dopaść? – spytałem.

– Nie wiem – odrzekł, a jego szczerłość mnie z a b o l a ł a.

Pokiwałem głową. Czułem się, jakby ktoś napompował mi głowę. Nie wiedziałem, co jeszcze mógłbym zrobić.

– Dlaczego miałby się tu teraz zjawić? Dlaczego, po takim czasie, miałby tu wracać? Czemu nie wcześniej?

– Nie wiem.

– Kiedy tu dotrze?

– Nie wiem.

– Co musimy zrobić?

– Nie wiem.

– A co ty, kurwa, wiesz? – warknąłem. – Zmarnowałeś trzy cholerne lata naszego życia p o n i c?

Wzdrygnął się i spuścił oczy na podłogę.

Nie mogłem przestać. Nie teraz, kiedy otworzyłem się z hukiem.

– Powiedz mi coś, Joe. Warto było? Warto było mnie chronić w ten sposób? Warto było zostawić nas wszystkich, żeby ścigać pieprzonego ducha?

– Nie...

– Tylko mi nie mów, że nie wiesz! – ryknąłem na niego.

– Powiedz mi, kurwa, coś, co wiesz.

– Wiem, że cię kocham. – Oddech uwiązał mu w piersi.

A ja po prostu... Nie mogłem oddychać.

Wszystko wydawało mi się zbyt głośne. Zbyt prawdziwe. Zbyt jaskrawe. Chciałem zadać sobie ból, by się przekonać, czy to jawa, czy sen. Ze wszystkich rzeczy, które mógł powiedzieć, tego spodziewałem się najmniej.

To nie było f a i r.

– Co? – wychrypiałem.

Nie podniósł na mnie wzroku, który wciąż miał wycelowany w podłogę. Kiedy się odezwał, mówił głosem cichszym, niż kiedykolwiek słyszałem. Powiedział:

– Nie wiem zbyt wiele. Już nie. Wszystko się zmieniło. Ty się zmieniłeś. Stado się zmieniło. Są w nim ludzie. To miejsce już nie wygląda tak, jak je zostawiliśmy. A Carter i Kelly... oni po prostu... Znów pasują. Jakby nic się nie stało. Jakbyśmy w ogóle stąd nie wyjeżdżali. Pasują do mamy. Do Marka. Do wszystkich tych n i e z n a j o m y c h. Do ciebie. I do Gorda. Gordo, Ox... On nawet nie musi się martwić. Zawsze miał ciebie. Nawet jeśli jakimś sposobem

tamtej nocy związał się ze mną. Nawet jeśli stał się mój, to i tak zawsze był twój. Oni wszyscy są twoi. A ja tu jestem... nie wiem, po co tu jestem. Nawaliłem, Ox. – Otarł oczy, a w mojej piersi coś się roztrzaskało. – Zdawało mi się, że robię to, co należy. Myślałem, że dzięki mnie jesteście bezpieczni. Ale zachowywałem się samolubnie. Bo chciałem tylko, żebyś ty był bezpieczny. Chciałem utrzymać cię z dala od potworów. Gdybyś mnie nie znał, gdybyśmy nigdy się nie spotkali, nie byłoby cię tu teraz. Twoja mama by żyła. A ty byłbyś szczęśliwy. Myślałem, że tego właśnie byś chciał. I im dłużej mnie nie było, tym łatwiej byłoby ci zapomnieć o mnie i o wszystkim, co ci zrobiłem. Chciałem wrócić do domu, Ox. Jedyna rzecz, której pragnąłem, to wrócić do domu, bo bez ciebie ja nie mam domu.

– Joe... – wydukałem.

Podniósł rękę, żeby mnie uciszyć.

– Po prostu... pozwól... Wiem, że ty... masz wybór. Nadal. I wiem, że nie zrobiłem nic, byś wciąż chciał wybrać mnie. Nie przeszkadza mi to. Jeśli jest ktoś – głos miał zduszony i chrapliwy – inny albo jeśli mógłby być, to nie będę stawał ci na drodze. Ja tylko chcę być tam, gdzie ty. Jako przyjaciel. Albo członek stada. Albo żebyśmy byli ty i ja, jak przed tym wszystkim. Nie musisz zatrzymywać wilka, Ox. Nie musisz. Po prostu chciałem znaleźć się blisko ciebie, bo jestem zmęczony. Rozumiesz? Jestem tym wszystkim taki zmęczony. Uciekaniem. Niemożnością dostania tego, czego chcę. Chcę ciebie. Pozwól, żebym cię miał. Proszę. Jeśli nie mogę cię mieć, to nic innego nie ma znaczenia. Pozwól mi, proszę, po prostu mi pozwól. Teraz to ty jesteś tu Alfą, ale proszę, nie każ mi odchodzić.

Zanim skończył, jego twarz zrobiła się cała mokra. Przeobraził się połowicznie, był bliski całkowitego zatracenia się w wilku. Nie wiedziałem, w jakim stopniu potrafi się teraz kontrolować – tylko raz podczas pełni widziałem, jak się zmienia.

Nie chodziło o to, że mu nie ufałem, przynajmniej w tej kwestii. Joe nigdy by mnie nie skrzywdził, nie fizycznie.

Nie chciałem już dłużej z tym walczyć. Nie chciałem walczyć z nim.

Zrobiłem krok w jego stronę.

Jego oczy znów rozbłyły.

– Stój – powiedział. – Nie możesz. OX, osuwam się.

– Nic takiego się nie stanie – odparłem.

– Tego nie wiesz – tłumaczył. – Teraz jest inaczej. Nie odnajdziesz dla mnie drogi powrotnej, bo t e r a z j e s t i n a c z e j.

Wiedziałem o tym. Obaj wiedzieliśmy. Ktoś mógłby na nas popatrzeć i zastanawiać się, jakim cudem zaszliśmy tak daleko. Po wszystkim, co przeżyliśmy. Po wszystkim, co obaj zrobiliśmy. On odszedł. Ja zostałem. Zająłem jego miejsce, czy tego chciałem, czy nie. Długo byłem na niego wściekły. On ten czas spędził na wściekaniu się na samego siebie.

A jednak nic z tego nie miało znaczenia. Może znów go nabierze, może nawet wkrótce, ale w tej chwili nie mogłem znieść myśli, że miałbym choćby jeszcze przez sekundę go nie dotykać.

– Nie – powiedział – nie, nie, nie, nie możesz...

Stanąłem przed nim.

Oparł się plecami o drzwi.

Zderzyliśmy się kolanami.

Otarłem się rękami o jego ręce.

Po takim czasie wydawało się to takie wspaniałe.

Zawarczał na mnie, bardziej wilk niż człowiek, a ja położyłem mu dłoń na twarzy, na tej połowicznie przeobrażonej twarzy, na której biała sierść to wyrastała, to rzedła, jakby zatrzymał się gdzieś w połowie. Jak tylko moje palce dotknęły jego skóry, zadrżał, a ja przez chwilę myślałem, że to nie wystarczy. Że zbyt wiele rzeczy stało między nami, by mógł odnaleźć drogę powrotną.

Teraz już rozumiałem, ile kosztował go jego wybór. Może i był Alfą, może i miał przy sobie braci i Gorda, którzy utrzymywali go przy zdrowych zmysłach, ale był też prawie Omega, bo zerwał się z postronka, by oddać się we władanie swojemu wilkowi. Nie mógł się na mnie skupić, bo ja utrzymywałem jego człowieczeństwo. A on poświęcił je dla wilka. Żeby stać się drapieżnikiem. Myśliwym.

Możliwe, że na darmo.

Minione trzy lata mogły iść n a d a r m o.

Nie poszły.

Bo byłem tutaj, stałem z uniesioną głową, choć czułem się, jakbym się rozpadał.

Mój tatko powiedział, że ludzie będą mnie chujowo traktować i że będzie bolało. Mój ojciec był kłamcą. Wszystko to było gównem prawda.

A ja wciąż, kurwa, stałem. Powiedziałem:

– Hej, Joe.

Spojrzał na mnie oczyma czerwonymi jak ogień, skóra na jego twarzy marszczyła się pod wpływem przemiany. Powiedział:

– O x.

Mama zabrała mnie kiedyś do kościoła. Po tym, jak ojciec od nas odszedł. Pomyślała, że Jezus przyda się nam obojgu. Joe wymówił

moje imię w taki sam sposób, w jaki kaznodzieja mówił o Bogu. Z nabożną czcią i trwogą. Z grozą i uwielbieniem.

Nie wiedziałem, co mam z tym zrobić. Nie wiedziałem, czy na to zasłużyłem. Zrobiłem jedyną rzecz, która przyszła mi do głowy. Pocałowałem Joego Bennetta. Tam, w starym domu. I w tamtej chwili wszystko znów było w porządku.

Było jak dawniej.

Tyle że nie.

Leżeliśmy obok siebie, zwrócenii twarzami do siebie w moim starym łóżku. Nie mieściliśmy się na nim, jak mieściliśmy się kiedyś.

Ja niewiele się zmieniłem. Może zrobiłem się trochę szerszy, ale to wszystko. Za to Joe... Joe się zmienił. Zajmował więcej miejsca niż kiedykolwiek.

Było nam ciasno. Ale jakoś daliśmy radę. Joe wcisnął jedną nogę pomiędzy moje. Przytrzymałem ją w miejscu.

Podzieliliśmy się poduszką. Wmawiałem sobie, że to tylko po to, by nie zleciał z łóżka. Ale tak naprawdę chciałem mieć go tak blisko siebie, jak się dało.

Nie miał nic przeciwko. Pomyślałem sobie, że może on także potrzebował bliskości. Niewiele rozmawialiśmy, przynajmniej przez jakiś czas. Odnosiłem wrażenie, że ostatnio nie robię nic innego, tylko gadam. Miło było od tego odpocząć. Nie potrzebować słów. Wiedziałem, że to nie potrwa wiecznie, ale to nic. Na razie mi wystarczało.

Wszedł do pokoju, zupełnie jakby zrobił to po raz pierwszy, rozglądał się na wszystkie strony, przyglądał się wszystkiemu wnikliwie. Nie wiedziałem, co widzi, jakie zauważył różnice. Jakie różnice zauważył we mnie. Ale dostrzegłem moment, w którym odnalazł małego kamiennego wilka nadal stojącego na moim starym biurku. Zamarł, a jęk, który mu się wyrwał, był bardziej wilczy niż ludzki – niski dźwięk, jakby rannego zwierzęcia, przez który zabolalo mnie serce. Nie ruszył w jego stronę, nie wyciągnął nawet ręki, by go dotknąć, ale i tak wiedział, że tam stoi. Co dla mnie znaczy. I dla niego także.

Kiedy położyliśmy się na łóżku, nie spuszczał ze mnie wzroku, jakby próbował zapamiętać mnie na nowo. Skłamałbym, mówiąc, że robiłem to samo. Zastanawiałem się, co bym zobaczył, gdyby nie potrafił się regenerować. Jakie ujrzełbym blizny. Jakie historie by mi opowiedziały. Ja też dostałem za swoje. Na brzuchu. Na prawym ramieniu. Najgorzej wyglądały plecy, poharatane przez Omegę tamtej nocy, kiedy zginął Thomas. Blizny opowiadały moją historię. Historii Joego nie mogłem odczytać.

Świat poza moim pokojem biegł swoim torem, lecz my go ignorowaliśmy.

Joe wyciągnął rękę i przejechał palcem wzdłuż moich brwi. Po policzku. Po czole. Po czubku nosa. Musnął nim moje usta, a ja pocałowałem opuszkę, ledwie przyciskając wargi.

Pragnąłem... więcej od niego. Więcej, niż pragnąłem od kogokolwiek przed nim. Łatwo byłoby to wziąć, bo on oddałby mi wszystko, co miał. Ale nie mogłem tego zrobić. Jeszcze nie. Pomyślałem, że może wkroczyłem na ścieżkę przebaczenia, o ile nadal było co przebaczać, ale jeszcze do niego nie dotarłem.

Wciąż miałem watahę, o której musiałem myśleć. Terytorium, którego musiałem bronić.

Nie chciałem się odzywać. Ale musiałem. Powiedziałem:

– Hej, Joe.

Odparł:

– Tak, Ox?

Przez chwilę nie mogłem złapać tchu, bo kiedy wyobrażałem sobie, jak w końcu do mnie wraca, jak leży w moim łóżku, nigdy nie spodziewałem się, że będę się czuł tak jak teraz.

Musiał usłyszeć, jak moje serce się potknęło, bo położył mi dłoń na piersi. Trzymał ją pod dziwnym kątem, nie miał dość miejsca, by przycisnąć ją mocniej, lecz wiedziałem, co robi.

Rytm mojego serca zwolnił. Uspokoił się.

– Muszę wiedzieć – powiedziałem w końcu.

Mruknął coś cicho pod nosem, oczy mu załśniły.

– On nadchodzi, prawda?

– Tak.

– Znowu.

– Tak.

– Dlaczego?

Jego zęby się wyostrzyły.

– Bo to właśnie robi. Przestał zachowywać się racjonalnie. Zatracił się w swoim wewnętrznym wilku. Sądzę, że już nawet nie pamięta, jak to jest być człowiekiem. Wilk... rozumuje inaczej, Ox. To wciąż jesteśmy my. Nadal tkwimy w środku, ale kiedy się zmieniamy, kiedy się przeobrażamy, tracimy racjonalność. Zostaje nagi instynkt. Wszystko staje się bardziej czarno-białe. To nasza ludzka strona operuje odcieniami szarości. On utracił ten sposób

rozumowania. Poświęcił swoje człowieczeństwo, bo wini ludzi za zniszczenie jego rodziny. To nie musi być nic bardziej skomplikowanego.

– Dlaczego teraz?

Poczułem, jak pazury Joego przebiły mi koszulę i ukłuły mnie w pierś, lecz chłopak nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Bo wiedział, że dzięki temu ściągnie mnie tu z powrotem. Potrzebował czasu, żeby się zregenerować. Wylizać rany. Zebrać się z powrotem do kupy. Zmienił kierunek, ale meta pozostała ta sama. Dopilnował, żeby wiadomość o Kingach do nas dotarła. Zabicie Davida było ostatnim sygnałem. Wszystko wskazywało na Green Creek.

– Krąży wokół nas.

Joe uśmiechnął się z goryczą.

– Raczej zastawia na nas sidła. Wie, że zagrażając tobie, nie pozostawił mi wyboru.

– Zawsze jest jakiś wybór.

Jego uśmiech złagodniał.

– Nie kiedy chodzi o ciebie.

Nie mogłem dłużej tego znieść. Na skórze czułem podniecenie, pragnąłem go dotknąć, naznaczyć, ugryźć, ale najpierw musiałem to zakończyć. Musiałem się upewnić.

– Co zrobimy?

Westchnął.

– To, co musimy. Zmęczyło mnie uciekanie, Ox. Zmęczyła mnie gonitwa za cieniami. Jedyne, czego chcę, to wbić pięty w tę ziemię, bo kiedyś należała do mojego ojca. I wiem, że chciał ją przekazać mnie. To był jego dom. Teraz ziemia należy do ciebie, ale to mi nie

przeszkadza. Nie mam nic przeciwko. Przeciwko tobie ani temu, czym się stałeś. Ale chciałbym, żeby ziemia była także moja. Chcę, by była nasza. Jeśli pozwolisz. Jeśli mnie zechcesz.

Ogarnęły mnie wątpliwości.

– Ja nie...

– Nie – warknął. – Nie wolno ci tak mówić. Nie wolno ci mówić, że jesteś n i c z y m.

Oczywiście, że wiedział. Szcątkowy strach, którego nigdy nie potrafiłem się pozbyć, pozostałości z czasów, kiedy sądziłem, że do niczego nie dojdę. Może i wiedziałem teraz, że coś dla kogoś znaczyłem. Dla wielu ktosiów. Może i widziałem to w ich oczach, kiedy na mnie patrzyli. Ale to nie znaczyło, że przestałem się czuć jak dzieciak bawiący się w przebieranki. Albo owca w wilczej skórze. To, czym byłem, to była maska i nieźle w niej wyglądałem.

Zabawne, ale prawie w to uwierzyłem.

– Ox – powiedział Joe sfrustrowanym tonem. – Dlaczego tego nie dostrzegasz?

– Jestem człowiekiem – odparłem, jakby to wszystko tłumaczyło. Według mnie tłumaczyło.

Uśmiechnął się.

– Wiem. I to jest w tym wszystkim najlepsze.

Zaczęliśmy szeptać, jakby mówienie o tym na głos mogło sprawić, że stałoby się mniej realne.

Spytałem:

– Co zrobimy?

Odparł:

– Co możemy.

Powiedziałem:

– Nie wiem, czy sam dam radę.

Odparł:

– Nie będziesz musiał. Ox, nie rozumiesz? Jestem tutaj. Jeśli mi pozwolisz.

Powiedziałem:

– Nie możesz znów odejść. Nie możesz. Nie możesz. Nawet jeśli on się zjawi. Nawet jeśli ponownie ucieknie. Joe, nie możesz nas znów zostawić. Nie możesz m n i e znów zostawić.

Odparł:

– Nie zrobię tego. – Usłyszałem ukrytą w tych trzech słowach obietnicę, intencję Joego. Wiele mógłbym powiedzieć o Joem Bennecie, ale nie był kłamcą. Mógł sobie zasłużyć na mój gniew, niezależnie od tego, ile go jeszcze pozostało. Mógł trzymać w swoich rękach resztki mojego zaufania. Ale Joe Bennett nigdy by mnie nie okłamał. Nie w takiej sprawie. Nie na tak ważny temat.

Uwierzyłem mu.

Więc nie wiem, czy można mnie winić za to, że rzuciłem się do przodu, myśląc *teraz i w końcu*, i *JoeJoeJoe*. Wydał z siebie pojedynczy jęk, lecz go połknąłem, przycisnąwszy swoje usta do jego ust, gorączkowo i brutalnie. Uniósł ręce i chwycił moją twarz, przysunął mnie blisko. Pomijając jego smak, myślałem jedynie o tym, jak ostatni raz leżeliśmy tak razem, tuż obok siebie. Wtedy się żegnaliśmy, a teraz mówiliśmy sobie: *witaj, witaj, nie mogę uwierzyć, że tu jesteś, witaj*.

Z początku zachowywałem się niezdarnie. Kął był dziwny, rytm zakłócały zęby i zbyt duża ilość śliny. Dotarło do mnie, że jestem drugą osobą, którą całował w życiu, o ile powiedział mi prawdę.

Frankie był niczym więcej, jak tylko przelotną myślą; nigdy nie chciałem wiedzieć, do czego dokładnie doszło między nimi.

Złagodziłem to, jak tylko się dało, zwolniłem tempo, rozciągnąłem wszystko w czasie. Joe zaczął ciężko oddychać, gdy przesunąłem językiem po jego wargach. Wydał z siebie cichy jęk, najcichszy z dźwięków, rozchylił usta i zetknęliśmy się językami.

W jednej chwili pochylałem się nad nim, w następnej leżałem już na plecach, a wilkołak, samiec Alfa siedział na mnie okrakiem, w jego piersi wibrowało warczenie. Przeciągnął nosem wzdłuż mojej szyi, aż za ucho, wdychając moją woń. W ślad za nosem szły usta, wilgotne na moim gardle, pozostawiały na mojej skórze małe obłoczki oddechu, kiedy Joe próbował mieszać swój zapach z moim.

Wyciągnął się, leżąc na mnie. Jeśli miałem jakiegokolwiek wątpliwości, czy jesteśmy tego samego wzrostu, to teraz zostały rozwiane, bo pasowaliśmy do siebie idealnie, od czubka głowy aż po palce stóp. Przyłgął do mnie, aż poczułem twardy zarys jego kutasa przyciskający się do mojego.

Wyciągnąłem rękę i położyłem mu dłoń na potylicy, by przyciągnąć go bliżej do swojej szyi. Zaczął dyszeć, jakby sytuacja go przytłaczała, jakby zwała mu się na głowę. Przejechał wargami i językiem aż do mojej żuchwy i ponownie mnie pocałował. Wciąż brakowało mu pewności siebie, jego pocałunki były nieśmiałe i niewyćwiczone, ale czułem się z nim bardziej realnie niż z wszystkimi innymi osobami, z którymi kiedykolwiek byłem.

Puściłem jego głowę i zsunąłem dłoń na szerokie plecy, próbowałem odnaleźć nagą skórę, poczuć bijące od niego ciepło.

Podwinąłem mu koszulkę i dotknąłem jego grzbietu, przycisnąłem płasko dłoń, by popchnąć go w dół, podczas gdy sam uniosłem się w poszukiwaniu szorstkiego tarcia. Jęknął mi prosto w usta, gdy nasze kutasy na krótką chwilę zetknęły się na całej długości, by w końcu ustawić się obok siebie.

Odsunął się, tylko troszeczkę, i kiedy muskał wargami moje usta, powiedział:

– Nie wiem, co robić. Nigdy tego nie robiłem. Nie wiem, co robić. – Jego oczy zapłonęły najjaśniejszą czerwienią, jaką dotąd widziałem, jakby trawił go wewnętrzny ogień, który usiłował przepalić się na zewnątrz.

– Rozumiem – odparłem. – Ale ja wiem, wszystkim się zajmę...

No, naprawdę. Powinienem był wiedzieć, że w łóżku pod żadnym pozorem nie należy wspominać obecnemu partnerowi seksualnemu o swoich wcześniejszych doświadczeniach na tym polu, zwłaszcza jeśli zupełnym przypadkiem jest on samcem Alfa na skraju wybuchu. Jak tylko powiedziałem, że wiem, bo naprawdę wiedziałem, co robić, Joe przygwoździł mi ręce nad głową i zaczął warczeć tuż nad moją twarzą, obnażając ostre zęby. Oczy rozjarzyły mu się niemożliwym blaskiem.

– Powiedziałeś, że tego nie robiłeś, kiedy mnie nie było – ryknął, a jego biodra obijały się o moje, jakby nie nadażały za faktem, że ich właściciel się wkurzył.

Nie żeby miał do tego jakiegokolwiek prawo.

– Nie robiłem – odwarknąłem. – Mówiłem ci, że...

– Nie będzie nikogo więcej – powiedział, a potem z rozmysłem zakręcił biodrami, jakby chciał zobaczyć z bliska moją reakcję.

Nie udało mi się zapanować nad powiekami, które zatrzepotały i zamknęły się, podczas gdy język wysunął się szybko z ust, by zwilżyć wargi. Wydyszałem:

– J o e. – A on zrobił to ponownie, tym razem mocniej.

– Powiedz to – wyszeptał seksownym głosem, przyciskając swoje czoło do mojego, raz po raz zataczając kręgi biodrami. – No, powiedz to, Ox.

Byłem popieprzony. Naprawdę. Wiedziałem, czego chciał, wiedziałem, ile znaczyło to dla wilka, ale była w tym taka zaborczość. Coś takiego nie leżało w mojej naturze. Nie byłem r z e c z ą.

Ale cholera jasna, rozwaliło mnie to bardziej niż cokolwiek innego.

Ta część mnie, która była Alfą, na samą myśl zgrzytała wściekle zębami. Ale była we mnie jeszcze większa część, która cała była Oxem, która mówiła: *tak tak tak*.

– P o w i e d z t o – rozkazał wilk tuż koło mojego ucha.

– Tak – powiedziałem ochrypłym głosem. – Twój, Joe. Jestem twój.

Zatrząsał się nade mną, wciągnął ze świstem powietrze, jakby go to zaskoczyło, jakby się nie spodziewał, że się z nim zgodzę, że zrobię, co każe. Nie wiedziałem, jak bardzo brak mu pewności siebie ani jak dalece instynkt wziął nad nim górę, ale nie ulegało wątpliwości, że tego się nie spodziewał.

Zawsze to jakiś początek, pomyślałem. Dla nas obydwu.

Bo chociaż nadal był niezdarny, chociaż nie wiedział, co robić, usiadł mi okrakiem w pasie i oparł zgięte w kolanach nogi po moich bokach. Jeszcze raz zakręcił biodrami, złapał dół koszulki

i przeciągnął ją przez głowę, by ukazać tę swoją szeroką pierś porośniętą rzadkimi włosami i rzeźbę brzucha. Rzucił koszulkę na podłogę i odchylił się do tyłu, podparłszy się rękoma, a ja bładziłem dłońmi po jego ciele. Miał ciemne sutki, wokół których rosły kępki skręconych włosów. Chwyciłem jeden między palce i przekręciłem gwałtownie, obserwując, jak napinają mu się mięśnie brzucha, a usta otwierają ze zdziwienia.

A ponieważ mogłem, usiadłem i otoczyłem rękami jego plecy, przyciągnąłem go blisko siebie i odwiedziłem językiem te same miejsca, w których wcześniej znajdowały się moje palce. Jego sutek stwardniał pod moim dotykiem, a ja drasnąłem skórę wokół niego zębami, tylko po to, by poczuć, jak Joe drży.

Czułem przez dzinsy, jak jego kutas przyciska mi się do brzucha, lecz nie byłem jeszcze na to gotowy. Sięgnął mi dłońmi do pleców, gdy ja drażniłem jego ciało zębami, i podciągnął mi roboczą koszulkę i koszulkę bez rękawów, którą miałem pod spodem, aż pod pachy. Odsunąłem się delikatnie, by móc je zdjąć. Nie widziałem, gdzie wylądowały, bo tyle nagiej skóry przyciskało się do mojej. Joe był rozpalony, jakby trawiła go gorączka. Odchylił mi głowę do tyłu i złożył na moich ustach kolejny pocałunek, niezdarny i mokry. Smakował dokładnie tak, jak myślałem, czystością i siłą. Położył mi dłonie po bokach twarzy, a ja schwyciłem jego pośladki i ścisnąłem, by przyciągnąć go do siebie jeszcze bliżej.

Wymruczał moje imię z wargami tuż przy moich ustach, nim znów odchyliłem głowę do tyłu. Odnalazł zębami skórę na moim gardle i zaczął ssać, by zostawić na niej swój ślad. Coś się we mnie poruszyło i zawarczało na myśl, że mnie naznaczy, próbowało go zmusić, by ssał mocniej, użył do tego więcej zębów. Chciałem nosić

jego znak, by wszyscy mogli go zobaczyć, by nikt nie miał wątpliwości, kto go na mnie umieścił. Nikt inny nie wzbudzał we mnie podobnych myśli, ale też nigdy wcześniej nie byłem z nikim takim jak on.

Kiedy on wciąż mnie naznaczał, włożyłem między nas rękę, próbowałem pochwycić przód jego spodni. Nie trafiłem w rozporek, przejechałem kłykciami wzdłuż konturów stwardniałego kutasa. Zrobiłem to przypadkiem, lecz powtórzyłem, już z rozmysłem, kiedy zajęczał z ustami tuż przy mojej szyi. Celowo zwiększyłem nacisk. Ocierał się o mnie, podczas gdy ja starałem się, jak mogłem, żeby go pochwycić, ale materiał był zbyt miękki, ślizgał mi się między palcami, tarcie okazało się niewystarczające.

Wyciągnąłem dłoń, położyłem mu na piersi i pchnąłem, by znów odchylił się do tyłu. Oczy miał czerwone i walczył z opadającymi powiekami, kiedy spojrzał pomiędzy nas zdumiony. Usta miał opuchnięte i śliskie od wilgoci, a mnie przemknęła przez głowę dzika myśl, że to moja sprawka. Że to przeze mnie tak wygląda.

Wyćwiczonym ruchem nadgarstka rozpiąłem guzik jego spodni, przez co na mnie warknął, lecz go zignorowałem. Nie powinien się martwić moim doświadczeniem, zwłaszcza że miał czerpać z niego korzyści.

– Jezu – mruknąłem. – Dlaczego ty nigdy nie nosisz majtek?

Wyszczrzył się paskudnie.

– Miałem pewne oczekiwania.

Prychnąłem i przesunąłem palcem u podstawy jego fiuta, a szorstkie włosy łonowe połaskotały mnie po grzbiecie dłoni. Oddech uwiązł mu w piersi, gdy oniemiałem, uświadomiwszy sobie,

że go prowokuję, że on tu jest, że jesteśmy razem i że go prowokuję. Myśl, że nikt inny mu tego nie robił (teraz już nie miałem co do tego wątpliwości), sprawiła tylko, że poczułem się jeszcze potężniejszy. Myśl, że tylko ja go takim widziałem.

(I jestem jedynym, który się do niego dobierze, wyszeptał mi w głowie jakiś cichutki głosik, który odepchnąłem, bo to by było za dużo, za dużo, żebym nawet o tym myślał, chociaż gadzia część mojego mózgu powtarzała: tak, tak, tak).

Wyciągnąłem jego kutasa ze spodni, uważając na suwak. Był nieobrzesany i półtwardy, chudszy niż mój, ale chyba trochę dłuższy. Jego ciężar w mojej dłoni spowodował drobne zwarcie w moim mózgu. Wilki mają wysoką temperaturę ciała, więc wydawał mi się gorący. Schwyciłem go i ścisnąłem delikatnie, bo na więcej się nie odważyłem. Przyglądałem się, jak zsuwa się z niego napletek, a Joe jęknął i zaczął poruszać się w mojej dłoni.

- Ox – powiedział zduszonym, zziąjanym głosem.
- Wiem – odparłem łagodnie i zacieśniłem chwyt.
- Musisz...
- Wiem.
- Z r ó b c o ś!

Puściłem jego kutasa, a on odetchnął ciężko, jakby ktoś walnął go w brzuch. Zanim zdążył zaprotestować, uniosłem dłoń do jego twarzy i nakazałem:

- Liź.

Nie zakwestionował polecenia. Złapał moją rękę, przybliżył ją sobie do ust i zaczął przesuwając szorstkim językiem po wnętrzu dłoni, między palcami, w końcu włożył dwa z nich do buzi i zaczął ssać, aż stały się mokre i śliskie od śliny. Zagryzłem zęby, żeby nie

popchnąć go do tyłu i nie wziąć tu i teraz tego, na co miałem ochotę. Ale nie chodziło o mnie. Jeszcze nie. Musiałem sprawić, by było mu dobrze.

Kiedy zabrałem rękę, zaskomlił, po czym otarł sobie usta wierzchem dłoni.

– Co ty...?

Urwał, gdy znów chwyciłem go za fiuta i z pomocą jego śliny przesuwałem dłonią w górę i w dół. Kiedy go masturbowałem, położył mi ręce na barkach. Pazury miał wysunięte, lecz nie wbijał mi ich w skórę. Mięśnie jego brzucha napięły się, a ja pochyliłem się do przodu i polizałem go po klacie. Otoczył moją szyję ramionami i przyciągnął mnie do siebie, ledwie zostawił między nami dość miejsca na moją rękę. Powarkiwał mi przy uchu, mruczał jednostajnie jak kot, a ja wiedziałem, że będę się później z niego nabijał z tego powodu.

Przesunąłem kciukiem po czubku jego kutasa, a on szarpnął biodrami. Jęknąłem. Suwak wbijał się mi boleśnie w fiuta uwięzzonego pod tyłkiem Joego. Nie mogłem dojść w ten sposób, i nie chciałem. Nie byłem już gówniarzem, żeby spuszczać się w spodnie.

Przejechałem nosem wzdłuż jego szyi. Dopiero później zdałem sobie sprawę, że nie zamarł ani się nie odsunął. Odsłonił przede mną gardło, jakby to nie było nic takiego, jakby nie był Alfą nieprzyzwyczajonym do robienia takich rzeczy. Wiedziałem, że dla wilka gardło to wrażliwa część ciała. Pokazywało pozycję, szczególnie w przypadku Alfę. Bety zawsze obnażały gardło przez Alfę jako wyraz szacunku. Nawet ludzie z mojej watahy nabrali tego

zwyczaju i robili tak za każdym razem, gdy mnie widzieli. Była to automatyczna reakcja, z której chyba przestali zdawać sobie sprawę.

Joe odchylił głowę do tyłu, jakby nikt nigdy mu nie zagroził, jakby nikt nigdy go nie skrzywdził, a ja wiedziałem, co to oznacza. Przywarłem zębami do skóry i ugrzyzłem, nie na tyle mocno, by poląła się krew, lecz wystarczająco, by to poczuł. Jego wilk czał się tuż pod powierzchnią, o ile wydawane przez niego odgłosy mogły o czymś świadczyć, a ja czułem się bardziej jak zwierzę niż jak człowiek, słowa takie jak: *mój, towarzysz* i *posiadanie* przewijały się zapętłone w mojej głowie.

To mi nie wystarczyło.

Odepchnąłem go. Nie zaprotestował. Odbił się od materaca z kutasem wystającym obscenicznie spod zsuniętych nisko na biodra dżinsów. Szarpnięciem ściągnąłem je w dół, paznokciami drasnąłem umięśnione uda. Próbował mi pomóc, lecz jego ruchy były nerwowe, a on sam drżał z podniecenia. Usiłował zrzucić z siebie spodnie, kopiąc nogami, ale tylko stęknął sfrustrowany, kiedy stopy zaplątały mu się w nogawki. Przycisnąłem dłoń do jego nogi, żeby się uspokoił. Oderwał głowę od materaca, żeby na mnie popatrzeć. Znów miał normalne, błękitne oczy, ale był zarumieniony, a na jego czole lśniła warstewka potu.

Sięgnąłem do splątanych przy kostkach spodni i zsunąłem je z niego. Joe Bennett leżał nagi, rozwalony na moim starym łóżku, i czekał na mój następny ruch. Jego kutas sterczał i zakrzywiał się w stronę brzucha, moszna leżała na udzie i przesuwiała się, gdy on poruszał nogą. Miał włochate uda, które zapragnąłem pieścić dłońmi i językiem. Dotykać ich. Smakować.

Joe był najcenniejszą rzeczą, jaką miałem. I przynajmniej w tamtej chwili należał do mnie. Cokolwiek miało stać się później, tego nikt mi nie odbierze.

– O co chodzi? – spytał nerwowo.

– O nic – odparłem ochryłym głosem. – Ja tylko... Jesteś tu.

– No – odrzekł. – Tak, jestem tu.

Podniósł stopę i trącił mnie dużym paluchem w pierś. Złapałem go za kostkę i przytrzymałem. Pochyliłem się i złożyłem pocałunek na jego goleni, a on westchnął i zaczął się wiercić, kiedy owionął go mój oddech. Pocałowałem go w łydkę, a wolną ręką rozpiąłem sobie spodnie. Napięcie nieco zelżało, na tyle, bym mógł zrobić to, co chciałem. Istniało coś takiego jak dobry ból, a ja zapragnąłem wyznaczyć mu nowe granice.

Posuwałem się w górę jego nogi, dosięgnąłem kolana. Parsknął krótkim śmiechem, kiedy pocałowałem go w zgięciu pod nim. Wyszczrzyłem się w uśmiechu. Uniosłem brwi, ale tylko przewrócił oczami i wydał z siebie odgłos zniecierpliwienia.

– Potrzebujesz czegoś? – spytałem. Nie poruszałem się, lecz wciąż trzymałem w górze jego nogę.

– Ty draniu – odparł. – Wiesz, co robisz.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Pieprz się, Ox – powiedział.

– Da się załatwić.

Rozdziawił usta.

Wzruszyłem ramionami.

Spróbował wyszarpnąć nogę.

Nie mogłem na to pozwolić. Dlatego złapałem też drugą i oparłem się całym ciężarem ciała na tyle jego ud. Dotknął kolanami do klaty

i otworzył szeroko oczy.

Odsłoniłem go całego. Kutas przyciskał się do brzucha, moszna podjechała do góry, pomiędzy złożone nogi. Odbyt otaczały miękkie włoski. Zapragnąłem zatopić w nim twarz, wdychać jego zapach, jego woń.

– Ox – powiedział, znów dysząc, jakby wiedział, o czym myślę, jakby w i e d z i a ł, co zamierzam zrobić.

– Wszystko w porządku – odparłem. – Spodoba ci się.

Wykrzyknął, kiedy polizałem go od odbytu aż do moszny, próbował jednocześnie odepchnąć się ode mnie i przysunąć bliżej. W zasadzie nie robiłem tego nigdy wcześniej, ale znałem teorię i ogólne zasady działania. Nie wiedziałem, czy chce, żebym go zerznął, czy on zamierza zerznąć mnie, ale wolałem go rozluźnić i nawilżyć własną śliną.

– Przytrzymaj sobie nogi – nakazałem. Włożyłem w swój głos więcej Alfę, niż należało. Joe jednak nie wahał się, położył sobie ręce pod kolanami i unieruchomił je. Pazury nadal miał wysunięte, więc ułożyłem mu palce tak, by nie zrobił sobie krzywdy.

Zakręciło mi się w głowie z wrażenia, gdy odsunąłem się, by na niego popatrzeć. Przepłynęło przeze mnie poczucie siły, ponieważ ktoś taki jak on leżał przede mną na plecach i czekał na mnie. Nie wiedziałem, czy chodziło o to, że jest Alfą, czy o to, że to Joe, czy może o jedno i drugie naraz. Byłem oszołomiony, a krawędzie mojego pola widzenia rozmyły się.

Chłopak zaczął drżeć pod moim intensywnym spojrzeniem, a rumieniec rozpełzł się na jego szyję i górną część klatki piersiowej.

– Dobry jesteś – powiedziałem mu, a on wciągnął ze świstem powietrze. – Naprawdę dobrze ci idzie.

– Ox – błagał.

– Nie ma sprawy. – Nachyliłem się nad jego pośladkami i pozwoliłem, by spłynęła pomiędzy nie strużka śliny. Jęknął, obserwując moje poczynania pomiędzy swoimi nogami. Wsmarowałem ślinę dłonią w odbyt, nie przekroczyłem granicy, ale naciskałem na tyle mocno, że było blisko. Rozchyliłem mu pośladki, pochyliłem się jeszcze niżej i przejechałem między nimi na płasko językiem. Zaczął wydawać cichutkie dźwięki dochodzące gdzieś z tyłu gardła, kiedy przyciskałem do niego język i wsuwałem go do środka. Mógłbym smakować go godzinami.

Raz po raz powtarzał moje imię. Mój język powędrował do jego krocza, w stronę jąder, które wsunąłem sobie do ust, najpierw jedno, potem drugie. Odepchnąłem jego ręce od kolan i postawiłem mu stopy płasko na łóżku.

Nie dałem mu możliwości, by zakwestionował moje poczynania, tylko polizałem jego kutasa od podstawy aż po żołądź. Wykrzyknął ochryple, próbując wygiąć plecy w łuk, lecz ciężar mojego ciała na jego biodrach skutecznie to uniemożliwił. Dotknąłem językiem szparki na czubku, kosztując gorzkiego preejakulatu. Zacząłem ssać główkę, dałem się ponieść doświadczeniu. Jego penis uderzył mnie w tylną część gardła, nim znieruchomiałem, oddychając przez nos. Nad głową słyszałem zduszone okrzyki. Joe podrzucał biodrami, jakby się powstrzymywał. Podniosłem się powoli i popatrzyłem na niego spod rzęs. Jego oczy zrobiły się czerwone, kły wydłużyły, jakby nie kontrolował przemiany.

Wypuściłem go z ust z mokrym cmoknięciem. Joe spojrzął na mnie z otwartą buzią. Powiedziałem:

– Nie musisz się powstrzymywać.

Zadrzał na te słowa.

Ponownie się schyliłem, żeby dać mu wycisk, ciągnąłem go za mosznę i delikatnie skręcałem. Mój własny kutas wystawał zza gumki majtek, a ja wwiercałem się biodrami w łóżko.

Skorzystał z pozwolenia, które mu dałem, i zaczął poruszać się niepewnie w moich ustach. Chwyciłem jego dłoń i położyłem ją sobie na potylicy. Jęknął i schował pazury, aż pozostały tylko tępo zakończone ludzkie palce wplątane w moje włosy.

Zaczął pieprzyć mnie mocniej. Z początku wykonywał niezdarne pchnięcia, ale w końcu złapał stały rytm. Zacisnął palce na moich włosach, ciągnął na tyle mocno, by wywołać ból, ale nie na tyle, by mnie rozproszyć.

Wciągnąłem policzki, aż ślina zaczęła spływać mu po fiucie, kiedy on wyżywał się w moich ustach. Zadławiłem się lekko, ale udało mi się opanować, choć oczy mi łzawiły.

– Jak dobrze – wybełkotał, przerywając wypowiedź powarkiwaniem. – Tak mi dobrze, Ox. Wiedziałem, że tak będzie. O kurwa, w i e d z i a ł e m, że będziesz taki... – Odchylił głowę do tyłu i ponownie odstłonił szyję, co tylko sprawiło, że zapragnąłem tego mocniej.

Wypuściłem go z ust. Nie chciałem, żeby już doszedł. Nie w ten sposób.

Spojrzał na mnie zaczerwienionymi oczami, z buzią wypełnioną kłami.

Upewniwszy się, że nadal na mnie patrzy, uklęknąłem i ściągnąłem spodnie i majtki z bioder. Mój kutas wyskoczył z uwięzi i obił się mi o brzuch. Joe warknął na mnie, obnażając kły, i zacisnął pięści na kołdrze. Zsunąłem ubrania jeszcze niżej, tak daleko, jak się

dało, i pochyliłem się do przodu, kładąc dłonie po obu stronach jego klatki piersiowej. Opuścił ręce i położył je tak, by przycisnąć mnie do siebie ramionami. Nasz wzrok był prawie na tym samym poziomie. Żaden z nas nie mrugał, kiedy odepchnąłem się do góry na tyle, by oderwać kolana od materaca i zsunąć spodnie stopami. Najpierw uwolniłem jedną nogę, potem drugą, a Joe podniósł głowę, żeby mnie pocałować. Odsunąłem się delikatnie, tak by pozostać tuż poza jego zasięgiem. Kłapnął na mnie zębami, a ja uśmiechnąłem się szeroko.

– Ox – powiedział. – No, chodź tutaj.

Pochyliłem się powoli. Joe wyciągnął się w moją stronę. Polizałem jego rozchylone usta, ale wciąż pozostawałem poza zasięgiem. Obaj wiedzieliśmy, że z łatwością mógłby mnie do siebie przyciągnąć, że zawsze będzie tym silniejszym z nas dwóch, ale teraz to nie miało znaczenia. Teraz znaczenie miało tylko to, że ja panowałem nad sytuacją, a on mi na to pozwalał.

W końcu obdarzyłem go upragnionym pocałunkiem. Roześmiał się, gdy byliśmy złączeni ustami, lecz dźwięk przeszedł w jęk, kiedy położyłem się na nim płasko, pierś na piersi, kutas na kutasie. Nogi trzymał ugięte po moich bokach, a nasze języki się ścigały. Przejechałem dłonią po jego włochatym udzie i pchnąłem go lekko biodrami tak, że nasze fiuty się o siebie otarły.

– No dalej, dalej – ponaglił z ustami wciąż zwartymi z moimi, więc naparłem mocniej.

Ocieraliśmy się o siebie, aż spomiędzy jego warg, uniesione westchnieniem, uniesione jękiem, padło moje imię.

– Ox, chcę... – powiedział, lecz scałowałem jego słowa i spleliśmy się językami. Joe wbił pięty w pościel, by zwiększyć

tarcie pomiędzy nami. Staralem się jak mogłem, czułem, jak nasze kutasy przesuwiają się po sobie.

Poczułem, jak u podstawy kręgosłupa gromadzi się napięcie. Wiedziałem, że jeśli nie przestaniemy, to zaraz dojdziemy. Myśl o nim pokrytym moją spermą niemal wystarczyła, bym kontynuował. Naznaczyłbym go. By każdy mógł wyczuć na nim mój zapach.

Tak, tak, tak.

– Ox – wydyszał mi prosto w usta. – Chcę więcej. Proszę, pozwól mi na więcej.

Pociliśmy się, w pokoju zrobiło się duszno.

Joe chciał więcej. Ja także. Ale nie wiedziałem, czy jestem na to gotowy. Na to, by połączyć się z nim w parę. Bo jeśli teraz zaczęlibyśmy się pieprzyć, to już byśmy tego nie powstrzymali. Tak bardzo tego pragnąłem, niemal to czułem, ale nie, nie z tym wszystkim, co wisiało nam nad głowami.

Lecz było tyle innych rzeczy, które mogliśmy zrobić. Chciałem, by było mu przyjemnie.

Odsunąłem się, a on warknął, kiedy przestał czuć na sobie mój ciężar. Próbował ściągnąć mnie z powrotem w dół, ale odepchnąłem jego ręce.

Sięgnąłem do szafki nocnej i otworzyłem szufladę. W środku leżała stara butelka lubrykantu, opróżniona do połowy podczas wszystkich tych razów, kiedy sam sobie robiłem dobrze palcami po tym, jak wyjechał. Mogłem zrobić to samo dla niego.

– Tak – szepnął, kiedy zobaczył, co trzymam. – Tak, ale fajnie. Powinieneś to zrobić. Możesz mnie zerznąć, Ox. Przyrzekam, że będzie ci dobrze.

Pokręciłem głową.

– Nie zrobimy tego.

Wyglądał na urażonego, chociaż źrenice miał rozszerzone.

– Ale...

– Jeszcze nie – powiedziałem. – Wiesz dlaczego.

– Towarzyszu – powiedział wilk.

– Ufasz mi?

Nie wahał się. Nie tak bardzo, jak myślałem. I choć minęło tyle czasu, a my przez tyle przeszliśmy, odparł:

– T a k.

– Zrobię ci dobrze – obiecałem. – A pewnego dnia, już wkrótce, zerznę cię tak, że nie będziesz mógł chodzić. Potem będziesz mógł mi się odwdzięczyć.

Kutas drgnął mu na brzuchu. Sięgnął dłonią, by go popieścić, lecz nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Przyrzekasz? – zażądał odpowiedzi.

Odparłem:

– Tak, Joe. Obiecuję.

Otworzyłem butelkę i wycisnąłem trochę lubrykantu na palce, by je natłuścić. Odrzuciłem opakowanie i wsunąłem rękę między jego nogi. Kiedy zobaczył, co mam zamiar zrobić, rozchylił je szerzej. Dotknąłem palcami jego odbytu, który wciąż był wilgotny od śliny. Uniósł delikatnie biodra z łóżka, kiedy przycisnąłem do niego palce.

– Robiłeś tak kiedyś sobie? – spytałem niskim głosem.

Pokiwał gwałtownie głową w górę i w dół.

– Tak.

– Pieprzyłeś się palcami?

– Tak – jęknął i wypchnął tyłek mocniej w moją stronę.

– Podobało ci się?

– Nigdy nie miałem dość – powiedział, oddychając ciężko. – Nigdy nie udało mi się odpowiednio...

Wsunąłem palec po pierwszą kostkę. Jego ręka zamarła na kutasie.

– Oddychaj – nakazałem. – Po prostu oddychaj, a wszystko będzie w porządku.

Pokiwał głową, a ja wsunąłem się powoli dalej. Na razie tylko jeden palec. Mięśnie jego brzucha napięły się, kiedy wyciągnąłem go niemal w całości. Zaciskał się ciasno wokół mnie, gorący jak piec.

Pchnąłem ponownie. Oczy uciekły mu w głąb czaszki.

– Dotknij się – nakazałem. – Chcę popatrzeć.

Pokręcił gorączkowo głową.

– Nie, nie chcę się spuścić. Nie w ten sposób, Ox. Chcę, żebyś...

– Wiem, czego ci trzeba.

Jęknął w odpowiedzi, próbując jak najlepiej wykorzystać mój palec, na zmianę napierał na niego i odsuwał się. – I dostaniesz to ode mnie. Tyle, że nie dzisiaj.

Spojrzał na mnie szklistymi oczami. Jego język wysunął się szybko spomiędzy warg i oblizał je.

– Ale ja tylko... Ox.

– Dojdziemy do tego – powiedziałem i wsunąłem mu palec w odbył na całą długość, by rozkoszować się patrzeniem, jak brakuje mu tchu. – Kiedy to wszystko się skończy. Nie chcę, by cokolwiek wisało nam nad głową, kiedy mnie posiadasz. Kiedy ja posiadamę ciebie.

Stęknął, kiedy dołączyłem do zabawy drugi palec. Jądra mu się skurczyły. Wykrztusił:

– Obiecujesz? Obiecaj mi, Ox. Obiec a j m i.

– Obiecuje – odparłem i zamierzałem dotrzymać słowa. Od początku nie było szans, żeby na tym się nie skończyło. Joe i ja zawsze zmierzaliśmy w tym kierunku, nawet jeśli zrobiliśmy sobie trzyletni objazd. Musiałem tylko się ogarnąć i opanować gniew, żeby to zrozumieć.

Schwycił ponownie swojego kutasa i zaczął go pieścić powolnymi, spokojnymi ruchami, przesuając kciukiem po główce. Ruch był wyćwiczony, musiał to lubić. Sama myśl o tym, jak sam sobie wali konia, jak siada na własnych palcach, jak pociera swojego fiuta, mocno mnie poruszyła. Mój własny kutas zaczął pulsować na sam widok obnażonego przede mną ciała. Opuściłem wzrok i przyglądałem się, jak moje palce znikają w jego odbycie. Nawet nie musiałem za mocno poruszać ręką, bo Joe kołysał biodrami w górę i w dół, w górę i w dół.

W końcu zauważyłem, że się naprężył, a jego dłoń zaczyna poruszać się szybciej. Sutki mu stwardniały i wiedziałem, że jest już blisko. Cały czas skandował moje imię, a z jego piersi raz po raz wrywały się ciche stęknienia. Jego oczy znów błysnęły czerwienią, gdy niemal brutalnie wepchnąłem w niego trzeci palec. Warknął na mnie, pokazał ostre kły. Jego odbył zacisnął się wokół moich palców. Kiedy dostrzegłem, że nie zniesie już wiele więcej, odepchnąłem jego dłoń i połknąłem jego kutasa aż po korzeń. Zakrztusiłem się lekko, kiedy uderzył w tylną część mojego gardła. Gdzieś nad sobą usłyszałem jego krzyk. Dłonie Joego powędrowały na tył mojej głowy, a pazury przebiły skórę. Nos miałem wciśnięty w jego włosy łonowe, coraz mocniej wciskałem mu palce. Spuścił mi się do gardła silnym strumieniem. Poczułem gorzki smak z tyłu

języka. Zadławiłem się, więc wypuściłem go z ust, a jego sperma pociekła mi po brodzie. Resztką trysnęła mi na policzek.

Wyglądał na porządnie zerżniętego, wciąż przeżywał orgazm i napierał mocniej na moje palce. Gdy je wysunąłem, wciągnął gwałtownie powietrze, otworzył szeroko oczy i spojrzał wprost na mnie. Uklęknąłem nad nim. Oblizując usta, żeby go skosztować, myślałem tylko o tym, że muszę go naznaczyć. Pocałunki, które wycisnę na jego skórze, zblakną. Ale mój zapach pozostanie.

Tą samą dłoń, którą wsuwałem mu w odbyt, położyłem sobie na kutasie. Nie dotykałem się delikatnie ani łagodnie. Trzepałem sobie wściekle, żeby jak najszybciej pokryć go swoim zapachem.

– Taak – powiedział ochryplym, wycieńczonym głosem. – Pragnę tego, Ox, pragnę. – Złapał mnie za jądra, kiedy nad nim zawisłem. Ścisnął je dłońmi i skręcał na tyle mocno, że zacząłem stękać, odczuwając żywą mieszaninę przyjemności i bólu. Poczulem napięcie zbierające się u podstawy kręgosłupa, małe błyskawice wyginające się w łuk na mojej skórze. Podwinąłem palce u stóp.

Wystrzeliłem na jego pierś, kiedy przycisnął mi dwa palce do odbytu. Wyrzuciłem z siebie jego imię niczym przekleństwo. Moja sperma wylądowała na jego klatce piersiowej, na sutkach. Spłynęła po obojczykach i zebrała się na szyi.

Wyglądał na zniszczonego. Objętego w posiadanie. Nigdy wcześniej nie czułem niczego tak pierwotnego. Nie wiedziałem, czy chodzi o to, że jestem Alfą, czy po prostu o mnie. To nie miało znaczenia. Ważne, że wszyscy się dowiedzą. Tylko tym się przejmowałem.

Joe zanurzył palce w nasieniu pokrywającym skórę na piersi. Gorączkowo wtarł je sobie w prawy sutek. Opadłem tuż obok niego, aż łóżko jęknęło pod ciężarem dwóch przerośniętych facetów. Obaj dyszeliśmy ciężko, leżąc tuż obok siebie, stykając się ramionami, twarzami do siebie, oddaleni ledwie o kilka centymetrów. Nie przestawał dotykać spermy, którą go pokryłem, maczał w niej palce, jakby chciał wysmarować się nią cały. Przysunąłem się bliżej i pocałowałem go. Zajęczał mi prosto w usta, kiedy ssałem mu język, by mógł poznać swój smak.

Kiedy się odsunąłem, jego oczy znów zrobiły się czerwone.

Powiedział:

– Chcę cię ugryźć.

Odparłem:

– Wiem.

Powiedział:

– Chcę objąć cię w posiadanie. Chcę zostawić na twoim ciele blizny po swoich pazurach. Chcę wbić się zębami w twoją szyję.

Odparłem:

– Wiem.

Powiedział:

– Jesteś mój. Nikt inny nie może cię mieć. Nikt inny nie może z tobą być. Nie w ten sposób. Nigdy. Słyszysz mnie, Ox? N i g d y. Jesteś mój i zabiję każdego, kto ośmieli się pomyśleć, że może mi cię odebrać.

A ja odparłem:

– W i e m.

Dopiero później, dużo później, długo po tym, jak zapadła noc, a niebo pociemniało i zostało usiane świecącymi zimno gwiazdami, znów zaczęliśmy ze sobą rozmawiać. Czuliśmy się dziwnie zadowoleni, kiedy tak leżeliśmy i wpatrywaliśmy się w siebie nawzajem.

Możliwe, że kilkakrotnie odpływałem w sen, lecz za każdym razem, gdy otwierałem z powrotem oczy, Joe wciąż tkwił obok, z twarzą przysuniętą tak blisko, że mogłem policzyć mu rzęsy. Nie ruszał się zbyt dużo, nadal leżał rozwalony, swobodny w swojej nagości. Zmiękły kutas leżał na jego udzie. Moje nasienie zaschło na jego piersi, drobne białe grudki posklejały mu włosy. Pomyślałem, że będzie to cholernie trudno zmyć, ale on wydawał się tym nie przejmować.

To ja pierwszy przerwałem milczenie. Nie miałem takiego zamiaru. W jednej chwili otwierałem oczy, a w następnej wyrzucałem mu:

– Nie powinieneś był odchodzić.

Zupełnie nie to chciałem powiedzieć.

Westchnął.

– Wiem.

– Powinniśmy to byli zrobić razem.

– Wiem, Ox. Ale stało się. I nie mogę zrobić nic, żeby to cofnąć.

Chciałem się na niego wściekać. Nadal. Chciałem być na niego strasznie wkurzony. Ale nie mogłem. Nie kiedy leżał obok mnie i wyglądał, jakby właśnie został zerżnięty.

Pokiwałem powoli głową.

– W porządku. – Zastanawiałem się, czy to naprawdę było takie proste.

– W porządku? – Uniósł brwi.

– W porządku.

Wyszczrzył się do mnie w szerokim, radosnym uśmiechu, ale tylko na chwilę. Powoli spoważniał i powiedział:

– Chyba musimy porozmawiać o Jessie.

– Co w związku z nią?

– Po prostu... chyba chciałem wiedzieć dlaczego.

– Dlaczego co?

Obrzucił mnie gniewnym spojrzeniem.

– Dlaczego należy do twojego stada?

Ledwie się powstrzymałem, by nie przewrócić oczami.

– Ależ Joe Bennett, czyżbyś był zazdrosny?

– Nie.

– W porządku.

– Po prostu nie widzę powodu, dla którego powinna trzymać się tak blisko ciebie. Być członkiem twojej watahy. Albo w ogóle żyć.

Wtoczyłem się na niego, czym wywołałem jego śmiech. Zaczął się wiercić pode mną. Czułem kilometry kwadratowe nagiej skóry.

– Pomogła nam się wyleczyć – powiedziałem.

Przyglądał się uważnie mojej twarzy, jakby czegoś na niej szukał, choć nie wiedziałem czego.

– I udało się wam to? – spytał.

Zamiast odpowiadać, pocałowałem go, ponieważ jeszcze nie do końca wiedziałem, jak ubrać w słowa to, że nie wyleczyłem się, nie całkowicie, bo jednej części mnie zabrakło.

Pomyślałem o tym wszystkim, co straciliśmy. O wszystkim, przez co przeszedł, kiedy go nie było. Może pewnego dnia usłyszę o tym,

co go spotkało. Co ich spotkało. Pomyślałem, że może teraz nie ma to znaczenia. W końcu nadchodziły większe problemy. Będzie jeszcze czas. Potem.

Bo niezależnie od tego, co szykował nam Richard Collins, nie zamierzałem pozwolić mu tknąć Joego Bennetta. Nie po raz kolejny. Już nigdy.

skrzywdzić cię / nasze pieprzone stado

P przed nami, w domu na końcu ulicy, tłoczyły się dwa stada. Moje siedziało na kanapach, na sofie, na podłodze. Jego członkowie wyglądali, jakby czuli się na miejscu, zachowywali się swobodnie i z dużym luzem. W każdym razie większość z nich. Robbie był spięty.

Stado Joego stało z boku, Carter i Kelly opierali się o ścianę przy oknie wykuszowym, a obok nich stał Gordo niczym żołnierz w pozycji swobodnej, w rozkroku i z rękoma założonymi za plecy.

Podział było widać gołym okiem.

Ale Joe... Joe stanął obok mnie, ramię w ramię, na tyle blisko, byśmy ocierali się o siebie z każdym oddechem. Wilki wiedziały. Oczywiście, że tak. Wyczuwały od nas zapachy poprzedniej nocy. Czerpałem z tego jakąś dziwną dziką satysfakcję. To znaczy zanim spojrzałem w oczy Elizabeth i okropnie się zaczerwieniłem, choć na jej twarzy malowało się wyłącznie rozbawienie.

Wszyscy czekali, aż odezwiemy się pierwsi. Nawet ludzie.

– No więc – zacząłem, próbując pokonać zdenerwowanie. – Musimy omówić kilka kwestii.

– Na przykład to, że się nie wykąpałeś – powiedział Carter, który zdawał się niczym nie przejmować. – Poważnie, Joe. Łapiemy. Jezu Chryste.

Joe nie miał zamiaru czuć się zażenowany, co było w porządku, bo ja byłem zażenowany za nas obydwu.

– Masz cholerną rację – powiedział zadowolony z siebie.

– Co, do diabła? – bąknąłem.

Puścił do mnie oko.

– Bez jaj – odezwał się Tanner. – Poważnie?

– O rany – stwierdził Rico. – Pewnie zaraz zrobi się niezręcznie.

– Tylko jeśli my sprawimy, że będzie niezręcznie – zaznaczył Chris, jak przystało na rozsądnego dorosłego. Ale po chwili dodał: – Powinniśmy sprawić, że zrobi się naprawdę niezręcznie.

– Moglibyśmy porównać doświadczenia – powiedziała Jessie, bo była nikczemna.

– Taa – warknął Chris i spojrzał na siostrę spode łba. – Nawet nie zapuszczajmy się w te rejony, bo naprawdę bym nie chciał strzelić swojego Alfy w pysk.

Dziewczyna przewróciła oczami.

– No błagam – odparła. – Przecież on jest od ciebie większy.

– W k a ż d y m r a z i e – powiedziałem znaczącym tonem, zanim rozmowa przerodziła się w coś, czego nie zdołałbym opanować. – Pogadaliśmy sobie...

Carter i Kelly zanieśli się nieprzyjemnym kaszlem.

Joe warknął na nich, a jego oczy zrobiły się czerwone. Uśmiechnęli się złośliwie, jakby to nie miało żadnego znaczenia. Prawdopodobnie nie miało. Ostatni raz widziałem, jak zachowują się w ten sposób jeszcze przed ich wyjazdem. Zastanawiałem się, czy robią to, bo wiedzą, co zamierzaliśmy powiedzieć.

– ...i postanowiliśmy zobaczyć, czy to się uda – zakończyłem.

– Zobaczyć, czy c o się uda? – spytał Robbie ze zmarszczonym czołem.

– My – odparł Joe, nim zdążyłem cokolwiek powiedzieć. Patrzył na Robbiego z przekrzywioną głową, ale nie łypał na niego oczami Alfy. – Stado. Spróbujemy być... jedną watahą.

Większość członków mojego stada umilkła. Ludzie wyglądali na zaintrygowanych. Mark i Elizabeth wydawali się szczęśliwi. Robbie miał pusty wyraz twarzy.

– Jak to ma niby działać? – spytał Tanner. – Obaj zamierzacie być Alfami?

Pokiwałem głową.

– Nie znamy go – zauważył Rico. – Znamy tylko ciebie. A ty chcesz, żebyśmy... właściwie co? Traktowali go jak ciebie? Bez obrazy, Joe – dodał pospiesznie.

– W porządku – odparł Joe luzacko. – Masz rację. Nie znacie mnie. Nie tak, jak znacie Oxa. To się nie stanie od razu. Obierzemy to sobie za cel. Minie trochę czasu, nim mi zaufacie.

– Mamy ci zaufać? – rzucił Robbie. – Jak możemy zaufać Alfie, który porzucił stado?

– Robbie – warknąłem.

Joe położył mi dłoń na ramieniu. Spojrzałem na niego. Nic nie powiedział, ale nie musiał. Wiedziałem, że chce to załatwić sam. Chciał, żebym mu zaufał.

I zaufałem. Do pewnego stopnia. Może nie tak, jak ufałem mu wcześniej, ale sądziłem, że dojdziemy do tego. W końcu.

Joe powiedział:

– Robbie, wiem, że może ci być ciężko.

– Naprawdę? – spytał Robbie chłodno. – Nie masz o mnie najmniejszego pojęcia.

Zazgrzytałem zębami. Bo chociaż rozumiałem jego frustrację, to nie musiał się tak zachowywać.

– Troszczysz się o niego. – Joe powiedział wprost.

– Jest moim Alfą.

– Nie zamierzam ci tego odbierać.

– Nie? – prychnął Robbie. – A wygląda na to, że już zacząłeś.

– Ja... popełniłem w życiu kilka błędów – odparł Joe. – Błędów, z którymi będę musiał żyć do końca swoich dni. Skrzywdziłem wiele osób. Moją matkę. Marka. Moich braci. A Ox... Sądzę, że jego skrzywdziłem najbardziej.

Robbie zmrużył oczy.

– Czyli rozumiesz, dlaczego...

– Ale ciebie nigdy nie skrzywdziłem – zauważył. – Bo, tak jak powiedziałaś, w ogóle cię nie znam.

– Skrzywdziłeś Oxa – odparł Robbie – który jest moim Alfą. A co za tym idzie, skrzywdziłeś także i mnie.

Joe powiedział:

– Okej. W takim razie ciebie również przepraszam. Za to, że go skrzywdziłem.

Robbie zamrugał.

– To nie takie proste.

– A dlaczego ty miałbyś o tym decydować? – spytał Joe.

– Ox – zwrócił się do mnie Robbie. – Chyba nie kupujesz tych bredni?

– Nie znasz go – odparłem cicho. – Nie tak jak ja. On mówi serio, Robbie.

Robbie wyglądał, jakby poczuł się urażony moimi słowami. A ja poczułem się źle, naprawdę, ale nie wiedziałem, czego ode mnie oczekuje. Robbie był członkiem stada. Joe – moim towarzyszem życia. Walczyłbym o nich obydwu, lecz nie mogłem pozwolić, by walczyli ze sobą nawzajem.

– Posłuchaj – powiedział Joe. – Nie spodziewam się, że mi uwierzysz. Ani że mi zaufasz. Ani że mnie p o l u b i s z. Wiem, że na szacunek trzeba sobie zasłużyć. Troszczysz się o Oxa. Jest twoim Alfą. Ale m n i e też na nim zależy, bo dla mnie jest kimś więcej. I zrobiłbym dla niego wszystko. Jeśli masz ze mną problem, to przyjdź do mnie. Albo jakoś to rozstrzygniemy, albo znajdziemy sposób, żeby to obejść. Ale nie krzywdź ani jego, ani siebie nienawiścią do mnie.

Robbiego chociaż raz zatkało.

Byłem pod niemałym wrażeniem.

Joe pewnie wyczuwał, pod jak dużym. Co najpewniej nie było zbyt fortunnym zbiegiem okoliczności jak na pierwsze wspólne spotkanie. W obecności wszystkich jego krewnych.

Chociaż pewnie i tak już wiedzieli.

Kelly zakaszlał dość głośno.

Bardzo się starałem, żeby się nie zarumienić.

– Przepraszam – powiedział Kelly – coś mi utknęło w gardle.

– To samo powiedział Joe – wymamrotał Carter pod nosem.

Bracia przybili ze sobą żółwika, nie spuszczać ze mnie wzroku.

– Będzie dla nas taki sam jak ty? – spytała Jessie, wpatrując się w Joego. – Będziemy go wyczuwać tak, jak wyczuwamy ciebie?

– Powinniście byli mi o tym powiedzieć, jak tylko wróciliśmy – powiedział Gordo i spojrzał spode łba na Rica, Tannera i Chrisa.

– Hej! – odparł Rico. – Musieliśmy zachować ostrożność. Nie wiedzieliśmy, czy jesteś naszym przyjacielem, czy wrogiem.

– Wrogiem – powtórzył Gordo beznamiętnie, po czym obrócił się powoli w moją stronę.

– Ja nic nie mówiłem – oznajmiłem.

– Mogłeś przejść na ciemną stronę mocy.

– No, Darth Gordo na całego – dodał Chris.

Gordo ukrył twarz w dłoniach.

– Chłopaki, przecież wam mówiłem. Jestem wiedźmą, nie rycerzem Jedi.

– Yyy, przepraszam bardzo – wtrącił się Rico. – A umiesz strzelać piorunami Mocy z opuszków palców?

– Nie władał Mocą...

– Nie mamy nic więcej do dodania – powiedział Tanner dość głośno.

– Czy ludzie także czują więź? – Gordo spytał Elizabeth i Marka.

– Interesujące, prawda? – zauważyła Elizabeth i uśmiechnęła się delikatnie. – Rzekłabym nawet, że zadziwiające.

– To przez Oxa – powiedział Mark. – Przez to, kim jest. Odpowiedział na zew terytorium, które potrzebowało Alfy. I na pragnienia stada. Wychował się tutaj.

Wszyscy wpatrzyli się we mnie.

– Mistyczna księżycowa magia – wyszeptała Jessie.

Starłem się nie czuć zażenowania całą poświęconą mi uwagą.

– To nie...

– To ma sens – powiedział Gordo w zamyśleniu.

– Mistyczna księżycowa magia ma sens? – spytałem z niedowierzaniem.

Gordo przewrócił oczami.

– Nie, idioto. To nie żadna mistyczna księży... nie mam nawet zamiaru tego powiedzieć. Posłuchaj. W tobie zawsze coś było. Jeszcze zanim zaczęło się to wszystko. Fakt, że udało mi się do ciebie przywiązać z taką łatwością, powinien był mi dać do myślenia, ale chyba poczułem taką ulgę, że znów mam postronek, że o niczym innym już nie myślałem. Wyczuwałem cię dzięki naszemu połączeniu. Wilki wyczuwały cię dzięki więziom stadnym. Ale ludzie? Nie sądziłem, że to możliwe. Nie w takim stopniu. Jak daleko sięga więź?

– Musi się wysilić. – Jessie pospieszyła z odpowiedzią. – Jest inaczej niż w przypadku wilków. Wiemy, że Ox czegoś chce, kiedy sięga do więzi.

– Czy komunikacja działa w obie strony?

Ludzie popatrzyli po sobie. W końcu Jessie powiedziała niepewnie:

– Czasami?

Gordo zmarszczył brwi, ale nic nie powiedział.

– Czy kiedykolwiek wcześniej słyszałaś o czymś takim? – spytał Carter matkę.

Wzruszyła ramionami.

– Głównie plotki. Niepotwierdzone opowieści. Nikt nigdy tego nie udowodnił. Nie tak jak Ox.

– Kto poza osobami obecnymi w tym pokoju o tym wie? – spytał Gordo.

Wszyscy zamarli.

– Alfa Hughes – odparł w końcu Robbie.

– I ten opryskliwy facet – dodałem.

– Kto niby?

– Philip Pappas – wyjaśnił Robbie. – Służy pod Alfą Hughes jako jej zastępcą. Przyjechał tutaj, kiedy was nie było, by... chyba ocenić sytuację. Nie wydaje mi się, żeby podzielili się informacją z innymi, a przynajmniej nie z wieloma osobami. Pewnie nie wiedzą, co mają o nim myśleć.

– Chcieli, żebym się zarejestrował – powiedziałem – jeśli Joe by nie wrócił.

Joe złapał mnie za rękę i ścisnął. Nie puszczał. Robbie obrzucił nas przelotnym spojrzeniem, po czym odwrócił wzrok.

– Nie możesz tworzyć nowych wilków – zauważył Gordo.

– Ale mogę stworzyć stado – odparłem. – I udowodniłem, że nie musi się ono składać wyłącznie z wilków. Myślę, że ich to niepokoi.

Gordo pokręcił głową.

– Oczywiście nie mogłeś okazać się taki jak wszyscy, co? – wyburczał, ale na jego twarzy zagościł uśmiech.

– I to tyle? – spytał Kelly. – Nikt więcej nie wie o...

– David King – przyznałem się.

– Kto? – spytał Chris.

Cholera, zapomniałem, że nic im o nim nie mówiłem.

– King – powiedziała Elizabeth powoli. – Czyżby członek tego słynnego klanu myśliwych?

– Przyszedł do mnie – powiedziałem – kilka miesięcy temu. Tamtej nocy, kiedy wysłałem sygnał ostrzegawczy.

Członkowie mojego stada znieruchomieli.

– Ocaliliśmy go przed Richardem – oznajmił Joe. – Ledwie nam się udało. Uciekał, ale Collins go dopadł. Richard zwiął, a David... przysłałem go tutaj. Z wiadomością dla Oxa.

– I nie przyszło ci do głowy, żeby nam o tym powiedzieć? – spytał Mark. Nie wydawał się zły, raczej zdezorientowany.

Przyszło. Wiele razy, ale za każdym razem pozwalałem, by gniew brał nade mną górę.

– Czy on wie – spytała Elizabeth, na razie puszczając płazem moją przewinę – że jesteś Alfą?

Pokiwałem głową.

– Stwierdził, że na tyle długo buja się z wilkami, że wyczuwa takie rzeczy.

– Gdzie jest teraz? – chciał wiedzieć Mark. – Jeśli nadal się ukrywa, to musimy go znaleźć i upewnić się, że nikomu nie powie...

– On nie żyje – przerwał mu Joe. – Zginął kilka tygodni temu. Nie tak daleko stąd. W Idaho.

– Sprawka Richarda? – spytała syna Elizabeth.

Joe pokiwał głową.

– Więc to dlatego wróciliście do domu, tak? – dopytywała. – Uważacie, że planuje znów się tu zjawić.

– Może – rzucił Joe. – A może po prostu zatęskniłem za domem.

– Powiedzieli, że się nie odzywałeś – przypomniała Elizabeth. – Że znów przestałeś mówić.

Spuścił wzrok na podłogę. W domu zapanowała cisza.

– Wiesz, dlaczego tak się stało? – spytała.

– To bolało – powiedział niskim głosem. Brzmiał jak tornado, które niegdyś czekało na mnie na gruntowej drodze z okrągłymi oczami i domagało się odpowiedzi. – Życie z dala od was. Od niego. Nie potrafiłem... znaleźć w sobie słów. Powiedzieć czegokolwiek. Po prostu chciałem dorwać tego potwora, żeby móc znów wrócić do domu.

– No i jesteś – powiedziała. Zerwała się na nogi i podeszła do syna. Nie wiem, o czym – o ile w ogóle – rozmawiali od czasu powrotu Joego. Odnosiłem wrażenie, że Elizabeth czekała, aż to ja pierwszy z nim pomówię.

Zrobił się teraz o wiele większy od niej. Było coś dziwnie ujmującego w sposobie, w jaki wyciągnęła się, żeby dotknąć jego twarzy. Wtulił się w jej dłonie, chociaż nadal nie puszczał mojej ręki.

– Twój ojciec byłby z ciebie dumny – stwierdziła.

– Nie sądzę, by...

– Joe – weszła mu w słowo.

Otoczył ją ramieniem i przygarnął do siebie, przytknął nos do jej szyi, a ona przesunęła palcami po szczecinie na jego głowie. Zerknęła na mnie i uśmiechnęła się.

W końcu odsunęła się od syna i zrobiła krok do tyłu.

– Sądzę, że powinniśmy spróbować – oznajmiła. – Bo razem jesteśmy o wiele silniejsi, niż bylibyśmy osobno.

– Będzie źle? – spytał Rico. Wyglądał na zmęczonego. Wszyscy wyglądali.

– Możliwe – przyznałem. – Ale wcześniej też bywało źle, a za każdym razem udawało nam się przetrwać. Dzięki stadu. Ale jeśli wydaje się wam, że nie dacie rady, to nie będę miał wam tego za złe. Tylko muszę to wiedzieć. Bo jeśli zostaniecie, to muszę móc na was liczyć. Dlatego powiedzcie mi od razu.

Nikt się nie odezwał.

Nie spodziewałem się, by ktokolwiek to zrobił. Byli odważni, wszyscy. Brakowało im rozsądku, ale nie odwagi.

– W takim razie działamy – powiedziałem. – Jako jedna wataha.

Zastanawiałem się, czy tak właśnie czuje się człowiek, kiedy jego rany zaczynają się goić.

Dwa dni później Robbie oznajmił:

– Ona chce z wami porozmawiać. Z wami obydwoma.

Joe rzucił mi przelotne spojrzenie, zanim popatrzył z powrotem na Robbiego.

– Alfa Hughes?

– Tak.

Joe westchnął i potarł dłonią twarz. Stał przy moim boku, kiedy kroilem paprykę dla Elizabeth, która podśpiewywała coś pod nosem przy kuchence. Mark, Carter i Kelly poszli do lasu. Gordo nadal był w warsztacie, miał dołączyć do nas później. Reszcie dałem wolny wieczór. Mieli swoje życie poza stadem, którego nie chciałem im odbierać, chociaż popatrzyli na mnie dziwnie, kiedy im to powiedziałem.

– Kiedy? – spytałem.

Robbie prychnął.

– Pewnie teraz. Ona nie lubi czekać.

– Nigdy nie lubiła – wtrąciła Elizabeth, podniósłszy głowę znad garnków. – Ale kolacja poczeka. Tylko postarajcie się, by to nie trwało zbyt długo.

Zgarnąłem pokrojoną w paski paprykę i wrzuciłem na talerz stojący niedaleko kobiety. Pocałowałem ją w policzek, po czym spojrzałem na Joego.

Moje niezadane pytanie skwitował wzruszeniem ramion.

– Jeśli nie teraz, to kiedy?

– Czego ona od nas chce? – spytałem Robbiego, gdy podążaliśmy za nim do gabinetu.

– Nie wolno mi zadawać takich pytań. Nie jej. Mało komu wolno.

– Ja nie jestem byle kim – powiedziałem, bo nie chciałem dać się nikomu zastraszyć.

– Jasne, Ox – powiedział z czułością. – Wiem.

Twarz Joego nie wyrażała żadnych emocji.

Na biurku stał otwarty laptop. Musiał należeć do Robbiego. Ja żadnego nie posiadałem. Miałem za dużo do czynienia z komputerami w warsztacie, żeby chcieć trzymać jakiś w domu. Joe usiadł na krześle przy biurku, a ja wyciągnąłem sobie drugie i klapnąłem koło niego.

Robbie wyjął telefon i napisał do kogoś wiadomość. Nie minęła chwila, a komórka zabręczała i Robbie wysłał odpowiedź. Potem wepchnął telefon do kieszeni i odwrócił laptopa ekranem w swoją stronę. Kliknął ikonkę Skype'a i powiedział:

– Zadzwoń do was za minutkę. – Postawił komputer z powrotem przed nami i wyszedł z gabinetu, zamykając za sobą drzwi.

Joe odczekał jedno uderzenie serca, nim stwierdził:

– Minie wiele czasu, zanim przestanę widzieć we mnie wroga.

Przewróciłem oczami.

– Nie uważa cię za wroga.

– Za k o g o ś mnie uważa.

– Bo j e s t e ś kimś.

Joe się uśmiechnął.

– Chyba mamy na myśli dwie różne rzeczy, Ox.

Wziąłem jego dłoń w swoją, wciąż zdumiony faktem, że mogę to zrobić. Mieszkaliśmy teraz w starym domu, Joe co noc spał w moim

łóżku. Było małe i ciasne, ale dawało nam to wymówkę, byśmy mogli spać jeden na drugim. Nie potrzebowałem już trzymać się od niego na dystans. I pewnie przez dłuższy czas tak zostanie.

– Dojrzeje do tego – stwierdziłem. – Mówiłem ci, co mi powiedział o Kellym. Może moglibyśmy...

Zadzwonił laptop. Na ekranie pojawiło się niewielkie migające okienko.

– Gotowy? – spytał Joe.

Dałem mu całusa, szybkiego i słodkiego.

Odparłem:

– Jasne, Joe.

Uścisnął moją rękę i włączył rozmowę.

Nie wiem, czego się spodziewałem co do wyglądu Michelle Hughes. Jeśli mam być szczerzy, to nie poświęciłem jej zbyt wiele namysłu. Nie znała mnie. Nie znała też właściwie mojego stada. Może i była wielką, potężną Alfą, ale na dłuższą metę jej działania wcale mnie nie obchodziły. Nie zaatakowała mnie ani moich bliskich, ale też nie zrobiła nic, by ich chronić.

Okazało się, że jest młoda. Młodsza, niż się spodziewałem. Przed czterdziestką albo tuż po. Wyglądała na spokojną, a nawet zrelaksowaną, miała ciemne włosy ściągnięte do tyłu w luźny kucyk. Białą koszulę z kołnierzykiem nosiła rozpiętą pod szyją. Nie wyglądała jak Alfa, ale też nie spotkałem ich wiele w swoim życiu, więc nie miałem do kogo jej porównać.

Nie uśmiechnęła się, kiedy zobaczyła na ekranie nasze twarze, popatrywała jedynie to na mnie, to na Joego. Uświadomiłem sobie, że widzi nas po raz pierwszy, choć pewnie wiele o nas wcześniej słyszała. My chyba także nie byliśmy tym, kogo się spodziewała.

Z jakiegoś powodu uznałem, że ani ja, ani Joe nie powinniśmy odzywać się pierwsi. Najwyraźniej Joe pomyślał to samo, bo obaj czekaliśmy, aż kobieta zacznie rozmowę.

– Pewnie mnie nie pamiętasz, Alfo Bennett – powiedziała opanowanym głosem. – Miałeś chyba pięć czy sześć lat, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Ale ja pamiętam ciebie. Twój ojciec był... No cóż. Był dobrą osobą. Przyjmij moje kondolencje.

– Dziękuję – odparł Joe chłodno. – To bardzo uprzejme z pani strony.

Skinęła głową i wróciła wzrokiem do mnie. Nie chciałem dać się onieśmielić, ale nie wiem, w jakim stopniu mi się to udało.

– Alfa Matheson – powiedziała. – Kuriozum.

Nie wiedziałem, czy powinienem poczuć się urażony, czy nie.

– Jak to?

– Nigdy wcześniej nie spotkałam nikogo takiego jak pan – wyjaśniła. – Praktycznie rzecz biorąc, wydaje się pan jedyny w swoim rodzaju.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo – odparłem szczerze. – Ale nie ma potrzeby nazywać mnie Alfą. Jestem po prostu Ox.

– No naprawdę – wydawała się rozbawiona. – Po prostu Ox.

– To oznaka szacunku – wytłumaczył mi Joe.

– Wiem – odparłem. – Ale nikt inny mnie tak nie nazywa. I ona też nie musi.

– Kuriozum – znów użyła tego słowa. – Możemy darować sobie uprzejmości, jak sądzę. Nigdy nie lubiłam robić ceregieli.

– Czego chcesz, Michelle? – spytał Joe.

Uśmiechnęła się do niego, lecz uśmiech nie sięgnął oczu.

– Lista ma pewnie z kilometr.

– Może zacznijmy od tego, czego chcesz od nas – stwierdził Joe.
– Wydaje mi się, że tak będzie najprościej.

– Nie przypominam sobie, bym powiedziała, że czegoś od was chcę.

– Nie musiałaś – zauważył. – To się rozumie samo przez się.

– W porządku – odrzekła. Uśmiech spętał jej z twarzy. – Gdzie się podziewałeś przez ostatnie trzy lata?

Joe się spiął.

– Dobrze wiesz, gdzie byliśmy.

– Nie znam szczegółów.

– Tak konkretnie to wędrowaliśmy tu i tam. Nigdzie nie zagrzaliśmy miejsca. Zabawna sprawa.

Zabębniła palcami o biurko i odchyliła się na oparcie fotela.

– Ale nie udało się wam go dopaść. Mam na myśli Richarda.

– Nie – przyznał lodowatym tonem.

– A co z Robertem Livingstone'em? Z Osmondem? Mieliście o nich jakieś wieści?

– Nie.

– Dlaczego?

– Nie umiem powiedzieć – odparł Joe. – Dlaczego nie zapytasz ekip poszukiwawczych, które sama wysłałaś? Wydaje się, że nie mieli większego szczęścia niż my.

– Niestety. – Zmarszczyła brwi. – To... było duże rozczarowanie, delikatnie mówiąc. Jak myślisz, dlaczego tak się stało?

– Ponieważ Richard jest sprytny – odrzekł. – I bezwzględny. A twoi ludzie nigdy tacy nie będą.

– A ty byś potrafił? – spytała, a ja ścisnąłem rękę Joego poza jej polem widzenia i pomyślałem: *ostrożnie, ostrożnie*.

Wiedział, co próbuję mu przekazać. Nie wyczuwałem go jeszcze, nie tak jak kiedyś, ale nie sądziłem, by miało to potrwać długo. Stada miały wkrótce się zjednoczyć. Musiały. Tak naprawdę nie widziałem innego wyjścia z sytuacji.

– Zrobiłem, co musiałem – oznajmił Joe.

– A twoje stado? – spytała.

– Oni także. Działaliśmy w porozumieniu.

Obrzuciła mnie przelotnym spojrzeniem.

– Doprawdy?

– Tak.

– Gdzie jest Richard Collins?

– Nie wiem.

– A jednak wróciłeś.

– Nadszedł już czas.

– Czyli nie miało to nic wspólnego z klanem Kingów?

Joe nie odpowiedział.

Michelle westchnęła.

– Nie pomogę ci, jeśli mi nie powiesz, co się dzieje.

– Nie prosiliśmy cię o pomoc – zauważył.

– Będziecie jej potrzebować, jeśli Richard znów się pojawi.

Joe prychnął.

– Pojawił się już dwukrotnie. Wiele mi odebrał. Gdzie się wtedy podziewałaś?

Nawet nie drgnęła. Dobra była.

– Sytuacja się zmieniła.

– To prawda – zgodził się Joe. – Ale to nie zmienia niczego pomiędzy nami. Oboje wiemy, że moje pragnienie, by przewodzić wilkołakom, skończyło się wraz ze śmiercią ojca. Nie zależy mi na

władzy. Już nie. Możesz ją sobie wziąć. I zrobić z nią, co będziesz chciała.

– Nie ufasz mi – stwierdziła.

– Nie – odparł chłodno. – Nie ufam. Nie ufam żadnemu z was. Nie zrobiliście nic, żeby pomóc mojemu ojcu. W sumie to wysłałaś do nas zdrajcę. Więc wybaczyć, że ukojenie twojego poczucia winy nie należy do moich priorytetów.

– Nie proszę cię, żebyś cokolwiek koił – powiedziała, a na twardej pancerzu pojawiły się delikatnie pęknięcia. – Ta sprawa dotyczy nie tylko ciebie, Joe. Richard Collins jest wrogiem nas wszystkich. Powinniśmy współpracować. Żeby go powstrzymać. Żeby to zakończyć.

W dłoń wbiły mi się pazury, kiedy Joe zacieśnił chwyt.

– Powinnaś była o tym pomyśleć, gdy miałaś okazję to zakończyć. Po tym, jak mnie porwał, kiedy byłem dzieckiem. Miałaś go, a jednak...

– W tamtych czasach nawet nie byłem częścią...

– To bez znaczenia – przerwał jej Joe. – Teraz jesteś Alfą wszystkich wilków. Wszystko, co stało się przedtem, spoczywa teraz na twoich barkach.

– Mogłabym kogoś do was wysłać – rzuciła. – Wiele osób. Gdybym była do tego skłonna.

– Właściwie to nie – wtrąciłem.

Spojrzała na mnie spode łba.

– A to dlaczego?

– Ponieważ jestem Alfą tego terytorium – odparłem. – A pani nie jest tu mile widziana.

Roześmiała się.

– Panie Matheson, mogę pana zapewnić, że nie potrzebuję pańskiego pozwolenia. Jak już coś, to pan odpowiada teraz przede mną.

– Nie odpowiadam przed nikim poza członkami swojego stada – oznajmiłem. – I z a p e w n i a m panią, że jeśli sądzi pani inaczej, to srodze się pani rozczaruje.

Patrzyła to na mnie, to na niego, a jej maska opadała coraz bardziej.

– Nie widzi pan, że ja tylko próbuję wam pomóc? Nie musicie mierzyć się z tym sami.

– Nie jesteśmy sami – odrzekł Joe. – Mamy siebie nawzajem. Nasze stada.

Oczy jej się zwęziły.

– Nie możecie obaj być Alfami i przewodzić temu samemu stadu. To tak nie działa.

– Nie wie pani, n a j a k i c h z a s a d a c h działa nasza wataha – wtrąciłem.

– Masz zamiar go słuchać? – zwróciła się do Joego, ignorując mnie. – C z ł o w i e k a? Po tym wszystkim, co ludzie zrobili? Mimo tego, co m o g l i b y zrobić?

– Dyskryminacja gatunkowa – zauważył Joe. – Godne pożałowania. Nigdy nie sądziłem, że kto jak kto, ale że ty mogłabyś myśleć w ten sposób. Osmond tak rozumował. I Richard także.

Jej oczy rozbłyły czerwienią.

– Nie jestem taka jak oni.

– Może i nie – powiedziałem. – Ale to bez znaczenia. Już nie. Nie w obecnej sytuacji.

– Dlatego tym bardziej powinniśmy wam p o m ó c...

– Minęły trzy lata – zauważyłem – a kontaktuje się pani z nami pierwszy raz. Dlaczego?

Zawahała się.

– Wiedziała pani, że Joego nie było. Wiedziała pani, że część stada pozostała na miejscu. A mimo to ani razu się pani z nami nie skontaktowała. Ani ze mną. Ani z Markiem. Ani nawet z Elizabeth. Dlaczego?

– Nie było takiej potrzeby – powiedziała sztywno. – Przeżywaliście żałobę. Wysłałam do was Robbiego, który przekazywał mi wszystkie istotne informacje.

– A jednak – podjął wątek Joe – nie minęły dwa tygodnie od mojego powrotu i proszę, dzwoniisz.

– Stwierdziłam, że nadszedł czas...

– Nie – przerwał jej. – Nieprawda.

– Chodziło o to, że na nas pani nie zależało – powiedziałem. – Zależało pani na Joem.

– To on jest Alfą watahy Bennettów – warknęła Michelle. – Powinien...

– Ojciec powiedział mi kiedyś, że aby być dobrym Alfą, muszę przedkładać dobro stada nad własne – odparł. – Nad wszystko inne. Bo Alfa nie może przewodzić, jeśli nie ma stada, które za nim pójdzie.

– Co ci przyjdzie z tego, że twoje stado zginie? – spytała. – Bo tym właśnie ryzykujesz. Joe, proszę cię... Nie, błagam cię, daj sobie pomóc.

Joe popatrzył na mnie. Dopilnowałem, by w moim wzroku nie dostrzegł wahania, by każda część mojego ciała wyrażała siłę i pewność. Przed nami nadal była długa droga. Rany, które pokryły

moją skórę przez ostatnie trzy lata, będą się goić jeszcze długo. Ale wieki temu oddałem swoje serce błękitnookiemu chłopcu, który mnie i kochał, i ufał mi na tyle, by powierzyć mi bezpieczeństwo swojej rodziny.

Wydał z siebie cichy dźwięk, jakby się krztusił, jakby coś bolało go głęboko w gardle. W głowie i piersi poczułem wybuch ciepła i nagle się pojawiła. Jakkolwiek drobna, jakkolwiek młoda, pojawiła się najcieńsza z nici, przez którą usłyszałem: *stado i ukochany, i towarzyszu towarzyszu towarzyszu.*

Michelle miała rację. Joe był Alfą watahy Bennettów. Lecz nie spodziewała się mnie. Nic o mnie nie wiedziała. I niezależnie od tego, czy wierzyła w moje istnienie, czy nie, sądziła, że jestem słaby.

Tak, Joe był Alfą.

Ale ja także.

I zrobiłbym dla niego wszystko. Podobnie jak dla naszego stada.

Zwróciłem się ponownie do Michelle:

– Nie jest tu pani mile widziana. Nie teraz. Nie dopóty, dopóki to się nie skończy. Nie dopóty, dopóki nie zyskamy pewności, że możemy pani zaufać. Tak, jestem człowiekiem. Ale jestem też Alfą i dla swojej watahy zrobiłbym wszystko.

– Poświęciłby pan życie? – spytała cicho.

Joe zamarł.

Ja nie.

– Tak, nawet to – odparłem. – Jeśli dzięki temu mieliby być bezpieczni.

Pokiwała głową.

– Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Mówię szczerze. Wysyłam kilka zespołów do Oregonu. W tej kwestii nie możecie mi

się sprzeciwić. Jeśli moi ludzie znajdą go pierwsi, cóż... Zrobimy, co będziemy mogli. Ale jeśli uda mu się im wyrwać, jeśli ruszy na was, to... mam nadzieję, że wiecie, o co mnie prosicie.

– Wiemy – zapewniłem ją.

– Mam nadzieję, że wkrótce znów porozmawiamy – stwierdziła.

– Mamy dużo do przedyskutowania. Alfo Bennett, Alfo Matheson.

Ekran zrobił się ciemny.

– Nie poszło tak, jak się spodziewałem – wymamrotałem.

Joe się nie odzywał, więc spojrzałem na niego. Jego twarz nieco zbladła.

– Co?

– Mówiłeś poważnie.

– O czym?

– Że oddałbyś za nich życie. Za nas.

– Nikt nie umrze, Joe. Chciałem jej tylko coś udowodnić.

– Ale byś to zrobił – upierał się.

Nie wiedziałem, dokąd zmierza nasza rozmowa, dlatego powiedziałem:

– Jasne, Joe. Tak. Oddałbym życie za ciebie. Za was wszystkich.

Położył mi rękę na karku i przyciągnął do siebie. Zetknęliśmy się czołami.

– Nie możesz – powiedział. – Nie możesz umrzeć.

– Joe...

– O x – warknął.

Westchnąłem.

– Nie mogę ci niczego obiecać.

– W takim razie nie oddalaj się ode mnie – stwierdził. –

Cokolwiek by się działo, trzymaj się blisko mnie.

– Wiedziałeś o tym. Wiedziałeś, że zrobiłbym to dla nich. Dla ciebie.

Zacieśnił chwyt i lekko mną potrząsnął.

– Nie obchodzi mnie to – powiedział, a w jego głosie pobrzmiwała desperacja. – Nie masz prawa tego robić. Nie opuszczaj mnie.

– Myślisz, że on nadchodzi.

– Ja to wiem. – Oczy mu zapłonęły. Dostrzegłem błysk kłów.

– A razem z nim inni. Omegi. Osmond. Robert.

– Nie wiem. To bez znaczenia. Tak czy siak, przyjdzie. Sam albo z całą armią. Ale p r z y j d z i e.

– Po ciebie. Bo ty jesteś Alfą watahy Bennettów.

– Tak.

– To nasze terytorium.

– Tak.

– Należało do twojego ojca.

– Tak.

– Nie uda mu się tego odebrać. – Obnażyłem zęby. – Nie tobie. Nie nam. Nie naszemu pieprzonemu s t a d u.

– T a k – odparł wilk, jakby składał się z samych warknięć i ognia.

Pocałowałem go wtedy. Bo tak należało zrobić. Bo była to jedyna rzecz, na jaką miałem o c h o t ę.

Oddał pocałunek, pospiesznie i brutalnie. Jeden z jego kłów przebił mi wargę i poczułem między nami ostry posmak krwi, m o j e j krwi.

– Alfo – wyszeptał z wargami przy moich ustach.

A ja pomyślałem: *tak, tak, tak.*

pusta skorupa / bicie serca

Tydzień po tym, jak rozmawialiśmy z Michelle Hughes, przyglądałem się Elizabeth, która poruszała się tanecznym krokiem po kuchni. Była niedziela. Wcześniej powiedziałem jej, że powinniśmy zjeść wspólny obiad, ze wszystkimi. Bo tak nakazywała tradycja.

Oczy zaślniły jej jasno, kiedy to usłyszała. Poklepała mnie po ręku. Oboje zignorowaliśmy fakt, że jej głos był lekko ochrypły, kiedy mówiła:

– Byłoby wspaniale, Ox. Byłoby naprawdę wspaniale.

Ludzie z mojego (*naszego naszego naszego*) stada nakrywali na dworze do stołu. A właściwie Jessie nakrywała, a Tanner, Rico i Chris pili piwo, siedząc na podniszczonych krzesłach ogrodowych, które wyciągnęli nie wiadomo skąd.

Był z nimi Gordo i widziałem, że się stara. Stara się na powrót znaleźć z nimi wspólny język. Stara się odnowić dawne więzi. Bo nawet jeśli o niczym nie mieli pojęcia, nawet jeśli żaden z nich nie był wilkiem, to i tak należeli do jego stada dłużej niż ktokolwiek inny. Potrzebował ich. Tak jak potrzebował mnie. Biorąc pod uwagę długą historię ich znajomości, szło im powoli. Ale chłopacy go rozumieli. Przeważnie.

Carter i Kelly obsługiwali grill. Robbie bardzo się starał nie łązić wszędzie za Kellym. Po spotkaniu, podczas którego ja i Joe powiedzieliśmy im o połączeniu stad, Robbie się pohamował, stał się łagodniejszy w kontaktach z innymi, przestał się jeżyć, stąpił ostre krawędzie. Pomogło to, że przestał skupiać uwagę na mnie. Ten zaborczy sukinsyn Joe wydawał się rozbawiony całą sytuacją, zwłaszcza widząc oszołomienie na twarzy brata.

Joe spacerował gdzieś między drzewami. Alfa musiał utrzymywać dobry kontakt ze swoim terytorium. zaproponowałem, że z nim pójdę, ale pokręcił głową.

– Nic mi nie będzie, Ox – powiedział, zanim zniknął w lesie.

Dlatego zostałem sam z Elizabeth. Surówka, którą przygotowałem, czekała gotowa w dużej plastikowej misce. Nie otrzymałem kolejnego zadania, więc czekałem. Wydawało się to właściwe.

W końcu przestała tańczyć w rytm piosenki, którą tylko ona słyszała. Powiedziała:

– Ox.

– Tak?

– To miłe, prawda?

– Tak – przytaknąłem, lecz po chwili spytałem: – Co jest miłe?

Uśmiechnęła się, ale nie podniosła wzroku znad sałatki ziemniaczanej, którą mieszała.

– To. My. Ty i ja. Oni wszyscy.

Zgadzałem się z nią, więc przytaknąłem.

Na co ona powiedziała:

– Nie spodziewałam się tego.

– Czego?

– Że znów będzie nam to dane.

– Chciałem, żeby tak było – odparłem. – Chciałem, żebyś miała to wszystko. Po tym, co się stało.

Pokiwała głową.

– Wiem, że chciałeś. Ale nie mogłeś mi tego dać. Nie od razu.

Wzruszyłem ramionami. Usiłowałem się nie rozkleić.

– Nie wiem.

Podniosła na mnie wzrok.

– Staraleś się – stwierdziła. – Znam cię.

Rzeczywiście mnie znała. I to bardzo dobrze. Gdybym uważał, że moje serce by to zniosło, nazwałbym ją matką. Ale serca to zabawne organy: biją mocno w naszych piersiach, chociaż mogą się roztrzaskać pod najlżejszym naciskiem.

Usłyszała wszystko, czego nie byłem w stanie powiedzieć. Częściowo dzięki łączącym nas niciom. Ale głównie dlatego, że była Elizabeth Bennett. Po prostu wiedziała. Powiedziała:

– On musiał wrócić do domu. Dla mnie. Dla nas. Ale myślę, że przede wszystkim dla ciebie.

– Tęsknił po równo za nami wszystkimi – odparłem.

Przewróciła oczami. Robiła to tak rzadko, że za każdym razem wywoływało to mój uśmiech.

– Pewnie – skwitowała. – Wiem o tym. Jestem tego świadoma. Ale wrócił dla ciebie, Oxnardzie. Nawet jeśli w to nie wierzysz. Nawet jeśli tego nie rozumiesz. Wrócił dla ciebie.

Wpatrywała się we mnie, jakby rzucała mi wyzwanie, bym zaprzeczył jej słowom.

Powiedziałem:

– Okej. Jasne. Możliwe, że tak.

Sapnęła.

– Kiedy wrócił, zadomowiłeś się we własnej skórze. Wcześniej też byłeś Alfą, ale teraz jest inaczej.

– Naprawdę?

– Wiesz, że tak. A Joe... On... – Westchnęła i odwróciła wzrok. – Pewnego dnia, dawno temu, potwór zabrał mi syna. Zawsze powtarzałam swojemu dziecku, że nie ma się czego bać. Że nie pozwolę, by ktokolwiek go skrzywdził. Ale go okłamałam, bo został skrzywdzony. I to dotkliwie. Był krzywdzony tygodniami. Słyszałam, jak płacze, kiedy... kiedy potwór do nas dzwonił. Słyszałam, jak mnie woła. Chciałam... – Urwała i pokręciła głową.

– Nie musisz tego robić – powiedziałem ochryple.

Jej oczy błysnęły na pomarańczowo, kiedy na mnie spojrzała.

– Muszę – rzuciła ostrym tonem. – M u s z ę. Bo nie dostrzegasz własnej wartości. Nadal. Po tych wszystkich latach. Znaleźliśmy go, Ox. Znaleźliśmy Joego. Był z ł a m a n y. Słaby, zagłodzony i z ł a m a n y. Wzdrygał się na n a j c i c h s z y d ź w i ę k. Wydaje mi się, że przez pewien czas nawet nie wiedział, kim jest. A kiedy sobie przypomniał, kiedy nas rozpoznał, zaczął kulić się przed nami ze strachu, bo ten... ten mężczyzna, ten okropny mężczyzna wmówił mu, że go nie kochamy, że nigdy go nie chcieliśmy, że nigdy nie zostanie Alfą.

Przytrzymała się blatu, a jej paznokcie wydłużyły się w szpony. Powiedziała:

– Rozpaczałam nad nim. Nie wiedziałam, co mam robić. Kochałam go bardziej niż cokolwiek innego. Myślałam, że może to wystarczy. By przywrócić go do życia. By poskładać go znów do kupy. Ale nie wystarczyło. Zniszczenie chłopca, którego znałam

i kochałam, zajęło Richardowi Collinsowi zaledwie kilka tygodni. Została z niego tylko skorupa, rozumiesz? Pusta skorupa, a ja nie wiedziałam, jak to naprawić. A potem, Ox... Och, potem zjawili się ty.

Rozpłakała się, a ja nie miałem pojęcia, jak do tego doszło. Wiedziałem, że inne wilki ją słyszą, ale żaden nie wparował przez drzwi. Czekaliśmy. Nie wiedziałem na co.

– Zjawili się – ciągnęła – a on przyprowadził cię do domu, jakby przyniósł coś, co znalazł w lesie. Żebyś ty widział, jaką miałeś tamtego pierwszego dnia minę. Byłeś taki zdenerwowany. Tak słodko nieśmiały. Nie rozumiałeś, co się wokół ciebie dzieje. Nie mogłeś rozumieć. Ale ja wiedziałam, Ox. I Thomas także. Bo Joe się odezwał. Odezwał się do ciebie. Podjął decyzję, chociaż wtedy jeszcze nie wiedział, co ona oznacza. Należałeś do niego, Ox. Już wtedy. A on należał do ciebie.

Nie mogłem nic z siebie wykrztusić. Zabrakło mi słów. Bo pierwszy raz widziałem, jak Elizabeth płacze. Nawet po śmierci Thomasa przeżywała żalobę jako wilk. To było coś nowego i nie wiedziałem, jak sobie z tym radzić. Nie pomagało, że jej słowa uderzały mnie prosto w pierś, tak że ledwo mogłem oddychać.

– A potem znów musiał odejść – powiedziała, ocierając oczy. – Niezależnie od tego, czy postąpił słusznie, czy nie, czy powinien był tak postąpić, czy nie, zrobił to. Powiedzieli mi. O nim. Carter i Kelly. Że zamknął się w sobie tak jak wcześniej. Że zatracił się w swoim wilku. Że nie odzywał się do nich całymi miesiącami. Ale kiedy wrócił do domu, kiedy cię znów zobaczył, odnalazł swój głos, jakby nigdy go nie stracił. Więc nie mów, że nie jesteś tego wart. Nie myśl sobie, że nie jesteś wystarczająco dobry. Ponieważ zwróciłeś mi

syna, i to nie raz. I nawet gdybyś nie był moim Alfą, n a w e t gdybyś nie był wybrankiem mojego syna, miałabym u ciebie za to dług. Zwróciłeś go nam, Ox. I tego nikt ci nie odbierze.

I wtedy się roześmiała, choć policzki miała mokre, a oczy czerwone, ale tak po ludzku czerwone.

Powiedziałem:

– Ja... Ja tylko... Chciałbym być tym, za kogo mnie uważasz.

A ona odparła:

– Ox. Ox, czy ty tego nie widzisz? Ja nic nie uważam. Ja w i e m.

Jej stopy poruszały się lekko i zwinnie, trzy kroki i już była przy mnie, splotła palce z moimi i przycisnęła głowę do mojej piersi. Otoczyłem jej barki ramionami i przytuliłem ją mocno. Między nami rozciągały się nici, a ona przesłała mi przez nie wiadomość, śpiewała: *wataha* i *synu*, i *ukochany*, i *dom*.

Po jakimś czasie powiedziałem:

– To chyba tradycja.

Wytarła twarz w moją koszulę.

– To prawda – odparła.

– Wszystko w porządku? – Od strony drzwi dobiegł nas głos.

Roześmiała się ponownie i odsunęła ode mnie.

– W najlepszym – powiedziała Joemu. – Ox i ja byliśmy... No cóż. To chyba tyle. Ox i ja byliśmy.

Joe pokiwał głową. Wyglądał na zatroskanego.

– Powinnam zanieść to na dwór – powiedziała Elizabeth z uśmiechem. Wzięła sałatkę ziemniaczaną i wyszła, nie oglądając się za siebie.

Joe podszedł do mnie powoli, jakby się bał, że się wystraszę. I może w pewien sposób naprawdę byłem wystraszony. Bo chociaż

wiedziałem, ile dla niego znaczę, czasami wydawało mi się, że nie wiem wszystkiego. Ciężko mi to, ale miałem silne barki. Mogłem utrzymać ten ciężar.

– Wszystko gra, Ox? – spytał Joe.

Odparłem:

– Tak, Joe. – W moim głosie było słycać podziw, którego nie potrafiłem ukryć.

– Pewien jesteś? – Wydawał się rozbawiony.

Może nie byłem. Ale może to też było w porządku. Bo Elizabeth miała rację. Joe oddał mi się. W całości. Musiałem tylko dopilnować, by był bezpieczny. No bo rzeczywiście wybrał mnie. Spośród wszystkich. Dał mi swojego wilka. Który w gruncie rzeczy był jego sercem.

Powiedziałem:

– Kocham cię, wiesz?

Jakże się wtedy u ś m i e c h n ą ł.

Musiało upłynąć wiele czasu. Naprawdę.

Sytuacja nie zawsze wyglądała dobrze. Zostawili nas i musieliśmy radzić sobie we troje. Gdy wrócili, nas było już ośmioro, a ja zostałem Alfą.

Scalenie stad nie obyło się bez utarczek. Musieliśmy sprawdzić, czy wszystkie kawałki do siebie pasują. Czasami pasowały i mogliśmy działać jak zgrana drużyna. Kiedy indziej – nie.

Robbie zaskomlał z bólu, kiedy Carter wepchnął go na drzewo. To był wypadek. Dokazywali. Wilki tak robią. Ale usłyszałem tylko trzask łamanych kości i piski bólu jednego z moich. Z głębi gardła

Robbiego dobył się skowyt, kiedy próbował dźwignąć się na cztery łapy.

Znalazłem się przy nim, jeszcze zanim się zorientowałem, że w ogóle się poruszam.

Carter zmienił się z powrotem w człowieka. Stał goły i grzebał nagimi palcami stóp w trawie i ziemi.

– Hej – powiedział. – Nie chciałem...

– Cofnij się, kurwa – warknąłem.

Carter zrobił na mnie wielkie oczy i cofnął się o krok. Odwróciłem się i uklęknąłem obok Robbiego. Opuścił uszy i drżał lekko w reakcji na mój wybuch gniewu. Zrobiłem wdech i wypuściłem powoli powietrze.

W okolicy ramienia Robbiego dostrzegłem zgrubienie, którego nie powinno tam być. Złamana kość wybrzuszała skórę i futro. Robbie skrzywił się z bólu i zagryzł zęby, kiedy powoli wskoczyła na miejsce.

– W porządku? – spytałem i pogładziłem go po pysku.

Skubnął delikatnie zębami mój palec.

– Przepraszam, Ox – odezwał się stojący za mną Carter. – To był wypadek.

Burknąłem coś, niepewny, dlaczego powinienem czuć się w ten sposób.

– Nie mnie powinieneś przeproszać.

– Wybacz, Robbie.

Robbie zaskomlił i wstał na łapy. Otarł się o mnie, przechodząc. Tryknął Cartera głową w biodro i wszystko zostało wybaczone.

– Wciąż myślisz o nich jak o dwóch oddzielnych watach – powiedział mi później Joe tamtej nocy. Leżeliśmy obok siebie na

moim łóżku w starym domu. W pokoju było ciemno, na niebie lśnił cieniutki odprysk księżyca. – Zobaczyłeś w tym atak na twoje stado, a nie dokazywanie dwóch członków jednej watahy.

– Nie wiem, jak to zmienić – przyznałem się cicho. – Bardzo długo żyliśmy w ten sposób.

Joe westchnął.

– Nie obwiniam cię, Joe.

– Może powinieneś – bąknął.

– Obwinałem. Ale z tym już koniec. Teraz muszę tylko odkryć, jak to przepracować.

– Może...?

– Może co?

– Tata – zaczął Joe – nauczył mnie... różnych rzeczy. Co to znaczy być Alfą. Co to znaczy mieć swoje stado. Mógłbym... ci pokazać. Jeśli chcesz.

Chwyciłem jego dłoń. Powiedziałem:

– Pewnie, Joe. Jasne. Brzmi świetnie.

Pewnego dnia, kiedy miałem siedem lat, tata wrócił do domu z warsztatu. Usiadł na ganku, otworzył piwo i westchnął. Usiadłem obok niego, bo był moim ojcem i bardzo go kochałem.

Popatrzył na dom na końcu ulicy. Budynek stał pusty. Od dłuższego czasu. Kiedy słońce zaczęło zachodzić, tatko opróżniał czwartą butelkę. Powiedział:

– Ox.

Odparłem:

– Cześć, tatko.

Powiedział:

– Słuchaj, Ox, dam ci radę, dobra? – Słowa potykały się jedno o drugie.

Pokiwałem głową, chociaż nie miałem pojęcia, o czym mówi. Lubiłem brzmienie jego głosu.

Powiedział:

– Wydaje ci się, że uda ci się do czegoś dojść. Myślisz, że osiągniesz w życiu coś wspaniałego. Bo nie chcesz być taki jak wszyscy tam, skąd pochodzisz. Ale ludzie będą srać wszędzie, gdzie pójdiesz. Gównem ich będzie obchodzić, czego pragniesz. Chcą tylko przewrócić cię na ziemię. Uwięzić cię w pracy, której nienawidzisz. W domu, którego nie znosisz. Wśród ludzi, na których nie możesz nawet patrzeć. Nie pozwól im na to, dobra? Nie pozwól, kurwa, żeby ci to zrobili.

– Dobrze – odparłem – nie pozwolę.

Burknął coś i upił kolejny łyk z czerwono-białej puszkii.

Powiedział:

– Dobry z ciebie dzieciak, Ox. Głupi, ale dobry.

A ja zastanawiałem się, czy tak wygląda prawdziwa miłość.

Joe zabrał mnie do lasu, między drzewa, tą samą ścieżką, którą chadzał jego ojciec. Jego Alfa.

Powiedział:

– Tata mówił mi, że muszą istnieć nici, które łączą nas ze sobą. Scalają nas razem, ponieważ jesteśmy stadem. Im lepiej potrafimy współpracować, im bardziej sobie ufamy i szanujemy się nawzajem, tym silniejsze stają się więzi.

Wyciągnął rękę i przebiegł palcami po korze drzewa. Jego ojciec wielokrotnie robił to samo, kiedy spacerowaliśmy po lesie. Powiedziałem to Joemu. Uśmiechnął się do mnie.

– To pomaga.

Nie wiedziałem, co ma na myśli, nie za bardzo, ale puściłem uwagę mimo uszu.

– Wyczuwasz ich, prawda? – spytał, kiedy przestąpiłem nad butwiejącą kłodą, która tonęła w kwiatach i długich źdźbłach trawy.

– Zazwyczaj – odparłem.

– A Cartera? Kelly’ego? Gorda?

Wzruszyłem ramionami.

– Dochodzę do tego. Chyba. Nie wiem. Może Gorda. Ale tylko dlatego, że znam go najdłużej. I jestem z nim związany.

– Z całą resztą też.

Byłem, aż zerwałeś te więzi – cisnęło mi się na usta. – Aż przeciąłeś te nici, jakby były dla ciebie niczym.

Ale nie powiedziałem mu tego. Bo zostawiłem to za sobą. W większości.

– To była moja wina – powiedział, a ja w tej samej chwili z nienawidziłem wilkołaki, z nienawidziłem fakt, że jestem z nimi związany w ten sposób, bo wielokrotnie wydawało mi się, że moje myśli nie należą już do mnie.

– To nie tak – bąknąłem.

Przewrócił oczami, a ja usłyszałem słowa: *kim jesteś? I skąd się tu wzięłeś?* Wszeptane głosem małego tornada. Znów zobaczyłem ten rozdźwięk. Między chłopcem, którego poznałem, nastolatkiem, którym się stał, a mężczyzną, którym był teraz. Był szorstki

i cichszy niż kiedyś, ale od czasu do czasu dostrzegałem przebłyski w szczelinach. Joe to Joe to Joe.

Mogłem z tym żyć. Dla niego. Dzięki niemu.

– No, trochę tak – odparł. – Ale staram się to naprawić.

– Jak?

Wzruszył ramionami.

– Trudno ubrać to w słowa.

– Spróbuj.

Popatrzył na mnie spod zmrużonych powiek, ale wziął mnie za rękę i splótł ze mną palce.

– To chyba... okej, pewnie to głupie, że chcę użyć słowa „instynkt”, i zaraz mi powiesz, że nic nie rozumiesz, bo nie jesteś wilkiem, ale to zupełnie nie tak. Wydaje mi się, że jesteś teraz bardziej wilkiem niż człowiekiem.

Wydawał się dumny z tego faktu. Nie rozumiałem dlaczego.

– To mój dom – ciągnął. – Tutaj dorastał mój ojciec, a wcześniej jego ojciec i ojciec jego o j c a. Ta ziemia to nasze przeznaczenie. Jest w tym pewna... magia, tak sądzę. Nie taka sama jak magia Gorda, tylko coś, co mieszka w ziemi pod naszymi stopami. Rozpoznaje mnie. Rozpoznaje stado. Rozpoznaje Alfę. Kiedy coś się niszczy – psuje – ona to wyczuwa.

– A ty zniszczyłeś więź – powiedziałem, choć nie miałem takiego zamiaru. – Kiedy się od nas odciąłeś, zniszczyłeś ją.

Skrzywił się, lecz pokiwał głową.

– No, wydaje mi się, że tak. – Po chwili dodał: – Poczujesz to, prawda?

Przypomniałem sobie to uczucie w mojej głowie i piersi, kiedy obudziłem się tamtego ranka. Jedno słowo na ekranie telefonu.

Przepraszam.

No, poczułem.

– Coś tam poczułem – odparłem najspokojniej, jak się dało.

Widziałem, że to go zabolalo.

– Ox, ja...

Nie chciałem tego słuchać. Miałem dość przeprosin. Nie pomagały nam, już nie.

– Między nami wszystko gra, Joe.

– Naprawdę?

– Jesteśmy na dobrej drodze – skorygowałem, bo to stwierdzenie było bliższe prawdy.

– Dlatego to ja powinienem to naprawić – odparł. – Nie chodzi o ciebie, Ox. Nie dlatego nie możesz ich wyczuć. Jeszcze nie. Chodzi o mnie. To ja nas rozdzieliłem. Ale staram się to naprawić.

– Jak?

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Oczywiście obcując z naturą.

– Nadal tego nie łapię – powiedziałem, myśląc o ojcu.

Odparł:

– Hej, Ox. W porządku. Ja rozumiem dość za nas obu. Naprawię to. Wszystko naprawię. Ufasz mi, prawda?

Większość osób pewnie nie usłyszałaby zwątpienia w jego głosie, malutkiej drzazgi, która wepchnęła się pod koniec. Ale ja znałem go, odkąd miał dziesięć lat. Byliśmy po prostu Oxem i Joem, i znałem go pewnie lepiej niż ktokolwiek inny. Nawet jeśli nie był tym samym chłopcem, który oszedł kilka lat temu.

Tak naprawdę istniała tylko jedna odpowiedź na to pytanie. Dlatego powiedziałem:

– Tak, Joe. Chyba tak.

Czasem, kiedy nie mogłem spać, nawet z Joem u boku, szedłem pomiędzy drzewa. Gordowi nie podobało się, że tak robię, ale powiedziałem mu, że ja się nie martwię, bo wierzę w jego bariery, bo wierzę w niego.

Oznajmił, że jak komuś powiem, że aż go zatkało z emocji, to do końca życia będzie się tego wypierał.

W takie noce zakładałem szorty i koszulkę Joego. Całowałem go w czoło i pozwalałem spać dalej. Wychodziłem w mrok, a chłodne powietrze owiewało mi skórę. I szedłem przed siebie.

Zazwyczaj nie mijała godzina, zanim doganiał mnie biały wilk i ocierając się o mnie, stapał cicho obok. Niewiele rozmawialiśmy, ale towarzyszył mi dopóty, dopóki nie wdrapywaliśmy się z powrotem do łóżka. Czasami zmieniał się w człowieka. Innymi razy pozostawał w wilczej postaci i musieliśmy leżeć na podłodze, bo łóżko było zbyt małe. Ściągałem pościel, a Joe zwijał się koło mnie, kładł mi na piersi olbrzymią głowę, która wznosiła się i opadała z każdym moim oddechem, i wpatrywał się we mnie czerwonymi oczyma, aż odpływałem w sen.

Nic nam nie zagroziło w ciągu pierwszego miesiąca. Ani drugiego.

Słyszeliśmy plotki. Szepty.

– Moi ludzie ruszyli jego tropem na północ – powiedziała nam Michelle Hughes przez Skype’a – w kierunku Kanady.

Zmarszczyłem brwi do kamery.

– To bez sensu. Dlaczego miałyby się od nas oddalać?

– Nie oddala się – stwierdził Joe z nieobecny wyrazem twarzy.

– Nie – przytaknęła Michelle. – Sądzę, że nie.

– Odwrócenie uwagi – powiedziałem.

– Raczej zmyłka – zauważyła Michelle. Wyglądała na zmęczoną, pod oczami miała ciemne kręgi. – Nie wiem, co planuje, ale to nie może być nic dobrego. Moje zespoły poszły na północ, ale trop... po prostu się urwał. W jednej chwili byli blisko, a w następnej – nic.

– Jak on to robi? – spytałem. – Można podrobić zapach konkretnego wilka?

– Magia – wypalił Joe.

– Robert Livingstone – przytaknęła Michelle. – Najprawdopodobniej. Joe, jesteś pewien, że nie możemy...

– Już o tym rozmawialiśmy – powiedział Joe, a jego oczy rozbłysły szkarłatem.

– Zachowujesz się głupio w tej sprawie – odwarknęła natychmiast.

– Mam wokół siebie ludzi, którym ufam – oznajmił. – Nic więcej mi nie potrzeba.

Miałem nadzieję, że ma rację.

Było między nami zaufanie. Jakkolwiek małe. Jakkolwiek kruche. Ale zaczynało się budować.

Poznałem to po tym, że ludzie zaczęli się odprężyć w obecności Cartera i Kelly'ego. Wyglądali na mniej spiętych, mniej podejrzliwych.

Poznałem to po tym, jak Gordo śmiał się z dowcipów Rica. I po tym, jak tręcali się z Chrisem ramionami, kiedy szli obok siebie. I po tym, jak ścisnął Tannera za każdym razem, kiedy się żegnali.

Poznałem to po tym, że Robbie płoszył się zawsze, gdy Kelly wchodził do pokoju, że się delikatnie rumienił, że spuszczał wzrok na podłogę. Kelly wówczas wyglądał na zmieszanego, ale nigdy nie igrał z losem.

Poznałem to po tym, jak się wspólnie poruszaliśmy. Nasze ruchy nie były zsynchronizowane. Jeszcze nie. Ale szliśmy w dobrym kierunku. Powoli odnajdywaliśmy rytm, tempo, którego potrzebowaliśmy. Sam nie do końca to rozumiałem, ale zawsze zwracali wzrok ku drzwiom, w których miałem się pojawić, jakby się mnie spodziewali. Tak samo robili w przypadku Joego.

Poznałem to po tym, co mówili.

Carter powiedział:

– Czujesz to, prawda? Więzi. Nici. Nigdy wcześniej tak nie było, Ox. Nigdy wcześniej nie miałem tak dużego stada.

Kelly powiedział:

– Nie rozumiem. Dlaczego on robi do mnie takie miny? Dlaczego jąka się za każdym razem, gdy próbuję z nim porozmawiać? Nic mu nie zrobiłem. Nie łapię, dlaczego Robbie tak dziwnie się zachowuje.

Robbie powiedział:

– Nawet nie wiem, jak do niego zagadać! Nawet go nie znam. Za każdym razem, gdy próbuję się do niego odezwać, to zapominam ludzkiej mowy i... o mój Boże, czy ty się ze mnie śmiejesz? Na Boga, Ox, ty pieprzony draniu.

Jessie powiedziała:

– Wyszłam na miasto z kumpelami. Siedziałyśmy w restauracji, jadłyśmy obiad, one się śmiały z... no, nie wiem z czego. A ja myślałam tylko o tym, że ich n i e m a, rozumiesz? Że nie ma ich... w mojej głowie. W przeciwieństwie do stada. Poczułam taką p u s t k ę. Ox, klnę się na Boga, jeśli zniszczysz mi normalne życie poza stadem, to tak ci przyłożę, że stracisz śledzionę.

Chris powiedział:

– Zrobi to. Wierz mi. Jak miała siedem lat, to przypadkiem – auć, n o d o b r a, zrobiłem to specjalnie, przestań mnie b i ć, do kurwy nędzy – zostawiłem jedną z jej lalek Barbie na grzejniku. Twarz jej się stopiła i wyglądała... no, wyglądała niesamowicie. Ale jej się nie spodobała. Nadal mam bliznę na łokciu, bo rzuciła się na mnie z pazurami.

Tanner powiedział:

– Zmienił się. Mam na myśli Gorda. Może tak mi się tylko wydaje, bo teraz wiem o tych całych czarach. Może to zaważyło. Ale nie wiem, czy t y l k o. Jest jakiś inny, wiesz? Od powrotu. Jest... cichszy. Chyba także bardziej skupiony. Ox, wydaje mi się, że on potrzebował stada. Wiem, że miał nas, ale to chyba nie było to samo. Wydaje mi się, że jego magia kogoś potrzebowała.

Gordo powiedział:

– Nie mogłem oddychać. Kiedy nas nie było. Nie tak, jak mogę tutaj. Nie tak, jak mogę, kiedy jestem z wami. Wiem, że to rozumiesz. Wiem, że rzadko... rozmawiamy ze sobą. O takich sprawach. O uczuciach, czy jak tam chcesz to nazwać. Nie jesteśmy tacy. Ale, Ox, dzięki tobie oddycham. Nigdy nie chciałem cię zostawiać. Ja tylko... Ja... Miałem stado. Tamtej nocy coś... zrobiłem, co musiałem. A może raczej zrobiła to moja magia. Przywiązałem

się do niego. Do Joego. Ale musisz wiedzieć, że do ciebie pierwszego się przywiązałem.

Rico powiedział:

– Jakbyś pięć lat temu powiedział mi, że zostanę członkiem stada wilkołaków, a moim samcem Alfa będzie dzieciak o połowę młodszy ode mnie, który rżnie w dupę drugiego samca Alfa – nie patrz tak na mnie, Ox, przecież to prawda – tobym się spytał, czy mógłbyś mi dać trochę tego towaru, który bierzesz. Życie bywa... dziwne. Green Creek to dziwne miasteczko.

Elizabeth powiedziała:

– Zaczęłam znów malować. Pierwszy raz od trzech lat wzięłam do ręki pędzel i nie przeraziło mnie to. Och, jasne, idea stworzenia czegoś nowego zawsze przeraża, ale sama czynność jest oczyszczająca. Wyzwała. Nie wiem, w jakiej teraz jestem fazie, Ox, ale zrobię, co w mojej mocy, żeby to odkryć. Może w zielonej. Czuję, że mi zielono, Ox. Czy ty też to czujesz?

Joe powiedział:

– Wyczuwam ich.

Joe powiedział:

– Wyczuwam ich wszystkich.

Joe powiedział:

– Małe punkciki światła.

Joe powiedział:

– Ojciec nauczył mnie, że Alfa jest tak silny jak jego stado.

Joe powiedział:

– Ox. O x. Nie widzisz tego? Nie czujesz? Nasze stado jest s i l n e.

Joe powiedział:

– I może stać się jeszcze silniejsze. Myślę, że...

Joe powiedział:

– Myślę, że byłby dumny. Tata. Myślę, że byłby dumny ze mnie. Z ciebie. Z nas.

Mark powiedział:

– Chodzi o bicie twojego serca.

– Co? – spytałem i spojrzałem na Marka, który siedział naprzeciwko mnie w knajpce. Jakiś czas wcześniej przyszedł do warsztatu i oznajmił, że zabiera mnie na lunch. Nie zdziwiłem się, że usiedliśmy w tym samym boksie co tamtego dnia, kiedy się poznaliśmy. Wszystko jakoś zawsze tak wychodziło.

Przyglądał mi się takim samym wzrokiem jak wtedy, za pierwszym razem, kiedy ledwie pojmowałem rozmiary świata.

– Rytm, w którym się poruszają. Rytm, w którym my się poruszamy.

Zmarszczyłem brwi.

– Powiedziałem to na głos?

– Nie.

Westchnąłem.

– Oczywiście, że nie. Jebane wilkołaki.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Znam się na tym.

– Wiem, że się znasz. Ale jakim kosztem, Mark? Powiem ci, jakim kosztem. Kosztem mojego zdrowia psychicznego. I mojej jebanej prywatności.

– Trzeba było o tym pomyśleć, zanim zostałeś Alfą.

– Jakbym miał w tej kwestii cokolwiek do powiedzenia.

Jego uśmiech złagodniał.

– Miałeś wybór, Ox. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

– Taa – odparłem.

Podeszła kelnerka i przyjęła nasze zamówienia. Uśmiechnęła się kokieteryjnie do Marka, ale on tylko zamówił kanapkę z tuńczykiem i roztopionym serem i nie zareagował na jej zaloty.

– Poza tym jestem twoim zastępcą – powiedział, kiedy dziewczyna się oddaliła. – Wykonawcą. Stąd wiem takie rzeczy.

To... zmusiło mnie do refleksji. Nigdy wcześniej nie rozmawialiśmy na ten temat.

Mark czekał.

W sumie miało to sens.

– W takim razie w porządku.

– Naprawdę o tym nie wiedziałeś?

– Właściwie nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

– I nadal nie musisz – zauważył. – To nic nie zmienia.

– Kto pełni tę funkcję dla Joego? Nieważne... Carter.

Wyglądał na zadowolonego.

– Bicie serca? – przypomniałem mu.

– W taki sposób działa stado – odparł. – Dzięki niemu synchronizujemy ruchy.

– Nie rozumiem.

– Chodzi o bicie twojego serca – wyjaśnił. – I Joego. Poruszamy się razem z wami, bo wsłuchujemy się w bicie waszych serc.

– Ale ludzie...

– Idą za naszym przykładem – odparł. – I twoim. W końcu staje się to ich drugą naturą.

– Z Thomasem też tak było? – spytałem cicho, bo nagle wszystko nabrało o wiele więcej sensu. Jak dostrajaliśmy się do niego. Jak stado dostrajało się do mnie. Jak Carter, Kelly i Gordo dostrajali się do Joego.

Mark potwierdził:

– Tak. Nie słyszałeś go. Nie w taki sposób, jak słyszeliśmy je my. Ale poruszałeś się razem z nami. Nauczyłeś się tego z czasem. A teraz my dostrajamy się do ciebie. I Joego.

Potem każdy z nas zatopił się we własnych myślach. Kelnerka przyniosła w końcu jedzenie. Mark przyciskał się stopą do mojej stopy, dotykał mnie, jak zawsze.

Obrzuciłem spojrzeniem talerz zupy i powiedziałem:

– Cieszę się, że nadal jesteśmy przyjaciółmi. Po takim czasie.

Nie odpowiedział, ale nie musiał. Wydaje mi się, że walenie mojego serca mówiło za nas obu.

W którymś momencie, kiedy mijał trzeci miesiąc, staliśmy się zwartą grupą.

Nadal zdarzały się nam utarczki. Nie da się żyć w dwunastoosobowym zespole i zawsze się ze sobą zgadzać. Na szczęście utarczki były nieliczne i zdarzały się rzadko, i zawsze udawało nam się je wyciszać, zanim przerodziły się w coś więcej.

Większość z nas najczęściej przebywała albo w domu Bennettów, albo w starym domu. Joe i ja nawet nie pomyśleliśmy, żeby przenieść się z mojej starej sypialni, chociaż w łóżku było nam strasznie ciasno. Razem zasypialiśmy i razem się budziliśmy. Wstawaliśmy wcześniej rano – Joe żeby zabrać wilki do lasu, ja żeby

zabrać chłopaków do warsztatu, Jessie jechała do pracy, a przez Green Creek przetaczała się kolumna samochodów.

Bez względu na wszystko Joe co rano dotykał wilka, którego mi dał, kamiennej figurki, która stała na moim biurku. Przebiegał po nim palcami, od głowy przez plecy do ogona. Na jego twarzy pojawiał się wówczas wyraz takiej nabożnej czci, jakby nie mógł uwierzyć, że zatrzymałem figurkę, że nadal chciałem ją mieć.

Spóźnialiśmy się niezawodnie, bo przyciskałem go do ściany i, pojękując, ssałem jego język. Nalegał na więcej. Chciał, żebym go zerznął. Chciał zerznąć mnie. Ale nie mogłem. Jeszcze nie.

Widziałem, co działo się z Elizabeth, kiedy zginął Thomas. Widziałem, jak mocno zatraciła się w swoim wilku.

Gdyby coś stało mi się teraz, no cóż... Wiedziałem, że to by ich zasmuciło. Poczuliby to aż w kościach. Joe mógłby się z tego nie otrząsnąć. A może by się otrząsnął i stał się dzięki temu silniejszy.

Ale gdybyśmy połączyli się w parę i wtedy coś mi się stało? Po czymś takim Joe z pewnością nie doszedłby już do siebie. Ponieważ połączenie się w parę oznaczałoby, że stalibyśmy się czymś więcej, niż byliśmy do tej pory.

Pragnął tego. Wiedziałem o tym. J a pragnąłem tego bardziej niż czegokolwiek innego. Ale nie mogłem mu tego zrobić. Tak na wszelki wypadek. Nie mogłem ryzykować.

Najpewniej nad naszymi głowami zawsze będzie wisieć jakieś niebezpieczeństwo, ale nie potrafiłem wymyślić nic gorszego niż Richard Collins.

Raz po raz powtarzałem sobie, że kiedy jego już nie będzie, wezmę wszystko, co tylko Joe zechce mi dać. Bo wiedziałem, że Richard w końcu z g i n i e. Że mi tego n i e o d b i e r z e. Nie odbierze

tego nam. Byliśmy silniejsi niż kiedykolwiek. Byliśmy razem. Byliśmy stadem, jak nigdy przedtem, wszyscy. Pracowaliśmy razem. Mieszkaliśmy razem. Jadaliśmy razem. Byliśmy rodziną, a ja już straciłem tylu bliskich, że nie mogłem pozwolić, by odebrano mi jeszcze kogoś. Jeśli miałbym oddać życie, by zapewnić im bezpieczeństwo, to w porządku. Niech tak będzie. Spełniłbym swój obowiązek jako Alfa pod warunkiem, że oni byliby bezpieczni.

Nie chciałem umierać. Ale bardziej pragnąłem, by oni żyli. I pragnienie to było podszyte poczuciem winy. Bo byłem tam, kiedy ożyły koszmary. Joe Bennett miał dwadzieścia jeden lat, lecz wciąż śnił o tym, co mu zrobiono. Za każdym razem, gdy zaczynał rzucać się po łóżku i łkać, gdy chwyciło go w swoje szpony to, co siedziało mu w głowie, owijałem się wokół niego, trzymałem go mocno, szeptałem mu do ucha, że jest bezpieczny, że jest w domu, że nie pozwolę, by stało się mu coś złego. Dopóty, dopóki oddycham. Potem zasypiał głębiej. Czuł się bezpieczny, gdy ja nad nim czuwałem.

Ci ludzie byli moją rodziną. Moim stadem. Zrobiłbym dla nich wszystko. I właśnie dlatego, kiedy Richard Collins zjawił się ponownie, przyszedł po mnie.

bestia

Bestia powiedziała:

– Cześć, Ox.

Zacisnąłem dłoń mocniej na telefonie. Starąłem się uspokoić bijące szaleńczo serce.

Wilki dokazywały w lesie, biegały we wczesnopopołudniowym słońcu. Sześć dni wcześniej była pełnia księżyca i musiały pozbyć się nadmiaru energii, która wciąż w nich krążyła.

Ludzie rozłożyli się wokół mnie. Gordo znajdował się najdalej, siedział ze skrzyżowanymi nogami i zamkniętymi oczami, oddychał głęboko i powoli, zaciskając palce na trawie.

Dzień był spokojny. Niedługo mieliśmy wrócić do domu na obiad. Była niedziela. Taką mieliśmy tradycję. Elizabeth znalazła nowy przepis na pieczeń rzymską, który chciała wypróbować. Ja zamierzałem zrobić surówkę z ogórków.

Odparłem:

– Cześć.

Richard Collins zaśmiał się cicho.

– Słyszę ich. Słyszę, jak oddychają wokół ciebie. Wilki są... nieco dalej, ale jeśli się wsłucham, jeśli wysilę się wystarczająco m o c n o, to z pewnością usłyszę Cartera i Kelly'ego. Marka. Elizabeth. Robbiego, zgadza się? Tego nowego. Tę twoją nową Beta d z i w k ę.

No i oczywiście Joego. Syna marnotrawnego, który powrócił do domu, do ziemi ojca. Księcia w królestwie upadłego króla. Powiedz mi, Oxnardzie, nie boli cię świadomość, że ja pierwszy położyłem na nim łapska? Nie przewracaj ci się w żołądku na myśl o tym, że moje palce błądziły po jego skórze na długo przed twoimi?

Odparłem:

– Może tak było. Ale nigdy więcej.

Richard powiedział:

– Och, Ox. Przecież tak naprawdę w to nie wierzysz. Posłuchaj. Słuchasz?

– Tak.

– Chcę, żebyś się od nich oddalił. Teraz. Mamy wiele do omówienia, ty i ja.

– Ox.

Poderwałem gwałtownie głowę.

Rico mi się przyglądał.

– Wszystko w porządku? – spytał.

Pokiwałem głową i posłałem mu wymuszony uśmiech.

– Muszę odebrać tę rozmowę – odparłem, starając się, by nic nie przedostało się przez nasze więzi. Uczono mnie, że Alfy potrafią stłumić nawet najsilniejsze emocje, by nie obarczać nimi swoich Bet, swojego stada.

Pomyślałem: *Moja matka była cudowną kobietą.*

Pomyślałem: *Była wspaniała i niezwykle życzliwa.*

Pomyślałem: *Kocham swoją rodzinę.*

Pomyślałem: *Joe wrócił do domu, jest w domu i tu zostanie.*

Pomyślałem: *Nie pozwolę, by ktokolwiek ich skrzywdził, bo stado, bo miłość, bo dom.*

Bicie mojego serca zwolniło. Kark miałem śliski od potu. Ale bicie serca zwolniło jeszcze bardziej.

Rico spojrzął na mnie i przekrzywił głowę. Jessie podniosła wzrok i zmarszczyła brwi.

– Zaraz wracam, okej? – powiedziałem. Uśmiechnąłem się okropnym fałszywym uśmiechem, który nawet mnie wydawał się zbyt szeroki.

Pokiwali głowami.

Wstałem i trzymając telefon przy uchu, oddaliłem się od nich. Poszedłem w przeciwnym kierunku niż wilki. Słyszałem każdy jego oddech. Słyszałem, jak przesuwają językiem po zębach.

Myślałem o rzeczach, które mogły mnie uspokoić. Nawet o tym, jak będzie smakować surówka z ogórków, chrupiąca i słodka, nawet o tradycji. Pot ściekał mi strużkami po plecach. Słońce przeświecało przez gałęzie drzew. Zdawało mi się, że zamilkły wszystkie ptaki, że zamilkł cały las, ale to tylko krew szumiała mi w uszach.

Czułem się, jakbym całymi dniami błąkał się wśród drzew. A szedłem tylko kilka minut.

Powiedziałem:

– Jestem sam, z dala od wszystkich.

– Naprawdę? – spytał. – Powiem szczerze, spodziewałem się po tobie nieco więcej... oporu.

– Mogę kłamać.

– Możesz – przytaknął. – Ale nie kłamiesz. Twoje serce bije niewiarygodnie miarowo. W sumie opanowanie, które przejawiasz, jest zdumiewające. Jakim cudem potrafisz robić to, co robisz?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Nie – powiedział surowo. – Nie wolno ci tego robić. Nie wolno ci tak ze mną pogrywać, Oxnardzie. Ani dzisiaj, ani nigdy. Wydaje ci się, że wiesz, do czego jestem zdolny, ale nie masz pojęcia. Mówiłem ci, Ox. Jestem potworem.

– Gówno mnie obchodzi, kim jesteś. Nigdy nie...

– Znasz pana Fordhama?

Zamurowało mnie, bo zupełnie nie rozumiałem, o co chodzi. Pan Fordham był staruszkiem, który od czasu do czasu przychodził do warsztatu. Pamiętałem, jak Gordo dał mu rabat na wymianę katalizatora, bo pana Fordhama nie było na nią stać. Takim człowiekiem był Gordo – a właściwie nadal jest – a mina pana Fordhama była po prostu niesamowita, taka słodka i miła, staruszek był wdzięczny za to, co Gordo dla niego zrobił. Jak tylko się dowiedział, że Gordo wrócił do miasteczka, przyszedł do warsztatu, żeby uścisnąć mu dłoń i z nim pogadać.

– Ox – powiedział Richard łagodnie – zadałem ci pytanie.

– Tak – odparłem. Czułem się oderwany od rzeczywistości. – Znam go.

– Wiedziałeś, że był na dzisiaj umówiony do lekarza? Do lekarza, który przyjmuje poza Green Creek. Wiesz, to starszy człowiek. Pikawa już nie działa tak jak kiedyś. Ale moim zdaniem to nieustraszony człowiek. Zwłaszcza jak się weźmie pod uwagę, jakie mam kły.

Nie. Nie, nie, nie.

– Coś ty zrobił?

Roześmiał się.

– Och, Ox. Jeszcze nic. Ale zaraz zrobię. Proszę bardzo. Pożegnaj się.

Przełożył gdzieś telefon, a ja ścisnąłem swój mocniej. Słońce świeciło zbyt jasno. Wszystko nagle wydało mi się zbyt rzeczywiste.

Po chwili usłyszałem drżący głos:

– Ox.

– Panie Fordham – wyszeptałem.

– Posłuchaj mnie, chłopcze – powiedział, jakby miał kręgosłup ze stali. – Nie wiem, kim on jest ani czego chce, ale mu tego nie dawaj. Słyszysz mnie? Nie dawaj mu tego. Jego oczy, Ox. Jego oczy mają takie kolory, jakich nawet nie potrafiłbym sobie wyobrazić. Nie może dostać się do miasteczka, oni nie mogą się dostać, więc jedyne, co może zrobić, to próbować cię stamtąd wywabić. Więc zostań tam. Z o s t a ń t a m...

Coś chlapnęło w telefon. Znałem ten dźwięk. Dźwięk rozcinanej skóry na szyi. Dźwięk przelewanej krwi.

Pan Fordham, osiemdziesiąt lat z okładem, umarł, dławiąc się. Słyszałem, jak rzezi.

– Ox – odezwał się Richard. – Jesteś tam jeszcze?

– Zabiję cię – odparłem. – Znajdę cię i zabiję.

– Cóż, z pewnością będziesz próbował – stwierdził rozbawiony. – Muszę przyznać, Ox, że nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty. Być może nie doceniłem cię tamtego dnia, gdy zabiłem twoją matkę. Nigdy więcej nie popełnię tego błędu. Aha, j e s t. Och, Ox. Twoje s e r c e. Wali jak s z a l o n e.

Tak było. Tak było. Tak było, a ja nie potrafiłem go uspokoić. Gniew. Wściekłość. Pomyślałem, że chyba już rozumiem, dlaczego Joe zrobił to, co zrobił. Dlaczego odszedł. Że wiedział, co musi zrobić, nawet jeśli oznaczało to oderwanie się od wszystkiego, co

znał, i od wszystkich, których znał. W końcu zrozumiałem. Bo ja zrobiłbym to samo.

Nie byłem wilkiem. Ale tak bardzo chciałem oddać się we władanie wilka.

Spytałem:

– Czego chcesz?

– Tak lepiej – powiedział. – Bo chodzi o to, czego ja chcę. To bardzo proste, Ox. Przyjdiesz do mnie. I to sam.

– Nie dam się wykorzystać, byś ściągnął do siebie Joego. Nigdy go nie dostaniesz.

– Nie chodzi o Joego. Chodzi o ciebie, Ox.

Gdzieś nad moją głową potrzaszcz zaśpiewał marną, przepętnioną bólem piosenkę.

– Jak to o mnie? Jestem nikim. Nie jestem...

– Ukrywali cię przede mną – przerwał mi. – I mogło im się udać. Ale nie wliczyli Davida Kinga. Nawet o nim nie pomyśleli. Wiesz, co on mi powiedział, Ox, kiedy przelewałem jego krew? Błagał mnie, żebym przestał, błagał mnie, żebym go wypuścił, proszę, proszę, przestań, zrobię wszystko, co zechcesz, proszę, proszę, proszę. – Głos Richarda stał się piskliwy i szyderczy. Na koniec zachichotał. – Mówił mi różne rzeczy, Ox, zanim oderwałem mu łeb od reszty ciała. Powiedział mi różne rzeczy o tobie.

Nic nie powiedziałem, bo wiedziałem, dokąd zmierza nasza rozmowa. Zamknąłem oczy i życzyłem sobie, bym się mylił.

– Alfo – wyszeptał mi Richard do ucha.

– Tu jesteś – powiedziała Elizabeth.

Stanąłem w drzwiach kuchni. Słyszałem, jak reszta stada krząta się na dworze. I na piętrze. I w salonie.

– Przepraszam – odparłem. – Musiałem odebrać telefon. Sprawy związane z pracą.

Starąłem się, by mój głos brzmiał spokojnie. Starąłem się, by moje serce biło miarowo. Znajdowałem się w domu pełnym wilków, które zaraz by się o wszystkim dowiedziały, gdybym zdjął maskę choć na chwilę.

– Wszystko w porządku?

Uśmiechnąłem się do niej.

– W jak najlepszym.

Zatrzymała na mnie spojrzenie na dłuższą chwilę, ale w końcu kiwnęła głową.

– No dobrze. Obiad sam się nie ugotuje. Zabierajmy się do roboty, Ox. Mamy mnóstwo pracy.

– Hej. – Podniosłem wzrok znad cebuli, którą kroilem w kostkę.

Joe uniósł brwi i oparł się o blat. Ręce skrzyżował na piersi. Jego mięśnie wybrzuszały się z powodu szczątkowego przyciągania księżycy. Był piękny, ponieważ był Joem. Był piękny, ponieważ był mój.

– Hej – odparłem. Już teraz zaczęło się robić ciężko. Nie wiedziałem, jak przez to przebrnę.

– Gdzieś ty polazł?

– Telefon – odparłem i wzruszyłem ramionami. – Rozmowa zajęła mi więcej czasu, niż sądziłem.

– Poważnie? Coś związanego z pracą?

Pokiwałem głową. Nie miałem dość odwagi, by się odezwać. Wróciłem wzrokiem do cebuli.

– Joe – zrugła go Elizabeth – przestań rozpraszać mojego pomocnika. Jeszcze sobie coś odetnie, jak będziesz tak się do niego wdzieczył. Przestań zachowywać się wyzywająco w mojej kuchni. Idź stąd i znajdź sobie coś innego do roboty.

Joe się zaczerwienił i zaczął bełkotać.

Zacisnąłem palce mocniej na nożu i przełknąłem gulę, która urosła mi w gardle.

– Nie w d z i ę c z y ł e m się.

– Ależ wdzieczyłeś – odparła.

– Ox...

– Ależ wdzieczyłeś – udało mi się wykrztusić.

– Dobra – oznajmił. – Wiem, kiedy nie jestem chciany.

Nieprawda – prawie powiedziałem. – Zawsze jesteś chciany.

Ja zawsze cię chcę.

Chciałbym nigdy cię nie opuszczać.

Chciałbym nigdy nie musieć się z tobą żegnać.

Przepraszam, Joe.

Tak mi przykro.

Powiedziałem:

– To tylko na chwilę.

– Taa? – spytał Joe. – A potem znów będziesz mnie chciał? Czuję się wykorzystany.

Pokiwałem głową.

– Hej – powiedział i w mgnieniu oka znalazł się obok mnie, przytulił się i przycisnął nos do mojej szyi. – Żartowałem. Wiesz, że

nie o to mi chodziło.

– Taa – odparłem.

Pocałował mnie w szczękę.

– W takim razie zostawiam was z waszą robotą. A potem pozwolę ci pokazać, jak bardzo mnie chcesz.

Trzepnął mnie w tyłek i wyszedł, rechocząc.

Zasiedliśmy do niedzielnego obiadu całą dwunastką. Bo tak nakazywała tradycja. Tak robiło nasze stado.

Ja siedziałem u szczytu stołu. Joe – po mojej prawej. Mówiłem mu wcześniej, że to on powinien zająć miejsce ojca, ale tylko pokręcił głową i powiedział, że do twarzy mi na tym krześle. Nikt nie próbował go przekonywać, że powinien usiąść naprzeciwko mnie, na drugim końcu stołu, tak jak robili jego rodzice. Lepiej się czułem, mając go u boku.

Stół ugiął się od jedzenia. Stado śmiało się i szczyrzyło zęby, kiedy poszczególni członkowie nakładali potrawy na talerze sobie samym i sobie nawzajem. Jeden po drugim milkli, czekali.

To Alfa zawsze brał pierwszy kęs. Wilki robiły to instynktownie. Dla ludzi stało się to już rutyną. Nikt się nigdy nie skarżył, bo tak po prostu było.

Podniosłem widelec.

Dam radę. Muszę dać radę.

Odłożyłem widelec, bo nie dałem rady. Musiałem najpierw się pożegnać.

Joe przykrył moją dłoń swoją.

Podniosłem na niego wzrok.

Przyglądał mi się, a na jego twarzy malowała się troska.

– Ox?

Powiedziałem:

– Przepraszam. Ja tylko... To był długi dzień. Jestem trochę zmęczony.

– Jesteś pewien?

Obdarzyłem go nikłym uśmiechem.

– No – odparłem. – Jestem pewien.

Miałem nadzieję, że to wystarczy, by mi uwierzył.

Odwróciłem się od niego w kierunku pozostałych. Powiedziałem:

– Ja, yyy. Nie jestem za dobry w mówieniu. Nie gadam za dużo. Chyba... To chyba przez ojca. Czasami trudno mi wymyślić, co mam powiedzieć. Zaczynam się martwić, że tylko pogorszę sytuację.

Joe ścisnął moją rękę.

Ciągnąłem:

– Dlatego zazwyczaj nie mówię tego, co powinienem. Na przykład tego, że was kocham. Was wszystkich. Tego, jak bardzo was potrzebuję. Że są takie dni, kiedy nie mogę uwierzyć, że obdarzyliście mnie zaufaniem. Że pokładacie we mnie wiarę. Bo jestem tylko Oxem, wiecie? Mój tatko powiedział mi kiedyś, że ludzie będą mnie chujowo traktować. Przez całe życie. I przez długi czas tak właśnie było. Aż zacząłem myśleć, że nic innego mnie nie czeka. Ale potem... spotkałem pewnych ludzi. Ludzi, którym nie przeszkadzało, że jestem trochę bardziej powolniejszy od innych. Że jestem większy. Że czasami pierdolę głupoty. A ja... Jesteście moją rodziną, rozumiecie? Jesteście moją rodziną. Moją watahą. I cokolwiek się stanie, cokolwiek nas czeka, musicie o tym pamiętać. Pamiętać, że choćby nie wiem co, macie siebie nawzajem.

W ustach mi zaschło, język zrobił się sztywny jak kołek. Pomyślałem, że jak Joe nadal będzie mnie tak mocno ścisnął, to zostaną mi siniaki. Elizabeth otarła oczy. Usta Marka rozciągał ten jego tajemniczy uśmiezek. Robbie patrzył na mnie z podziwem. Carter i Kelly szczerzyli się głupkowato, jakby znów byli nastolatkami, jakby nie przeszli przez piekło. Rico, Tanner i Chris pospuszczali głowy. Jessie otoczyła ramieniem barki brata i przycisnęła czoło do jego policzka. A Gordo... Gordo, Gordo, Gordo.

Zmarszczył czoło.

Powiedziałem:

– No, teraz to się zrobiło niezręcznie...

Wszyscy się roześmiali. Urządziłem niezłe przedstawienie, biorąc pierwszy kęs. Joe bez przerwy trzymał moją rękę. A Gordo nie spuszczał ze mnie wzroku.

Bracia Bennettowie zmywali naczynia. Ludzcy członkowie stada rozjechali się do domów. Robbie i Mark siedzieli w bibliotece. Elizabeth malowała, a jej obraz był zielony, zielony, zielony.

Gordo powiedział:

– Przejdźmy się, Ox.

Zawahałem się.

Głową wskazał frontowe drzwi.

Westchnąłem, ale wyszedłem z nim na dwór.

Zaczekał, aż oddaliśmy się poza zasięg słuchu wilków.

Powiedział:

– Znam cię.

Zaczynało się ściemniać.

- Od dawna – odparłem niepewny, dokąd zmierza ta rozmowa.
- I mówimy sobie większość rzeczy. Bo tacy właśnie jesteśmy.
- Pewnie, Gordo.
- Chciałbyś mi może coś teraz powiedzieć?

Zmusiłem się, żeby na niego spojrzeć.

- Co masz na myśli?

Spojrzał na mnie spod zmrużonych powiek.

- Nie jestem głupi, Ox.
- Nigdy tak nie twierdziłem.
- Coś jest nie tak.
- Z czym?
- Z tobą.

Prychnąłem.

- Mnóstwo rzeczy.
- Ox – ostrzegł – nie zachowuj się wobec mnie lekceważąco.
- Nawet nie próbuję. Gordo, zawsze coś jest nie w porządku. Ale zapewniam cię, że nie bardziej niż zazwyczaj.
- Musisz mi powiedzieć, Ox. Nie pomogę ci, jeśli mi nie powiesz, co jest nie tak.

Westchnąłem.

- To nic takiego, jasne? Jestem po prostu zmęczony. Wiesz, pełnia, praca, wszystko. Od czasu do czasu się zdarza. Gównu wraca i robi się go coraz więcej. Po prostu muszę iść dzisiaj wcześniej spać. Jutro będzie lepiej.
- Ale powiedziałaś mi, prawda? Gdyby coś było nie tak.

Nie, jeśli miałyby to zapewnić mu bezpieczeństwo. Zapewnić bezpieczeństwo im wszystkim.

– Jasne, Gordo – powiedziałem. Kłamstwo smakowało jak popiół na języku.

Przyglądał mi się jeszcze przez chwilę chłodnym, oceniającym wzrokiem. W końcu potrząsnął głową.

– W porządku. Po prostu nie rób mi tak więcej, Ox. Kurwa mać, przy obiedzie sprawiałeś wrażenie, jakbyś się z nami żegnał. Po prostu... po prostu nie rób mi tego.

– No – zakasłałem. – Zmęczony jestem. Takie rzeczy zawsze ze mnie wyłażą, jak jestem zmęczony.

Przewrócił oczami.

– Idź i wylej swoje uczucia tam, gdzie powinienes, czyli na Joego. O Boże... żałuję, że to powiedziałem.

Roześmiałem się szczerze. Gordo próbował popchnąć mnie z powrotem w stronę domu, ale złapałem go za ramię, przyciągnąłem do siebie i wyściskałem. Stęknął zaskoczony, ale natychmiast oplótł mi rękoma plecy, żeby nie pozostać dłużny.

– Czego chciał Gordo? – spytał mnie Joe, kiedy szliśmy razem w kierunku starego domu.

Słońce już prawie zniknęło za horyzontem. Na niebie nad nami pojawiały się gwiazdy. Wiatr tańczył między drzewami, które chwiały się w przód i w tył.

– Sprawy związane z warsztatem – odparłem.

– Sprawy związane z warsztatem – powtórzył. – Brzmi ekscytująco.

– Głupol.

Wyszczrzył się do mnie z czułością i złapał mnie za rękę.

- Jaja sobie z ciebie robię.
 - Wiem.
 - W każdym razie musisz się starać w pracy, skoro mam być twoim utrzymankiem.
 - Beznadziejny plan. Lepiej poszukaj jakiejś roboty.
 - Najpierw muszę skończyć liceum, Ox – oznajmił, jakbyśmy nie omawiali sprawy z milion razy. – Potem jakiś college online. Potem pewnie przejmę interesy ojca. Na razie nie brakuje nam pieniędzy.
 - Wiem – odparłem. – Poradzisz sobie.
 - Tak myślisz?
- Pochyliłem się i pocałowałem go w policzek. Podrapałem sobie wargi o zarost.
- No. I może wtedy to ja zostanę twoim utrzymankiem.
- Roześmiał się i odepchnął mnie.
-

Zadzwoił mój telefon. Wydał z siebie pojedynczy sygnał.

Joe leżał na kanapie z głową na moich kolanach, a ja przeczesywałem mu włosy palcami. Zaczął ponownie je zapuszczać i były już niemal tak długie, że mógłbym za nie złapać. Telewizor był włączony, ale bez dźwięku.

Podniosłem komórkę, którą zostawiłem tuż obok siebie. Jeden nowy SMS. Z nieznanego numeru.

Dałem ci wystarczająco dużo czasu.

Nie pozwoliłem dłoniom zadrzeć. Powiedziałem:

– Cholera.

Joe otworzył oczy.

– Co?

Głos miał ochryply i wspaniały.

– Jessie.

– Co z nią?

– Złapała gumę, a nie ma lewarka.

– Cholera. Dobra, daj mi chwilę, możemy...

– Neee – odparłem. – Nie przejmuj się. Nie zajmie mi to dużo czasu.

– Na pewno?

Pokiwałem głową i popatrzyłem na niego.

– Zobaczysz. Wrócę, zanim się obejrzysz.

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale tylko zmarszczył brwi.

– Dziwne.

– Co?

– Twoje serce podskoczyło, kiedy to powiedziałaś. Jakby... – Pokręcił głową. – Nieważne. Pewnie jestem po prostu zmęczony. O ile nie planujesz z nią uciec, pozwolę ci jechać. Tylko ten jeden raz.

– W życiu – odparłem, chociaż myślałem, że zaraz się rozsypię. – Już nigdy nie zechcę nikogo poza tobą.

Uśmiechnął się do mnie.

– Aleś ty dzisiaj cikliwy. Pospiesz się i jedź już, żebyś mógł szybciej wrócić. Jak nie będę spał, to ci obciągnę.

– Wow. Skoro wysuwasz takie propozycje, to powinno mnie tu już nie być.

– Masz cholerną rację.

Pozwolił, bym uniósł jego głowę i wstał z kanapy. Zamiast kolan podłożyłem mu poduszkę. Uklęknąłem obok kanapy i wziąłem jego twarz w dłonie. Nachyliłem się i pocałowałem go. Westchnął

radośnie i wyciągnął rękę, żeby podrapać mnie z tyłu po głowie. Przycisnął język do moich ust, tylko na chwilę, i odsunął się.

Przejechałem kciukiem po jego brwiach. Po policzkach. Po wargach. Zamruczał cicho. Bezpieczny. Zadowolony.

– Kocham cię – powiedziałem, bo jeśli było coś, czego nie mogłem znieść, za co obwinałem się bardziej niż o cokolwiek innego, to był to fakt, że nie mówiłem mu tego codziennie. Wielokrotnie w ciągu dnia. Dziwna sprawa. Nie musieliśmy mówić głośno, co czujemy, żeby to wiedzieć, ale nie powinno było mnie to powstrzymać.

– Tak? – spytał i pocałował opuszkę kciuka, po czym chwycił ją między zęby i delikatnie ugryzł. Kiedy ją puścił, powiedział: – Ja też cię kocham, Ox. Jesteś moim towarzyszem życia. I zamierzam ci to już wkrótce pokazać.

Musiałem wyjść, zanim bym nie dał rady. Pocałowałem go jeszcze raz. Wstałem. Zgarnąłem kluczyki z ławy. Zrobiłem krok do tyłu.

Powieki już zaczęły mu opadać.

– Zaczekam na ciebie – wymamrotał.

Coś ścisnęło mnie w gardle. Odwróciłem się i wyszedłem, by nie dostrzegł, jak szklą mi się oczy.

Alfa.

Co?

Wiem, że jesteś Alfa.

Nie jestem. Jestem człowiekiem. Jestem n i c z y m...

Przestań kłamać. Nie wiem, jak to zrobiłeś. Nie wiem, co sprawia, że jesteś inny. Ale człowiek czy nie, jesteś Alfa. Ni mniej, ni więcej, tylko

Alfą terytorium Bennettów.

Czego chcesz?

Mam jeszcze sześćoro ludzi z twojego miasteczka.

Ty pierdolony skurwielu.

Zabiję ich, Ox. Pozabijam wszystkich po kolei. Każę ci słuchać ich wrzasków, kiedy będę odrywał im ręce. Ox, jedno z nich to dziecko. Z pewnością nie chciałbyś być odpowiedzialny za śmierć dziecka.

Przeklęte zwierzę!

Och, Ox. Wiem, że nim jestem. A jeśli ty dopiero teraz na to wpadłeś, to obawiam się, że nie masz szans w tej grze.

Nie ujdzie ci to na sucho.

Nie? Ależ Ox, już mi uszło.

Czego chcesz?!

Ciebie. Chcę ciebie. Jeśli nie mogę zabrać mocy Alfy Joemu, to zabiorę ją tobie. Przyjdiesz do mnie. Sam. Wówczas oszczędzę ludzi. Oszczędzę dzieciaka. Słyszysz ich, Ox? Płaczą, bo są przerażeni. Bo już upuściłem małemu trochę krwi. To tylko zadrapanie, ale wystarczyło, by pokazać, że mówię poważnie. Im. Tobie. Już rozumiesz, Ox? Rozumiesz, że mówię poważnie?

Nigdy nie dopadniesz Joego. Bariery nie pozwolą ci wejść. Nawet jeśli będziesz Alfą. Nie ma znaczenia, kogo ze sobą przyprowadzisz. Gordo nie...

Ox, Ox, Ox, nie rozumiałeś, o co chodzi. Nie obchodzi mnie Joe. Nie obchodzi mnie twoje terytorium. Obchodzi mnie tylko, że jesteś Bennettem, nawet jeśli nie nosisz ich nazwiska. Pragnę tylko odebrać ci jedyną rzecz, której zawsze odmawiał mi Thomas. Psiakrew, pozwól mi ją mieć, a nie skrzywdzę ani jednego członka twojej watahy.

Oczekujesz, że ci uwierzę?

Sam to powiedziałaś, Ox. Nie mogę przekroczyć barier. Szczerze mówiąc, głównie mnie obchodzi, czy mi wierzysz, czy nie. Ale naprawdę mógłbyś żyć ze świadomością, że zginęli przez ciebie niewinni ludzie?

Ja...

Ox, nigdy nie miałeś zostać Alfą. Mogę zdjąć z ciebie to brzemię. Twoje stado będzie bezpieczne. Ci ludzie będą bezpieczni. Green Creek będzie bezpieczne. No i Joe. Z pewnością go to zaboli. Z początku. Strata zawsze boli, to takie ostre ukłucie bólu rozrywające wnętrze. Ale jest silny. Silniejszy, niż sądziłem. Przetrwa, bo będzie miał stado, które go potrzebuje. Pewnego dnia znów się uśmiechnie na myśl o tobie, na twoje wspomnienie.

Mógłbym... dlaczego nie mogę po prostu ci jej oddać?

Och, obawiam się, że nie mamy na to czasu. Znam tylko jeden skuteczny sposób na to, by odebrać Alfie moc. Śmierć jest dość niefortunnym skutkiem ubocznym procesu, ale zapewne to rozumiesz. Mogę ci nawet obiecać, że postaram się, byś jak najmniej cierpiał.

Nie mogę. Nie mogę ich tak po prostu zostawić. To moja...

Słyszysz, jak ta kobieta krzyczy? To jego matka, Ox. Dzieciak patrzy, jak ją tnę.

Przestań! O Boże, przestań. Zostaw ich w spokoju, ty pierdolony skurwysynu!

Dam ci czas do końca dnia. Wiem, ile... tradycja... znaczyła dla Thomasa. Więc niech będzie. Pożegnaj się. Ale, Ox, przysięgam ci, że jeśli choćby przemknie mi przez głowę, że chcesz mnie wykiwać, to ich zabiję. A potem znajdę sposób, żeby przedrzeć się przez bariery. Nieważne, ile to potrwa. Przejdę się przez nie i zaszlachtuję każdego, kogo kochasz. Ciebie zostawię sobie na koniec. Zmuszę cię, byś patrzył,

jak twoje stado umiera na twoich oczach, i przez cały ten czas będzie cię prześladować świadomość, że to twoja wina, że mogłeś temu zapobiec. A kiedy dorwę Joego, to będę go rżnął, aż połamię mu wszystkie kości. Będę go rżnął, aż przesiąknie moim zapachem. A potem wyrwę mu serce z piersi. I zjem je na twoich oczach. A potem, dopiero potem, jak już będziesz zdruzgotany utratą watahy, tym, że brutalnie odebrałem ci wszystkich jej członków, zacznę zabawiać się z tobą. Zacznę od stóp i będę posuwał się w górę, ale zanim dotrę do twoich pieprzonych kolan, będziesz mnie błagał, żebym cię zabił. A ja odmówię. Wierzysz mi? Wierzysz, że jestem do tego zdolny?

...Tak.

Dobrze. To naprawdę dobrze, Ox. Naciesz się swoimi ostatnimi godzinami. I ani słowa. Nie tknę tych ludzi. No, chyba że mnie zmusisz. Ale jeśli to zrobisz, twoja wataha już nigdy nie będzie bezpieczna. Nie możesz trzymać ich zamkniętych w Green Creek w nieskończoność, Ox. Pewnego dnia ktoś popełni błąd, a ja będę czekał. Ale zrób, co każe, a przyrzekam, że nic im z mojej strony nie zagrozi.

Kiedy?

Kiedy cię wezwę. Jestem potworem, Ox, ale nie jestem aż tak zły. Dam ci trochę czasu. Dla tych, których kochasz.

Gdzie?

Drewniany most. Czuję tutaj krew Omeg, którą przelaliście. Możliwe, że moich Omeg. Mogłoby tak być. Ty to zrobiłeś, Ox? Ty broniłeś terytorium, jak przystało na dobrego Alfę? Krew jest zagrzebana w piachu, ale niemal czuję smak strachu. Bólu. Wściekłości. Właśnie tak smakował Joe. Kiedy go więziłem. Zlizywałem pot z jego głowy. Opowiadał ci o tym kiedyś? Nie posunąłem się dalej, ale niewiele

brakowało. Za każdym razem, gdy łamałem mu kość, chciałem mu wepchnąć swojego...

D o s y ć.

Och, tak, czuję to. Jesteś Alfą. Aż mnie ciarki przeszły, Ox. Czuję, jak p e ł z n ą mi po skórze. Żałuję, że nie mam dość czasu, by dowiedzieć się, jak tego dokonałeś. Jakim sposobem sam z siebie stałeś się Alfą. Niestety nie mam. Nie chciałbym przedłużać tego, co nieuniknione. Skwasiłoby to twój smak.

Nie spiesz się. Dam ci znać, kiedy masz przyjść. Tylko pamiętaj, Ox: ani słowa, bo inaczej wszyscy będą cierpieć. Do zobaczenia wkrótce.

Głupota, wiem.

Ale jeśli istniała choćby najmniejsza nadzieja na to, że Richard mówi prawdę, że ich nie skrzywdzi, że nie skrzywdzi J o e g o, to musiałem się jej chwycić.

Poza tym nie mogłem pozwolić, by zginęli niewinni ludzie, skoro mogłem temu zapobiec. Thomas nauczył mnie, że każde życie ma wartość, że na Alfie spoczywa odpowiedzialność za tych, którzy mieszkają na jego terytorium, nawet jeśli nie wiedzą, kim jest Alfa.

Odpowiedzialność za Green Creek spadła na mnie. Za ludzi, którzy mieszkali w miasteczku. Zawiodłem już pana Fordhama. Nie mogłem pozwolić, by przytrafiło się to innym.

Zaczekałem do zjazdu z gruntowej drogi, gdzie opony furgonetki wzbijały chmurę kurzu, nim złapały przyczepność na asfalcie, i dopiero wtedy zacząłem wyciszać więzi między mną a członkami stada, jedną po drugiej.

Robiliśmy tak czasami, kiedy potrzebowaliśmy prywatności. W intymnych chwilach. Kiedy chcieliśmy zostać sami. Kiedy nie chcieliśmy, by przytłaczało nas nieustające poczucie *stada stada stada*. Kiedy chcieliśmy zachować coś w tajemnicy.

Rzadko to robiłem. I wiedziałem, że nie mam dużo czasu, nim wszyscy zaczną zadawać pytania.

O tak późnej porze Green Creek wyglądało jak wymarłe. Księżyc był w pierwszej kwadrze. Latarnie wzdłuż głównej ulicy świeciły delikatnym światłem. Nie widziałem innych przejeżdżających samochodów.

Knajpka świeciła niczym latarnia morska. Kiedy przejeżdżałem obok, zauważyłem krzątającą się w środku kelnerkę. W ręku trzymała dzbanek kawy. Uśmiechała się, lecz z jakiego powodu? Tego nigdy się nie dowiem.

Na siedzeniu obok mnie siedziała moja mama. Spytała:

– Jesteś tego pewien?

Odparłem:

– Dla nich? Oczywiście.

Powiedziała:

– Tak właśnie myślałam.

I jeszcze:

– Kocham cię.

I jeszcze:

– Jestem z ciebie taka dumna.

I jeszcze:

– Masz bańkę mydlaną na uchu.

A potem się r o z e ś m i a ła. To był piękny dźwięk, radosny i tak bardzo do niej podobny, że oczy mnie zapiekły i coś ścisnęło mnie

w gardle.

Ale tak naprawdę wcale jej tam nie było.

Zostawiłem w tyle światła miasteczka.

Z fotela pasażera spoglądały na mnie czerwone oczy. Thomas powiedział:

– Alfa jest tak silny jak jego stado.

Odparłem:

– Wiem.

Thomas powiedział:

– Jesteś jednym z najsilniejszych Alf, jakie kiedykolwiek spotkałem.

Spytałem:

– Czy jestem dość silny, by to zrobić?

Thomas odrzekł:

– A zamierzasz to zrobić?

Odparłem:

– Tak.

A on oznajmił:

– W takim razie jesteś gotowy.

I jeszcze:

– Jesteś moim synem tak samo jak pozostali.

I jeszcze:

– Już wkrótce zaśpiewamy razem i obiecuję ci, że pieśń wypełni ci serce po brzegi.

A potem jego oczy ponownie błysnęły czerwienią, bo nawet po śmierci zawsze pozostanie Alfą. M o i m Alfą.

Do mostu zostało mi jeszcze kilka kilometrów, kiedy zjechałem na pobocze. Miałem jeszcze jedną rzecz do zrobienia.

Fotel obok mnie był pusty. Tak naprawdę wcale ich tam nie było, wiedziałem o tym, ale pomyślałem sobie, że być może nie jestem sam.

Podniosłem komórkę. Napisałem SMS-a do Joego. Jedno, tylko jedno słowo. Bo wiedziałem, że zrozumie. Odczyta wiadomość dopiero rano, jak się obudzi, bo przed wyjściem wyłączyłem mu telefon.

Wpatrywałem się z wahaniem w ekran. Naszły mnie wątpliwości, czy dam radę. A jeśli nie dam? Co, jeśli nie uda mi się ich ochronić?

Nacisnąłem ikonkę „Wyślij”. Wiadomość zniknęła pomiędzy przekaźnikami, a potem w eterze. Wyłączyłem urządzenie.

Miałem nadzieję, że nie znienawidzi mnie za to.

Miałem nadzieję, że pewnego dnia mi przebaczy.

Miałem nadzieję, że uda mu się znów odnaleźć szczęście.

Będzie wiedział, co oznacza to jedno słowo. Bo wysłał mi tę samą wiadomość, kiedy zrozumiał, co musi zrobić.

Wjechałem z powrotem na jezdnię i pogałęm w stronę starego mostu. Cały czas myślałem o tym jednym słowie.

Przepraszam.

Przepraszam.

Przepraszam.

Droga wiodąca w kierunku mostu była pusta. W tej okolicy nie było latarni ulicznych. Tylko księżyc i gwiazdy. Panował głęboki mrok. Reflektory furgonetki oświetliły most leżący jakieś dziesięć metrów przede mną. On także był pusty.

Ale wyczuwałem ich.

Jak truciznę, która skaziła ziemię, ziemię, która jakimś cudem stała się moja.

Jak zarazę, która niszczyła trawę i drzewa, i drżące na wietrze liście.

Jak jątrzącą się ranę.

Przekręciłem kluczyk w stacyjce. Światła zostawiłem zapalone. Silnik tykał cicho. Oddychałem miarowo i powoli. Thomas i mama nie wrócili. Żałowałem, że już ich nie ma, nawet jeśli nie byli prawdziwi. Nie chciałem iść tam sam.

Zupełnie odciąłem więzi ze stadem. Czułem się zimny i pusty w środku. Już dawno się tak nie czułem.

Spod siedzenia wyciągnąłem łom. Wydawał się mniejszy niż kiedykolwiek. Otworzyłem drzwi starej furgonetki. W nocnej ciszy zaskrzypiały ogłuszająco. Wysiadłem na gruntową drogę.

Nie trząsałem się. Nie drżałem. Chwyciłem mocno łom i zatrzasałem drzwi.

Poszedłem na przód ciężarówki, a padające z reflektorów światło wydłużało mój cień, aż zaczął wyglądać jak olbrzym na tle drewnianej konstrukcji.

Poczułem moment przejścia przez bariery, jakbym wpadł na pajęczynę. Magia otarła się o moją skórę i wrażenie minęło.

W trawie cykały świerszcze.

Nie wahałem się. W dłoni czułem zimno bijące od łomu.

Z boku wśród drzew dostrzegłem błysk fioletu. Mrugnięcie. I znowu. Potem kolejna para oczu. I jeszcze jedna. I jeszcze. Wtedy wyszły z cienia. Było ich dziesięć.

Omegi. Bardziej zdziczałe, niż kiedykolwiek widziałem. Ich oczy nie przestawały świecić na fioletowo. Były połowicznie przeobrażone, a z ich wypełnionych kłami ust ciekła ślina. Popychały przed sobą sześcioro ludzi. Ludzie mieli związane za plecami ręce. Zakneblowane usta. Pięcioro dorosłych, jedno dziecko. Wszyscy wyglądali na przerażonych, mieli okrągłe ze strachu oczy i policzki mokre od łez. Dwóch mężczyzn. Trzy kobiety. Jeden chłopczyk.

Rozpoznałem ich. Wszystkich. Widywałem ich w Green Creek. Przychodzili do warsztatu. Wpadałem na nich w spożywczaku. Mijaliśmy się na ulicy. Machaliśmy do siebie na powitanie. Machaliśmy do siebie na pożegnanie. Mówiliśmy sobie: „miłego dnia” i „miło cię znów widzieć”, i „mam nadzieję, że wszystko w porządku”.

Pana Fordhama z nimi nie było, bo pan Fordham został zamordowany, a ja musiałem tego słuchać.

Na mój widok ludzie poczuli wyraźną ulgę. Nie byłem ich Alfą. Nie byłem nim wcześniej. Ale będę nim teraz, tak długo, ile mi jeszcze zostało.

Chłopczyk miała na imię William. Jego matka – Judith.

Powiedziałem:

– Hej, już dobrze. Wszystko w porządku. Wiem, że się boicie. Wiem. Ale już tu jestem. Już jestem i obiecuję, że zrobię, co w mojej mocy, żeby wszystko dobrze się skończyło. Po prostu uwierzcie we mnie. Zaopiekuję się wami.

Omegi śmiały się z wywiniętymi wargami. Skrobały ludzi pazurami po skórze, pozostawiając na niej obrzęki, lecz nie drapały do krwi.

Ludzie płakali, a ich przerażone twarze były mokre od łez i umazane smarkami.

Omegi zatrzymały się przed mostem i stanęły za ludźmi. Zmusiły ich, by uklękli na ziemi. Zacisnęły pazury na ich ramionach.

Stojący za Williamem samiec był większy od reszty. I wyglądał paskudniej. Położył łapy na twarzy chłopca, zakrzywił palce pod brodą. Głaskał pazurem u kciuka jego policzek, aż robiły się wgłębienia. Nie musiały się wysilać. Wystarczyłby lekki nacisk i William zostałby...

Z cienia wysunął się kolejny mężczyzna. Wilki zachowywały się bardzo dramatycznie. Zwłaszcza te; ukazywały się powoli, pojedynczo. Prawdopodobnie to Richard wpadł na pomysł, by wychodziły jeden po drugim. Dobrze wiedział, jak się poczuje na widok gęby Osmonda. Prowadził grę, a ja nabrałem się na jego sztuczki. Musiałem powstrzymać się całą siłą woli, by nie rzucić się na tego zdrajcę.

Czas nie okazał się dla niego łaskawy. Osmond był wymizerowany, mniejszy, niż zapamiętałem. I szczuplejszy. Pod oczami miał ciemne kręgi. Wydawał się podenerwowany, raz po raz prostował dłonie, by za chwilę znów zwinąć je w pięści.

Przypomniałem sobie nasze pierwsze spotkanie, wyraz jego twarzy, kiedy zdał sobie sprawę, że Joe dał mi swojego wilka. To obrzydzenie. Tę pogardę. Pewnie zaraz potem pognął do Richarda. Wszystko mu wyśpiewał. Wygadał mu, jak Thomas cisnął nim o ścianę domu na końcu ulicy, obnażył zęby i powiedział, że jestem coś wart. Że mam znaczenie. Że fakt, że jestem człowiekiem, nie czyni mnie gorszym od otaczających mnie wilków. Thomas stanął w mojej obronie.

A potem Osmond go z d r a d z i ł.

Pomyślałem, jak łatwo byłoby rozwalić mu łeb łomem. Patrząc, jak pęka skóra i kość pod nią, jak rozbryzguje się krew. Z pewnością zaraz potem zostałbym rozdarty na strzępy. Pewnie nawet nie udałooby mi się do niego dotrzeć, nim otoczyłyby mnie Omegi. Ale zawsze mogłem spróbować. Poważnie to rozważałem.

Oczy Osmonda rozbłysły, jakby słyszał moje myśli. Były fioletowe, tak samo jak pozostałych.

Powiedziałem:

– Twoje oczy.

Wzdrygnął się, jakby się nie spodziewał, że się odezwę.

– Warto było?

Omegi znów się roześmiały.

Osmond odparł:

– To bez znaczenia. – Mówił cichym głosem. – Co się stało, to się nie odstanie.

Co się stało, to się nie odstanie. Mama nie zmartwychwstanie. Thomas też nie.

Och, jakież gniew poczułem. Jaką w ś c i e k ł o ś ć.

Musiałem nią promieniować, bo chociaż Omegi nie należały do mnie, chociaż nie byłem ich Alfą, nadal byłem Alfą, więc zgarbiły ramiona, zaskomliły i z a s k o w y t a ł y na mój widok.

Osmond wyglądał, jakby chciał skulić się ze strachu, ale w ostatniej chwili się powstrzymał.

– Dość – rzucił ostro pod adresem Omeg. W odpowiedzi zaczęły szczekać i jazgotać.

– Jak to zrobiłeś? – spytał mnie. – Jak udało ci się zostać Alfą?

– A jak tobie udaje się zasnąć w nocy? – odpowiedziałem pytaniem. – Wiedząc, co zrobisz?

– Znakomicie śpiam.

– Kłamiesz – stwierdziłem. – Nie wyglądasz za dobrze.

– To się nie skończy dobrze dla ciebie. Ale to już chyba wiesz.

Uśmiechnąłem się do niego, a on znów się wzdrygnął.

– Może nie – odparłem. – Ale wiem, kim jestem. Możesz powiedzieć to samo o sobie?

– Przyjrzelіśmy ci się, Matheson. Żadnych wilków. W twojej rodzinie nigdy nie było żadnego wilka.

Nie odzywałem się.

– Pomyśleliśmy, że może w takim razie jakaś wiedźma. Stanowiłeś część kowenu tej czarownicy na długo przed poznaniem Bennettów. Ale nie istnieje magia dość silna, by stworzyć Alfę. Wierz mi, on sprawdził to dokładnie.

Robert Livingstone. Zastanawiałem się, czy przybył wraz z nimi. Sądziłem, że nie. Gordo z pewnością by o tym wiedział, nawet bez barier ochronnych.

– Żadnej magii – ciągnął Osmond – żadnych wilków. A oto i jesteś.

– Oto i jestem – przyznałem, czekając, aż pojawi się potwór, aż wychynie z mroku z obnażonymi kłami i pazurami.

– Jak? – spytał ponownie. – Jak możesz być Alfą, skoro ich nie wyczuwasz?

– Jakie to ma znaczenie? – Nie odniosłem się do ostatniego stwierdzenia Osmonda. Najwyraźniej nie miał pojęcia o więziach. O niciach, które łączyły nas ze sobą. A skoro on nie wiedział...

Osmond zmrużył oczy.

– Jeśli tobie się udało, to mogą być też inni.

Podejrzewałem, jak to się stało. Z grubsza. Ale o tym nie musiał wiedzieć. Nie musiał wiedzieć, że to za sprawą rozpacz i palącej potrzeby. Że to za sprawą zaufania i wiary. Że i wilki, i ludzie jednakowo uwierzyli we mnie tak mocno, że nie mogłem stać się niczym innym jak tylko ich Alfą. Że chociaż nie byłem wilkiem, uwierzyli, że się o nich zatroszczę. Że ich pokocham. Że stworzę im dom i że dzięki mnie staną się rodziną.

To było coś, czego Osmond nigdy nie zrozumie.

To było coś, czego Richard nie zechce zrozumieć.

Bo nawet jeśli zabierze mi tę moc, nawet jeśli wydrze ją z mej piersi, to zniszczy ją i wypaczy, zmieni w coś nie do poznania. Mógł zostać Alfą, ale nigdy nie zrozumie, co to znaczy być Alfą.

Spytałem:

– Gdzie on jest? – Miałem dość Osmonda. Miałem dość czekania.

Osmond odparł:

– Zjawi się, kiedy będzie gotowy.

Prychnąłem.

– Gra na zwłokę. Przysłuchuje się, podczas gdy ty próbujesz wydobyć ze mnie jak najwięcej informacji. Jesteś jego dziwką, Osmond. Nigdy nie byłeś dla niego niczym więcej.

Osmond warknął, błysnął oczami i zrobił krok do przodu.

– Chaney – powiedział zimno, nie spuszczając ze mnie wzroku – tylko troszeczkę.

Wielki, paskudny wilk, który trzymał Williama, wyszczerzył się w uśmiechu, a po jego podbródku z otwartych ust spłynęła ślina. Pociągnął pazurem mocniej po policzku chłopca i rozciął go gładko. Mały pisnął pomimo knebla w ustach, z rany pociekła krew.

Rozcięcie było niewielkie, pewnie nawet nie zostanie blizna, ale wilki wyczuły krew i zaczęły ostrzyć sobie zęby. Matka Williama próbowała rzucić się synkowi na pomoc, lecz została szarpnięta za włosy, stojący za nią Omega wcale się nie patyczkował.

– Przestańcie – powiedziałem ochryple. – Po prostu...

Rozpraszało mnie to wszystko. Wilki. Ludzie. Krew spływająca po twarzy Williama. Miało to sens. Sytuacja mnie przytłaczała. Otaczały mnie Omegi, które coraz bardziej zatracaly się w wilczej naturze, i Osmond, który zarazem prowokował mnie i wyglądał na podenerwowanego.

Rozproszyłem się. Właśnie dlatego nie usłyszałem, jak on podkrada się do mnie od tyłu. Właśnie dlatego nie przewidziałem, że schwyci mnie za gardło i wbije pazury w skórę. Na uchu czułem jego oddech. Śmierdział surowym mięsem i krwią.

Richard Collins powiedział:

– Cześć, Ox.

Zamknąłem oczy i chociaż próbowałem zmusić serce do spokoju, myliło krok i potykało się w mojej piersi.

Poczuł to. Usłyszał.

Zachichotał na ten dźwięk, szybkie bicie. Sprawiał wrażenie rozbawionego, kiedy powiedział:

– Nie cuchniesz strachem. Ciekawa rzecz.

– Bo się ciebie nie boję – wydusiłem z siebie, choć zacisnął rękę mocniej na moim gardle. Przyciskał się piersią do moich pleców, wargi trzymał tuż przy moim uchu. Było to najmniej intymne doświadczenie, jakie w życiu miałem.

– Możliwe – stwierdził. – Ale jeśli się nie boisz, to tylko dlatego, że sobie to wmówiłeś. Lecz ja potrafię sprawić, że zaczniesz się bać,

Ox. Szybciutko, jeśli tylko zechcę.

Stojące przed nami Omegi szczyrzyły kły i przebiegały pazurami po głowach ludzi klęczących u ich stóp. Osmond przyglądał się nam z rezerwą, a jego oczy mieniły się fioletem.

– Słyszysz coś? – spytał Richard.

Osmond pokręcił głową.

– Jest sam.

– Dobrze – stwierdził Richard. – To już jakiś początek. – Po chwili dodał: – Dziękuję ci, Ox. Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

– Pierdol się.

– Jaki uprzejmy. Ale zanim wykonamy następną sztuczkę, musisz pozbyć się tego łomu. Nie będzie ci potrzebny.

Nie poruszyłem się.

– Ox – powiedział, a w jego głosie pobrzmiwało ubolewanie – możemy to zrobić po dobroci albo i nie. Serio, wszystko zależy od ciebie. Chcesz, żeby poszło gładko?

Zdawałem sobie sprawę, że kłamię. Przepiętione obietnicą słowa, które nic nie znaczą. Nic nie pójdzie gładko.

– Ox. Rzuć. Ten. Łom.

Byłem Alfą. Byłem cholernym Alfą...

Nie miałem czasu, by się poruszyć, by jakkolwiek zareagować. Ramię oplatające moją pierś nagle opadło, dłoń chwyciła mnie za nadgarstek. Richard wykręcił mi rękę, aż kości zatrzeszczały, a potem pękły. Przetoczyła się przeze mnie fala bólu, ostrego i lodowatego. Żołądek podszedł mi do gardła, kiedy łom upadł na ziemię. Wzbudził obłoczek kurzu, a ja zacisnąłem mocno zęby, by zdławić wrzask, który próbował wyrwać się spomiędzy nich.

– To było... niefortunne – zauważył Richard i pchnął mnie na ziemię.

W ustach poczułem smak piachu. I, po raz pierwszy, paniki.

Uczucie obudziło się w mojej piersi, po czym rozpełzło powoli po całym ciele, drobne ukłucia, które przerodziły się w coś o wiele silniejszego niż wszystko, co do tej pory czułem. To nie była zwykła panika. A przynajmniej nie tylko moja.

Była to panika całego stada. Więzi znów działały.

Nie, Nie, Nie, Nie.

Thomas wyszeptał: *Największym darem, jaki Alfa może ofiarować swemu stadu, jest poświęcenie. Bo musi bronić jego członków za wszelką cenę. Nawet jeśli oznacza to jego własną śmierć.*

Przybędą tutaj. Jak tylko otrząsną się z gniewu, wściekłości i bólu, przybędą.

Próbowałem stłumić połączenia, lecz pulsowały światłem i energią jak przewody pod napięciem. Nie mogłem ich powstrzymać, bo się d o w i e d z i e l i. I ruszyli tutaj. Ale Richard nie miał o tym pojęcia.

Nie mogłem ryzykować. Nie mogłem pozwolić, by któremuś z nich stała się krzywda. Odnalezienie mnie trochę im zajmie. Sądziłem, że jestem w warsztacie. Może starczy mi czasu, by...

Jedna z nici świeciła jaśniej niż pozostałe. Bliżej. Z większą wściekłością. Poczułem jego furję. Poczułem jego magię.

Gordo.

Gordo tu był.

G o r d o t u b y ł.

Przetoczyłem się na plecy. Łom leżał po mojej lewej, w zasięgu ręki.

Richard górował nade mną, na jego twarzy malowało się obrzydzenie.

Powiedziałem:

– Dam ci to, czego chcesz. Ale obiecaj, że kiedy zabierzesz moc, zostawisz ich w spokoju. Wszystkich. Stado. Ludzi. Green Creek.

– Wydaje mi się, że nie stoisz na odpowiedniej pozycji, by mnie o cokolwiek prosić, chłopcze – warknął Richard. Jesteś człowiekiem. Może i zostałeś Alfą, ale ta moc nigdy nie była przeznaczona dla ciebie. Wydrę ci ją, a ty...

– Nie chcesz wiedzieć, jak mi się to udało? – spytałem, przyciskając nadgarstek do piersi. – Jak człowiek został Alfą?

Zamurowało go. Po chwili ciszy powiedział:

– Zamieniam się w słuch.

– One też usłyszą – uświadomiłem mu. – Omegi. Wszystko usłyszą i spróbują tej samej sztuczki. Odbiorą ci moc. Zapragną same stać się Alfami. Chyba byś tego nie chciał, co?

Kucnął przy mnie. Głupi facet. Nienawidziłem go bardziej niż czegokolwiek na świecie.

– Gadaj natychmiast – powiedział niskim głosem – zanim skończy mi się cierpliwość.

Odparłem:

– Pierdol się.

Poruszałem się szybciej niż kiedykolwiek wcześniej. Napędzały mnie smutek i rozpacz, gniew i to uczucie, to cholerne uczucie, które wzbudzał we mnie ojciec, mój tatko mówiący, że ludzie będą mnie chujowo traktować, bo oto był, jebany Richard Collins, chodzący dowód na to, że ojciec miał rację. Potraktował

mnie c h u j o w o, ale nie zamierzałem dłużej mu na to pozwalać. Od samego początku nie powinienem był.

Ale największą siłę dawało mi stado, to dzięki niemu poruszałem się tak zwinnie, w mojej głowie było tylko *stado, stado, stado*, ludzie i wilki, którzy stanowili moją rodzinę. I Joe, Joe, którego czułem coraz wyraźniej, Joe, który był przerażony i wściekły i j e c h a ł tutaj, o Boże, p r z y b y w a ł mi na ratunek.

Wykorzystałem więź łączącą mnie z Gordem, silniejszą teraz, niż była od czasu jego powrotu, posłałem wiadomość: *ludzie ludzie ludzie nie pozwól ich skrzywdzić musisz im pomóc ratuj ich pomóż im*. W tym samym czasie zaciskałem palce na leżącym w piachu łomie.

Wzrok Richarda przemknął po mojej dłoni.

Wyprowadziłem łom wysokim łukiem. Trafił w bok jego głowy ze słyszalnym chrzęstem łamanych kości. Siła ciosu wstrząsnęła moim ramieniem. Richard stęknął i padł na bok.

Wtedy pojawił się Gordo. Wszedł z za ciężarówki, a jego tatuaże płonęły jaśniej, niż kiedykolwiek widziałem. Kruk zatrzepotał wściekle skrzydłami, otworzył dziób i mógłbym przysiąc, że słyszałem, jak zaskrzeczał głośnym, przenikliwym głosem, który zawibrował mi głęboko w kościach. Poczułem p u l s o w a n i e magii przyjaciela na powierzchni ziemi, pulsowanie w jej głębi. Przyzywała mnie, wołała: *AlfoAlfoAlfo*, a ja wbiłem się w nią, uchwyciłem się nici łączącej mnie z Gordem tak mocno, jak tylko dałem radę.

Zanim Richard rąbnął o podłoże, wyszczerzył paskudnie kły w rozbitej czaszce, a ziemia między ludźmi a Omegami zaczęła się przekształcać i rozstępować. Z głośnym hukiem wystrzeliły w górę

wielkie skalne kolumny, które odrzuciły ludzi do przodu, Omegi zaś do tyłu.

Kiedy wstawałem, Osmond ruszył naprzód. Uwagę skupił na Gordzie. W biegu wysunął pazury, pysk zaczął mu się wydłużać. Podrzuciłem łom, by złapać go za zaostroszony koniec, a tym wygiętym grzmotnąłem Osmonda w nogi, kiedy przebiegał obok mnie. Włożyłem całą siłę i energię w cios, który spadł na jego golenie. Wrzasnął, gdy trzasnęły kości i zaskwierczała skóra, lecz napierałem dalej, aż podciąłem mu nogi. Poleciał na ziemię twarzą do przodu i przejechał ślizgiem po drodze. Zatrzymał się niedaleko stóp Gorda.

Nie zasypiałem gruszek w popiele, odwróciłem się od nich, ufając, że Gordo mnie osłoni. Pobiegłem w kierunku spękanej ziemi, ślizgając się w piachu, gdy padłem na kolana przed ludźmi. Wyglądali na osłupiałych i niepewnych. Zacząłem od Judith, jej pierwszej zerwałem knebel z ust.

– Musisz mi pomóc – poprosiłem, biorąc jej twarz w dłonie. Za jej plecami ziemia nadal trzeszczała i pękała. – Musisz ich stąd zabrać. Rozwiąż ich i weź furgonetkę. Jedźcie do Green Creek. Nie zatrzymujcie się dopóty, dopóki nie dotrzecie do warsztatu. Zostańcie tam. – Puściłem ją na chwilę, by wygrzebać z kieszeni kluczyki. Kobieta zaczynała tracić koncentrację, kwiliła i rozglądała się dookoła z oszołomieniem wypisanym na twarzy. Pozostali poruszali się powoli.

– Hej! – rzuciłem ostro. – Posłuchaj. Słuchasz mnie?

– Ox? – szepnęła.

Podniosłem dwa klucze i trzymałem je tuż przed jej twarzą.

– Ten jest do furgonetki. Tym otworzysz warsztat. Rozumiesz?

– Ja... O x, i c h o c z y, t o...

– Judith, twój syn z g i n i e, jeśli go stąd nie zabierzesz.

Szarpnęła się, ale mgła zasnuwająca jej oczy zaczęła rzednąć. Spięła się w sobie, sięgnęła automatycznym ruchem po klucze, jednocześnie drugą ręką złapała Williama. Rozplątała krępujące go więzy, podczas gdy ja pomogłem pozostałej czwórce.

– Idźcie za nią – nakazałem. – Z nią będziecie bezpieczni. Nie zatrzymujcie się dopóty, dopóki nie dotrzecie do warsztatu. Zamknijcie za sobą drzwi.

Miałem nadzieję, że bariery wystarczą. Musiały wystarczyć. Nie mieliśmy wyboru.

Judith wzięła Williama na ręce. Synek przywarł do niej i otoczył ramionkami jej szyję. Omegi zaczęły warczeć. Kobieta odwróciła się do mnie i powiedziała:

– Dziękujemy, dziękujemy, będziemy... U w a ż a j!

Coś ciężkiego cisnęło mną o ziemię i wylądowało mi na plecach. Wrzasnąłem, gdy ból przeszył mi grzbiet w miejscach, gdzie wbiły się cztery komplety pazurów. W ustach miałem pełno piachu, a siedzący na mnie wilk warczał mi do ucha.

Ciężar niespodziewanie ustąpił, a zwierzę zawyło z bólu. Ktoś podniósł mnie z ziemi, na obydwu ramionach czułem czyjeś ręce. Po mojej lewej stała kobieta (Megan?), a po prawej – mężczyzna (Gerald, chyba miał na imię Gerald). Kolejny facet stał przede mną, dyszał ciężko i ścisnął oburącz mój łom. Rozpoznałem Adama, pracownika sklepu z narzędziami, uprzejmego mężczyznę z twarzą pokrytą okropnymi bliznami po trądziku.

Powiedział:

– O ja cię, kurwa, pierdołę.

Zrobiłem chwiejny krok do przodu i odebrałem od niego broń.

– Dziękuję.

Skinął mi głową. Oczy miał okrągłutkie ze strachu.

– Ox! – krzyknął Gordo. – Niech jadą. J u ź. Osmond gdzieś zniknął, nie wiem gdzie.

Splunąłem na drogę krwią zmieszaną z piachem.

– Jedźcie – rzuciłem ostro. – Musicie się stąd wydostać. Pospieszcie się!

Nie czekali, aż powtórzę. Poganiając się nawzajem, ruszyli w stronę furgonetki. Zza moich pleców dobiegło kolejne niskie warknięcie.

Odwróciłem się.

Richard Collins przeobraził się w wilka. Pysk miał okrwawiony, nos rozcięty. Wstał na cztery łapy. Jego oczy świeciły fioletem, wywinięte wargi odsłaniały kły. Wyciągnął się na całą wysokość. Był mniejszy niż Joe czy Thomas, ale i tak był z niego kawał zajebiste wielkiego wilka.

– Omega – powiedziałem. Nie zaskoczyło mnie to. Za mocno zatracił się w swej wilczej naturze, by mógł być czymkolwiek innym.

Warknął na mnie.

Cofnąłem się o krok i zacisnąłem palce mocniej na łomie.

Sprężył się, by skoczyć. Lecz nagle wokół nas rozbrzmiała wilcza pieśń, odbiła się po okolicy echem tak głośnym, jakiego jeszcze nigdy nie słyszałem. Wilk wył z wściekłością i przerażeniem zarazem.

To była pieśń Alfy.

– Nie – szepnąłem.

Znalazł nas. Tak szybko.

Nie mogłem na to pozwolić. Joego nie powinno tu być. Nie, jeśli istniało ryzyko, że Richard wyrządzi mu krzywdę. Że zabierze go stada. Wataha potrzebowała Alfę, by przetrwać, by nie zmienić się w Omegi. Naszym Alfą był Thomas. Po jego śmierci – Joe. Potem, z konieczności, ja.

Lecz Joe powrócił. I to on był prawdziwym Alfą watahy Bennettów. Potrzebowali go. A ja musiałem dopilnować, by przeżył.

Spojrzałem ponownie na Richarda, którego rozproszył zew Alfę.

– Hej! – krzyknąłem do niego. – Tutaj jestem, skurwysynu pierdolony!

Rzuciłem się pędem. Byle jak najdalej od naszego terytorium. Byle jak najdalej od barier ochronnych.

Byle jak najdalej od stada.

Byle jak najdalej od Joego.

– Ox! – Za plecami usłyszałem wrzask Gorda. – Nie rób tego!

Wtedy usłyszałem inną pieśń. Głębką i gardłową, bardziej krzyk niż skowyt. Pieśń drapieżnika, który depta ofierze po piętach.

Pobiegłem w kierunku mostu, bez żadnego konkretnego planu, byle jak najdalej, jak najdalej, jak najdalej.

Przede mną piętrzyły się zwały skręcającej się ziemi, w miejscu, gdzie Gordo przyzwał skały i glebę, by przywalały Omegi. Przeskoczyłem nad nimi, a z usypiska wystrzeliły pazury, które chciały mnie pochwycić. Jeden z nich trafił mnie w łydkę i przez chwilę zwątpiłem, czy dam radę. Poczułem, jak skóra pęka, jak noga eksploduje bólem, lecz na szczęście potwór nie zdążył mnie złapać.

Wylądowałem po drugiej stronie uwięzionych wilków. Rzuciłem okiem przez ramię w porę, by zobaczyć, jak wygrzebują się z ziemi z wyszczerzonymi kłami i fioletowymi oczami. Dalej, za nimi, stał

Gordo i wpatrywał się we mnie przerażonym wzrokiem. Pomiedzy skradało się wielkie wilczysko, które czekało, aż oddalę się na tyle, by polowanie okazało się satysfakcjonujące.

Omegi rzuciły się na mojego przyjaciela, nim zdążył uwięzić Richarda. Tatuaze Gordy rozbłysły ponownie, kiedy wilki go opadły. Ziemia pod jego stopami poruszyła się, wyrosły spod niej skały, które zaczęły wirować wokół niego. Wykonał gwałtowny ruch nadgarstkami i skały wystrzeliły w stronę nadciągających przeciwników. Powaliły ich na ziemię i odrzuciły w tył.

Richard zignorował całą scenę. Nie spuszczał ze mnie wzroku.

A ja biegłem, bo musiałem chronić ludzi, których kochałem. Biegłem, bo dzięki temu Richard przeniósł uwagę z Joego na mnie, a ja miałem zamiar zrobić wszystko, by tak już zostało.

Na moście było ciemno. Słyszałem, jak drewno skrzypi i trzeszczy. Po chwili dobiegł mnie także dźwięk wilczych łap uderzających o piach.

Nadchodził.

Mógłbym przysiąc, że przez chwilę obok mnie biegł inny wilk, olbrzymi samiec Alfa, wilk, który – jak wiedziałem – od kilku lat już nie żył.

Mógłbym przysiąc, że przez chwilę biegła obok mnie moja matka, poruszając rytmicznie ramionami i tupiąc głośno, a za nią powiewały jej włosy.

Zmusiłem się do większego wysiłku. Nie dam rady wiecznie trzymać odpowiedniego dystansu od Richarda, ale gdyby udało mi się dobiec wystarczająco daleko, to...

Znajdowałem się już blisko starego mostu. Miałem zamiar przebiec przez niego z nadzieją, że jest wystarczająco stabilny.

Rzeczka płynęła ledwie trzy metry poniżej, ale nie chciałem, by cała konstrukcja się na mnie zaważyła.

Dotarłem do mostu, stopami natrafiłem na drewno. Deski zajęczały pod moim ciężarem, dźwigary drżały z każdym krokiem, który stawiałem. Byłem już na środku, pewien, że mi się uda. Nie miałem pomysłu, gdzie biec dalej, ale prawie mi się, kurwa, udało przebiec na drugą stronę...

Z cieni pod zadaszeniem na drugim końcu budowli zeskoczył Osmond. Był połowicznie przeobrażony, twarz miał umazaną krwią i brudem. Zatrzymałem się z poślizgiem, niemal runąłem do przodu. W ostatniej chwili utrzymałem równowagę.

Za sobą usłyszałem warknięcie.

Spojrzałem przez ramię.

Na tamtym końcu mostu stał Richard Collins. Zrobił krok w moją stronę.

– To koniec – odezwał się Osmond. – Przegrałeś.

Pokiwałem głową.

– Na to wygląda.

– Nie miałeś najmniejszych szans.

Zachichotałem ponuro.

– Jezu Chryste. Weź się, kurwa, pośpiesz.

Osmond zmrużył fioletowe oczy.

– Co?

– Ja pierdolę, nie gadaj tyle – rzuciłem ostro. – Chcesz mnie? To chodź i mnie sobie, kurwa, weź.

Osmond warknął.

Richard ryknął.

Obaj ruszyli na mnie jednocześnie.

Most chwiał się i jęczał. Gdzieś nad moją głową pękło z trzaskiem drewno.

Tak jak się spodziewałem, wilki skoczyły na mnie z dwóch stron. Zaczekałem do ostatniej chwili, słuchając, jak pazury tną powietrze, i padłem na kolana. Wyrzuciłem w górę rękę, w której trzymałem łom, końcami w stronę napastników. Lecieli ze zbyt dużym pędem, by zmienić kierunek w powietrzu.

Richard pierwszy nadział się na metalowy pręt. Ostra końcówka wbiła mu się w pierś, gruchocząc kości i rozdzierając mięśnie, srebro zaczęło palić tkanki. Siła uderzenia wybiła mi ramię w drugą stronę. Wygięty koniec łomu trafił Osmonda w gardło. Srebro parzyło, a impet był tak duży, że metal wszedł w szyję mężczyzny, rozdzierając ją. Dokoła mnie bryzgała krew, pazury drapały mi ramiona i pierś, usiłowały mnie pochwycić, podrygiwały z bólu, gdy cząsteczki srebra zaczęły krążyć po organizmie.

Ręce miałem całe we krwi, ich i swojej. Nie mogłem już dłużej utrzymać takiego ciężaru w górze i łom wyślizgnął mi się z okrwawionych dłoni. Runęli obaj na deski mostu z głośnym łoskotem, wymachiwali kończynami, krztusili się i szczyrzyli zęby. Próbowali wyszarpnąć pręt, który jednemu utknął w szyi, drugiemu – w piersi. Most trząśł się i trzeszczał.

Odczołgałem się niezgrabnie. Kopnąłem Osmonda, który rzucił się w moją stronę, i przywarłem plecami do drewnianej ściany konstrukcji.

Wilki leżały tuż poza moim zasięgiem, połączone łodem. Wpatrywały się we mnie dwie pary fioletowych oczu.

Czułem ból, lecz jakby odległy. Nie potrafiłem stwierdzić, ile pokrywającej mnie krwi należy do mnie.

Budowla jęknęła ponownie, tym razem głośniej. Trzaski pękającego drewna także przybrały na sile, wsporniki zaczęły się chybotać. Cała cholerna konstrukcja groziła rychłym zawaleniem.

Prawie się tym nie przejąłem. Chciałem zamknąć oczy. Może chwilkę pospać.

Usłyszałem niskie warknięcie.

Spojrzałem przed siebie.

Richard próbował przesunąć się w moją stronę, lecz ciężar Osmonda złączonego z nim łomem nie pozwalał mu za bardzo się ruszyć. Wyciągnął szyję i kłapnął pokrytymi pianą szczękami tuż obok mojej stopy. Ostre zębiska znalazły się ledwie kilka centymetrów od niej.

Przyciągnąłem nogę do ciała i kopnąłem brutalnie. Chrupnęła kość, a wilk zawył i skulił się, potrząsając pyskiem.

Most przechylił się w lewo, przyprawiając mnie o zawroty głowy. Zaledwie o kilkanaście centymetrów, ale mnie się wydawało, że to całe kilometry. Z drewnianego sklepienia posypał się na nas pył.

Roześmiałem się. Bo jeszcze mogłem. Odchyliłem głowę do tyłu, oparłem ją o ścianę i śmiałem się.

– Zdechniecie tutaj – powiedziałem im, gdy nogi Osmonda kopały słabo, a dłonie skwierczały, kiedy próbował wyciągnąć łom z gardła. – Obaj. Z d e c h n i e c i e tu, kurwa. Nie udało wam się. Nie dorwaliście Thomasa. Nie dorwaliście Joego. Nie dorwaliście m n i e.

Richard, cały pokrwawiony, zaczął wlec się w moją stronę.

Musiałem ruszyć się z miejsca. Łatwiej by było tego nie robić. Ale ja nigdy nie szedłem na łatwiznę. Wstałem, odpychając się od ściany. Zamiast poharatanych rąk używałem nóg.

Na widok ruchu Richard kłapnął paszczą i z trudem zwiększył tempo.

Osmond dostał drgawek, oczy uciekły mu w głąb głowy, usta otworzyły się szeroko. Zmieniał się niekontrolowanie to w człowieka, to w wilka, ręce to stawały się upazurzonymi łapami, to znów ludzkimi dłońmi. I drapały deski podłogi. Szyję miał wykręconą pod dziwnym kątem. Richard wytrwale parł w moją stronę.

Stanąłem nad nim. Nad wilkiem. Spojrzał na mnie spode łba. Wywiesił jęzor i wyszczerzył na mnie kły. Jego łeb znalazł się niedaleko mojej stopy.

Powiedziałem:

– Nigdy go nie dorwiesz. Nigdy nie zostaniesz Alfą. Przegrałeś. A teraz umrzesz. Na p r ó ż n o.

Most zaczął się rozpadać, deski pod moimi nogami łamały się wpół, na ścianie pojawiła się długa szczelina w miejscu, gdzie drewno popękało. Całość zaczęła przechylać się na lewo i miała zaraz runąć.

Puściłem się biegiem najszybciej, jak umiałem. Każdy krok sprawiał ból, ręce zwisały bezużytecznie po bokach. Ale nie chciałem tam zginąć. Nie razem z nimi. Nie w ten sposób. Obroniłem przed nimi moje stado. Joe mnie odnajdzie. Wszystko będzie dobrze.

Potknąłem się na sam koniec. Jedna z desek podłogowych złamała się pod moim ciężarem i uderzyła mnie w goleń. Zwaliłem się na ziemię. Zdążyłem się tylko przekręcić, by upaść na ramię, a nie na twarz. Kiedy most się zapadał, usłyszałem za sobą ryk wilka.

Jakiś głos zaszeptał mi w głowie.

Powiedział: *wstawaj*.

Powiedział: *już prawie jesteśmy na miejscu, ale musisz wstać*.

Powiedział: *AlfoBracieUkochanySynuCzłonkuStada* wstawaj
wstawaj wstawaj.

Powiedział: *kochamy cię*.

Powiedział: *potrzebujemy cię*.

Powiedział: *jesteś Alfą i musisz WSTAĆ*.

Powiedział: WSTAWAJ WSTAWAJ
WSTAWAJWSTAWAJWSTAWAJ...

Wstałem, ponieważ dla nich zrobiłbym wszystko. Całe ciało mnie bolało, lecz wstałem.

Most przechylał się coraz bardziej, wokół mnie zapadał się dach, tak mocno, że gdybym wyciągnął rękę, dotknąłbym palcami sufitu.

Zrobiłem kilka brakujących kroków i w chwili, dokładnie w tej samej sekundzie, w której moje stopy dotknęły ziemi, konstrukcja zwała się do płynącego dołem strumienia w chmurze pyłu.

Przez więzi, przez nici, które rozciągały się pomiędzy nami, napłynął do mnie głośny krzyk, wrzask przerażenia: *nie nie nie* i *OxOxOx NIE RÓB NAM TEGO OX...*

Odparłem:

– Hej, Joe. – Bo nikt inny tak by za mną nie krzyczał, nikt inny nie pragnąłby tak rozpaczliwie usłyszeć mojego głosu.

Pieśń, którą wówczas wyśpiewał, była cudowna, przepełniona taką zieloną ulgą, że zapiekły mnie oczy. Odbijała się echem między drzewami dookoła mnie. Był blisko. Tak blisko.

Musiałem go zobaczyć. Upewnić się, że nic mu nie jest. Powiedzieć, jak mi przykro. Że nie chciałem go opuszczać. Że nie pragnąłem być nigdzie indziej jak tylko u jego boku. Chciałem jedynie, by był bezpieczny. Od tamtego pierwszego spotkania na drodze, kiedy mówił i ruszał się niczym małe tornado, nie pragnąłem niczego innego jak sprawić, by Joemu Bennettowi nigdy nie stało się nic złego.

Szedł do mnie.

Próbowałem się skupić na reszcie stada, upewnić się, że oni też są cali i zdrowi, lecz Joe był przytłaczający. Był wszystkim. Nie słyszałem, nie widziałem ani nie czułem nic poza nim.

Zszedłem na dno rzecznego koryta chwiejnie, lecz najostrożniej, jak umiałem. Szczątki mostu leżały porozrzucane w wodzie, wszędzie walały się stery połamanych desek i pocięte gwoździe. Nie wyczuwałem ich. Richarda. Osmonda. Pozostałych Omeg. Już nie. Trucizna zniknęła.

Wpadłem stopami w wodę, przemoczyłem buty i nogawki spodni.

Teraz ich słyszałem.

Moją watahę.

Joego.

Zacząłem się wspinać po zboczu koryta. Kapiąca mi z ramion krew wsiąkała w piach, ale wszystko grało. Wszystko było w porządku. Prawie byłem w domu.

Dotarłem na szczyt.

Stał tam. Biały wilk z czerwonymi oczyma. Ledwie kilka metrów ode mnie.

Usłyszałem znajome jęki kości i mięśni. I nagle stał przede mną w ludzkiej postaci, przyglądał mi się szeroko otwartymi oczami. Nie

miął na sobie ani strzępka ubrań.

– Ox – powiedział ochryplym, łamiącym się głosem. – Myślałem... m y ś l a ł e m...

Zrobiłem krok w jego stronę i odparłem:

– Nie, wszystko w porządku. Słowo daję, nic mi nie jest. To już koniec, Joe, jego już nie ma, przyrzekam. Przepraszam. Proszę, nie wściekaj się. Proszę, nie wściekaj się na mnie. Przepraszam, przepraszam, p r z e...

Za moimi plecami coś wybuchło. Obróciłem się w tamtą stronę.

Resztki mostu rozprysnęły się we wszystkich kierunkach, kiedy na wpół przemieniony Richard Collins wyskoczył spod rumowiska i wylądował przede mną. Ciało miał pokrwawione i połamane, pazury wysunięte. Położył mi jedną rękę na ramieniu i przyciągnął mnie do siebie.

– A l f o – warknął mi wprost do ucha.

Ułamek sekundy później drugą ręką przebił mi brzuch. Pazury bez trudu rozcięły skórę. Pchał tak długo, aż cała dłoń znalazła się w środku.

Z tyłu dobiegł wrzask Joego. Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby wydał z siebie taki dźwięk.

Richard Collins wyciągnął ze mnie rękę, a moje serce pękło wpół od tego krzyku.

Zakaszlałem. Nie bardzo wiedziałem, co właśnie się wydarzyło. Spojrzałem w dół. Krew tryskała ze mnie strumieniami. Coś mokrego, czerwonego i mięsistego zwisało z mojego wnętrza.

Podniosłem z powrotem wzrok. Czułem się, jakbym poruszał się w zwolnionym tempie. Dopadło mnie okropne zmęczenie.

Richard cofnął się o krok, a ja padłem na kolana. Z ust buchnęła mi krew.

Richard odchylił głowę do tyłu, a potem na boki, aż coś chrupnęło mu w szyi. Rany na jego ciele zaczęły się goić. Otworzył oczy. Płonęły czerwienią Alfę.

Przez kilka następnych długich sekund rozkoszował się tym, co udało mu się zdobyć, a czego tak bardzo pragnął. Wreszcie zakończył to, co rozpoczął wiele lat temu.

Ryknął.

Poczułem to nawet w kościach.

Dźwięk był głośny. Potężny. Ale urwał się nagle, kiedy Joe Bennett położył mu dłonie po bokach twarzy, wysunął pazury i oderwał Richardowi Collinsowi głowę od ramion.

Richard padł na kolana, jakby naśladował mój wcześniejszy ruch.

Tyle że ja krwawiłem z rany na brzuchu. Jemu krew tryskała silnymi strumieniami z poszarpanego kikuta szyi.

Rozmyte, wszystko było rozmyte.

Nie mogłem przełknąć śliny. Wydawało mi się, że oddychać też nie mogę.

Joe upuścił głowę Richarda na ziemię, a ja chciałem go zapytać, dlaczego porusza się tak powoli. Był Alfą, ale odnosiłem takie wrażenie, jakby wszystko robił pod wodą, i nie potrafiłem zrozumieć dlaczego.

Richard padł do tyłu.

Ja zrobiłem to samo.

Zanim rąbnąłem o ziemię, czyjeś ręce podtrzymały mnie i złagodziły upadek. Zamrugąłem, kiedy mnie położono. Gwiazdy

świeciły tak jasno nad moją głową. No i księżyc... O Boże, k s i ę ż y c. Żałowałem, że nie ma pełni. Bo księżyc w pełni lubiłem najbardziej.

Nagle zasłoniła go twarz Joego. Stwierdziłem, że nie szkodzi, bo jego twarz kochałem bardziej, niż mógłbym kiedykolwiek pokochać księżyc. Usiłowałem powiedzieć mu, jak bardzo, zwłaszcza że płakał, ale jakoś nie mogłem znaleźć słów. Ale przecież byliśmy pod wodą. A przecież nie powinno się rozmawiać pod wodą.

Jego usta się poruszały, coś krzyczał i płakał, ale nie mogłem rozróżnić słów. Słyszałem go, ale nie uszami, a w głowie i w piersi, mówił: *nie i proszę, i nie możesz mi tego zrobić nie pozwolę ci słyszysz mnie słyszysz mnie Ox jesteś mój Ox i nie pozwolę ci odejść nigdy nie dam ci odejść potrzebuję cię potrzebuję cię bardziej niż czegokolwiek bo cię kocham kocham cię Ox towarzyszu życia członku stada ukochany dom jesteś moim domem domem domem i bez ciebie ze mną już nigdy nie będzie w porządku.*

Przyszli też inni.

Widziałem ich, tłoczyli się wzdłuż krawędzi mojego pola widzenia.

Oni także płakali, krzyczeli na kogoś, żeby coś zrobił, żeby to naprawił, prosili: *napraw to nie możemy go stracić to się nie może tak skończyć nie w ten sposób.* Było ich tak wielu, głosy zlewały się w jedno, mówiły: *dlaczego on tak mocno krwawi o Boże on nie może umrzeć nie może nas zostawić AlfoAlfoAlfo potrzebujemy cię jesteśmy tutaj to my twoja wataha jak możesz nas opuszczać ox OxOxOx nie odchódź prosimy nie odchódź jesteś moim synem jesteś moim bratem jesteś moim przyjacielem jesteś moją miłością.*

Mówili, mówili, m ó w i l i...

Alfo.

Alfo.

A l f o.

Jeden głos przebijał się przez inne. Wznosił się ponad burzę, moje małe tornado.

Powiedział: *nie pozwolę by to się skończyło.*

Powiedział: *nie w ten sposób.*

Styszysz mnie?

OxOxOx

twój koniec jeszcze nie nadszedł

zaboli

poczujesz to

ale musisz w a l c z y ć

walcz

dla siebie

dla swojej watahy

i dla mnie

OxOxOx

musisz dla mnie walczyć

Miałem mu tyle rzeczy do powiedzenia.

Tyle rzeczy, które powinienem był powiedzieć.

Tyle rzeczy, którymi nigdy się dla niego nie stanę.

Musiał wiedzieć.

Ile dla mnie znaczy.

Ile dla mnie zrobił.

Zmusiłem oczy do otwarcia. Wziąłem wdech, któremu towarzyszył bulgocący dźwięk, a z moich ust prysnęły kropelki śliny. Zadławiłem się, lecz nie dawałem za wygraną.

Spojrzałem na niego i wydukałem zniekształconym głosem:

– Dziękuję, że mnie wybrałeś.

Łza popłynęła po jego policzku.

Powiedział:

– Nie.

Powiedział:

– Proszę.

Powiedział:

– Nie możesz, nie możesz, nie możesz.

Powiedział:

– Zawsze wybiorę ciebie.

A potem jego oczy zrobiły się takie czerwone, że wydawało mi się, iż płonie od środka. Sierść wyrosła mu na twarzy, bielutka jak śnieg. Schylił głowę, otworzył usta, z dziąseł wysunęły się kły. Nigdy nie widziałem piękniejszego wilka.

Zamknąłem oczy.

Poczułem żywy rozbryzg bólu w miejscu, gdzie bark łączy się z szyją, ale było zielono, było tak kurewsko zielono, że nie przejmowałem się braniem kolejnego oddechu. Więc go nie wziąłem.

Umierając, rozciągnąłem wargi w krwawym uśmiechu.

wilcza pieśń

Otworzyłem oczy. Księżyc nad moją głową był okrągły i tłusty. Podniosłem głowę. Leżałem na polanie w środku lasu. Znałem to miejsce. Znałem je, bo należało do mnie. Byłem w domu.

Usiadłem. Pod palcami czułem ciepłą trawę. Czułem się pełen energii. Czułem się zielono. Wciągnąłem głęboko powietrze. Czułem zapach drzew. Słyszałem, jak liście trzepoczą na gałęziach. Zanurzyłem palce w ziemi.

Niecały kilometr dalej poruszył się królik, puścił się biegiem przez gęstwinę. Nie wiedziałem, jakim cudem go słyszę, ale słyszałem.

Zerwałem się na nogi. Coś się zbliżało. Czułem to w drganiu cząstek powietrza. W sposobie, w jaki las zdawał się kłaniać temu czemuś. Cokolwiek to było, było królem lasu.

Spomiędzy drzew dobiegło wycie, jakiego jeszcze nigdy wcześniej nie słyszałem. Pieśń, którą zaśpiewało stworzenie, zatrzęsa moimi kośćmi.

Przepęłniała ją miłość. I nadzieja. I udręka. I każda okropna, piękna rzecz, jaka kiedykolwiek mi się przytrafiła. Przytrafiła się mojemu stadu.

Odchyliłem głowę do tyłu i zaśpiewałem w odpowiedzi. Włożyłem w tę pieśń wszystko, co miałem. Bo nie wiedziałem, czy śnię.

Czułem ból, lecz był to ból w sercu.

Nasze pieśni splotły się ze sobą. Dostroiły się. Stały się jedną. Nigdy wcześniej tak nie wyłem. Miałem nadzieję, że któregoś dnia uda mi się to ponownie.

Poczułem szarpnięcie z tyłu głowy. Coś się tam zaczepiło i pociągnęło. Poczułem, jak mój wzrok się wyostrza. Zaswędziały mnie dżiąsła. Zadrżały ręce. Pociągnięcie stało się silniejsze, a ja zapragnąłem biec.

Polować.

Posilać się.

Poczuć dotyk ziemi pod łapami, smak wiatru na języku.

Podniosłem dłonie do twarzy. Kiedy im się przyglądałem, pociągnięcie z tyłu głowy stało się ostrzejsze, a z opuszek moich palców wysunęły się pazury, potworne czarne haczyki, które zalśniły w świetle księżyca.

Król się zbliżał.

Teraz go słyszałem. Kroki, które stawiał. Wdech, które brał przez nos. Miał się wkrótce pojawić.

Opuściłem ręce wzdłuż boków. Hałasy wokół mnie ucichły, zapanowała cisza. Powiedziałem:

– Halo.

Las wstrzymał oddech. Na polanę wszedł wielki wilk.

Był biały z czarnymi plamkami rozsianymi na piersi i grzbiecie. Wyglądał na opanowanego, miał królewską postawę, każdy krok stawiał z rozmysłem. Był większy niż za życia. Oczy zaczęły mnie szczypać. Gardło ścisnęło się boleśnie. Ból w sercu stał się nie do zniesienia.

To niezupełnie był sen.

To niezupełnie była jawa.

Albo byłem martwy, albo umierałem.

Thomas Bennett stanął naprzeciwko mnie, nasze twarze znalazły się na tym samym poziomie.

Wydusiłem z siebie:

– Przepraszam.

Wilk sapnął i pochylił się do przodu, położył mi szyję na ramieniu, łeb opuścił na plecy i przyciągnął mnie mocno do siebie.

Wtuliłem się w niego, głowę wcisnąłem w jego pierś.

Pachniał lasem. Sosnami i dębami. Letnim wietrzykiem i zimowym wichrem. Nigdy wcześniej nie czułem od niego takich zapachów, nie tak jak teraz. Nie tak silnych.

Pozwolił mi opierać się o siebie, czekał, aż przestanę drżeć. Był ciepły. A ja byłem bezpieczny. W końcu się uspokoiłem. Odsunąłem się, a on bokiem głowy otarł się o moje ucho.

Usiadł przede mną i walił ogonem w ziemię.

Czekał.

Spojrzałem na swoje dłonie. Co mogłem mu powiedzieć? Cóż mogłem mu powiedzieć, żeby wyjaśnić, jak bardzo mi przykro? Że mogłem zrobić więcej, by utrzymać stado razem. Że sądziłem, iż zrobiłem, co mogłem. Że chciałem tylko, by wszyscy byli bezpieczni. Że zrobiłem to, co uznałem za słuszne. Że byłem wściekły na to, że potwór tak po prostu sobie przyszedł i wszystko mi odebrał, że ukradł mi ludzi, których najbardziej kochałem. Że jego syn był jedyną osobą, z którą wyobrażałem sobie życie.

I że kiedy najbardziej go potrzebowałem, on ze mną był.

Jako mój przyjaciel.

Jako członek mojego stada.

Jako mój Alfa.

Jako mój ojciec.

Podniosłem na niego wzrok.

Gdyby wilki mogły się uśmiechać, wyglądałyby tak jak on teraz.

Powiedziałem:

– Mam wybór, prawda?

Przekrzywił głowę.

Powiedziałem:

– Mogę iść z tobą.

Obejrzał się za siebie, w stronę lasu. Widziałem tam teraz jakieś poruszenie. Wszędzie dookoła pomiędzy drzewami słyszałem odgłosy wydawane przez inne wilki. Jazgot. Poszczekiwanie. Śpiew. Wycie. Były ich dziesiątki. Może nawet setki.

Wołały mnie. Śpiewały: *jesteśmy tutaj jesteśmy gotowi jeśli ty jesteś członku stada synu bracie ukochany jesteśmy gotowi możemy poczekać jak długo potrzebujesz.*

Thomas odwrócił się w moją stronę.

Powiedziałem:

– Albo mogę wrócić.

Sapnął ponownie.

Powiedziałem:

– Mój tatko powiedział, że ludzie będą mnie chujowo traktować. Zanim sobie poszedł. Wiedziałaś o tym?

Z głębi jego gardła dobiegł cichy skowyt.

– Tak mi powiedział. Mówił jeszcze, że jestem tylko durnym Oxem, którego ludzie będą chujowo traktować przez całe życie. Ale się mylił.

Wilki w lesie zawyły.

– Mylił się – okazałem. – Bo Joe mnie znalazł. I przyprowadził do ciebie. Ty dałeś mi poczucie celu. Dałeś mi dom. Watahę. Rodzinę. Oczy wilka były wilgotne i jasne.

– Ty jesteś moim ojcem – powiedziałem, choć głos mi się łamał.
– Chociaż nie jestem z twojej krwi.

I wtedy to poczułem. Więż. Nić, która rozciągała się pomiędzy nami, nawet w śmierci. Nie była tak silna jak niegdyś i pewnie nigdy nie będzie dopóty, dopóki będę żył, ale była.

I niósł się po niej szept. Cichuteński głos. Mówił: *Dbaj o nich dla mnie, synu.*

Thomas Bennett pochylił się do przodu i przycisnął nos do mojego czoła.

A ja powiedziałem:

– O c h.

Otworzyłem oczy. Znajdowałem się w zaciemnionym pomieszczeniu. Ze wszystkich stron otaczało mnie gorąco. Czułem się bezpieczny i czułem ciepło. I coś jeszcze. Bo było coś jeszcze. Ciche, nakładające się na siebie dudniące dźwięki. Niektóre miały ten sam rytm. Inne nie. Lecz wszystkie były powolne i słodkie. Zajął mi chwilę, nim się zorientowałem, czym były.

Biciem serc. Słyszałem bijące serca. Zacząłem je rozróżniać, jedno po drugim. W jednym pomieszczeniu ze mną naliczyłem ich dziesięć.

Powinno być jedenaście.

Powinno być j e d e n a ś c i e.

P o w i n n o b y ć ..

– Cii – szepnął mi jakiś głos do ucha. Chłodna dłoń dotknęła mojego rozpalonego czoła i odgarnęła z niego włosy. – Obudzisz pozostałych.

– Przecież nic nie mówiłem – wybąkałem słabo.

– Wiem – odparła Elizabeth. – Ale nie musisz. Już nie.

Wiedziałem, co miała na myśli. Dlaczego to powiedziała. Ale wydawało mi się, że to niemożliwe.

I wiedziałem, czyjego serca brakuje.

– A Joe? – spytałem.

– Zamknij oczy – powiedziała mi do ucha. – Wszystko jest teraz inaczej i musisz znaleźć sposób, by trzymać się swojego człowieczeństwa. Zamknij oczy, Ox. I słuchaj.

Zrobiłem, jak kazała.

Słyszałem wiele rzeczy.

Czułem jeszcze więcej.

Bicie serc mojego stada leżącego wokół mnie na podłodze salonu w domu na końcu ulicy. Dookoła nas porozkładano poduszki i koce, wszyscy pozwijali się w kłębki obok siebie, w jakiś sposób się dotykali, wilki pokładły się przy ludziach. Ja znajdowałem się w środku. Elizabeth była gdzieś przy mojej głowie. Na prawo ode mnie pozostała pusta przestrzeń.

Słyszałem ich oddechy. Ciche westchnienia wydawane podczas snu.

Czułem ich zapach. Potu, ziemi i krwi, ale spod spodu przebijały las i drzewa, promienie słońca przeświecające przez baldachim z liści i ta woń, która unosi się w powietrzu przed burzą, cierpka, ziemista woń ozonu.

Ale był tam jeszcze jeden zapach. Bardziej pierwotny, osadzony w każdym z nich. Rozpoznałem go jako swój. Oni wszyscy pachnieli mną.

Swoim Alfą.

Ale nie była to tylko moja woń. Wyczuwałem ciężki zapach kogoś innego zmieszany z moim własnym. I ten zapach, och, t e n zapach zatopił swoje pazury u podstawy mojego karku i u podstawy mojego kręgosłupa i s z a r p n ą ł.

Zawarczałem, bardziej zwierzęcy niż ludzki.

Leżąca wokół mnie wataha poruszyła się przez sen, lecz się nie obudziła. Słyszałem, że ich serca przyspieszyły nieco na dźwięk, który wypełził mi z gardła.

Pozwoliłem pociągnąć się dalej.

Był dom na końcu ulicy.

Był zapach stada, który wsiąkł w drewno.

Były głosy, echa przeszłości, ludzie gromadzący się w niedzielę, bo tak nakazywała tradycja.

Była woń innego Alfy, ale nie przeszkadzała mi.

Wsiąknęła w cały dom. W każdą deskę. W każdą ścianę. W każdą dachówkę.

Był tu, z nami.

I zawsze będzie.

Ojciec.

Były tereny wokół domu na końcu ulicy.

Małe tornado, które żądało od rodziców, by powiedzieli mu coś o laskach cukrowych i sosnowych szyszkach. O czymś epickim i kapitalnym.

Był też inny dom.

Stary dom.

Dom, w którym kiedyś panował smutek wywołany tchórzostwem ojca.

Dom, który uzdrowiła miłość wilków.

Krew na podłodze, ukryta przed wzrokiem, lecz pogrzebana w kościach.

Ona się tam śmiała.

Ona przebijała tam bańki mydlane.

Ona usiadła na stole i powiedziała mi, że wszystko będzie w porządku, pokazała mi, że z nami obojgiem wszystko będzie w porządku.

Była linia, połączenie między dwoma domami, nic silniejsza, niż kiedykolwiek widziałem, by je łączyła. Nie były to oddzielne domy. Był to jeden i ten sam dom. Od dawna.

Dalej, musiałem iść dalej.

Poczułem pociągnięcie.

N a p a r ł e m. Przez trawę. Przez drzewa.

Słyszałem każdego ptaka.

Słyszałem każdego jelenia.

Słyszałem oposy ukryte w zaroślach.

Nornice pod ziemią.

Wiewiórki wysoko na pniach drzew.

Było miasteczko wśród gór. Byli ludzie mieszkający w tym miasteczku. Nie wyczuwałem ich, nie tak, jak wyczuwałem stado. Ale byłem ich świadomy. Jakbym stał na zewnątrz i tylko zaglądał do środka.

Czułem ich obecność. Moja wataha była niczym latarnie morskie jasno świecące w ciemności. Mieszkańcy Green Creek byli niczym

rozmyte gwiazdy na krawędziach przestrzeni. Ale b y l i tam.

Naparłem.

Poczułem p o c i ą g n i ę c i e.

Stado poruszyło się wokół mnie, bicie serc zsynchronizowało się, jedno po drugim, tak wilków, jak i ludzi.

Elizabeth westchnęła.

Była polana w środku lasu. Smakowała gromami i magią. Pazurami i kłami. A na środku polany siedział mężczyzna, który kiedyś był chłopcem.

Chłopcem, którego pokochałem.

A potem do miasteczka przybył potwór, który myślał tylko o tym, by zabijać, i który wyrwał dziurę w naszych głowach i naszych sercach.

Chłopiec pognął za potworem z zemstą w krwistoczerwonych oczach.

Teraz potwora już nie było.

Chłopca też nie. Bo jego miejsce zajął mężczyzna.

To tam mnie ciągnęło, to tam napierałem, bo czułem pomruk pod skórą, ruchy zwierzęcia, które chciało ze mnie wyskoczyć.

Mieszkańcy Green Creek byli rozmytymi gwiazdami. Stado wokół mnie było punkcikami światła w ciemności. Chłopiec, m ę ż c z y z n a był słońcem, jasnym i nieokiełznanym.

Zwierzę wewnątrz mnie ryknęło, bym je uwolnił.

Elizabeth Bennett szepnęła:

– I d ź.

Poszedłem.

Wyszedłem przez drzwi, na trawę, kiedy to się stało.

Poczułem w ciele ból, cierpienie, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczyłem. Moje mięśnie zaczęły drgać niekontrolowanie, kiedy zszedłem z ganku i padłem na czworaka. Nie mogłem znaleźć sposobu, by zaczerpnąć tchu. Wszystko było zbyt głośne. Bicie serc. Las. Green Creek. Wszyscy k r z y c z e l i do mnie, krzyčili: OxOxOx, a ja otworzyłem usta, by coś im odkrzyknąć, lecz dźwięk, który się ze mnie wydobył, był niski i gardłowy, było to warknięcie, jakiego nie wydałby z siebie żaden człowiek.

Moje kości zaczęły trzaskać i pękać, ich kawałki składały się na nowo. Skóra porosła sierścią c z a r n ą jak najciemniejsza część nocy, a ja nie mogłem tego powstrzymać, nie mogłem z tym walczyć. Spod paznokci wystrzeliły pazury, wysiłek był olbrzymi.

Nadeszła chwila, l u d z k a chwila, gdy zdałem sobie sprawę, co się dzieje, że to nie powinno być możliwe, że przecież u m a r ł e m, Richard wbił we mnie rękę, aż wnętrzności wylały się n a z e w n ą t r z. Wierzyłem w magię. Wierzyłem w to, co niemożliwe. Wierzyłem w wilkołaki i zew księżyca.

Ale niemal nie uwierzyłem w to, co się działo.

Ja śnię ja śnię ja...

A jednak nie śniłem, bo ból był niesłychany. Musiał być, skoro wszystko we mnie łamało się i zmieniało miejsce. Znów wrzasnąłem, głosem jeszcze mniej ludzkim niż poprzednio. Dźwięk wyszedł zniekształcony, a nim zanikł, przemknęła mi przez głowę myśl: *przemieniam się, o mój boże, p r z e m i e n i a m s i ę...*

Ból zelżał.

Byłem byłem byłem byłem byłem byłem byłem byłem JESTEM
wilkiem
kolory są
czern i biel
błękit jest błękit widzę błękit jest
w księżycu jest w księżycu
jest zielono
wszystko jest zielone
są i n n i
tutaj czuję i n n y c h
to stado to dom moje nasze nasze nasze n a s z e
są tutaj
w stadzie domu są są stoją tam stoją tam i patrzą
jestem
Alfą
jestem ich
Alfą
oczy
moje
oczy
są
Alfy
tak są moi
wszyscy
o mój boże powiedziała młoda kobieta ludzka kobieta którą
znałem bo była moja
nie moja
ze stada ale nic poza tym przez niego przez niego przez

*przemienił się powiedziała wilcza matka przemienił się bo czuje że
on go woła*

*jasna cholera albo powiedział jeden z ludzkich mężczyzn ale w chuj
wyjebany wilk*

tak

jestem wilkiem jestem wyjebanym wilkiem wyjebanym wilkiem

*yyy powiedział drugi ludzki mężczyzna dlaczego on tak na nas
warczy*

*nie czujesz przez więzi powiedziała wiedźma ze śmiechem
wiedźma moja wiedźma cholernie próżny z niego sukinsyn spodobało
mu się jak nazwałeś go wyjebanym*

tak bo jestem

Alfą

jestem duży i silny

troszczyć się o członków swojego stada są moi są

moi i muszę ich bronić bo jestem

Alfą

*o jezu powiedział ostatni ludzki mężczyzna po tym wszystkim
będzie nie do zniesienia*

pokazuję im zęby

nie boją się śmieją się bo się nie boją

dobrze nie chcę by się

mnie bali bo są moi

a ja jestem ich ich ale

ale

gdzie jest mój

gdzie jest mój

gdzie jest mój mój

śpiewać dla niego
muszę śpiewać
głośną pieśń by mnie usłyszał między drzewami
śpiewam
drzewa one drżą w jej rytm w rytm mojej pieśni drżą i trzęsą się
moja pieśń jest
drzewa są moje
trawa jest moja
wszystko to jest moje
moje terytorium
odpowiedz mi
wyśpiewaj mi drogę do domu zaśpiewaj dla mnie zaśpiewaj to...
pieśń pieśń pieśń pieśń pieśń pieśń pieśń pieśń pieśń pieśń
pieśń pieśń pieśń pieśń pieśń pieśń
na polanie
słyszę ją słyszę ją jest dla mnie przyzywa mnie on mnie przyzywa
bo jest
moim
stadem
moim
towarzyszem
moim
Alfą
śpiewam dla niego odpowiadam mu pieśnią śpiewam dla niego by
słyszał że nadchodzę towarzyszu jestem
biegnę
ku pieśni którą mi śpiewa
biegnę

ku sercu które dla mnie bije
biegnę
bo on mnie wezwał
bo on wyśpiewuje mi drogę do domu
pomiędzy drzewami
śpiewam
moja pieśń jest
śpiewam
nadchodzę
proszę nie zostawiaj mnie
proszę zaczekaj na mnie
proszę kochaj mnie
jestem wilkiem
jestem Alfą
jestem twój
ty jesteś
mój mój mój mój
widzę cię
czy ty mnie widzisz
czy się gniewasz
czy się boisz
czy jesteś na mnie zły
pachniesz smutkiem
pachniesz jak ja ale smutno proszę nie bądź smutny dlaczego
jesteś smutny jestem tu z
tobą nie musisz być
chłopcze mężczyzno wilku Alfo
proszę

ox powiedział ox ox
dlaczego na mnie nie patrzysz
dlaczego mnie nie widzisz jestem tu z tobą jestem
twoja skóra ma słony smak
płaczesz
czy ty płaczesz
nie płacz
nie możesz się smucić
nie lubię kiedy się smucisz
powiedział *myślałem*
powiedział *jego ręka*
powiedział *była wewnątrz ciebie ox*
powiedział *ty draniu*
krzyknął *jak mogłeś*
krzyknął *jak mogłeś mnie zostawić*
jest na mnie zły
proszę nie bądź zły
jestem tu jestem wilkiem Alfą członkiem stada towarzyszem
życia
czuję go
szarpie mnie pazurami
mój wilk
chce gryźć
i zabijać
czuję teraz taki gniew
ty czujesz gniew
ja czuję g n i e w
nie powstrzymasz mnie

nie powstrzymasz tego

to jest

jestem wilkiem

jestem

Alfą

powiedział *nie nie ox nie przepraszam*

powiedział *to nie tak miało być*

powiedział *jestem tu*

*jestem tu z tobą dla ciebie ox bo ty zawsze byłeś przy mnie jesteś jak
laski cukrowe i sosnowe szyszki jesteś epicki i kapitalny jesteś jedynym
powodem dla którego przetrwałem te wszystkie lata odszedłem
odciąłem nas i chciałem wyrzucić cię ze swojej głowy ale kiedy było
późno kiedy było ciemno myślałem o tobie o powrocie do domu do ciebie
o byciu z tobą o byciu szczęśliwym o byciu w domu bo ty ox jesteś moim
domem bez ciebie jestem niczym jestem nikim jesteś moją miłością
moim życiem moim stadem moim towarzyszem życia dlatego musisz się
s k u p i ć musisz s ł u c h a ć mojego serca mojego głosu mojego oddechu
jestem twoim Alfą i nie dam rady zrobić tego bez ciebie więc wróć wróć
kurwa wróć do mnie ox*

słucham

jego oddechu

jego głosu i słów

jego serca

i jestem

jestem

jestem

JA JESTEM OXEM JA JESTEM OXEM JA...

zmieniam się i

– Kurwa, ja pierdołę. – Zwymiotowałem, padając na ludzkie kolana. Ktoś trzymał dłoń na moich plecach, czułem ciepło palców na skórze, gdy walczyłem z mdłościami. Świat dookoła mnie zdawał się zbyt głośny, jakbym słyszał każdy najdrobniejszy dźwięk w promieniu piętnastu kilometrów. Zaatakowały mnie zapachy lasu.

Przemiana próbowała znów przejąć nade mną kontrolę, pazury wbijały mi się w ziemię. Dziaśła swędziały, a ja chciałem ją d o k o ń c z y ć, chciałem, by nadeszła.

Powiedział:

– O x.

Warknąłem na niego.

Alfa powiedział:

– O x.

Wszystko się zatrzymało.

Kłęknął przede mną. Chwycił moją twarz w swoje dłonie i odchylił mi głowę do tyłu, aż spojrzałem mu w oczy.

Były czerwone, miały kolor płonącego ognia i wołały mnie, nawet teraz, nawet wśród burzy w mojej głowie, a wilk drapał pazurami tuż pod powierzchnią.

Powiedział:

– Posłuchaj mnie.

Powiedział:

– Jesteś tutaj.

Powiedział:

– Ze mną.

Powiedział:

– A ja nigdy cię nie opuszczę.

Powiedziałem:

– Nie wierzę ci.

– Ufasz mi?

Tak. Tak. Tak. Skrzywiłem się, kiedy moje mięśnie się napięły.

– Nie mogę...

– Ox – rzucił ostro. – U f a s z m i ?

– Tak – wyrzuciłem z siebie. – Tak. T a k.

– W takim razie teraz też musisz mi zaufać – odparł. – Jestem twoim Alfą. Ale jesteś też mój. Ox, ugryzłem cię, żeby cię ocalić. Przeobraziłeś się. Nie jesteś już człowiekiem. Jesteś wilkiem, Ox. Jak ja. Jak Carter i Kelly. Jak mama. Jak Mark. Jesteś wilkiem, rozumiesz?

– Moje oczy – zdołałem wykrztusić. – Jakiego koloru są moje oczy? – Nie mogłem przestać myśleć, że są fioletowe, że już nie mam watahy, bo od samego początku nie byłem prawdziwym jej członkiem. Joe był Alfą. Wróci do domu, zacznie rządzić, a dla mnie nie będzie miejsca, nie będą potrzebować...

– Czerwone – odparł cicho. – Twoje oczy są czerwone.

– Kurwa – szepnąłem i wszystko wskoczyło na swoje miejsce.

Nigdy nie rozmyślałem o panowaniu nad sobą.

Przedtem.

Nigdy nie rozmyślałem, ile może kosztować bycie wilkiem. Thomas i reszta watahy zawsze sprawiali wrażenie, że to łatwizna.

Tylko jeden raz widziałem coś, co przypominało utratę panowania nad sobą, w noc, kiedy Joe pierwszy raz się przemienił.

Kilka lat. Od tamtej nocy minęło kilka lat. Dlatego nie rozmyślałem o tym zbyt często. Teraz nie potrafiłem myśleć

o niczym innym.

Leżałem na polanie, trzymałem głowę na kolanach Joego, który przeczesywał mi włosy palcami. Żadnemu z nas nie przeszkadzała moja nagość. Na rozgrzanej skórze czułem dotyk chłodnej trawy. Słuchałem bicia jego serca, jeden mój wdech trwał trzy uderzenia, wydech – pięć.

Wilk we mnie wciąż zgrzytał zębami, wciąż był rozjuszony, lecz uspokajał się pod dotykiem Alfy.

Nie odzywaliśmy się przez dłuższy czas.

Nie wiedziałem, o czym myśli. Nie rozumiałem zapachów, które wydzielał. Były żywe. Kinetyczne. Paliły mnie w nos. Ale pod nimi był Joe. Dym, ziemia i deszcz. Zapachy, które zawsze z nim utożsamiałem, teraz wzmocnione po tysiąckroć. Pragnąłem się w nich zagrzebać, wytarzać się w nich, aż pokryłbym się cały jego wonią.

Lecz cisza się skończyła. Musiała. Było zbyt wiele do powiedzenia.

Powiedział:

– Osmond nie żyje.

Stęknąłem. Domyślałem się tego.

– Gordo go zabił. Reszta naszego stada rozprawiła się z pozostałymi Omegami. Ludziom, których porwały, udało się dotrzeć do warsztatu, byli bezpieczni. Znaleźliśmy ich skulonych na tyłach hali napraw, pod jednym z podnośników. Gordo... coś im zrobił. Zmienił ich wspomnienia. Nie wyrządził im przy tym krzywdy. Po prostu... nie będą nic pamiętać. Całej tej sytuacji. Omeg. Nas. Ciebie. Nic. Wyliżą się. Myślą, że mieli wypadek samochodowy. To było dziwne, serio.

Wygodne. Może nawet zbyt wygodne. Nie wiedziałem, jak daleko sięga magia Gorda ani do czego musiał się posunąć w ciągu tych kilku lat, kiedy go nie było, ale czas na zadawanie pytań miał dopiero nadejść. Później. Teraz musiałem wysłuchać Joego. Być blisko.

Próbowałem znaleźć właściwe słowa, jakiegokolwiek, powiedzieć coś. Ale wydałem z siebie tylko jakieś niezrozumiałe dźwięki, bardziej wilcze niż ludzkie. Ręka Joego zamarła na chwilę w moich włosach, lecz po chwili podjęła wędrówkę na nowo, tępe paznokcie drapały mnie po skórze głowy.

Powiedział:

– Powinienem być wiedzieć, że coś jest nie tak.

Mówił spokojnym głosem. Ostrożnym i powściągliwym.

– Powinienem być wiedzieć – powtórzył.

Chciałem go spytać, jak się dowiedział, ale... I tak mnie usłyszał. Jakimś cudem.

– Wyciszyłeś więzi. Wszystkie. Zadzwoiłem do ciebie. Odezwała się poczta głosowa. Zadzwoiłem do Gorda. Nie odebrał. Pojechałem do warsztatu. Inni pojechali za mną, bo wiedzieli, Ox. W i e d z i e l i, że coś jest nie tak.

Lekkie załamane głosu. Przesączaający się gniew, zabarwiony czymś, co smakowało jak ból. Lub smutek. Nie wiedziałem, czy istnieje między nimi jakaś różnica.

Wcisnąłem twarz w jego kolana, usiłowałem zachować spokój.

– Gordo się domyślił – powiedział. – Poszedł za tobą. Powiedział, że coś mu nie gra. On po prostu... wiedział. Ja nie. Ale on – tak. On...

Z moich rąk wyrosły pazury.

– Ty głupcze – wyszeptał. – Ty durniu.

Zaskomlałem, prosząc, by mnie nie odtrącał. Ani teraz, ani nigdy.

– Jak mogłeś myśleć, że wszystko będzie w porządku? – wykrztusił. – Jak mogłeś myśleć, że...? Nie udało mi się dotrzeć do ciebie na czas. Nie udało mi się... i on t a m był, potwór z moich snów t a m był, a jego dłoń tkwiła w t w o i m w n ę t r z u...

Urwał i zaczął się trząść.

Otoczyłem go ramieniem w pasie i przycisnąłem twarz do jego brzucha.

– Nie udało mi się powstrzymać go na czas – podjął na nowo opowieść, tym razem już nie takim spokojnym, równym głosem. Tętno podskoczyło mu gwałtownie. Chwycił mnie za włosy. Mówił z kłami wypełniającymi buzię. – Nie udało mi się dotrzeć do ciebie na czas. Musiałem patrzeć, jak ty... jak on... zrobił to, co zrobił. Pamiętam tylko, pamiętam tylko, jak sobie p o m y ś l a ł e m, że to sen. Że to wszystko tylko sen. Ale to nie był sen, bo kiedyś mi powiedziałaś, że w snach nie czuć bólu i że na tym polega różnica między snem a jawą. Oj, ja nie mogłem śnić, bo to c z u ł e m. Wszystko. On się na ciebie rzucił, potem rzucił się na mnie i nagle nie miał już głowy, a ty k r w a w i ł e ś.

Pochylił się nade mną, jakby chciał ochronić mnie przed wszystkim dookoła. W uchu słyszałem jego urywany oddech.

Powiedział:

– Ty pieprzony draniu. Jak śmiałeś umrzeć na moich oczach?

Dopiero wtedy odnalazłem swój głos. Ponieważ musiałem coś powiedzieć. I ponieważ on musiał mnie wysłuchać.

Powinienem być powiedzieć: „przepraszam”.

Albo: „teraz już wszystko będzie w porządku”.

Albo: „potwór nie żyje, a ja jestem tutaj i już nigdy cię nie opuszczę”.

Ale nie powiedziałem. Nic z tych rzeczy.

Kiedy się odezwałem, moje słowa wyszły stłumione, bo przyciskałem się twarzą do niego. Głos miałem głębszy niż kiedykolwiek, jakby ugrzązł gdzieś między człowiekiem a wilkiem. Powiedziałem:

– Zrobiłbym to jeszcze raz. O ile dzięki temu byłbyś bezpieczny.

Wciągnął ze świstem powietrze.

Mówiłem prawdę. Z chęcią oddałbym życie, gdyby dzięki temu Joe miał pożyć choćby o jeden dzień dłużej. Albo którykolwiek z członków stada. Bo tak zachowuje się Alfa. Tego nauczył mnie Thomas. Alfa przedkłada watahę nad wszystko inne. Jego zadaniem jest utrzymanie stada w całości. Zapewnienie jego członkom bezpieczeństwa. Utrzymanie ich przy życiu.

Richard Collins mógł próbować ich dopaść, pomimo że dał mi słowo. Ale było to ryzyko, które musiałem podjąć. Bo dzięki temu byliby bezpieczni.

Odwróciłem się na plecy, żeby na niego popatrzeć.

On także na mnie spojrział.

Popłynęła samotna łza, która wylądowała na moim czole.

– Nienawidzę cię – szepnął.

Pokiwałem, bo wiedziałem, że to prawda. Nienawidził mnie w tej jednej kwestii.

– Zrobiłbyś to samo. Dla mnie. I za to ja ciebie też nienawidzę.

Roześmiał się.

– A niech cię szlag.

Schylił się pod dziwnym kątem, żeby mnie pocałować. Plecy miał wygięte, jak tylko się dało, a ja uniosłem delikatnie głowę, by nasze usta mogły się spotkać. Było to tylko dziobnięcie, muśnięcie jednych warg o drugie. Lecz pocałunek ten wydał mi się czymś więcej niż wszystkie poprzednie. Były w nim rozpacz i tęsknota, i cierpienie, tyle cholernego cierpienia, ale była też zielen. Przebijało przez niego tyle zieleni, bo byliśmy t u t a j. Obaj byliśmy tutaj i nawet potwór nie był w stanie nas rozdzielić.

Przejechał palcami po moim brzuchu w miejscu, w którym Richard wyrwał mi dziurę, by mnie wypatroszyć. Na skórze nie pozostał nawet ślad, rana zupełnie się zagoiła. Nie czułem też żadnego bólu, zupełnie jakby to się przytrafiło komuś innemu.

Zastanawiałem się też, czy wszystkie pozostałe moje blizny zniknęły, blizny, które kreśliły mapę mojego życia. Czy one też się zagoiły. Cienka kreska na karku powstała, gdy w wieku sześciu lat przełaziłem przez ogrodzenie z drutu kolczastego. Niewielki krater na policzku, pamiątka po ospie wietrznej, na którą zachorowałem, gdy miałem dziewięć lat. Ślad na prawym przedramieniu, który przypominał mi dzień, kiedy mój tato się upił i pomyślał, że będzie zabawnie, jak rzuci mi cegłę do złapania. Zarobiłem wówczas sześć szwów i przeprosiny.

Nie mogłem patrzeć. Nie wiedziałem, co bym poczuł, gdyby się okazało, że zniknęły.

Teraz byłem bardziej sobą. Wilk się wycofał. Pomyślałem sobie, że to dlatego, że Joe jest blisko. Wyczuwałem wszystkich pozostałych, wyraźniej niż kiedykolwiek wcześniej. Dwa dni temu

też ich czułem, ale granice się rozmywały. Teraz obraz był krystalicznie czysty. Czekali na nas. Dotrzemy. Już niedługo.

Joe powiedział:

– Przemieniłem cię, bo nie mogłem pozwolić ci odejść. – To były pierwsze słowa, które wypowiedział od niemal godziny.

Westchnąłem.

– Wiem.

– Jesteś zły?

– Nie, nie jestem zły za to, że stałem się wilkiem.

– Ale jesteś zły.

– Nie.

– Oх.

– Nie bardzo. Nie wiem. Nie umiem powiedzieć, co jest moim gniewem, a co twoim. To... tak jakby przechodzi przeze mnie i...

– Pętla zwrotna.

– Nie wiem, co to jest.

– To taki obwód. Okrąg. Zamknięty, pomiędzy tobą a mną.

Wszystko, co czuję, jest wszystkim, co ty czujesz.

Pokiwałem wolno głową.

– Już zawsze tak będzie? To...

– Przytłaczające?

– No.

– Nie, nie będzie – zaprzeczył. – Dopiero co się przemieniłeś.

Wszystko jest podkreślone. Jak już się w tym połapiesz, nauczysz się nad tym panować.

Pomyślałem, że brzmi nieźle, ale teraz mi to nie pomagało.

– Czyli obaj jesteśmy źli, tak?

Prychnął i przycisnął mi dłonie mocniej do brzucha.

- Neee. Teraz tylko ja. Jestem ciężko wkurwiony.
- Na mnie.
- A żebyś, kurwa, wiedział.
- Aha.
- Dlaczego?

Nie zgrywałem głupiego. Nie sądziłem, by było to jeszcze możliwe.

– Bo jeśli istniała szansa, że cię nie skrzywdzi, to musiałem zaryzykować. No i pozostali. Ci porwani ludzie. Nie mogłem... nie mogłem zostawić ich na pastwę losu, Joe. Po prostu nie mogłem.

– Powinieneś był mi powiedzieć.

– Cały ten heroizm robi się jakiś taki wątpliwy, jak się o nim rozpowiada wszystkim dookoła.

Wydech, który wówczas zrobił, bardziej przypominał szloch niż cokolwiek innego. Zaczekaliśmy, aż znów wszystko wróciło do normy.

– Nie rób tak nigdy więcej – stwierdził w końcu.

– Jeśli to oznacza...

– Ox, nie życzę sobie więcej tajemnic.

Spojrzałem na niego spod zmrużonych powiek.

– Czy to dlatego, że możesz teraz we mnie swobodnie czytać?

Prychnął.

– Zawsze potrafiłem cię odczytać, Ox. My... No, po prostu potrafiłem. Jesteś Ox.

– A ty jesteś Joe.

– Zgadza się.

Spojrzałem w górę na gwiazdy.

– Oni wiedzą?

- Kto?
- Alfa Hughes. I reszta. Ci ze Wschodu.
- Nie. Kazałem Robbiemu się wstrzymać.
- Bo?
- Ze względu na ciebie.
- Dlaczego?
- Ponieważ jesteśmy drużyną, Ox. Ty i ja. Nie mogę tego zrobić bez ciebie. A ty nie powinieneś tego robić beze mnie. Już nie.
- Ależ mogę – oznajmiłem – robić to bez ciebie. Tyle że nie chcę. Zachichotał. Miło było usłyszeć ten dźwięk.
- To dobrze.
- Hej, Joe?
- No?
- Jak wyglądam?
- Wyglądasz jak ty.
- Jako wilk.
- Wyglądasz jak ty – powtórzył. – Wszędzie bym cię rozpoznał.

I rozpoznam.

Niebo zaczynało się rozjaśniać. Ptaki rozpoczęły nawoływania.

Przytłoczył mnie o g r o m rzeczywistości.

Joe powiedział:

– Jesteś duży, Ox. Największy wilk, jakiego widziałem. Większy ode mnie. Od mojego ojca. Ale to ma sens, wiesz? Bo taki zawsze dla mnie byłeś. Większy niż cokolwiek innego. Tamtego dnia, gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy, wiedziałem, że nic już nie będzie takie samo. Jesteś wszechogarniający. Przyćmiewasz wszystko inne. Kiedy cię widzę, Ox, to nie widzę n i c innego.

Powiedział:

– Oczy masz czerwone jak ja. Ale twój wilk jest czarny, Ox. Czarny jak mrok. W całości. Bez żadnego wyjątku. Masz długi ogon i wielkie łapy. Twoje zęby są ostre. Ale ja nadal widzę ciebie w wilku. Widzę cię w nim, w jego oczach. Znam cię, Ox. Poznałbym się wszędzie.

Powiedział:

– Nie przeobraziłeś się ze względu na księżyc, lecz dlatego, że musiałeś. Ponieważ twój wilk wiedział, że musi mnie odnaleźć. Żebym mógł ci udowodnić, że mogę sprowadzić cię z powrotem. Dawno, dawno temu żył sobie pewien samotny chłopiec, skrzywdzony chłopiec, który nie wiedział, czy potrafi się przemienić, i wystarczyła jedna osoba, by pokazać mu jak. A teraz ja zrobiłem to dla ciebie, bo to właśnie robimy dla siebie n a w z a j e m. Na tym polega stado. Na tym polega to wszystko.

Powiedział:

– Jesteś mój, Ox.

Powiedział:

– Jestem twój.

Powiedział:

– I nie mogę się doczekać, kiedy pokażę ci, że zostałem dla ciebie stworzony, tak jak ty zostałeś stworzony dla mnie.

Wyciągnąłem rękę i pogładziłem jego twarz. Wtulił się w moją dłoń. Nigdy wcześniej nie było nikogo takiego jak on. Od tamtego małego chłopca na drodze przez czerwonoookiego nastolatka po twardego faceta, który stał przede mną przy domu na końcu ulicy i mówił mi d o k ł a d n i e t o s a m o c o c a ł e l a t a w c z e ś n i e j. Nigdy nie było nikogo takiego jak on. I był m ó j.

Przyciągnąłem go do siebie.

Pocałunek był ciepły i mokry. Jego usta pracowały na moich, moje ręce trzymały go blisko i pomyślałem, że chociaż skończyliśmy z potworem, to był dopiero początek. Nie sądziłem, bym pozwolił mu odejść. Już nie. Nie kolejny raz. Nie odbudowaliśmy się. Istniało ryzyko, że nigdy się nie odbudujemy. Mój tatko powiedział mi kiedyś, że ludzie będą mnie chujowo traktować przez całe życie. Potwór powiedział Joemu, że jego rodzina już go nie chce. Musieliśmy z tym żyć, żyć ze słowami, które inni szeptali nam do ucha. Być może nigdy nie uwolnimy się od tych cieni. Nie całkowicie.

Ale i tak będziemy walczyć do utraty tchu.

I może tylko to ma znaczenie.

Słońce zaczynało już wschodzić, kiedy znalazła nas reszta stada, ludzie razem z wilkami. Usłyszałem, jak idą między drzewami, kiedy tylko postawili stopę w lesie. Niewiele wcześniej poczułem, że się obudzili.

Wiedziałem, że kiedy do nas dotrą, Rico, Tanner i Chris pewnie zaczną wrzeszczeć z powodu mojej nagości i oskarżać mnie o to, że próbuję wykorzystać swoją pozycję jako Alfa, żeby stworzyć harem. Będą zachowywać się jak wyjący wściekłe wicher, ale zobaczą ulgę w ich oczach, kiedy nie dopatrzą się na moim ciele żadnych ran.

Patrząc na nich, Gordo przewróci z czułością oczyma, po czym wręczy mi spodnie od dresu. Pochylił się nade mną i szepnie mi do ucha, że nie wolno mi więcej tak go straszyć, a ja będę się mógł założyć, że później walnie mi pogadankę o moim postępowaniu. Położy mi dłoń na karku, przycisnie swoje czoło do mojego i będziemy sobie o d d y c h a ć.

Jessie będzie wyglądała na nieco niepewną, może na mój widok łzy napłyną jej do oczu. Pierwsza na mnie nawrzeszczy i wyrzuci mi,

że podjąłem okropnie głupią decyzję i za kogo ja się, kurwa, uważam, życie mi, kurwa, nie miłe czy jak?

Robbie przyjdzie w postaci wilka i będzie się o mnie ocierał, żeby zostawić swój zapach, bo nie będzie mógł znieść smrodu krwi, który wsiąkł mi w skórę. Powie mi później, że to zapach śmierci, że ja pachnę śmiercią, a on nie może tego znieść. Że nie może mnie stracić. Jestem jego Alfą, do cholery, i muszę lepiej o siebie dbać, bo on nie wie, co by ze sobą zrobił, gdyby mnie zabrakło.

Carter i Kelly też nie zmienią się w ludzi, będą skomleć i podskakiwać wokół Joego i mnie, kręcić tyłkami i przyciskać się do nas, będą udawać zdystansowanych, lecz ich oczy będą tylko odrobinę zbyt okrągłe, a skowyt dobywający się z ich gardeł tylko odrobinę zbyt paniczny, by kogokolwiek nabrać. W końcu padną obok nas, jeden po jednej stronie, drugi po drugiej, wtulą się w swoje Alfy, zamkną oczy i wreszcie zaczną miarowo oddychać.

Na samym końcu przyjdą Elizabeth i Mark, oboje w ludzkiej postaci. Wcześniej będą patrzeć, jak nachodzą nas inni, Mark z tym swoim tajemniczym uśmiechem na ustach. Elizabeth zamknie oczy i pozwoli, by ogarnęły ją dźwięki stada. Przyłączą się do nas, kiedy inni zaczną się już uspokajać. Elizabeth usiądzie koło synów, Mark obok Gorda i obaj będą unikać patrzenia na siebie nawzajem, choć położą ręce w trawie bardzo blisko siebie, aż zetkną się małymi palcami i będą mieli poczucie, że wszystko jest dobrze, że są k o m p l e t n i, w końcu, w końcu, w k o ń c u.

Żyliśmy.

Kochaliśmy.

Utraciliśmy. O Boże, ileż utraciliśmy.

Ale będziemy tu teraz. Razem. Choć może to jeszcze nie koniec. Może czekają nas jeszcze inne niespodzianki. Robert Livingstone. Alfa Hughes. Wszystkie te potwory, które nadal czyhają gdzieś tam w szerokim świecie.

W porządku. Okej.

Bo jesteśmy, do cholery, watahą Bennettów. A nasza pieśń nigdy nie ucichnie.

epilog

Spytał:

– Gotowy?

Zawisł nade mną z wyrazem nabożnej czci na twarzy.

Moja skóra lśniła od potu, była ciepła w dotyku. Czułem, że się zarumieniłem i że się przegrzewam.

Nie mogłem znaleźć odpowiednich słów, lecz w końcu zdołałem wykrztusić:

– No. Tak, Joe.

Pochylił się, żeby mnie pocałować, i wszedł we mnie powoli. Wziętem gwałtowny oddech, gdy zaczął mnie pieprzyć, a on zamknął mi usta, przycisnął swój język do mojego. Mój kutas utknął pomiędzy nami, ocierał się o jego brzuch.

Wsunął się tak daleko, jak się dało, przyciskając biodra do moich pośladków. Zarzuciłem mu nogi na ramiona. Wdychaliśmy się nawzajem, oczy mieliśmy otwarte, stykaliśmy się nosami.

Powiedział:

– O k u r w a. – Usta trzymał tuż przy moich, biodra zaczęły mu drżeć.

Czekał, zatrzymał się w miejscu, jakby nie mógł się ruszyć, jakby nie chciał.

Odparłem:

– W porządku, Joe. Proszę. Wszystko w porządku. Chcę... o Boże, potrzebuję...

Obiecał:

– Tak, Ox. Dam ci to, czego potrzebujesz. Zerżnę cię, dobrze? Po prostu daj mi się zerżnąć, a...

Wysunął się, po czym wszedł z powrotem. Łóżko zaskrzypiało pod nami, a on zrobił to jeszcze raz i jeszcze. Zaczęliśmy powarkiwać na siebie z obnażonymi zębami, a ja wbiłem mu pazury w plecy, nie dbając o to, że ranią ciało.

Zakołysał biodrami, żeby wbić się głębiej, i usiadł, przyciskając mi nogi do klatki piersiowej, aż niemal złożył mnie wpół, tylko po to, by móc patrzeć na swojego kutasa we mnie. Zwolnił i przyglądał się szeroko otwartymi oczami, jak rozpadam się pod nim. Zabawialiśmy się od kilku dobrych godzin i byłem już zbyt nakręcony, żeby dłużej wytrzymać. Joe brak doświadczenia nadrabiał tym, że szybko się uczył. Robił mi takie rzeczy, że oczy uciekały mi w głąb głowy, a usta same się rozchylały.

Ale nie chodziło o samo pieprzenie czy spuszczenie się.

Chodziło o coś więcej.

O wiele więcej.

Poczułem, jak napięcie zaczyna mi się gromadzić u podstawy kręgosłupa. Nie próbowałem powstrzymać przemiany, która we mnie zachodziła.

Nade mną Joe wyglądał dokładnie tak samo. Przeobraził się połowicznie i zakrzyknął, kiedy zacząłem się wokół niego zaciskać. Powiedział:

– Ox, już prawie czas.

Odparłem:

– Tak, okej, tak. Proszę, tak.

Bo obaj przygotowywaliśmy się do tego. Do tej chwili. Od tamtego dnia, kiedy wręczył mi pudełko, w którym leżał niewielki kamienny wilk, i obiecał mi siebie.

Warknąłem:

– Z r ó b t o.

Jego oczy błysnęły czerwienią. Wysunęły mu się kły.

Doszedłem, brudząc nas obydwu, i odchyliłem głowę do tyłu, odsłaniając gardło.

Dochodząc we mnie, wyszeptał moje imię, wypowiedział moje imię, wykrzyczał moje imię. A potem mnie ugryzł. Dokładnie w miejscu, gdzie szyja spotyka się z ramieniem.

Poczułem ból, żywy i lodowaty. Potem minął, zastąpiony przez coś innego. Coś o wiele większego.

Otworzyłem gwałtownie oczy i nabrałem ze świstem powietrza. Bo to było w i ę c e j, niż kiedykolwiek sądziłem, że będzie możliwe. To było w s z y s t k o.

Jego kły ześlizgnęły się po mojej skórze.

Czułem, jak cieknie ze mnie krew.

Dyszając, wysunął się ze mnie, usta miał równie czerwone jak oczy. Powiedział:

– O mój Boże.

Powiedział:

– O x.

Powiedział:

– O x, ty też to czujesz? To jest... Nie mogę uwierzyć, że my... po takim czasie my...

Powiedział:

– Oх.

Powiedział:

– Towarzyszu życia.

Wilk warknął:

– M ó j.

- [1] W przekładzie Jadwigi Jędryas, Wydawnictwo Dwie Siostry, Warszawa 2014.
- [2] Zdrobnienie imienia narratora powieści, Ox, w języku angielskim znaczy wół (przyp. tłum.).
- [3] Pasma górskie położone w Ameryce Północnej, na terenie Stanów Zjednoczonych i Kanady, stanowiące część Kordylierów (przyp. tłum.).
- [4] Generał Thomas „Stonewall” Jackson dowodził wojskami Południa podczas amerykańskiej wojny secesyjnej. Był jednym z najbardziej znanych dowódców Konfederacji (przyp. tłum.).
- [5] Po angielsku „dobra wola”, „życzliwość” – amerykańska sieć sklepów z używanymi rzeczami (od ubrań przez książki i zabawki po meble i elementy wyposażenia wnętrz), z których sprzedaży dochód jest przeznaczany na cele charytatywne (przyp. tłum.).
- [6] Właśc. Frances Rose Shore (1916–1994) – amerykańska wokalistka, aktorka i osobowość telewizyjna, która zdobyła szczyty list przebojów lat czterdziestych ubiegłego stulecia, a w następnej dekadzie osiągnęła spektakularny sukces w telewizji, głównie jako prowadząca programów rozrywkowych sponsorowanych przez firmę Chevrolet (przyp. tłum.).
- [7] Hiszp. tatuśku (przyp. tłum.).
- [8] Hiszp. Dom Gorda (przyp. tłum.).
- [9] Hiszp. słuchaj (przyp. tłum.).
- [10] Fragment piosenki Dinah Shore *I'll Walk Alone* napisanej w 1944 r. do musicalu *Za wami, chłopcy*. Utwór był nominowany do Oscara za najlepszą piosenkę oryginalną, jednak przegrał ze

Swinging on a Star w wykonaniu Binga Crosby'ego (przyp. tłum.).

- [11] Japońska firma Sega, założona przez dwóch amerykańskich (sic!) biznesmenów w roku 1960, produkowała konsole do gier w latach 1983–2001 (przyp. tłum.).
- [12] Za: J.K. Rowling, *Harry Potter i Kamień Filozoficzny*, tłum. Andrzej Polkowski, wyd. Media Rodzina, Poznań 2000.
- [13] Drugie co do wielkości miasto w stanie Oregon, położone nad rzeką Willamette i ok. 50 km od wybrzeża Pacyfiku (przyp. tłum.).
- [14] *All My Exes Live in Texas* George'a Straita (przyp. tłum.).
- [15] Hiszp. kot (przyp. tłum.).
- [16] Hiszp. mój Boże (przyp. tłum.).
- [17] Lon Chaney (1883–1930) – właśc. Leonidas Frank Chaney, amerykański aktor kina niemego i charakteryzator, który zasłynął jako jedna z pierwszych gwiazd horrorów, a dzięki swojemu kunsztowi charakteryzatorskiemu zyskał sobie przydomek „człowiek o tysiącu twarzy” (przyp. tłum.).
- [18] Horror komediowy z 1981 r., powstały w koprodukcji amerykańsko-brytyjskiej, zdobywca Oscara za najlepszą charakteryzację (przyp. tłum.).
- [19] Hiszp. moja babcia (przyp. tłum.).
- [20] Hiszp. szefie (przyp. tłum.).
- [21] Hiszp. czarownik (przyp. tłum.).
- [22] Hiszp. cholera, gównno (przyp. tłum.).
- [23] Hiszp. debil, palant, dupek (przyp. tłum.).

Wydawnictwo Akurat

imprint MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF sp.j.](#), Bydgoszcz